

BIBLIOTEKA RACZYŃSKICH

---

JÓZEF GÓRSKI

WSPOMNIENIA  
Z MINIONYCH  
LAT

Do druku przygotował  
Piotr Kraszewski



Poznań 2000

WSPOMNIENIA I MATERIAŁY BIBLIOTEKI RACZYŃSKICH  
NR 1

Projekt okładki:  
Violetta Książkiewicz

Redakcja techniczna i korekta:  
Agnieszka Kraszewska

Publikacja sponsorowana przez  
Powszechną Kasę Oszczędności Bank Państwowy

ISBN 83-905915-4-5

© Copyright by Biblioteka Raczyńskich, Poznań 2000

BIBLIOTEKA RACZYŃSKICH  
61-739 Poznań, Plac Wolności 19  
tel. (0-61) 852-94-42, 852-94-43  
tel./fax (0-61) 852-98-68  
e-mail: sekret@bracz.edu.pl

Druk: „Rex-Druk”  
Skórzewo k. Poznania, ul. Sportowa 6  
tel./fax (0-61) 814-39-88

## SPIS TREŚCI

	<u>strona</u>
PRZEDMOWA	V
ROZDZIAŁ I. DZIECIŃSTWO	1
ROZDZIAŁ II. POCZĄTEK I WOJNY ŚWIATOWEJ I OKUPACJI NIEMIECKIEJ	11
ROZDZIAŁ III. POBYT W LISKOWIE	17
ROZDZIAŁ IV. CZASY PLESZEWSKIE	29
ROZDZIAŁ V. STUDIA UNIWERSYTECKIE (1923–1927)	43
ROZDZIAŁ VI. ŻYCIE ORGANIZACYJNE STUDENTÓW	59
ROZDZIAŁ VII. MOI PROFESOROWIE	73
ROZDZIAŁ VIII. PRACA W PROKURATORII GENERALNEJ RP (1927–1938)	95
ROZDZIAŁ IX. WYJAZDY NAUKOWE DO FRANCJI I NIEMIEC	121
ROZDZIAŁ X. MAŁŻENSTWO	137
ROZDZIAŁ XI. PRACA W WYŻSZEJ SZKOLE HANDLOWEJ – AKADEMII HANDLOWEJ (1934–1939)	141
ROZDZIAŁ XII. PRZED WYBUCHEM II WOJNY ŚWIATOWEJ	147
ROZDZIAŁ XIII. CZASY WOJENNE (1939–1945)	159
ROZDZIAŁ XIV. W POLSCE LUDOWEJ	219
INDEKS OSÓB	251

## Przedmowa

Okoliczności towarzyszące powstawaniu książki oraz kulisy jej opublikowania bywają niekiedy niemal tak samo interesujące – czy wręcz pasjonujące – jak treść, którą autor oczarowuje swoich czytelników. Historia wspomnień Profesora Józefa Górskiego, pierwotnie noszących tytuł *Na przełomie czasów*, zdaje się należeć właśnie do takich.

Jak twierdzi Profesor, do pracy nad wspomnieniami namówił go jeden z jego byłych studentów, w początku lat siedemdziesiątych stojący na czele Wydziału Nauki i Oświaty Komitetu Centralnego PZPR, Romuald Jezierski. Wprawdzie nie wiemy, czy namowa partyjnego dygnitarza poprzedzała propozycję złożoną Profesorowi przez Wydawnictwo Poznańskie, czy też najpierw Wydawnictwo zwróciło się do Profesora z propozycją napisania wspomnień, a kierownik Wydziału Nauki i Oświaty jedynie rozwiewał ewentualne wątpliwości Profesora, faktem jednak jest, że w pierwszych miesiącach 1970 r. Profesor Górski zastanawiał się nad zawartością i konstrukcją wspomnień, a na przełomie maja i czerwca tegoż roku przyjął propozycję Wydawnictwa i w Redakcji Literatury Społeczno-Politycznej złożył szkicowy konspekt zamierzonej pracy.

„Należy się spodziewać – opiniował ów konspekt jeden z redaktorów – że zamysł napisania autobiografii będzie dla prof. Górskiego pretekstem do podzielenia się z przyszłym czytelnikiem refleksjami o sprawach szerszych. Wspomnienia, jak można sądzić na podstawie konspektu, zawierać będą sporo spostrzeżeń o ludziach, z którymi autor zetknął się, i wydarzeniach, których był świadkiem bądź aktywnym współuczestnikiem. Książki tego typu znajdują zawsze czytelników”.

Opinia ta stanowiła dla Wydawnictwa podstawę wniosku o zawarcie z Profesorem umowy o dzieło. Umowa ta nosi datę 10 czerwca 1970 r. W myśl uzgodnionych przez umawiające się strony postanowień, Profesor zobowiązywał się do złożenia w Wydawnictwie maszynopisu swoich wspomnień do dnia 15 stycznia 1972 r.

Mimo niewątpliwego zapału, towarzyszącego przyjęciu propozycji Wydawnictwa i podpisaniu umowy, praca nad wspomnieniami jakoś niespecjalnie się Profesorowi układała. W każdym razie nie postępowała na tyle szybko, by mógł on dotrzymać terminu złożenia pracy w Wydawnictwie. Umowa określała planowaną objętość tekstu na 20 arkuszy wydawniczych, czyli na około 440 stron znormalizowanego maszynopisu. Nie wydaje się to specjalnie wiele, lecz oczywiście nie jest to mało. Szczególnie jeśli piszący jest obciążony różnymi zajęciami.

Nie wiemy jak przebiegało pisanie wspomnień i jakie były przyczyny opóźnienia. W każdym razie, w styczniu 1972 r. Profesor nie ukończył podjętej pracy. Zwrócił się więc do Wydawnictwa z prośbą o prolongowanie terminu złożenia maszynopisu na połowę września 1972 r. Wydawnictwo przychyliło się do prośby Profesora z przychylnością i zrozumieniem, jakie winno autorowi. O zgodzie na prolongowanie terminu Wydawnictwo zawiadomiło Profesora na piśmie.

Do połowy września 1972 r. Profesor jednak również nie zdołał ukończyć pracy nad wspomnieniami. Można nawet przypuszczać, że dotarł wówczas co najwyżej do połowy zamierzonego opracowania. Pod koniec września zwrócił się bowiem do Wydawnictwa z prośbą o wyrozumiałość i kolejną prolongatę terminu złożenia pracy – tym razem do 15 maja 1974 r. Także i tym razem Wydawnictwo odniosło się przychylnie do prośby Profesora, choć – przyznać trzeba – już bez tej serdeczności, jak za pierwszym razem.

Z powodu rozlicznych zajęć, a być może również i z powodu powolnego, lecz przecież nieuniknionego ubytku sił (Profesor ukończył już wówczas 70 lat), Profesorowi trudno było dotrzymać także i tego terminu. Dlatego w połowie maja 1974 r. zwrócił się do Wydawnictwa, prosząc o wyrażenie zgody na kolejne przesunięcie terminu dostarczenia maszynopisu wspomnień – tym razem na koniec marca 1975 r. Odpowiedź Wydawnictwa na prośbę Profesora była tym razem bardzo oficjalna, wręcz nawet oschła – że owszem, Wydawnictwo zgadza się raz jeszcze na prolongatę, lecz będzie to już ostatnie przesunięcie terminu złożenia pracy.

W rezultacie, pierwszą partię tekstu swoich wspomnień Profesor dostał do Wydawnictwa w połowie kwietnia 1975 r., tłumacząc zwłokę trudnościami natury technicznej. Ostatnią partię tekstu – po napomnieniach i groźbie odstąpienia Wydawnictwa od umowy – Profesor przyniósł do Wydawnictwa osobiście w dniu 23 lipca tegoż roku. Ogółem tekst liczył 504 strony maszynopisu i nosił tytuł *Na przełomie czasów*.

Mimo wakacyjnej pory maszynopis niemal natychmiast został przesłany do dwóch recenzentów: historyka literatury i socjologa. Obaj recenzenci, co niezwykle istotne, oceniali tekst przede wszystkim pod względem jego poprawności politycznej, bardzo niewiele uwagi poświęcając takim kwestiom jak poprawność merytoryczna, kompozycja całości, sposób przekazu informacji, stylistyka itp. Dość powiedzieć, że żaden z recenzentów nie zwrócił uwagi na występujące w tekście błędy rzeczowe.

Dobór recenzentów nie był oczywiście przypadkowy. Obaj byli pracownikami wyższych uczelni i znanymi specjalistami w zakresie uprawianych przez siebie dyscyplin, a jednocześnie – co z punktu widzenia Wydawnictwa było zapewne znacznie ważniejsze od ich fachowego przygotowania – byli zaangażowanymi członkami PZPR, pełniącymi szereg funkcji w aparacie partyjnym i to bynajmniej nie na szczeblu Podstawowych Organizacji Partyjnych.

Przyznać trzeba, że Recenzent-socjolog, choć dopatrywał się we wspomnieniach Profesora szeregu „uchybień”, konkludował: „[...] pragnę podkreślić, iż wspomnienia prof. Józefa Górskiego są lekturą pasjonującą. Są napisane żywo i barwnie, zawierają materiał źródłowy niezwykle interesujący dla historyka i socjologa. Po wprowadzeniu pewnych korekt i uzupełnień pracę tę należałoby koniecznie wydać”. Recenzent-historyk literatury był znacznie bardziej wymagający. W konkluzji jego recenzji czytamy: „Odmiennego ujęcia wymaga natomiast część poświęcona latom powojennym, może bardziej wyostrzyć by było można pewne opisy międzywojenne, ale gdyby nie to przecież koniecznie trzeba zmienić, uładzić, wzbogacić i zmodernizować ujęcie współczesności, pozbawić je stronniczości, uraz, gniewów zapiekłych itp. W tej postaci trudno mi widzieć wspomnienia jako tekst gotowy do druku”.

Ocena – przyznać trzeba – krytyczna, lecz przecież bynajmniej nie dyskwalifikująca pracy Profesora. Jednak nie była to jedyna ocena, jaką Recenzent-historyk literatury podzielił się z Wydawnictwem. W notatce dla Dyrektora Wydawnictwa jedna z pracownic zapisała: „W dniu 23 września rozmawiałam telef. z [...]. Przekazał dodatkowo opinię o recenzowanej pracy prof. Górskiego. Oświadczył, że ze wzgl. ideowo-

poznawczych i politycznych jest nie do wydania. Równocześnie prosił o nie ujawnianie nazwiska recenzenta autorowi”.

Można jedynie domyślać się, jakie to względy ideowo-poznawcze i polityczne – zdaniem Recenzenta-historyka literatury – czyniły ze wspomnień Profesora Górskiego pracę nie do wydania. Zapewne na tak zdecydowane stanowisko tego recenzenta wpłynął też fakt, iż należał on do odmiennej frakcji partyjnej niż były student Profesora. Wydaje się jednak, że recenzentowi nie podobał się „jeśli nie indyferentyzm polityczny, to w każdym bądź razie rezerwa wobec ruchów skrajnych [...]”, a także i to, że „Poznań międzywojenny w relacji Józefa Górskiego jest mało wyrazisty, niezróżnicowany, pozbawiony namiętności politycznych. Złowroga poznańska endecja i twarde rządy wielkopolskich chadeków, swoisty terror intelektualno-klerykalny, na który narzekało wielu publicystów (Balicki, Zegadłowicz i inni), pikietki studenckich bojówkarzy przed sklepami żydowskimi, antykomunizm i antysemityzm kół politycznych kierujących życiem społecznym miasta i jego prasą, tych rysów życia wspomnienia Górskiego nie oddają”. I wreszcie zarzut bardzo poważny: „Mylne są również jego uwagi o niedorozwoju ruchu lewicowego a zwłaszcza komunistycznego w Wielkopolsce [...]”.

Na tym jednak nie kończyły się przewiny Profesora. Znacznie poważniejszych – zdaniem recenzenta – uchybień dopuścił się pamiętnikarz w odniesieniu do okresu powojennego: „Autor nie unika w sądzie wydarzeń z tego okresu (lat pięćdziesiątych – przyp. P. K.) słów ostrych, sformułowań kategorycznych, nawet jeśli dotyczą one osób żyjących [...] spośród profesorów poznańskich czy jego dawniejszych uczniów”. I nieco dalej: „Czasy tamte surowe i twarde wniosły przecież jakiś dorobek do nauki, wykształciły jakieś kadry naukowe, stworzyły jakieś przemiany itd.”

Nie ustrzegł się również Profesor Górski błędów drobnych – jak nazwał je Recenzent-historyk literatury – szczegółowych. Otóż na pakt Ribbentrop-Mołotow spojrzął „jakby w wymiarze wyłącznie polskim a nie międzynarodowym, bez uwzględnienia wewnętrznej sytuacji ZSRR”. Z kolei sprawę wojny fińskiej potraktował bez uwzględnienia strategicznych celów obrończych, a sprawę terenów wschodnich nazwał podziałem ziem polskich. „Wyłącznie narodowo-polski punkt widzenia – konkludował Recenzent – powoduje, że relacje prof. Górskiego stają się bardzo jednostronne, wtedy gdy dotyczą problemów wschodnich”.

Sądząc po recenzjach, sprawa publikacji wspomnień Profesora nie była jeszcze przesądzona. Dopiero opinia przekazana przez Recenzenta-historyka literatury w rozmowie telefonicznej, jak należy sądzić, miała znaczenie decydujące. Należy tak sądzić, ponieważ dopiero w połowie października 1975 r. jeden z redaktorów Wydawnictwa sporządził recenzję wewnętrzną. W znacznej części powtarzała ona uwagi i zarzuty Recenzenta-historyka literatury, dodając do listy „uchybień” Profesora kilkanaście jeszcze innych. Przyznać trzeba, że czujnemu oku redaktora nie umknęło chyba żadne „potknięcie” pamiętnikarza. Zauważył więc na przykład, że „do kontekstu zamieszczonej tu wypowiedzi wdarł się lapsus jakoby »własna, niepodległa ojczyzna« istniała tylko w dwudziestoleciu międzywojennym”; „hymn pochwalny na cześć ks. Blizińskiego z Liskowa; mocna przesada w zakresie podkreślania cnót i osiągnięć tego, bez wątplenia wyróżniającego się społecznika”; „relacja o tym jak przed wojną przestrzegano zasady eksterytorialności Uniwersytetu Poznańskiego. Jest to niewątpliwa aluzja do wydarzeń z 1968 r.”; „autor przytacza aluzje prof. Ułaszyna na temat trudnej sytuacji Kościoła w PRL” itp. Konkluzja mogła być tylko jedna: „Konfrontacja powyższych mankamentów z pewny-

mi, niewątpliwie istotnymi walorami dzieła [...] skłania jednak do wnioskowania o rezygnację z niniejszej oferty wydawniczej.

Blisko trzy miesiące później, w styczniu 1976 r. sformułowano w Wydawnictwie ostateczny wniosek o odstąpieniu od publikacji wspomnień Profesora Górskiego. Podstawą dla tego wniosku było stwierdzenie, że: „Zarówno opinie recenzentów zewnętrznych, jak i ocena wewnętrzna niniejszej pracy konkludują, iż nie zasługuje ona na przyjęcie i wydanie. Poważne zastrzeżenia budzi zarówno jej merytoryczna, jak i metodologiczna strona. Szczególnie rażą nieścisłości natury politycznej w ostatnich (dotyczących działalności autora w Polsce Ludowej) rozdziałach”. Profesora zawiadomiono o decyzji pisemnie, odsyłając mu jednocześnie oryginał maszynopisu. Kopię złożono w archiwum redakcyjnym. Przeleżała tam ponad piętnaście lat.

W 1992 r., podczas likwidacji Wydawnictwa Poznańskiego, gromadzone sumiennie i systematycznie przez ponad 35 lat istnienia i działalności poznańskiej oficyny, materiały archiwalne znalazły się w niebezpieczeństwie. Archiwum Wojewódzkie nie było bowiem zainteresowane przejęciem całości archiwum Wydawnictwa. Jednak dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności – lub jeśli ktoś woli: przypadkowi, zrządzeniu losu bądź ręce Opatrzności – we właściwym czasie i w odpowiednim miejscu znalazły się dwie pracownice Biblioteki Raczyńskich. Już po pobieżnym przejrzaniu kilku teczek zorientowały się, że trzymają w rękach dokumenty niezwykle interesujące, rzucające światło na tryb i mechanizmy funkcjonowania wydawnictwa – instytucji znajdującej się w Polsce Ludowej pod szczególnie uważną kontrolą władz. Na mocy porozumienia pomiędzy Dyrekcją Biblioteki Raczyńskich i likwidatorem Wydawnictwa Poznańskiego, w listopadzie 1992 r. całość zachowanego archiwum została przejęta przez Ośrodek Dokumentacji Wielkopolskiego Środowiska Literackiego, stanowiący sekcję Działu Zbiorów Specjalnych Biblioteki Raczyńskich. Tam też, wraz z pozostałymi materiałami archiwum redakcyjnego, trafił maszynopis wspomnień Profesora Józefa Górskiego *Na przełomie czasów*.

Nadając tytuł *Na przełomie czasów* wspomnieniom ukończonym w połowie lat siedemdziesiątych, Profesor Górski nie mógł nawet przypuszczać, że za lat kilkanaście Polacy dopiszą do swojej historii jeszcze jeden przełom, który nie tyle pozwoli na zmianę widzenia polskich dziejów po II wojnie światowej, co przede wszystkim umożliwi wyrażanie własnych opinii o latach powojennych. W związku z tym – szczególnie młodszym czytelnikom – należy się kilka wyjaśnień.

Przede wszystkim trzeba wyraźnie podkreślić to, że Profesor Górski pisał swoje wspomnienia na zamówienie Wydawnictwa i z nadzieją, że zostaną one opublikowane. A przecież żył i pisał w Polsce Ludowej, która istniała wówczas już ponad ćwierć wieku i – przyznać trzeba to szczerze – mimo rozmaitych zawirowań i wewnętrznych kryzysów nic nie wskazywało na jej stosunkowo szybki upadek. Reguły i zasady obowiązujące w życiu publicznym PRL były Profesorowi znane. Wiedział, że o przeszłości przedwojennej nie należy wypowiadać się zbyt pochlebnie, a lata stalinowskie można łagodnie krytykować. Wiedział też, że mimo wszystko z uznaniem należy wypowiadać się o dobrodziejstwach systemu demokracji ludowej. Stąd też w kilku miejscach wspomnień zamieścił komplementy pod adresem władzy ludowej i kształtowanego z mozołem ustroju ludowej demokracji. Komplementy te, jak się wydaje, miały zmylić czujność cenzora.

Oczywiście Profesor Górski nie mógł wiedzieć, że funkcji cenzorów w stosunku do jego pracy nie będą sprawowali pracownicy Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publika-

cji i Widowsk, lecz Recenzent-historyk literatury, pragnący ukryć swoje nazwisko przed Profesorem oraz jeden z redaktorów Wydawnictwa (Recenzent-socjolog był bardziej elastyczny i bynajmniej nie wnioskował o zaniechanie publikacji wspomnień). Jak wiemy, obaj ci recenzenci byli wyczuleni przede wszystkim na wszelkie, występujące w tekście, dysonanse polityczne. W rezultacie też, nie co innego a właśnie owe „nieściśłości natury politycznej” były powodem decyzji o odstąpieniu Wydawnictwa od zamysłu publikowania wspomnień Profesora Górskiego. Wprowadzenie więc do tekstu pamiętnikarskiej narracji komplementów pod adresem władzy ludowej oraz pochlebstw na temat „dobrodziejstw” systemu demokracji ludowej, na niewiele Profesorowi się zdały.

Decydując się na publikację wspomnień Profesora Józefa Górskiego ćwierć wieku po ich napisaniu oraz piętnaście lat po śmierci Autora, w sytuacji społeczno-politycznej zasadniczo odmiennej od tej z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych, kierowano się przede wszystkim ich zawartością informacyjną. Jak każde pamiętniki, tak i wspomnienia Profesora są dokumentem historycznym. Tym cenniejszym, że przed 1945 r. dane było Profesorowi obserwować najpierw budowę niepodległego państwa polskiego, rozwój Uniwersytetu Poznańskiego – szczególnie zaś jego Wydziału Prawno-Ekonomicznego – funkcjonowanie Prokuratury Generalnej, a wreszcie kształtowanie się poznańskiej Wyższej Szkoły Handlowej, przekształconej w ostatnim roku przed wojną w Akademię Handlową. Z kolei na lata po II wojnie światowej przypadł okres największej aktywności Profesora. Już w marcu 1945 r., po blisko pięćipółletnim pobycie na wysiedleniu, Profesor Górski powrócił do Poznania i niezwłocznie przystąpił do uruchamiania Akademii Handlowej, w której do grudnia 1948 r. pełnił funkcję rektora. Prócz tego, jeździł do Szczecina, gdzie organizował filię Akademii Handlowej, udzielał się w różnych komisjach i komitetach ministerialnych, prowadził zajęcia dydaktyczne...

Paradoks tamtych czasów polegał na tym, że aktywność społeczna, choć była przez władze pożądana a nawet wymagana, wzbudzała podejrzania służb bezpieczeństwa co do intencji osób lub grup społecznie aktywnych. Dlatego też obok ludzi „politycznie niepewnych” od stanowisk odsuwano osoby aktywne. Podobny los spotkał także Profesora Górskiego, mimo iż od kwietnia 1947 r. należał do PPS, a od 15 grudnia 1948 r. był członkiem PZPR. Zbyt mały entuzjazm wobec dokonujących się w Polsce u schyłku lat czterdziestych i w początku lat pięćdziesiątych przemian stał się powodem wykluczenia Profesora z szeregów partyjnych. Jego sytuacja na uczelni – noszącej wówczas nazwę Wyższej Szkoły Ekonomicznej – mimo pełnienia w latach 1950-1951 funkcji dziekana Wydziału Finansów – nie była łatwa.

W aktach osobowych Profesora, zgromadzonych się w Archiwum Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, znajdujemy notatkę z 2 maja 1952 r., podpisaną przez niejakiego dr Fleszara, pełniącego w tym czasie obowiązki rektora WSE:

„Prof. Górski pełnił w roku bieżącym funkcje kierownika Katedry Prawa oraz kierownika Zespołu Katedr Finansów i Kredytu. Wykłady prof. Górskiego jak i jego działalność dydaktyczna nie różniły się w niczym od wykładów i działalności z lat ubiegłych. Jako kierownik Zespołu Katedr prof. Górski wykazał bardzo wiele energii w zorganizowaniu Zespołu, rozplanowaniu jego roboty oraz w przygotowaniu ustawienia Zespołu w przyszłym roku akademickim. W tej ostatniej działalności zauważyć można było tendencję do włączania do Wyższej Szkoły Ekonomicznej pracowników naukowych Uniwersytetu Poznańskiego, o nie zawsze pozytywnej opinii politycznej. Ponadto stwierdzić należy, że prof. Górski jest bardzo aktywny w rozprzestrzenianiu najróżniej-



szych plotek i fałszywych informacji, niejednokrotnie bardzo szkodliwych dla całości Uczelni.

Szkoła nie widzi w tej chwili innego kandydata, który mógłby zastąpić prof. Górskiego na Katedrze Prawa”.

Jakby nie spojrzeć na tę notatkę, opinia tego rodzaju mogła w tamtym czasie oznaczać tyle samo co najcięższy wyrok. Jeśli tak się nie stało, świadczyło na rzecz spostrzeżenia uczynionego przez Recenzenta-socjologa: „Ogólne wrażenie, jakie odnosi się z lektury wspomnień prof. Górskiego to to, że przez całe swoje życie autor miał niezwykle »szczęście do ludzi« [...]. Nawet w okresie okupacji trafiał na wyjątkowo porządnym Niemców. Przykrości, jakich doznał w latach końcowych stalinizmu, przypadły na okres kiedy miał zbyt ugruntowaną pozycję, aby mogły one tragicznie zaważyć na jego losach [...]”. Ta ostatnia uwaga nie wydaje się jednak w pełni trafna. Dla osób, które znalazły się na liście „wrogów ludu”, ugruntowana pozycja naukowa mogła, lecz wcale nie musiała stanowić ochrony przed szykanami, w najlepszym wypadku przed odsunięciem od pracy na uczelni. Zważywszy zaś, że w okresie okupacji Profesor Górski bez szwanku wyszedł z Pawiaka, gdzie znalazł się po aresztowaniu podczas ulicznej łapanki w Warszawie, następnie zaś dość szczęśliwie zakończyło się jego aresztowanie w Krakowie i pobyt w obozie płażowskim, przyznać trzeba, iż na brak szczęścia trudno byłoby Profesorowi narzekać.

W pewnym sensie można zgodzić się z Recenzentem-socjologiem, że po 1956 r. udzielono Profesorowi Górskiemu „pełnej satysfakcji z tytułu wyrządzonej krzywdy moralnej”. W latach 1956-1959 pełnił on funkcję rektora WSE w Poznaniu, a w latach 1959-1962 funkcję prorektora tej uczelni. W 1962 r. Profesor pożegnał się z WSE i podjął pracę na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Pracował tam do jesieni 1974 r., kiedy to – jak sam napisał – dane mu było „uczestniczyć w pogodnym nastroju [...] w zorganizowanej na moją cześć uroczystości związanej z moim przejściem w stan spoczynku. Grono uczniów i współpracowników wręczyło wówczas Profesorowi Księgę Pamiątkową.

W 1976 r. odbyła się jeszcze jednak niezwykle podniosła uroczystość, której głównym bohaterem był Profesor Józef Górski. Poznańska Akademia Ekonomiczna nadała Profesorowi tytuł doktora honoris causa.

Wymieniając zasługi Profesora Górskiego, prof. Józef Skąpski z Uniwersytetu Jagiellońskiego mówił: „Pierwszy projekt polskiego prawa morskiego z 1946 r. był opracowany przez prof. J. Górskiego. Dzięki rozwojowi polskiej myśli prawniczej w dziedzinie prawa morskiego było możliwe wydanie w 1961 r. pierwszego polskiego kodeksu morskiego. W znacznym stopniu stanowi on realizację postulatów naukowych wysuwanych uprzednio przez prof. J. Górskiego. [...] Świadczy to o jego niekwestionowanym autorytecie jakim się cieszy wśród specjalistów prawa morskiego”. Z kolei prof. Ryszard Domański w uzasadnieniu wniosku o nadanie prof. dr hab. Józefowi Górskiemu tytułu doktora honoris causa stwierdzał: „Liczba magistrów, którzy napisali rozprawę magisterską i przeszli szkołę rzetelności i uczciwości naukowej u prof. Górskiego przekracza kilkaset. Prof. Górski jest promotorem 25 rozpraw doktorskich oraz recenzentem wiodącym w 12 przewodach habilitacyjnych. Dał swoich uczniów do 11 ośrodków naukowych w Polsce na stanowiska samodzielne. Pomimo przejścia na emeryturę prowadzi 3 doktorantów i 2 habilitantów. Prof. Górski jest wychowawcą dwóch trzecich ogólnej liczby doktorantów z zakresu prawa morskiego oraz wszystkich docentów z zakresu

cywilnego prawa morskiego w Polsce, co sprawia, że Poznań jest uznawany za wiodący ośrodek nauki prawa morskiego w Polsce”.

Profesor Józef Górski zmarł w Poznaniu 5 lutego 1983 r.

Pięć lat później sytuacja społeczno-polityczna w Polsce zmieniła się diametralnie. Zmieniło się również rozumienie przełomu w polskich dziejach po II wojnie światowej. Dlatego też, aby nie wprowadzać czytelników w błąd, zdecydowano się na zmianę tytułu nadanego wspomnieniom przez Profesora. Stąd w obecnej postaci autobiograficzna opowieść Profesora Górskiego nosi tytuł *Wspomnienia z minionych lat*.

Przy opracowaniu *Wspomnień* kierowano się zasadą minimalnej ingerencji w tekst. Czyniono to jedynie tam, gdzie napotymano w maszynopisie na oczywiste błędy maszynowe, niezręczności stylistyczne oraz ewidentne błędy rzeczowe. W tych ostatnich przypadkach sygnalizowano ingerencję w przypisie. Nie ingerowano natomiast tam, gdzie błąd lub niekonsekwencja w pewnym sensie odsłaniały lub mogły odsłaniać emocjonalny stosunek piszącego. Być może niewiele znaczącą, lecz przecież bardzo ciekawą pomyłką, powtarzającą się w tekście kilkanaście razy jest skrót ZSSR zamiast ZSRR.

Nie rozwijano również używanych przez Profesora Górskiego skrótów, szczególnie tych, które znajdowały się dawniej w powszechnym użyciu.

Pracę uzupełniono o indeks nazwisk osób przywoływanych w narracji Profesora, dodając – tam gdzie to się dało – właściwe imiona.

*Piotr Kraszewski*

## ROZDZIAŁ I

## DZIECIŃSTWO

Zbliżając się do kresu drogi życiowej coraz częściej powracam myślą do początków tej drogi, do stron, w których upłynęło dzieciństwo, do warunków rodzinnych i społecznych, w jakich wypadło mi wzrastać i w jakich formować się zaczął mój stosunek do bezpośredniego i szerszego otoczenia. Coraz lepiej zdaję sobie sprawę ze słuszności słów poety, kiedy mówi:

*Młodość życia jest rzeźbiarką  
Co wykuwa żywot cały,  
A choć czas jej przejdzie szparko,  
Cios jej dłuta wiecznotrwały.<sup>a)</sup>*

Toć przecież podstawowe pojęcia i zasady, którymi starałem się kierować w późniejszych okresach mego życia, zostały mi przekazane i wpojone przez Rodziców i najbliższe otoczenie już w najmłodszych latach. Sądzę, że nie były to złe wskazania, skoro po tylu latach zachowały się żywo w mej pamięci.

Do dziś, poprzez wspomnienia dzieciństwa i stosunki rodzinne czuję się mocno związany ze wsią i jej problemami. Odwiedzam też chętnie swoje rodzinne strony.

Chociaż kierunek moich studiów i pracy zawodowej związał mnie w życiu z innymi zagadnieniami, to jednak i sprawom wiejskim w okresie międzywojennym poświęciłem немало uwagi. Świadczą o tym dwa opracowania monograficzne: *Włościańskie zwyczaje spadkowe w województwie Poznańskim i Pomorskim*<sup>b)</sup> (1928) oraz *Spadkobranie gospodarstw wiejskich w województwie Łódzkim*<sup>c)</sup> (1929) oraz artykuły: *Reforma ustawodawstwa spadkowego w odniesieniu do drobnych gospodarstw wiejskich* (1929); *O tzw. gospodarstwach wzorowych i ich pozbywaniu w toku parcelacji rządowej* (1933); *O zmianę przepisów o obrocie nieruchomościami* (1934); *Specyficzne potrzeby rolnictwa w świetle kodyfikacji polskiej* (1936).

Urodziłem się w dniu 16 lutego 1904 r. jako poddany cara Mikołaja II. Dziecięce lata mego życia spędziłem w Szymanowicach nad Prosną, wsi położonej w ówczesnym powiecie słupeckim, na samym pograniczu zaborów rosyjskiego i pruskiego. Powiat słupecki był w okresie zaborów najbardziej na zachód wysuniętym powiatem guberni kaliskiej, a tym samym całego Królestwa Kongresowego. Od wschodu i południowego

<sup>a)</sup> Fragment wiersza Z. Krasińskiego *Do Kajetana Koźmiana*. Właściwie brzmi on: „Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką, / Co wykuwa żywot cały; / Choć przeminie sama szparko, / Cios jej dłuta wiecznotrwały”. Por.: *Dziela Zygmunta Krasińskiego*. T. 1. Warszawa 1934.

<sup>b)</sup> Właśc.: *Włościańskie zwyczaje spadkowe w województwach poznańskim i pomorskim*. [W:] *Zwyczaje spadkowe włościan w Polsce*. Cz. II. (Biblioteka Puławska), Warszawa 1929.

<sup>c)</sup> Właśc.: *Spadkobranie gospodarstw wiejskich w województwie łódzkim*. [W:] *Zwyczaje spadkowe włościan w Polsce*. Cz. III. (Biblioteka Puławska), Warszawa 1929.

wschodu graniczył on z powiatem konińskim i kaliskim, od zachodu zaś z powiatami pleszewskim, jarocińskim i wrzesińskim, wchodzącymi w skład b. zaboru pruskiego. W zasięgu moich obserwacji granicę – z małymi odchyleniami – stanowiła, aż do swego ujścia do Warty, rzeka Proсна.

Ta zaborcza, rosyjsko-pruska granica państwowa, rozdzielająca prastare ziemie polskie wchodzące w skład historycznej Wielkopolski i poddanie tych ziem dwom różnym systemom, doprowadziły w ciągu stu lat do ukształtowania się całkowicie różnych warunków i poziomów życia społecznego i gospodarczego po obu stronach Proсны.

Żyjąc na samej granicy obu systemów zaborczych, mogliśmy codziennie stwierdzać jak bardzo nasza gubernia, a szczególnie nasz powiat i nasza gmina, są zacofane w porównaniu z sąsiednimi terenami zza kordonu. Rządy carskie, w przeciwieństwie do rządów pruskich, nie dbały ani o szkolnictwo, ani o drogi, ani o środki komunikacji, ani o kulturę rolną, ani o należyty rozwój handlu i usług. Nieznana była jakakolwiek ochrona pracy, ani instytucja ubezpieczeń społecznych.

Poza przeprowadzoną w ostatnich latach przed I wojną światową linią kolejową Łódź–Kalisz, nie było w całej guberni kaliskiej kolei żelaznych. Tylko nieliczne odcinki dróg były brukowane. Poza sklepikami spożywczymi należącymi do Polaków, cały handel skupiony był w rękach żydowskich. Żydzi zamieszkali w małych miasteczkach – takich jak Pyzdry, Zagórow, Chocz i innych, byli jedynymi dostawcami artykułów przemysłowych. Oni skupiali w swych rękach całość handlu produktami rolnymi, drzewem oraz większość usług rzemieślniczych. Dyktowali jednostronnie ceny za artykuły pozbywane przez ludność wiejską. Wykorzystywali też ciemnotę ludności, która w dużym procencie nie umiała ani czytać, ani pisać, ani rachować. Nie posiadając takich narzędzi jak waga i wialnia, była ona zdana na ustalaną przez kupców wagę zbóż oraz potąceń z tytułu niedostatecznego oczyszczenia zbóż. Zwierzęta rzeźne sprzedawano bez ważenia – na oko. O cenach i koniunkturze na poszczególne produkty rolne decydowały odbywające się często jarmarki. Panowali na nich wyłącznie kupcy żydowscy.

Ludność polska zdawała sobie sprawę z tego, że jest niemiłosiernie wyzyskiwana, ale czuła się bezbronna i zdana na dyktowane jej warunki wymiany towarowej. Zaledwie dochodziły do niej wieści, że są pewne miejscowości, jak Lisków, w których ludność polska w formie spółdzielczej przejęła choć częściowo inicjatywę gospodarczą we własne ręce.

W Śnietni dziadek mój, Andrzej Górski (1828–1917), ożeniony z Katarzyną z d. Hauke (1830–1926) był aż do początków obecnego stulecia właścicielem średniego gospodarstwa rolnego. Po uprzednim wyposażeniu dwóch najstarszych synów, Franciszka i Antoniego, którzy osiedli na własnych gospodarstwach oraz wydaniu za mąż córki Balbiny za rolnika Ignacego Kasprolewicza, dziadek przekazał w 1903 r., w zamian za dożywocie, posiadane gospodarstwo najmłodszemu synowi, czyli mojemu Ojcu, Wojciechowi, w związku z jego ożenkiem.

Rodzice moi stali się założycielami rodziny, która na przestrzeni siedemdziesięciu lat, czyli od początku XX w. do dnia dzisiejszego<sup>d)</sup>, nie tylko się rozrosła liczebnie, ale potrafiła wznieść się na poziom odpowiadający współczesnym wymaganiom.

Z sześciorga rodzeństwa pozostało nas przy życiu trzech braci: ja sam (ur. 1904 r.), młodszy ode mnie Jan (ur. 1906 r.), wzorowy rolnik, działacz spółdzielczy, długoletni

---

<sup>d)</sup> Czyli do 1978 r.

członek Powiatowej Rady Narodowej w Międzychodzie, ojciec licznej rodziny oraz najmłodszy Władysław (ur. 1917 r.), profesor Politechniki Szczecińskiej, uczestnik walk na froncie afrykańskim i włoskim.

Nie doczekał końca wojny Michał (ur. 1910 r.), oficer zawodowy, uczestnik kampanii wrześniowej i walki podziemnej (AK). Osadzony w jesieni 1944 r. w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen<sup>e)</sup>, zmarł z wycieńczenia w czasie ewakuacji tego obozu do Nordhausen<sup>f)</sup> w dniu 14 lutego 1945 r. Zmarły też w młodym wieku obie niezamężne siostry Irena i Anna.

Ja sam jestem bezdzietny. Natomiast brat Jan jest ojcem czterech synów i trzech córek – wszystkich żonaty i zamężnych – oraz dziadkiem 18 wnuków i wnuczek. Brat Władysław jest żonaty, posiada córkę i syna. W ten sposób potomkowie Wojciecha i Katarzyny liczą dziś ogółem 30 osób (3 synów, 9 wnuków i 18 prawnuków).

Mimo stałego wzrostu liczebnego zawsze tworzyliśmy zwartą rodzinę, bardzo ze sobą zżytą i wzajemnie sobie pomagającą. Ten stosunek ścisłej łączności zachowany został po dziś dzień, mimo terytorialnego rozproszenia rodziny i mimo zajmowania różnych pozycji zawodowych i społecznych.

Wszyscy wspomniani członkowie rodziny to ludzie zdolni, ambitni i pracowici o wysokim poczuciu obowiązku. Już moje pokolenie zdołało osiągnąć poziom wykształcenia i pozycję, o jakich nasi dziadkowie mogli jedynie marzyć. Również następne pokolenie – dzieci moich braci – poziom ten utrzymało. Spośród pięciu bratanków – czterech posiada wykształcenie wyższe: techniczne, rolnicze i ekonomiczne, a jeden zawodowe wykształcenie rolnicze. Spośród czterech bratanie, trzy posiadają średnie wykształcenie zawodowe. Jedna z nich – Zofia Cybulska jest w bieżącej kadencji (1972–1976) posłem na Sejm. W 1974 r. była starościaną Centralnych Dożynek, które odbyły się w Poznaniu. Tak samo dobrze zapowiadają się dzieci bratanków i bratanie, wychowane w dobrej tradycji.

Początek temu trendowi w górę dał mój Ojciec. W przeciwieństwie do pracowitych, ale pozbawionych jakichś wyższych horyzontów dziadków, trzymających się tradycyjnych i zacofanych metod gospodarowania i dbających jedynie o jakieś takie związanie końca z końcem, Ojciec mój był – jak na czas i warunki w jakich żył – człowiekiem postępowym, żądnym wiedzy i ciekawym świata. O ile dziadkowie uważali, że poza znajomością katechizmu już sama umiejętność czytania i pisania, nabyta w ciągu 1–2-letniego uczęszczania do szkoły elementarnej oraz praca w ich gospodarstwie, stanowi dostateczne wyposażenie dziecka w wiedzę ogólną i zawodową, bez potrzeby jej poszerzania i pogłębiania, to Ojciec zrozumiał bardzo szybko błędność takiego poglądu.

Ubolewając nad tym, że z winy dziadków, a zwłaszcza babki pochodzącej przecież z rodziny względnie zamożnej, nie zdobył lepszego wykształcenia szkolnego, starał się już w wieku dojrzałym brak ten wyrównać, a dzieciom swym zapewnić najlepsze warunki zdobywania wiedzy. Stale powtarzał: „Przyszłość mają tylko ludzie wykształceni. O znaczeniu człowieka decydować będzie nie posiadany majątek, ale posiadana wiedza”.

<sup>e)</sup> Gross-Rosen – obecnie wieś Rogoźnica. W l. 1940–1945 hitlerowski obóz koncentracyjny (80 podobozów); praca więźniów m.in. w kamieniołomach; przez obóz przeszło ok. 125 tys. osób (głównie obywateli polskich), ok. 50 tys. zginęło.

<sup>f)</sup> Nordhausen – w górach Harzu. W l. 1943–1945 hitlerowski obóz koncentracyjny znany pod nazwą Dora; przez obóz przeszło najwięcej Polaków, obywateli ZSRR i Francuzów; powstał jako filia obozu w Buchenwaldzie w związku z budową podziemnej fabryki pocisków V-1 i V-2.

Już od wczesnej młodości mogłem obserwować u Ojca książki i gazety, jakich nigdy nie widziałem u dziadków. Ojciec był czynnym członkiem Kółka Rolniczego, Kasy Spółdzielczej, Ochotniczej Straży Ogniowej, zwiedzał wystawy rolnicze, interesował się tym, co się dzieje w kraju i na świecie. Wyposażył gospodarstwo w maszyny rolnicze, zaczął stosować nawozy sztuczne, obsiewać pola sprowadzonym ziarnem kwalifikowanym, wprowadzać racjonalniejszy płodozmian.

Pozbywając się przekazanego mu przez dziadków gospodarstwa w Śnietni, nabył Ojciec w 1907 r., z parcelowanego majątku Szymanowice, około 20-hektarową działkę. Podobnej wielkości sąsiednią działkę nabyła również siostra Ojca, Balbina. Obie rodziny bardzo szybko wzniosły zabudowania i dobrze się zagospodarowały.

W Szymanowicach przeżyłem swą wczesną młodość od trzeciego do czternastego roku życia. W tym wieku ma się wyostrzony zmysł obserwacyjny, a poczynione spostrzeżenia i doznane wówczas przeżycia dziwnie wyraziście zachowują się w naszej pamięci. Pamiętam ludzi, jakich wówczas spotykałem, warunki w jakich żyli, zdarzenia, których byłem świadkiem lub o których mówiło się wówczas w gronie rodzinnym.

Szymanowice były w owym czasie centralną miejscowością dla całej okolicy. Wprawdzie siedziba urzędu gminnego Szymanowice znajdowała się w oddalonej o 4 km wsi Wierzchy, to jednak ośrodkiem ówczesnego życia społecznego była nie podporządkowana władzy zaborczej gmina, lecz polska parafia. W Szymanowicach znajdował się nowy, wzniesiony z końcem XIX w. kościół parafialny, nowa obszerna plebania wraz z salką do zebrań. Tu miały swoją siedzibę Kasa Spółdzielcza, Kółko Rolnicze, Ochotnicza Straż Ogniowa oraz jedna z trzech istniejących w gminie szkół elementarnych. We wsi było dwóch rzeźników, jeden piekarz, dwa sklepy spożywcze tzw. kolonialne, a ponadto mieli tu swoje warsztaty kowal i stelmach, a później i krawiec.

Obszar parafii był większy aniżeli obszar gminy. Obejmował on bowiem również duże wsie Lisewo i Ciemierów należące do gminy Dłusk.

W całej parafii nie było ani jednej restauracji, baru czy herbaciarni. Ludzie przybywający do Szymanowic na nabożeństwa kościelne, na odbywające się tu na św. Jana i św. Jadwigę odpusty, posilali się na ulicy kiełbasą, bułkami i piwem lub lemoniadą nabywanymi w sklepach rzeźniczych i kolonialnych Domańskiego i Werblińskiego.

W sąsiedniej wsi, w Tomicach, prowadzony był monopolowy skład wyrobów alkoholowych, po które raz w tygodniu jeździł do Konina furman Pakulski. Skład prowadził wysłużony podoficer, Rosjanin Osipow, wraz ze swym synem. Z chwilą wybuchu wojny w 1914 r. skład ten został zlikwidowany. Młody Osipow, związany poprzez ożenek ze społecznością polską i powszechnie lubiany, nie dał się ewakuować, pozostał na miejscu i prowadził zakład krawiecki.

Szymanowice i sąsiednie wsie Czolnochów, Tomice, Lisewo, Ciemierów, Gizalki, Ruda Wieczysta były zamieszkałe przez ludność czysto polską, od dawna w tych okolicach osiadłą, żyjącą głównie z rolnictwa. Ziemia jest tu urodzajna, dająca dobre plony. Na skutek dobrowolnej parcelacji większych majątków powstała tu poważna ilość gospodarstw większych i średnich. Stosunkowo mały procent stanowili bezrolni i małorolni. Przeważna ich część wyjeżdżała na zarobki do Prus. Pozostali znajdowali zatrudnienie jako pracownicy dniówkowi u większych gospodarzy. Tylko niewielka ilość rodzin należała do grupy robotników rolnych osiadłych w ocalałych majątkach i ośrodkach majątków w Ciemierowie, Szymanowicach, Nowej Wsi i Oborach.

W całej okolicy jedynymi zakładami „przemysłowymi” było kilka wiatraków, mała olejarnia i – o ile pamiętam – mały tartak w Tomicach.

W Leszczycy, w sąsiedztwie Szymanowic, prosperował jedyny w gminie „wielobranżowy” sklep żydowski, należący do Chaima Arbuza. Pamiętam dobrze ten sklep. Można tu było nabyć takie artykuły jak sól, cukier, ocet, kawę, herbatę, korzenie, śledzie, naftę, świece, łańcuchy, gwoździe, latarnie gospodarcze, drut, baty, części uprzęży, żelazo na osie do kół, podkowy, hufnale, liny i kantary dla koni, lemiesz, tkaniny odzieżowe, fartuchy i inne części odzieży a nawet szkaplerze i lampki przed obrazy Matki Boskiej! Sklep był bogato zaopatrzony i prowadzony z dobrym wyczuciem miejscowych potrzeb. Arbus nie miał w okolicy konkurentów. Toteż jego obroty i dochody były znaczne. Pozwalały mu one na dostatni tryb życia i kształcenie dzieci w szkołach rabinackich. Dorobił się wygodnych zabudowań gospodarczych przy domu oraz osobno położonego gospodarstwa rolnego.

Do czasu zorganizowania skromnej Kasy Spółdzielczej pełnił on dla całej okolicy rolę bankiera, udzielającego na weksel większych i mniejszych krótkoterminowych pożyczek na ustalony przez siebie procent. Niemalą rolę odgrywała też stosowana przez Arbuza sprzedaż towarów na kredyt. Pozwalała mu ona wykorzystywać nie umiejących przeważnie czytać ani pisać nabywców i ściągać od nich przez siebie ustalone kwoty.

Jako mały chłopiec wyjeżdżałem z Ojcem do najbliższych miasteczek Pyzdr, Chocza, Zagórowa i przyglądałem się odbywanym tam jarmarkom. Zabierany też byłem przez rodziców na różne wesela i chrzciny. W miarę podrastania pomagałem w domu i gospodarstwie, a niejednokrotnie załatwiałem nie tylko zakupy w sklepach, ale również inne sprawy – nawet w urzędzie gminnym i rosyjskim dowództwie wojsk nadgranicznych.

Wspominając o dużej roli parafii w czasach zaborczych warto nadmienić, że proboszczami w Szymanowicach na przełomie XIX i XX w. byli: ks. Bąkowski, ks. Margoński i ks. Gawroński. O dwóch pierwszych wiem tylko z opowiadań rodziców i dziadków. Trzeciego znałem osobiście. Księdzu Bąkowskiemu, dobremu gospodarzowi, zawdzięczała parafia nowy kościół i plebanię. Ksiądz Margoński był społecznym i społecznym rewolucyjnym 1904–1905 r., o której tylko echa dochodziły do naszej okolicy. Aby uniknąć aresztowania, wyjechał po kryjomu z kraju. Jego następcą, ks. Gawroński, syn powstańca z 1863 r., był człowiekiem wygodnym o poglądach konserwatywnych, nie angażującym się w żadną pracę społeczną, choć popierał takie organizacje powoływane do życia po 1905 r., jak kółka rolnicze, strażne ogniowe i kasy spółdzielcze. Propagował prasę prawniczą i klerykalną, a tępił pisma o nastawieniu radykalnym („Zaranie” itp.). Był zwolennikiem dobrej kuchni i chętnie uczestniczył w zebraniach towarzyskich, na których spodziewał się dobrego przyjęcia. Takie okazje stwarzały comiesięczne posiedzenia kółka rolniczego, odbywane w domach zamożniejszych członków. Gospodarze przyjmowali wówczas wszystkich uczestników dobrą kolacją.

Parafianie znali dobre i słabe strony swego proboszcza i odnosili się do nich pobłażliwie. Wiedzieli m.in. o roli, jaką odgrywała urodziwa żona dosyć głupawego kościelnego, będąca równocześnie gosposią proboszczowską. Nie wiedział o tym jedynie sam kościelny. Nie zdawał też sobie sprawy, że dwie ładne córeczki nie są jego dziećmi. Toteż, kiedy przypadkowo odkrył i zrozumiał swoją sytuację – powiesił się z rozpacz. Narobiło to dużego huku w całej parafii. Choć o sprawie tej rozmawiali między sobą jedynie dorośli, nie ukryła się ona przed uczniami naszej szkoły.

W tym stanie rzeczy – a działo się to już w końcowym [okresie] wojny – mój Ojciec wraz z dwoma innymi parafianami, udali się do Włocławka celem poinformowania

o sprawie biskupa-ordynariusza, ks. Stanisława Zdzitowieckiego. Pamiętam ten wyjazd Ojca, który trwał chyba około tygodnia. Trzeba było wówczas odwiedzić delegatów bryczką przez Konin do Koła. Stamtąd prowadziła do Włocławka kolejka wąskotorowa. W ustalonym dniu trzeba było ponownie wysłać bryczkę do Koła.

W wyniku wspomnianej interwencji, ks. Gawroński został przeniesiony do innej parafii. Pojechał razem z gospożą i jej córeczkami.

W b. Królestwie Polskim, inaczej aniżeli było to w zaborze pruskim, proboszczowie wiejscy mieli do swej dyspozycji niewielkie kawałki pola (1–1,5 ha). Toteż utrzymywali się głównie z tego, co zebrali na tacę oraz z opłat pobieranych przy okazji chrztów, ślubów i pogrzebów. Ich wysokość nie była z góry ustalona. Zależała ona od uznania proboszcza. Dochodziło na tym tle często do twardego targów z zainteresowanymi parafianami. Nasz proboszcz nie należał do tanich. Kiedyś – w 1913 r. – zapytano go, dlaczego nie wybierze się do Rzymu. Odpowiedział – za co? Skąd mam wziąć pieniądze na wyjazd, kiedy tacy jak stary Górski (mój dziadek), stary Wojciechowski i inni nie zamierzają umierać i nie można z nich „ściągnąć skórki”.

Kiedy mój, liczący wówczas 85 lat dziadek, o tym się dowiedział, poszedł do proboszcza zapytaniem: „Podobno ksiądz proboszcz nie może doczekać się mojej śmierci? Jeżeli księdzu tak potrzeba pieniędzy na wyjazd do Rzymu, gotów jestem za swój pogrzeb z góry zapłacić. Wiem, że za pogrzeb takich jak ja należy się 300 rubli. Tę sumę więc księdzu wpłacam”. Proboszcz pieniądze przyjął, do Rzymu pojechał, a po powrocie przez trzy lub cztery niedziele składał z ambony szczegółowe sprawozdanie z odbytej podróży. Jako mały chłopak z największym zaciekawieniem słuchałem tych informacji.

Po czterech latach, w sierpniu 1917 r., dziadek zmarł. Kiedy Ojciec mój załatwiając z proboszczem sprawę pogrzebu, wpłacał określoną należność, proboszcz ani słowem nie wspomniał, że opłatę za pogrzeb otrzymał już naprzód od dziadka.

Były to ostatnie lata władzy zaborczej. Widowym jej znakiem były w naszej gminie rosyjskie oddziały wojsk ochrony granic, dwóch rosyjskich policjantów, prowadzony przez Rosjanina sklep monopolowy z wódką oraz napisy rosyjskie na budynkach urzędowych i drogowkach.

Dowództwo pułku wojsk pogranicznych miało swoją siedzibę w pobliskim Czołnochowie, gdzie też znajdował się drewniany most na Prośnie, stanowiący przejście graniczne, jako też rosyjska komora celna.

Po drugiej stronie, w Robakowie, znajdował się posterunek żandarmerii pruskiej, pruska komora celna oraz restauracja i sklep spożywczy znanego w całej okolicy pana Sroczyńskiego.

Dowództwu pułku w Czołnochowie podlegały rozmieszczone wzdłuż granicy, czyli wzdłuż Proсны, posterunki (tzw. posty), w których skoszarowane były mniejsze oddziały wojskowe. Całej granicy strzegli rozstawieni co kilkaset metrów żołnierze piesi i konni. Z żołnierzami tymi stykaliśmy się codziennie, gdyż znaczna część należącej do nas ziemi położona była nad samą Prosną, a kilka hektarów znajdowało się nawet po lewej, pruskiej stronie rzeki. Dowództwo i żołnierze znali nas i nie stawiali żadnych przeszkód w dostępie do rzeki. Na przekroczenie Proсны i wypas bydła na drugim brzegu otrzymywaliśmy rokrocznie specjalne przepustki w komendzie pułku. Pamiętam, że wiosną 1914 r. z polecenia Ojca udałem się po taką przepustkę do samego pułkownika. Ten, rozbawiony moim pojawieniem się, zyczliwie potraktował małego interesanta,



a nawet zawołał swego małego synka Wanię, aby mnie pokazać i powiedzieć „patrz jaki to dzielny chłopiec” („*smatri, kakij maladiec*”). Dodać muszę, że sprawę załatwiałem w języku rosyjskim, którym już trochę władałem. Z Wanią zaprzyjaźniłem się i byłem kilka razy gościem w domu pułkownika.

Strzeżenie granicy ze strony rosyjskiej było bardzo dokładne, znacznie ostrzejsze aniżeli ze strony pruskiej. Chodziło nie tylko o zwalczanie przemytu wódki i innych artykułów sprowadzanych z Poznańskiego, ale przede wszystkim o uniemożliwienie nielegalnego przekraczania granicy przez osoby – z punktu widzenia władz rosyjskich – podejrzane, jako też o zapobieżenie przerzutom materiału propagandowego.

Mimo tak gęstego obstawienia granicy przez oddziały rosyjskie, przemyt towarów i osób odbywał się ciągle. Sam to obserwowałem, a nawet czyniłem. Najłatwiej było dokonywać przemytu latem korzystając z osłony, jaką zapewniały gęste zarośla nadrzeczne oraz wyrosnięte zboże. Wystarczyło upatrzeć chwilę, kiedy pełniący straż żołnierz oddalił się w innym kierunku, albo też zająć żołnierza rozmową. Nam, młodym chłopcom, przychodziło to z dużą łatwością. Zainteresowane osoby korzystały więc niejednokrotnie z naszych usług.

W stosunku do ludności nadgranicznej żołnierze ochrony granic odnosili się poprawnie. Wyjątkowo jednak zdarzały się z ich strony wybryki. Pamiętam dobrze, jak pewnego razu na nasze podwórze wjechało trzech konnych pijanych żołnierzy. Zbliżywszy się do Ojca grozili mu rozstrzelaniem. Na szczęście w związku z przeprowadzanym omłotem zboża na podwórzu znajdowało się kilku sąsiadów. Ci widząc, co się dzieje, rozbroili sprawnie awanturników, związali ich powrozami, ułożyli na słomie i powiadomili dowództwo pułku. Po pewnym czasie przybyło konno kilku żołnierzy z oficerem i zabrało pijaków.

Jak już wspominałem, na terenie gminy Szymanowice znajdowało się dwóch rosyjskich policjantów. Mieszkali tu z rodzinami w lokalach wynajętych od chłopów. Pamiętam ich jako zaniedbanych, przeważnie nieogolonych pijaczków. Zjawiali się zawsze w domach, w których odbywały się wesela lub inne uroczystości rodzinne, starając się wywęszyć, czy nie przebywały w okolicy jakieś obce osoby, albo czy nie mają miejsca podejrzane zebrania lub inne antyrządowe poczynania. Ludność odnosiła się do nich z lekceważeniem, lecz miała się wobec nich na ostrożności. Na szczęście byli oni łaśni na wódkę i na łąpówki, i to łągodziło urzędowy system.

Byłem raz świadkiem zjawienia się ich na weselu mego wuja Konstantego Waszyńskiego w Tomicach. Gospodarz domu zaprosił ich do kuchni i przy pomocy jednego z krewnych tak ugościł, że można było ich jak kloce – po odebraniu broni i zapalek – ułożyć w stodole na słomie. Pozostali weselnicy nawet nie domyślili się najścia nieproszonych gości.

Jak mówiono, policjanci rosyjscy otrzymywali od rządu uposażenie w wysokości 15 rubli miesięcznie. Nie wystarczało ono – rzecz jasna – na utrzymanie rodziny. Toteż „dorabianie” w formie wyłudzenia od chłopów łąpówek było dla nich obiektywną koniecznością. Mój Ojciec opłacał się obu tzw. pospolicie „stupajkom” w ten sposób, że zabezpieczał i dostarczał im co roku ziemniaków z określonej ilości redlin, wóz słomy i wóz koniczyny dla krów. Za tę cenę mieliśmy z ich strony względny spokój.

Urząd gminy Szymanowice mieścił się aż do 1914 r. we wsi Wierzchy, położonej o 4 km na wschód od Szymanowic i granicy. Panem urzędu gminnego za czasów rosyj-

skich był pisarz gminny. Był nim z reguły Polak znający dobrze język rosyjski. Przez ręce pisarza przechodziła cała korespondencja urzędowa, jemu podlegała cała kancelaria, on – a nie mało znaczący wójt-gospodarz – był mężem zaufania naczelnika powiatu.

Stanowisko pisarza gminnego było wysoce dochodowe. Jego urzędowa pensja była wprawdzie umiarkowana, ale za to „lewe” dochody, w postaci różnego rodzaju zwyczajowo usankcjonowanych opłat, były bardzo pokaźne.

Pisarz gminny w warunkach wysokiego procentu analfabetów oraz braku znajomości urzędowego języka rosyjskiego, decydował w praktyce o obciążeniach podatkowych mieszkańców i ich obowiązkach szarwarkowych<sup>9)</sup>. Od niego zależało wystawianie różnego rodzaju zaświadczeń i innych potrzebnych dokumentów urzędowych.

W gminie Szymanowice szczególne znaczenie miały dokumenty upoważniające do przekraczania granicy w małym ruchu granicznym. Na podstawie takich uproszczonych dokumentów ludność zamieszkała w gminach pogranicznych nie tylko mogła się udawać, celem poczynienia zakupów, do najbliższych miast położonych w Poznańskim, jak Żerków, Jarocin, Pleszew, ale faktycznie udawała się również na sezonowe prace do różnych miejscowości w Niemczech, a nawet do Ameryki. Mieszkańcy gmin położonych wewnątrz kraju musieli w tym celu uzyskiwać znacznie trudniej dostępne paszporty. Stąd też, całymi gromadami przybywali oni do urzędu gminnego w Szymanowicach wiedząc, że za określoną opłatą będą tu mogli uzyskać przepustki graniczne, z których będzie wynikało, że są stałymi mieszkańcami gminy. Naturalnie dochody za wystawianie takich „lewych” dokumentów wpływały do kieszeni pisarza gminnego.

Takim pisarzem gminnym pogranicznych gmin Szymanowice i Dłusk był Stanisław Kruszyński, który w 1908 lub 1909 r. był w stanie nabyć 10-włókowy (150 ha) ośrodek majątku Szymanowice. Wkrótce po wybuchu I wojny światowej, za zgodą niemieckich władz okupacyjnych, objął w charakterze wójta zarząd spraw gminy, przeniósł urząd gminny z Wierzychów do Szymanowic, powołując do prowadzenia bieżących spraw posłusznego sobie pisarza w osobie syna miejscowego organisty Chojnackiego.

Z władzami powiatowymi w Słupcy ludność wiejska nie miała w zasadzie bezpośredniego kontaktu. W Słupcy odbywał się doroczny pobór do wojska. Ani mój dziadek, ani Ojciec, ani żaden z jego braci w wojsku rosyjskim nie służyli. Z opowiadania babki wiem, jak załatwiała się sprawę zwolnień. Kiedy zbliżał się termin poboru poszczególnego syna, babka udawała się z nim do Słupcy, do lekarza powiatowego, będącego najbardziej miarodajnym członkiem komisji poborowej i wręczała mu 300 rubli, stanowiących wówczas równowartość około 300 dolarów w złocie. Za tę kwotę u kandydata stwierdzano odpowiednią chorobę i zarządzano krótki, jedno- lub dwurazowy pobyt w szpitalu. Na tej podstawie ustalano w dniu poboru niezdolność do służby wojskowej. Przypuszczam, że podobnie czynili i inni, jeżeli było ich na to stać.

W Słupcy znajdował się także oddział Zakładu Ubezpieczeń, będącego poprzednikiem dzisiejszego PZU. Kierownik tego Zakładu objeżdżał wszystkie wsie stwierdzając, czy zgłoszone są wszystkie budynki objęte obowiązkiem ubezpieczenia. Ustalał on jednocześnie prawidłowość deklarowanej wartości budynków i ewentualnie wprowadzał odpowiednie poprawki. W razie pożaru ustalał wysokość odszkodowania. Jako mały chłopiec byłem obecny w czasie wizyty takiego umundurowanego przedstawiciela „fajerkasy”. Widziałem, jak wyniośle odnosił się do chłopów, przemawiając do nich po

<sup>9)</sup> Szarwark (*niem.* das Scharwerk) – obowiązkowe roboty publiczne przy naprawie i utrzymaniu dróg bitych.

rosyjsku, choć wiedzieliśmy, że był Polakiem, jak przyjmował od nich łapówki. Ojciec był właśnie bez gotówki. Chcąc pozbyć się natręta – posłał mnie po 3 ruble do ciotki Balbiny.

Fatalnie przedstawiał się w naszych stronach stan oświaty. W Królestwie, jak i w całym ówczesnym imperium rosyjskim, nieznanym był przymus szkolny. Znakomita większość starszej generacji na wsi nie umiała ani pisać, ani czytać. O oświatę nie dbał rosyjski rząd zaborczy. Przez długi czas nie rozumiała potrzeby oświaty zacofana wieś polska. Toteż nawet tam, gdzie istniały na wsi szkoły elementarne, rodzice nie dbali o to, aby posyłać do nich swe dzieci.

Naturalnie z brakiem podstawowego wykształcenia łączył się zacofany sposób gospodarowania oraz niemożliwość przygotowania dzieci do zawodów pozarolniczych. Dopiero po rewolucji z 1905 r., której słabe echa dotarły również do naszego zakątka, zaznaczyło się znaczne ożywienie społeczne i większe zainteresowanie sprawami oświaty.

W gminie naszej istniały utworzone jeszcze w XIX w. trzy szkoły elementarne we wsiach Wierzchy, Wronów i Szymanowice. Znajdowały się tam osobne budynki szkolne, w których mieściło się też skromne mieszkanie dla nauczyciela. W Szymanowicach, przy okazji parcelacji, wydzielony został dla nauczyciela pewien obszar gruntu.

Szkoły elementarne utrzymywane były z funduszków gminnych. Fundusze te starczyły zaledwie na skromne uposażenie w każdej szkole tylko jednego nauczyciela. Nauka odbywała się w jednej izbie szkolnej, w której znajdowali się równocześnie uczniowie początkujący i zaawansowani. Teoretycznie szkoły miały być czteroklasowe. Faktycznie większość dzieci po ukończeniu pierwszej i drugiej klasy rezygnowała z dalszej nauki. Winę ponosili rodzice, a niejednokrotnie i nauczyciele, nie zawsze posiadający dostateczne przygotowanie do prowadzenia lekcji w wyższych klasach i nie zainteresowani obciążaniem się zwiększonym zakresem obowiązków.

Nauczycielami szkół elementarnych na wsi byli z reguły Polacy. Tak było w naszej gminie. Jednak pamiętam, że w sąsiedniej wsi Lisewo, należącej do gminy Dłusk, nauczycielką była Rosjanka, nałogowa alkoholiczka, która w czasie lekcji posyłała dzieci po wódkę do sklepu monopolowego w Tomicach.

Do szkoły w Szymanowicach zacząłem uczęszczać dopiero od jesieni 1912 r., mając już osiem i pół lat. Opóźnienie wynikało z tej przyczyny, że w roku szkolnym 1911/12 szkoła nasza pozbawiona była nauczyciela. Dopiero w 1912 r. zjawił się w Szymanowicach nowy kierownik w osobie pana Tomasza Sobolewskiego. Był to znakomity nabytek. Młody, energiczny, inteligentny – od pierwszej chwili dobrze pokierował szkołą i zdobył sobie zaufanie mieszkańców.

Dla odrobienia opóźnienia pobierałem początkowo u niego lekcje prywatne, aby móc w ciągu roku 1912/13 przerobić materiał klasy I i II. Udało mi się to bez trudności. Umiejętność czytania, pisanie i rachunków opanowałem bardzo szybko. Już w ciągu roku Ojciec lubił popisywać się moimi osiągnięciami w tym zakresie.

Nie przypominam sobie, czy języka rosyjskiego, geografii i historii (w języku rosyjskim!) zaczęliśmy się uczyć już w klasie drugiej, czy też dopiero w następnej. Faktem jest, że kiedy na wiosnę 1914 r. wizytował naszą szkołę rosyjski inspektor szkolny z Kalisza, ja zostałem wytypowany do zgłaszania się do odpowiedzi na jego ewentualne pytania. Pamiętam do dziś, że zapytany zostałem o tytuły przysługujące carowi oraz o początki księstwa kijowskiego. Odpowiedziałem dość płynnie i obszernie – zapewne z błędami językowymi – ale po rosyjsku. Odpowiedź musiała zadowolić inspektora,

gdyż po kilku tygodniach nadeszła od niego pod moim adresem paczka z zeszytami, piórnikiem, kredkami itp. jako specjalne wyróżnienie. Zeszyty na wewnętrznej okładce zaopatrzone były w portrety Najjaśniejszego Pana i Najjaśniejszej Pani, takie same jakie wisiały w naszej izbie szkolnej.

Pan Sobolewski musiał, rzecz jasna, stosować się formalnie do zarządzeń rosyjskich władz szkolnych. W rzeczy samej był to szczerzy patriota wychowujący nas w duchu polskim. Dowodzi tego dobór czytanek, które dla nas sprowadzał, ogólne zaznajamianie z historią Polski, a zwłaszcza z historią rozbiorów. Pewnego dnia opowiedział nam o Kościuszcze, a następnie zarządził, aby – z zachowaniem tajemnicy – wszystkie dzieci wzięły nazajutrz udział w nabożeństwie organizowanym z okazji rocznicy bitwy pod Raclawicami.

Toteż osobę mojego pierwszego nauczyciela zachowałem we wdzięcznej pamięci, choć utraciłem z nim kontakt już w 1915 r. Słyszałem, że jest kierownikiem szkoły w Łądku pod Słupcą. Tak się złożyło, że kiedy w latach 1945–1948 sprawowałem funkcję rektora Akademii Handlowej w Poznaniu, jedną z naszych studentek była córka pana Tomasza. Jego samego miałem przyjemność spotkać i gościć u siebie w 1948 r., kiedy to zetknąłem się z nim przy okazji Zjazdu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Poznaniu.

Poza wymienionymi trzema szkołami polskimi, na terenie gminy istniała osobna szkoła dla dzieci kilkudziesięciu osiadłych tu na przełomie XVIII/XIX w. kolonistów niemieckich wyznania protestanckiego. Szkoła znajdowała się na tzw. Olędrach w pobliżu wsi Wierzchy. Widziałem budynek tej szkoły. Utrzymany był wraz z otoczeniem we wzorowym porządku. Nie wiem, czy była to szkoła „rządowa”, czy też utrzymywana przez jakąś organizację niemiecką. Niewątpliwie była subwencjonowana z zewnątrz. Budynek szkolny służył równocześnie jako dom modlitwy. Nauczyciel był równocześnie kantorem. Najbliższy parafialny kościół protestancki – chyba jeden na kilka powiatów – znajdował się w Koninie.

W domu naszym była często mowa o tym, że koloniści niemieccy dbają o to, aby wszystkie dzieci uczęszczały do szkoły przynajmniej przez cztery lata. Wśród części polskiej ludności wiejskiej tego poczucia nie było. Wiem, że szereg dzieci z mojej wsi w ogóle szkoły nie oglądało. Na szczęście moi rodzice tego obowiązku nie zaniedbali.

## ROZDZIAŁ II

POCZĄTEK I WOJNY ŚWIATOWEJ  
I OKUPACJI NIEMIECKIEJ

Był ciepły słoneczny dzień sierpniowy. Na polach odbywały się ostatnie prace żniwne. Bydło pasło się nad Prosną szukając chłodu w cieniu rosnących tam wierzb i olszyn. Razem z innymi chłopcami z Szymanowic kąpaliśmy się w leniwie płynącej rzece. Nagle usłyszeliśmy okrzyki: „*Wajna! wajna!*” z ust żołnierza, który bez czapki pędził galopem na koniu z Czołnochowa, gdzie mieściła się siedziba pułku wojsk nadgranicznych, w kierunku Lisewa.

Wiadomość o wojnie wzbudziła we mnie rodzaj podniecającego zaciekawienia. Toteż czym prędzej pobiegłem do domu, aby podzielić się tą interesującą wiadomością. We wsi już o wybuchu wojny wiedziano.

Ludzie nie byli bynajmniej tym faktem uradowani. Rychło zrozumiałem dlaczego. Z gminy nadeszły imienne wezwania do rezerwistów. Mieli oni bezzwłocznie udać się do punktów zbornych „w kierunku Łęczycy”. Poczęto rekwirować konie, wozy i ludzi na podwozy dla rezerwistów i dla ewakuującego się pułku. Z wielką niechęcią poddawano się rekwizycji koni i wozów w zamian za urzędowe pokwitowania, mające stanowić podstawę do zapłaty odszkodowania z kas państwowych. Jakoś nikt nie wierzył, aby do tej zapłaty kiedykolwiek doszło. Znalazł się jednak jeden naiwny. Był nim gospodarz i sklepikarz z Tomic, Trojanowski. Jemu jeszcze w czasie wojny japońskiej zarekwirowano dwa konie, a następnie dobrze zapłacono. Myśląc, że tak samo będzie i tym razem, postawił dobrowolnie do dyspozycji wojsku parę koni. Pokwitowanie otrzymał, ale nadzieja na otrzymanie odszkodowania rozplynęła się wraz z caratem.

Z tej naiwności śmiano się długo w całej okolicy.

Z całego zachowania się Rosjan wynikało, że wycofują znad granicy wszystkie oddziały wojskowe. Razem z wojskiem ewakuowane być miały siły policyjne oraz wszyscy urzędnicy carscy. Oczekiwano powszechnie rychłego wkroczenia Niemców. Ci jednak, na odcinku między Pyzdrami a Kaliszem, przez dłuższy czas nie przekraczali granicy. Pozwoliło to Rosjanom na spokojne wycofanie się na odległość kilkudziesięciu kilometrów w głąb kraju.

Tymczasem w siedzibie pułku w Czołnochowie panowało zrozumiałe zdenerwowanie i zamieszanie. Oficerowie zajęci byli przede wszystkim ekspedowaniem swych rodzin, a dopiero w drugiej kolejności ewakuacją pułku. Ściągnięto do Czołnochowa wszystkie oddziały pograniczne. Ładowano na wozy sprzęt wojskowy i zapasy żywności, palono dokumenty.

Kiedy razem z innymi chłopcami obserwowałem całe to pośpieszne pakowanie się, zauważyłem mnie siedzący z matką na gotowej już do odjazdu bryczce zaprzyjaźniony ze mną syn pułkownika, Wania. Przybiegł do mnie, aby się pożegnać. Na moje pytanie, dokąd jedzie, oświadczył mi z zapalem: „na wojnę!”. Ubrany był po wojskowemu. Miał na sobie białą bluzkę puszczonej na spodnie oraz szeroki czarny pas. Trochę mu tego zazdrościłem. Ani on, ani ja nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, czym jest wojna. Uważaliśmy ją za interesującą przygodę!

Mieszkańcy Szymanowic i okolicznych wsi, skąd spędzono ich na podwozy, nie mogli również przewidzieć, czy dokonująca się na ich oczach i przy ich pomocy ewakuacja oddziałów rosyjskich ma charakter tymczasowy – jak utrzymywali oficerowie, czy też – jak się następnie okazało, oznacza początek likwidacji panowania carskiego, najpierw na terenach pogranicznych, a następnie na terenie całego zaboru rosyjskiego. Dopiero z czasem ludzie zaczęli sobie uświadamiać, że wybuch wojny i dalszy jej przebieg otwierały szanse odbudowy niepodległego państwa polskiego.

Tymczasem z niepokojem myślano o wcielanych do wojska rezerwistach, o zarekwirowanych podwodach, o służących w wojsku rosyjskim krewniakach. Wszystkim im groziły bowiem nie tylko bezpośrednie niebezpieczeństwa wojenne, ale i odcięcie od pozostałych na miejscu rodzin. Sprawy te były przedmiotem powszechnych rozmów i trosk. W naszej rodzinie, poza mieszkającym w innej gminie wujem Aleksandrem, nie powołano nikogo do wojska. Zabrano nam jednak – jako rezerwistę – stałego pracownika, Nowaczyka.

Powstałe zamieszanie i bałagan nie uszły uwadze ludności. Zauważono bardzo wcześnie rozprzęgnięcie się dotychczasowych władz. Wydane w pierwszych dniach zarządzenia nie znajdowały egzekutorów. Wezwani do wojska rezerwiści „spieszyli się powoli” obserwując, co się dzieje. Niektórzy „nie zdążyli” w ogóle zgłosić się w punkcie zbiórki. Inni rozproszyli się na pierwszym postoju i po cichu wrócili do domu. Jako jeden z pierwszych powrócił sprytniejszy od innych nasz Nowaczyk. To samo dotyczyło podwód. Toteż, o ile pamiętam, z naszej parafii czy gminy nie zdołano uchwycić ostatecznie ani jednego z rezerwistów. Nikt nie miał ochoty walczyć za carskie interesy. W wojsku rosyjskim pozostali jedynie młodzi ludzie odbywający w głębi Rosji obowiązkową służbę.

W czasie, kiedy inni z niepokojem myśleli o losie własnym i swych najbliższych oraz o grożących im stratach na skutek przeprowadzanych rekwizycji, jeden człowiek nie stracił głowy. Był nim właściciel ośrodka Szymanowice, Stanisław Kruszyński. Udał się on natychmiast do pułku w Czolnochowie i zaofiarował wzięcie do siebie na przechowanie, pozostawionego przez pułkownika i innych oficerów, mienia osobistego (mebli, urządzenia domowego, zastaw stołowych, pościeli itp.) oraz przejęcie opieki nad wszystkimi terenami wojskowymi wraz ze znajdującymi się na nich zabudowaniami i urządzeniami. Oferta ta została przyjęta. Cenne przedmioty stały się z upływem lat własnością przechowawcy. Nikt się już po nie nie zgłosił.

Budynki zostały zdewastowane przez okoliczną ludność. Pozostała po ich rozbiórce cegła służyła Kruszyńskiemu na pobudowanie sobie nowego spichrza. Sądzę, że postąpił rozsądnie.

Najbardziej na zachód wysunięte pograniczne tereny Królestwa zostały więc opuszczone przez Rosjan bez walki. Ludność z dnia na dzień oczekiwała wkroczenia oddziałów niemieckich. Nastąpiło to dopiero w kilka dni po wycofaniu się Rosjan.

Nasza okolica nie odczuła nagłego braku władzy państwowej. Pozostały władze lokalne: sołtys, wójt i sekretarz gminy oraz proboszcz. Mimo zniknięcia rosyjskich policjantów i wojska nie został zakłócony spokój, ani też nie zanotowano napadów rabunkowych. We wszystkich wsiach powstały samorzutnie straże porządkowe. Zorganizowano warty czuwające w nocy nad spokojem mieszkańców. Kończono prace żniwne, a wieczorem prowadzono przed domami niekończące się dyskusje na temat przypuszczalnego przebiegu wojny; dyskusje oparte na fantazji, gdyż cała okolica pozbawiona została jakiegokolwiek kontaktu ze światem. Nie dochodziły do nas żadne autentyczne wiadomości. Starano się interpretować w swoisty sposób różne znaki na niebie oraz ukazujące się na wschodzie rakiety świetlne itp.

Na ogół nikt nie wyrażał obawy przed Niemcami, choć zdania na ich temat były różne. Jedni, zwłaszcza ci, którzy jeździli na roboty sezonowe do Niemiec, opowiadali cuda o cechującym Niemców zamięłowaniu do porządku, o ich zamożności i gospodarności oraz sprawiedliwości. Inni byli ostrożniejsi, mówiąc „jeszcze ich poznać, tych swoich Niemców”.

Wszyscy z podziwem oglądaliśmy wspaniale prezentujące się konne oddziały zwiadowcze, gdy pojawiły się w naszej wsi. Dopiero późną jesienią 1914 r. mogliśmy w Szymanowicach obserwować większe jednostki piechoty i lekkiej artylerii ciągnące od Wrześni i Pyzdr w stronę Kalisza. Wskutek deszczów potworzyły się na naszych drogach tak wielkie błota, że pojazdy topiły się w nim po osie. Kilka samochodów, które wówczas ujrzałem po raz pierwszy, musiano wyciągać końmi. Z tych względów całą kolumnę skierowano drogą okrężną przez Czolnochów i Robaków na szosę prowadzącą w kierunku Pleszewa.

Ludzie cały ten przejazd zaczęli tłumaczyć w tym sensie, że Niemcy gromadzą się nad granicą, gdyż „Ruski ich bije”. Niektórzy przepowiadali rychły powrót Rosjan. Byli tacy, którzy z całą stanowczością określali położenie frontu na linii Konin–Rychwał. Nadzieje na powrót Rosjan zaczęły rosnać. Sympatie ludności odwróciły się stanowczo od Niemców od chwili zbombardowania i spalenia Kalisza<sup>a)</sup>. Łuny wielkich pożarów widać było dobrze w Szymanowicach mimo ponad 50-kilometrowej odległości.

Po pewnym czasie zaczęli napływać do naszej okolicy pojedynczy mieszkańcy zniszczonego miasta – Polacy i Żydzi. Ich opowiadania wywołały zgrozę i jednomyślne oburzenie. Zaczęto życzyć zwycięstwa „naszym”, tj. Rosjanom. Nasz kierownik szkoły kazał nam wprawdzie usunąć z salki portrety cara i carowej, ale z ostrożności polecił je nam w stanie nieuszkodzonym ulokować na strychu szkoły.

W związku z wkroczeniem wojsk niemieckich rozpoczął się okres okupacji, który trwał w naszej okolicy przez cały czas I wojny światowej. Mimo że ówczesna okupacja miała łagodniejszy charakter, aniżeli okupacja lat 1939–1945, to jednak ludność miast i wsi Królestwa Kongresowego odczuła ją w sposób wyjątkowo dotkliwy.

Działalność władz okupacyjnych nie była nastawiona na eksterminację ludności, ale raczej na bezwzględną eksploatację kraju. Już barbarzyńskie zniszczenie Kalisza stwarzało ciężkie problemy życiowe dla dziesiątków tysięcy jego mieszkańców, pozbawio-

<sup>a)</sup> Po zajęciu miasta, opuszczonego przez wojska rosyjskie, 4 sierpnia 1914 r. artyleria niemiecka zbombardowała Kalisz za rzekome strzały oddane przez mieszkańców do żołnierzy niemieckich.

nych w większej części dachu nad głową, pracy i środków do życia. Stanął cały przemysł okręgu łódzkiego po zdemontowaniu i wywiezieniu do Niemiec urządzeń fabrycznych. Pozbawiona warsztatów pracy ludność wywieziona została w dużej części na roboty przymusowe. Reszta rozproszyła się po prowincji szukając środków do życia.

Na rolnictwo nałożono od samego początku niezwykle uciążliwy obowiązek dostaw wszelkich produktów rolnych. Zabierano bezwzględnie niemal całe zapasy zboża, ziemniaków, zwierząt rzeźnych, drobiu i jaj, nie zapewniając rolnictwu żadnych środków produkcji. Ścisłej kontroli poddano młyny, wiatraki, zakłady rzeźnicze, kaszarnie, olejarnie, garbarnie, tartaki. Cała administracja niemiecka nastawiona była niemal wyłącznie na zdobywanie wszelakiego rodzaju kontyngentów. Pomagać jej w tym musieli polscy wójtowie, burmistrzowie, sołtysi. Na wszystkich wsiach działały specjalne komisje ustalające w sposób dowolny wysokość obowiązkowych dostaw, oznaczające poszczególne sztuki bydła, owiec i świń zakwalifikowanych do dostarczenia w punktach skupu po symbolicznych cenach, płaconych w okupacyjnej walucie – biletach markowych Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej.

Do współpracy z władzami okupacyjnymi na polu ściągania kontyngentów zgłosili się zaraz kupcy żydowscy. W naszej okolicy ogromnego majątku dorobił się znany memu Ojcu mały kupiec zbożowy, Jarecki z Pyzdr. Uzyskał on monopol na skup kontyngentów zbożowych z całego powiatu słupeckiego. Już w trzecim roku wojny był on w stanie zakupić za kilkaset tysięcy marek obligacje niemieckich pożyczek wojennych, a ponadto duży i uprzemysłowiony majątek ziemski pod Kaliszem.

Jako asystent zetknąłem się przypadkiem z jego synem, ówczesnym studentem Wydziału Prawa naszego Uniwersytetu. Przy załatwianiu jego sprawy nie zdradziłem się ani słowem, że wiedziałem o jego rodzinie więcej, niż mógł przypuszczać.

Życie gospodarcze musiało w dużej części zejść niejako do podziemia. W ukryciu trzymano konieczne zapasy ziarna, mąki i innych artykułów spożywczych. W ukryciu chowano świny i drób oraz niektóre sztuki bydła rogatego. Potajemnie mielono zboże w młynach i wiatrakach, tłoczono olej i wytwarzano kasze (jęczmienną i tatarską) oraz jagły z prosa.

Ojciec mój tuż przed wojną nabył w fabryce Wysockiego w Pleszewie śrutownik. Śrutownik ten nakazano odstawić do specjalnego punktu w Pyzdrach. Faktycznie dostarczony został do sołtysa Piechalaka, który jakoś przez całą wojnę nie miał okazji przekazania go dalej! Co wieczór śrutownik powracał na nasze podwórze, gdzie przez całe noce śrutowało się przy pomocy pary koni zaprzęzonych do kieratu zboże nasze i obce. Z otrzymanego w ten sposób produktu za pomocą odpowiednich ręcznych sit uzyskiwano niezłą mąkę do wypieku tzw. razowego chleba żytniego lub pszennego. Ograniczone ilości mąki pyłowej otrzymywaliśmy z wiatraka należącego do mego wuja Haukego z Tomic, olej lniany z tajnej olejarni wuja Ignacego Wojciechowskiego z Wronowa. Mięso mieliśmy z uboju własnego lub sąsiedzkiego. Żyjąc na wsi nie mieliśmy z wyżywieniem najgorzej. W bardzo trudnej sytuacji znajdowała się ludność robotnicza większych miast, pozbawiona dochodów i przydziałów. Toteż po wsiach krążyły całe procesje mieszkańców Kalisza i Łodzi. Rolnicy dawali im niejednokrotnie za dorazną pomoc w pracy nie pieniądze, lecz mąkę, jaja, chleb i drób. Tak obdarowani wracali do miasta.

Już od pierwszych dni wojny zabrakło w sklepach najkonieczniejszych artykułów: soli, zapalek, nafty, mydła. Ich ceny od razu wielokrotnie podskoczyły. Przez cały okres wojny nie widziałem nawozów sztucznych. Z czasem sól i zapalki zaczęły napływać.



Nafta pojawiała się tylko sporadycznie i w minimalnych ilościach. Do oświetlenia używano wobec tego oleju z umieszczonymi w nim knotkami i świec fabrykowanych w domu z topionego łoju. Tylko w nielicznych domach używano lamp spirytusowych. Z czasem coraz większego znaczenia zaczęły nabierać lampy karbidowe, stale się psujące. Powstała też domowa fabrykacja mydła, cukru z buraków cukrowych itp.

Zapasy wełny, bawełny, lnu oraz gotowych tkanin znajdujących się w składach fabrycznych oraz u hurtowników zostały zarekwirowane. Toteż ludność zdana była przez cały okres okupacji niemal wyłącznie na zapasy tekstylne znajdujące się w dość poważnych ilościach w żydowskich sklepach detalicznych.

Niemiecka gospodarka okupacyjna doprowadziła do ogromnego wyczerpania kraju. Głód i nędza najbiedniejszych klas zaznaczyła się przy końcu okupacji wzrostem epidemii tyfusu brzuszego i płamistego oraz biegunki. Na przełomie 1918/19 r. ogromna ilość ofiar śmiertelnych pochłonęła specjalnie złośliwa odmiana grypy – tzw. hiszpanka, panująca w tym czasie w całej Europie. Epidemie te – szczęśliwym trafem ominęły moją rodzinę. Zmusiły one jednak dyrekcję gimnazjum w Liskowie do czasowego zawieszenia zajęć w jesieni 1917 r.

W bardzo ciężkich warunkach znalazło się na okupowanych terenach szkolnictwo wszystkich szczebli. Likwidacji uległy państwowe gimnazja rosyjskie. W 1915 r. ewakuowane zostały do Rostowa n/Donem rosyjski Uniwersytet i Politechnika Warszawska. W pierwszych latach nie podjęły też działalności polskie prywatne szkoły średnie. Jedynie suchotniczy żywot wiodły szkoły początkowe utrzymywane z funduszków gminnych.

W pierwszych miesiącach wojny kierownik szkoły w Szymanowicach, znany pan Tomasz Sobolewski, znalazł się bez środków do życia. Rodzice zainteresowani uruchomieniem nauki szkolnej zobowiązali się wtedy płacić mu prywatnie skromne wynagrodzenie. Nie musiało mu to zabezpieczać trwałej egzystencji, gdyż w ciągu roku szkolnego opuścił Szymanowice i przeprowadził się do Łądka koło Słupcy.

Miejsce pana Sobolewskiego zajęła pani Amelia Kruszyńska, córka właściciela miejscowego ośrodka, pełniącego w okresie okupacji funkcję wójta. Spełniała ona swoje obowiązki w miarę swych możliwości sumiennie, choć przy braku podręczników i innych pomocy szkolnych nie było to zadanie łatwe.

Do szkoły w Szymanowicach uczęszczałem przez trzy lata (1912–1915). Zdobyłem tu elementarne wiadomości odpowiadające mniej więcej poziomowi trzech pierwszych klas początkowych. Wobec – na ogół – bardzo słabego zainteresowania nauką moich kolegów i koleżanek, bez specjalnego wysiłku zdobyłem sobie w szkole opinię najlepszego ucznia, któremu należało zapewnić możliwość kształcenia się na wyższym poziomie. Opinia taka bardzo cieszyła mego Ojca, który za wszelką cenę wykształcenie takie pragnął mi zapewnić. Jak można było tego dokonać na zapadłej wsi, w warunkach okupacji, kiedy w całej ówczesnej guberni kaliskiej nie funkcjonowała żadna szkoła średnia? Szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało się pp. Kruszyńskim sprowadzić w 1915 r. do Szymanowic korepetytora dla syna Witolda, przedwojennego gimnazjalisty. Był nim pan Stefan Kurnatowski, syn robotnika łódzkiego, student politechniki w Charkowie. Odcięty linią frontu od swej uczelni macierzystej i nie mając widoków na uzyskanie zatrudnienia w Łodzi, zdecydował się na przeniesienie na wieś. Tu znalazł u pp. Kruszyńskich dobre utrzymanie i skromne wynagrodzenie. Pozostał też w Szymanowicach do końca wojny. Nie wiem, jakie były jego dalsze losy w okresie międzywojennym. Niewątpliwie ukończył studia techniczne.

Otóż z chwilą przyjazdu pana Kurnatowskiego stał się on również moim nauczycielem. Za umówioną zapłatą poświęcał mi codziennie dwie godziny i przerabiał ze mną materiał według programu stosowanego przed wojną w I klasie polskich średnich szkół handlowych. Od swych znajomych z Kalisza Ojciec uzyskał komplet starych podręczników w języku polskim i częściowo rosyjskim (np. doskonały podręcznik matematyki). Pamiętam, że poza polskim, historią, geografią i rachunkami, kontynuowałem naukę języka rosyjskiego i rozpocząłem uczyć się języka niemieckiego. Pan Kurnatowski był poważnym i inteligentnym młodym człowiekiem. Sumiennie spełniał obowiązki nauczycielskie, egzekwując konsekwentnie zadany mi materiał. Nauka przychodziła mi łatwo. Zaraziłem się wówczas bakcyłem lektury. Pochłaniałem dziesiątki tomów: powieści, dzieł historycznych, wierszy. Ponieważ za dnia pomagać musiałem w gospodarstwie, nad interesującymi mnie książkami spędzałem wiele godzin nocnych. Rodzice zakazywali mi tego z uwagi na brak potrzebnego światła i z obawy, abym nie zapadł na zdrowiu.

Przerabiany z panem Kurnatowskim materiał i lektury rozszerzyły mój horyzont myślowy. Nauka sprawiała mi przyjemność. Chciałem coraz więcej umieć i wiedzieć. Celem mego prywatnego uczenia się było przygotowanie do szkoły średniej. Nikt nie wiedział kiedy i gdzie będę mógł do takiej szkoły wstąpić. Kurs I klasy został przerobiony do końca czerwca 1916 r. Po wakacjach zacząć się miało dalsze prywatne przerabianie materiału przewidzianego dla klasy II.

## ROZDZIAŁ III

## POBYT W LISKOWIE

Tymczasem w końcu sierpnia 1916 r. Ojciec mój dowiedział się przypadkowo od wuja Władysława Wojciechowskiego z Rudy Wieczyńskiej, że z początkiem września uruchomione mają być we wsi Lisków dwie pierwsze klasy gimnazjalne, i że egzaminy wstępne odbyć się mają w poniedziałek 2 września. Na egzamin ten wybierają się Józef Wojciechowski z Wronowa z synem Mieczysławem i Władysław Wojciechowski z synem Janem. Obydwaj przygotowawali się do nauki gimnazjalnej prywatnie pod kierunkiem kierowniczkii szkoły podstawowej we Wronowie. Wiadomość o uruchomieniu gimnazjum w Liskowie zainteresowała bardzo mego Ojca. Nazwa Lisków, wsi położonej wówczas w powiecie tureckim (dziś kaliskim), a odległej od Szymanowic około 65 kilometrów drogą polną przez Chocz, Zbiersk, Morawin, nie była Ojcu obca. Dochodziły bowiem do nas echa ożywionej działalności społecznej księdza Blizińskiego.

Po naradzie z p. Kurnatowskim postanowiono, że i ja przystąpię do egzaminu wstępnego, kandydując, podobnie jak Jan i Mieczysław Wojciechowscy, do klasy II. W razie pomyślnego wyniku egzaminu pozostanę już w Liskowie. Przez cały tydzień trwały w domu gorączkowe przygotowania. Sprawiono mi nowe ubranie i buty, zaopatrzone w osobistą bieliznę i pościel. Poruszony był cały dom. Bardzo przejęty całą sprawą był 88-letni dziadek. Żał mu było, że mam wyjechać z domu, i że nie będzie miał wiernego towarzysza do pogawędek i spacerów. Obawiał się, abym przebywając poza domem, nie wkroczył na złe drogi. Szczególnie niepokoiło go, bym przez zbytne przejście się nauką nie nadwreżył zdrowia. Toteż w poufnej ze mną rozmowie zalecał mi, abym się w nowej szkole nie przemęczał. Gdyby mi nauka miała iść zbyt trudno, doradzał mi bezzwłoczny powrót do domu. Wskazywał na zgubne skutki takiego przemęczenia się, przytaczając jako przykład jakiegoś dalszego krewniaka, który rzekomo od zbytowego wysiłku umysłowego w seminarium duchownym nabawił się pomieszania zmysłów. Przyrzekłem dziadkowi, że przemęczać się nie będę, a z nauką dam sobie radę.

Nieoczekiwaną sposobność dostania się do gimnazjum powitałem z wielką radością. Byłem cały podniecony samymi przygotowaniem do wyjazdu. Mniej myślałem o oczekującym mnie egzaminie. Nie miałem pojęcia ani o przedmiotach egzaminu, ani o zakresie wymagań. Nie wiedziałem też, czy wiadomości nabyte w czasie lekcji odbywanych z p. Kurnatowskim okażą się użyteczne i wystarczające. Wydawało mi się jednak pewnym, że egzamin złożę pomyślnie, i że wyjeżdżając z Szymanowic już do nich na stałe nie powrócę. Cieszyłem się z tego, gdyż pragnąłem poznać nowe strony, nowych ludzi, nowe warunki nauki. Zdawałem sobie dość wyraźnie sprawę, że na miejscu – poza przygotowaniem do gimnazjum – niczego więcej nie zdobędę.

Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu. Była słoneczna niedziela, 1 września 1916 r. Wujowie Wojciechowscy z Mietkiem i Jankiem, i mój Ojciec ze mną, wyruszyliśmy wcz-

sny rankiem dwiema bryczkami przez Chocz i Stawiszyn. Droga była przeważnie piaszczysta, w dużej części prowadziła przez lasy. Z uwagi na upał poruszaliśmy się względnie powoli, odpoczywając i popasując. W lesie spotykaliśmy ogromne ilości dojrzałych jeżyn. My, chłopcy, objadaliśmy się nimi, a przy sposobności omawialiśmy z troską czekający nas nazajutrz egzamin. Obaj Wojciechowscy napędzili mi przy tym niemało strachu, zadając mi różne pytania, na które nie umiałem odpowiedzieć. Straciłem pewność siebie. Wydawało mi się, że moje przygotowanie jest niedostateczne, że wiem znacznie mniej niż moi kuzynowie. Nie zdradzałem się ze swymi myślami. Prześladowały mnie one przez cały dzień. Nawet w nocy miałem niespokojny sen. Przed oczyma stanęło mi widmo czekającej mnie kompromitacji i niepysznego powrotu do domu.

Pod wieczór dotarliśmy do celu, tj. do pp. Jaworowiczów w Młyniskach<sup>a)</sup>, oddalonych o 3–4 km od Liskowa. Byli to krewni Wojciechowskich. Posiadali tam dobrze zorganizowane gospodarstwo rolne i rybne (hodowla karp). Ich syn Aleksander, dwa lata starszy od nas, miał również składać egzamin wstępny.

Przyjęci zostaliśmy gościnnie. Uzyskaliśmy też wstępne informacje o terminie i miejscu egzaminu. Po prowizorycznym zorganizowaniu noclegu udaliśmy się następnego dnia we wczesnych godzinach rannych do Liskowa, gdzie po załatwieniu wstępnych formalności odbyły się bezpośrednio egzaminy pisemny i ustny, oddzielnie dla kandydatów do klasy II oraz oddzielnie dla kandydatów do klasy I.

Nasza cała czwórka: Aleksander Jaworowicz, Jan i Mieczysław Wojciechowscy oraz ja, kandydowała do klasy II. Wynik egzaminów był taki, że wraz z Aleksandrem Jaworowiczem przyjęty zostałem do klasy II, a obaj Wojciechowscy do klasy I. Tym samym przekroczyłem w życiu pierwszy – jak się mi wydaje – najważniejszy próg na mojej dalszej drodze życiowej. Zostało uzgodnione, że zarówno Wojciechowscy, jak i ja, będziemy mieszkać za określoną zapłatą u pp. Jaworowiczów. Trafiliśmy doskonale. Najpierw tworzyliśmy razem z Aleksandrem zwartą, zaprzyjaźnioną grupę, wzajemnie na siebie oddziaływującą w kierunku uzyskiwania dobrych wyników w nauce. W domu pp. Jaworowiczów byliśmy otoczeni opieką i życzliwością. Traktowani byliśmy jako członkowie rodziny. Mieliśmy do dyspozycji duży, jasny i ciepły pokój. Byliśmy wreszcie możliwie dobrze odżywiani, co w ówczesnych okupacyjnych czasach nie było bez znaczenia. Wprawdzie byliśmy zmuszeni przechodzić codziennie ponad 3-kilometrową drogę tam i z powrotem, lecz nasza zgrana paczka nie odczuwała tego zbyt przykro. W porównaniu z tymi, którzy znaleźli kwatery prywatne w samym Liskowie, uważaliśmy, że mamy warunki nieporównanie lepsze.

Pobył u pp. Jaworowiczów trwał przez dwa lata szkolne 1916/17 i 1917/18, w ciągu których ukończyłem II i III klasę.

Latem 1918 r. Ojciec mój sprzedał swe gospodarstwo w Szymanowicach i nabył 30-hektarowy ośrodek<sup>b)</sup> w Koźlątkowie, miejscowości należącej do parafii Lisków. Mogłem więc już od wakacji uczęszczać do szkoły wprost z domu. Odległość ponad 4 km miedziami polnymi pokonywałem dość dzielnie bez względu na deszcz, śnieg, mróz czy błoto. Chociaż z Koźlątkowa do Liskowa uczęszczał jeszcze jeden chłopiec, Janek Ignasiak, będący o dwie klasy ode mnie niżej, to jednak z uwagi na inny rozkład lekcji drogę do szkoły i z powrotem przebywałem z reguły samotnie w tempie truchcika.

<sup>a)</sup> Chodzi zapewne o wieś Młynisko k. Kalisza.

<sup>b)</sup> Ośrodek – tu: potoczna nazwa resztówki rozparcelowanego majątku ziemskiego.

Pamiętam, że pewnego dnia z powodu wielkiej zawiei śnieżnej wpadłem do klasy już po wejściu profesora matematyki, p. Bogusławskiego. Cała klasa stojąc odmawiała modlitwę. Stałem przy drzwiach spocony i ośnieżony. Profesor odwrócił się do mnie i głosem pełnym nagany powiedział: „No, siadaj, Górski. Ty mi się ciągle i ciągle spóźniasz”. Uwagę tę odczułem bardzo boleśnie, gdyż ani przedtem, ani potem – przez cały okres gimnazjalny – nigdy się nie spóźniłem! Profesor najwidoczniej się pomylił. Poza tym nie uwzględnił tej okoliczności, że aby przybyć przed godziną ósmą do szkoły, musiałem przez około półtorej godziny pokonywać sięgające do pasa zasy śnieżne. Niesprawiedliwą uwagę profesora przyjąłem bez słowa. Byłem zbyt ambitny, aby się usprawiedliwiać.

Inicjatorem i organizatorem gimnazjum w Liskowie był tamtejszy proboszcz, ksiądz kanonik Wacław Bliziński.

Z początkiem bieżącego stulecia Lisków był jedną z zacofanych wsi parafialnych, przynależną wówczas pod względem administracyjnym do gminy Strzałków w powiecie tureckim. W okresie międzywojennym przyłączono Lisków do powiatu kaliskiego. Tu też mieści się obecnie siedziba Urzędu Gminnego.

Już przed I wojną światową zaczęło być o Liskowie coraz głośniej. Łączyło się to z wynikami niezwykle ofiarnej i owocnej działalności nowego proboszcza. Kiedy obejmował rządy parafii miał 30 lat. Urodzony w Warszawie, nie miał dotąd ze środowiskiem wiejskim żadnej łączności. Mimo to, znalazłszy się w Liskowie, rychło zrozumiał, że przełamanie panującej tu martwoty kulturalnej i gospodarczej wymagać będzie podjęcia wysiłków przekraczających wielokrotnie normalne obowiązki duszpasterskie. Zadania tego się nie uląkł. Pasją jego życia stało się uczynienie z Liskowa wzorowej wsi polskiej. Idei tej poświęcił na przestrzeni 40 lat całą swą energię, inicjatywę, talent organizacyjny.

Z jego inicjatywy, tuż przed I wojną światową, powołane zostały do życia: bank spółdzielczy, spółdzielczy sklep spożywczy, spółdzielnia mleczarska, wzniesiono okazały budynek przeznaczony dla chłopskiej szkoły rolniczej oraz piękny Dom Ludowy, w którym koncentrowało się całe życie organizacyjne i odbywały się różne uroczystości. Naprzeciwko Domu Ludowego, już w czasie wojny, wzniesiony został pomnik Tadeusza Kościuszki. Staraniem księdza Blizińskiego wieś Lisków została wybrukowana i uzyskała światło elektryczne. Połączenie z linią kolejową Kalisz – Łódź (stacja Opatówek) oraz z Kaliszem utrzymywane było przy pomocy konnego omnibusu.

Przez długi czas ludność Liskowa i okolicy odnosiła się do wszystkich poczynań swego proboszcza raczej biernie. Tylko niewielu parafian włączyło się czynnie do podejmowanych inicjatyw. Księdzu Blizińskiemu udało się wychować do moich czasów tylko dwóch aktywnych działaczy spółdzielczych i społecznych spośród ludności miejscowej. Byli to bracia Szewczykowie, z których jeden pełnił funkcje dyrektora Banku Spółdzielczego, drugi zaś kierował innymi jednostkami spółdzielczymi. Wszyscy inni pomocnicy – to element napływowy.

Aż do końca 1919 r. mieszkańcy Liskowa i okolicy – poza inteligencją – nie objawiali też większego zainteresowania oświatą ogólną ani zawodową. Zadowalała ich już szkoła podstawowa. Dowodzi tego choćby fakt, że na kursy rolnicze zgłaszało się znacznie więcej kandydatów z innych, nawet odległych okolic, aniżeli kandydatów miejscowych. Jeszcze więcej zaznaczyło się to w związku z powołaniem w 1916 r. gimnazjum, do którego zgłosiła się tylko nieliczna grupa synów chłopskich z okolicy Liskowa.

Motywy, jakimi kierował się wówczas ksiądz Bliziński, były jasne. Na skutek wojny i okupacji, a ponadto na skutek barbarzyńskiego zniszczenia przez Niemców Kalisza, młodzież polska całej guberni kaliskiej pozbawiona była możliwości kształcenia się w zakresie szkoły średniej. Rodziny ziemiańskie i górna warstwa mieszczaństwa starały się temu zaradzić poprzez przyjmowanie do swych domów nauczycieli prywatnych przerabiających ze swymi uczniami materiał objęty programem szkół średnich. Dla znakomitej większości ludności polskiej ten sposób zdobywania wykształcenia był niedostępny. Chodziło więc o to, aby umożliwić kształcenie się – mimo trudności okupacyjnych – jak najszerszym kołom młodzieży, a zwłaszcza młodzieży wiejskiej.

Ksiądz Bliziński miał też niewątpliwie na uwadze podniesienie rangi samego Liskowa. Napływ kilkudziesięciu, a z czasem około 200 uczniów do Liskowa oraz osiedlenie się tam kilkunastu profesorów ożywiały tę miejscowość oraz wywierały niewątpliwie wpływ na dokonujące się powoli przemiany w świadomości samych liskowian.

Charakter prawny gimnazjum był nieokreślony. Niewątpliwie nie była to szkoła państwowa ani gminna. Jeżeli zaś zaliczyć ją do szkół prywatnych – to trudno mi dać dziś odpowiedź, kto był jej gospodarzem. Macierz Szkolna? Ksiądz Bliziński? Nie interesowaliśmy się tym w ogóle, wiedzieliśmy tylko, że obowiązywała nas opłata miesięczna. Przez przypadek jedynie uświadomiliśmy sobie, że powołanie do życia gimnazjum nie miało aprobaty władz okupacyjnych.

W pierwszych dniach listopada 1916 r. przyjechał do Liskowa niemiecki inspektor szkolny z Kalisza. Nauczyciele kazali nam pochować podręczniki do łaciny i francuskiego. Inspektorowi, grubemu Niemcowi w mundurze, przedstawiono nas jako wyższe klasy szkoły podstawowej. Ksiądz Bliziński oprowadzał go osobiście po szkole i wsi. Inspektor znał trochę język polski. Gdy wszedł do naszej klasy powiedział: „Dzień dobry! Czy wiecie, że umarł wielki poeta polski?” Odpowiedzieliśmy – „Wiemy!” „Jak się nazywał?” – „Henryk Sienkiewicz!” „A gdzie umarł?” – „W Vevey!” „A gdzie będzie pochowany?” – Nie wiedzieliśmy. Powiedział wtedy: „Tymczasem w Szwajcarii, ale później pewnie w Krakowie”<sup>c)</sup>.

Nie wiem jak następnie sprawy formalne szkoły zostały załatwione. Dostyc, że do końca okupacji podobnych inspekcji nie mieliśmy.

Trudno mi też powiedzieć, na jakiej podstawie oparty był realizowany przez szkołę program nauczania.

Za czasów rosyjskich pełne uprawnienia dawało jedynie ukończenie państwowych gimnazjów rosyjskich. Nie dawały tych uprawnień prowadzone na poziomie średnim, licencjonowane przez władze rosyjskie, polskie szkoły prywatne różnych typów: pensje dla dziewcząt, szkoły czy kursy handlowe organizowane przez Stowarzyszenie Kupców, szkoły organizowane przez Polską Macierz Szkolną. Rzecz jasna, że we wszystkich tych szkołach obowiązkowym przedmiotem był język rosyjski i historia wykładana w języku rosyjskim.

Wydaje mi się, że kierownictwo naszego gimnazjum przerabianego programu z nikim nie uzgadniało. Opierał się on niewątpliwie na wzorach wyrobionych w okresie przedwojennym w polskim humanistycznym szkolnictwie średnim b. zaboru rosyjskiego. Program ten od samego początku zakładał, że panowanie rosyjskie na terenie ziem polskich raz na zawsze się skończyło, a okupacja niemiecka ustanie z chwilą zakończe-

<sup>c)</sup> Henryk Sienkiewicz zmarł 15 listopada 1916 r. i został pochowany w Vevey; pochowany ponownie 27 października 1924 r. w katedrze św. Jana w Warszawie.

nia wojny. Wychowywani więc byliśmy tak, jak wychowuje się młodzież do życia i pracy we własnym, niepodległym państwie polskim.

Skład grona profesorskiego i skład uczniów był czysto polski. Byliśmy więc śmiało i otwarcie wychowywani w duchu patriotycznym i w idei rychłej odbudowy niepodległości. Mimo naszego młodego wieku interesowaliśmy się żywo przebiegiem wojny i jej przypuszczalnym wynikiem. Prowadziliśmy też między sobą i z naszymi profesorami żywe dyskusje na temat idei Legionów Józefa Piłsudskiego, aktu dwóch cesarzy z 5 listopada 1916 r.<sup>d)</sup>, rewolucji rosyjskiej, stanowiska, jakie społeczeństwo polskie powinno zająć wobec formujących się już pod władzą okupacyjną zrębów polskiej organizacji państwowej, takich jak Tymczasowa Rada Stanu<sup>e)</sup>, Rada Regencyjna<sup>f)</sup>, ministerstwa.

Zarysował się wśród nas podział na „aktywistów”<sup>g)</sup> uważających, że należy krok po kroku, konsekwentnie i bezzwłocznie przejmować w swoje ręce wszelkie koncedowane przez okupanta atrybuty władzy, i na „pasywistów”<sup>h)</sup>, zalecających oczekiwanie na ostateczną klęskę państw centralnych, aby uzyskać niepodległość z rąk zwycięskiej koalicji.

Nie ulegało dla nas wątpliwości, że wszystkie państwa zaborcze wojnę przegrają, i że nie one będą już kształtowały losy naszego narodu. Polacy nie powinni się już wiązać z żadnym z nich. Toteż, chcący pozyskać dla siebie społeczeństwo polskie „Manifest dwóch cesarzy”, zapowiadający odbudowę kadłubowego państwa polskiego, po wyjaśnieniu nam istoty rzeczy przez naszych profesorów, przyjęliśmy – podobnie jak całe społeczeństwo – sceptycznie i drwiąco. Na warunki traktatu brzeskiego<sup>i)</sup> cała nasza szkoła zareagowała strajkiem.

Program wychowawczy gimnazjum opierał się na zasadzie współdziałania domu rodzicielskiego, szkoły i Kościoła. Ta sama zasada obowiązywała zresztą w szkolnictwie podstawowym i średnim również w okresie międzywojennym, a nawet w pierwszych latach po II wojnie światowej w Polsce Ludowej, aż do czasu laicyzacji całego szkolnictwa.

Należy zaznaczyć, że taki kierunek wychowawczy odpowiadał ukształtowanym na wielowiekowej tradycji poglądom naszych rodziców i społeczeństwa. Mógł on być bez trudności realizowany w szkole prywatnej, jaką było gimnazjum liskowskie o jednoli-

d) Akt 5 listopada – manifest wydany 5 listopada 1916 r. w imieniu cesarzy Niemiec i Austro-Węgier, proklamujący powstanie państwa polskiego o bliżej niesprecyzowanych granicach i podporządkowanego politycznie państwom centralnym. Głównym celem ogłoszenia aktu było zjednanie społeczeństwa polskiego i pozyskanie rekruta do dalszej wojny z Rosją.

e) Tymczasowa Rada Stanu – namiastka przedstawicielstwa polskiego, powołana do życia 6 grudnia 1916 r. przez generałów-gubernatorów niemieckiego i austriackiego z siedzibą w Warszawie, ograniczona do roli opiniotwórczej. Po aresztowaniu jednego z jej członków, J. Piłsudskiego i kryzysie przysięgowym w Legionach Polskich ustąpiła 26 sierpnia 1917 r.

f) Rada Regencyjna, formalnie najwyższa tymczasowa władza w Królestwie Polskim, utworzona we wrześniu 1917 r. przez Niemcy i Austro-Węgry, miała pełnić funkcje państwowe do powołania króla lub regenta; w jej skład wchodził: abp Aleksander Kakowski, ks. Zdzisław Lubomirski i hr. Józef Ostrowski; 7 października 1918 r. proklamowała niepodległość Polski, w listopadzie 1918 r. przekazała władzę J. Piłsudskiemu.

g) Aktywiści – nurt polityczny na ziemiach polskich w okresie I wojny światowej, skupiający zwolenników współpracy z państwami centralnymi, dla której główną podstawę stwarzał akt 5 listopada 1916 r.

h) Pasywiści – prorosyjska orientacja polityczna w Królestwie Polskim podczas I wojny światowej; zwolennicy tego nurtu zajmowali bierną postawę wobec prób wciągnięcia społeczeństwa polskiego do współpracy z okupacyjnymi władzami niemieckimi i austriackimi.

i) Traktat brzeski zawarty 3 marca 1918 r. w Brześciu Litewskim przez rząd bolszewicki w imieniu Rosji z państwami centralnymi i ich sojusznikami (Bułgarią i Turcją); oznaczał zerwanie przez Rosję sojuszu z ententą. Oburzenie społeczeństwa polskiego wywołało przyłączenie ziemi chełmskiej do Ukrainy.

tym składzie narodowym i wyznaniowym zarówno uczniów, jak i nauczycieli. W skrócie chodziło o to, abyśmy byli wychowani na porządnym ludzi, światłych Polaków i dobrych katolików.

W ówczesnym systemie nauka religii była dla uczniów-katolików obowiązkowym przedmiotem nauczania we wszystkich klasach (Stary i Nowy Testament, liturgia, dogmatyka, apologetyka, historia Kościoła). Wszystkich uczniów-katolików obowiązywały praktyki religijne, jak uczestnictwo w niedzielnej szkolnej mszy św., w rekolekcjach, spowiedzi i komunii św. Księża prefekci mieli poważny wpływ na ocenę z zachowania się uczniów. Ponadto, mogli niekiedy usiłować wpływać na to, aby inni członkowie grona nauczycielskiego nie wypowiadali się w czasie lekcji w sensie niezgodnym z zasadami głoszonymi na lekcjach religii.

Rzecz jasna, że z wyjątkiem szkół prywatnych prowadzonych przez żeńskie lub męskie klasztory zakonne, które przyjmowały tylko uczniów względnie uczennice wyznania katolickiego, we wszystkich innych szkołach uczniów innych wyznań (protestantów, prawosławnych, Żydów, mahometan i innych) ani nauka religii katolickiej, ani wypełnianie katolickich praktyk religijnych nie obowiązywało. Nauka ich religii odbywała się poza szkołą w ich świątyniach (zborach ewangelickich, cerkwiach, bóżnicach, meczetach itp.). Poza tym, w okresie międzywojennym na terenach zamieszkałych przez mniejszości narodowe prowadzone były państwowe szkoły podstawowe, a nawet średnie, dla uczniów należących do danej mniejszości (niemieckiej, ukraińskiej). Szkoły wyznaniowe żydowskie, tzw. chedery, prowadziły gminy wyznaniowe żydowskie.

Muszę powiedzieć, że ani w Liskowie, ani później w Pleszewie, księża prefekci nie starali się wywierać wpływu na poglądy innych członków grona profesorskiego. Wykonywali oni swe obowiązki z dużym taktem i umiarem, nie doprowadzając nigdy do targów z kolegami, ani uczniami. A przecież – zwłaszcza w klasach wyższych – swoimi sceptycznymi uwagami i pytaniami stawialiśmy ich niejednokrotnie w niemałe zakłopotanie.

W klasie II, a częściowo i w klasie III, naukę religii prowadził z nami sam ksiądz Bliziński. Dużą część tych lekcji wykorzystywał on na omawianie z nami bliskich mu spraw ogólniejszych o charakterze społecznym, gospodarczym i kulturalnym. Licząc się z tym, że ogromna większość chłopców nie miała sposobności poznania w domu rodzicielskim obowiązujących człowieka kulturalnego zasad poprawnego zachowania się, ksiądz Bliziński poważną ilość godzin poświęcił temu zagadnieniu.

Innym razem znów zapoznał nas ogólnie z nieznanymi nam dotąd zasadami ruchu harcerskiego. Zachęciło to nas do założenia szkolnej drużyny harcerskiej, mogącej rozwijać swą pracę jedynie w tajemnicy przed władzami okupacyjnymi. Bez mundurków, trąbek i odznaczeń, bez namiotów i wyposażenia obozowego, zapoznawaliśmy się pilnie z treścią dziesięciorga przykazań harcerskich, pod pozorem wycieczek szkolnych przerabialiśmy terenowe ćwiczenia, swoją postawą i zachowaniem staraliśmy się naśladować wzorce zawarte w podręcznikach harcerskich Antoniego Małkowskiego<sup>1)</sup>, Eugeniusza Piaseckiego i innych, które jakąś drogą zdobyliśmy.

Niekiedy pytaliśmy się wprost księdza Blizińskiego, który bardzo często wyjeżdżał do Warszawy o to, co słychać w świecie i jak rozwija się sprawa polska. I na takie pytania otrzymywaliśmy informacje, których nie dawała ówczesna ściśle cenzurowana

---

<sup>1)</sup> Właśc. Andrzej Małkowski, jeden z twórców harcerstwa.



prasa. W ten sposób, odcięci od wielkich środowisk i od normalnych źródeł informacji, mogliśmy śledzić na bieżąco przebieg wojny oraz inne wydarzenia zagraniczne i krajowe.

Toteż cała szkoła z żalem przyjęła wiadomość, że ksiądz Bliziński, pozostając nadal proboszczem w Liskowie, przejął na stanowisko dyrektora Departamentu w organizującym się właśnie Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej. Zmuszało go to do przebywania zasadniczo w Warszawie i do utraty stałego, bezpośredniego kontaktu z naszą szkołą.

Powołanie księdza Blizińskiego na wspomniane stanowisko rządowe uczcili liskowiczanie urządzeniem specjalnej uroczystości w sali Domu Ludowego. W uroczystości tej uczestniczyłem, reprezentując – wraz z kilkoma kolegami – młodzież naszego gimnazjum. Przemawiali przedstawiciele różnych instytucji liskowskich. Między innymi nasz dyrektor Wiktor Dzierżanowski odczytał własny, okolicznościowy wiersz.

Kiedy dzisiaj o tym myślę, to jest dla mnie oczywistym, że powołanie kogoś na stanowisko dyrektora departamentu w ministerstwie nie jest dostatecznym powodem do urzędowania tzw. akademii. Trzeba jednak wczuć się w ówczesną atmosferę małego środowiska wiejskiego. Społeczeństwo liskowskie było żywo przejęte faktem formowania się w Warszawie zrębów polskich centralnych organów państwowych. Cieszyło się też, że jednym z organizatorów przyszłego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej ma być właśnie ksiądz Bliziński. Znając nieprzeciętne zdolności organizacyjne i inicjatywę swego proboszcza, liskowiczanie byli pewni, że odegra on w Warszawie wybitną rolę, i że w związku z tym będzie on mógł wiele zrobić dla samego Liskowa.

Z drugiej strony obawiano się, czy przyjęcie przez księdza Blizińskiego stanowiska w administracji centralnej nie zapowiada jego definitywnego odejścia z Liskowa. Przyszłość wykazała, że funkcje dyrektora departamentu ksiądz Bliziński sprawował zaledwie ponad rok, że pozostał on na stałe wierny swemu Liskowowi, że nawiązane w ministerstwie stosunki umiał wykorzystać dla zorganizowania w Liskowie – bezpośrednio po I wojnie światowej – wielkiego sierocińca, w którym znalazły schronienie i przygotowanie do dalszego życia tysiące sierot z całego kraju.

Oceniając osobowość księdza prałata Blizińskiego należy stwierdzić, że na tle swoich czasów był on jednostką nieprzeciętną, jednym z tych, którzy budzili wieś polską z wiekowego letargu i przygotowywali chłopów polskich do odegrania aktywnej roli w życiu politycznym i gospodarczym naszego kraju. Ta działalność nie była na rękę ani władzom rosyjskim, ani władzom okupacyjnym niemieckim. Toteż był on pilnie śledzony i prześladowany przez jednych i drugich.

W pewną słoneczną niedzielę w końcu czerwca 1918 r. odbywało się na obszernym placu w Liskowie, na którym znajduje się dziś mleczarnia spółdzielcza, uroczyste zakończenie roku w szkole rolniczej w obecności licznie zgromadzonej publiczności, wśród której znajdowaliśmy się i my, uczniowie gimnazjalni. Słuchacze szkoły – dorośli i młodzi ludzie – popisywali się różnymi umiejętnościami. Jednym z numerów programu był efektowny popis gimnastyczny z lancami, gorąco oklaskiwany przez publiczność.

Niemcy dopatrzyli się w tym popisie wyrazu tajnego szkolenia wojskowego. Toteż w kilka dni później dokonali szeregu aresztowań. Uwięziono wówczas w Kaliszu m.in. księdza Blizińskiego, naszego prefekta księdza Zwierza, profesorów szkoły rolniczej. Prowadzono dochodzenia w kierunku wykrycia tajnej organizacji wojskowej. Śledztwo nie potwierdziło takich podejrzeń. Toteż na usilne starania wielu obywateli władze niemieckie zwolniły z końcem sierpnia lub na początku września 1918 r. aresztowanych.

Jednym ze starających się o zwolnienie aresztowanych był mój Ojciec. On też przywiózł księdza Blizińskiego późną nocą do naszego domu w Koźlątkowie. Po spożyciu przez niego posiłku, nasz pracownik i ja odwieźliśmy go około trzeciej godziny nad ranem do Liskowa. Pamiętam dobrze tę księżycową noc i zmęczonego księdza Blizińskiego, który w ciągu całej drogi nie odezwał się do nas ani słowem.

Na terenie całego kraju ksiądz Bliziński był znany jako wybitny propagator i realizator idei spółdzielczej na wsi. Wiele zrobił dla swego Liskowa, z którego chciał uczynić „wzorową wieś polską”. Cały kraj wysoko oceniał niezwykłą ofiarność społeczną księdza Blizińskiego.

Pamiętam, że w okresie wyborów do Sejmu Ustawodawczego na początku 1919 r. jedna z gazet warszawskich „Gazeta Poranna – Dwa grosze”<sup>k)</sup>, odmawiając ks. Blizińskiemu należytego rozeznania politycznego (kandydował on z listy słabego ugrupowania politycznego, którego był współzałożycielem – Stronnictwa Katolicko-Ludowego), tak pisała: „Ksiądz dobrodziej z Liskowa to talent prawdziwy w dziedzinie wiejskiej zwłaszcza kooperatywy, ale z aspiracji politycznych winien zrezygnować”.

W okresie międzywojennym wyróżniono go wysokimi odznaczeniami państwowymi. Powierzano mu funkcje posła i senatora. W czasie okupacji w okresie II wojny światowej zmuszony był opuścić swój posterunek. Zmarł w Częstochowie. Po wojnie zwłoki jego sprowadzono do Liskowa. Wdzięczni mieszkańcy wzniesli mu na placu Kościelnym piękny pomnik. W 1971 r. obchodzono tam 100. rocznicę urodzin tego zasłużonego obywatela. Byłem w tym czasie w Liskowie i mogłem obserwować zaszłe tam ~~W warunkach~~ <sup>W warunkach</sup> niepodległości i rozbudowy szkolnictwa średniego w większych środowiskach miejskich, konieczność utrzymywania gimnazjum w Liskowie stała się pod znakiem zapytania. Odpadać zaczęli uczniowie zamiejscowi. Nauczyciele, których pozyskano dla Liskowa w wyjątkowych warunkach wojennych, nie widzieli również swej przyszłości na wsi. Przenosili się więc stopniowo do miast, obejmując tam stanowiska w szkolnictwie i administracji lub też kończąc przerwane na skutek wojny studia w szkołach wyższych.

Gimnazjum w Liskowie doprowadziło swych uczniów do ukończenia klasy VI, aby następnie przekształcić się w państwowe seminarium nauczycielskie. Z czasem i ono zostało zlikwidowane, a wzniesiony dla celów gimnazjum piękny budynek zajmowany jest obecnie przez Państwowy Dom Dziecka.

Funkcjonuje tu nadal – o znacznie rozszerzonym zakresie działania – G.S. „Samopomoc Chłopska”, Spółdzielnia Oszczędnościowo-Pożyczkowa (SOP), Spółdzielnia Mleczarska. Istnieje tu pięknie rozbudowana 8-klasowa szkoła podstawowa, przy której wzniesione zostały domy mieszkalne dla nauczycieli. Tu mieści się też Urząd Gminy Lisków, okazały ośrodek zdrowia. W stylowym budynku dawnego gimnazjum, a następnie liceum pedagogicznego, znalazł pomieszczenie Państwowy Dom Dziecka. W dawnym budynku szkoły rolniczej mieści się internat dla uczniów rozbudowanych szkół rzemiosł budowlanych, kierowanych przez mego magistrą, Leona Mrowickiego. Zamiast szkoły rolniczej funkcjonuje w Liskowie w nowo wzniesionym gmachu Technikum Rachunkowości Rolnej.

Największe wrażenie zrobił na mnie wygląd samej wsi, chłopskich zagród. Nowe gustowne domy mieszkalne, nowe budynki gospodarcze, rzucająca się w oczy zasobność! Życiowy trud księdza Blizińskiego nie poszedł na marne, choć wydaje pełne owo-

<sup>k)</sup> „Gazeta Poranna 2 Grosze”, wyd. 1912–1925. Najtańsza, popularna gazeta warszawska, wydawana przez endecję.

ce dopiero w nowych warunkach społeczno-ekonomicznych, jakie stworzyła Polska Ludowa.

Gimnazjum liskowskie przeznaczone było wyłącznie dla chłopców. O ile sobie przypominam, w drodze wyjątku przyjęto tu w pewnym okresie dwoje czy troje dziewcząt, krewne członków grona nauczycielskiego. Uczniowie byli jednolici pod względem narodowościowym i wyznaniowym. Pochodzili nie tylko z samego Liskowa i okolicy. Terytorialny zasięg oddziaływania gimnazjum obejmował powiaty: kaliski, słupecki, koniński, sieradzki. Wśród uczniów, którzy rozpoczęli naukę w 1916 r. większość stanowili przyjezdni. Dopiero w następnych latach w większym procencie napływać zaczęła młodzież miejscowa. Największy odsetek stanowili synowie zamożniejszych chłopów. Poza tym skład socjalny był dość zróżnicowany. Nie było wśród nas jednak ani synów fabrykantów, ani właścicieli ziemskich, ani robotników.

Jeżeli wziąć pod uwagę dwa najstarsze roczniki, które rozpoczęły naukę w 1916 r. i najmocniej utrwaliły się w mojej pamięci, to jestem w stanie wymienić całe grono kolegów i określić ich pochodzenie społeczne.

Władysław Liberek był synem zmarłego ogrodnika z Marchwacza; koszty jego utrzymania pokrywała p. Niemojewska, właścicielka tego majątku. Bolesław Olszewski był synem aptekarza z Błaszek, Aleksander Bogusławski – synem administratora majątku i bratem naszego profesora matematyki Antoniego Bogusławskiego, Kamil Skulski synem organisty ze Stawu, dwóch braci Bieleckich, Jan i Tadeusz, synami pisarza gminnego, dwóch braci Łapińskich synami organisty z Liskowa, Franciszek Roga synem mistrza rzeźnickiego z Koźminka, Franciszek Okoń synem właściciela młyna spod Sieradza, dwaj bracia Mączyńscy synami właściciela młyna z Warty, Stanisław Markiewicz synem stolarza osiadłego w czasie okupacji w Liskowie, Kazimierz Ślaski synem inteligentnej rodziny z Łodzi, Józef Balcerczyk i Piekielny synami gospodarzy z Goszczanowa, Ignacy Przygodzki synem drobnego gospodarza spod Liskowa, Aleksander Jaworowicz synem zamożnego gospodarza z Młynisk pod Liskowem, Henryk Maniewski synem administratora majątku, czy gorzelanego, Jan i Mieczysław Wojciechowski spod Szymanowic, Kazimierz Janicki spod Konina, Tomalak spod Cekowa, Jan Sobolski i Jan Ignasiak z Koźlątkowa, Jan Bryl z okolicy Koźminka – byli synami zamożniejszych gospodarzy.

Uczniowie z Liskowa i okolicy (do 5 km) dochodzili do gimnazjum z domu. Dla uczniów z dalszych okolic zorganizowany został internat. Ci, którzy nie znaleźli miejsca w internacie, mieszkali przeważnie na prywatnych „stancjach” nadzorowanych przez szkołę. Takich stancji było w Liskowie kilka.

Dalsze losy moich kolegów liskowskich są mi tylko częściowo znane. Nasz prymus, Władysław Liberek, ukończył studia matematyczno-przyrodnicze w Poznaniu i był przed 1939 r. profesorem gimnazjalnym. Następnie przywdział on szaty zakonne, o czym dowiedziałem się z nekrologu zamieszczonego w „Tygodniku Powszechnym”, poświęconego jego zmarłej matce.

Wybitnie uzdolniony literacko Ignacy Przygodzki, z którym łączyły mnie najściślejsze więzy sympatii, po uzyskaniu matury studiował polonistykę w Poznaniu. Nie mając wystarczających środków na utrzymanie, zarabiał korepetycjami. Zachorował na gruźlicę i zmarł, niestety, już w 1924 r.

Stanisław Markiewicz ukończył studia prawnicze w Warszawie. Pracował w sądownictwie, dochodząc do stanowiska prezesa Sądu Wojewódzkiego, a następnie notariusza w Kielcach.

Bolesław Olszewski ukończył studia ekonomiczne na Wydziale Prawno-Ekonomicznym w Poznaniu. Dalsze jego losy nie są mi znane.

Aleksander Jaworowicz ukończył studia rolnicze w Cieszynie. Zginął w czasie ostatniej wojny. pozostawił syna pracującego w dyplomacji.

Józef Balcerczyk po uzyskaniu matury wstąpił do seminarium duchownego. Był w okresie powojennym proboszczem i dziekanem w Koninie.

Jan Wojciechowski po uzyskaniu matury w Środzie ukończył studia rolnicze w Poznaniu. Przez wiele lat był asystentem profesora Bronisława Niklewskiego. W latach powojennych habilitował się w zakresie biochemii. Był następnie profesorem zwyczajnym Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu, pełniąc przez szereg lat funkcję prorektora tej Uczelni.

Mieczysław Wojciechowski ukończył studia farmaceutyczne, po czym osiedlił się jako aptekarz w Tczewie.

Ja należę również do tych liskowiaków, którym udało się uzyskać maturę w Pleszewie i ukończyć studia wyższe.

Z wielką wdzięcznością wspominam członków ówczesnego grona profesorskiego. Na jego czele stanął starszy pan, doświadczony pedagog, doskonały polonista i literat, Wiktor Dzierżanowski z Warszawy. Był on, do czasu wojny w 1914 r., członkiem redakcji ukazującego się tam świetnego „Tygodnika Ilustrowanego” i autorem kilku tomików wierszy. Prowadzone przez niego lekcje z języka polskiego cieszyły się wśród nas największą popularnością. Toteż nauczył on nas nie tylko posługiwać się w mowie i piśmie poprawnym językiem ojczystym, ale ukazał nam bogactwo i piękno literatury polskiej. Lekcje języka polskiego były też dla dyrektora okazją do wtajemniczenia nas w istotę i dzieje kultury polskiej, jej humanistyczne i postępowe tradycje. Imponował nam swą piękną sylwetką, dużą dbałością o wygląd zewnętrzny, uprzejmością. Był dla nas wszystkich wzorem człowieka kulturalnego i patrioty. W wypadku jakiegoś wybryku czy niesubordynacji z naszej strony – umiał być surowym i stanowczym. Korzystał jednak z tak dużego autorytetu, że rzadko był zmuszony do stosowania sankcji.

Klasa, do której chodziłem, była stale najwyższą w gimnazjum (jako klasa II, a następnie III, IV, V). Korzystaliśmy z tego tytułu z różnych przywilejów. M.in. byliśmy informowani przez dyrektora o planach rozwoju gimnazjum i jego bazy materialnej, o wydarzeniach mających wpływ na przyszłe losy Polski, o przygotowywanych w Liskowie uroczystościach i obchodach narodowych. Niejednokrotnie byliśmy też delegowani do przygotowania tych uroczystości i uczestniczenia w nich. Pamiętam, że z okazji odsłonięcia na wiosnę 1917 r. pomnika Tadeusza Kościuszki przed Domem Ludowym przemówienie wygłosił m.in. nasz kolega Władysław Liberek. Razem z innymi kolegami brałem udział w uroczystości zorganizowanej jesienią 1917 r. z racji obejmowania przez księdza Bliźnińskiego stanowiska dyrektora departamentu w Warszawie.

Z inicjatywy dyrektora Dzierżanowskiego nasza – wówczas VI – klasa przygotowała w dniu 3 maja 1918 r. wielką akademię w sali Domu Ludowego z okazji rocznicy Konstytucji 3-Majowej. Należąc do przodujących uczniów, byłem jednym z trzech referentów na tej akademii. Moim zadaniem było przedstawienie zasadniczych postanowień

Konstytucji i sensu wprowadzanych reform. Pamiętam, że do wygłoszenia referatu przygotowałem się bardzo starannie, a treść referatu miałem ujętą na piśmie w specjalnym zeszycie. Referat był obliczony na 15 minut. Przed tym pierwszym publicznym wystąpieniem miałem wielką treść. Przed nikim się jednak z tym nie zdradzałem. Uroczystość odbywała się w godzinach popołudniowych. Dzień był słoneczny i ciepły. Sala Domu Ludowego przepełniona była przedstawicielami całego społeczeństwa z Liskowa i okolicy. Było gorąco i duszno. Toteż kiedy stanąłem na podium i zacząłem wygłaszać referat czułem, że cały pokrywam się potem. Zdawałem sobie sprawę z tego, że mówiąc głośno, wyraźnie i powoli, zamiast kwadransa przemawiać będę 20, a nawet 25 minut. Ogarnął mnie w pewnym momencie strach spowodowany zasychaniem gardła. Czy zdołam zachować głos do końca? Natężyłem całą wolę, aby się nie załamać. Doprowadziłem referat do szczęśliwego końca i uzyskałem duże brawa, a po zakończeniu uroczystości słowa uznania ze strony dyrektora. Treść referatu znałem niemal na pamięć, toteż nie czytałem go, lecz – zgodnie z pouczeniem – swobodnie go wygłaszałem, zaglądając niepostrzeżenie od czasu do czasu do pisanego tekstu. Mogłem więc patrzeć w stronę sali. Byłem jednak zbyt przejęty, aby – poza kilkoma osobami w pierwszych rzędach – kogokolwiek zauważyć. Uwagę moją przykuła właściwie jedna tylko osoba: siedzący w pierwszym rzędzie oficer w polskim mundurze.

Jak się później dowiedziałem, tym pierwszym widzianym przeze mnie oficerem polskim był major Antoni Piątkowski. Przybył do Liskowa wprost z Rosji po rozbrojeniu przez Niemców dywizji generała Dowbór-Muśnickiego, w której ostatnio służył. Osiadł na stałe w Liskowie, gdzie jako doskonały fachowiec objął stanowisko dyrektora miejscowej szkoły rolniczej. Przez półtora roku prowadził też w naszej klasie lekcje z botaniki i zoologii. Powszechnie szanowany, był duszą Kółka Rolniczego. Razem z Ojcem brałem raz udział w posiedzeniu tego Kółka. Dyrektor Piątkowski omawiał na nim sposoby utrzymania w drodze odpowiednich zabiegów agrotechnicznych wilgoci w glebie. Do dziś pamiętam treść tego referatu. Po 20 latach – w 1938 r. – poznałem jego córkę. Jako studentka Wydziału Rolniczo-Leśnego składała u mnie egzamin z prawa cywilnego.

Wśród innych profesorów wymienić pragnę żonę Dyrektora, panią Marię Dzierżanowską, prowadzącą z nami lekcje języka francuskiego, Antoniego Pstrokońskiego nauczyciela języka niemieckiego, pana Kamińskiego nauczyciela historii, a przede wszystkim Antoniego Bogusławskiego, znakomitego nauczyciela matematyki, chemii i fizyki. Jemu zawdzięczam to, że wdrożone mi zasady matematyczne pozwoliły mi na górowanie w tym przedmiocie zarówno w Liskowie, jak i w wyższych klasach gimnazjum pleszewskiego. Uchodziłem wtedy za uzdolnionego matematyka.

## ROZDZIAŁ IV

## Czasy pleszewskie

Jednym z motywów przeniesienia się rodziców z Koźlątkowa do Dobrej Nadziei była chęć znalezienia się w pobliżu znanego nam od dawna miasta Pleszewa. Miało to umożliwić zarówno mnie, jak i mojemu rodzeństwu dostęp do istniejących tam szkół. W moim przypadku zaszła konieczność przeniesienia się z gimnazjum liskowskiego do Państwowego Progimnazjum Humanistycznego im. Stanisława Staszica w Pleszewie.

Do końca 1918 r. istniały w Pleszewie wyłącznie szkoły niemieckie, do których uczęszczała zarówno młodzież niemiecka jak i polska. Przede wszystkim była tu świetnie zorganizowana i wyposażona 7-klasowa szkoła podstawowa, jedna na całe miasto i jedyna o takim poziomie w całym powiecie. Wiejskie szkoły podstawowe kształciły bowiem swych uczniów przeważnie jedynie w zakresie czterech klas.

Poza szkołą podstawową istniała w Pleszewie, czynna jeszcze za moich czasów, tzw. szkoła wydziałowa dla dziewcząt. Dawała ona swym absolwentkom wykształcenie ogólne odpowiadające mniej więcej poziomowi sześciu klas gimnazjalnych. Ponadto czynna tu była również szkoła dla nauczycieli szkół podstawowych, zwana wówczas „preparandą”, a później „seminarium nauczycielskim”. Za czasów niemieckich była ona dostępna niemal wyłącznie dla męskiej młodzieży niemieckiej.

Wreszcie istniała w Pleszewie – usamodzielniona od 1908 r. tzw. szkoła realna, która uzyskiwała wygodne pomieszczenie w gmachu wzniesionym w latach 1910–1912 przy ul. Poznańskiej. Jej uczniami byli w przeważającej liczbie chłopcy polscy.

Szkoły realne, bardzo rozpowszechnione w Pruszech przed I wojną światową, były szkołami specjalnego typu. Dawały one poziom wykształcenia odpowiadający poziomowi sześciu klas gimnazjum. Różniły się one jednak od szkół średnich typu gimnazjalnego tym, że nie były w nich nauczane języki starożytne. Za to duży nacisk kładziono na naukę języków nowożytnych: angielskiego i francuskiego. Rozbudowane były w nich również przedmioty typu przyrodniczo-matematycznego. Szkoły te wyposażone były w specjalne sale przeznaczone do nauki fizyki i chemii. Absolwenci szkół realnych mieli w zasadzie zamknięty dostęp do szkół wyższych typu akademickiego. Natomiast kierowali się oni do dobrze zorganizowanych szkół zawodowych: handlowych, budowlanych, rolniczych, leśnych, budowy maszyn, drogeryjnych, optycznych itp.

Toteż młodzież, która zamierzała odbywać studia w szkołach wyższych, zapisywała się nie do szkół realnych, lecz do 9-letnich gimnazjów. Istniały one tylko w większych miastach: Poznaniu, Ostrowie Wlkp., Gnieźnie i Lesznie.

Wszystkie istniejące w Pleszewie szkoły rozpoczęły rok szkolny 1918/19 jako szkoły niemieckie. W wyniku powstania wielkopolskiego z początkiem 1919 r. szkolnictwo

na wyzwolonych terenach Wielkopolski poddane zostało władzy Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej<sup>a)</sup> i powołanym przez niego organom. W ten sposób wszystkie szkoły w Pleszewie przekształcone zostały na szkoły polskie. Jeszcze w pierwszych miesiącach funkcjonowały one w dotychczasowym trybie. Nauka w nich prowadzona była przez dotychczasowych nauczycieli. Kierownictwo szkół objęli jednak stopniowo Polacy. I tak np. pierwszym dyrektorem szkoły realnej w Pleszewie został ksiądz Stanisław Herwart, pełniący funkcję kapelana szpitala prowadzonego przez Zgromadzenie Sióstr Służebniczek.

Stopniowo szkołę zaczęli opuszczać nauczyciele niemieccy oraz uczniowie narodowości niemieckiej, przenosząc się do Niemiec. W szkołach pozostali jedynie uczniowie Polacy. W II kwartale 1919 r. dyrekcję szkoły przejął dr Walenty Szweda, który też skompletował powoli niezbędny zespół polskich profesorów.

Szkoła realna przekształcona została w Państwowe Progimnazjum Humanistyczne im. Stanisława Staszica i w takim charakterze rozpoczęła swą pracę w roku szkolnym 1919/20. Z pierwszego protokołu z 21 czerwca 1919 r. wynika, że liczba uczniów wynosiła wtedy 120. Z liczby tej zwolnionych zostało od obowiązujących wówczas opłat szkolnych 11 uczniów.

W spolszczonym progimnazjum zakończono rok szkolny 1918/19 według tymczasowego programu ustalonego przez poznańskie władze szkolne.

Pierwszym normalnym rokiem szkolnym był rok 1919/20. Skompletowany był już wówczas skład grona nauczycielskiego. Opracowane też były plany i programy nauczania. Progimnazjum liczyło, jak poprzednio, sześć klas. Zachowane były nadal oznaczenia tych klas według wzorów pruskich. Klasa I nosiła nazwę *sexta*, klasa II – *quinta*, klasa III – *quarta*, klasa IV – *niższa tertia*, klasa V – *wyższa tertia*, a klasa VI – *niższa secunda*. Do pełnego gimnazjum, według systemu pruskiego, brakowało trzech klas najwyższych, a mianowicie *wyższej secundy* oraz *niższej i wyższej primy*.

Moje przyjęcie do progimnazjum nastąpiło w połowie roku szkolnego 1919/20. Ponieważ w Liskowie uczęszczałem do klasy V, uważałem, że właściwą będzie dla mnie w Pleszewie ówczesna *wyższa tercja*. Dyrektor Szweda, odnosząc się z nieufnością do poziomu gimnazjum liskowskiego, proponował mi początkowo przyjęcie do *niższej tercji*. Na moją prośbę zgodził się na warunkowe przyjęcie mnie do *wyższej tercji* z tym, że po upływie kilku tygodni będę poddany egzaminowi sprawdzającemu moje wiadomości. Do egzaminu tego nigdy nie doszło. Okazało się bowiem, że moje wiadomości wyniesione z Liskowa bynajmniej nie ustępowały wiadomościom moich kolegów. Górowałem nad nimi znajomością matematyki, języka polskiego, historii oraz języka łacińskiego. Znacznie gorzej było ze znajomością języków nowożytnych. Moi koledzy pleszewscy świetnie znali język niemiecki, o którym miałem – mimo nauczania go w Liskowie – jedynie bardzo ograniczone pojęcie.

Język niemiecki nie był jednak wówczas w Pleszewie przedmiotem nauczania. Był nim natomiast język francuski. Naukę tego języka prowadził znakomity lingwista

---

<sup>a)</sup> Naczelna Rada Ludowa – organizacja polityczna, założona w 1916 r. w Poznaniu, do listopada 1918 r. pod nazwą Komitet Międzypartyjny, zwany też Centralnym Komitetem Obywatelskim. Reprezentowała orientację liczącą na zwycięstwo ententy. Rada uznała Komitet Narodowy Polski w Paryżu; postulowała pokojowe przywrócenie ziem zaboru pruskiego Polsce; w grudniu 1918 r. kierowała powstaniem wielkopolskim; rozwiązana w sierpniu 1919 r. Główni działacze: ks. Stanisław Adamski, Wojciech Korfanty, Adam Poszwiński, Władysław Seyda, Antoni Stychel.

i dydaktyk profesor Florian Kozanecki. Nauczanie odbywało się na podstawie podręcznika niemieckiego. Był on niepomiernie lepiej ujęty, aniżeli znane mi podręczniki polskie. Kiedy na lekcji francuskiego odczytałem po raz pierwszy jakiś ustęp – cała klasa razem z profesorem wybuchnęła śmiechem. Mój akcent i wymowa dalekie były od prawidłowych. Czułem się ogromnie zawstydzony i skompromitowany, boć przecież wydawało mi się, że znam dostateczną ilość słów francuskich i mogę jako tako wypowiedzieć się w tym języku. Okazało się, że jest to o wiele za mało. Nie załamałem się jednak. Zdobyłem jakimś sposobem niedostępny na ogół podręcznik niemiecki i na jego podstawie i przy jego pomocy starałem się nadrobić braki i zaległości. Szło mi to bardzo trudno, bo jak zaznaczyłem, i moja znajomość języka niemieckiego była bardzo słaba. Mimo to robiłem postępy i znajdowałem uznanie prof. Kozaneckiego. Przy okazji uczenia się języka francuskiego z podręcznika niemieckiego – uczyłem się równocześnie języka niemieckiego.

Cała klasa żałowała bardzo, gdy prof. Kozanecki przeniesiony został służbowo do innego miasta. W ostatnich latach przedwojennych pełnił on funkcję wizytatora szkół średnich Kuratorium Okręgu Szkolnego w Toruniu. Naukę języka francuskiego przejął po nim dyrektor dr Szweda, który opiekował się nami aż do matury. Język francuski tak dalece polubiłem, że z przyjemnością czytałem książki i gazety francuskie. Na świadectwie maturalnym z języka francuskiego otrzymałem stopień „bardzo dobry” z zaznaczeniem, że „tak w lekturze jak zwłaszcza w gramatyce wykazywałem w ciągu roku celujące wyniki. Praca maturyczna wyróżniała się znajomością i odczuciem stylu języka francuskiego”. Przykład ten jest najlepszym dowodem na to, jak pod wpływem i kierunkiem dobrego profesora i przy dołożeniu należytego wysiłku można pokonać trudności w opanowaniu obcego języka.

Mimo najlepszych wspomnień, jakie wyniosłem z gimnazjum liskowskiego, przeniesienie się do Pleszewa uważałem za awans życiowy. Dzięki temu zetknąłem się tu z inteligentnym środowiskiem miejskim, co samo przez się rozszerzało mój dotychczasowy horyzont myślowy. Niepomiernie lepiej było wyposażone i zorganizowane tutejsze gimnazjum, na którego czele stał młody, energiczny i wybitnie inteligentny dyrektor, dr Walenty Szweda. Był on niewątpliwie najwybitniejszą postacią wśród grona profesorskiego. Wychowanek uniwersytetów niemieckich, specjalista w zakresie germanistyki, miał ponadto świetnie opanowany język francuski i angielski. Po II wojnie światowej był lektorem języka angielskiego w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie. Dr Szweda był wysokiej klasy humanistą. Lubił śpiew i muzykę. Sam grał z zamiłowaniem na skrzypcach. Udostępniał też chętnie aulę gimnazjalną na różne występy muzyczne i śpiewacze. Interesował się malarstwem. Pomagał organizować wystawy. Starał się wzbudzić w uczniach zrozumienie dla sztuki, poezji, teatru. Popierał więc na terenie szkoły wszelakiego rodzaju kółka zainteresowań. Za moich czasów wystawialiśmy m.in. *Skapca* Moliera, w którym grałem rolę Harpagona, a dalej *Śluby panińskie* Fredry.

Za zgodą dyrektora zorganizowaliśmy spółdzielnię uczniowską, której zadaniem było staranie się o zaopatrzenie uczniów w trudno dostępne – w pierwszym okresie niepodległości – podręczniki i różne przybory szkolne. Za jego też wiedzą współpracowałem czynnie z Janem Cichym, późniejszym nauczycielem, w Kołach



łem czynnie z Janem Cichym, późniejszym nauczycielem, w Kołach Młodzieży Wiejskiej w Ludwinowie<sup>b)</sup>, Taczanowie i Sowinie Błotnej.

Nasz dyrektor posiadał też zalety dobrego organizatora i wychowawcy. Strzegąc dyscypliny i porządku w szkole, budził szacunek zarówno u grona profesorskiego, jak i wśród uczniów. Uczeń skierowany do dyrektora czuł się nieswojo, albowiem dyrektor był surowy i konsekwentny w stosowaniu kar dyscyplinarnych. Starsi uczniowie byli też zażenowani, kiedy przyszło im się tłumaczyć przed dyrektorem w przypadku naruszenia przez nich dyscypliny. Przy tym wszystkim był sprawiedliwy i życzliwy dla młodzieży. Nigdy z ust jego nie padły pod adresem ucznia słowa obraźliwe, jakimi niekiedy zwykli posługiwać się niektórzy z profesorów uczących w niższych klasach. Znany był zwłaszcza z tego profesor Lepczyński, który inaczej nie odzywał się do ucznia, jak: „czego chcesz, ośle paskudny” albo „siadaj, ośle paskudny”. Młodzież naśladowała go doskonale.

Osobowość dyrektora oddziaływała na poziom pracy profesorów i uczniów i na zachowanie należytej dyscypliny. Dzięki wysiłkom dyrektora gimnazjum spełniało funkcje centralnego ośrodka naukowo-kulturalnego w mieście.

Praca w szkole miała zapewnione właściwe warunki. Gimnazjum posiadało piękny i na ówczesną liczbę uczniów wystarczająco obszerny budynek. Były w nim doskonale urządzone i zaopatrzone laboratoria fizyczne i chemiczne, pomieszczenia biblioteczne i sale konferencyjne niezależnie od pomieszczeń dla poszczególnych klas. Dopiero w latach późniejszych, już po mojej maturze, z uwagi na zorganizowanie szkoły w formie pełnego 8-klasowego gimnazjum i z uwagi na coraz liczniejszy napływ młodzieży, zaszła potrzeba rozbudowy gmachu.

Grono profesorskie było za moich czasów w pełni kwalifikowane. Poza dyrektorem i wspomnianym już profesorem Kozaneckim nauczali tam profesorowie: Stanisław Chojcki, historyk, późniejszy dyrektor gimnazjum w Kościanie, Janusz Polcyn i Stefan Chciuk, specjaliści z zakresu języków starożytnych, Józef Koperny uczący matematyki i fizyki, Ignacy Laskowski, polonista, ksiądz Stanisław Herwart, prefekt i katecheta. Z innych profesorów, nie prowadzących zajęć w naszej klasie, lecz dobrze mi znanych, pragnę wymienić przyrodnika Jana Schoena<sup>c)</sup>, późniejszego dyrektora gimnazjum w Czarnkowie, oraz sympatyczne panie Stanisławę Kościńską, Stefanię Likowską i Zofię Kubacką<sup>d)</sup>, uczące języka francuskiego.

Ten skład gwarantował osiągnięcie należytego poziomu nauczania w zakresie przedmiotów humanistycznych. Niedostatki występowały w zakresie przedmiotów przyrodniczych. Luki w składzie kadry profesorskiej i w programie nauczania były wówczas zrozumiałe ze względu na bezpośrednio powojenny okres. Dopiero w późniejszych latach, już po ukończeniu przeze mnie gimnazjum, mogły być one wypełnione.

Jako jedyny członek dawnego niemieckiego zespołu nauczającego pozostał przejściowo w gimnazjum znakomity nauczyciel rysunków pan Heinze. Mimo że nie znał on w ogóle języka polskiego, cieszył się dużym szacunkiem i autorytetem. W szkołach zawodowych nauczał rysunku technicznego. Znał doskonale swój przedmiot i posiadał

<sup>b)</sup> Zapewne chodzi o Ludwinę, miejscowość położoną między Sowiną Błotną, Dobrą Nadzieją i Taczanowem.

<sup>c)</sup> W gimnazjum pleszewskim uczył Stanisław Schoen, polonista.

<sup>d)</sup> Chodzi zapewne o Kazimierę Kubacką.

wielki dar dydaktyczny. Toteż, kiedy po niemal dwuletniej pracy w gimnazjum polskim wyjeżdżał na stałe do Niemiec, urządzono mu uroczyste i serdeczne pożegnanie.

Duży wpływ na nasze wykształcenie i wychowanie wywierali profesorowie: Janusz Polcyn i Stefan Chciuk. Prof. Polcyn nauczał w niższych klasach łaciny. Był doskonałym znawcą tego przedmiotu i stawiał nam duże wymagania. Interesowało nas wszystkich jego zaangażowanie polityczne. Nigdy jednak nie prowadził on z nami na ten temat dyskusji w szkole. Niestety, z biegiem czasu autorytet jego zaczął upadać, a to w związku z jego skłonnością do kieliszka. Codziennie młodzież obserwowała, jak wychodząc ze swego mieszkania wstępował najpierw do położonej naprzeciwko restauracji, a dopiero potem kierował się do szkoły. Nałóg ten pociągał za sobą skutki finansowe. Jego rodzina żyć musiała w bardzo skromnych warunkach. W Pleszewie mówiło się na ten temat dużo. Wszyscy znający wysokie zalety prof. Polcyna ubolewali nad tym.

Od VI klasy poczynając, naukę języka łacińskiego objął u nas prof. Chciuk, człowiek elegancki, dbający o swój wygląd zewnętrzny, posługujący się pięknym językiem, rozmiłowany w starożytności. Toteż nauka języka łacińskiego łączyła się z omawianiem życia codziennego narodów starożytnych, Greków, Rzymian, literatury i sztuki starożytnej, a nawet sztuki wojowania. Tego rodzaju metoda stanowiła należytą podbudowę pod nasze wykształcenie humanistyczne.

Po opuszczeniu naszego gimnazjum przez prof. Stanisława Chojeckiego, specjalisty od historii polskiej i powszechnej, prof. Chciuk przejął również obowiązki związane z nauczaniem historii. Na ostatnim roku prowadził też naukę o Polsce i świecie współczesnym. Nie angażował się on czynnie politycznie, ale sympatyzował z ruchem ludowym reprezentowanym przez Stronnictwo „Piast”<sup>e)</sup>.

Języka polskiego, a w szczególności historii literatury, nauczał prof. Ignacy Laskowski. Będąc niskiego wzrostu starał się brak ten nadrobić odpowiednimi ruchami oraz starannym ubiorem. Był lubiany przez młodzież. Krążące o nim różne nieszkodliwe dykteryjki (był kawalerem) czyniły go bardziej interesującym. Dbał o czystość języka polskiego, korygował usterki, jakich w swych pisemnych wypracowaniach dopuszczali się początkowo koledzy, którzy szkołę podstawową i pierwsze klasy gimnazjalne kończyli w szkole niemieckiej. Oczytany w literaturze ojczystej, znał ponadto dobrze język czeski i włoski. Osiągał, mimo wielkiej łagodności, dobre wyniki nauczania.

Jak już wspominałem, słabą stroną szkoły były przedmioty matematyczno-przyrodnicze. Przybyły do nas z początkiem roku szkolnego 1920/21 prof. Józef Koperny, wykształcony matematyk, mający najlepsze chęci przekazania nam w tym zakresie potrzebnych wiadomości, nie zawsze umiał skomplikowane zagadnienia matematyczne wyjaśnić w sposób dostatecznie zrozumiały. Chodziło tu zwłaszcza o materiał przerabiany w ostatnich latach. Miałem dobre podstawy w zakresie matematyki nabyte w gimnazjum w Liskowie. Toteż przedmiot ten nie sprawiał mi żadnych trudności. Kiedy byłem w klasie VI, w ciągu kilku tygodni przerobiłem sobie wieczorami cały materiał

<sup>e)</sup> Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast” – partia polityczna utworzona w 1913 r. w wyniku rozłamu w galicyjskim PSL przez działaczy skupionych wokół tygodnika „Piast” oraz działaczy PSL Zjednoczenie Niezawisłych Ludowców (wcześniejsza secesja). Do 1917 r. Stronnictwo zbliżyło się do endecji, a po włączeniu się do niego w l. 1918–1919 kilku mniejszych grup ludowych było w okresie międzywojennym najsilniejszą partią chłopską. W sejmie zajmowało pozycję centrową; po 1926 r. pozostawało w opozycji. Główni działacze: Wincenty Witos (trzykrotny premier), Maciej Rataj, Jakub Bojko, Władysław Kiernik. W 1931 r. PSL „Piast” połączył się z PSL „Wyzwolenie” i Stronnictwem Chłopskim, tworząc Stronnictwo Ludowe.

objęty programem klas VI, VII i VIII. Dlatego też nie bardzo troszczyłem się o materiał przerabiany bieżąco. Niejednokrotnie, gdy wykład prof. Kopernego nie był dla moich kolegów dostatecznie zrozumiały, prosiłem o pozwolenie przedstawienia omawianego problemu własnym sposobem. Dawało to pozytywne wyniki. Toteż bardzo szybko zdobyłem sobie zarówno w szkole, jak i w mieście opinię dobrego matematyka. Zaczęto zwracać się do mnie z prośbą o korepetycje. Za pomoc, którą służyłem w tym względzie moim kolegom klasowym nie brałem naturalnie żadnego wynagrodzenia. Natomiast wynagrodzenie takie pobierałem od uczniów klas niższych. Pozwalało mi to na niezależnienie się pod względem finansowym od rodziców. Z czasem obowiązki korepetycyjne zajmowały mi parę godzin dziennie. Toteż do domu wracałem często dopiero późnym wieczorem.

Prof. Koperny prowadził z nami również naukę fizyki. W przedmiocie tym był wysoce nieporadny. Nie umiał wykorzystać doskonale urządzonego gabinetu fizyki i zainteresować nas tym przedmiotem. Uczyliśmy się więc tylko z podręcznika bez należytego zrozumienia przydatności praktycznej przerabianego materiału. Wiadomości więc z zakresu fizyki wynieśliśmy bardzo ograniczone. To samo dotyczyło wykładanych nam – w ramach matematyki czy fizyki – podstawowych założeń astronomii.

Nie miałem w Pleszewie sposobności uczenia się geografii łącznie z podstawowymi zasadami geologii. Toteż ze szkoły wyniosłem jedynie te wiadomości, które zdobyłem w Liskowie. Uzupełniłem je w zakresie geografii politycznej, gospodarczej i fizycznej we własnym zakresie.

Najdotkliwiej jednak odczuwałem brak nauki z zakresu chemii. Szkoła miała w ciągu jednego półrocza doskonałego znawcę i nauczyciela tego przedmiotu w osobie profesora Góralczyka<sup>f)</sup>. Umiał on zainteresować wykładanym przedmiotem. Przekazane nam wówczas w ciągu kilku miesięcy wiadomości zachowały się w mym umyśle. Były mi one pomocne w okresie ostatniej wojny, kiedy to w latach 1941–1945 pracowałem w hurtowni chemicznej w Krakowie. Pełniłem tam funkcje kierownika zakupu i sprzedaży. Rzecz jasna, że swoje wiadomości uzupełniłem wówczas w niezbędnym zakresie z książek polskich i niemieckich. W niemieckim Urzędzie do Spraw Gospodarki Chemicznej w Krakowie, w którym załatwiałem sprawy przydziałów, sądzono, że jestem z wykształcenia chemikiem. Nie prostowałem tego mniemania.

Na sympatyczne wspomnienie zasługuje wreszcie nasz prefekt szkolny, ksiądz Stanisław Herwart. Z pedantyczną dokładnością przerabiał z nami przewidziany programem materiał z zakresu liturgiki, apologetyki i historii Kościoła. Mimo pozornej wyniosłości był on człowiekiem gołębiego serca. Nie narzucał nam siłą poglądów religijnych. Dopuszczał swobodną dyskusję na lekcjach. Wielki patriota. Całą wojnę przeżył w obozach koncentracyjnych. Przeżycia obozowe uczyniły go bardziej bezpośrednim. Nie czuł żadnego oporu w zaproponowaniu mi kilka lat przed śmiercią wypicia „bruderszaftu”.

Chociaż w skład grona nauczycielskiego wchodził profesorowie pochodzący zarówno z b. zaboru pruskiego (dr Szweda, Florian Kozanecki, ks. Stanisław Herwart, Jan Schoen i inni), jak i z Małopolski (Polcyn, Chciuk, Chojecki, Laskowski, Koperny), współpraca ich była wzorowa i daleka od panujących w owym czasie uprzedzeń dzielnicowych. Społeczeństwo pleszewskie przez pewien czas krytycznie odnosiło się do „przybyszów” z innych dzielnic. Nie mogąc należycie ocenić ich wartości intelektual-

<sup>f)</sup> W l. 1919–1920 w gimnazjum pleszewskim uczył Stanisław Góralczyk, polonista.

nych, z przekąsem podkreślano, że przybywali oni do Pleszewa z jedną walizką, że stawianych im do dyspozycji obszernych mieszkań opuszczonych przez Niemców nie mieli czym umeblować, i że z wielką trudnością umieli wiązać koniec z końcem.

Uprzedzenie do profesorów Małopolan miało swe źródło i w tym, że i pod względem politycznym nie poddawali się panującym w mieście nastrojom. Wiadomo, że jak w całej Wielkopolsce tak i w Pleszewie, przodującą rolę odgrywała w owym czasie Narodowa Demokracja. Jej miejscowym przywódcą był wówczas na terenie miasta i powiatu lekarz dr Jan Białasik. Znalazł on jednak w gronie profesorskim tylko jednego zdecydowanego zwolennika w osobie prof. Chojeckiego. Był on w domu pp. Białasików stałym gościem i współorganizatorem różnych imprez politycznych.

Natomiast inni profesorowie, również Poznaniacy, odnosili się do ideologii narodo-demokratycznej albo obojętnie, albo wprost wyznawali inne poglądy. I tak np. prof. Janusz Polcyn był czynnym działaczem Stronnictwa Ludowego „Piast” i wielkim zwolennikiem Wincentego Witosa. Dr Szweda skłaniał się raczej do nielicznej, ale wpływowej w Wielkopolsce grupy inteligentkiej przeciwstawiającej się ideologii i hegemonii Narodowej Demokracji i przychylniej polityce Józefa Piłsudskiego. Grupa ta, której najwybitniejszymi przedstawicielami byli Bernard Chrzanowski, kurator Okręgu Szkolnego w Poznaniu, dr Likowski z Pleszewa, adwokaci: dr Witold Jeszke, Czesław i Mieczysław Chmielewscy, lekarze dr Machowski i Leon Surzyński, prezydent m. Poznania Jarogniew Drwęski i jego żona Izabela, artysta malarz Stefan Sonnewend, wielu przywódców powstania wielkopolskiego, np. Paluch z Poznania, wojewoda dr Michał Grażyński z Katowic i inni, utworzyła z czasem Związek Naprawy Rzeczypospolitej<sup>9)</sup>.

Ta różnorodność ideologiczna w gronie nauczycielskim znajdowała swoje odbicie w ogólnym nastawieniu szkoły oraz w zróżnicowanych poglądach politycznych, jakie zaczęły w wyższych klasach krystalizować się wśród samych uczniów.

Dyrektor Szweda nie dopuszczał do jakichkolwiek manifestacji endeckich ani dzielnicowych. Z okazji przejazdu przez Pleszew w jesieni 1919 r. ówczesnego Naczelnika Państwa Marszałka Józefa Piłsudskiego do Poznania, gimnazjum wzięło gremialny udział w powitaniu go na stacji kolejowej. Szkoła nasza zachowała się też godnie po zabójstwie w dniu 16 grudnia 1922 r. pierwszego prezydenta RP Gabriela Narutowicza, dokonanego przez fanatyka endecji Eligiusza Niewiadomskiego. Wiadomość o dokonanej zbrodni dotarła do Pleszewa tego samego dnia późnym wieczorem w czasie wystawiania przez nas *Skapca* Moliera. Dyrektor Szweda zezwolił nam wprawdzie na dokończenie przedstawienia, ale następnego dnia zarządził żałobę i odpowiednie uroczystości ku czci zamordowanego Prezydenta. W przemówieniu swym dyrektor wyraźnie podkreślił zbrodniczość czynu i jego niezmierną szkodliwość polityczną. W tym czasie przywódcy endeccy urządzali manifestacje i nabożeństwa dla uczczenia mordercy.

Na przełomie 1919/20 r. do naszego gimnazjum uczęszczali sami chłopcy. Dopiero w latach późniejszych stopniowo poczęły napływać koleżanki. W wyższych klasach było ich zaledwie kilka. Przeważnie przenosiły się one do nas z innych szkół. I tak w

<sup>9)</sup> Związek Naprawy Rzeczypospolitej – organizacja polityczna, założona w 1926 r. w ramach obozu sanacyjnego przez działaczy Związku Strzeleckiego, Związku Osadników Wojskowych i Związku Powstańców Śląskich; w 1928 r. wszedł w skład BBWR, następnie z Partią Pracy utworzył Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast; po 1930 r. zaprzestał działalności. Byli działacze ZNRz tworzyli zespół polityczny zwany Naprawą, który w 1937 r. wszedł częściowo w skład Obozu Zjednoczenia Narodowego.

mojej klasie w ciągu ostatnich trzech lat mieliśmy tylko jedną koleżankę, Helenę Makowską. Do niższych klas uczęszczać poczęły: Maryla Chojnacka, Wiesława Sadowska, Aniela Janiakówna, siostry Bogumiła i Zofia Karczewskie, Ligęzińska. Znacznie liczniejszy był napływ dziewcząt do klas początkowych. W ten sposób w gimnazjum naszym stopniowo torowała sobie drogę, nieznana w niemieckim systemie szkolnictwa średniego, zasada koedukacji.

Moi koledzy klasowi, których zastałem przenosząc się do Pleszewa, byli ze sobą od dawna zżyci. Wspólnie uczęszczali do dawnego niemieckiego progimnazjum realnego i wspólnie kontynuowali naukę po przekształceniu tegoż progimnazjum na szkołę polską. Byłem wśród nich jedynym nowicjuszem. Przyjęli mnie początkowo wyczekująco, a następnie bardzo życzliwie.

Skład socjalny kolegów uczęszczających do mojej klasy był dość zróżnicowany. Przeważali uczniowie pochodzący z samego Pleszewa. Trzech z nas było synami rolników: Edmund Herud, Stanisław Sikora oraz ja. Inni koledzy to: Wiktor Tilgner, syn kupca bławatnego i właściciela kina, Władysław Szulczyński, syn mistrza siodlarskiego, Władysław Nasiadek, syn drobnego kupca z Odolanowa, Józef Suchocki, syn właściciela apteki w Pleszewie, Kazimierz Pietrzak, syn robotnika zamieszkałego w Westfalii, Edmund Tomaszewski, syn samodzielnego ogrodnika. Z początkiem roku szkolnego 1920/21 zostali przyjęci do naszej klasy: Helena Makowska, córka kupca, Rajmund Ertel i Juliusz Kawczyński, synowie nauczycieli szkół podstawowych oraz Bolesław Celiński z Kamieńca Podolskiego, syn zmarłego tam właściciela apteki.

Z grupy tej uzyskali w 1923 r. maturę: Edmund Tomaszewski, Rajmund Ertel, Józef Suchocki, Bolesław Celiński, Władysław Szulczyński, Helena Makowska i ja. Trzech z nas ukończyło studia prawnicze: Celiński, Tomaszewski i ja, jeden filologiczne (Ertel), jeden zapisał się na studia medyczne (Szulczyński), a dwoje ukończyło studia farmaceutyczne (Makowska i Suchocki).

W Liskowie uczęszczałem zawsze do klasy, która w danym roku była najwyższą. W Pleszewie znalazłem się w klasie przedostatniej. Wyprzedzała nas bowiem *niższa secunda*. Stan ten trwał tylko przez sześć miesięcy. Z końcem 1919/20 r. absolwenci *niższej secundy* opuścili nasze progimnazjum przenosząc się do innych miast, gdzie istniały pełne gimnazja. W ten sposób otrzymując promocję do *niższej secundy* znalazłem się znów w roku szkolnym 1920/21 w klasie najwyższej. Nastąpiło też wówczas przemianowanie klas według systemu polskiego. Nasza klasa była więc klasą VI.

Należenie do klasy najwyższej miało swoje dobre i złe strony. Korzystnie było należeć do klasy najwyższej w szkole, gdyż było się wówczas jak gdyby na „świeczniku”. Dogadzało to naszej ambicji. Byliśmy znani przez uczniów wszystkich klas niższych i traktowani w sposób uprzywilejowany przez naszych profesorów. Z uwagi na nikłą liczbę uczniów w naszej klasie byliśmy również coraz powszechniej znani w całym mieście.

Niedogodności polegały na tym, że pełniliśmy niejako funkcje „pionierów”. W miarę naszego rozwoju i przechodzenia do wyższych klas nasi profesorowie musieli opanowywać nowe programy i przygotowywać się do wykładów z przedmiotów, z którymi mieli do czynienia po raz pierwszy. Nasza klasa miała stanowić wzorzec dla niższych klas zarówno w zakresie postępu w nauce, jak i w zakresie zachowania się. Była to sytuacja wysoce krępująca. Ale *noblesse oblige!*

Jako klasa najwyższa byliśmy przez dyrektora szkoły niejednokrotnie zapraszani do brania udziału w różnych imprezach popularno-naukowych i artystycznych, jakie miały miejsce w środowisku pleszewskim. W naszej klasie, traktowanej jako klasa dorosłych, można było dyskutować z profesorami o problemach wykraczających poza program zajęć. Mniej rygorystycznie też przestrzegana była w stosunku do nas zasada nie pokazywania się na ulicy po określonej godzinie. Z tego ostatniego przywileju korzystałem stale z konieczności. Udzielając korepetycji, niejednokrotnie dopiero późnym wieczorem powracałem do domu.

Nasza rola pionierów miała wyrazić się w szczególnej formie w latach 1921–1923. Uczęszczając do klasy VI zadawaliśmy sobie pytanie, co pocniemy, gdy klasę tę ukończymy. Większość z nas nie miała środków na przeniesienie się do innego miasta. A w Pleszewie nie było dotąd zorganizowanych ostatnich lat gimnazjalnych. W naszym gronie zrodziła się wówczas myśl kontynuowania na miejscu nauki w zakresie klasy VII i VIII. Postanowiliśmy w tym celu opłacać osobno naszych profesorów, a szkoła miała nam zapewnić lokal. Myśl ta znalazła uznanie naszego dyrektora i została też akceptowana przez Kuratorium. Ilość godzin nauczania została w opracowanym programie znacznie ograniczona, a my sami zmuszeni byliśmy w szerokim zakresie oprzeć naukę na samokształceniu. Nie był to system łatwy, ale możliwy do przeprowadzenia.

Nasz prywatny kurs był obserwowany przez Kuratorium, którego przedstawiciele niejednokrotnie nas wizytowali. Przy składaniu egzaminu dojrzałości nie korzystaliśmy z jakichkolwiek ulg przewidzianych w normalnych gimnazjach państwowych. Musieliśmy więc składać egzaminy pisemne i ustne ze wszystkich przedmiotów. Przewodniczącym Komisji Egzaminacyjnej był wizytator Kuratorium ksiądz Binek, specjalista z zakresu historii. Egzamin maturalny dał pozytywne wyniki. Świadectwo dojrzałości otrzymali wszyscy uczestnicy kursu.

W ten sposób własną postawą i przy czynnym zaangażowaniu się profesorów otwarta została dla szkoły szansa uzyskania pełnych praw gimnazjalnych. Nastąpiło to dopiero w roku szkolnym 1924/25. Kończący po nas klasę VI koledzy nie powtórzyli bowiem naszego eksperymentu i zmuszeni byli kontynuować naukę gimnazjalną w innych miastach.

Lata spędzone w Pleszewie były latami kształtowania się państwowości polskiej po odzyskaniu w 1918 r. niepodległości. Nie były to lata łatwe. Rok szkolny 1919/20 był rokiem wojny polsko-radzieckiej, której skutki dawały się odczuwać w całym kraju. Rzecz jasna, że sprawy te były nie tylko przedmiotem troski starszego społeczeństwa, ale również całej młodzieży szkolnej. Kiedy front zbliżał się do Warszawy rzucono hasło ochotniczego zgłaszania się starszych roczników do wojska. Z naszej klasy, o ile pamiętam, zgłosił się jako ochotnik najstarszy z nas, Stanisław Sikora, który powrócił do szkoły dopiero późną jesienią 1920 r.

Żywo przeżywaliśmy odzyskanie na mocy traktatu wersalskiego niewyzwolonych wcześniej obszarów Wielkopolski oraz Pomorza wraz z dostępem do morza. Profesorowie wyjaśniali nam nowe granice zachodnie. Przeżywaliśmy też z głębokim bólem wyniki przeprowadzonego w 1920 r. plebiscytu na Warmii i Mazurach. Śledziliśmy również rozgrywane się walki o Górną Śląsk.

Wszystkie te sprawy omawialiśmy wówczas z naszymi profesorami i między sobą. W miarę naszych możliwości i warunków wnosiliśmy w te sprawy swój własny wkład. Pamiętam, że przed wybuchem III powstania śląskiego w 1921 r. w różnych punktach

Polski zgłaszać się zaczęli ochotnicy. Punkt rejestracji ochotników utworzony został również w Pleszewie. Opiekę nad nim sprawował podporucznik Przybecki z Poznania. Zostałem wówczas przez dyrektora delegowany do prowadzenia, według udzielonych mi wskazówek, rejestru ochotników. Przeważnie byli to ochotnicy pochodzący z powiatu kaliskiego. Zarejestrowało się ich około 150. W terminie zbiórki zgłosiło się ich jednak tylko około połowy. Pod komendą ppor. Przybeckiego i w mojej obecności odprawieni zostali w zwartym szyku na dworzec kolejowy, skąd odjechali w kierunku Śląska.

Interesowały nas również sprawy związane z kształtowaniem się ustroju naszego państwa oraz dyskusje sejmowe i prasowe dotyczące konstytucji, ciężkich warunków gospodarczych, strajków. Pamiętam dobrze dramatyczny przebieg strajku robotników rolnych w 1922 r.

W Pleszewie pojawiali się często przedstawiciele różnych stronnictw politycznych. Organizowane z tej okazji wiece odbywały się przeważnie w położonej nieco za miastem sali ówczesnego Bractwa Kurkowego. Nam, uczniom, nie wolno było brać w nich udziału. Zakazu tego nie zawsze przestrzegaliśmy. Byliśmy bowiem bardzo ciekawi zarówno występujących na nich polityków, jak i dyskusji. Trzeba podkreślić, że w wiecach organizowanych wówczas przez różne stronnictwa polityczne mógł brać udział każdy. Głosu w dyskusji udzielano również przeciwnikom politycznym. Z reguły zarówno organizatorzy, jak i uczestnicy wieców przestrzegali zasad parlamentarnych. Wysłuchiwali opinii różnych dyskutantów, reagując na wywody mówców bardzo żywo, aprobując lub dezaprobuując.

Z czasem zaczęto łamać zasady *fair play*. Winę za to ponosi Narodowa Demokracja, która strzegąc bardzo zazdrośnie swojej przewagi w środowiskach mieszczańskich, starała się w sposób czynny udaremnić lub rozbijać wiece organizowane przez inne stronnictwa polityczne. Ze szczególną zawziętością zwalczano wówczas zdobywające sobie na terenie Wielkopolski coraz większy wpływ Stronnictwo Ludowe „Piast”, kierowane przez Wincentego Witosa. Na wiece organizowane przez „witosowców” nasyłano specjalne grupy rozbijaczy. Wielką rolę odgrywał tu szerzony przez Narodową Demokrację antagonizm dzielnicowy.

Próba rozbicia wiecu, na który przybył Wincenty Witos, miała miejsce również w Pleszewie. Jednak licznie zebrani z całego powiatu chłopcy nie dopuścili do tego, usuwając awanturników z sali.

Z mniejszą niechęcią odnosiła się Narodowa Demokracja do wieców organizowanych przez Narodową Partię Robotniczą, mającą wtedy wielkie wpływy wśród licznych w Wielkopolsce rzesz pracowników folwarcznych oraz robotników przemysłowych. Nie przeszkadzano też w odbywaniu wieców i zebrań organizowanych przez Chrześcijańską Demokrację, tracącą w coraz większym stopniu swe wpływy na rzecz Narodowej Demokracji.

W województwie poznańskim socjaliści, a tym bardziej komuniści, nie odgrywali wówczas większej roli. Nie było też zorganizowanych grup radykalnych partii chłopskich. Osobiście widziałem wtedy na wiecu w Pleszewie tylko jednego posła socjalistycznego, Antoniego Anusza. Było to w jesieni 1920 r. Poseł Anusz referował przebieg walk na froncie wschodnim zgodnie z ówczesnymi tezami zwolenników Józefa Piłsudskiego. Po jego referacie wysłuchanym z uwagą wywiązała się gorąca i ostra dyskusja, utrzymana w bardzo poprawnej formie.

Wiece polityczne odgrywały w pierwszych latach odrodzonego państwa polskiego bardzo dużą rolę. Uczyły one szerokie rzesze społeczeństwa myślenia politycznego. Co więcej, uczyły one takiego myślenia w skali całego kraju. Pozwalały na urabianie opinii społecznej w sposób skuteczniejszy, aniżeli mogła tego dokonać prasa. Dzięki licznemu zwykle udziałowi w wiecach, obywatele urabiali sobie też opinię o ówczesnych przywódcach politycznych. Do jednych z nich ustosunkowywali się z dużą sympatią, do innych z niechęcią, a nawet z odrazą.

Na podstawie bezprawnego uczestnictwa w organizowanych w Pleszewie wiecach, również i my, uczniowie, zdobywaliśmy materiał do żywej dyskusji zarówno z profesorami, jak i między sobą. Niektórzy z moich kolegów mieli dar znakomitego naśladowania mówców wiecowych. Toteż w czasie przerw między lekcjami powtarzano usłyszane przemówienia. Budziło to powszechną wesołość.

Rzecz jasna, że i wśród moich kolegów nie było jednomyślności politycznej. Na ten stan rzeczy wpływały nie tyle indywidualnie wykształcone oceny, ile raczej wpływ środowiska. Przeważna część kolegów była pod wpływem ideologii endeckiej. Mnie fascynowała w owym czasie osoba Wincentego Witosa, którego wielkim zwolennikiem był mój Ojciec. Kolega Kazimierz Pietrzak, o ile sobie dobrze przypominam, był w swoich poglądach zbliżony do Narodowej Partii Robotniczej.

W okresie mego pobytu w gimnazjum uważnie obserwowałem życie miasta i jego mieszkańców. W tym okresie Pleszew był miastem powiatowym, który to charakter uzyskał już w 1818 r. Według spisu z 1921 r. miasto na ogólną liczbę 7638 mieszkańców liczyło jedynie 537 Niemców i 116 Żydów, którzy (zarówno Niemcy jak i Żydzi) w lwiej części stopniowo również przenosili się do Niemiec. Miasto miało więc charakter czysto polski. Już w okresie zaborów stanowiło ono poważny bastion polskości.

W ciągu pierwszych miesięcy po powstaniu wielkopolskim opuścili Pleszew niemieccy urzędnicy, wojskowi i pewna ilość kupców i rzemieślników. Odplyw elementu niemieckiego nie wpłynął na zmianę fizjonomii miasta. Charakteryzowało się ono w dalszym ciągu wewnętrzną zwartością jego mieszkańców, zasiedziałością i względną zamożnością.

Główną funkcją miasta była obsługa rolniczego zaplecza, jakim był w całości powiat pleszewski. W mieście rozwinięte było przede wszystkim rzemiosło i drobny handel. Do większych zakładów przemysłowych należały Pleszewskie Młyny Parowe S.A., Zakłady Metalowe S. Samulskiego, Fabryka Maszyn Rolniczych Wysockiego, Fabryka Wyrobów Papierowych Kazimierza Świerkowskiego oraz Fabryka Aparatury dla Przemysłu Spożywczego Radomskiego<sup>h)</sup>.

Miasto było – jak na owe czasy – wzorowo wyposażone. Posiadało należycie wybrukowane ulice, wodociągi i kanalizację, własną elektrownie i gazownię.

Starostwo Powiatowe mieściło się w pięknym gmachu przy ul. Poznańskiej. Osobne budynki zajmowały Urząd Skarbowy i Kasa Skarbowa, nie wchodzące wówczas w skład Starostwa. Magistrat oraz Sąd Powiatowy mieściły się w gmachu Ratusza. Osob-

---

<sup>h)</sup> W okresie międzywojennym w Pleszewie istniało szereg przedsiębiorstw. Do największych zaliczały się: Pleszewskie Młyny Parowe Tow. Akcyjne w Pleszewie, Pleszewska Fabryka Maszyn S. Samulski i S-ka, Fabryka Mebli M. i W. Misiaków, Wielkopolska Fabryka Wyrobów Papierowych, Fabryka Konserw i Marmolady. Prócz tego działały trzy fabryki maszyn, dwa przedsiębiorstwa spedytorskie, dwie wytwórnie wód gazowanych, fabryka mebli, wytwórnia octu, fabryka luster, tartak, mleczarnia, młyn motorowy oraz warsztat remontujący samochody.



no, w pobliżu koszar, miał swą siedzibę Inspektorat Szkolny, a naprzeciwko znajdowała się Komenda Policji. Poza śródmieściem znajdowały się nowe obszerne koszary wojskowe, w których stacjonował 70. pułk piechoty. Jednostki wojskowe stanowiły w owym czasie czynnik korzystny dla gospodarki miejskiej i powiatowej. Jednostki te zaopatrywały się bowiem w potrzebne im artykuły żywnościowe i przemysłowe oraz korzystały z usług miejscowych przedsiębiorstw, dając im zatrudnienie i zarobki. Zawodowi wojskowi oraz ich rodziny stanowiły również dobrą klientelę dla handlu i rzemiosła.

Z uwagi na rolę, jaką w ówczesnym życiu społecznym odgrywał Kościół, należy wspomnieć, że proboszczem parafii katolickiej w Pleszewie był znany społecznik o szerokich zainteresowaniach intelektualnych ksiądz prałat Kazimierz Niesiołowski, a parafii ewangelickiej – obejmującej cały powiat – pastor Jost.

Jako młody człowiek byłem kiedyś wysoce zdziwiony widząc księdza Niesiołowskiego spacerującego pod rękę z pastorem Jostem. Jak się później dowiedziałem, łączyły ich dobre stosunki, a nawet przyjazna współpraca. Parafia ewangelicka rozporządzała bowiem obszernymi budynkami, w których mieścił się zakład dla sierot. Wobec odpływu ludności protestanckiej zakład dysponował wolnymi miejscami, które pastor Jost stawiał za pośrednictwem ks. Niesiołowskiego do dyspozycji polskich sierot oraz dzieci pozbawionych należytej opieki rodziców.

Kiedyś opowiadał mi ksiądz Niesiołowski o pewnej dziewczynie, która zwróciła się do niego z prośbą o przyjęcie do żłobka jej dziecka, którego – pracując zarobkowo – nie miała możliwości zachować przy sobie. Przejął się jej prośbą i załatwił umieszczenie dziecka w zakładzie pastora Josta. Po kilkunastu miesiącach zgłasza się ta sama interesantka z drugim dzieckiem. „Byłem – mówił – tym zgorszony i wypowiedziałem pod adresem matki kilka cierpkich słów, ale dziecko znalazło również miejsce w zakładzie. Kiedy jednak matka zgłosiła się z trzecim dzieckiem – zbeształem ją solidnie. A ona mi na to: »Księżu prałacie, człowiek jest ułomny!« – Obezwładniła mnie tym oświadczeniem... I to dziecko znalazło opiekę.”

Księdza Niesiołowskiego cechował wielki realizm. Kiedy w 1946 r. złożyłem mu pierwszą powojenną wizytę, oświadczył mi, że z najwyższym zainteresowaniem obserwuje poczynania władzy ludowej. „Po raz pierwszy – powiedział – w naszej historii rząd realizuje rzetelnie i konsekwentnie zapowiedzi »programowe«”. Opinię tę przekazałem przy najbliższej sposobności grupie ministrów, z którymi zetknąłem się w bufecie sejmowym. Przyjęto ją z dużym zainteresowaniem.

Właścicielem jedynej w mieście apteki „Pod Orłem” był mgr Stanisław Suchocki, znany powszechnie nie tylko przez ludność całego powiatu, lecz również dalszych okolic. Jego wiadomości z zakresu botaniki były tak wysoko cenione, że gimnazjum powierzało mu odbywanie z uczniami ćwiczeń i zamiejskich wycieczek botanicznych.

W tym czasie znano stosunkowo nieliczne specyfiki, których dostarczały aptekom w stanie gotowym fabryki farmaceutyczne. Większość lekarstw sporządzana była na podstawie recept lekarskich przez aptekarzy. Mgr Suchocki otrzymując receptę wdawał się często w rozmowę z pacjentem i niejednokrotnie kierował go ponownie do lekarza o zmianę lub uzupełnienie recepty, gdyż – jego zdaniem – na daną dolegliwość bardziej odpowiedni był inny lek. Lekarze zrywali się często na tego rodzaju kontrolę, jednak licząc się z autorytetem aptekarza ulegali jego sugestii. Panowała legenda, że współpracował on ze sławnym znachorem, owczarzem z pobliskiego Kotlina. Na podstawie zaleceń tegoż znachora przygotowywał odpowiednie lekarstwa. Należyta kontrola mgr.

Suchockiego i jego doskonała znajomość farmaceutyki sprawiała, że pacjenci znachora nie byli narażeni na podejrzone leki. Bardzo popularna była wytwarzana przez mgr. Suchockiego maść „Po Bogu” o szerokim zakresie zastosowania. Poza sprawami aptekarskimi mgr Suchocki interesował się zagadnieniami historyczno-kulturalnymi. Toteż nieocenione były jego rady i wskazówki, z jakich korzystaliśmy przy przygotowywaniu przedstawień teatralnych. Pełnił on wówczas z dużym zapałem funkcje reżysera, kostiumologa i inscenizatora. Według jego zaleceń sprowadzaliśmy do przygotowywanych przez gimnazjum przedstawień odpowiednie kostiumy z Poznania.

Należy nadmienić, że aptekarstwo stało się niejako zawodem dziedzicznym w rodzinie Suchockich. Za przykładem ojca farmację ukończyli: córka Maria oraz syn Józef (mój kolega klasowy i przyjaciel) ożeniony również z farmaceutką Wandą. Oboje kierują dotąd dawną ojcowską apteką<sup>1)</sup>.

Dom pp. Suchockich był najbardziej dystyngowanym domem w mieście i powiecie. Królowała w nim żona mgr. Stanisława, Anna Suchocka. Gościnność, serdeczność i życzliwość tego domu była szeroko znana. Doznawałem jej niejednokrotnie.

W omawianym przeze mnie okresie czynnych było w Pleszewie czterech lekarzy: dr Jan Białasik, dr Władysław Likowski, dr Jarzembowski oraz lekarz powiatowy dr Kirschstein z pochodzenia Niemiec, który – podobnie jak i jego rodzina posiadająca w powiecie majątek Skrzypnę i Wolę Duchowną – ulegał w okresie międzywojennym polonizacji.

Poza dr. Kirschsteinem pozostali lekarze łączyli funkcje zawodowe z zainteresowaniami politycznymi. Dr Białasik (internista) był w mieście i powiecie czołowym działaczem Narodowej Demokracji, dr Likowski, „lekarz praktyczny, chirurg i akuszer”, należał do zwolenników Marszałka Piłsudskiego, a uważany za dziwaka dr Jarzembowski związany był z Narodową Partią Robotniczą.

W Pleszewie nie było szpitala powiatowego. Rolę tę spełniał duży szpital należący do Zgromadzenia Sióstr Służebniczek. W szpitalu tym czynni byli na podstawie umów-zlecenia wyżej wymienieni lekarze. Udzielali oni ponadto pomocy lekarskiej osobom objętym ubezpieczeniem społecznym oraz urzędnikom państwowym i ich rodzinom, korzystającym w innym trybie z opieki lekarskiej. Podstawą jednak zarobków ówczesnych lekarzy stanowiła praktyka prywatna.

Moje funkcje korepetytora ułatwiły mi bliższe poznanie szeregu znanych w Pleszewie rodzin. Poza rodziną pp. Suchockich z szacunkiem wspominam domy pp. Karczewskich, Janiaków, Zboralskich, Makowskich i Chojnackich. Znajomość z tymi rodzinami pozwalała mi bliżej poznać nie tylko środowisko mieszczańskie, ale również wnikać bliżej w nieznaną mi dotąd dziedzinę zawodów pozarolniczych.

Mimo że po uzyskaniu matury rozluźniły się więzy, które przez okres trzech i pół lat łączyły mnie nie tylko z gimnazjum, ale i ze środowiskiem pleszewskim, okres lat 1919–1923 na trwałe zapisał się w mojej pamięci. Tu – jako dobry uczeń – nabrałem może nieco przesadnej wiary we własne możliwości intelektualne. Tu zadzierzgnięte zostały do dziś trwające więzy przyjaźni.

Jestem dumny z tego, że byłem jednym z wychowanków pleszewskiego gimnazjum. Zasilili oni w późniejszych latach w poważny sposób kadry polskiej inteligencji i po-

---

<sup>1)</sup> Józef i Wanda Suhoccy prowadzili aptekę do 1983 r., tj. do przejścia Józefa (zm. 1985) na emeryturę; Wanda (zm. 1990) pracowała w aptece jeszcze w następnych latach.

mnożyli dorobek kulturalny naszego kraju. Są wśród nich profesorowie szkół akademickich i średnich oraz liczne rzesze lekarzy, prawników, ekonomistów, inżynierów. Wielu z nich oddało swe życie w okresie najazdu hitlerowskiego, pozostali – w miarę swych sił – dobrze służą na różnych posterunkach Polsce Ludowej.

Z wdzięcznością wspominam swych ówczesnych profesorów. Żaden z nich już nie żyje. Jeszcze w 1948 r., gdyśmy obchodzili 25-lecie pierwszej matury, w uroczystościach uczestniczyli: dyrektor Szweda i profesorowie: Chciuk, Laskowski, Kościńska, ksiądz Herwart. Na obchodzone w 1969 r. 50-lecie szkoły – nie przybył już żaden z nich.

Ster szkoły – obecnie Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica – przejęli inni. Po odejściu w 1933 r. dyrektora Szwedy do Kościerzyny, funkcję dyrektora pełnił przez 15 lat (z przerwą wojenną) Marian Dohnal, od 1968 r. dyrektorem Liceum jest mgr Jan Piasecki<sup>j)</sup>.

---

<sup>j)</sup> Od 1945 funkcję dyrektora Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica w Pleszewie pełnili: Maksymilian Józefiak (od lutego do września 1945); Marian Dohnal (wcześniej 1933–1939 i od września 1945 do 1948); Hipolit Marciniak (1948–1949); Władysław Jachowski (1949–1966); Antoni Szymański (1966–1968); Jan Piasecki (1968–1974); Andrzej Kulig (1974–1990) i Andrzej Szymański (od 1990).

## ROZDZIAŁ V

## STUDIA UNIWERSYTECKIE (1923–1927)

Kiedy we wrześniu 1923 r. zapisywałem się na studia ekonomiczne i prawne, struktura Uniwersytetu Poznańskiego była już w pełni skryształizowana. Uniwersytet obejmował wówczas pięć wydziałów: prawno-ekonomiczny, lekarski z oddziałem farmaceutycznym, humanistyczny, matematyczno-przyrodniczy i rolniczo-leśny.

Wstęp na studia nie podlegał żadnym ograniczeniom. Każdy z kandydatów mógł wybrać dowolny wydział i dowolny kierunek studiów. Nie obowiązywały kandydatów ani egzaminy wstępne, ani konkursy matur. Odnosiło się to również do takich kierunków studiów, w których poważna część zajęć dydaktycznych odbywała się w pracowniach i laboratoriach, jak medycyna i farmacja, chemia, fizyka oraz rolnictwo i leśnictwo. Działo się tak dlatego, że napływ na te kierunki nie był nadmierny. Ponadto prawidłowa selekcja przeprowadzana zwłaszcza na I i II roku studiów powodowała, że laboratoria nie były zbyt przeciążone.

Na kierunkach humanistycznych kwestia laboratoriów nie odgrywała żadnej roli i z tego tytułu też nie widziano potrzeby ograniczania liczby studentów. Szczególnie dużą popularnością i wysoką liczbą studentów cieszył się Wydział Prawno-Ekonomiczny. Brak reglamentacji w zakresie liczby przyjęć wynikał również z tej przyczyny, że młodzież odbywała studia niejako na własny rachunek i ryzyko. Państwo bowiem w niewielkim jedynie stopniu służyło pomocą materialną, a ponadto nie dawało nikomu gwarancji, że po ukończeniu studiów znajdzie odpowiednie zatrudnienie.

Przy wyborze studiów młodzież kierowała się różnymi względami. Niewątpliwie poważną rolę odgrywało tu nie tylko zamiłowanie i uzdolnienia, ale i perspektywy zawodowe związane z odpowiednim kierunkiem studiów. Największe perspektywy dawały wówczas studia lekarskie, farmaceutyczne oraz studia prawnicze. Na rolnictwo zapisywali się przeważnie synowie właścicieli ziemskich, którzy wyniki studiów mogli spżytkować we własnych majątkach. Początkowo było znacznie mniej kandydatów na studia rolnicze ze strony osób, które zamierzały następnie pracować w urzędach związanych ze sprawami rolnymi, w szkołach rolniczych, ewentualnie w charakterze administratorów majątków prywatnych. Państwo nie prowadziło wówczas własnych gospodarstw rolnych, a posiadane przez nie majątki, zwłaszcza w województwach zachodnich, oddawało w długoterminowe dzierżawy.

Wreszcie o kierunku studiów decydowały warunki materialne studentów. Poważna ich część zmuszona była w toku studiów częściowo lub całkowicie zarabiać na swe utrzymanie. Tymczasem stała praca zarobkowa studenta nie dawała się pogodzić z takimi kierunkami studiów jak medycyna, farmacja, rolnictwo, leśnictwo, studia przyrodnicze, nie mówiąc już o studiach technicznych. Studenci tych kierunków mogli tylko w ograniczonym zakresie zarabiać korepetycjami, stanowiącymi w owym czasie dość

szeroką formę pomocy dla mniej zdolnych uczniów szkół średnich, których rodzice mogli ponieść ten wydatek.

Na żadnej uczelni polskiej nie były znane jakiegokolwiek formalne ograniczenia ilościowe czy restrykcje z uwagi na obywatelstwo studentów, ich narodowość, wyznanie czy rasę, nie mówiąc już o pochodzeniu społecznym.

Wysuwane w latach trzydziestych przez nacjonalistyczne organizacje młodzieżowe postulaty wprowadzania na wyższych uczelniach *numerus clausus*<sup>a)</sup> dla Żydów, nie znalazły posłuchu ani na samych uczelniach, ani w Ministerstwie. Słusznie bowiem uważano tego rodzaju hasła nie tylko za sprzeczne z konstytucją przyznającą równe prawa wszystkim obywatelom, ale również z wolnościowymi tradycjami narodu polskiego.

Zapisy na studia przyjmowane były we wrześniu każdego roku. Kandydat obowiązany był złożyć odpowiednie podanie, własnoręcznie napisany życiorys, dokument urodzenia, świadectwo maturalne oraz dwie fotografie. Gdy wpis nie następował w roku, w którym kandydat uzyskał maturę, konieczne było przedłożenie dodatkowego świadectwa „moralności”, czyli niekaralności. Kandydaci w wieku poborowym zobowiązani byli dołączyć albo dowód odbycia służby wojskowej, albo odroczenia jej do czasu ukończenia studiów.

Bardziej skomplikowany charakter miało przyjmowanie studentów przenoszących się z jednej uczelni na drugą lub z jednego wydziału na drugi, studentów mających przerwę w studiach, albo nie posiadających matur polskich, albo matur odpowiadających kierunkowi studiów, np. matury gimnazjów czy liceów, w których nie była wykładana łacina (w przypadku zapisywania się na prawo lub medycynę).

Po kilku dniach od złożenia podania wraz z załącznikami w Sekretariacie Dziekanatu, kandydat bywał wzywany do osobistego przedstawienia się dziekanowi, który – gdy wszystko było w porządku – wyrażał zgodę na przyjęcie na określony kierunek studiów. Następnie nowoprzyjęty student wypełniał karty wpisowe obejmujące przedmioty obowiązujące w poszczególnych semestrach oraz wpłacał w kwesturze opłatę za studia, czyli tzw. czesne. Dopiero na tej podstawie otrzymywał on tymczasową legitymację studencką. Na początku roku akademickiego – poza dniem inauguracji – odbywała się uroczystość immatrykulacji i wręczenia nowo przyjętym studentom indeksów.

Jak każdy nowo przyjęty kandydat, również i ja dopiero po kilku dniach zacząłem ogólnie orientować się w organizacji Uniwersytetu oraz w wymaganych na każdym wydziale formalnościach związanych z wpisem i studiami. Nieocenionym przewodnikiem był tu urzędowy *Spis wykładów*, który co roku każdy student mógł nabyć – począwszy od 1 września – u pedla za 1 złote<sup>b)</sup>. Spis obejmował wszystkie wydziały i kierunki studiów. Na jego podstawie można było zorientować się zarówno w składzie osobowym Uniwersytetu i jego władzach, jak i w przedmiotach obowiązujących na poszczególnych kierunkach studiów, od I roku począwszy a na ostatnim skończywszy. W *Spisie wykładów* wymienieni byli poszczególni wykładowcy i tytuły prowadzonych przez nich wykładów, godziny i sale wykładowe, seminaria, proseminaria, ćwiczenia i konwersatoria. Wreszcie w *Spisie* zawarte były przepisy dotyczące zaliczeń i egzaminów. *Spisy wykładów*, starannie opracowane, stanowiły nie tylko dla studentów I roku,

<sup>a)</sup> Numerus clausus – łac. liczba ograniczona; tu: ograniczenie liczby studentów pochodzenia żydowskiego na danej uczelni lub danym kierunku studiów.

<sup>b)</sup> Pedel – woźny uniwersytecki; złoty jako waluta wprowadzony został z dniem 1 lipca 1924 r.

ale również dla studentów lat następnych prawdziwy przewodnik pozwalający zorientować się w całokształcie życia naukowego i dydaktycznego uczelni. Toteż nabyty *Spis wykładów* był dla mnie równocześnie pierwszym podręcznikiem uniwersyteckim. Niezbędność podobnych informatorów wydawanych corocznie i dostępnych dla każdego jest tak oczywista, że nie mogę zrozumieć dlaczego uniwersytety w okresie powojennym podobnych *Spisów* nie opracowują, nie wydają i nie udostępniają. Obecnie wstępujący na studia, a potem i student wyższych lat, nie tylko nie orientuje się w całokształcie pracy prowadzonej przez uniwersytet i w jego składzie osobowym, ale nie ma też pojęcia o rodzajach i kierunkach studiów prowadzonych na własnym wydziale. Co więcej – student I roku nie ma informacji o tym, jakie przedmioty będą wykładane na dalszych latach.

Uniwersytet odwiedza corocznie spora ilość cudzoziemców: profesorów, młodszych pracowników naukowych i studentów. Rektor, dziekan, czy poszczególny profesor jest wówczas zażenowany, nie mogąc gościom swym wręczyć aktualnego, w odpowiedniej formie wydanego, urzędowego *Spisu wykładów*. Tymczasem odwiedzając obce uniwersytety przywozimy stamtąd wspaniale wydane tego rodzaju przewodniki.

Rozumiejąc wagę i znaczenie urzędowych spisów wykładów, dopilnowałem jako rektor Akademii Handlowej, aby bezzwłocznie po wojnie przed rozpoczęciem każdego roku akademickiego był przygotowany i dostępny dla studentów spis obowiązujących wykładów i zajęć, zawierający równocześnie spis osobowy Uczelni. Tradycji tej przestrzegają wszyscy następni rektorzy tej Uczelni – obecnie Akademii Ekonomicznej.

Dopiero wtórne znaczenie posiadały dla studentów ogłoszenia i zarządzenia władz Uniwersytetu i Wydziału, zamieszczane na znajdujących się w holu Collegium Minus tablicach i gablotach rektorskich i dziekańskich. Na tablicach tych zamieszczali poszczególni profesorowie zawiadomienia o terminie i miejscu rozpoczynania zajęć dydaktycznych oraz o przerwach i zawieszeniach tych zajęć.

Zasadniczym miejscem styku studenta z Uczelnią był (i jest dotąd) Sekretariat Dziekanatu, a w okresie przedwojennym – również Kwestura. Od obsady sekretariatu zależało, czy styk ten był miły, czy niesympatyczny. My na naszym Wydziale mieliśmy to szczęście, że przez dziesiątki lat – od początku funkcjonowania Wydziału – Sekretariat znajdował się w ręku niezwykle sympatycznych pań: Eleonory Szembelówny i Lucyny Ryxówny. Zarówno w okresie przedwojennym, jak i po wojnie były one prawdziwymi wychowawczyniami tysięcy studentów. W sposób życzliwy i inteligentny pomagały im w załatwianiu koniecznych formalności. Same wypracowały sobie technikę prowadzenia spraw studenckich i dziekańskich w sposób przejrzysty, pozbawiony formalistyki i ułatwiający sprawną obsługę zarówno studentów, jak i Dziekana i Rady Wydziałowej. Jeżeli się uwzględni, że na barkach obu tych pań spoczywał w okresie międzywojennym cały ciężar obsługi sekretarskiej najliczniejszego Wydziału, to podziwiać należy wkładany przez nie wysiłek, aby sprawy mogły być załatwiane na bieżąco. W praktyce pracowały one poza godzinami służbowymi, bez jakiegokolwiek dodatkowego wynagrodzenia. Toteż nie tylko studenci, ale i wszyscy profesorowie i asystenci, odnosili się do nich z najwyższym szacunkiem i uznaniem. Należałem do tych studentów, którzy przez długie lata – w związku z późniejszym związaniem się z Uniwersytetem – spotykali się niemal codziennie z obu paniami, aż do dnia ich przejścia na emeryturę.

Z Kwesturą stykał się student głównie z tej racji, że również na uczelniach państwowych pobierane były różnego rodzaju opłaty (wpisowe, czesne, egzaminacyjne). Obsłu-

zenie studentów pięciu wydziałów nie było rzeczą łatwą. Wszystko zależało od należytej organizacji i sprężystości załatwiania. Pod tym względem studenci mieli wiele pretensji. Przed okienkami Kwestury spotkać można było stałe ogonki. Najdrastyczniejsze sytuacje wynikły w 1923 r. w jesieni, kiedy to – jak wiadomo – kraj znajdował się w okresie niebywałej inflacji. Pewnego dnia ukazało się zarządzenie rektorskie, w myśl którego studenci obowiązani byli opłacić czesne przypadające na bieżący rok akademicki w dotychczasowej wysokości w ciągu dwóch lub trzech dni. Na wypadek niedotrzymania tego terminu czesne, stosownie do deprecjacji pieniądza, miało być wielokrotnie podwyższone.

Zarządzenie wywołało popłoch wśród studentów. Chcąc uniknąć płacenia czesnego w nowej wysokości, na którą nie mieli pokrycia, ustawili się do kasy w długi ogonek, który ciągnął się niemal od Zamku aż do Collegium Minus. Załatwianie studentów było tak powolne, że rektor zmuszony był zakreślony termin przedłużyć.

Zdołałem zapłacić czesne dopiero po półtoradniowym wyczekiwaniu w ogonku. Jak widzę z zachowanego indeksu, nastąpiło to w dniu 23 października 1923 r. Całoroczna opłata składała się wówczas z wpisowego 90 000 marek, czesnego 450 000 mk, opłaty bibliotecznej 90 000 mk, składki ubezpieczeniowej 500 mk – łącznie 630 500 mk. Wysokość tej kwoty trudno wyrazić w dzisiejszej walucie. Toteż łatwiej jest zorientować się w wysokości opłat płaconych w następnych latach, kiedy to wprowadzona została polska waluta „złoty polski”. W roku akademickim 1924/25 półroczna opłata wynosiła:

czesne	zł 25,-
opłata seminaryjna	7,50
opłata biblioteczna	3,-
Kasa Chorych	3,-
składka na stypendia akademickie	2,50
składka na pomoc akademicką	7,50
koszty druku	0,10
	<hr/>
Razem	48,60

W stosunku rocznym więc opłaty te wynosiły około 100 zł<sup>c)</sup>, co stanowiło równowartość dzisiejszych 1000 do 1500 zł. Nie była to opłata wysoka w porównaniu z opłatami obowiązującymi w uczelniach zagranicznych. Niemniej była ona dla niezamożnej części młodzieży poważnym obciążeniem. Toteż wielu z nas czyniło starania o odroczenie tych opłat na czas po zakończeniu studiów.

Z odroczenia takiego ze względów formalnych nie mogłem korzystać ani na I, ani na II roku studiów. Dopiero na III i IV roku, w związku z powierzeniem mi funkcji młodszego asystenta, uzyskałem odroczenie opłat przypadających za te lata na 10 lat. Kończąc więc studia miałem wobec Uniwersytetu zobowiązanie w wysokości 200 zł. Nie czekałem z jego spłatą do końca przyznanego mi terminu. Spłaciłem je już w rok po ukończeniu studiów.

<sup>c)</sup> Była to wysokość miesięcznego uposażenia np. najniższego rangą pracownika instytucji państwowych (woźnego, listonosza itp.).

W okresie moich studiów (1923–1927) uniwersytety korzystały z daleko sięgającej samorządności. Dziekani i rektorzy byli wybierani na okres roczny. Wybory nie podlegały zatwierdzeniu ze strony Ministerstwa.

Po śmierci pierwszego rektora Heliadora Święcickiego funkcje rektorskie w okresie moich studiów sprawowali profesorowie: Zygmunt Lisowski (1923/24) i Stanisław Dobrzycki (1924/25). Kolejnymi dziekanami na naszym Wydziale byli w tym czasie: w 1923/24 prof. Edward Taylor, w 1924/25 prof. Alfred Ohanowicz, w 1925/26 prof. Marcin Nadobnik, w 1926/27 prof. Józef Sułkowski. Funkcje prodziekanów i prorektorów pełnili ustępujący dziekani i rektorzy. Obowiązki ich ograniczały się w zasadzie do zastępowania dziekana czy rektora w razie ich nieobecności.

W normalnym toku spraw, przy dobrze funkcjonującym sekretariacie, student niezmiernie rzadko zmuszony był udawać się do dziekana, a tym bardziej do rektora. Ani w czasie studiów, ani przez szereg lat po studiach, kiedy już pełniłem funkcje asystenta i wykładowcy – nigdy nie byłem w Rektoracie. Każdorazowych rektorów widziałem jedynie w dniu inauguracji. Dziekanów zaś poznałem bliżej jako swych profesorów. Rzecz jasna, że wśród moich kolegów, którzy mieli jakieś komplikacje w toku studiów, pewna liczba zmuszona była stawać przed obliczem dziekańskim niejednokrotnie. Ogólnie jednak dziekan nie miał ze studentami zbyt wiele kłopotów. Więcej zajęć przysparzały mu raczej sprawy ogólne i sprawy pracowników naukowych.

Kontrolę studiów i zaliczanie semestrów przeprowadzał Sekretariat, który z jednej strony stwierdzał prawidłowość wpisów do indeksu i zaliczeń przez wykładowców obowiązujących wykładów, ćwiczeń i seminariów, jak i dokonywał zaliczenia poszczególnych semestrów. Wprawdzie zaliczenie semestru stwierdzane było podpisem dziekańskim, to jednak podpis ten zastępowano stampilią<sup>d)</sup>.

Poza posiedzeniami Rad Wydziałowych i udziałem w posiedzeniach Senatu, dziekani urzędowali w Dziekanacie przeciętnie nie więcej niż przez jedną godzinę dziennie. Było to wynikiem małego zbiurokratyzowania pracy uniwersyteckiej oraz ustabilizowania kadry nauczającej i planów nauczania.

Ani dziekanów, ani Rad Wydziałowych nie obciążały też zbyt wiele habilitacje i przewody doktorskie, których w okresie międzywojennym było niewiele. Nie obciążały ich również sprawy egzaminów rocznych ani końcowych, gdyż należały one do kompetencji komisji egzaminacyjnych i ich przewodniczących.

Na Wydział Prawno-Ekonomiczny zapisałem się z uwagi na moje szczególne zainteresowania dziedziną stosunków społecznych. Wydawało mi się, że w obranej dziedzinie będę mógł najłatwiej osiągnąć jakieś sukcesy życiowe. Nie bez znaczenia przy wyborze kierunku studiów była okoliczność, że w tym czasie sytuacja majątkowa moich rodziców była wyjątkowo opłakana. Nie mogłem więc liczyć na ich pomoc w czasie studiów. Dlatego też byłem zmuszony obrać taki kierunek, który by mógł mi w maksymalnym stopniu umożliwić odbywanie studiów przy równoczesnym zarobkowaniu na moje utrzymanie. Studia prawno-ekonomiczne zaś najbardziej tego rodzaju rozwiązanie umożliwiały.

Mówię „studia prawno-ekonomiczne”, mając na uwadze istniejące na Wydziale Prawno-Ekonomicznym dwa kierunki: prawny i ekonomiczny. Oba pomyślane były jako kierunki odrębne, których ukończenie dawało prawo do osobnych dyplomów magi-

<sup>d)</sup> Stampilia (właśc. stampiglia) – przestarz. pieczętka, stempel z nazwiskiem, firmą, herbem itp.



stra nauk prawnych lub magistra nauk ekonomiczno-politycznych. Niemniej jednak kierunki te wzajemnie się zazębiały. Niektóre przedmioty były na obu kierunkach wspólne. Inne przedmioty wykładane na kierunku prawnym uwzględniane były – choć w mniejszym zakresie – również na kierunku ekonomicznym. I odwrotnie.

Na dwóch pierwszych latach możliwe było równoczesne studiowanie na obydwu kierunkach. Dopiero od II roku następowało pełne wyodrębnienie, a studenci byli obowiązani decydować się, czy chcą kończyć studia na sekcji prawnej, czy też ekonomicznej.

Podobnie jak wielu moich kolegów, zarówno na I jak i na II roku, „obłożyłem” obydwie sekcje. Moim pierwotnym zamiarem było ukończenie studiów ekonomicznych. Toteż po I roku studiów przystąpiłem w okresie przedwakacyjnym najpierw do złożenia egzaminów z przedmiotów ekonomicznych, a dopiero w okresie powakacyjnym z przedmiotów prawnych. Dopiero na II roku zorientowałem się, że będąc zmuszony do przebywania ze względów zarobkowych poza Poznaniem i nie mogąc uczęszczać na wykłady ani ćwiczenia, nie będę w stanie przygotować się równocześnie do obydwu egzaminów na podstawie samych tylko podręczników i skryptów, które zdobywało się z dużą trudnością. Ponadto uświadomiłem sobie wtedy, że w ówczesnych warunkach studia ekonomiczne otwierały przede mną bardzo ograniczone szanse życiowe. Były to studia teoretyczne, obejmujące zagadnienia raczej makroekonomiczne i umożliwiające zajęcie określonych stanowisk jedynie w administracji państwowej, głównie w urzędach państwowych i bankach. Ten typ studiów był w owym czasie nowością, a absolwenci sekcji ekonomicznej spotykali się w pierwszych latach z brakiem zrozumienia ich użyteczności ze strony potencjalnych pracodawców. Znacznie szersze szanse życiowe dawało ukończenie studiów prawnych. Z tego też względu po ukończeniu II roku zdecydowałem się kontynuować studia na sekcji prawniczej.

Zajęcia dydaktyczne miały zarówno w czasie moich studiów, jak i w okresie późniejszym przede wszystkim postać wykładów. Wykłady w odniesieniu do niektórych przedmiotów uzupełniane były ćwiczeniami lub konwersatoriami prowadzonymi przez samych profesorów. Dopiero na IV roku obowiązywało studentów uczestnictwo w jednym z seminariów. Udział w prowadzonych zajęciach był formalnie obowiązkowy. Stwierdzali go przy końcu każdego semestru profesorowie swymi podpisami w indeksie. Praktycznie w obowiązujących wszystkich studentów zajęciach uczestniczyła jedynie większa lub mniejsza ich część. Zależało to od formy, w jakiej były prowadzone wykłady, od tego czy dla danego przedmiotu istniały podręczniki lub skrypty oraz od surowości wymagań poszczególnych profesorów. Na ogół frekwencja na wykładach była za moich czasów dość znaczna. Zazwyczaj audytoria nie świeciły pustkami. Szczególnie były one przepełnione przy końcu semestrów, kiedy to studenci musieli – z reguły osobiście – przedstawiać indeksy do podpisu profesora. Niektórzy z profesorów bowiem dość skrupulatnie zważali na to, aby indeks przedstawiał jego właściciel. Studenci nie uczęszczający na wykłady starali się przedłożyć indeks za pośrednictwem swych kolegów. Zdarzały się przy tym wypadki. Sam byłem świadkiem, jak profesor Abdon Kłodziński podpisując indeks zapytał studenta: „To pański indeks?” – „Tak, Panie Profesorze”. Profesor przyjrzał się studentowi, potem fotografii w indeksie i zapytał: „A skąd Pan rodem?” Zmieszany student odpowiada: „Z Królestwa”, a na to profesor widząc, że miejscowość urodzenia nie była położona na terenie Królestwa, powiedział: „Tak, z Królestwa, ale chyba niebieskiego”. Mimo to wręczył mu podpisany indeks. Niektórzy

jednak odmawiali podpisu indeksów przedkładanych im przez kolegów. Zmuszało to zainteresowanych do przybycia na wykład przynajmniej w dniach podpisywania indeksów.

Rok akademicki podzielony był na trzy trymestry. Podział ten pozwalał na rozłożenie poszczególnych wykładów i innych zajęć w dość elastyczny sposób. Jedne wykłady prowadzone były nieraz w różnych wymiarach przez wszystkie trzy trymestry, inne jedynie przez dwa, a nawet przez jeden trymestr. Poszczególni profesorowie poza wykładami głównymi prowadzili wykłady uzupełniające. Wszystko to nie miało wpływu na system egzaminów. System ten polegał na tym, że zarówno na kierunku prawnym, jak i ekonomicznym egzaminy odbywały się raz do roku w terminie przedwakacyjnym (w czerwcu) lub – w wyjątkowych wypadkach za zgodą dziekana – w terminie powakacyjnym (w październiku). Egzaminy z wszystkich przedmiotów danego roku składało się jednego dnia.

Dla każdego roku studiów istniała komisja egzaminacyjna, w skład której wchodziła wszyscy egzaminatorzy danego roku. Jeden z nich pełnił funkcję przewodniczącego. I tak, w czasie moich studiów na Sekcji Prawnej przewodniczyli: na I roku prof. Zygmunt Lisowski, na II roku prof. Antoni Peretiatkowicz, na III roku prof. Józef Jan Bosowski, a na IV roku prof. Alfred Ohanowicz. Terminy egzaminów wyznaczał dziekan. Odbywały się one z reguły przez cały czerwiec w godzinach przed- i popołudniowych. Listy studentów mających zdawać w poszczególne dni wywieszane były już naprzód według alfabety na tablicach dziekańskich. Studenci byli obowiązani ściśle przestrzegać wyznaczonych terminów pod rygorem utraty roku. Bardzo wyjątkowo można było uzyskać przesunięcie terminu w obrębie sesji, albo też przesunięcie terminu przedwakacyjnego na termin powakacyjny. Tego rodzaju zasada przyczyniła się do dużej dyscypliny egzaminacyjnej. Przed rozpoczęciem egzaminu przewodniczący Komisji sprawdzał listę obecnych, odbierał indeksy oraz kwity stwierdzające opłacenie taksy egzaminacyjnej i wpisywał nazwiska zdających do prowadzonej przez siebie księgi. Następnie studenci przystępowali kolejno do składania egzaminów z poszczególnych przedmiotów. Każdy egzaminator egzaminował w oddzielnym pokoju. Po przeegzaminowaniu wszystkich studentów egzaminatorzy schodzili się do pokoju przewodniczącego, gdzie wpisywali oceny do odpowiednich rubryk w księdze egzaminacyjnej. Przy tej sposobności odbywała się dyskusja nad sprawami wątpliwymi. W szczególności uzgadniano wówczas, czy student winien złożyć poprawkę z określonego przedmiotu, czy też powtórzyć rok.

Na poszczególnym roku składało się zazwyczaj cztery, a wyjątkowo pięć egzaminów. Egzamin złożony niedostatecznie z jednego przedmiotu upoważniał do złożenia poprawki w terminie powakacyjnym. Jeżeli student otrzymał dwie lub więcej ocen niedostatecznych – cały egzamin uznawano jako niedostateczny i student obowiązany był powtarzać dany rok, jeżeli chciał dalej studiować. Możliwość powtórzenia roku po raz pierwszy nie była połączona z żadnymi trudnościami. Natomiast na powtarzanie roku po raz drugi konieczna była zgoda dziekana.

System egzaminów grupowych składanych jednego dnia z wszystkich przedmiotów obowiązujących na roku utrzymał się na Wydziale Prawno-Ekonomicznym również w pierwszych latach powojennych. Walory tego systemu są wielorakie. Składanie egzaminów tylko raz w roku, i to w jednym dniu, zmuszało studentów do kompleksowego opanowania wszystkich przedmiotów obowiązujących na danym roku. W tym celu student miał do dyspozycji całoroczny okres nie przerywany składaniem egzaminów

w okresach trymestralnych, czy półrocznych, co łączy się zawsze z

zaprzestaniem uczęszczania na zajęcia prowadzone w tym czasie z wszystkich innych przedmiotów. Następną zaletą ówczesnego systemu egzaminacyjnego była ograniczona ilość przedmiotów objętych egzaminami. Były to przedmioty podstawowe. Z przedmiotów ubocznych nie było osobnych egzaminów. Objęte one były egzaminem odnoszącym się do przedmiotu głównego.

Egzaminy grupowe odbywane w jednym dniu wymagały wprawdzie od studentów pewnego napięcia, miały jednak tę dobrą stronę, że student po odbyciu takiego egzaminu miał od razu wyjaśnioną swoją sytuację. Dla profesorów ten system egzaminacyjny oznaczał uwolnienie od zmory egzaminów w ciągu całego roku. Wreszcie opisany system ułatwiał eliminację elementu słabego, nie przygotowanego do studiów. Eliminacja taka odbywała się w przeważającej mierze już po I roku studiów.

Był to jednocześnie system sprawiedliwy, gdyż o losie studenta nie decydował jeden egzaminator, lecz cała komisja. Dużą rolę odgrywał w tym względzie głos przewodniczących komisji, których kwalifikacje dydaktyczne i poczucie sprawiedliwości były w środowisku studenckim dobrze znane.

Mówiąc o egzaminach wspomniałem już, że połączone one były z opłatami ponoszonymi przez studentów. Opłaty te obowiązywały wszystkich, nawet tych studentów, którym przyznano odroczenie czesnego. Wynosiły one 6 zł od każdego przedmiotu, a oprócz tego dodatkowo 6 zł na rzecz przewodniczącego. Student więc, gdy egzamin obejmował cztery przedmioty, musiał wpłacić uprzednio 30 zł, a gdy egzamin obejmował pięć przedmiotów – 36 zł. Opłaty egzaminacyjne przeznaczone były dla egzaminatorów, którym kwestura – po przedłożeniu wykazów odbytych egzaminów łącznie z kwitami opłat – wypłacała odpowiednie kwoty. Dla niektórych egzaminatorów dochody z tych opłat były znaczne. Dotyczyło to w szczególności egzaminatorów prowadzących wykłady na dwóch latach. Dochody z egzaminów przy znacznej liczbie studentów na Wydziale Prawno-Ekonomicznym miały istotne znaczenie dla budżetów profesorskich. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że przeciętnie każdy z profesorów miał do przeegzaminowania około 500 studentów, dochody jego z tego tytułu wynosiły około 3000 zł rocznie, co stanowiło trzymiesięczne uposażenie profesora zwyczajnego. W wypadku znacznej ilości egzaminów poprawkowych dochody te odpowiednio wzrastały. Pozwalało to na pokrycie kosztów wakacji i ewentualnych wyjazdów zagranicznych. W tych warunkach mogła rodzić się pokusa podwyższenia swych dochodów z tego źródła. Można było w szczególności liczyć na podwyższenie dochodów poprzez mnożenie ocen niedostatecznych. Zmuszało to studenta do zdawania egzaminu poprawczego, za który należała się egzaminatorowi ponowna opłata.

Obserwując praktykę profesorską w okresie międzywojennym zarówno na Wydziale Prawno-Ekonomicznym, jak i na ówczesnej Akademii Handlowej, mogę stwierdzić, że myśl o dodatkowym zarobku na poprawkach była ogółowi egzaminatorów obca. Oceny egzaminacyjne były z reguły ocenami odpowiadającymi poziomowi przygotowania. W odosobnionych wypadkach egzaminatorzy wykazywali tendencję do mnożenia ocen niedostatecznych. Wśród studentów kursowały wówczas pogłoski, że egzaminatorowi chodzi o dodatkowy dochód z poprawek w związku z budową willi. Ci sami egzaminatorzy w okresie powojennym tendencji takich już nie przejawiali. Taksy egzaminacyjne nie zachęcały do mnożenia stopni niedostatecznych i odbywania związanych z nimi egzaminów poprawkowych.

Uniwersytet Poznański, mimo że był najmłodszym spośród istniejących wówczas uniwersytetów polskich, od samego początku zdobył sobie wysoką rangę. Toteż przyciągał on młodzież z całego kraju. Rzecz jasna, że podstawowy człon stanowili studenci pochodzący z Poznania i województwa poznańskiego oraz pomorskiego. Poważny odsetek, i to stale wzrastający, stanowili studenci pochodzący z Górnego Śląska. Na studiach ekonomicznych spotkać było można sporo studentów pochodzących z ośrodka łódzkiego, a na studiach rolniczych – studentów z całej Polski.

Pod względem narodowościowym lwią część młodzieży stanowili Polacy. Wyraźnie przeważali mężczyźni. Stosunkowo nieliczny był odsetek studentów narodowości niemieckiej. Znacznie większą była liczba młodzieży ukraińskiej z Małopolski Wschodniej. Wyjątkowo jedynie zgłaszali się na studia do Poznania Żydzi. Już jako asystent i wykładowca spotkałem się z jednym Żydem na naszym Wydziale, a z drugim na Wydziale Rolniczo-Leśnym.

Do rzadkich wyjątków należeli cudzoziemcy. Jeden z nich, Bułgar, absolwent sekcji ekonomicznej, uzyskał nawet doktorat na podstawie pracy napisanej u prof. Bohdana Winiarskiego. Razem z moim bratem Władysławem w ostatnich latach przedwojennych studiował jeden Turek<sup>e)</sup>.

Poza ograniczonym procentem studentów pochodzenia ziemiańskiego, przeważającą masę stanowiła młodzież pochodzenia miejskiego. Byli to synowie i córki inteligencji pracującej, przemysłowców, kupców, rzemieślników. Stosunkowo niewielki procent stanowili studenci pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Dane statystyczne z okresu przedwojennego odnoszące się do składu społecznego młodzieży naszego Uniwersytetu nie dają w tym względzie dokładnego obrazu. Już deklaracje samej młodzieży były pod tym względem niedokładne. Studenci niejednokrotnie starali się ukryć swoje pochodzenie społeczne. I tak np. synowie portierów i fizycznych pracowników zajętych w administracji państwowej, w kolejnictwie, na poczcie itp. podawali się za synów urzędników państwowych. Synowie chłopscy podawali zawód ojca „rolnik”. Pochodziło to również stąd, że kwestionariusze zawierały pytania o zawód rodziców, a nie o ich pochodzenie społeczne.

Niezależnie od konieczności wprowadzenia pewnych korektur do przedwojennych statystyk, trzeba stwierdzić, że przeważnie na studia wyższe szła młodzież pochodząca ze sfer zamożniejszych. Zdana ona była w większości wypadków na odbywanie studiów na własny koszt. Niski odsetek młodzieży chłopskiej i robotniczej bynajmniej nie wykazywał tendencji zwykłej. Wywołane to było wieloletnimi okresami kryzysów gospodarczych oraz bezrobociem. Wprawdzie dla niezamożnych studentów przewidziane były różne formy pomocy materialnej, to jednak zasięg tej pomocy był ograniczony. I tak bardzo nieliczne i niskie były stypendia państwowe. W Poznaniu brak było większych domów akademickich. Tylko niewielki procent studentów mógł znaleźć pomieszczenie w Domu Bratniej Pomocy przy ul. Św. Marcin 40 oraz w Domu Studentek przy ul. Słowackiego 20. Dopiero w późniejszych latach wzniesiony został na Wałach Leszczyńskiego (dziś Al. Stalingradzka<sup>f)</sup>) obszerny, jak na owe czasy, Dom Akademicki (obecny Hanka Sawickiej<sup>g)</sup>). Toteż najpowszechniejszą formą pomocy były prowadzone

<sup>e)</sup> Nazywał się on Arican Sabri (inf.: Władysław Górski).

<sup>f)</sup> Obecnie Al. Niepodległości.

<sup>g)</sup> Obecnie DS „Hanka”.

przez Bratnią Pomoc stołówki akademickie. Za moich czasów stołówka taka znajdowała się w podziemiach Zamku Poznańskiego, zajmowanego w dużej części przez Uniwersytet. Z obiadów w tej stołówce (cena 60 groszy) korzystały całe rzesze młodzieży. Bratnia Pomoc udzielała niekiedy drobnych zapomóg finansowych, pośredniczyła w znajdowaniu zajęć zarobkowych. Organizowała również w okresie wakacyjnym wycieczkowe obozy studenckie.

Pochodząca spoza Poznania młodzież wynajmowała pokoje u osób prywatnych. W pierwszych latach istnienia Uniwersytetu o znalezienie takich pokoi – nieraz z utrzymaniem – nie było trudno. Wiele rodzin zajmujących większe mieszkania dopomagało sobie w ten sposób finansowo. Z biegiem czasu, w miarę znacznego powiększania się liczby stałych mieszkańców miasta, przy minimalnym zakresie nowego budownictwa, trudności ze znalezieniem pokoju stawały się coraz większe, a ceny za te pokoje odpowiednio wzrastały. Z tych względów młodzież nie mająca środków na mieszkanie i utrzymanie w Poznaniu zmuszona była albo rezygnować ze studiów, albo szukać źródeł zarobkowania w Poznaniu lub na prowincji, pozwalających na równoczesne studiovanie. Najpopularniejszą i najłatwiejszą formą zarobkowania przez studentów były szeroko stosowane korepetycje.

Zapisując się na studia znajdowałem się w trudnej sytuacji materialnej. Ojciec zapewnił mi środki utrzymania zaledwie na pierwsze trzy miesiące. Przyjechałem do Poznania już w początkach września 1923 r. Wynająłem sobie pokój na Łazarzu przy ul. Emilii Sczanieckiej 1. Od samego początku, po załatwieniu formalności na Uniwersytecie i po stopniowym zapoznaniu się z kierunkami i trybem studiów, rozglądałem się za jakimś zajęciem zarobkowym. Podobnie jak i inni studenci w moim położeniu, czytywałem się codziennie w ogłoszenia zamieszczane w „Kurierze Poznańskim”. Składałem wiele ofert, na które nie otrzymywałem żadnych odpowiedzi. W międzyczasie nadeszły pierwsze dni października i rozpoczęły się wykłady. Uczęszczałem na nie pilnie, chcąc poznać profesorów i sposób ujmowania przez nich wykładanych przedmiotów oraz uzyskać potrzebne informacje co do podręczników i innych materiałów dydaktycznych. O ile sobie przypominam, pierwszy – jak zawsze – rozpoczął wykłady z historii gospodarczej prof. Rutkowski, odznaczający się wielką sumiennością w wypełnianiu obowiązków dydaktycznych. On jedyny spośród wszystkich wykładowców rozpoczynał wykłady od zapoznania słuchaczy z systematyką nauk, z zakresem poszczególnych dyscyplin naukowych oraz miejscem, jakie zajmowała wśród tych dyscyplin historia gospodarcza świata i historia gospodarcza Polski. Poinformował on również słuchaczy o metodzie zdobywania wiadomości z poszczególnych dyscyplin, o sposobie wykorzystywania źródeł oraz sposobie szukania literatury i korzystania z bibliotek naukowych. Uwagi te utkwily mi dobrze w pamięci i stanowiły cenną wskazówkę nie tylko na okres studiów.

Stopniowo rozpoczęli swe wykłady inni profesorowie: Taylor, Znamierowski, Kłodziński, Lisowski. Korzystałem pilnie z ich wykładów, zdając sobie sprawę z tego, że zmuszony będę w najbliższych tygodniach podjąć się jakiegokolwiek pracy, choćby poza Poznaniem, i zdobywać wiadomości objęte programem studiów w drodze samokształcenia. Przy sposobności zacząłem poznawać studiujących kolegów, zapisałem się na członka Bratniej Pomocy i Koła Naukowego, i obserwowałem z daleka inne organizacje studenckie. Niestety, jak już zaznaczyłem, warunki materialne nie pozwoliły mi pozostać na stałe w Poznaniu. W drugiej połowie listopada 1923 r. przyjąłem stanowisko

korepetytora najpierw w powiecie ostrowskim, a później w pleszewskim, gdzie pozostawałem do końca wakacji 1924 r.

Do czasu mego wyjazdu z Poznania zdołałem jednak w sposób ogólny zapoznać się z tokiem studiów oraz poinformować się o materiałach dydaktycznych, przy pomocy których mogłem poza Poznaniem opanowywać poszczególne przedmioty i przygotowywać się do egzaminów. Z tego punktu widzenia owe pierwsze tygodnie zetknięcia się z Uniwersytetem były dla mnie szczególnie ważne. W czasie tym mogłem uczestniczyć w szeregu uroczystości. Pierwszą z nich był manifestacyjny pogrzeb pierwszego rektora i głównego organizatora Uniwersytetu, Heliodora Święcickiego, zmarłego 12 października 1923 r., a drugą – inauguracja roku akademickiego. Po raz pierwszy byłem świadkiem całego ceremoniału związanego z inauguracją i miałem możliwość na podstawie sprawozdań zapoznać się z zakresem i wynikami rocznego dorobku dydaktycznego i naukowego Uczelni. Uroczystości inauguracyjne na Uniwersytecie rozpoczynały się nabożeństwem w kaplicy znajdującej się wówczas w wieży zamkowej. Stamtąd Senat akademicki i profesorowie przechodzili wśród szpalerów sztandarowych różnych organizacji akademickich do auli uniwersyteckiej, gdzie po odśpiewaniu hymnu *Gaude Mater Polonia* odbywała się właściwa uroczystość. Inaugurację z reguły kończyła muzyka organowa w wykonaniu znakomitego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego.

Od owej pierwszej inauguracji upłynęło już z górą pół wieku. Przeżyłem ją jednak tak dalece uczuciowo, że pozostała mi ona w pamięci do dnia dzisiejszego. Od tego czasu uczestniczyłem jako student, asystent, profesor niemal każdego roku w uroczystościach inauguracyjnych i muszę powiedzieć, że zawsze odczuwam podobne wzruszenie. Uroczystości takie mają szczególnie doniosłe znaczenie dla nowo przyjętych studentów.

Jak to wyżej zazaczyłem, stosownie do przepisów wówczas obowiązujących, rektor wybierany był przez senat na okres jednego roku. Ustępujący rektor mógł być wybrany ponownie. Toteż rektor Święcicki dzierżył berło od 1919 do 1923 r. Jego następcą został wybrany dotychczasowy prorektor, profesor prawa rzymskiego Zygmunt Lisowski. Zarówno on, jak i dalsi rektorzy piastowali swe stanowisko z reguły przez jeden rok. Dopiero w ostatnich latach przedwojennych wprowadzono wybór rektora na okres 3-letni.

W dniu inauguracji sprawozdanie za ubiegły rok składał zawsze ustępujący rektor. Po złożeniu sprawozdania zwracał się on do nowego rektora z odpowiednim przemówieniem, przekazując mu równocześnie insygnia rektorskie: łańcuch, berło i pierścień. Był to moment specjalnie wzruszający, o wielkim znaczeniu moralnym i wychowawczym. Zebrana publiczność, a zwłaszcza młodzież miała dobry przykład, w jakiej formie powinno odbywać się przekazywanie władzy nie tylko na uniwersytetach.

Z reguły po wspaniałym ceremoniale nowy rektor wygłaszał wykład inauguracyjny. Wykład ten był formą prezentacji. Wypadała ona bardzo różnie. Z reguły jednak wykłady inauguracyjne zarówno swą treścią, jak i formą przykuwały uwagę słuchaczy i spotykały się z ich pochlebną oceną.

Bardzo uroczyście również odbywała się immatrykulacja. Na uroczystość tę wzywani byli wszyscy nowo przyjęci studenci, którym wręczano przygotowane już uprzednio indeksy. Na pierwszej stronie indeksu, rozpoczynającej się słowami: „*Nos Rector et Decanus Facultatis Iuridico-Oeconomicae in Universitate Posnaniensi lecturis salutem in Domino*”, zawarte było sporządzone w języku łacińskim stwierdzenie, że student ...

wpisany został do albumu uniwersyteckiego odpowiedniego Wydziału, oraz podpisy rektora i dziekana. Mój indeks nosi podpisy rektora Lisowskiego i dziekana Taylora. Następną kartą indeksu oznaczona została jako „książeczka legitymacyjna” i zaopatrzona w podpis kwestora, którym w tym czasie i przez szereg dalszych lat był lubiany i szanowany przez wszystkich Ferdynand Wiesner. Następne karty zawierały wykazy „obłożonych” wykładów. W indeksie też odnotowane były wyniki egzaminów rocznych. Wyniki te określano jedną ogólną oceną stanowiącą przeciętną stopni uzyskanych z poszczególnych przedmiotów.

W czasie przebywania poza Poznaniem indeksem moim opiekował się jeden z kolegów. O ile sobie przypominam, był to mój przyjaciel z Pleszewa, Bolesław Celiński. Zbierał on pod koniec każdego semestru potrzebne podpisy i przedkładał indeks do kontroli w Dziekanacie.

Indeks był i jest do dziś dokumentem szczególnym. Wynikały z niego nie tylko określone prawa studenta w stosunku do uczelni, ale decydował on również o pozycji jego posiadacza w społeczeństwie. Trzeba bowiem powiedzieć, że posiadacz indeksu (student) w okresie moich lat studenckich cieszył się na ogół dużym szacunkiem. Indeks miał też swoje znaczenie w oczach „stróżów bezpieczeństwa i porządku publicznego”. Studenci stanowili w owym czasie wesołą społeczność, lubiącą różne figle i żarty. Wiele rzeczy uchodziło im płazem. Niejednokrotnie przeciągali oni mniejszymi czy większymi grupami przez miasto ze śpiewem, szumnie i wesoło, a spotykana po drodze „władzę” otaczali kołem, witali niskimi ukłonami, a niekiedy wznosząc na jej cześć głośnie okrzyki, podrzucali do góry. Policjanci byli do tego przyzwyczajeni i przyjmowali tego rodzaju zachowanie się z humorem. Dopiero w ostatnich latach przedwojennych, kiedy część organizacji młodzieżowych poczęła urządzać różnego rodzaju demonstracje, bądź to antyżydowskie, bądź to antysanacyjne, stosunek policji do studentów uległ całkowitej zmianie.

W okresie moich studiów i w latach późniejszych przestrzegana była zasada poszanowania uświęconej zwyczajem „eksterytorialności uniwersytetu”, stosownie do której policja nie miała wstępu na tereny uniwersyteckie bez zgody rektora. Zasada ta była niejednokrotnie przez młodzież wykorzystywana. Jako teren uniwersytecki uważany był plac przed gmachem uniwersyteckim i przed aulą aż do krawędzi chodnika. Zebrane na tym placu tłumy młodzieży odbywały wiece i inne demonstracje, a znajdująca się na jezdni policja nie miała prawa wkraczania na ten teren i ewentualnego aresztowania studenta.

Z biegiem czasu, kiedy napięcie między niektórymi organizacjami studenckimi a policją stawało się coraz większe, policja poczęła nie uznawać „eksterytorialności” placu przed Uniwersytetem. Nie pamiętam jednak, aby kiedykolwiek w okresie międzywojennym doszło w Poznaniu do wkroczenia policji do gmachów wyższych uczelni w pościgu za demonstrującymi studentami.

Nie przypominam też sobie, aby kiedykolwiek zaszła konieczność wzywania pomocy policji przez rektora. Jego bowiem autorytet z reguły wystarczał dla zabezpieczenia porządku na terenie uniwersyteckim. Nieposłuszeństwo wobec władz uczelni, jako naruszenie ślubowania złożonego w dniu immatrykulacji, podlegało postępowaniu dyscyplinarnemu. Orzeczenie Komisji Dyscyplinarnej mogło nałożyć na studenta odpowiednie kary aż do wydalenia z uczelni włącznie. Władze uczelniane rozporządzały więc dostatecznymi środkami zapewniającymi konieczną dyscyplinę.

Mimo zerwanego bezpośredniego kontaktu z Uniwersytetem zdołałem przygotować się do egzaminów z I roku. Nie wypadły one błyskotliwie, gdyż zarówno egzamin na Sekcji Ekonomicznej (23 czerwca 1924 r.), jak i na Sekcji Prawniczej (24 października 1924 r.) złożyłem jedynie z wynikami dostatecznymi. Nie byłem tym zachwycony, gdyż w ciągu ostatnich wielu lat w szkole średniej nie otrzymywałem nigdy stopni dostatecznych. Mimo wszystko roku nie straciłem, a zaoszczędziwszy nieco gotówki zjawiłem się w jesieni 1924 r. ponownie w Poznaniu, aby rozpocząć II rok studiów. I tym razem nie udało mi się dłużej tu pozostać. Byłem zmuszony ponownie wyjechać na pracę zarobkową do powiatu znińskiego. Przygotowywanie się do egzaminu i tym razem mogłem oprzeć jedynie na z trudem uzyskiwanych skryptach i podręcznikach.

Od początku III roku studiów starałem się za wszelką cenę utrzymać w Poznaniu, aby jak najwięcej korzystać z wykładów, ćwiczeń i seminariów. Szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczam nawiązanie szeregu znajomości z rodzinami poznańskimi.

Zdaje mi się, że za pośrednictwem pani Anieli Koehler, długoletniej i zasłużonej bibliotekarki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, uzyskałem u jej bratowej, żony schorowanego już wówczas inżyniera Stanisława Koehlera, samodzielny pokój (wraz ze śniadaniem) w zamian za korepetycje odbywane z dwoma synami, uczniami gimnazjalnymi. Za korepetycje miałem też zapewnione obiady w domu znanego redaktora Czesława Kędzierskiego (ul. Chudoby, dawniejsza ulica Skarbowa 11<sup>h)</sup>), a kolacje plus wynagrodzenie pieniężne u pp. Ziękiewiczów, właścicieli dobrze prosperującego składu towarów żelaznych w gmachu „Bazaru” przy ul. Paderewskiego.

W ten sposób miałem zapewnione nie tylko niezbędne warunki materialne pozwalające mi na pobyt w Poznaniu, ale również na nawiązanie wielu znajomości i stosunków przyjaźni z osiadłymi tu rodzinami. Dawało mi to sposobność uczestniczenia w codziennym życiu tych rodzin i orientowania się w aktualnych sprawach społeczno-gospodarczych i politycznych, interesujących ówczesne sfery inteligencko-mieszkańskie naszego miasta.

Doceniając w pełni wartość i niezbędność – zwłaszcza w naszych warunkach mieszkaniowych – domów akademickich, których w czasie moich studiów praktycznie w Poznaniu nie było, ubolewam nad tym, że studenci mieszkający w tych domach – podobnie jak skoszarowani żołnierze – pozbawieni są w okresie swego pobytu w mieście uniwersyteckim bliższego kontaktu ze społeczeństwem tego miasta. Są oni w większości przypadków od tego społeczeństwa izolowani. Nie znają jego codziennych spraw, radości, trosk i kłopotów. Nie wzbogacają też swej wiedzy i doświadczenia bezpośrednią obserwacją warunków życiowych występujących w większych środowiskach miejskich, jakimi są miasta uniwersyteckie. Dlatego też nie żałuję, że w okresie moich studiów nie wypadło mi mieszkać w domach akademickich.

Nie korzystając z żadnego stypendium ani z pomocy „Bratniej Pomocy”, dalsze środki pieniężne zdobywałem z dorywczych zajęć, głównie z pisania różnego rodzaju wniosków i odwołań w sprawach podatkowych, lokatorskich, rentownych itp. Zwracali się do mnie o to różni znajomi nieumiejący sobie z tym poradzić.

Pamiętam dobrze przypadek zarobienia „pierwszego honorarium adwokackiego”. W jesieni 1925 r. spotkałem w okolicy Zamku spacerującą z pieskiem panią Paszewską, matkę późniejszego profesora i rektora Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej

---

<sup>h)</sup> Obecnie ul. Stanisława Taczaka.



w Lublinie, Adama Paszewskiego. Ponieważ panią Paszewską miałem przyjemność poznać już wcześniej, więc podszedłem do niej ze słowami powitania. „Co za szczęście – powiedziała – że Pana spotykam. Mam wielkie kłopoty, a pan, jako prawnik, będzie mógł mi być pomocnym”. Oświadczyłem, że zrobię, co będzie w mojej mocy. Okazało się, że pani Paszewska była administratorką szeregu kamienic, stanowiących własność znajomego notariusza z Koła. W związku z wejściem w życie ustawy z 1924 r. o ochronie lokatorów wynikł cały szereg sporów między p. Paszewską a lokatorami. Niektórzy z nich odnieśli się do Urzędu Rozjemczego do Spraw Najmu, na którego czele stał emerytowany starosta krajowy, b. adwokat Wyczyński. Zgodnie z umową zgłosiłem się nazajutrz do pani Paszewskiej, aby zapoznać się z aktami spraw. Wręczając mi te akta, p. Paszewska oświadczyła: „Wiem, że prawnicy nie lubią zabierać się poważnie do sprawy nie otrzymawszy przedtem stosownej zaliczki”. Uznałem, że jest to właściwe i rozsądne postawienie sprawy. Bez oporu też przyjąłem taką zaliczkę w wysokości 75 złotych. Wyplacono mi ją bilonem – samymi 50-groszówkami. Wracając do domu raz po raz z zadowoleniem dotykałem obciążonej kieszeni. Z zaliczki nabyłem przede wszystkim tekst ustawy o ochronie lokatorów z małym komentarzem adwokata Rudolfa Baranowskiego. Musiałem bowiem w pierwszym rzędzie zapoznać się z nieznanymi mi przepisami. Szczęśliwym trafem udało mi się w kilku sprawach wywalczyć korzystne rozstrzygnięcie Urzędu do Spraw Najmu. W imieniu lokatorów występował aplikant dr Józef Gidyński, znany mi potem dobrze adwokat, przebywający od czasu wojny w USA. Odniesiony sukces spowodował, że pani Paszewska powierzała mi do załatwienia również i inne sprawy związane z administracją kamienic.

Wspomniane zajęcia dorywcze oraz korepetycje nie przeszkadzały mi w pilnym braniu udziału w przewidzianych programem studiów zajęciach.

Trzeci rok studiów prawniczych uważany był powszechnie za najtrudniejszy. Na tym roku wykładane były: prawo administracyjne, prawo karne materialne i procesowe, skarbowość i prawo skarbowe, filozofia prawa. Były to przedmioty, których należyte opanowanie wymagało poważnego wysiłku.

Ponadto na roku tym profesor Ohanowicz rozpoczynał wykład prawa cywilnego, aczkolwiek egzaminy z tego przedmiotu składało się dopiero z końcem IV roku. Prawo cywilne interesowało mnie najbardziej. Toteż pilnie uczęszczałem na wykłady z tego przedmiotu odbywane w sali XVIII.

Na początku 1926 r., po skończonym wykładzie, profesor Ohanowicz podszedł do mnie i zapytał, czy nazywam się Górski. Otrzymałszy twierdzącą odpowiedź poprosił mnie ze sobą do dziekanatu i tam poinformował mnie, że przy Seminarium Cywilistycznym wakuje stanowisko asystenta po dotychczasowym asystencie Feliksie Górnickim, który otworzył kancelarię adwokacką. Zapytany, czy interesowałaby mnie asystentura – bez wahania odpowiedziałem pozytywnie. Zrozumiałem bowiem natychmiast, że propozycja ta jest dla mnie – studenta – nie tylko pochlebna, ale także stwarza mi określone szanse życiowe.

Po przedstawieniu mnie urzędującemu dyrektorowi Seminarium, profesorowi Józefowi Sułkowskiemu, który akceptował moją kandydaturę, otrzymałem z dniem 1 marca 1926 r. nominację na zastępcę asystenta z pensją 120 zł miesięcznie. Nominacja ta podniosła, rzecz jasna, moją pozycję w oczach kolegów ze studiów oraz w oczach moich znajomych w mieście. Pobierane wynagrodzenie zapewniało mi spokojne ukończenie

studiów. Automatycznie też odroczone mi na okres 10 lat od zakończenia studiów opłatę czesnego za III i IV rok.

Byłem jedynym asystentem przy czterech katedrach zgrupowanych w Seminarium Cywilistycznym (I katedra prawa cywilnego kierowana przez prof. Alfreda Ohanowicza, II katedra prawa cywilnego kierowana przez prof. Romualda Paczkowskiego, katedra postępowania cywilnego kierowana przez prof. Bronisława Stelmachowskiego oraz katedra prawa handlowego i wekslowego kierowana przez prof. Józefa Sułkowskiego). Seminarium mieściło się w Zamku na parterze, zajmując dwie większe sale oraz odrębny pokój urzędującego dyrektora Seminarium. W jednej z sal (nr 10) mieściła się biblioteka cywilistyczna. Tam też znajdowało się miejsce mego „urzędowania”.

Do mego obowiązku należało przede wszystkim odbywanie stałych dyżurów i udzielanie różnego rodzaju informacji. Znacznie ważniejszym okazał się obowiązek uporządkowania i skatalogowania księgozbioru, obejmującego kilka tysięcy pozycji. Dokonałem tego według wskazówek prof. Sułkowskiego w ciągu szeregu miesięcy. Każda książka wpisana została do nowo założonego katalogu, otrzymała swój numer katalogowy i numer działu zaznaczone na karcie tytułowej i na nalepce grzbietowej. Książki i czasopisma umieszczone zostały na nowych, specjalnie zamówionych półkach. Do dziś pewna część zachowanej biblioteki nosi ślady mej ówczesnej pracy.

Do moich zadań należała też dbałość o oprawę książek. Stopniowo wtajemniczałem się w arkania zamawiania nowo ukazujących się dzieł krajowych i zagranicznych, prenumeraty czasopism, rozliczania się z dostawcami itp. Na podstawie otrzymywanych katalogów odnotowywałem książki, które pragnęliśmy nabyć. Prof. Sułkowski zaznaczał na katalogach, które z moich propozycji uważał za słuszne. Na tej podstawie kierowałem odpowiednie zamówienia do współpracujących z nami księgarni niemieckich, francuskich, angielskich i włoskich. Po 7–14 dniach zamówione książki wraz z rachunkami znajdowały się już na moim stole. Rachunki te przekazywałem Kwesturze celem uzyskania zezwoleń dewizowych i dokonania przekazu należności.

Książki cywilistyczne, ukazujące się w kraju, księgarnie poznańskie (Górski i Tetzlaff, Gebethner i Wolff) przesyłały nam do wglądu bez potrzeby zamawiania. Obsługa księgarni zagranicznych i krajowych była więc imponująco sprawna. List wysłany do Berlina czy Lipska docierał do rąk adresata następnego dnia. Książki stamtąd otrzymywało się w ciągu 3–4 dni od wysłania zamówienia.

Na koszty sprowadzanych przez zakłady naukowe książek zagranicznych nie istniały żadne limity dewizowe!

Porządkowanie i katalogowanie księgozbioru oraz jego uzupełnianie było dla mnie sposobnością do zapoznania się z literaturą cywilistyczną krajową i zagraniczną oraz z ustawodawstwem i orzecznictwem polskim i obcym. Starłem się – choć pobieżnie – zapoznać z treścią znajdujących się w moim ręku książek przed postawieniem ich na właściwej półce. Toteż w ciągu III, a zwłaszcza w ciągu IV roku studiów byłem doskonale zorientowany nie tylko w tytułach posiadanych dzieł, ale również w poważnym stopniu i w ich treści. Dzięki temu mogłem służyć potrzebnymi informacjami profesorom, odwiedzającym bibliotekę sędziom i adwokatom, doktorantom i studentom przygotowującym prace dyplomowe.

Praca bibliotekarska pozwalała mi też zapoznać się z treścią dzieł publikowanych w językach obcych. Najmniejszej trudności nie sprawiały mi książki francuskie. Język ten miałem dość dobrze opanowany. Łatwo więc przyswoiłem sobie terminy i zwroty prawnicze.

Początkowo poważniejsze trudności sprawiały mi teksty niemieckie. Ale i z nimi stosunkowo łatwo się uporałem. Było to dla mnie o tyle istotne, że zarówno w czasie pracy w Prokuraturii Generalnej, jak i w swej działalności naukowej w dużym stopniu opierać się musiałem na niemieckich przepisach, komentarzach i orzecznictwie. Bez znajomości języka niemieckiego nie do pomyślenia byłaby moja praca w dziedzinie likwidacji mienia niemieckiego. Znajomość tego języka przydała mi się również w okresie okupacji.

Przyswoiłem sobie wówczas również bierną znajomość języka prawniczego angielskiego.

Rzecz zrozumiała, że sprzyjające warunki, jakie miałem począwszy od 1 marca 1926 r. pozwoliły mi na odpowiednie przygotowanie się do egzaminów. Złożyłem je po III roku z wynikiem dobrym, a po IV roku – z wynikiem celującym. W toku ostatniego roku studiów zdobyłem się już na pierwsze opracowanie naukowe. W jesieni 1926 r. opublikowałem w „Kurierze Poznańskim” dłuższy artykuł na temat polskiej ustawy z 29 marca 1926 r. o prawie autorskim, a wiosną 1927 r. wydany został przez Koło Naukowe Prawników i Ekonomistów opracowany przeze mnie krótki skrypt pt. *Międzynarodowe prawo prywatne*. Skrypt ten był dla moich kolegów – i dla mnie – jedyną pomocą naukową, ułatwiającą przygotowanie się do obowiązkowego egzaminu z przedmiotu, który w ciągu roku nie był wykładany z uwagi na ciągłe wyjazdy zagraniczne prof. Sułkowskiego.

Mimo że bezpośrednio po ukończeniu studiów moim głównym miejscem pracy stała się Prokuratura Generalna, dotychczasowe stanowisko asystenta zachowałem nadal. Zrezygnowałem z niego dopiero z końcem 1928 r. w związku z wyjazdem na stypendium naukowe do Francji.

Po powrocie powołany zostałem na asystenta-wolontariusza. W tym charakterze przydzielony zostałem profesorowi Ohanowiczowi, któremu pomagałem w prowadzeniu seminariów magisterskich i doktorskich. Asystent-wolontariusz nie otrzymywał żadnego wynagrodzenia pieniężnego. Nie był obciążany obowiązkami administracyjnymi. Miał za to możliwość stałego kontaktu naukowego z Uniwersytetem, uprzywilejowanego korzystania z bibliotek itp. Nabierał doświadczenia dydaktycznego i był kandydatem na stanowisko pracownika naukowego w wypadku otwarcia się wolnego etatu.

Mnie osobiście tego rodzaju status bardzo odpowiadał. Nie zależało mi już wówczas na wynagrodzeniu, za to kontakt z Wydziałem w okresie przeprowadzania przewodu doktorskiego, a następnie habilitacyjnego, był mi bardzo na rękę. Toteż charakter asystenta-wolontariusza zachowałem aż do 1938 r., kiedy to po habilitacji z zakresu prawa cywilnego powołany zostałem na profesora nadzwyczajnego Wyższej Szkoły Handlowej (Akademii Handlowej) w Poznaniu.

## ROZDZIAŁ VI

## ŻYCIE ORGANIZACYJNE STUDENTÓW

Kiedy po raz pierwszy przekraczałem mury Collegium Minus byłem zaskoczony mnogością „czarnych tablic” umieszczonych w hallu tego gmachu. Dopiero później stwierdziłem, że każda organizacja studencka po zarejestrowaniu jej w Rektoracie, miała prawo do „czarnej tablicy” stanowiącej zarówno jej szyld, jak i miejsce zamieszczania różnorodnych informacji i ogłoszeń. Przepisy o organizacjach studenckich były wówczas wysoce liberalne. Dawało to możliwość grupowania się młodzieży w celach samopomocowych, naukowych, ideowo-politycznych, towarzyskich, kulturalnych, oświatowych, religijnych, sportowych oraz w celu utrzymywania więzi regionalnych, zależnie od zainteresowań.

Początek roku akademickiego był dla wszelakiego rodzaju organizacji zawsze okresem akcji werbunkowej. Na „czarnych tablicach” pojawiać się zaczęły informacje organizacyjne wraz z wezwaniami do zgłaszania się na członków.

Ponieważ znakomita większość młodzieży spoza Poznania pochodziła ze środowisk skromnie uposażonych – zainteresowana ona była przede wszystkim sprawami bytowymi oraz naukowymi. Toteż było rzeczą naturalną, że w pierwszym rzędzie zgłaszała się ona do „Bratniej Pomocy” i do Kół Naukowych (Prawników i Ekonomistów, Medyków, Farmaceutów, Rolników, Leśników, Historyków, Polonistów, Romanistów, Germanistów itp.).

Podobnie postąpiłem i ja. Nie miałem ani czasu, ani środków na czynne angażowanie się w organizacjach innego typu. Toteż porzestałem na roli obserwatora.

Dość wcześnie stwierdziłem, że jądrem życia organizacyjnego młodzieży na Uniwersytecie były organizacje ideowo-polityczne, będące ekspozyturami stronnictw politycznych. Na ich terenie odbywała się podstawowa batalia o zyskanie wpływu na kształtowanie się postaw politycznych młodzieży akademickiej. One to wychowywały przyszłych działaczy politycznych, mających reprezentować interesy określonych grup społecznych.

Zdecydowany wpływ na masy studenckie wywierała wówczas Młodzież Wszechpolska, reprezentująca ideologię wpływowej wtedy Narodowej Demokracji Romana Dmowskiego. Miała ona oparcie zarówno w czynnikach pozauniwersyteckich (Stronnictwie Narodowym i jego organie „Kurierze Poznańskim”), jak i w gronie profesorskim. Toteż organizacja ta zdołała sobie zapewnić decydujący udział we władzach niemal wszystkich organizacji młodzieżowych. Kto zaś rządził np. „Bratnią Pomocą”, ten decydował o podziale środków. W tych warunkach na pomoc materialną mogli liczyć w pierwszym rzędzie „swoi” ludzie. Im też zdobyte w okresie studiów koneksje polityczne ułatwiały i późniejszą karierę życiową.

Duszą i głównym inspiratorem Młodzieży Wszechpolskiej był duszpasterz akademicki ksiądz prałat Józef Prądzyński. Był on na terenie Poznania jednym z najbardziej fanatycznych przywódców Narodowej Demokracji, człowiekiem o zdecydowanych przekonaniach, bezkompromisowym i bojowym. Miał ogromny wpływ na przeważającą część młodzieży, urabiając ją w duchu endeckim, szowinistycznym i nietolerancyjnym. Niewątpliwie w dużej części jemu to należy przypisać, że organizacje podporządkowane Młodzieży Wszechpolskiej – a w szczególności korporacje – pierwsze zaczęły rozprawić się z przeciwnikami politycznymi za pomocą „pałek”. Ta metoda walki ideologiczno-politycznej po 1926 r. – w miarę zdobywania coraz większych wpływów przez zwolenników Józefa Piłsudskiego – poczęła zwracać się przeciwko nim samym.

Kiedyś moi przyjaciele zakpili sobie z czcigodnego duszpasterza. W czasie wyborów na przewodniczącego Sodalicji Mariańskiej zgłosili kandydaturę Maurycego Mittelstaedta. Nie było sprzeciwu. Kandydatura przeszła. Dowcip polegał na tym, że Mittelstaedt był ewangelikiem.

Młodzież Wszechpolska rozporządzała w tym czasie szeregiem wybitnych przywódców. Mogłem ich obserwować jak przewodniczyli na zebraniach przeróżnych organizacji, jak wspaniale – jako mówcy – umieli narzucać swą myśl bezkrytycznym masom studenckim na różnych wiecach i masówkach. Wielkim autorytetem cieszył się w tym gronie starszy od nas Jan Zdzitowiecki, pełniący przez szereg lat funkcję sekretarza osobistego Romana Dmowskiego. Poważny i opanowany – z wielkim taktem przewodniczył różnym zebraniom.

Z innych działaczy wszechpolskich pamiętam pełnego temperamentu Borkowskiego oraz wspaniałego demagoga Franciszka Bocheńskiego<sup>a)</sup>, studenta prawa, a późniejszego dominikanina i profesora Uniwersytetu we Fryburgu Szwajcarskim. Był on jednym z trzech – znanych mi osobiście – utalentowanych braci Bocheńskich. Jeden z nich, Adolf, historyk, wybitny publicysta, zginął w bitwie pod Monte Cassino<sup>b)</sup>. Drugi, Aleksander, rolnik z wykształcenia, autor *Dziejów Głupoty w Polsce* jest współpracownikiem „Słowa Powszechnego”.

Uczestniczyłem kiedyś w wielkim zebraniu studenckim. Przewodniczył Franciszek („Runio”) Bocheński. Na sali panowało wielkie podniecenie. Wielu uczestników domagało się równocześnie udzielenia im głosu w sprawach formalnych. Powstał problem kolejności. Bocheński rozstrzygnął sprawę w sposób, który mi zaimponował. Oświadczył: „Stosownie do art. 117 (czy innego) kodeksu parlamentarnego prowadzenia obrad kolejność przemawiania jest następująca...”. Decyzję tę sala przyjęła bez sprzeciwu. Nie wiem, czy wielu było takich, którzy zdawali sobie sprawę z zastosowanego przez Bocheńskiego bluffu. Przecież żadnego kodeksu parlamentarnego prowadzenia obrad nigdy nie było!

Do młodych działaczy Młodzieży Wszechpolskiej należał też mój rówieśnik ze studiów, inteligentny i sympatyczny Zbigniew Łebski, brat późniejszej żony profesora Peretiatkowicza, pani Oleńki Peretiatkowiczowej.

W późniejszym okresie zwartość organizacyjna i ideowa młodzieży pravicowo-nacjonalistycznej uległa dezintegracji. Duży jej odłam w coraz większym stopniu ulegał począł wpływom faszystowskim. Wyrazem zewnętrznym sympatii dla faszystów włos-

<sup>a)</sup> Właśc.: Józef Maria Bocheński, imię zakonne Innocenty.

<sup>b)</sup> Adolf Bocheński zginął 18 lipca 1944 r. pod Ankoną.

kiego było śpiewanie na zebraniach organizacyjnych hymnu faszystowskiego (*Giovinezza, giovinezza – primavera e bellezza*).

Z chwilą powołania do życia Obozu Wielkiej Polski, powstał również jego odpowiednik na terenie akademickim. Członkowie „Obwiepoła” nosili ostentacyjnie w klapach „miecz Chrobrego” i z takim samym – dużych rozmiarów – emblematem kroczyli w oficjalnych pochodach.

Z czasem narastać zaczęły grupy bojowe, głoszące hasła czynnej walki z Żydami oraz stosujące faszystowskie, czy nawet hitlerowskie metody walki politycznej. Przywódcami tego odłamu stali się na terenie poznańskim wielcy demagodzy: Michał Howorka, późniejszy adwokat, relegowany z Krakowa za udział w bójce, której wynikiem była śmierć studenta żydowskiego, dalej Wyganowski oraz Łukasiński, mocno się jękający, zwłaszcza gdy był czymś podniecony.

W ostatnich latach przed wojną zaczął wśród studentów zdobywać wpływy ruch narodowo-radykalny, którego „wodzem” był Bolesław Piasecki.

Znacznie mniejsze znaczenie, aniżeli młodzież endecka, miała młodzież katolicka „Odrodzenie”, będąca ekspozyturą Chrześcijańskiej Demokracji. Wraz z zanikaniem tej grupy politycznej i wchłanianiem jej przez endecję, kurczyć się też zaczęły wpływy „Odrodzenia”. Poznałem kiedyś jego przywódcę. Był nim (wówczas już doktor) Niesiołowski, bratanek proboszcza z Pleszewa.

Nie odgrywały początkowo większej roli w życiu uniwersyteckim Poznania Koła Młodzieży Ludowej czy Socjalistycznej.

Bardziej ruchliwą, choć o ograniczonych wpływach, była Młodzież Demokratyczna, reprezentująca postępowy kierunek pro-piłsudczykowski. Dopiero po „wypadkach majowych” sanacja starała się o uzyskanie większych wpływów wśród młodzieży studenckiej. Powołano wówczas do życia we wszystkich ośrodkach „Legion Młodych”. Pamiętam, że kuratorem tej organizacji z ramienia Senatu był prof. C. Znamierowski, a jej szefem – syn profesora T. Kurkiewicza<sup>c)</sup> z Wydziału Medycznego.

W tym czasie rozszerzyła swą działalność Młodzież Demokratyczna, której przewodził Feliks Widy, powojenny wojewoda poznański i późniejszy minister Widy-Wirski.

Również w okresie pomajowym powstała nowa organizacja studencka – Myśl Mocarstwowa, z którą miałem sposobność bliższego zetknięcia się. Była ona młodzieżowym odpowiednikiem Związku Pracy Mocarstwowej, której inicjatorem i przywódcą był Roger Raczyński, późniejszy wojewoda poznański, następnie wiceminister rolnictwa i reform rolnych, a w okresie bezpośrednio przedwojennym poseł polski w Bukareszcie.

Organem Związku Pracy Mocarstwowej był redagowany przez Jerzego Giedroycia (tego z obecnej „Kultury” paryskiej) dwutygodnik „Bunt Młodych”.

Związek Pracy Mocarstwowej był dość luźnym związkiem politycznym, skupiającym stosunkowo nieliczną grupę inteligencji, opowiadającym się generalnie za linią polityczną Józefa Piłsudskiego, lecz reprezentującym własny pogląd na politykę wewnętrzną i zagraniczną Polski.

Związek głosił m.in. potrzebę nawiązania przez Polskę do tradycji jagiellońskiej. Podstawą polityki wewnętrznej powinno być zapewnienie pełnego rozwoju mniejszo-

<sup>c)</sup> Chodzi o Jerzego Tadeusza Kurkiewicza, 1910–1939, prawnika. Zginął jako oficer rezerwy podczas kampanii wrześniowej pod Kutnem.

ściom słowiańskim i traktowanie ich jako współgospodarzy kraju. Związek głosił hasło ścisłej współpracy gospodarczej i politycznej z krajami bałtyckimi: Litwą, Łotwą i Estonią, i włączenia tych krajów w sferę naszych wpływów. Związek przeciwstawiał się tendencjom Rzymu uczynienia z Polski bazy wypadowej katolicyzmu na Związek Radziecki. Z drugiej zaś strony przeciwny był przenikaniu wpływów radzieckich na ziemię polskie. Związek był przeciwny szowinistycznym hasłom głoszonym głównie przez elementy endeckie, albowiem prowadziły one do osłabienia naszego ówczesnego państwa, mającego przecież charakter państwa wielonarodowościowego. Z tych względów Związek przeciwstawiał się powrotowi do przedmajowego systemu parlamentarnego, a opowiadał się za koniecznością wzmocnienia władzy wykonawczej.

W ramach Związku i wokół „Buntu Młodych” skupiło się szereg zdolnych publicystów, a mianowicie: Ksawery i Mieczysław Pruszyńscy, bracia Adolf i Aleksander Bocheńscy, Norbert Żaba, Stefan Kisielewski, Tadeusz Studentowicz, Konstanty Troczyński, Jan Frankowski, Karol Zbyszewski i inni.

W „Buncie Młodych”, a potem w „Polityce”, zamieszczali artykuły: Izydor Reisner (znany po wojnie pod zmienionym nazwiskiem prof. Jerzy Sawicki), publicysta ukraiński Dońcow oraz przedstawiciel ludności ukraińskiej w Sejmie, wicemarszałek Mudryj.

Kierownikiem organizacyjnym Związku i opiekunem studenckich organizacji Myśl Mocarstwowa, stanowiących najliczniejszą bazę Związku Pracy Mocarstwowej, był Rowmund Piłsudski, krewny Marszałka. Odwiedzał on często poszczególne ośrodki, odbywał zebrania polityczne, udzielał instrukcji. Był doskonałym mówcą. Wysoki, przystojny, ubrany w rodzaj specjalnego munduru i wysokie miękkie buty. Kiedy wychodził pewnego razu z zebrania w Domu Rzemieślniczym w Poznaniu, publiczność wołała: „Hej, Ty bojar litewski w safianowych butach!” Było to nawiązanie do jego stwierdzenia, że za czasów jagiellońskich bojarowie litewscy zazdrościli szlachcie polskiej, która chodziła nie w łapciach, lecz w safianowych butach, nie gięła karku przed samowładcą, lecz korzystała z szerokich wolności. Toteż Litwini łatwo polszczyli się, pragnąc korzystać z podobnych praw i przywilejów u siebie.

W Poznaniu do sympatyków Związku Pracy Mocarstwowej należeli m.in. adwokat Kazimierz Bieniewski, wybitny polonista i poeta dr Konstanty Troczyński, dr Zbigniew Jordan, poeta Stanisław Michał Grabowski, mgr Władysław Sobieszczański, mgr Władysław Dziak radca NIK, Mieczysław Rakowski naczelnik Wydziału w Urzędzie Wojewódzkim oraz ja. Wśród działaczy Myśli Mocarstwowej na Uniwersytecie wyróżniał się talentem organizacyjnym i politycznym Jan Frankowski.

Kiedy dziś wspominam tzw. ruch mocarstwowy z dystansu czterdziestu lat, zdaję sobie w pełni sprawę z tego, że jego program opierał się w dużej mierze na iluzji, iż możliwy jest powrót do idei jagiellońskiej. Złudzeniem było to, że Polska mogła odgrywać rolę mocarstwa, że mniejszości słowiańskie można by zjednać dla bezwarunkowej współpracy w ramach państwowości polskiej, że na ówczesne państwa nadbałtyckie można by rozciągnąć wpływ i opiekę naszego państwa. Przecież już wówczas było jasne, że Litwa, Łotwa i Estonia wykazywały nieporównanie wyższy stopień rozwoju gospodarczego i społecznego aniżeli Polska, nie mówiąc już o ich większej zwartości wewnętrznej.

„Mocarstwowcy” pomijali milczeniem pilną potrzebę przebudowy struktury społeczno-gospodarczej kraju. Hasło „mocarstwowości” było w tych warunkach zwykłą tromtadracją. Było ono jednak pod wielu względami hasłem atrakcyjnym i oddziaływało na wyobraźnię młodzieży. Osobiście zachowałem do dziś miłe wspomnienia z nawiąza-

nych wówczas kontaktów i dyskusji z interesującymi ludźmi. Z tego okresu pochodzi też moje przyjazne nastawienie do naszych ówczesnych słowiańskich mniejszości narodowych. Odczuwam do dziś rodzaj osobistego zawstyżenia, że mniejszościom tym nie zapewniłszy w swoim czasie znacznie szerszych możliwości rozwoju.

Przedłużonym ramieniem organizacji ideowo-politycznych były korporacje studenckie. Formalnie były to oddzielne organizacje o charakterze wychowawczo-towarzyskim. Faktycznie wszystkie korporacje podlegały w pierwszych latach organizacjom endeckim. Niektóre z nich miały charakter snobistyczny i ekskluzywny. Grupowały one studentów pochodzących z określonych sfer społecznych („Corona”, „Primislavia”). Inne grupowały studentów pochodzących z zamożniejszej młodzieży mieszczańskiej („Magna Polonia”, „Chrobria” itp.).

Każda korporacja miała swe godło, hasło, barwy i sztandar. Członkowie nosili specjalne, zdobne w godło i barwy czapki tzw. dekle. W czasie uroczystości akademickich czy państwowych korporanci występowali w zwartych szykach, zdobni w szarfy o barwach korporacyjnych, przy rapierach i pod własnym sztandarem.

Korporacje polskie w wielu punktach wzorowały się na niemieckich *Burschenschaften*. Jednak nie w Niemczech powstały pierwsze polskie korporacje studenckie. W okresie zaborów ogniskami ich były wyższe uczelnie z językiem wykładowym niemieckim w Rydze i Dorpacie, gdzie studiowały poważne grupy Polaków z b. zaboru rosyjskiego. Istniejące tam polskie korporacje miały na uwadze przede wszystkim cele patriotyczne. Formy korporacyjne były jedynie pokrywką dla utrzymywania wśród członków więzi narodowej. Na tych właśnie rysko-dorpackich wzorach oparto zasady organizacyjne korporacji w niepodległej Polsce.

Poszczególne korporacje były organizacjami nielicznymi. Przyjęcie na członka korporacji odbywało się na podstawie dokładnego zbadania pochodzenia społecznego kandydata, jego sytuacji majątkowej, poglądów politycznych i religijnych, stosunków towarzyskich oraz na opinii dwóch członków wprowadzających. O przyjęciu decydowano w tajnym głosowaniu.

Członkowie dzielili się na kandydatów (fuksów, giermków) i członków pełnoprawnych (komilitonów, rycerzy). Obowiązywała zasada podporządkowania pierwszych – drugim. Byli członkowie korporacji mieli statut „oldermanów”<sup>d)</sup>.

Członków korporacji obowiązywała zasada utrzymywania stałych kontaktów towarzyskich, dbałość o wygląd zewnętrzny i formy towarzyskie. Często urządzano tzw. komersze, w czasie których na komendę wypróżniano odpowiednią ilość kufli piwa.

Fuksów uczono posłuszeństwa oraz dbałości o swój honor. Wszyscy członkowie obowiązani byli znać kodeks honorowy Bożewicza oraz zasady załatwiania tzw. spraw honorowych. To „uwrażliwienie” na punkcie honoru i konieczność reagowania – pod sankcją utraty honoru – na każdy rodzaj „obrazy” przybierało niekiedy postać karykaturalną. Powodowało to przede wszystkim narastanie między młodzieżą niekończących się spraw „honorowych”, angażujących jej czas i środki pieniężne.

Obrażony obowiązany był w ciągu 24 godzin posłać do adwersarza dwóch sekundantów, którzy mieli w imieniu swego mandanta żądać satysfakcji honorowej i wezwać go do ustanowienia ze swej strony także dwóch sekundantów. Sekundanci obu stron

---

<sup>d)</sup> Albo „filistrów”.



mieli ustalić rodzaj i warunki satysfakcji. Gdyby nie doszło do polubownego załatwienia zatargu – zachodziła konieczność rozstrzygnięcia sprawy w drodze pojedynku.

W pierwszych latach po I wojnie światowej do pojedynków takich rzeczywiście dochodziło. O jednym z nich – i chyba ostatnim – opowiem niebawem.

W tych warunkach ważnego znaczenia nabierała instytucja sekundantów. Byli to z reguły starzy, doświadczeni znawcy postępowania honorowego. W ich ręce zważnione strony składały swój honor. W poważnej części sekundanci swą funkcję traktowali zawodowo. Nie dbali o studia. Około godziny 11 zjawiali się w kawiarni Dobskiego (dzisiejsza Kawiarnia W-Z) i zajmowali miejsce w tylnej części sali „na górce”. Tam pod przewodnictwem swego wodza, niejakiego Szajny, łysego wiecznego studenta przybyłego ze Lwowa, radzono nad powierzonymi im sprawami. Naturalnie, że funkcji sekundanta podejmowano się nieodpłatnie. Jedynie na związane z postępowaniem „koszty” ofiary wpłacać musiały poważne kwoty. Z tych właśnie kwot wpłacanych przez naiwniaków całe grono sekundantów beztrąsko żyło.

Członkowie korporacji musieli na każde wezwanie swych przełożonych stawiać się w komplecie tam, gdzie toczyła się walka o władzę i wpływy, zwłaszcza na walne zebrania „Bratniej Pomocy”. Swoją niezawodną obecnością mieli oni zapewnić potrzebną większość, a laskami – ochronę swych przywódców i zwycięstwo! Z czasem, gdy tarcia ideologiczne zaczęły się zaostrzać, korporacje spełniały rolę „sztafet ochronnych”<sup>e)</sup> w ręku kierujących nimi organizacji ideowo-politycznych.

Po przewrocie majowym zaczęto formować korporacje o nastawieniu sanacyjnym. Między innymi kilka takich korporacji powstało z inicjatywy Myśli Mocarstwowej. Przez jedną z nich, grupującą studentów prawa („Palestrię”), powołany zostałem na „oldermana” z uprawnieniem do noszenia dekla i szarfy. Insignia te dotąd się u mnie zachowały. Jako „olderman” brałem też kilkakrotnie udział w komerszach, wychylając niejedną kufel do dna na komendę „ex”. Przy tej sposobności zostałem wtajemniczony w cały obowiązujący rytuał: uczestnik komerszu, prosząc o głos, odzywał się: „Verbum peto”. Prowadzący zebranie udzielał lub odmawiał głosu słowami: „Verbum habeas” lub „Verbum non habeas!” Gdy ktoś bez zezwolenia odezwał się – bywał przywoływany do porządku: „Ad dupas sedes!”

Najpowszechniejszymi organizacjami, obejmującymi większość młodzieży studiującej, były „Bratnia Pomoc” i Koła Naukowe.

„Bratnia Pomoc” troszczyła się o interesy socjalno-bytowe studentów. Najważniejszą formą pomocy były stołówki akademickie. Za moich czasów stołówka taka mieściła się w podziemiach Zamku. Wydawała ona jedynie dwudaniowe obiady. Ich cena wynosiła, o ile sobie przypominam, 60–70 groszy, co stanowiło pozycję około 20 zł miesięcznie. Była to cena przystępna. Niestety, jakość tych obiadów i sposób ich przyrządzania stały na bardzo niskim poziomie. W tym czasie niepomiernie lepsze obiady można było zjeść w barze firmy rzeźniczej Braci Dawidowskich przy ówczesnej ul. Gwarnej – dziś ul. Lampego, w okolicy obecnego baru rybnego<sup>f)</sup> – za cenę 1 złotego. Toteż sprawa obiadów stanowiła zawsze przedmiot najgorętszych dyskusji na walnych zebraniach „Bratniaka”.

<sup>e)</sup> Aluzja do Sztafet Ochronnych NSDAP (Die Schutzstaffeln der Nationalistischen Deutschen Arbeitspartei, SS).

<sup>f)</sup> Ponownie ul. Gwarna; bar rybny istniał w lokalu sąsiadującym z Księgarnią im. A. Mickiewicza.

„Bratnia Pomoc” zarządzała również dwoma domami akademickimi. Dla studentów przeznaczony był dom przy ul. Św. Marcin 40, a dla studentek dom przy ul. Słowackiego 20. Dopiero w trzydziestych latach wzniesiony został dom studencki przy Wałach Leszczyńskiego (dziś al. Stalingradzka<sup>e)</sup>), czyli obecny Dom Studencki im. Hanki Sawickiej<sup>h)</sup>. Stał się on od razu centrem życia akademickiego. Tam też znalazła swe pomieszczenie przeniesiona z Zamku stołówka.

„Bratnia Pomoc” przychodziła też młodzieży studenckiej z pomocą finansową w formie pożyczek i zapomóg oraz w formie organizowanych w okresie wakacji letnich obozów wycieczkowych nad morzem oraz w innych miejscowościach położonych na terenie województwa. Członkowie „Bratniej Pomocy” mogli też korzystać ze zniżkowych biletów teatralnych.

„Bratnia Pomoc” organizowała raz do roku wielki bal reprezentacyjny w auli uniwersyteckiej, ciesząc się wielkim powodzeniem u całego społeczeństwa poznańskiego. Poważne, uzyskiwane z balów dochody zasilają kasę „Bratniaka”.

Koła Naukowe (Prawników i Ekonomistów, Rolników i Leśników, Medyków, Farmaceutów, Chemików itd.) dbały głównie o zaopatrzenie swych członków w skrypty i inne pomoce naukowe. Ponadto udzielały one studentom, którzy ze względów zarobkowych nie mogli uczęszczać na wykłady, informacji o wymaganiach egzaminatorów, o istniejących do poszczególnych przedmiotów podręcznikach i skryptach. Wypożyczały ze swych zbiorów potrzebne materiały dydaktyczne.

Koła Naukowe posiadały z reguły własne powielarnie, na których odbijano skrypty opracowywane na podstawie bieżących wykładów. Rzecz jasna, że w ten sposób przygotowywane skrypty naruszały prawa autorskie profesorów. Nie czynili oni jednak z tego tytułu z reguły żadnych kwestii. Co więcej, nawet niektórzy z nich skrypty takie przed ich powieleniem przeglądali, aby zapobiec ewentualnym błędom merytorycznym. Opracowujący skrypty studenci otrzymywali za to od Koła Naukowego ustalone honoraria. Cena skryptów była tak kalkulowana, że pokrywała jedynie koszty ich sporządzenia.

Kiedy byłem już na IV roku studiów i pełniłem funkcje młodszego asystenta zdarzyło się, że prof. Sułkowski, wykładający prawo handlowe, wekslowe i czekowe oraz prawo międzynarodowe prywatne, niemal przez cały rok przebywał za granicą uczestnicząc w różnych konferencjach. Nikt go w tym czasie nie zastępował. Studenci mimo to musieli na koniec roku być przygotowani do egzaminu zarówno z jednego, jak i z drugiego przedmiotu. Nie mieli trudności z prawem handlowym, wekslowym i czekowym, gdyż do przedmiotu tego istniał już od lat obszerny skrypt w czterech zeszytach. Nie było natomiast skryptu z niewykładanego uprzednio przedmiotu „Prawo międzynarodowe i międzydzielnicowe prywatne”. A właśnie ukazały się wówczas polskie ustawy z 2 sierpnia 1926 r. o prawie prywatnym międzydzielnicowym i prawie prywatnym międzynarodowym<sup>i)</sup>.

Zachęciło to mnie do napisania krótkiego własnego skryptu opartego na ustawach polskich i na dość bogatej literaturze obcej, z którą jako asystent miałem sposobność się zetknąć w prowadzonej przez siebie bibliotece Seminarium Cywilistycznego. Skrypt

<sup>e)</sup> Obecnie al. Niepodległości.

<sup>h)</sup> Obecnie DS „Hanka”.

<sup>i)</sup> Dziennik Ustaw RP, 1926 nr 101, poz. 580 i 581.

mój stał się w roku akademickim 1926/27 podstawową pomocą naukową dla studentów składających egzamin. Egzemplarz tego skryptu zachował do ostatnich czasów mój ówczesny rówieśnik ze studiów, prof. Stefan Buczkowski.

Sprawa skryptów nabrała tylko raz jeden niemiłego posmaku z chwilą przyjscia na nasz Wydział prof. Tadeusza Silnickiego. Objął on po księdzu Janasiku katedrę prawa kanonicznego<sup>j)</sup>. Z góry zapowiedział, że nie zgodzi się na to, aby Koło Naukowe przygotowywało skrypt na podstawie jego bieżących wykładów. Ponieważ do prawa kanonicznego nie było jeszcze podręcznika wydanego w formie książkowej – o ile mi wiadomo, podręcznik księdza prof. Ignacego Grabowskiego z Warszawy jeszcze się wówczas nie ukazał<sup>k)</sup>), prof. Silnicki zapowiedział, że jedyną uznawaną przez niego pomocą naukową może być skrypt prawa kanonicznego wydany przez księgarnię Igła w Złoczowie (dawne województwo lwowskie). Autor skryptu oznaczony był literami „T.S.”, czyli był nim sam prof. Silnicki. Kiedy zainteresowani studenci zwrócili się do wskazanej księgarni, otrzymali informację, że skryptu się nie sprzedaje, lecz jedynie „wypożycza” za opłatą 50 zł. „Pożyczający” zobowiązany był zaręczyć słowem honoru, że nie udostępni skryptu swym kolegom.

Tego rodzaju warunki wywołały oburzenie słuchaczy prof. Silnickiego. Postanowiono więc opracować i wydać skrypt na podstawie wykładów. Opracowania podjęli się studenci: Karol Marian Pośpieszański, obecny profesor UAM, i Mieczysław Rachwał, obecnie adwokat w Rzeszowie. Ściągnęli oni na siebie przez to gniew profesora. Dla załagodzenia wywołanego tym zatargu konieczną stała się interwencja ówczesnego rektora prof. Stanisława Kasznicy. Nie uznał on postawy prof. Silnickiego za właściwą i stanął po stronie studentów, a w szczególności autorów skryptu.

Koła Naukowe organizowały również raz do roku (w karnawale) reprezentacyjne bale w Białej Sali Hotelu „Bazar”. Bale te miały charakter bardziej ekskluzywny i zawodowy. Przybywali na nie – poza studentami – profesorowie odnośnych Wydziałów, a ponadto przedstawiciele właściwych środowisk zawodowych. Np. na bale Koła Prawników przybywali wraz z rodzinami sędziowie, adwokaci, notariusze, prokuratorzy – nie tylko z Poznania, ale z całego województwa.

Bale Rolników gromadziły przedstawicieli ziemiaństwa wielkopolskiego oraz osoby związane zawodowo z rolnictwem, ogrodnictwem, hodowlą zwierząt. Podobny charakter miały bale urządzone przez Koła Medyków, Farmaceutów, Leśników i inne.

Bale te stwarzały dla młodzieży studenckiej okazję nawiązania osobistych kontaktów z przedstawicielami odpowiednich zawodów, a tym samym ułatwiały niekiedy absolwentom rozpoczęcie kariery życiowej. Niejednokrotnie na balach tych zawiązywały się znajomości i nici sympatii między tancerzami i tancerkami, które nieraz doprowadzały do małżeństwa.

Wszystkie bale były dobrze zorganizowane. Uczestniczyć w nich mogły tylko osoby legitymujące się przy wejściu zaproszeniami. Tańcami kierowali jako wodzireje wytrawni tancerze. Do żelaznego programu balu należały takie tańce, jak mazur, kujawiak, oberek, krakowiak. Dbano o to, aby na balach główną rolę odgrywały tańce narodowe, wykonywane z dużą umiejętnością przez uczestników balu. Młodzież bowiem już w średnich szkołach uczęszczała na lekcje tańca prowadzone bądź w samej szkole, bądź też w tzw. kompletach pozaszkolnych. Naturalnie że poza tańcami narodowymi na

<sup>j)</sup> Docent UJK Tadeusz Silnicki objął w 1928 r. Katedrę Prawa Kościelnego.

<sup>k)</sup> Grabowski I., *Prawo kanoniczne według nowego kodeksu*. Lwów, Nakładem „Przeglądu Teologicznego”, 1921.

balach dużym powodzeniem cieszyły się walce oraz modne wówczas fokstroty, one-stepy, shimmy, lambeth-walki, a przede wszystkim upajające tanga.

Bale organizowane przez organizacje studenckie spełniały poza funkcją rozrywkowo-towarzystką również poważną rolę wychowawczo-kulturalną. Wyrabiały one u młodzieży umiejętność odpowiedniego zachowania się w większych zespołach towarzyskich. Uczestników balów obowiązywał strój wieczorowy. Dla panów obowiązkowy był zasadniczo frak lub smoking. Panie zjawiały się w sukniach balowych uszytych według aktualnej mody.

Obecność na balach profesorów oraz społeczeństwa pozauniwersyteckiego nadawała balom wysoką rangę i przyczyniała się do przestrzegania obowiązujących form. Złożona ze studentów straż czuwała nad odpowiednim przebiegiem zabawy. Jednostki, które by ten przebieg – np. wskutek nadużycia alkoholu – zakłócały, były dyskretnie i w sposób niemal niezauważalny z sali wyprowadzane.

Uczestniczenie w balach studenckich z uwagi na związane z tym wydatki, zwłaszcza na strój balowy, nie były dla wszystkich studentów dostępne. Niektórzy radzili sobie w ten sposób, że wypożyczali fraki i suknie balowe od swych kolegów i koleżanek, lub też z istniejących wówczas (a również i obecnie) zawodowych wypożyczalni.

Znany mi jest wypadek dwóch braci studentów posiadających tylko jeden frak. Gdy obaj chcieli wziąć udział w jakimś balu, urządzali się w ten sposób, że najpierw przychodził na bal jeden z nich. O umówionej godzinie opuszczał salę, a w niedługim czasie na jego miejsce w tym samym fraku zjawiał się jego brat.

Młodzież, której nie stać było na strój balowy, bilety wstępu (studenci mieli bilety ulgowe) itp., bawiła się doskonale na wieczorkach tanecznych w domach studenckich. Były to zabawy tanie i dostępne dla ogółu studentów. Na wieczorkach tych panował swobodny i miły nastrój. Jako student brałem często udział w takich wieczorkach. Na bale akademickie i inne zacząłem uczęszczać dopiero po uzyskaniu dyplomu i usamodzielnieniu się finansowym. Zarówno żona, jak i ja lubiliśmy bardzo zabawy taneczne.

Jak już poprzednio zaznaczyłem, młodzież akademicka w Poznaniu w okresie moich studiów rekrutowała się w swej masie ze sfer średnio zamożnych. Poza pewnym tylko odsetkiem studentów zdanych na samych siebie i zmuszonych do szukania sposobów zarobkowania na swe utrzymanie, reszta miała zapewnione przez rodzinę środki finansowe na spokojne studia. Środki te pozwalały większości studentów na opłacanie kwater prywatnych, pokrywanie kosztów wyżywienia, uczęszczanie do teatrów i kin, na przynależność do organizacji studenckich oraz na życie towarzyskie. W Poznaniu istniało wtedy wiele zamożnych domów, w których młodzi i dobrze prezentujący się studenci byli mile widzianymi gośćmi.

Była wreszcie wśród studentów nieliczna grupa rozporządzająca poważnymi środkami finansowymi. Z tej głównie grupy wywodzili się wyznawcy zasady, że studia uniwersyteckie wymagają odbycia przynajmniej rocznego „stażu akademickiego”, wykorzystywanego nie na naukę, lecz na rozkoszowanie się swobodą życia akademickiego, nawiązywanie znajomości i przyjaźni z kolegami, kontaktów towarzyskich w mieście i na prowincji, wyżywanie się w komerszach i zabawach korporacyjnych, odwiedzanie nocnych lokali, grę w karty itp.

Ta „złota młodzież” była przedmiotem drwin ze strony poważniejszych kolegów, a jednocześnie przedmiotem podziwu i zachwytu ze strony własnych, lekkomyślnych

rodzin, a zwłaszcza ze strony płci pięknej! Członkowie tej grupy byli na ustach wszystkich, gdy udało im się zaaranżować jakiś więcej lub mniej dowcipny wyczyn.

W 1922 czy 1923 r. głośnym było przybycie i powitanie przez Ojców Miasta kilku-osobowej delegacji Afganistanu czy Beludżystanu, która jadąc międzynarodowym pociągiem do Warszawy nadesłała ze Zbąszynia telegram, w którym prosiła władze miejskie o umożliwienie jej zapoznania się z urządzeniami komunalnymi m. Poznania. Egzotyczną delegację powitali na dworcu uroczyście przedstawiciele Magistratu, a następnie przewieźli samochodami do Starego Ratusza, gdzie urzędował wówczas Prezydent Miasta Cyryl Ratajski. Tam dopiero w toku rozmowy z Prezydentem Ratajskim okazało się, że członkami rzekomej delegacji byli pomysłowi studenci Uniwersytetu, którym w pełni udało się mistyfikacja i wprowadzenie w błąd władz miejskich. Inicjatorem i współwykonawcą tego sympatycznego pomysłu był Roman Kałużniacki, znany wówczas sportowiec AZS. Rzecz jasna, że całą sprawę potraktowano z humorem i śmiechem.

Natomiast zupełnie makabryczny był inny figiel, którego autorami byli bracia Plucińscy, synowie b. wiceministra i komisarza RP w Gdańsku, Leona Plucińskiego ze Swadzimia k. Poznania. Zakupili oni w zakładzie pogrzebowym trumnę, którą polecili dostarczyć pod adresem niesympatycznej im osoby.

Jednego z braci poznałem później osobiście. Był nim niezwykle kulturalny i sympatyczny Kazimierz Pluciński, późniejszy adwokat i poeta piszący pod pseudonimem Szymon Pigwa. Był wielokrotnie naszym gościem. W 1937 czy 1938 r. zrezygnował z adwokatury, aby poświęcić się całkowicie pracy literackiej. Zaginął w czasie wojny<sup>l)</sup>.

Pewnego jesienno dnia 1924 r. członkowie różnych korporacji rozdawali studentom udającym się na wykłady drukowane ulotki zawierające wezwanie do wzięcia udziału w wielkim wiecu w obronie honoru akademickiego.

Ulotka miała mniej więcej następującą treść:

„Koledzy! W dniu wczorajszym w restauracji »Varsovie«<sup>m)</sup> dopuszczono się ciężkiej zniewagi honoru akademika. Młodzież zniewagi tej nie może puścić płazem. Ze strony właściciela lokalu p. Franciszka Piosska będziemy się domagać pełnej satysfakcji!

Koledzy! Pragniemy, aby odpowiednie uchwały zostały podjęte na wiecu, który odbędzie się dziś w holu Zamku o godz. 14, po obiedzie w stołówce studenckiej”.

Zaintrygowani takim wezwaniem studenci tłumnie zgromadzili się o ustalonej godzinie. Mimo że ulotka dostała się również do moich rąk, na wiec nie poszedłem. Z treści ulotki nie wynikało bowiem, kto wiec zwołuje, kogo w „Varsovie” i w jakich okolicznościach obrażono, ani jaką winę ponosi właściciel tego lokalu.

Następnego dopiero dnia dowiedziałem się z „Kuriera Poznańskiego”, że na odbytym wiecu potępiono „obrazę honoru akademickiego”, uchwalono powołanie kilkudziesięcioosobowych grup studenckich, których zadaniem było kolejne zajmowanie w ciągu określonych godzin wszystkich stolików w „Varsovie” i zamawiania jedynie wody sodowej! W ten sposób chciano zablokować cały lokal nastawiony na nocnych i dochodowych gości. Zastosowana forma bojkotu miała zmusić p. Piosska do publicznego

<sup>l)</sup> Zamordowany w Katyniu.

<sup>m)</sup> „Restaurant de Varsovie” mieściła się przy ul. 27 Grudnia 10.

przepraszania młodzieży akademickiej oraz do zapłacenia na określony cel ustalonej, dość wysokiej kwoty pieniężnej – kilku tysięcy złotych!

Podjęty bojkot „Varsovie” sparaliżował przejściowo normalne życie całej uczelni. W ciągu szeregu dni obmyślano coraz to nowe formy nacisku. Nie odnosiły one jednak skutku. Pan Piossek nie miał zamiaru pójść na jakiegokolwiek ustępstwa przypuszczając, że organizatorom blokady zabraknie kiedyś chęci do jej kontynuowania.

Blokada „Varsovie” bawiła chwilowo mieszkańców Poznania. Z czasem zaczęto odnosić się do niej z niepokojem i dezaprobatą. W ówczesnym „Dzienniku Demokratycznym” ukazał się artykuł podpisany przez oficera rezerwy i aktualnego studenta Bobińskiego potępiający całą hecę i odsłaniający jej kulisy. Wśród organizatorów blokady zawrzało. Zwołano w trybie pilnym kolejny wiec, na którym domagano się kontynuowania podjętej walki i potępienia prasowej „dywersji” ze strony Bobińskiego.

Przypadkowo byłem obecny na tym wiecu odbywającym się na parterze w Zamku. Wobec setek zgromadzonych studentów występowali z płomiennymi przemówieniami liczni mówcy, a wśród nich również ówczesny rektor prof. Stanisław Dobrzycki. Dla braku trybuny przemawiano z rozstawnej drabiny, na którą wstępowali kolejni mówcy. Jednym z nich był mój znajomy i kolega z roku Zbigniew Łebiński. W namiętnych słowach piętnował on antyblokadową postawę Bobińskiego, nazywając go zdrajcą sprawy akademickiej i odsądzając go od czci i wiary. Nie pomogły nawoływania rektora Dobrzyckiego do spokoju i rozwagi. Zwyciężyli demagodzy. Sprawa ciągnęła się jeszcze kilka dni, zmuszając w końcu p. Piosska do częściowej kapitulacji.

Konsekwencje rozpetanej akcji były tragiczne. Zaatakowany osobiście przez Łebińskiego Bobiński przysłał mu sekundantów, żądając satysfakcji honorowej z bronią w rękę. Doszło do pojedynku na pistolety. W jego wyniku Łebiński stracił życie. Bobiński stosownie do obowiązujących wówczas przepisów niemieckiego kodeksu karnego skazany został na jeden rok twierdzy. Była to honorowa forma odosobnienia. Skazany na twierdzę mógł korzystać z własnego ubrania i bielizny oraz z pożywienia restauracyjnego. Nie był obowiązany do żadnej pracy. Wolno mu było otrzymywać bez ograniczenia gazety i książki, i utrzymywać korespondencję.

Dopiero po zakończeniu blokady wyszły na jaw okoliczności, w jakich nastąpiła owa „zniewaga honoru akademika”.

Otóż pewnego wieczoru w lokalu „Varsovie” przy jednym ze stolików siedziała grupa oficerów. Inny stolik zajęty był przez studentów należących do „złotej młodzieży”. Między studentami a oficerami w służbie czynnej istniał wówczas głęboki antagonizm. Studenci reprezentowali w większości ideologię endecką, oficerowie zaś byli zwolennikami Marszałka Piłsudskiego. Toteż kiedy studenci byli już podchmieleni, poczęli prowokować spokojnie zachowujących się oficerów. Nie poprzestając na słowach, zaczęli rzucać kieliszkami na stolik oficerski. Oficerowie nie dali się sprowokować. Zażądali jednak stanowczo od gospodarza, aby bezzwłocznie usunął z lokalu awanturujących się studentów. Życzenie to zostało sprawnie przez kelnerów spełnione. O nazwiskach usuniętych z lokalu studentów trudno mi się było dowiedzieć, tym bardziej że niebawem po owych zajściach wyjechałem z Poznania.

Niewątpliwie ta grupa awanturujących się studentów odpowiedzialna była moralnie za śmierć wartościowego, lecz naiwnego kolegi Łebińskiego. Niewątpliwie też nie brał on udziału w prowokacjach, jakie miały miejsce w „Varsovie”, i niepotrzebnie zaangażował się później na wiecu w studenckie manifestacje.

Opisane zajścia i ich tragiczny wynik dowodzą, jak młodzież studencka w swej masie może być bezkrytyczna i naiwna, i jak grupa anonimowych demagogów potrafi ją wykorzystać do siebie jedynie wiadomych celów. Trzeba jednak stwierdzić, że wynik pojedynku Bobiński–Lebiński stanowił dla studentów nie lada wstrząs. Od tego tragicznego wypadku „zabawy” w pojedynki na terenie szkół wyższych w Poznaniu już się nie powtórzyły.

Kiedy w sobotę 12 maja 1926 r. dotarła do Poznania wieść o dokonanym przez Józefa Piłsudskiego zamachu stanu, spowodowała ona we wszystkich grupach społecznych naszego miasta głębokie poruszenie. Wiadomości o przebiegu zamachu i toczących się na ulicach Warszawy walkach między oddziałami wojsk opowiadających się za Marszałkiem Piłsudskim a oddziałami wiernymi dotychczasowemu rządowi z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim i premierem Wincentym Witosem na czele, były skąpe, niepewne, a niekiedy sprzeczne.

Do Poznania przybyli samolotami miejscowi posłowie i senatorzy, między innymi również minister sprawiedliwości dr Stefan Piechocki. Toczyły się gorączkowe narady w tutejszych sztabach partyjnych oraz w organizacjach studenckich.

Poza stosunkowo nielicznymi grupami zwolenników Marszałka, wszystkie inne środowiska radziły nad zbrojnym przeciwstawieniem się zamachowi. Uważano, że Wielkopolska może i powinna pospieszyć na pomoc wojskom wiernym rządowi. Nie można było w tym względzie liczyć na jednostki wojskowe stacjonujące w naszym województwie. Wprawdzie dowódca Poznańskiego Okręgu Wojskowego, gen. Kazimierz Sosnkowski, człowiek zaufania Marszałka, w decydującej chwili nie umiał się zdobyć na decyzję poparcia dokonywanego przewrotu i usiłował popełnić samobójstwo, to jednak dla wszystkich było jasne, że sympatie kadry oficerskiej dla Marszałka wykluczały posłużenie się oddziałami poznańskimi przeciwko podjętym przez niego krokom.

Postanowiono więc sformować specjalne oddziały zbrojne, złożone z prawicowo nastrojonych mas studenckich. W tym celu zwołano na niedzielę, 13 maja 1926 r., wielki wiec akademicki w westybulu dzisiejszego Collegium Maius<sup>n)</sup> przy ul. Fredry.

Na wiecu tym prof. Edward Taylor poinformował zebranych o rezolucji podjętej na przedpołudniowym nadzwyczajnym posiedzeniu Senatu Uniwersytetu. Rezolucja stwierdzała, że Piłsudski przez swój zamach wyjął się sam spod prawa i że obowiązkiem każdego patrioty jest walka z podjętą przez niego rebelią. Na wiecu przemawiał również w słowach patetycznych, mieniący się reprezentantem stołecznej młodzieży akademickiej, członek warszawskiej korporacji „Aquilonia”, wzywając obecnych do podjęcia zbrojnej walki z buntownikiem. W tym samym duchu przemawiali przedstawiciele miejscowych korporacji.

Postanowiono uruchomić niezwłocznie zaciąg do Legii Akademickiej, mającej się udać na pole walki do Warszawy.

Równocześnie sformowany został wielki pochód studencki pod gmach Urzędu Wojewódzkiego przy Placu Kolegiackim, gdzie wręczono wojewodzie Adolfowi Bnińskiemu tekst powziętej uchwały.

W tym samym czasie odbył się wiec młodzieży sympatyzującej z obozem Marszałka. Młodzież ta przeszła również – lecz w znacznie skromniejszym składzie – ulicami miasta, manifestując głośno swe poparcie dla wydarzeń warszawskich.

---

<sup>n)</sup> Wówczas Collegium Medicum.

Należy stwierdzić, że zaciąg do Legii Akademickiej – mimo ogromnej propagandy – nie dał spodziewanych wyników. Zdołano, o ile mi wiadomo, uformować jednostkę w sile nie wiele większej niż jednego batalionu. Na czele Legii Akademickiej stanął emerytowany generał Józef Dowbór-Muśnicki, wielki antagonistą Piłsudskiego. Dla przewiezienia ochotników do Warszawy zarekwirowano na dworcu skład jednego pociągu osobowego. Pociąg dotarł jedynie do Kutna. Tamtejsi kolejarze, którzy opowiedzieli się za Marszałkiem Piłsudskim, nie przepuścili go dalej. Bardzo szybko cała Legia Akademicka rozsypała się, a jej uczestnicy po cichu wrócili do Poznania.

Kiedy już pracowałem w Prokuraturii Generalnej, zetknąłem się z prawną reperkusją tej dość groteskowej eskapady. Wpłynął do nas wniosek Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych o wytoczenie sprawy cywilnej przeciwko gen. Dowbór-Muśnickiemu za bezpodstawne zarekwirowanie pociągu! O ile sobie przypominam, sprawa została później na polecenie władz centralnych wycofana.

Liczba studentów-Żydów była na Uniwersytecie znikoma. Środowisko poznańskie nie stwarzało dla nich korzystnej atmosfery. Z tego względu nigdy nie dochodziło tu do takich manifestacji antysemickich, jakich świadkami były wyższe uczelnie w innych miastach polskich. Nie mniej jednak i nasza młodzież popierała ogólnokrajowe hasło *numerus clausus* oraz okazywała studentom-Żydom swoją niechęć. Dało się to zauważyć szczególnie na Wydziale Lekarskim, na którym studiowała najliczniejsza grupa Żydów. Młodzież uzależniała dopuszczanie ich do prosektoriów pod warunkiem dostarczenia odpowiedniej ilości zwłok żydowskich. Na tym tle przez dłuższy czas trwały zatargi, gdyż studenci żydowscy wzburleni się spełnić ten, zdawało się słuszny i niewygórowany warunek.

Dziekanem Wydziału Lekarskiego był wówczas prof. Stefan Dąbrowski, członek Stronnictwa Narodowego i z jego ramienia wielokrotny poseł na Sejm.

Pewnego dnia zgłosił się do niego w Dziekanacie, znajdującym się wówczas na parterze Collegium Minus, rabin poznański. Z przekazanej mi osobiście po wojnie relacji prof. Dąbrowskiego dowiedziałem się, że rabin zwrócił się do niego w sprawie dopuszczania studentów żydowskich do ćwiczeń w prosektorium. Odmówił jednak swej pomocy w sprawie dostarczania zwłok żydowskich, motywując to względami religijnymi.

Kiedy studenci zauważyli pojawienie się rabina, zebrała się ich liczna gromada w Collegium Minus oraz na zewnątrz gmachu. Dziekan obawiając się, aby nie doszło do jakichś przykrych incydentów, wziął odchodzącego rabina pod rękę i spokojnie wyprowadził go na ulicę. Profesor Dąbrowski cieszył się tak wielkim autorytetem i mirem wśród młodzieży, że sama jego obecność wystarczyła, aby zapobiec awanturom. Jego zachowanie się w stosunku do interesanta i gościa, którym był rabin, stanowiło przykład postępowania gentlemana w najtrudniejszych sytuacjach.

W związku z prowadzonymi przeze mnie w latach 1931–1939 wykładami z prawa cywilnego na Wydziale Rolniczo-Leśnym, zaszedł tylko jeden wypadek związany z antyżydowskim nastawieniem studentów. Kiedy przy końcu semestru podpisywałem indeksy, miałem na sali komplet słuchaczy. Po skończonym wykładzie podchodzili oni do katedry, na której leżały już złożone indeksy. W pewnym momencie grupa zebrana wokół katedry zażądała ode mnie odmówienia podpisu w jednym z indeksów. „Dlaczego? – pytam. – „Ten pan” – wskazano mi na stojącego obok młodzieńca – „został skreślony z listy studentów”. Spojrzałem na delikwenta i zorientowałem się, że



---

przyczyną interwencji jest to, iż jest Żydem. „To jakim prawem przedkłada mi Pan indeks?” – zapytałem. Wystraszony student prawie szeptem oświadczył: „Wczoraj Pan Dziekan przywrócił mi prawo do dalszych studiów. W indeksie jest odpowiednia notatka”. Stwierdziłem, że notatka taka została istotnie zamieszczona. Powiedziałem wówczas do demonstrantów: „Panowie, o tym, czy ktoś ma prawo do studiów decyduje Dziekan. Decyzja dziekańska jest dla mnie świętą”. Podpisałem indeks i wręczyłem go zainteresowanemu. Sala zachowała milczenie.

Jako profesorowi i rektorowi obcą mi była zawsze jakakolwiek myśl dyskryminowania studentów ze względu na ich rasę, narodowość, poglądy religijne czy polityczne. W ciągu mej z górą czterdziestoosmioletniej pracy w szkolnictwie wyższym miałem do czynienia ze studentami bardzo różnego autoramentu. Z jednakową bezstronnością i życzliwością odnosiłem się do wszystkich, jeżeli cechowała ich odpowiednia postawa wobec państwa, podporządkowanie się obowiązującym na uczelni przepisom oraz rzeczywiste wyniki w nauce.

## ROZDZIAŁ VII

## MOI PROFESOROWIE

W okresie moich studiów Uniwersytet Poznański był najmłodszym wśród pięciu istniejących wówczas na ziemiach polskich uniwersytetów (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, Uniwersytet Warszawski, Katolicki Uniwersytet Lubelski i Uniwersytet Poznański).

Okres jego organizacji przypada na lata 1919–1922. Nie było to zadanie łatwe. W zakresie żadnej z reprezentowanych przez Uniwersytet nauk ani Poznań, ani cała ówczesna Polska Zachodnia nie rozporządzała niezbędną kadrą należycie przygotowanych naukowców. Za czasów pruskich, jak wiadomo, kariera naukowa dla Polaka była niemal nieosiągalna. Uzdolnieni synowie Wielkopolski i Pomorza przenosili się najczęściej do Krakowa i Lwowa, gdzie mogli zdobywać stopnie i tytuły naukowe, i dochodzić do najwyższych stanowisk uniwersyteckich. Dla przykładu wymienić tu można takie nazwiska, jak znakomity filolog klasyczny Ludwik Ćwikliński, historycy Wojciech Kętrzyński i Bronisław Dembiński, ekonomista Kazimierz Zimmermann, statystyk Marcin Nadobnik, wielki poeta i historyk literatury Jan Kasprówicz, okulista Bolesław Wicherkiewicz, biochemik Bronisław Niklewski. Dopiero po wyzwoleniu Wielkopolski niektórzy z nich mogli powrócić do Poznania, aby objąć katedry na organizowanym tu Uniwersytecie. Lwią część stanowisk profesorskich trzeba było obsadzić kwalifikowanymi naukowcami pochodzącymi z innych dzielnic.

O ile idzie o Wydział Prawno-Ekonomiczny, to w przeważnej mierze zasilili go młodzi wychowankowie uniwersytetów Jagiellońskiego i Jana Kazimierza. Była wprawdzie na miejscu pewna liczba wybitnych prawników polskich młodszego pokolenia ze stopniami doktorskimi. Większość z nich jednak nie była skłonna porzucić doskonale prosperujących kancelarii adwokackich i poświęcić się pracy naukowej. W pierwszym okresie tylko niektórzy z nich podjęli się przejściowo prowadzenia zajęć dydaktycznych. Byli to: Jan Sławski (prawo handlowe), Stanisław Sławski (proces karny), Witold Prądzyński (prawo karne), Konrad Kolszewski (prawo administracyjne), Bronisław Stelmachowski (proces cywilny) i Romuald Paczkowski (prawo cywilne). Z tego grona związali się później na stałe z Wydziałem Romuald Paczkowski i Bronisław Stelmachowski. Jeżeli dodamy do nich statystyka Marcina Nadobnika, wysoce utalentowanego lecz przedwcześnie zmarłego historyka prawa Teodora Tyca oraz ekonomistę i skarbowca Rocha Knapowskiego, to na Wydziale Prawno-Ekonomicznym mieliśmy w okresie międzywojennym jedynie pięciu profesorów Wielkopolan.

Podstawowy człon Wydziału stanowili w tym czasie profesorowie pozyskani z innych ośrodków naukowych. Już w 1919 r., w pierwszym roku istnienia Uniwersytetu, podjęli tu swe obowiązki: 1) organizator i pierwszy dziekan Wydziału Antoni Peretiatkiewicz, kierujący początkowo Katedrą Encyklopedii i Filozofii Prawa, a następnie

Katedrą Prawa Konstytucyjnego (państwowego), 2) Zygmunt Lisowski – kierownik Katedry Prawa Rzymskiego, 3) Jan Rutkowski – kierownik Katedry Historii Gospodarczej, 4) Tadeusz Brzeski – kierownik I Katedry Ekonomii Politycznej, 5) Edward Taylor – kierownik II Katedry Ekonomii Politycznej i Skarbowości, 6) Alfred Ohanowicz – kierownik I Katedry Prawa Cywilnego, 7) Abdon Kłodziński – kierownik Katedry Historii Prawa Polskiego.

W latach 1920–1921 dołączyli do nich: 8) Stanisław Kasznica (Katedra Prawa Administracyjnego), 9) Bohdan Winiarski (Katedra Prawa Międzynarodowego), 10) Józef Jan Bossowski (Katedra Prawa i Procesu Karnego), 11) Tadeusz Dziurzyński (Katedra Prawa Handlowego), 12) Stefan Zaleski (III Katedra Ekonomii Politycznej), 13) Stefan Rosiński (IV Katedra Ekonomii Politycznej), 14) Bogdan Wasiutyński (II Katedra Prawa Administracyjnego), 15) Czesław Znamierowski (Katedra Teorii i Filozofii Prawa), 16) Stanisław Nowakowski (Katedra Geografii Gospodarczej), 17) Tadeusz Silnicki (Katedra Prawa Kanonicznego).

Już w pierwszym okresie Wydział utracił na rzecz Warszawy profesorów: Tadeusza Brzeskiego i Bogdana Wasiutyńskiego, a nieco później Stefana Zaleskiego. Do Krakowa przenieśli się Tadeusz Dziurzyński i Abdon Kłodziński. Zmarł Teodor Tyc. Zastąpili ich: 18) Józef Sułkowski (prawo handlowe), 19) Zygmunt Wojciechowski (historia prawa polskiego) oraz 20) Marian Zygmunt Jedlicki (Katedra Historii Prawa na Zachodzie Europy).

Należy z perspektywy czasu wyrazić podziw dla zdolności organizacyjnych ówczesnych władz Uniwersytetu i Wydziału. Pozyskani dla Wydziału młodzi profesorowie okazali się wspaniałymi nabytkami. Ich talenty naukowe, należyte przygotowanie i zapał do pracy od pierwszych chwil zapewniły Wydziałowi wysoką rangę.

Ten dobrany zespół pełnił swe funkcje przez cały okres międzywojenny oraz – w przeważnej mierze – jeszcze w okresie Polski Ludowej. Jego zasługą było przygotowanie następców, którzy po 1945 r. obejmowali stopniowo opróżnione przez swych mistrzów posterunki.

Organizatorzy Wydziału popełnili jedną tylko pomyłkę w doborze kadr naukowych. Powołany na wykładowcę prawa kanonicznego dr Edward Bobke bardzo szybko zdemaskowany został jako plagiat. W 1921 r. ukazał się jego podręcznik *Prawo Kościelne*. Stanowiło to wówczas rewelację. Toteż redakcja „Ruchu Prawniczego i Ekonomicznego” zwróciła się do znanego kanonisty prof. Władysława Abrahama ze Lwowa o napisanie recenzji. Została ona opublikowana w zeszycie 4 z 1921 r. (s. 694–700) wspomnianego kwartalnika. Recenzent, wykazując dyletanctwo i brak kompetencji dr. Bobke do napisania podręcznika, stwierdził, że „autor ułatwił sobie zadanie w sposób w literaturze niedopuszczalny, gdyż całymi stronami lub ustępami (które recenzent szczegółowo wykazuje) – przepisywał lub tłumaczył wprost z książek innych autorów, nie podając źródeł, a zwłaszcza z podręczników Heinerja (*Katholischen Kirchenrecht*), Pöschla (*Kurz gefasstes Handbuch des Katholischen Kirchenrechts*), Hinschiusa, tudzież z książek ks. Krynickiego *Dzieje Kościoła Powszechnego*.

W tych warunkach dr Bobke musiał opuścić swe stanowisko. Jego miejsce zajął przejściowo ksiądz dr Janasik, którego wykładów słuchałem na II roku studiów.

Rzecz jasna, że jako student, a następnie asystent, stykałem się bezpośrednio głównie z profesorami własnego Wydziału. Nie oznacza to, abym nie interesował się wybitniejszymi profesorami innych specjalności, o których mówiło się głośno w Poznaniu.

I tak, prowadząc w latach 1931–1939 na Wydziale Rolniczo-Leśnym wykłady z prawa cywilnego, miałem sposobność bliższego poznania wysoko cenionych profesorów tegoż Wydziału: Konstantego Steckiego, botanika, Zygmunta Pietruszewskiego, hodowcę roślin, Bronisława Niklewskiego, specjalistę z zakresu biochemii, Wiktora Schramma, ekonomistę rolnego, redaktora „Roczników Nauk Rolniczych i Leśnych”, Tadeusza Wielgosza, leśnika. Powszechnie znaną postacią był tam meteorolog prof. Władysław Smosarski, o którym krążyło wiele pociesznych anegdot.

Fascynowała mnie wówczas osobowość i dynamizm naukowy takich profesorów, jak Józef Kostrzewski, archeolog, Florian Znaniecki, socjolog i Stanisław Pawłowski, geograf, których spotykałem na różnych zebraniach naukowych.

Interesującym oryginałem był filozof przyrody Władysław M. Kozłowski, niski, niepozorny krótkowidz w binoklach, stale obciążony stosami dźwiganych książek. Spotkać go można było często na Kaponierze, kiedy zainteresowany treścią jakiejś książki przystawał i nie zwracając na nikogo uwagi – pochłonięty był czytaniem.

Malowniczą postacią na terenie Poznania był w okresie międzywojennym znakomity językoznawca, profesor Henryk Ułaszyn. Pochodził z Ukrainy, szczerzy patriota, wykształcony wszechstronnie na uczelniach zagranicznych, głównie niemieckich. Był ożeniony – jak mówiono – z córką Gebethnera i Wolffa<sup>a)</sup>, właścicieli znanej firmy wydawniczej. Zaliczano go do grona ateistów, za jakich uchodzili wówczas profesorowie z Wydziału Lekarskiego: Tadeusz Kurkiewicz i Stefan Różycki, geograf gospodarczy prof. Stanisław Nowakowski, prokurator Sądu Apelacyjnego Franciszek Konieczny oraz prof. Czesław Znamierowski. Faktem jednak jest, że prof. Ułaszyn był najbardziej bojowym antyklerykałem, czemu dawał częsty wyraz w swych wypowiedziach. Imponował znakomitą znajomością zagadnień teologicznych. Zwalczany przez środowiska katolickie, był jednak przez nie szanowanym. Podobno sam kardynał Hlond zapraszał go na dyskusje. Wśród młodzieży, w przeważającej mierze przeciw endeckiej i katolickiej, cieszył się sympatią. Imponował swoją wiedzą, prawością i odwagą. Wysoki, z długą szyją, z nieco pochyloną głową, stale zamyślony. Mówiło się o nim, że prawdopodobnie obmyśla sposób najlepszego ugodzenia dziadą Pana Boga!

Po 1945 r. nie powrócił do Poznania, przyjmując zaproponowaną mu katedrę na Uniwersytecie Łódzkim. W latach czterdziestych odwiedził kiedyś Poznań, gdzie córka jego kończyła nasz Wydział. Naturalnie, że jego pojawienie się wywołało zrozumiałe zainteresowanie. Zebrało się nas większe grono w kawiarni W-Z, wysłuchując m.in. jego ironicznych relacji o stosunkach panujących w Uniwersytecie Łódzkim. Opowiadał nam, jak to powołując się na jego antyklerykalne przedwojenne poglądy zwróciła się do niego redakcja jednego z czasopism o napisanie artykułu, skierowanego przeciwko Kościołowi. Odmówił. „Walczyłem z Kościołem – odpowiedział – kiedy był silnym przeciwnikiem! Jak można wymagać ode mnie, szlachcica, abym walczył z nim dzisiaj, kiedy nie odgrywa on już dawnej roli.”

Najwięcej zainteresowania wśród studentów budzą z natury rzeczy profesorowie własnego wydziału. Oceniają oni ich codziennie nie tylko według tego, co i jak głoszą, ale również według ich zachowania się na uczelni i poza nią w stosunku do studentów, kolegów i osób postronnych.

Wiedziałem o tym dobrze. Toteż jako profesor często powtarzałem: „My stawiamy

---

<sup>a)</sup> Prof. Henryk Ułaszyn był żonaty z Wandą Wolff.

studentom notę dobrą lub złą – przeważnie tylko raz w roku. Oni tymczasem noty takie stawiają nam codziennie”.

Co więc składa się na autorytet i popularność profesora?

Zdaje mi się, że w pierwszym rzędzie decyduje o tym jego osobowość. Dopiero na drugim miejscu wymienić należy wiedzę i dorobek naukowy. Studenci dość wcześnie orientują się, czy pracownik naukowy posiada konieczne przygotowanie teoretyczne i praktyczne do pełnienia swych funkcji, czy jest prawdziwym znawcą w swej dziedzinie. Orientują się też w jego dorobku naukowym oraz w jego randze w skali Wydziału, środowiska, kraju, a nawet na terenie międzynarodowym. Dlatego tak ważną rolę odgrywa właściwy dobór kadry naukowej pod względem uzdolnień do twórczej pracy naukowej. Braku talentu naukowego nie zastąpią żadne inne zalety umysłu i charakteru.

Wśród elementów składających się na autorytet profesora wymienilibym z kolei sumienność w zakresie wypełniania powierzonych mu obowiązków. Składają się na nią: należyte przygotowanie wykładów i seminariów, punktualność, niezawodność. Nie wzbudza szacunku profesor przychodzący na wykład nieprzygotowany, roztargniony, spóźniony, a co gorsza – zapominający w ogóle o mającym się odbyć wykładzie czy seminarium. Profesor ma przecież nie tylko uczyć, ale i wychowywać – nie słowami, lecz również własnym przykładem.

Dalszą cechą, która powinna cechować każdego profesora i wychowawcę jest życzliwość w stosunku do studentów, asystentów i kolegów, naturalna chęć dzielenia się swą wiedzą, gotowość przychodzenia z radą i pomocą.

Sobkostwo, egoizm i zazdrość nie stwarzają klimatu zaufania koniecznego w uczelni. W ścisłym związku z życzliwością pozostaje sprawiedliwość. Będąc życzliwym, profesor powinien przestrzegać równocześnie zasad sprawiedliwości w ocenach swych uczniów i kolegów. Studenci są na to niezwykle wrażliwi. Uznają oni surowe wymagania i surowe oceny, byleby były one stosowane jednakowo w stosunku do wszystkich.

Podnosi autorytet i popularność profesora w ocenach studentów kulturalny sposób odnoszenia się do nich. Studenci chcą być traktowani w sposób uprzejmy. Wyniosłe lub zgoła lekceważące odnoszenie się do nich podlega ujemnej ocenie z ich strony, nie mówiąc o tym, że stanowi to zły przykład zachowania się dla przyszłego absolwenta.

Wreszcie nie bez znaczenia jest dbałość o wygląd zewnętrzny. Jedyne w stosunku do wielkich uczonych jest młodzież pod tym względem pobłażliwa. Z innych pogardliwie się wyśmiewa.

Z dużą satysfakcją stwierdzam, że nasi profesorowie na ogół – choć w różnym stopniu – odpowiadali wspomnianym wymaganiom i w zasadzie cieszyli się zasłużonym szacunkiem. Niektórzy z nich byli przez młodzież szczególnie lubiani.

Na pierwszym miejscu należy tu wymienić profesora Antoniego Peretiatkowicza. Urodzony w 1884 r. na Wołyniu, odbył studia prawnicze w Krakowie, a następnie 5-letnie studia specjalistyczne filozoficzno-prawne w Paryżu, Heidelbergu, Genewie i Wiedniu. Habilitował się w Krakowie w 1914 r. z filozofii prawa.

Powołany w kwietniu 1919 r. do Poznania w charakterze profesora zwyczajnego miał lat 35, poważny dorobek naukowy publikowany w językach polskim, niemieckim i francuskim. Szerokie doświadczenie w zakresie organizacji studiów prawniczych.

Jako pierwszy dziekan Wydziału Prawno-Ekonomicznego w l. 1919 i 1919/20 oraz prorektor w roku 1920/21 wykazał niezwykły talent organizacyjny. Jemu należy też

przypisać w dużej mierze prawidłowe ustalenie struktury organizacyjnej Wydziału i wyjątkowo szczęśliwą obsadę personalną. Jemu też zawdzięcza swe powstanie w 1921 r. kwartalnik „Ruch Prawniczy i Ekonomiczny”, będący organem naukowym Wydziału, a z czasem i Akademii Handlowej (obecnie Akademii Ekonomicznej). „Ruch” pod naczelną redakcją profesora Peretiatkowicza stał się w okresie międzywojennym jednym z czołowych czasopism prawniczych i ekonomicznych w kraju. Jego łamy dostępne były dla wybitnych przedstawicieli wszystkich krajowych środowisk akademickich, bez względu na reprezentowane przez nich poglądy polityczne i społeczne. W „Ruchu” ukazywały się też artykuły profesorów zagranicznych, utrzymujących ze środowiskiem poznańskim kontakty naukowe.

Bezpośrednio po wojnie nie było warunków do wznowienia tego poważnego kwartalnika. Dopiero w końcu 1956 r., bezpośrednio po śmierci prof. Peretiatkowicza, na mój wniosek, poparty przez ówczesnego rektora UAM, prof. Alfonsa Kłańkowskiego, nastąpiło wznowienie „Ruchu” pod naczelną redakcją prof. Alfreda Ohanowicza. Wychodzi on od lat jako „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny”, będąc organem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i Akademii Ekonomicznej, dobrze służącym potrzebom naukowym naszego ośrodka.

Przez okres ostatnich trzech lat przedwojennych prof. Peretiatkowicz pełnił funkcję rektora Uniwersytetu Poznańskiego. Jego zdolności organizacyjne wykorzystane zostały również przez drugą ówczesną Uczelnię, Wyższą Szkołę Handlową. Powołany w 1932 r. na jej dyrektora, w istotny sposób przyczynił się do ukształtowania jej profilu naukowego oraz do uzyskania przez nią w 1938 r. statusu niepaństwowej szkoły akademickiej i nazwy Akademii Handlowej.

Wszystkie te sukcesy zawdzięczał swym cechom osobistym. Liberal z przekonania, tolerancyjny, uprzejmy i życzliwy, z wszystkimi kolegami utrzymywał przyjazne stosunki. Umiał dobierać sobie zaufanych współpracowników spośród osób posiadających odpowiednie walory osobiste i fachowe, nie zważając na ich przekonania polityczne czy światopoglądowe. O ile mi wiadomo, nie należał nigdy do żadnego stronnictwa politycznego, choć w pierwszych latach był bliski ideologii Stronnictwa Narodowego.

Przez szereg lat, będąc jeszcze kawalerem, zajmował dwa pokoje w tym samym pensjonacie przy ul. 3 Maja, w którym miał swą poznańską kwaterę Roman Dmowski. To też, kiedy po 1926 r. zgodził się na przejściowe pełnienie funkcji redaktora naczelnego „Dziennika Poznańskiego” – opowiadającego się za linią polityczną Józefa Piłsudskiego – opinia środowiska przyjęła to ze zdziwieniem, a nawet z dezaprobatą.

Był chyba pierwszym profesorem posiadającym własny samochód, którym odbywał liczne wycieczki turystyczne – krajowe i zagraniczne – często w miłym towarzystwie. Lubił stały kontakt z kolegami i osobami interesującymi. Prowadzili wraz z żoną dom otwarty, w którym w przyjaznej atmosferze omawiało się różne sprawy. Był w godzinach południowych codziennym gościem w kawiarni Dobskiego, dzisiaj kawiarni W-Z, gdzie przy jego stoliku zbierało się stale sporo osób tworzących – jak się mówiło – „Perklub”.

Przy licznych swoich funkcjach nigdy nie był przeciążony pracą. Wykazywał cechy prawdziwego menedżera, który, kierując większymi zespołami, rozdziela pracę między innych, a sam zachowuje dla siebie jedynie ogólny nadzór i decyzję w sprawach zasadniczych.

Był doskonałym wykładowcą. Cechowała go jasność i precyzja myśli, bez obciążania umysłu słuchaczy zbędnymi szczegółami. Jego podręczniki z zakresu prawa konstytu-

tucyjnego są wzorem zwartości przy równoczesnym uwzględnieniu problemów istotnych.

Pasjonowała go do ostatnich lat życia filozofia społeczna Jana Jakuba Rousseau. Poświęcił jej też szereg opracowań. Studenci wydali kiedyś żartobliwą jednodniówkę, w której anonsowali ukazanie się nowej pracy Peretiatkowicza pt. *Co ja zawdzięczam J. J. Rousseau, a co J. J. Rousseau zawdzięcza mnie*.

W okresie pomajowym, charakteryzując nowy ustrój państwowy w Polsce, nazwał go „cezaryzmem demokratycznym”. Termin ten przyjął się wówczas dość powszechnie.

Kiedyś zapytany, co to jest polityka? – odpowiedział: „Jest to sztuka zdobycia władzy w państwie i utrzymania się przy niej”. Odpowiedź dość trafnie ujmowała obserwowaną w okresie międzywojennym praktykę.

Cieszyłem się sympatią prof. Peretiatkowicza. Byłem przez niego zachęcany do rychłego przeprowadzenia habilitacji. Ukazywał mi perspektywę rychłego uzyskania katedry w Akademii Handlowej. Na jego propozycję objąłem w 1934 r. wykłady prawa cywilnego w charakterze zastępcy profesora (po prof. Ohanowiczu), a następnie wykłady z prawa handlowego i wekslowego (po prof. J. Sułkowskim). Po przeprowadzeniu habilitacji zostałem na jego wniosek powołany w 1938 r. na profesora nadzwyczajnego Akademii Handlowej i kierownika Katedry Prawa Cywilnego i Handlowego.

Wielkim szacunkiem wśród młodzieży i kolegów cieszył się profesor Jan Rutkowski, kierownik Katedry Historii Gospodarczej. Był on jednym z filarów Sekcji Ekonomicznej naszego Wydziału i po Franciszku Bujaku ze Lwowa – najwybitniejszym specjalistą w swojej nowej dziedzinie wiedzy. Autor wielu źródłowych opracowań o systemie pańszczyźnianym w okresie przedrozbiorowym oraz autor jedynego podręcznika *Historii gospodarczej Polski*, był człowiekiem całkowicie oddanym pracy naukowo-badawczej i dydaktycznej.

Cechowała go niezwykła uczciwość i sumienność w wykonywaniu swoich obowiązków. Był też skrupulatnym i wymagającym egzaminatorem.

Choć nie był utalentowanym wykładowcą, to jednak umiał w sposób starannie usystematyzowany przekazywać studentom materiał kursowy. Na jego wykłady rozpoczynające się o godzinie ósmej przychodziła większość studentów I roku. Tak samo interesujące były jego seminaria, w czasie których wprowadzał on uczestników w arkana pracy naukowej w dziedzinie historii.

Byłem tylko na niewielu jego wykładach i 2–3 posiedzeniach seminaryjnych. Przedmiotem tych posiedzeń była analiza dzieła Jana Długosza *Liber beneficiorum diocesis Cracoviensis*. Każdy z uczestników miał opracować i przedstawić odpowiednią część tego dzieła. Ładnie wyglądałoby na takim seminarium dzisiejsi studenci nie mający pojęcia o łacinie!

Zasługą prof. Rutkowskiego jest wychowanie szeregu znakomitych doktorów. Pierwszym z nich był wspomniany już, przedwcześnie zmarły, Teodor Tyc – wielka nadzieja Wydziału. Następnym był Tadeusz Ereciński, mój rówieśnik z okresu studiów, następnie kolega z pracy w Prokuraturii Generalnej, autor benedyktyńskiej pracy o rzemiośle poznańskim w XVIII wieku<sup>b)</sup>, zamordowany przez hitlerowców w okresie okupacji.

Zginął również w czasie wojny dalszy doktor, wielki erudyta, pracownik Archiwum

---

<sup>b)</sup> Ereciński T., *Prawo przemysłowe m. Poznania w XVIII w.* Poznań, Poznańskie Tow. Przyjaciół Nauk 1934.

Państwowego – Marian Kniat.

Ocaleli, na szczęście, dwaj pozostali doktorzy i docenci prof. Rutkowskiego – profesorowie zwyczajni: Janusz Deresiewicz (na Wydziale Prawa i Administracji UAM) oraz Władysław Ruciński (Akademia Ekonomiczna).

Prof. Jan Rutkowski, choć przez szereg pierwszych lat pełnił obowiązki sekretarza generalnego Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, to jednak w latach późniejszych unikał przyjmowania jakichkolwiek funkcji organizacyjnych.

Na wiosnę 1948 r. byłem członkiem 3-osobowego kompletu, którego zadaniem było przedstawienie ministrowi oświaty i szkolnictwa wyższego kandydatów na rektora Uniwersytetu Poznańskiego. Na pierwszym miejscu umieściliśmy prof. J. Rutkowskiego. Dowiedziawszy się o tym, pojechał do Ministerstwa, aby prosić o zwolnienie go od przewidzianej dla niego godności! Rektorem mianowany został znakomity filozof Kazimierz Ajdukiewicz, który znajdował się jako drugi na projektowanej przez nas liście.

Poważną pozycję na Wydziale posiadał prof. Edward Taylor. Niewątpliwie był on jednym z trzech najwybitniejszych ekonomistów polskich okresu międzywojennego (obok Adama Krzyżanowskiego i Edwarda Lipińskiego).

Podobnie jak prof. Rutkowski, nie ubiegał się on o żadne stanowiska uniwersyteckie, społeczne czy polityczne, lecz poświęcał się wyłącznie pracy naukowej i dydaktycznej. Śledził pilnie literaturę ekonomiczną krajową i zagraniczną. Interesował się historią myśli ekonomicznej. Bliska mu była problematyka pieniądza. Dwie poważne prace poświęcił inflacji w Polsce. Ukoronowaniem jego dorobku naukowego była 2-tomowa *Historia myśli ekonomicznej*<sup>c)</sup>.

Był jednym z reprezentantów szkoły neoklasycznej w ekonomii politycznej. Interesował się jednak nowymi prądami zachodzącymi w ramach tej szkoły. Ich wyrazem była głośna teoria interwencjonizmu państwowego w dziedzinie gospodarczej, która znajdowała swe urzeczywistnienie zarówno w samej Anglii, jak i w Stanach Zjednoczonych (New Deal Franklina Roosevelta) oraz w Niemczech hitlerowskich (praktyka gospodarcza Hjalmara Schachta). Nie rozumiał do końca życia teorii gospodarczych formułowanych w owym czasie w ZSRR i przenoszonych nieudolnie po 1945 r. przez dyletantów ekonomicznych na grunt Polski.

Ekonomia polityczna (zwana przez prof. Taylora ekonomiką) jest według niego nauką o prawach obiektywnych rządzących stosunkami gospodarczymi, czyli prawidłowościach występujących niezależnie od woli ludzkiej. Rzeczą nauki jest prawa te wykrywać i poznawać oraz wskazywać sposoby ich wykorzystywania w sensie użytecznym dla społeczeństwa. Zdaniem prof. Taylora, w gospodarce socjalistycznej w początkowym okresie zbyt mało liczone się z obiektywnymi prawami ekonomicznymi, mającymi swój walor również w warunkach gospodarki socjalistycznej, a plany i działalność gospodarczą opierano raczej na subiektywnych podstawach. Nauka ekonomii politycznej była w tych warunkach nie nauką o prawach gospodarczych, lecz o planach gospodarczych. A z taką rolą ekonomii politycznej prof. Taylor nie mógł się pogodzić.

Potrzeba uwzględniania w gospodarce socjalistycznej praw ekonomicznych powoli znajdowała swój wyraz w pracach teoretycznych. Najpełniejszego wyrazu prawda ta doznała dopiero po 1956 r. w znakomitych pracach Oskara Lange. Prace te dokonały

<sup>c)</sup> W rzeczywistości praca ta nosi tytuł: *Historia rozwoju ekonomiki*, t. 1, 2. Poznań 1957–1958; w 1991 r. został opublikowany tom 3, który ze względów cenzuralnych nie ukazał się za życia autora.



przełomu w teorii ekonomii politycznej socjalizmu w skali światowej. Spotkały się one też z dużym uznaniem prof. Taylora w ostatnich latach jego życia (zmarł 9 sierpnia 1964 r.).

Na przestrzeni swej 40-letniej działalności profesorskiej wykształcił prof. Taylor liczne grono uczniów – doktorów i docentów. Wielu z nich zajęło z czasem katedry w różnych uczelniach w kraju (Antoni Roszkowski, Bolesław Kasprowicz, Antoni Skowroński, Jan Zdzitowiecki, Witold Trąmpczyński, Zbigniew Zakrzewski, Józef Rączkowski<sup>d)</sup> i inni).

Celem ułatwienia publikacji prac doktorskich i habilitacyjnych powstałych w ramach prowadzonego przez niego seminarium powołał prof. Taylor do życia serię wydawniczą „Poznańskie Prace Ekonomiczne”. W jej ramach ukazało się w okresie międzywojennym dwadzieścia kilka tomów.

Swymi wybranymi uczniami prof. Taylor stale się interesował. W jego domu odbywały się regularnie zebrania dyskusyjne, stanowiące dla uczestników formę stałego doskonalenia ich wiedzy ekonomicznej.

Bardzo wymagający dla studentów i doktorantów, przyczynił się w wysokim stopniu do upowszechnienia wiedzy ekonomicznej w społeczeństwie. Stał się twórcą „poznańskiej szkoły ekonomicznej”.

Przeniesiony w okresie „błędów i wypaczeń” na emeryturę<sup>e)</sup> (wynoszącą 400 zł miesięcznie), reaktywowany w 1956 r., do ostatnich lat swego życia mógł służyć swą wiedzą i doświadczeniem młodemu pokoleniu ekonomistów polskich. Poza Uniwersytetem i Akademią Handlową, polem jego działalności popularyzatorskiej był oddział poznański Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, któremu przewodniczył. W okresie międzywojennym współpracował z Powszechnymi Wykładami Uniwersyteckimi. Byłem kiedyś na jednym z takich wykładów. Profesor wyjaśniał w sali XVII zasady kształtowania się podaży i popytu. Wykład swój ilustrował sylogizmami pisanymi na tablicy. W pewnym momencie zagubił się w tym i nie mogąc chwycić wątku – stał gąbką cały tekst, mówiąc: „I tak tego nie zrozumiecie”. Bardzo mnie to wówczas ubawiło. Takie potraktowanie słuchaczy odpowiadało trochę naturze profesora.

Z okazji 75-lecia jego urodzin, w 1959 r., odbyło się spotkanie towarzyskie w „Bazarze”. Zagadnął mnie wówczas: „Panie Józefie, jakim sposobem, jako członek Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego należy Pan do Sekcji Ekonomicznej?” – „Z tego tytułu, Panie Profesorze, że w Warszawie uważa się mnie za najwybitniejszego – po Panu Profesorze – ekonomistę poznańskiego”. Powstała przy stole duża wesołość. Istota polegała bowiem na tym, że do Rady Głównej wybrany zostałem z ramienia uczelni ekonomicznych i musiałem z tej przyczyny zajmować się problematyką związaną z tymi uczelniami.

Zawsze dużą popularnością wśród słuchaczy i kolegów cieszył się profesor prawa międzynarodowego publicznego Bohdan Winiarski. Urodzony w 1884 r. w Łomżyńskim, wielki znawca zagadnień międzynarodowych z teorii i praktyki oraz doskonały wykładowca, wnosił na salę powiew wielkiego świata. Był czynnym członkiem Stronnictwa Narodowego, posłem na Sejm przez cały niemal okres międzywojenny. Podobnie jak i inni zaangażowani czynnie pod względem politycznym profesorowie, nigdy nie

<sup>d)</sup> Chodzi zapewne o Stanisława Rączkowskiego.

<sup>e)</sup> W 1949 roku.

wspominał o tym w sali wykładowej czy seminaryjnej.

Przez kilka lat pełnił funkcję Komisarza do Spraw Likwidacji Niemieckiej w województwie poznańskim. Po przewrocie majowym w 1926 r. znalazł się w opozycji do rządzącego obozu Józefa Piłsudskiego. Nie miało to jednak żadnego wpływu na wykorzystywanie go przez rząd do reprezentowania Polski w różnych pertraktacjach, organach i komisjach międzynarodowych. Był autorytetem w zakresie międzynarodowych dróg wodnych. Dzięki swym wysokim walorom umysłu i charakteru zdobył dla siebie i dla Polski międzynarodowy szacunek. Zaczęło to owocować w czasie wojny i w okresie powojennym.

Na początku okupacji hitlerowskiej przedostał się wraz z synem na Zachód. Przez cały okres wojny sprawował w Londynie funkcję prezesa Banku Polskiego i dysponenta wywiezionego z kraju złota. Po wojnie przekazał całe aktywa Banku Polskiego Rządowi Jedności Narodowej, a sam powołany został z ramienia Polski na członka, a z czasem na prezesa Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze.

Mówiło się o nim żartobliwie, że należy do tych, którzy wygrali wojnę.

Sprawowane przez prof. Winiarskiego funkcje nie pozwalały mu na bliższe zajęcie się swymi uczniami. O ile mi wiadomo, pod jego kierownictwem zakończone zostały dwa przewody doktorskie: Zygmunta Izdebskiego, późniejszego profesora Uniwersytetu Łódzkiego oraz pewnego Bułgara, którego nazwisko uleciało mi z pamięci.

Profesor Winiarski czuł się stale związany ze środowiskiem poznańskim, z którym łączyła go dwudziestoletnia praca i któremu przysporzył tyle blasku. W Poznaniu spędzał najczęściej wakacje, spotykając się niemal codziennie ze znajomymi i kolegami. Tu osiadł na stałe po swym przejściu na emeryturę. W Poznaniu również zakończył swój interesujący żywot (w dniu 4 grudnia 1969 r.), którego młodzieńczy okres utrwalił w książce pod tytułem *Nad Pissą, Wissą i Narwią. Podróż sentymalna*.

Profesor Stanisław Kasznica, kierownik Katedry Nauki Administracji i Prawa Administracyjnego, urodzony w 1874 r., był najstarszym wiekiem członkiem Rady Wydziałowej. Jego dorobek naukowy był w okresie dwudziestolecia nikły. We wspomnianej już satyrycznej jednodniówce studenckiej wskazano na jedną tylko pozycję: „Stanisław Kasznica – Życiorys własny. Stron 4”. Dopiero po wojnie ukazał się jego zwięzły, ale wartościowy podręcznik *Polskie prawo administracyjne. Pojęcia i instytucje zasadnicze*, wyd. 2, 1946. Wydanie pierwsze tej pracy (drukowane w tajnej drukarni) ukazało się w czasie okupacji w 1943 r. pod pseudonimem Wł. Łużycki<sup>1)</sup>.

Jego uczniem był zmarły przedwcześnie dr Tomasz Nowicki, długoletni pracownik Zarządu Miejskiego w Poznaniu, a po wojnie adiunkt przy Katedrze Prawa Administracyjnego. Na moją prośbę prof. Kasznica zgodził się na doktoryzowanie Józefa Litwina z Łodzi, wybitnego administratywisty.

Prof. Kasznica był świetnym wykładowcą, doskonałym kierownikiem tzw. konwersatoriów, cieszących się dużą popularnością. Umiał w sposób wyjątkowo jasny i plastyczny przedstawić instytucje prawa administracyjnego. Przedmiot ten odpowiadał jego władczej naturze, nawykłej do kierowania i administrowania. Za czasów austriackich poseł do sejmiku galicyjskiego, profesor Akademii Rolniczej w Dublanach, dyrektor departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, a następnie przez szereg kadencji senator z ramienia Narodowej Demokracji. Sprawował dwukrotnie funkcję dziekana

<sup>1)</sup> Praca wydana w Warszawie pod pseudonimem: Dr A. Łużycki.

oraz funkcję rektora Uniwersytetu Poznańskiego. Posiadał duży autorytet. Nazywano go „wielkim elektorem”, gdyż lubił wybierać i przedstawiać kandydatów na różne stanowiska w ramach Wydziału, a nawet Uniwersytetu.

Człowiek wielkiej uprzejmości i życzliwości, ale równocześnie *veridicus*, surowo osądzający każde niewłaściwe postępowanie, zwłaszcza pracowników naukowych. Prawdziwy rzymski cenzor „dobrych obyczajów”. Toteż bardzo liczone się z jego sądem i odczuwano przed nim respekt.

Ultrakatolik, organizator rekolekcji dla pracowników naukowych, był autorem wydanych drukiem medytacji religijnych<sup>8)</sup>.

Oryginalnym typem profesora był Zygmunt Lisowski, kierownik Katedry Prawa Rzymskiego. Szczupły, nerwowy, stary kawaler, zgorzkniały odludek, a w istocie człowiek gołębiego serca. Znakomity romanista i cywilista, jeden z niewielu znawców papirologii w Polsce. Sprawował w 1921/22 funkcję dziekana, 1922/23 – prorektora, a w 1923/24 – rektora. Przez długie lata – po profesorze Janie Rutkowskim – sekretarz generalny Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a po 1945 r. – jego prezes.

Przy zawsze pełnym audytorium prowadził wykłady w tempie karabina maszynowego. Na głosy studentów: „Prosimy wolniej”, zwalniał na chwilę tempo, ale rychło o tym zapominał. Nie oduczył się tego do końca życia.

Jego zasługą było poprawne tłumaczenie na język polski kodeksu cywilnego niemieckiego i zaopatrzenie go w krótkie przypisy i orzecznictwo polskie. W toku tego tłumaczenia kilkakrotnie zasięgał mojej opinii.

Był człowiekiem punktualnym i niezwykle dokładnym. Na początku mojej kariery naukowej oberwałem od niego przykrą, choć zasłużoną reprimendę. PTPN wydawało wówczas (1932 r.) moją pracę doktorską pt. *Umowa wydawnicza* (pod warunkiem poniesienia przeze mnie części kosztów!). Prof. Lisowski, jako sekretarz generalny i redaktor wydawnictw, przeczytał dokładnie dostarczony mu maszynopis. Wyłowił przy tej sposobności szereg błędów maszynowych. „To karygodne niedbalstwo!!!” – stwierdził. – „W takiej formie nie oddaje się pracy do publikacji w tak poważnej instytucji jaką jest PTPN”. Miał pełną rację. Nauczyłem się odtąd poddawać maszynopisy prac oddawanych do publikacji starannej korekcie.

Prof. Lisowski nie miał własnego doktoranta. Następcą jego na Katedrze Prawa Rzymskiego został znakomity historyk prawa, Kazimierz Kolańczyk, pełniący przez szereg lat obowiązki adiunkta przy tej Katedrze.

Kierownik Katedry Prawa i Procesu Karnego profesor Józef Jan Bossowski (urodzony w 1882 r.) przez 14 lat pełnił odpowiedzialne funkcje w sądownictwie i austriackiej administracji wymiaru sprawiedliwości zanim w 1921 r. habilitował się w Krakowie z procesu karnego, a w 1922 r. uzyskał stanowisko profesora nadzwyczajnego na naszym Wydziale. Zawsze czuł się bardziej sędzią niż profesorem. Dał temu wyraz w okresie po 1945 r., kiedy to przez szereg lat – obok funkcji profesorskich – pełnił funkcję sędziego Sądu Najwyższego.

Był zawsze bardzo ceremonialny i uroczysty. Wypełniał z nieskazitelną dokładnością obowiązki dydaktyczne i powierzone mu obowiązki organizacyjne.

<sup>8)</sup> Są to *Rozważania*, wydane przez Księgarnię św. Wojciecha w Poznaniu w 1935 r., wznawiane przez tę samą oficynę w 1936 i 1946 r., a także wydane w okresie II wojny światowej: w Londynie przez Związek Harcerstwa Polskiego (dwukrotnie) i w Hanowerze przez Związek Wydawców.

Wiosną 1926 r. przygotowywałem się do III egzaminu prawniczego. Razem ze mną uczył się mój kolega, pracownik Izby Skarbowej, Kazimierz Bieniewski. Na 2–3 dni przed egzaminem oświadczono mu w Dziekanacie, że nie zostanie dopuszczony do egzaminu, gdyż podpis prof. Znamierowskiego, stwierdzający uczestnictwo na wykładach, nie jest autentyczny. Bieniewski był tym przerażony. Powtarzał rok, a teraz groziła mu nie tylko ponowna utrata roku, ale nawet skreślenie z listy studentów.

Na jego prośbę zdecydowałem się pójść do dziekana, którym był wówczas prof. Bossowski. Przyniosłem ze sobą szereg indeksów na dowód, że skrócone podpisy prof. Znamierowskiego mają bardzo różny kształt i trudno jest twierdzić, żeby podpis w indeksie Bieniewskiego nie był autentycznym skrótem podpisu prof. Znamierowskiego. Sprawa była o tyle trudna do doraźnego rozstrzygnięcia, że prof. Znamierowski nie uznał podpisu za własny. Oświadczyłem wówczas, że nawet gdyby przyjąć, że podpis jest podrobiony, to trudno jest przypisać karygodny czyn Bieniewskiemu. Ten bowiem na wykłady niemal nigdy nie uczęszcza, a podpisy zbierają za niego różni koledzy. Indeks swój otrzymał Bieniewski od nich w takim stanie, w jakim się znajduje. Czy więc Pan Dziekan w tym stanie rzeczy mógłby, jako sędzia, wymierzyć tak surową karę? Przecież *in dubio pro reo*<sup>h)</sup>. Dziekan długo się zastanawiał – wreszcie wręczył mi kwestionowany indeks ze słowami: „Przekonany o niewinności B. nie jestem, ale broni go Pan prawidłowo”.

W latach pięćdziesiątych obowiązywał system odgórnego przydziału pracy absolwentom naszego Wydziału. Przewodniczącym Komisji Przydziałowej był prof. Bossowski. Jego zastępcą byłem ja. Studia kończyła wówczas córka prof. Peretiatkowicza, Elżbieta. Chodziło o to, aby nie skierować jej do pracy poza Poznaniem. Ojciec Elżbiety udał się do prof. Bossowskiego z prośbą o uwzględnienie tego życzenia. Na to otrzymał odpowiedź: „Gdybym nie był Twoim przyjacielem, mógłbym Ci to załatwić. Ponieważ nasza przyjaźń jest ogólnie znana, mógłbym być posądzony o stronniczość”. Przestraszony prof. Peretiatkowicz zwrócił się wówczas do mnie po radę. Powiedziałem: „Niech Elżbieta nie pokazuje się na żadnym posiedzeniu Komisji Przydziałowej”. Tak też uczyniła. Po pewnym czasie otrzymała pracę poza przydziałem w samym Poznaniu, gdzie też do dziś pełni w sposób chwalebny obowiązki sędziego.

Prof. Bossowski miał dwóch utalentowanych uczniów. W okresie przedwojennym był nim Tadeusz Kuczma, wybitny kryminolog, zamordowany przez hitlerowców w pierwszych miesiącach wojny, a po wojnie Andrzej Szware, obecnie docent i kierownik Zakładu Kryminalistyki. U prof. Bossowskiego doktoryzował się też b. prokurator Sądu Najwyższego Mieczysław Siewierski, aktualny profesor procesu karnego Uniwersytetu Łódzkiego.

Nieprzeciętną postacią wśród moich profesorów był Czesław Znamierowski, człowiek wielkich zdolności intelektualnych i o wielokierunkowych zainteresowaniach teoretycznych.

Urodzony w Warszawie w 1888 r. już w 1905 r. uzyskał maturę i w tymże roku zapisał się na studia filozoficzne Uniwersytetu w Lipsku. Rok 1906/07 spędził na Uniwersytecie w Petersburgu, studiując filozofię i historię. W roku 1907/08 powraca do Lipska, gdzie przebywa przez trzy semestry. Semestr letni 1909 r. poświęcił psychologii na

---

<sup>h)</sup> *In dubio pro reo* – *prawn.* wątpliwości działają na korzyść oskarżonego.

Uniwersytecie w Berlinie, gdzie brał udział w pracy laboratoryjnej i uczestniczył w seminarium teoretycznym kierowanym przez prof. R. Stumpfa.

W semestrze zimowym 1909/10 przerwał studia uniwersyteckie celem przygotowania pracy doktorskiej o pragmatyzmie. W semestrze letnim 1910 r. pracował w seminarium prof. H. Corneliusa w Monachium, a z końcem 1911 r. uzyskał doktorat z filozofii na uniwersytecie w Bazylei, przy czym poza filozofią jako przedmiotem głównym, składał egzamin z matematyki i fizyki – jako przedmiotów pobocznych.

Od 1912 r. do wybuchu I wojny światowej pracował naukowo w Warszawie, przygotowując prace z filozofii religii. W latach 1914–1922 pracował w szkolnictwie średnim i na kursach przy Związku Kobiet Katolickich, wykładając kolejno matematykę i propedeutykę historii filozofii. W tym czasie przetłumaczył i wydał *Psychologię Titchenera*<sup>h)</sup>, *Zasady etyki Moore’a*, *Logikę Jevonsa*, *Zarys psychologii Stouta*.

W latach 1919–1921 przygotował się w trybie przyspieszonym do egzaminów z prawa na naszym Uniwersytecie. W 1922 r. na podstawie pracy pt. *Psychologizyczna teoria prawa* uzyskał tu doktorat prawa, a od lipca 1922 r. objął – najpierw w charakterze zastępcy profesora – kierownictwo Katedry Teorii i Filozofii Prawa.

Jak widać, droga prowadząca C. Znamierowskiego do profesury na Wydziale Prawa była dość niezwykła. Również odbyte w przyspieszonym tempie studia prawnicze nie stanowiły dostatecznej podstawy dla objęcia funkcji tak odległej od dotychczasowych zainteresowań naukowych. Nadmiar tych zainteresowań powodował, że C. Znamierowski nie mógł długo odnaleźć swej drogi życiowej. Chyba przypadkowi lub czyjejs sugestii przypisać należy fakt, że zdecydował się na nieznaną sobie dziedzinę. Gdyby nie wrodzone zdolności i wybitny talent naukowy, mógłby prof. Znamierowski przerodzić się w zwykłego dyletanta, niezdolnego do gruntownego opanowania określonej dziedziny. Tymczasem życie wykazało, że również w świeżo przyswojonej dziedzinie prawa miał on niemało do powiedzenia, o czym świadczy szereg oryginalnych studiów z okresu międzywojennego.

Obserwowałem prof. Znamierowskiego od początku moich studiów aż do ostatnich chwil jego życia. Wysoko ceniłem jego wiedzę, talent prowadzenia wykładów i dyskusji, talent pisarski. W moim przekonaniu jednak był on i pozostał przez całe życie filozofem, logikiem – a w pewnych okresach nawet socjologiem, lecz tylko w małym stopniu prawnikiem. Prawo pozostało dla niego zawsze dziedziną „doucezoną”, jak gdyby przyklejoną do już uformowanej osobowości naukowej.

Według mnie, nie rozumiał on w gruncie rzeczy istoty i roli prawa. Nie odbywszy nigdy jakiegokolwiek praktyki prawniczej – ustawodawczej, administracyjnej czy sądowej – nie interesował się również zagadnieniem społecznych źródeł przepisów prawnych, ani tym, co decyduje o ich powstaniu, treści, przemianach. Przepisy prawne wydawały mu się zbiorem reguł takich samych jak reguły gry w szachy lub innych zabaw, które Piotr i Jan dowolnie ustalają. Interesowały go raczej zagadnienia formalne przepisów prawnych, logiczny układ zdań. Na tym polu był niezrównanym krytykiem potknięć logicznych i językowych w życiu prawnym. W tym względzie uczył on niewątpliwie słuchaczy logicznego formułowania zdań prawnych w aktach normatywnych, orzeczeniach sądowych i administracyjnych oraz jednostronnych i dwustronnych czynnościach prawnych.

---

<sup>h)</sup> Chodzi o pracę Titchenera *Początki psychologii*.

Zadania dydaktyczne pojmował swoiście. Nie krępował się obowiązującym – bardzo przecież ogólnym – programem studiów, a w wykładach swych rozwijał jedynie własne teorie.

Przedmiot przez niego wykładany, „teorię prawa”, nazywaliśmy „znamierologią”. Rada Wydziałowa, widząc że mimo upomnień studenci I roku nie uzyskują wiadomości, jakich powinien był im dostarczyć wykład prof. Znamierowskiego, powierzyli najpierw prof. Lisowskiemu, a później prof. Peretiatkowiczowi prowadzenie osobnego, dodatkowego wykładu „Wstępu do nauk prawnych”.

Na wykłady swe przybywał prof. Znamierowski z reguły z wielkim opóźnieniem, a potem przedłużał je ponad wyznaczoną godzinę, ironicznie traktując studentów, którzy tupaniem zwracali na to uwagę.

Jako podręcznika nie polecał przetłumaczonej przez siebie i znakomicie ujętej pracy niemieckiego prawnika Radbrucha *Wstęp do prawoznawstwa*, lecz własną pracę habilitacyjną *Podstawowe pojęcia teorii prawa*, nie mającą charakteru podręcznika, lecz rozprawy, w której polemizował z modną wówczas teorią Kelsena.

W czasie egzaminu zadawał wymyślne pytania „z sufitu”, obliczone – jak mówił – na inteligencję. Z reguły „oblewał” w pierwszym terminie od 80 do 90% kandydatów. Studenci mówili więc: „Cave Czesium!”

Publikował z reguły w „Ruchu Prawniczym i Ekonomicznym” druzgocące recenzje o pracach autorów niemieckich, zarzucając im – w wielu wypadkach słusznie – mętniactwo. Nie mniej złośliwie traktował opracowania swoich kolegów, polskich teoretyków prawa. Upodobanymi adresatami jego złośliwych kpin w czasie wykładów byli uczniowie znakomitego uczonego Leona Petrażyckiego: prof. Jarra z Warszawy („uczony Jarra”, czyli po chińsku „Fu-Jarra”) oraz prof. Lande z Krakowa. Po wojnie w podobny sposób traktował prof. Seidlera z Lublina.

Jego egocentryzm posuwał się do tego, że – poza sobą – nie uznawał żadnego innego teoretyka prawa.

Często prowadził egzaminy w mej obecności w sali nr 10 w Zamku, gdzie urzędowałem jako asystent. Kiedyś ośmieliłem się zapytać: „Panie Profesorze, znane mi Pańskie prace poświęcone są z reguły krytyce innych. Kiedy przystąpi Pan do sformułowania własnych poglądów, kiedy przejdzie Pan od analizy do syntezy?”

Naturalnie, że sposób traktowania innych nie przysparzał prof. Znamierowskiemu przyjaciół. Jeszcze chyba za mych czasów studenckich obraził się na całą Radę Wydziałową i przez szereg lat nie uczestniczył w jej posiedzeniach. Stanowił typ niezdiscyplinowanego siebiepana!

W okresie pomajowym stał się gorliwym zwolennikiem sanacji i w tym charakterze był opiekunem powołanej do życia bojowej organizacji Legionu Młodych.

W jesieni 1928 r., na kilka tygodni przed moim wyjazdem do Francji, przybył po raz pierwszy do Poznania pułkownik Walery Sławek, w owym czasie druga po Marszałku Piłsudskim osobistość polityczna w kraju. Organizatorzy poznańscy, członkowie Związku Legionistów z prof. Antonim Jakubskim na czele, nie mogli uzyskać w całym mieście odpowiedniej sali, w której by pułkownik Sławek wygłosił przemówienie. Wynajęcia sali odmówił „Bazar”, Uniwersytet i inni dysponenci sal. Referat został wygłoszony w sali Domu Ewangelickiego (dzisiejsza Wyższa Szkoła Muzyczna<sup>1)</sup>), którą zgodzili się na ten cel udostępnić Niemcy.

<sup>1)</sup> Obecnie Akademia Muzyczna im. Ignacego Jana Paderewskiego.

Byłem bardzo ciekawy zobaczyć pułkownika Sławka i wysłuchać jego wypowiedzi. Udało mi się zdobyć miejsce w tylnych rzędach na parterze. Stosunkowo niewielka sala była nabita. Tak samo szczelnie wypełniona była galeria.

Na sali panowało napięcie, gdyż wśród obecnych zauważono sporą liczbę członków Młodzieży Wszechpolskiej. Wśród nich uwijał się żywo zagorzały endek, prof. Józef Kostrzewski. Zanosił się na antyosanacyjną awanturę.

I rzeczywiście! Kiedy na podium zjawił się pułkownik Sławek, z sali, a zwłaszcza z galerii rozpoczęły się gwizdy i okrzyki. Powstało duże zamieszanie. Zostało ono stosunkowo szybko opanowane na parterze, gdzie organizatorzy spotkania rozsadzili przezornie byłych legionistów i członków Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) zaopatrzonych w stalowe kastety. Pozwoliło to na szybkie usunięcie z sali demonstrantów. Trudniej było załatwić się ze zwartą masą demonstrantów znajdujących się na galerii. Komenderował nimi sam prof. Kostrzewski.

W pewnej chwili podniósł się z pierwszego rzędu krzesel prof. Znamierowski i zwracając się do galerii zawołał: „Panie Kostrzewski, ja Pana symbolicznie policzkuję!”

W końcu demonstranci znaleźli się poza salą i Sławek mógł rozpocząć swe przemówienie. Był to bardzo mizerny referat. Nędzny pod względem formy (płk Sławek nie miał daru przemawiania) i bardzo ubogi w treść. Widoczne było, że po z górą dwuletnich rządach czołówka sanacyjna nie była w stanie zaprezentować narodowi wartościowego programu.

Następnego dnia, w niedzielę „Kurier Poznański” referując przebieg zebrania oskarżył prof. Jakubskiego o to, że skopał jakiegoś studenta, co było czystym wymysłem i żaden poszkodowany nigdy nie zgłosił się. Ponadto „Kurier” podał wiadomość, że obrażony przez prof. Znamierowskiego profesor Kostrzewski kieruje do sądu odpowiednie oskarżenie.

Prywatno-karne postępowanie Kostrzewski c/a Znamierowski ciągnęło się latami, budząc narastający antagonizm między obozem rządzącym a pravicową opozycją. Nie pamiętam, czy i jak sprawa ta zakończyła się przed wybuchem wojny.

W 1945 r. przebywający wówczas w Poznaniu Jarosław Iwaszkiewicz organizował spotkanie z b. członkami Towarzystwa Polsko-Francuskiego celem ożywienia jego działalności. Na zebraniu, w którym brałem udział razem z żoną, zjawili się zarówno prof. Kostrzewski, jak i prof. Znamierowski, zajmując na sali oddalone od siebie miejsca. Szepnąłem do żony: „No, ci się znowu spotkali”. Jakież było moje zdumienie, kiedy po skończonym zebraniu zauważyłem obu panów kroczących przyjaźnie pod rękę!

Po wojnie zaszła w prof. Znamierowskim głęboka zmiana. W miejsce walki i kłótni począł głosić hasło „powszechnej życzliwości”. Profesor zaczął uczestniczyć w pracy Wydziału. Również powojenni studenci okazali się jakby mądrzejszymi. Ilość ocen niedostatecznych spadła do minimum.

W okresie powojennym prof. Znamierowski wychował grupę poważnych naukowców. W szczególności doktoryzował w tym czasie Stanisława Wąsowicza, Adama Łopatkę i Dionizego Wojtkowiaka, i habilitował Adama Łopatkę, który też przejął po nim kierownictwo Katedry. Za uczniów prof. Znamierowskiego uważają się także jego długoletni asystenci, a później profesorowie: Zygmunt Ziemiński i Leon Ustacz.

Z dużą sympatią wspominam Marcina Nadobnika, profesora statystyki. Słuchałem jego wykładów na Sekcji Prawnej jedynie w skróconym zakresie. Miałem natomiast sposobność bliższego poznania go w toku wieloletniej współpracy na terenie Akademii

Handlowej.

Wielkopolanin z pochodzenia (urodzony w 1883 r. w Wielichowie), po odbyciu studiów w zakresie filozofii, ekonomii politycznej i statystyki w Krakowie, Berlinie i Gryfii, gdzie w 1908 r. uzyskał doktorat, przeniósł się do Lwowa. Tam w latach 1909–1919 pracował w Biurze Statystycznym Wydziału Krajowego. Od marca 1919 r. do kwietnia 1920 r. pełnił funkcję naczelnika wydziału Głównego Urzędu Statystycznego w Warszawie oraz w Departamencie Skarbu Ministerstwa b. Dzielnicy Pruskiej.

W 1920 r. habilitował się we Lwowie i uzyskał nominację na profesora nadzwyczajnego na naszym Wydziale.

Odznaczał się zawsze niezwykłą skromnością, życzliwością i gotowością niesienia pomocy każdemu, kto się o to do niego zwrócił. Był szanowany przez kolegów, lubiany przez studentów za swą łagodność i wyrozumiałość. Miałem dla niego wielki szacunek.

W latach 1945–1948 na mój wniosek podjął się obowiązków przewodniczącego Kuratorium Fundacji Akademii Handlowej. Również na moją prośbę zgodził się być promotorem przewodów doktorskich na Wydziale Prawa dwóch młodszych pracowników naukowych Akademii Handlowej w czasie, kiedy Uczelnia ta nie posiadała jeszcze uprawnień do nadawania stopni doktorskich. Jako zapłatę za swą życzliwość doczekał się w okresie „błędów i wypaczeń” ze strony jednego z tych doktorów bezpodstawnej, brutalnej krytyki swego dorobku naukowego i swej metody prowadzenia zajęć dydaktycznych! Działo się to na publicznym zebraniu w Akademii Handlowej w czasie, kiedy prof. Nadobnik był zdruzgotany duchowo losem swego jedynego syna, Kazimierza, posła na sejm, aresztowanego wbrew obowiązującym przepisom i skazanego – nie wiadomo za co – na 13 lat więzienia. Ten niespodziewany atak załamał do reszty zacnego profesora. Na wspomnianym zebraniu rozplakał się... Niedługo potem zakończył życie, nie doczekawszy chwili, kiedy jego syn został w pełni zrehabilitowany, zwolniony z więzienia i mógł włączyć się w nurt naszego życia społecznego.

Naukowy dorobek prof. Nadobnika nie był obfity. Jednak każda jego wypowiedź – głównie w formie artykułów – oparta była na rzetelnie zebranych materiałach faktograficznym, dotyczyła zagadnień istotnych z punktu widzenia gospodarczego i politycznego. Przypomnieć warto jego rewelacyjne studium o emigracji ludności niemieckiej w okresie międzywojennym z terenu b. dzielnicy pruskiej.

Uczniem i następcą prof. Nadobnika był Stanisław Waszak, wybitny demograf, przedwcześnie zmarły (w 1974 r.) profesor zwyczajny naszego Wydziału.

Na II roku Sekcji Ekonomicznej słuchałem wykładów profesora Stanisława Nowakowskiego z zakresu geografii gospodarczej. Do egzaminu z tego przedmiotu nie przystępowałem, gdyż w tym czasie zmuszony byłem zrezygnować ostatecznie ze studiów ekonomicznych i zająć się wyłącznie studiami prawniczymi.

Spotykałem się z nim w późniejszych latach na terenie Akademii Handlowej. Był człowiekiem ujmującej powierzchowności, o twarzy poety-marzyciela. W godzinach południowych spotkać go można było codziennie w kawiarni Dobskiego, w towarzystwie zaliczanym do „Perklubu” lub w towarzystwie pań Tomaszewskich – matki i dwóch przystojnych córek. Pykał fajeczkę, mówił mało. Kawiarnię traktował jako miejsce wypoczynku.

Wiedzieliśmy o nim, że studia uniwersyteckie odbył w Rosji. Stopnie naukowe uzyskał w USA. Stamtąd przeniósł się w 1923 r. do Poznania, podczas gdy jego żona, Zofia, pozostała na stałe w Stanach Zjednoczonych. Dedykował jej później jedną ze swych



prac.

W latach trzydziestych w swych pracach naukowych zbliżył się do marksizmu. Ponieważ nie rozwijał w tym kierunku żadnej działalności politycznej – sądzono, że jest on typem nieszkodliwego marksisty *ex cathedra*. Nie był z tego tytułu narażony na jakiegokolwiek trudności czy szykany. Co więcej! Przez wiele lat pełnił z ramienia Ministerstwa funkcję komisarza nad Wyższą Szkołą Handlową.

Przyjaźnił się z profesorem Peretiatkowiczem – obaj pochodzili z okolic Kamienia Podolskiego – i uzgadniał z nim wiele spraw związanych z przekształcaniem Wyższej Szkoły Handlowej w Akademię Handlową.

Profesor Nowakowski był autorem szeregu interesujących prac. Najbardziej znane to: *Geografia gospodarcza Ziem Zachodnich* (2 tomy) oraz *Geografia gospodarcza Związku Socjalistycznych Republik*<sup>1)</sup>.

Zmarł przedwcześnie na wylew krwi do mózgu na wiosnę 1938 r. Na jego pogrzebie (bez udziału duchowieństwa) wystąpiła manifestacyjnie cała lewicowa młodzież akademicka. Widocznie dobrze orientowała się w jego poglądach i widziała w nim swego intelektualnego przywódcę.

Uczniem i następcą prof. Nowakowskiego jest Florian Barciński, późniejszy profesor zwyczajny i rektor (1948–1950) Akademii Handlowej.

Wykładowcą historii ustroju i prawa polskiego był w roku akademickim 1923/24 profesor Abdon Klodziński. Przez kilka tygodni uczęszczałem na jego wykłady. Profesor był niewątpliwie wielkim erudytą i badaczem archiwalnym, lecz jego wykłady były dość nudne – zarówno z uwagi na formę, jak i na sposób ujmowania zagadnień.

Profesor przychodził na wykład spóźniony, zadyszany, spocony, często nie ogolony. Miał minę człowieka zawstydzonego. Nie spoglądał na słuchaczy, lecz wzrok swój kierował w stronę kapelusza, który kładł na katedrze. Niewątpliwie nie stronił od kieliszka.

Był starym kawalerem. Wśród studentów krążyły złośliwe pogłoski, że wieczorami spotkać go można było na Placu Wolności, jak prowadził pertraktacje z urzędującymi pod filarami córami Koryntu. Pod koniec roku akademickiego przeniósł się do Krakowa.

Na jego miejsce zyskał Wydział znakomitego młodego uczonego w osobie Zygmunta Wojciechowskiego.

Ten wychowanek Uniwersytetu Lwowskiego, uczeń Oswalda Balzera, przybył do Poznania już po przeprowadzonej habilitacji jako 25-letni młodzieniec. Tu w ciągu 30 lat rozwinął imponującą działalność naukową, dydaktyczną, popularyzatorską i organizacyjną. Działalność swą na Uniwersytecie rozpoczął w czasie, gdy kończyłem już studia. Nie należałem więc do jego słuchaczy. Spotykałem się z nim niejednokrotnie w domu teściów, a po wojnie na Radach Wydziału i na terenie Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Z wykształcenia Zygmunt Wojciechowski nie był prawnikiem, lecz historykiem. Miał jednak duże wyczucie polityczne i prawnicze, pozwalające na prawidłowe wywiązywanie się z zadań, jakie przypadają w kierowanej przez niego Katedrze. Talent naukowy zjednał mu rychło poważną grupę zdolnych uczniów, których umiał otoczyć życzliwą opieką. Stworzył wokół siebie szkołę historyczno-prawną. Do jego uczniów

<sup>1)</sup> Poprawne tytuły wymienionych prac: *Geografia gospodarcza Polski zachodniej*. Poznań 1929–1930 oraz *Europa Wschodnia i Azja Północna (Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich)*, wydana jako dziewiąty tom *Wielkiej Geografii Powszechnej* Trzaski, Everta i Michalskiego.

zaliczają się znani w kraju historycy prawa – profesorowie i docenci: Zdzisław Kaczmarczyk, Michał Sczaniecki, Józef Matuszewski, Kazimierz Kolańczyk, Jan Wąsicki, Jerzy Lesiński<sup>k)</sup> i Stefan Weyman oraz późniejszy wybitny cywilista Zbigniew Radwański.

Niemal od chwili swego przybycia do Poznania Zygmunt Wojciechowski przejął kierownictwo Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich, których zasięgiem objął polskie ziemie zachodnie znajdujące się podówczas poza granicami Polski.

W okresie międzywojennym był gorliwym zwolennikiem Stronnictwa Narodowego. Po 1935 r. wraz z posłem Ryszardem Piestrzyńskim i redaktorem Jerzym Drobnikiem przeszedł na stronę obozu Marszałka Piłsudskiego.

W czasie wojny opracował projekt powołania do życia Instytutu Zachodniego, który to projekt zyskał aprobatę i poparcie władz PRL już z początkiem 1945 r. Instytutowi temu – dzięki swej pracy i talentowi organizacyjnemu – zapewnił w latach 1945–1955 wysoką rangę.

W tymże czasie sprawował funkcję sekretarza generalnego, a po śmierci prof. Lirowskiego – prezesa Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Z chwilą powstania Polskiej Akademii Nauk powołany został w skład pierwszych jej członków.

W parze z działalnością dydaktyczno-organizacyjną szła zadziwiająco owocna działalność naukowa. Nadmierny wysiłek oraz nie zważanie na stale pogarszający się stan zdrowia przyspieszyły jego śmierć. Zmarł w 1955 r. – w 55-tym roku życia, pozostawiając po sobie trwałe ślady człowieka nieprzeciętnego.

Moim wykładowcą nauki skarbowości i prawa skarbowego był zastępca profesora docent Roch Knapowski. Syn redaktora „Postępu”, organu Chrześcijańskiej Demokracji w Poznaniu, otrzymał bardzo staranne wykształcenie zdobyte na wielu uczelniach zagranicznych. Imponujący erudyta i poliglota, władający biegle w słowie i piśmie zarówno językami starożytnymi (greką, łaciną), jak i nowożytnymi (niemieckim, angielskim, francuskim), pilny i pracowity – nie był zdolny sprostać powierzonemu mu zadaniu. Wychowany w atmosferze bibliotek, był oderwany od życia, a zwłaszcza od praktyki gospodarczej.

Toteż w wykładach swych (zawsze czytanych) ograniczał się do przekazywania odnotowanych skrupulatnie przepisów. Nie stać go było na uwagi uogólniające, a tym bardziej na uwagi krytyczne odnoszące się do omawianego systemu podatkowego. W czasie egzaminów miał przy sobie tekst wykładów i według niego wymagał pamięciowego wyrecytowania licznych, mało istotnych szczegółów. Kiedy mówił o metodzie opodatkowania piwa od „brzezki piwnej”<sup>k)</sup>, wielu studentów było przekonanych, że zachodzi tu pomyłka. Bardziej dla nich było zrozumiałe pojęcie beczki piwnej. Tym pojęciem też posługiwali się w czasie egzaminów. Naturalnie, że egzamin oblewali!

Ta nieporadność skłoniła prof. E. Taylora, uważającego się za odpowiedzialnego za poziom studiów ekonomicznych, do postawienia wniosku na Radzie Wydziałowej o rozwiązanie z Rochem Knapowskim stosunku pracy. Na jego miejsce powołano docenta Janusza Libickiego z Krakowa, który jako oficer rezerwy zginął w kampanii wrześniowej.

Utrata stanowiska stanowiła dla R. Knapowskiego cios moralny. Nie naruszała ona

---

<sup>k)</sup> Właśc. Henryk Lesiński.

<sup>k)</sup> Przy produkcji piwa roztwór wodny składników wyekstrahowanych ze słodu piwowarskiego.

podstaw jego egzystencji. Był bowiem żonaty z jedyną córką zamożnego lekarza, dr. Krysiewicza, właściciela szeregu czynszowych kamienic przy ul. Ratajczaka oraz innych posiadłości. Mógł więc sobie pozwolić na pozauniwersytecką pracę naukową. Zainteresowania swe skierował w dziedzinę historii. Z tej też dziedziny przeprowadził bezpośrednio po wojnie nową habilitację na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1945 r. zajęty był głównie na Wydziale Historyczno-Filozoficznym.

Jego historyczne opracowania, odnoszące się do czasów starożytnych, których nie chciały przyjąć wydawnictwa krajowe, opublikowane zostały w tymże czasie w Republice Federalnej Niemiec, Japonii i innych krajach, zyskując wysoką ocenę. Na podstawie tych książek ogłoszonych zagranicą, Główna Komisja Kwalifikacyjna przyznała mu w 1957 r. tytuł profesora zwyczajnego, mimo że wniosek Uniwersytetu szedł jedynie w kierunku profesury nadzwyczajnej.

W ciągu swych studiów i sprawowania funkcji asystenta, pozostawałem w stałym kontakcie z profesorami reprezentującymi przedmioty cywilistyczne. Przez niemal trzy lata (1926–1928) podlegałem służbowo prof. Józefowi Sułkowskiemu, a w latach 1929–1938 – jako asystent wolontariusz – byłem związany naukowo z prof. Alfredem Ohanowiczem.

Naturalnie, zwłaszcza w pierwszym okresie, stykałem się też stale z dwoma pozostałymi cywilistami – prof. Bronisławem Stelmachowskim i Romualdem Paczkowskim.

Romuald Paczkowski, urodzony w 1878 r. w Klecku, studiował prawo we Fryburgu Szwajcarskim, Berlinie, Monachium i Wrocławiu, gdzie w 1901 r. uzyskał doktorat prawa *summa cum laude*. Aplikację sądową odbywał na zachodzie Niemiec. Po złożeniu egzaminu asesorskiego w 1907 r. w Berlinie, otworzył kancelarię adwokacką w Poznaniu.

W kwietniu 1920 r. objął zastępstwo II Katedry Prawa Cywilnego. Z czasem habilitował się i uzyskał nominację na profesora nadzwyczajnego. Wykładał w sposób praktyczny prawo rzeczowe i rodzinne oraz prowadził seminaria magisterskie z tego zakresu.

Własny dorobek naukowy prof. Paczkowskiego w ciągu całego dwudziestolecia był skromny. Nie wychował żadnego doktora.

Przez swój ożenek z panną May, akcjonariuszką świetnie prosperujących Zakładów Chemicznych Roman May, był człowiekiem zamożnym. Mógł więc brać, jako członek Stronnictwa Narodowego, żywy udział w życiu politycznym. Przez wiele lat był przewodniczącym Rady Miejskiej w Poznaniu i posłem na Sejm.

Dopiero, kiedy w latach kryzysu Spółka Akcyjna Roman May ogłosiła upadłość, znalazł się w trudniejszej sytuacji, zdany jedynie na pensję profesorską.

Był człowiekiem jowialnym. Często wykłady swe urozmaicał dowcipami. Lubił też przemawiać w słowach patetycznych.

Pewnego razu, odbywając wiec poselski w Środzie, w sali Strzelnicy Bractwa Kurkowego, rozpoczął swe przemówienie słowami: „Obywatele sławnego grodu Środa! Ilekroć przybywam do Was, zawsze ogarnia mnie szczególne wzruszenie. Na tutejszym cmentarzu bowiem spoczywają czcigodne prochy mojej Matki”. Po tych słowach zapanało pełne szacunku milczenie... Nagle jakiś przeciwnik zawołał głośno z galerii: „Panie Profesorze! To samo mówił Pan wczoraj na wiecu w Gnieźnie!”

Czy tak było rzeczywiście, trudno dociec. Dostyc, że cel okrzyku został osiągnięty.

Nastrój pękł. Wiec stracił swój wzniosły charakter.

Sławne też stało się jedno z przemówień posła Paczkowskiego w Sejmie: „Przychodził do Sejmu Premier i obiecywał jedno. Przychodzili ministrowie i obiecywali drugie... A jam im uwierzyła, biedna dziewczyna!”

Ten zacny człowiek i dobry patriota aresztowany został przez gestapo już w pierwszych dniach okupacji i zamęczony w Forcie VII z końcem 1939 r.

Bronisław Stelmachowski, urodzony w 1883 r. we Wrześni, odbywał studia w Berlinie, Monachium, Wrocławiu i Getyndze. Po uzyskaniu doktoratu w 1907 r. i złożeniu egzaminu asesorskiego w 1911 r. otworzył kancelarię adwokacką.

W lipcu 1920 r. powołany na sędziego Sądu Najwyższego, pozostał w sądownictwie przez cały okres międzywojenny – w ostatnich latach jako prezes Sądu Apelacyjnego w Poznaniu. Równocześnie sprawował funkcje w Komisji Rozjemczej Polsko-Niemieckiej do Spraw Górnego Śląska oraz prowadził wykłady z procesu cywilnego. Napisał podręcznik z tego przedmiotu.

Poważny, zawsze spokojny i opanowany, był dobrym dydaktykiem i sumiennym egzaminatorem. Obowiązki pozauniwersyteckie nie pozwoliły mu na poświęcenie więcej czasu na własną pracę naukową i na wychowanie młodej kadry.

Często przychodził do naszej biblioteki seminaryjnej. Chętnie wdawał się w pogawędkę. Od niego to dowiedziałem się o pruskim systemie studiów (3-letnich) i egzaminach prawniczych, zdobywania stopni doktorskich, odbywania aplikacji sądowej (4 lata) i warunkach uzyskiwania uprawnień do zajmowania stanowisk w sądownictwie i prokuraturze (nieдоступnych dla Polaków) oraz o wykonywaniu zawodu adwokackiego. Od niego dowiedziałem się też, że Polacy nie mogli odbywać aplikacji w Wielkim Księstwie Poznańskim. Kierowani byli w tym celu do innych, często nadreńskich prowincji pruskich. On sam taki 4-letni pobyt w Nadrenii bardzo sobie chwalił.

We wrześniu 1939 r., uchodząc razem ze swym kierownikiem Działu Personalnego Sądu Apelacyjnego, a moim przyjacielem, sędzią Zbigniewem Stasińskim za Bug, zagiął wraz z nim bez wieści.

Wybitnym cywilistą i komercjalistą był Józef Sułkowski, kierownik Katedry Prawa Handlowego i Wekslowego (od grudnia 1921 r.). Urodzony w 1892 r. w Wadowicach, odbył studia prawnicze w Wiedniu, gdzie ojciec jego był sędzią Sądu Najwyższego. W 1916 r. uzyskał – ze specjalnym wyróżnieniem *sub auspiciis imperatoris* – doktorat prawa, a już w 1919 r. habilitował się w Krakowie z zakresu prawa cywilnego. Pracował w Namiestnictwie we Lwowie, w Miejskim Wojennym Zakładzie Kredytowym w Krakowie, a w latach 1919–1921 był sekretarzem Poselstwa Polskiego w Waszyngtonie.

Już jako student ogłosił swą pierwszą pracę *Prawo służebności na rzeczy własnej*<sup>l)</sup> („Kwartalnik Notarialny”, Kraków 1913). Następne jego rozprawy dotyczyły prawa górniczego: *O stosunkach prawnych kopalń zastrzeżonych i niezastrzeżonych* oraz *O rodzajach i istocie uprawnień do wydobywania kopalń niezastrzeżonych*<sup>m)</sup> (ogłoszone w krakowskim „Czasopiśmie Prawniczym i Ekonomicznym” z 1919 i 1921 r.).

Dopiero późniejsze jego opracowania łączą się z zadaniami kierowanej przez niego

<sup>l)</sup> Poprawnie: *O służebności na rzeczy własnej*.

<sup>m)</sup> Poprawnie: *O stosunkach prawnych kopalń niezastrzeżonych i zastrzeżonych oraz o istocie uprawnień do ich wydobywania. Studium z zakresu prawa cywilnego i górniczego*. „Czasopismo Prawnicze” R: 17. Kraków 1919.

Katedry. Prócz pracy *O prawie zastawu na wekslu według prawa francuskiego*<sup>n)</sup>, która ukazała się w formie książkowej, opracowania te miały formę artykułów drukowanych przeważnie w „Ruchu Prawniczym i Ekonomicznym”.

Poza prawem handlowym interesowały go zagadnienia prawa międzynarodowego prywatnego. Uczestniczył w konferencjach genewskich w 1930 i 1931 r., których wynikami były konwencje o ujednoczeniu prawa wekslowego i czekowego. Wygłosił cykl wykładów w Akademii Haskiej. Jako członek Komisji Kodyfikacyjnej przygotował projekt prawa morskiego. Przez wiele lat był radcą prawnym Komisariatu do Spraw Likwidacji Niemieckiej. Uczestniczył w ciągnących się przez lata rokowaniach polsko-niemieckich związanych ze sprawami ubezpieczeń społecznych itp.

Te rozliczne zajęcia i zainteresowania powodowały u prof. Sułkowskiego stan napięcia nerwowego. Stale się spieszył i wprawiał w stan zdenerwowania swe otoczenie. Doznawały tego panie z Dziekanatu, gdy przez rok pełnił funkcję dziekana. Odczuwałem je i ja jako podporządkowany mu asystent.

Nieraz wpadał do Seminarium z zamiarem dania mi jakichś zleceń i zapominał o tym, co miał mi powiedzieć. Musiałem wtedy chodzić z nim po mieście, gdzie załatwiał po drodze różne sprawy, dopóty nie przypomniał sobie tego, o co mu chodziło. Najczęściej zegnaliśmy się w tym samym miejscu: na progu domu, w którym mieszkała dama jego serca. Nawet nie domyślał się tego, jak my, studenci, wszystko wiedzieliśmy.

Studenci bali się jego egzaminów. Odbywały się one w atmosferze wielkiego napięcia. Profesor wzywał równocześnie po czterech do sześciu kandydatów. Zadawał szybko pytanie pierwszemu z nich. Gdy ten nie umiał na nie należycie odpowiedzieć, to samo pytanie kierował pod adresem następnego. Niejednokrotnie zdarzało się, że po pięciu minutach cała grupa otrzymywała ocenę niedostateczną, siejąc popłoch u oczekujących na swoją kolej kandydatów.

Profesor dbał niezwykle o swój wygląd zewnętrzny. Nosił wyłącznie najwykwintniejsze zagraniczne jedwabne koszule, eleganckie krawaty, najmodniejsze ubrania.

Konkurował pod tym względem z prof. Winiarskim, który również do końca życia był wielkim elegantem.

W życiu prywatnym przyjemny, chętnie brał udział w różnych balach i przyjęciach prywatnych.

Na początku wojny wyjechał wraz z żoną przez Litwę i Szwecję do Anglii. Stamtąd przeniósł się do USA, gdzie przez szereg lat był profesorem Katolickiego Uniwersytetu w Waszyngtonie. Do kraju powrócił po 1956 r., przyjmując etat profesora w Instytucie Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk.

Zmarł w 1968 r. Zamieściłem krótkie wspomnienie o nim w „Państwie i Prawie” z 1968 r.

Jedynym żyjącym dotąd profesorem z okresu moich studiów jest Alfred Ohanowicz, od szeregu lat nestor cywilistów polskich<sup>o)</sup>.

Jego opiece, radom i życzliwości zawdzięczam możliwość wkroczenia na drogę pracy naukowej. To przecież nie kto inny, jak profesor Ohanowicz zaproponował mi stanowisko asystenta, był opiekunem mojej pracy magisterskiej, promotorem w moim przewodzie doktorskim i habilitacyjnym.

<sup>n)</sup> Poprawnie: *O prawie zastawu na wekslu. Studium z prawa francuskiego*. Poznań 1925.

<sup>o)</sup> Prof. A. Ohanowicz zmarł w 1984 r.

To przecież on zabezpieczył mi odbycie praktyki zawodowej w Prokuraturii Generalnej, wystarał się dla mnie o stypendium naukowe na wyjazdy do Francji (1928 r.) i Niemiec (1932 r.). Na moją korzyść zrzekł się też w 1931 r. wykładów na Wydziale Rolniczo-Leśnym, a w 1934 r. w Wyższej Szkole Ekonomicznej (Akademii Handlowej).

Od pięćdziesięciu lat szczyć się jego przyjaźnią i współpracą na polu naukowym i na ważnych odcinkach pracy społecznej.

Nie będąc z pochodzenia Wielkopolaninem, jest Profesor od 1919 r. zrośnięty z Poznaniem całą swą owocną działalnością dydaktyczną, naukową i obywatelską. Stanowi on nieodłączny składnik i ozdobę naszego miasta i środowiska.

Urodzony we Lwowie w dniu 31 marca 1888 r., ukończył tam szkołę średnią (1906), a następnie Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Jana Kazimierza (1910).

Zainteresowania prawnicze wyniósł ze środowiska rodzinnego. Zamiłowania naukowe objawiły się w czasie studiów. Początkowo pociągały go zagadnienia historyczno-prawne. Już jako student ogłosił z tego zakresu w „Przeglądzie Prawa i Administracji” swe pierwsze recenzje. Wyrazem tych samych zainteresowań była również jego ogłoszona drukiem w 1912 r. rozprawa doktorska pt. *Ciężary publiczne duchowieństwa w Polsce w drugiej połowie XVI wieku*<sup>p)</sup>.

Praktykę prawniczą odbył w l. 1910–1919 w znakomitej szkole cywilistycznej, jaką była ówczesna Prokuratura Skarbu. Pod wpływem tej praktyki uległy zmianie zainteresowania młodego naukowca. Ulubioną dziedziną stało się prawo cywilne. Celem pogłębienia wiedzy w tym zakresie, odbywał Alfred Ohanowicz w l. 1912–1913 dodatkowe studia w Berlinie. Uczestniczył tam w seminariach prowadzonych przez ówczesnych cywilistów niemieckich Josepha Kohlera i Theodora Kippa.

W 1912 r. na II Zjeździe Prawników Polskich we Lwowie wygłasza referat na aktualny wówczas temat *Nowe poglądy na stanowisko sędziego cywilnego przy stosowaniu ustaw*, ogłoszony następnie w „Przeglądzie Prawa i Administracji”.

W 1916 r. ogłasza drukiem dwie poważne rozprawy: *Współwłasność w prawie prywatnym austriackim* i *Rozporządzenie właściciela hipoteką*<sup>p)</sup>. Na ich podstawie, już po odzyskaniu Niepodległości, przeprowadza w 1919 r. habilitację z zakresu prawa cywilnego.

Kiedy obejmował z dniem 1 września 1919 r. jako profesor nadzwyczajny kierownictwo Katedry Prawa Cywilnego, był prof. Ohanowicz najmłodszym członkiem Rady Wydziałowej. Liczył 31 lat. W dwa lata później został profesorem zwyczajnym. Powierzoną mu Katedrą kierował przez 41 lat – aż do przejścia w 1960 r. na zasłużoną emeryturę. W ciągu tego okresu tysiące studentów Wydziału Prawno-Ekonomicznego (1919–1960) i Rolniczo-Leśnego (1920–1931) oraz Wyższej Szkoły Handlowej (1926–1934) słuchało jego wykładów. W ramach prowadzonego przez niego seminarium wykonano setki prac magisterskich. Był promotorem w około 30 przewodach doktorskich. Siedmiu z jego doktorów zajmuje dziś stanowiska profesorskie (Józef Górski, Witalis Ludwiczak, Zygmunt Nowakowski i Zbigniew Radwański w Poznaniu, Władysław Górski w Szczecinie, Andrzej Stelmachowski w Warszawie; zmarły dnia 13 grudnia 1974 r. Stefan Buczkowski był profesorem zwyczajnym na UMCS w Lublinie).

Bezpośrednio po objęciu stanowiska w Poznaniu przygotował pierwsze polskie podręczniki odnoszące się do prawa cywilnego obowiązującego wówczas w b. Dzielnicy

<sup>p)</sup> Poprawnie: *Ciężary państwowe duchowieństwa w Polsce w drugiej połowie XV i w początkach XVI wieku (1447–1530)*. Lwów 1911.

<sup>r)</sup> Poprawnie: *O rozrządzeniu właściciela hipoteką w trzeciej noweli do ustawy cywilnej*. Lwów 1917.

Pruskiej. Były to: *Zarys prawa cywilnego byłej dzielnicy pruskiej I. Nauki ogólne* i *II. Zobowiązania* (1922). Wspólnie z Fryderykiem Zollem wydał podręcznik prawa rodzinnego i spadkowego (1924). Ponadto krótki zarys całości prawa cywilnego b. dzielnicy pruskiej ukazał się w *Encyklopedii prawa obowiązującego w Polsce*, redagowanej przez Antoniego Peretiatkowicza (1925). Wreszcie spod jego pióra wyszło opracowanie *Prawo spadkowe województw zachodnich* zawarte w *Podręcznej encyklopedii prawa cywilnego* redagowanej przez Fryderyka Zolla i Jana Wasilkowskiego.

Dotychczasowy dorobek naukowy Profesora, którego pełny wykaz zawiera „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny”, 1968, nr 3, jest bardzo poważny i wielostronny. Obejmuje on 6 opracowań monograficznych, 9 pozycji podręcznikowych, 29 rozpraw i artykułów, około 130 recenzji prac naukowych, głos do orzeczeń sądowych i innych. Jest rzeczą charakterystyczną, że najpoważniejsze prace powstały w ostatnich latach.

Jakkolwiek przedmiotem zainteresowań naukowych Profesora jest całość prawa cywilnego, to jednak prace jego dotyczą głównie prawa zobowiązań. W tej dziedzinie jest Profesor niewątpliwie największym w Polsce autorytetem. Na szczególne wyróżnienie zasługują dwie monografie: *Niesłuszne wzbogacenie*, PWN 1956, ss. 460, stanowiące najwyższe osiągnięcie w skali europejskiej, oraz *Zbieg norm w polskim prawie cywilnym*, PWN 1963, ss. 186, jako też (opracowany łącznie z J. Górskim) podręcznik *Zarys prawa zobowiązań*, którego piąte wydanie ukazało się w 1970 r.

Wybitne cechy umysłu i charakteru Profesora, a zwłaszcza cechująca go uprzejmość, życzliwość i umiejętność współzycia sprawiły, że powierzano mu przeróżne funkcje publiczne. Dwukrotnie sprawował funkcję dziekana Wydziału (1924/25, 1948/49 i 1949/50).

W okresie międzywojennym był członkiem Trybunału Kompetencyjnego (1928–1930), senatorem (1930–1935), piastował stanowisko generalnego radcy Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego (1924–1939), a w okresie powojennym był w latach 1957–1959 członkiem Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej dla Pracowników Nauki.

Od 1919 r. jest członkiem, a od szeregu lat wiceprezesem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Od 1958 r. pełni funkcję naczelnego redaktora „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego”.

Zasługi Profesora na polu naukowym, dydaktycznym oraz na polu pracy społecznej znalazły wielokrotne dowody uznania nie tylko ze strony środowiska naukowego, ale również ze strony władz państwowych. W 1928 r. zostaje odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta, w 1939 r. Złotym Krzyżem Zasługi, a w 1957 r. Orderem Sztandaru Pracy.

Uniwersytet im. A. Mickiewicza uczcił Profesora, nadając mu w 1965 r. godność doktora honoris causa. Miałem zaszczyt być wtedy jego promotorem.

Wszyscy, którzy mieli szczęście być słuchaczami Profesora Ohanowicza zachowują o Nim najlepsze wspomnienia jako o wzorowym nauczycielu, wybitnym uczonym, nieskazitelnym obywatelu i wielkiej prawości człowieku.

## ROZDZIAŁ VIII

PRACA W PROKURATORII GENERALNEJ RP  
(1927–1938)

Bezpośrednio po ukończeniu studiów rozpocząłem aplikację w Prokuratorii Generalnej RP, Oddział w Poznaniu. Profesor Ohanowicz z własnej inicjatywy już wcześniej sprawę tę omówił z ówczesnym prezesem Oddziału. Toteż etat płatnego aplikanta był dla mnie zarezerwowany. Oczekiwano jedynie mego zgłoszenia się. Formalności związane z przyjęciem zostały załatwione sprawnie. Już w dniu 15 lipca 1927 r. podpisana została nominacja na aplikanta, a pracę podjąłem pięć dni później.

Miałem w tym względzie wyjątkowe szczęście. Koledzy z mego roku studiów, którzy zgłosili się do Prokuratorii Generalnej później, musieli odbywać aplikację bezpłatnie, czekając na zwolnienie się jakiegoś etatu, co trwało 1–2 lata. Podobnie było w tym czasie z aplikacją sądową, choć przyjmowano na nią wszystkich zgłaszających się, jeżeli odpowiadali wymogom formalnym. Ponieważ liczba etatów aplikanckich była bardzo ograniczona, przeważna część aplikantów przez całe trzy lata odbywała praktykę sądową bezpłatnie. Na taką bezpłatną aplikację pozwolić sobie mogli tylko zamożniejsi magiŝtry praw. Liczyli oni na to, że po odbyciu aplikacji i złożeniu egzaminów sędziowskich – jeżeli nie znajdą zatrudnienia w sądownictwie lub w prokuraturze – będą mogli wybrać dochodowy zawód adwokata.

Mój wybór pracy w Prokuratorii Generalnej nie był przypadkowy. Właśnie dlatego, że miałem w przyszłości obrać karierę naukową w dziedzinie prawa cywilnego, potrzebna mi była – poza wiadomościami teoretycznymi – dobra praktyka. Najlepsze warunki zdobycia takiej praktyki dawała wówczas praca w Prokuratorii Generalnej. Był to urząd centralny podlegający ministrowi skarbu, powołany do życia w 1919 r. Zadania i organizację tego urzędu określały: początkowo dekret z 7 lutego 1919 r. w przedmiocie utworzenia Prokuratorii Generalnej RP<sup>a)</sup>, następnie ustawa z 31 lipca 1919 r.<sup>b)</sup>, a w końcu rozporządzenie Prezydenta RP z 9 grudnia 1924 r. o zmianie ustroju Prokuratorii Generalnej RP<sup>c)</sup>.

Stosownie do §1 tegoż rozporządzenia Prokuratoria Generalna była powołaną do wykonywania obrony prawnej i zastępstwa prawnego prawnoprywatnych i publicznych interesów Państwa (Skarbu Państwa i podmiotów z nim zrównanych). Przysługiwała jej w zasadzie wyłączność w reprezentowaniu interesów państwa przed sądami powszechnymi. Na życzenie odpowiednich organów obowiązana była bronić tych interesów również przed innymi sądami lub w postępowaniu administracyjnym. Przypadła więc Prokuratorii Generalnej rola adwokata i doradcy prawnego urzędów, instytucji i

<sup>a)</sup> Dz. Praw nr 14, poz. 181.

<sup>b)</sup> Dz. Praw nr 65, poz. 390.

<sup>c)</sup> Dz.U. nr 107, poz. 967.



przedsiębiorstw państwowych oraz znajdujących się pod zarządem państwowym. Był to więc organ wyraźnie różniący się od prokuratury, choć szersze koła społeczeństwa nie zawsze sobie to uświadamiały.

Instytucja Prokuraturii Generalnej nawiązywała do dawnych tradycji polskich z czasów Królestwa Polskiego, kiedy to w 1816 r. powołano do życia Jeneralną Prokuratorię. W chwili odzyskania Niepodległości jedynie na terenie b. zaboru austriackiego istniała instytucja podobna – Prokuratoria Skarbu. Dzięki doborowi uzdolnionych współpracowników Prokuratoria Skarbu cieszyła się wysokim autorytetem. Z jej to szeregów rekrutowali się wybitni cywiliści, zajmujący następnie katedry uniwersyteckie. Rolę pepiniery cywilistów-naukowców przejęła na siebie od 1919 r. ogólnokrajowa Prokuratoria Generalna RP. Toteż znakomita większość powołanych na katedry prawa cywilnego profesorów wywodziła się w okresie międzywojennym z Prokuraturii Generalnej.

Poza Urzędem Głównym Prokuraturii Generalnej w Warszawie czynne były oddziały terenowe: we Lwowie, Krakowie, Poznaniu (dla województwa poznańskiego i pomorskiego) i w Katowicach. Ponadto istniała delegatura w Gdańsku. Każdy oddział spełniał swoje merytoryczne zadania samodzielnie bez potrzeby uzyskiwania aprobaty ze strony centrali. Sprawowała ona wprawdzie nadzór nad działalnością oddziałów, jednak jedynie wyjątkowo ingerowała w sposób załatwiania przez nie poszczególnych spraw.

Jako organ niezależny od obsługiwanych jednostek państwowych Prokuratoria Generalna posiadała duży autorytet. Opracowane przez nią opinie prawne odznaczały się wysokim poziomem i cieszyły się zasłużonym uznaniem. Była też Prokuratoria Generalna niezależna w podejmowaniu decyzji o wytaczaniu pozwów i wnoszeniu środków odwoławczych, w sposobie prowadzenia procesów, a nawet w sprawie zawierania ugód, choć w tych ostatnich sprawach uzgadniano często stanowisko z zainteresowanym organem państwowym.

Instytucja Prokuraturii Generalnej, jako scentralizowanego organu zastępstwa państwowych interesów majątkowych, nie odpowiadała już nowym warunkom społeczno-gospodarczym i organizacyjnym ukształtowanym w Polsce Ludowej. Toteż na mocy dekretu z 29 marca 1951 r.<sup>d)</sup> powołano w jej miejsce zdecentralizowane organy zastępstwa prawnego: 1) Urząd Zastępstwa Prawnego, zapewniający obsługę prawną władz, urzędów i instytucji naczelnych, 2) wydziały prawne prezydiów wojewódzkich rad narodowych oraz 3) (fakultatywnie) wydziały prawne prezydiów powiatowych rad narodowych.

Po trzech latach i ten system uległ likwidacji. Dekret z 2 czerwca 1954 r. o zastępstwie sądowym władz, urzędów, instytucji i przedsiębiorstw państwowych<sup>e)</sup> zniósł osobne organy zastępstwa prawnego i wprowadził obowiązujący do dziś system zastępstwa jednostek państwowych w postępowaniu cywilnym bezpośrednio przez ich kierowników i pełnomocników.

Aplikacja w Prokuraturii Generalnej trwała trzy lata, z czego ostatni rok poświęcony był na praktykę w sądach i prokuraturze. Po pomyślnym odbyciu aplikacji składało się egzamin referendarski przed komisją, w skład której wchodził – poza przedstawicielami Oddziału – jeden sędzia apelacyjny i jeden adwokat.

d) Dz.U. nr 20, poz. 159.

e) Dz.U. nr 25, poz. 93.

Egzamin taki składałem dopiero na wiosnę 1931 r., gdyż do okresu aplikacji nie zaliczono mi urlopów związanych z wyjazdami naukowymi za granicę. Egzamin referendarski ceniony był bardzo wysoko. Zastępował on egzamin sędziowski i adwokacki. Po dwuletniej pracy w charakterze referendarza mogłem każdej chwili stawić wniosek o wpis na listę adwokacką. Nie znano wówczas w tym względzie żadnych ograniczeń.

Aplikację odbywało się w toku normalnej pracy. Każdy z aplikantów, podobnie jak referendarz i radcowie, był referentem przydzielanych mu przez kierownika Wydziału spraw. Przygotowywał więc projekty pism procesowych, opinii prawnych oraz korespondencji kierowanej do urzędów. Codziennie z całą serią opracowanych projektów udawał się do kierownika Wydziału. Dopiero po jego aprobach odnośne pisma kierowano do działu maszyn. Czystopisy podpisywał kierownik Wydziału i referent.

W wypadkach skomplikowanych i poważnych, kierownik Wydziału wraz z referentem omawiali sprawę z prezesem. Jedynie wyjątkowo organizowano naradę w szerszym gronie. Od samego początku do moich obowiązków jako aplikanta należało też występowanie w sprawach prowadzonych przez Oddział przed sądami grodzkimi i okręgowymi w obu województwach. Jako referendarz występowałem już w sądach apelacyjnych oraz w Sądzie Najwyższym.

W ten – zdaniem moim – bardzo racjonalny i elastyczny tryb pracy zostałem wciągnięty już od pierwszego dnia. Ku mojemu zdziwieniu, na przeznaczonym dla mnie biurku zastałem już kilkadziesiąt nowych teczek, w których znalazłem wnioski przedsiębiorstwa państwowego „Polmin” o wytoczenie pozwów na podstawie załączonych weksli. Spraw takich nikt dotąd w naszym Oddziale nie załatwiał. Czekano więc na mnie. Parę dni kosztowało mnie zapoznanie się z przepisami wekslowymi i procesowymi zanim udało mi się wypracować wzór formularza pozwu o nakaz zapłaty, aprobowany ostatecznie przez nadradcę Zalewskiego, a na podstawie powielonych na powielaczu formularzy sformułować poszczególne pozwы.

Od tego czasu prawo wekslowe i czekowe weszło mi w krew. W późniejszych latach (przy okazji pracy w kancelarii adwokackiej) miałem do czynienia dosłownie z tysiącami spraw wekslowych wynikłych z niewypłacalności dłużników w okresie wielkiego kryzysu z lat 1929–1932. Stałem się niezłym ekspertem w tej dziedzinie.

Partia procesów wekslowych była tylko drobnym i jednorazowym epizodem. Banki i w coraz większej liczbie powoływane do życia przedsiębiorstwa państwowe operujące weksłami, wyposażone w odrębną osobowość prawną, nie korzystały z zastępstwa prawnego Prokuratury Generalnej. W sprawach procesowych zastępowane były przez własnych radców prawnych i adwokatów. Podobnie jednostki samorządu terytorialnego i zawodowego korzystały z własnego zastępstwa prawnego w sprawach procesowych.

Właściwość Prokuratury Generalnej – jako ustawowego zastępcy Skarbu Państwa – ograniczona była jedynie do tych państwowych jednostek organizacyjnych, urzędów i instytucji, które nie posiadały własnej osobowości prawnej. Wyjątek stanowiły przedsiębiorstwa: Polskie Koleje Państwowe (PKP) oraz Polska Poczta, Telegraf i Telefon (PPTiT), które mimo wyodrębnienia z administracji państwowej i komercjalizacji nadal pozostały naszymi, i to wielkimi klientami.

Otrzymując nominację na aplikanta zaliczony zostałem do X stopnia służbowego urzędników państwowych z uposażeniem 160 zł miesięcznie. Po roku awansowany zostałem do IX stopnia (210 zł), a dopiero po złożeniu egzaminu referendarskiego uzyskałem VIII stopień służbowy (260 zł). Z dalszym VII stopniem związane było uposa-

zenie 335 zł, a dopiero kiedy w 1935 r. po ośmiu latach pracy w Prokuraturii Generalnej mianowany zostałem radcą, uposażenie moje wynosiło 450 plus 200 zł, czyli 650 zł i było o 200 zł wyższe od uposażenia sędziego grodzkiego (powiatowego), a jedynie o 50 zł niższe od uposażenia profesora nadzwyczajnego.

Będąc w resorcie Ministerstwa Skarbu, otrzymywaliśmy od czasu do czasu nagrody pieniężne. Były one mile widziane tym bardziej, że w pierwszym okresie służby nasze wynagrodzenia były skromne i z trudem wystarczały na pokrycie niezbędnych potrzeb osoby samotnej.

Toteż jako aplikanci i referendarze podejmowaliśmy się różnych zajęć dodatkowych. Były one milcząco przez naszych przełożonych tolerowane, jeżeli nie sprzeciwiały się naszym obowiązkom służbowym i interesom Skarbu Państwa.

Za wiedzą i zgodą moich przełożonych pełniłem równocześnie obowiązki młodszego asystenta na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego, wykładowcy na Wydziale Rolniczo-Leśnym oraz w Wyższej Szkole Handlowej, co stanowiło dla mnie dodatkowe źródło dochodów.

O wybitniejszych z nas ubiegały się kancelarie adwokackie potrzebujące kwalifikowanych sił dla opracowywania spraw procesowych. Miałem kilka takich propozycji. Zdecydowałem się przyjąć ofertę moich przyjaciół, Tadeusza Łebińskiego i Henryka Bogdańskiego, prowadzących wówczas wspólną kancelarię adwokacką i notarialną. Praca w ich kancelarii, przeważnie w godzinach od 16 do 22, wzbogaciła moje doświadczenie prawnicze i przez około dwa lata przynosiła mi 800–1200 zł miesięcznie, a więc wielokrotnie więcej niż wynosiła moja pensja w Prokuraturii Generalnej.

Tylko wspomniane dodatkowe zarobki pozwoliły mi na pokrycie wydatków związanych z zawarciem małżeństwa w 1930 r., wynajmem i urządzeniem mieszkania oraz ogólnym zagospodarowaniem się. Należy pamiętać, że sam czynsz za mieszkanie, które do dziś z żoną zajmujemy, wynosił w latach 1930–1932 400 zł miesięcznie. Żona moja pracowała również zawodowo, lecz jej wynagrodzenie wynosiło wówczas niewiele ponad 250 zł. Toteż podnajmowaliśmy część mieszkania jednemu z naszych przyjaciół. W późniejszych latach czynsze w nowym budownictwie zostały wydatnie obniżone.

Dopiero w związku z powołaniem mnie na likwidatora Deutsche Mittelstandskasse mogłem zrezygnować z pracy w kancelarii adwokackiej, gdyż moje dochody na przeciąg pięciu lat (1932–1937) wzrosły mniej więcej o 600 zł miesięcznie i razem z uposażeniem w Prokuraturii Generalnej i wynagrodzeniem za wykłady w Uniwersytecie i Wyższej Szkole Handlowej zapewniały nam przyzwoity standard życia.

Wtedy dopiero mogłem zabrać się do pracy naukowej i przygotowania się do habilitacji.

W ciągu całego okresu międzywojennego prezesem Prokuraturii Generalnej (w randze ministra) był dr Stanisław Bukowiecki, wybitny prawnik, człowiek o wielkim autorytecie moralnym. W okresie zaborów był znanym adwokatem i działaczem politycznym o poglądach postępowo-demokratycznych. W zaraniu niepodległości pełnił przez krótki czas urząd ministra sprawiedliwości. Już w tym czasie tracił stopniowo wzrok. Mimo to nie tylko sprawnie kierował powierzoną mu instytucją, ale ponadto brał żywy udział w pracach Komisji Kodyfikacyjnej i jako jej wiceprezydent rozwijał działalność publicystyczną oraz uczestniczył w życiu politycznym kraju. Będąc zwolennikiem Marszałka Piłsudskiego, należał do lewego skrzydła tego obozu.

Celem umożliwienia prezesowi Bukowieckiemu sprawowania tak rozlicznych funk-

cji, stworzono mu odpowiednie warunki. Miał do swej wyłącznej dyspozycji etatowego osobistego sekretarza, który czytał mu korespondencję, dzienniki, czasopisma naukowe, orzecznictwo oraz wybrane pozycje książkowe. Przedstawiał mu również do podpisu ustalone poprzednio teksty pism i dokumentów. Miał również przydzielony do swej dyspozycji znany w Warszawie jednokonny powozik oraz woźnicę.

Prezes Bukowiecki interesował się żywo młodymi pracownikami Prokuratury Generalnej wykazującymi się pracą naukową. Miałem przyjemność być dwukrotnie zaproszonym przez niego na osobistą rozmowę. Raz po ukazaniu się mej pracy *Włościańskie zwyczaje spadkowe...* w 1928 r., a drugi raz po uzyskaniu doktoratu w 1930 r.

Byłem też na jego odczycie w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu, poświęconym orzeczeniom Sądu Najwyższego, zasądzającym Skarb Państwa na zwrot dóbr skonfiskowanych przez rząd carski uczestnikom powstań narodowych itp. Prezes Bukowiecki uważał, że wyrównanie wszystkich szkód majątkowych i moralnych poniesionych przez całe pokolenia patriotów polskich walczących z zaborcą nie jest praktycznie możliwe. Dlaczegoż by więc uprzywilejowywać jedynie nieliczne arystokratyczne rodziny i zwracać im dobra ziemskie i inne nieruchomości, które znalazły się w posiadaniu państwa polskiego, skonfiskowane uprzednio z tytułu patriotycznej postawy ich przodków? Przecież rodziny te nie zawsze solidaryzowały się ze swymi patriotycznymi przodkami.

Pracą oddziałów Prokuratury Generalnej kierowali prezesi.

Pierwszym prezesem Oddziału Poznańskiego był dr Witold Prądzyński, wybitny prawnik cywilista, późniejszy adwokat i notariusz, członek Komisji Kodyfikacyjnej. Po jego ustąpieniu funkcję tę przejął dotychczasowy jego zastępca, b. adwokat warszawski, Kazimierz Kierski. Kierował on Oddziałem w pierwszym okresie mojej pracy. Po jego przejściu na emeryturę na stanowisko prezesa powołany został Małopolezanin, sędzia Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, Franciszek Durański.

Prezes Kierski stosunkowo mało uwagi poświęcał pracy Oddziału, a za to wyżywał się jako publicysta. Publicystyka ta była związana ze sprawami prowadzonymi przez Oddział. Przedmiotem jego licznych artykułów ukazujących się w „Kurierze Poznańskim” były sprawy wiążące się z traktatem wersalskim, a odnoszące się do ludności niemieckiej zamieszkującej na obszarze b. zaboru pruskiego oraz sprawy mienia niemieckiego.

Drugim zagadnieniem, które w szczególny sposób interesowało prezesa Kierskiego jako publicystę, było zagadnienie tzw. opcji tej części ludności niemieckiej, która osiadła na ziemiach polskich po 1908 r. Chodziło o to, czy użyty w traktacie wersalskim termin „opcja” traktować jako obowiązek rezygnacji z nabycia obywatelstwa polskiego, czy też jako prawo do tego. Łączyły się z tym poważne konsekwencje. Kazimierz Kierski zgodnie z doktryną polską wyjaśniał, dlaczego traktat potraktował inaczej Niemców osiadłych przed 1 stycznia 1908 r., a inaczej osiadłych po tej dacie.

W przeciwieństwie do swego poprzednika przeniesionego w stan spoczynku, prezes Durański całkowicie oddany był pracy Oddziału, dbając o poziom opracowywanych opinii prawnych i pism procesowych. Sumienny, koleżeński i życzliwy, cieszył się szacunkiem całego naszego zespołu.

Oddział dzielił się za moich czasów na cztery wydziały, którymi kierowali starsi radcowie: Stanisław Zalewski, Leon Leitgeber, dr Jan Paruszewski i Stefan Chmara. Byli to doskonali prawnicy posiadający duże doświadczenie adwokackie lub sądowe, wychowani w solidnej szkole prawniczej niemieckiej, oddani całą duszą powierzonym sobie funkcjom.

Z pozostałych pracowników Oddziału w tym okresie wymienić należy radców: Grzegorza Kanafockiego (żyjącego do dziś adwokata w Elblągu), dra Bolesława Rutyńskiego (zaginął w czasie wojny), dra Stanisława Morawieckiego, zmarłego przed kilku laty arbitra Okręgowej Komisji Arbitrażowej, Tadeusza Zygryda Kasserna, sekretarza Oddziału, znanego kompozytora muzycznego, zmarłego w okresie powojennym w USA, gdzie przez szereg lat pełnił funkcję radcy kulturalnego naszej ambasady, referendarza Stanisława Korbońskiego, późniejszego adwokata, zginął w okresie wojny podczas nalotu niemieckiego na Londyn, oraz jego brata Stefana Korbońskiego, późniejszego adwokata i działacza ludowego, przebywającego na emigracji w USA.

Szczególnie cennymi nabytkami okazali się moi koledzy z tego samego i niższych lat studiów, a w szczególności: Jan Krzyżanowski (doktoryzował się z socjologii u prof. Floriana Znanieckiego; zginął tragicznie w niedługi czas potem w wypadku samochodowym w USA); Tadeusz Ereciński (doktoryzował się z historii gospodarczej u prof. J. Rutkowskiego, późniejszy adwokat, zamordowany przez hitlerowców w czasie okupacji); Alfred Korczyński (późniejszy adwokat, współnik Erecińskiego, wywieziony z powstania warszawskiego do niewoli niemieckiej; pozostał na Zachodzie, przebywa w Kanadzie); Stanisław Chrempiński (pozostał w Prokuraturii Generalnej do 1951 r., a następnie sprawował funkcję radcy prawnego w Wydziale Finansowym Wojewódzkiej Rady Narodowej; mieszka w Puszczykówku); Alojzy Rączka (po likwidacji Prokuraturii Generalnej radca Prezydium WRN, zmarł w 1971 r.); Władysław Sobieszkański (do 1951 r. kierownik samodzielnego Zespołu Prokuraturii Generalnej w Bydgoszczy, gdzie do dziś jest adwokatem); Jan Gibas (zginął jako oficer rezerwy w czasie kampanii wrześniowej); Kazimierz Bieniewski (przeszedł rychło do adwokatury; w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. wraz z rodziną wyjechał w grupie członków ambasady do USA, gdzie zmarł przed kilku laty); Lech Neyman (skazany po wojnie na śmierć za przynależność do NSZ); Leonard Olejnik – po wojnie adwokat i znany fotografik w Opolu; Jadwiga Goławska – w okresie powojennym arbirer Głównej Komisji Arbitrażowej i członek Biura Orzecznictwa Sądu Najwyższego; Zdzisław Hawelski – późniejszy adwokat w Poznaniu; Stanisław Wesper i Kazimierz Pizio – radcowie prawni.

Mimo że zarówno moi zwierzchnicy, jak i koledzy pochodzili z różnych kręgów społecznych, reprezentowali różne poglądy (prezes Duralski był członkiem III Zakonu św. Franciszka z Asyżu, a dr Jan Paruszewski – prezesem krajowym Akcji Katolickiej i stale na jego biurku leżały książki o treści religijnej) i różne orientacje polityczne, utrzymywaliśmy wszyscy bliskie stosunki osobiste i towarzyskie, prowadząc przy tym ożywione dyskusje, utrzymane jednak zawsze w duchu wzajemnej życzliwości i tolerancji.

Od początku mej pracy w Prokuraturii Generalnej zostałem przydzielony do Wydziału kierowanego przez nadradcę (tak się tytułowało starszego radcę) Stanisława Zalewskiego. Pozostałem tam przez cały okres mej z górą jedenastoletniej pracy, który wspominam jak najlepiej.

Nadradca Zalewski liczył w 1927 r. około 52–53 lata. Był starym kawalerem o ustalonym trybie życia. Obawiał się, że ewentualny ożenek zmusiłby go do zmiany tego trybu i dlatego unikał starannie jakiegokolwiek angażowania się w tym kierunku. Twierdził, że nie byłby w stanie zapewnić żonie odpowiednich warunków. Nie należało tego argumentu traktować poważnie, gdyż był – jak na ówczesne czasy – dobrze uposażony. Jego bowiem pobory przekraczały uposażenie profesora zwyczajnego.

Należał do pokolenia prawników polskich, którzy studiowali na uniwersytetach niemieckich przed lub w czasie I wojny światowej i po odbyciu 4-letniej aplikacji sądowej uzyskiwali tytuły asesorów i zakładali kancelarie adwokackie.

Z chwilą odzyskania Niepodległości, poważna część adwokatów polskich b. zaboru pruskiego zrzekła się praktyk adwokackich i objęła różne – niedostępne w okresie zaborów – poważne stanowiska w sądownictwie i administracji państwowej.

I tak, Wojciech Trąpczyński poświęcił się wyłącznie pracy politycznej, piastując przez wiele lat funkcję marszałka Sejmu Ustawodawczego, a następnie marszałka Senatu. Dr Władysław Seyda objął stanowisko pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Dr Witold Celichowski sprawował przez szereg lat funkcję wojewody poznańskiego, Jarogniew Drwęski objął stanowisko prezydenta m. Poznania, Jan Zakrzewski – prezesa Sądu Apelacyjnego, adwokat Wyrzykowski – prezesa Sądu Okręgowego, kolejne funkcje starosty krajowego pełnili adwokaci Wyczyński i Begale.

Stanowisko prezesa Oddziału Prokuratury Generalnej w Poznaniu objął w pierwszym okresie dr Witold Prądzyński, a stanowiska naczelników wydziałów objęli adwokaci Leon Leitgeber z Poznania i Stanisław Zalewski z Bydgoszczy. Z adwokatury zrezygnowali też w tym czasie: dr Bronisław Stelmachowski, objąwszy stanowisko sędziego Sądu Najwyższego i profesora procesu cywilnego, oraz Romuald Paczkowski, powołany na profesora prawa cywilnego.

Podobnie jak Leon Leitgeber, nadradca Zalewski był dobrym i doświadczonym prawnikiem, niezwykle skrupulatnym i sumiennym w pełnieniu powierzonych mu obowiązków. Wymagający i życzliwy, umiał nas – aplikantów – wtajemniczać w arkana pracy prawniczej. Umiał świetnie kierować Wydziałem bez zbędnego przemęczania siebie i swych współpracowników. Od rana zapoznawał się z nadchodzącą pocztą, którą następnie rozdzielał między poszczególnych referentów (radców, referendarzy i aplikantów). Dopiero potem kazał sobie referować sprawy przez nich opracowane – pisma procesowe, opinie prawne, pisma kierowane do zainteresowanych urzędów. W sprawach trudnych kazał sobie referować szczegółowo przepisy, orzecznictwo i literaturę. Dopiero gdy wszystko zostało wyjaśnione, aprobował treść przygotowanych manuskryptów, które przekazywano następnie do przepisania na maszynie.

W sprawach szczególnej wagi oraz w sprawach wyjątkowo skomplikowanych udawał się z referentem do prezesa Oddziału.

Żadnej sprawy nie opracowywał osobiście. Nie fatygował się też studiowaniem poszczególnych zagadnień, choć orientował się w nich na podstawie naszych referatów. Miał jednak dobre wyczucie prawnicze, dzięki któremu zauważał braki i niedokładności w naszych tekstach. Zmuszało to nas do ponownego, pogłębionego opracowania. Nam samym zależało na tym, aby pisma noszące nasze podpisy wykazywały wysoki poziom prawniczy.

Urzędy i instytucje państwowe, będące naszymi klientami, a również i sądy z czasem świetnie orientowały się w kwalifikacjach poszczególnego referenta. Nie byliśmy anonimowi. Każdy z nas miał ustaloną opinię. To nas zobowiązywało.

Nadradca Zalewski był na punkcie obrony interesów Skarbu Państwa niezwykle wyczulony. Stale nam powtarzał: *In dubio pro fisco!* Podobnej zasady przestrzegali zresztą wszyscy pracownicy Oddziału. Była to zasada słuszna i odpowiadająca zadaniom naszego Urzędu.

W zasadzie obowiązywały nas godziny urzędowania od 8 do 15. Nadradca zjawiał się w pracy punktualnie. My, jego współpracownicy, przybywaliśmy zazwyczaj później.

Wiązało się to z rodzajem naszej pracy – udziałem w rozprawach sądowych, wyjazdami do sądów prowincjonalnych i Sądu Najwyższego, koniecznością opracowywania trudniejszych spraw w godzinach wieczornych w domu, koniecznością poszukiwania niezbędnych materiałów w bibliotekach. Z reguły rozpoczynałem pracę o godz. 9 i kończyłem o 14. Ponieważ nigdy nie zawodziłem – nadradca tolerował ten stan rzeczy wiedząc, że powierzone mi zadania sumiennie wypełniam.

Sam zresztą przerywał pracę około godz. 12, aby spożyć obiad – w ciągu niemal 20 lat stałe w tej samej taniej restauracji. Opuszczał biuro zaraz po 14, aby nie spóźnić się na pociąg do Ludwikowa, dokąd udawał się na całe popołudnie dzień w dzień, latem i zimą, bez względu na temperaturę i pogodę. Tam latem zażywał kąpieli w Jeziorze Góreckim, zimą biegał na łyżwach, a ponadto odbywał długie spacery.

Jego nieodłącznym towarzyszem był urzędnik Izby Skarbowej, p. Fiedler. W przeciwieństwie do naszego nadradcy, stosunkowo niskiego, krępego, zażywnego i chętnego do rozmowy, jego towarzysz Fiedler – również kawaler – był wysokim, wychudzonym i małomównym panem. Obaj tworzyli znakomitą parę, zwaną popularnie Patem i Patachonem. Znani byli mieszkańcom wsi położonych w okolicy Jeziora Góreckiego, a zwłaszcza dzieciom, dla których „słodki wujaszek” miał zawsze w zapasie cukierki.

Zalewski opowiadał mi, że w czasie swych studiów lubił uczęszczać na wykłady odbywane na innych wydziałach. Pewnego dnia znalazł się w małym gronie słuchaczy na wykładzie antropologii. Już wówczas formowano późniejszą hitlerowską teorię ras. Profesor mówił o cechach rasy nordyckiej. W pewnym momencie, wskazując na Zalewskiego oświadczył: „Wir haben hier einen echten Vertreter der nordischen, germanischen Rasse. Wie heissen Sie?” – „Zalewski” – odpowiedział zapytany. Sala w śmiech, a skonfundowany profesor ciągnął dalej swój wykład.

Każdego lata, o tej samej porze wyjeżdżał na cztery tygodnie odpoczynku do Gdyni, gdzie miał na stałe zamówiony ten sam pokój w ówczesnym hotelu „Riviera Polska”.

Nie lubił, gdy ktoś chciał w czymkolwiek naruszyć jego ustalony raz na zawsze tryb życia. Pewnego dnia przyszła do Oddziału zamieszkała w Poznaniu jego siostrzenica, żona lekarza-dentysty, aby poprosić wuja na chrzciny jej syna. Odmówił, gdyż – jak oświadczył – miał na ten dzień umówiony z p. Fiedlerem specjalnie ciekawy spacer.

Wielkie wydarzenie, nawet niepomysłne, przyjmował ze stoickim spokojem. Kiedyś – w okresie kryzysu – rząd obniżył uposażenia urzędnicze o 10%. Jak zwykle w takich wypadkach było sporo narzekań i ubolewań. Nadradca skwitował zarządzenie jedynie pytaniem: „To ile obecnie będę otrzymywał?”

Pewnego razu otrzymał telegram. Za chwilę przyszedł do mego pokoju ze słowami: „Panie Kolego, mój brat, wie Pan, ten proboszcz w Przemęcie, zmarł. Wychodzę na godzinę do miasta, aby kupić trumnę”. Ani słowa więcej! Pewnego razu został telefonicznie powiadomiony przez nieznaną panią, że do jego mieszkania dobrali się złodzieje (mieszkał przy dawnej ul. Bukowskiej, obecnie Świerczewskiego<sup>f)</sup> pod nr 17). Natychmiast wyszedł. Po półgodzinie powrócił oburzony. Okazało się, że jakaś pani zażartowała sobie z nadradcy. Ponieważ telefon znajdował się w moim pokoju, powiedział do mnie: „Panie Kolego, gdy ktoś będzie chciał rozmawiać ze mną, niech pan najpierw zapyta, kto mówi!” – „Jak będę mógł stwierdzić – zapytałem – czy telefonujący poda swoje prawdziwe nazwisko? A poza tym – zamiast się gniewać za żart, powinien Pan Nadradca postawić flaszkę wina dla opicia faktu, że na szczęście nikt Pana nie

<sup>f)</sup> Ponownie ul. Bukowska.

okradł”.

Mieliśmy również wielką frajdę w związku z grożącym nadradcy pojedyńkiem.

W Prokuraturii Generalnej obowiązywała instrukcja, że w zasadzie nie powinniśmy przyjmować prywatnych interesantów. Klientami naszymi były bowiem tylko urzędy i instytucje państwowe. Niekiedy jednak zdarzało się, że w naszym biurze zjawiali się nasi przeciwnicy procesowi lub osoby, których roszczenia wobec Skarbu Państwa były przedmiotem naszych opinii prawnych.

Otóż pewnego razu taki prywatny interesant wszedł do gabinetu nadradcy. Zapytany, w jakiej sprawie przychodzi, został przez nadradcę wyproszony z wyjaśnieniem, że w swoich sprawach powinien się kontaktować z odpowiednim urzędem lub instytucją. Nadradca wezwał następnie mnie i mego kolegę, i przy otwartych drzwiach gromko przestrzegał, że różnych tego rodzaju facetów należy przepędzać, odmawiając im jakiegokolwiek informacji. Tymczasem wyproszony przez nadradcę interesant wszedł do naszego pokoju i słyszał przykre dla siebie epitety wypowiedziane przez nadradcę.

Na drugi dzień zgłosili się do nadradcy dwaj na ciemno ubrani panowie i zażądali od nadradcy satysfakcji stwierdzając, że ich mandant, oficer rezerwy, czuje się potraktowaniem go obrażony!

Pouczyliśmy z całą powagą nadradcę, że według kodeksu honorowego Boziewicza winien wyznaczyć ze swej strony dwóch sekundantów, którzy z sekundantami obrażonego ustalą formę satysfakcji, obiorą rodzaj broni oraz termin i miejsce pojedynku. Nadradca był przerażony taką perspektywą. A myśmy się wybornie bawili. W rezultacie sprawa zakończyła się bezkrwawo, gdyż – jak zostało drugiej stronie wyjaśnione – nadradca działał nie jako osoba prywatna, lecz urzędowo – w granicach obowiązujących go przepisów.

Pewnego razu pojechaliśmy wraz z żoną na Zielone Świątki w dwudniowe odwiedziny do naszej przyjaciółki, p. Wandy Dzwonkowskiej, właścicielki majątku Janowo pod Koronowem. Pogoda była tak cudna, że żal nam było odjeżdżać już w drugie święto popołudniu do Poznania. Za namową żony przesłałem telegram, że uległem porażeniu słonecznemu i nie będę mógł się stawić do pracy. Nadradcy nawet przez myśl nie przeszło, że dopuściłem się kłamstwa. Toteż po moim powrocie – z jednodniowym opóźnieniem – bardzo troskliwie wypytywał mnie o przebieg porażenia oraz o obecny stan mego zdrowia. Był bowiem na punkcie zdrowia szczególnie wrażliwy. Przez długie lata ostrzegał później wszystkich przed nadużywaniem kąpeli słonecznych ze stałym przypominaniem przypadku, który przydarzył się koledze Górskiemu!

Do końca jego życia nie miałem odwagi przyznać się do tej sfingowanej choroby, aby nie osłabić zaufania, jakim ten zacny przełożony nas wszystkich darzył. Stwierdzam jednak, że był to z mojej strony jedyny wypadek lekkomyślnego opuszczenia dnia pracy!

Do kompetencji naszego Wydziału należały sprawy związane z likwidacją mienia niemieckiego, sprawy rolne (związane z działalnością b. Urzędu Osadniczego, a następnie Okręgowego Urzędu Ziemskiego, a wreszcie Wydziałów Rolnictwa i Reform Rolnych Urzędów Wojewódzkich w Poznaniu i Toruniu) oraz sprawy morskie związane z budową portu w Gdyni i początkami floty handlowej.

Najistotniejsze znaczenie miały wówczas sprawy związane z wykonaniem postanowień traktatu wersalskiego oraz ustaw polskich z 14 i 15 lipca 1920 r., mających na celu usunięcie skutków działalności germanizacyjnej na odzyskanej części ziem polskich.



Ogólnie wiadomo, że germanizacja ziem polskich wcielonych na skutek rozbiorów do Prus czyniła, mimo zdecydowanego oporu ludności polskiej, niepokojące postępy. Przybrała ona szczególnie intensywny charakter z chwilą powołania do życia Komisji Kolonizacyjnej i wydania antypolskich ustaw z 1904 i 1908 r.

Pierwsza wojna światowa wstrzymała nieco ten niepokojący proces. W jej wyniku przeważająca część b. zaboru pruskiego powróciła do Polski. Rzecz jasna, że okoliczność ta miała istotne znaczenie dla sytuacji prawnej ludności niemieckiej osiadłej na odzyskanych terenach.

Zmiana suwerenności państwowej dotknęła w pierwszym rządzie tysiące osób zatrudnionych w administracji państwowej, szkolnictwie, wojsku i różnych niemieckich instytucjach publicznych. Utraciły one swe stanowiska i z reguły przeniosły się dobrowolnie wraz ze swym mieniem ruchomym do Niemiec. Ich miejsca zajęli Polacy.

Losy prawne pozostałych grup ludności niemieckiej (właściciele ziemskich, chłopów, przemysłowców, kupców, rzemieślników) potoczyły się innymi torami. Państwo polskie w odniesieniu do nich skrepowane było postanowieniami traktatu wersalskiego i traktatu o mniejszościach, i mogło tylko w ograniczonym zakresie likwidować skutki dokonanej germanizacji.

Należę do nielicznych już osób, które ze sprawami tymi miały bezpośrednio do czynienia. W szczególności jako urzędnik Prokuratury Generalnej uczestniczyłem w podejmowaniu kroków prawnych zmierzających do odrobienia szkód spowodowanych pruską działalnością germanizacyjną.

Należy przede wszystkim stwierdzić, że na mocy art. 256 traktatu wersalskiego państwo polskie stało się właścicielem mienia położonego w Polsce, stanowiącego dotąd własność państw niemieckich oraz mienia członków rodzin panujących. Wydana na podstawie tego przepisu ustawa z 14 lipca 1920 r. stanowiła, że mienie to podlega nabytciu przez Skarb Państwa według stanu na dzień 11 listopada 1918 r. Wszelkie dokonane po tej dacie zmiany w prawach do tego mienia uznano za nieważne.

Przytoczone przepisy stanowiły podstawę prawną uzyskania przez państwo polskie własności terenów i urządzeń kolejowych, pocztowych, gmachów publicznych, dróg, placów, a przede wszystkim wielkich obszarów rolnych i leśnych.

Administracja przejętych lasów i domen państwowych powierzona została Dyrekcjom Lasów Państwowych. Dotychczasowi urzędnicy niemieccy (w tym również nadleśniczowie, leśniczowie, gajowi) zastąpieni zostali przez urzędników polskich. Dawne domeny odebrano dzierżawcom niemieckim i przekazano na podstawie nowych 12- lub 18-letnich umów dzierżawnych Polakom, głównie uczestnikom powstania wielkopolskiego.

Posiadłości rolne znajdujące się uprzednio w zarządzie Komisji Kolonizacyjnej powierzone zostały utworzonemu w 1919 r. Urzędowi Osadniczemu w Poznaniu. Jego kompetencje przejął z czasem Okręgowy Urząd Ziemi, a następnie Wydział Rolnictwa i Reform Rolnych w Urzędzie Wojewódzkim.

W ten sposób Urząd Osadniczy objął w bezpośrednie posiadanie pewną ilość majątków nabytych przez Komisję Kolonizacyjną i przeznaczonych na osadnictwo niemieckie oraz stał się reprezentantem praw Skarbu Państwa w odniesieniu do rozparcelowanych i przekazanych osadnikom niemieckim gospodarstw, jeżeli w dniu 11 listopada 1918 r. wpisanym do ksiąg wieczystych właścicielem tych osad był fiskus pruski. Tego rodzaju gospodarstw – o ile pamiętam – było około 10 000. Zwano je potocznie osadami anulacyjnymi. Skarb Państwa nabył ich własność *ex lege* tytułem pierwotnym. Nie był zob-

wiązany do honorowania umów sprzedaży zawartych z Komisją Kolonizacyjną. Na tej podstawie rodziny niemieckie, będące w posiadaniu „osad anulacyjnych”, zmuszone zostały do ich opuszczenia. Sprzedawano je następnie przybyłym głównie z innych dzielnic rolnikom polskim.

Postanowienia traktatu wersalskiego nie przewidywały naruszania przez państwo polskie własności prywatnej osiadłej w Polsce ludności niemieckiej. Ludność ta mogła na ziemiach tych pozostać i uzyskać obywatelstwo polskie. Wyjątek stanowiły rodziny, które znalazły się w b. zaborze pruskim po 1908 r. Rodziny te zobowiązane były optować na rzecz Niemiec, zlikwidować posiadany w Polsce majątek i opuścić nasz kraj. Jeżeli nie uczyniły tego dobrowolnie, ustawa z 15 lipca 1920 r. przewidywała możliwość zakreślenia terminu do sprzedaży posiadanego mienia (głównie nieruchomości) w ręce polskie, a po bezskutecznym upływie tego terminu – odpłatne przejście tego mienia przez państwo lub dokonanie jego przymusowej sprzedaży.

Należy zaznaczyć, że bezpośrednio po podpisaniu traktatu wersalskiego znaczna część ludności niemieckiej bez jakiegokolwiek nacisku likwidowała dobrowolnie swe posiadłości w Polsce i przenosiła się do Niemiec. Tak było w latach 1919 i 1920. Później proces ten uległ zahamowaniu.

Przyczyny tego zjawiska były różne. Poza niewątpliwie działającą w tym kierunku propagandą ośrodków niemieckich, duży wpływ miała występująca w tym czasie zarówno w Polsce, jak i w Niemczech inflacja. Pieniądze z dnia na dzień traciły swą wartość, co naturalnie wstrzymało cały proces sprzedaży. Dalszą przyczyną była okoliczność, że ówczesne stosunki gospodarcze w Niemczech nie były dla przenoszącej się tam ludności niemieckiej zachęcające. Zwłaszcza emigrujący z Polski rolnicy mieli tam małe szanse nabycia nowych gospodarstw.

Niemalże wpływ na wstrzymanie procesu wykupu posiadłości niemieckich przez chłopów polskich miało skandaliczne stosowanie przez Urząd Osadniczy przepisów rozporządzenia Naczelnej Rady Ludowej dotyczących zezwoleń na przewłaszczenie nieruchomości. Dyskryminacyjna polityka Urzędu Osadniczego wobec chłopów przybyłych z innych części Polski – a ci właśnie w lwiej części wykupywali posiadłości niemieckie – wstrzymała żywiołowy proces repolonizacji własności niemieckiej.

Szczególnie szkodliwą rolę odegrał ówczesny prezes Urzędu Osadniczego, dr Karasiewicz. Na jego zarządzenie Urząd Osadniczy przez całe lata zwlekał z udzieleniem nabywcom pochodzącym z Królestwa i Małopolski zezwoleń na przewłaszczenie nieruchomości. Spowodowało to nieobliczalne szkody polityczne oraz straty majątkowe dla tysięcy polskich rodzin, które sprowadziły się do Poznańskiego. Przez stosowanie tej szkodliwej metody również moi rodzice utracili niemal całe mienie i zmuszeni byli rozpoczynać gospodarowanie od zera. Niewątpliwie oburzenie tysięcy poszkodowanych było pośrednią przyczyną popełnienia przez dr. Karasiewicza samobójstwa.

Nie bez wpływu wreszcie na postawę większości osadników niemieckich i ich decyzję pozostania w Polsce, był tolerancyjny stosunek władz polskich do wszystkich obywateli bez względu na ich narodowość. Ludność niemiecka rychło spostrzegła, że w Polsce nie stosuje się w stosunku do niej żadnych szykan, i że będzie ona tu mogła spokojnie żyć i prosperować. Jej prawa były zagwarantowane podpisanym przez Polskę w Wersalu traktatem o mniejszościach narodowych.

Wiadomo jak traktat ten był następnie przez nasze mniejszości, a w tym i przez mniejszość niemiecką, nadużywany i ile z tego powodu mieliśmy kłopotów na terenie ówczesnej Ligi Narodów.

Państwo nasze nie miało jednak zamiaru rezygnować ze swych uprawnień w stosunku do Niemców nie mających tytułu do nabycia obywatelstwa polskiego, a nie wykazujących ochoty do sprzedaży swego majątku w ręce polskie i do opuszczenia naszego kraju. Musieliśmy w tych warunkach prowadzić kilka tysięcy procesów o przekazanie państwu podlegającego likwidacji mienia i zmuszać w drodze administracyjnej osiadłych po 1908 r. Niemców, jako obcokrajowców, do opuszczenia Polski.

Wszystkie te kroki nie zmieniły faktu, że w Polsce, a zwłaszcza w województwach zachodnich, pozostało i nabyło obywatelstwo polskie kilkaset tysięcy osób narodowości niemieckiej, stanowiącej najzamożniejszą część ludności naszego kraju. Byli to wyłącznie właściciele ziemscy, przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy oraz chłopci osiadli tu przed 1908 r.

Pewne zmiany we własności rolnej ludności niemieckiej powodowało w okresie międzywojennym przejmowanie na cele reformy rolnej części wielkich majątków ziemskich. Ostateczne przejęcie przez państwo własności poniemieckiej na terenie całej Polski – i tym samym przekreślenie skutków wielowiekowej działalności germanizacyjnej – nastąpiło dopiero po II wojnie światowej.

Instytucjami współdziałającymi z Komisją Kolonizacyjną w dziele germanizacji wsi polskiej były: Deutsche Mittelstandskasse w Poznaniu i Deutsche Bauernbank w Gdańsku. Miały one na celu „umacnianie niemieczyzny” poprzez oddłużenie istniejących niemieckich posiadłości chłopskich i przeciwdziałanie przechodzeniu ich w ręce polskie. W tym celu posiadłości te obciążano wpisywanym do ksiąg gruntowych umownym prawem odkupu na wypadek sprzedaży gospodarstwa Polakowi.

Działająca na terenie b. prowincji poznańskiej Deutsche Mittelstandskasse była spółką z ograniczoną odpowiedzialnością o kapitale zakładowym wynoszącym 1 500 000 marek, podzielonym na 15 udziałów, z których 4 należały do fiskusa pruskiego, reszta zaś do niemieckich spółdzielni kredytowych typu Reiffeisena i Schulzego z Delitsch oraz do kilku obszarników niemieckich, członków organizacji hakatystycznych. Udziały należące do fiskusa pruskiego przeszły na Skarb Państwa. Pozostałe 11 udziałów skupił w swych rękach niemiecki bank spółdzielczy mający swą siedzibę w gmachu zajmowanym obecnie przez Wydział Prawa i Administracji UAM<sup>8)</sup>.

Przed I wojną światową Deutsche Mittelstandskasse – opierając się na funduszach dostarczanych jej przez fiskus pruski – zdołała „umocnić” ponad 17 tysięcy gospodarstw niemieckich. Skoro po upadku panowania pruskiego Deutsche Mittelstandskasse utraciła wszelkie podstawy do rozwijania przewidzianej w jej statucie działalności – Skarb Państwa uzyskał wyrok rozwiązujący tę spółkę i przejął w przymusowy zarząd jej agendy. Naraziło to nasze państwo ze strony udziałowców niemieckich na szereg skarg skierowanych do Ligi Narodów. Na skutek ich zabiegów przymusowy zarządca nie mógł uzyskać żadnych informacji o stanie kont w Preussische Zentralgenossenschaftskasse w Berlinie (tzw. Preussenkasse), w której w chwili wybuchu wojny w 1914 r. zdeponowana była wielomilionowa suma pochodząca z dotacji rządu pruskiego, ani też ściągać należności od osadników niemieckich, którzy znaleźli się poza granicami województwa poznańskiego.

Sprawa Deutsche Mittelstandskasse była mi z racji zajmowanego stanowiska dobrze znana. Pomysł jej korzystnego dla Polski rozwiązania nasunął mi się w 1932 r.

---

<sup>8)</sup> Chodzi o Collegium Iuridicum.

w związku z moim pobytem w Berlinie, gdzie zbierałem materiał do mojej pracy habilitacyjnej.

Odwiedziłem wówczas z własnej inicjatywy Preussenkasse. Jako przedstawicielowi Skarbu Państwa udzielono mi tam informacji dotyczącej przedwojennego depozytu. Przekonałem się, że depozyt ten przedstawiał wartość paru milionów marek. Oświadczono mi, że Deutsche Mittelstandskasse będzie mogła tym depozytem oraz innymi należnościami na terenie Niemiec rozporządzać, gdy Skarb Państwa zawrze odpowiednie porozumienie z udziałowcami niemieckimi w Poznaniu.

Po powrocie do kraju przedstawiłem sprawę ministrowi rolnictwa i wojewodzie poznańskiemu. Zostałem przez nich upoważniony do prowadzenia z niemieckim bankiem spółdzielczym koniecznych pertraktacji. W ich wyniku niemiecki Bank Spółdzielczy sprzedał swe udziały Skarbowi Państwa, a ja powołany zostałem na likwidatora Deutsche Mittelstandskasse.

W toku likwidacji trwającej od 1932 do 1937 r. podpisałem z górą 17 000 notarialnie uwierzytelnionych „kwitów mazalnych” oraz innych dokumentów. Poważna ich część, odnosząca się do nieruchomości położonych na terenie powiatów tworzących ówczesną Grenzmark Posen-Westpreussen, sporządzona została poza granicami Polski.

Największą trudność w postępowaniu likwidacyjnym stanowiło uzyskanie od władz niemieckich zezwoleń dewizowych na przelanie do Polski sum uzyskanych ze sprzedaży na giełdzie papierów wartościowych oraz spleconych przez osadników niemieckich długów hipotecznych.

Zezwolenia takie w początkowym okresie likwidacji (w latach 1932–1934) udawało mi się wyjednywać w Izbach Skarbowych we Wrocławiu i Pile oraz w samym Berlinie. Z biegiem czasu szło to coraz bardziej opornie. Pamiętam, że pewnego razu zostałem powiadomiony o zezwoleniu na przelew przez Preussische Zentralgenossenschaftskasse kwoty z górą 700 000 marek, czyli około 1 500 000 ówczesnych złotych. Kiedy z zezwoleniem tym zjawiłem się w Berlinie i wystawiałem pisemne zlecenie przelewu tej kwoty na konto w banku poznańskim, załatwiający mnie urzędnik bankowy powiadomił mnie, że przygotowywane są w Niemczech nowe przepisy dewizowe. Na moje zapytanie, kiedy przepisy te mają się ukazać, odpowiedział: „może dziś, może jutro”. Wobec tej informacji anulowałem wypisane zlecenie przelewu i poprosiłem o przygotowanie mi całej kwoty w gotówce. Następnie poszedłem do sklepu, gdzie kupiłem niedużą walizeczkę dla spakowania w niej podejmowanej gotówki, którą postanowiłem przewieźć bezzwłocznie do Polski. Urzędnik kiwał głową, zwracając mi uwagę, że narażam się na wielkie niebezpieczeństwo ewentualnej kradzieży.

Do Poznania wracałem wieczornym pociągiem. Walizeczkę z gotówką umieściłem na półce w przedziale, w którym poza mną jechały trzy czy cztery osoby. Na stacji granicznej Neubentschen, obecnie Zbąszynek, niemieccy urzędnicy graniczni przeprowadzali kontrolę paszportową, celną i dewizową. Na zapytanie, czy przewożę walutę niemiecką – odpowiedziałem twierdząco. Jednocześnie poprosiłem, aby zaprowadzono mnie do biura kontroli dewizowej na punkcie granicznym, gdzie chciałbym załatwić pewne formalności. Wychodząc z wagonu, zabrałem z półki wspomnianą walizeczkę. W biurze okazałem zezwolenie dewizowe opiewające na przewożoną kwotę oraz znajdującą się w walizce gotówkę. Urzędnik kontroli dewizowej był tak oszołomiony wysokością przewożonej kwoty, że nie sprawdzał już ilości przewożonej gotówki. „Nigdy takiej sumy pieniędzy nie widziałem” – powiedział. – „Ja również” – odparłem.

Wróciwszy do przedziału poinformowałem współpasażerów, że urzędnicy niemieccy okazali się uprzejmi, bo nie zakwestionowali mi przewozu kilkuset marek, na które miałem już o jeden dzień przedawnione zezwolenie. Rzecz jasna, że nie zdradziłem się przed współpasażerami, jaką kwotę rzeczywiście przewożę.

Pociąg przybył do Poznania w późnych godzinach nocnych. Taksówkarz odwiózł mnie do domu. Dopiero znalazłszy się w mieszkaniu poczułem się bezpieczny i odczułem zadowolenie z podjęcia tak ryzykownej decyzji.

Po wydostaniu z Niemiec niemal wszystkich należności i przekazaniu państwu milionowych kwot, przepisaniu na Skarb Państwa w 1937 r. własności kamienicy położonej przy ul. Jasnej 14 (obecnie ul. Roosevelta, narożnik ul. Słowackiego), kamienicy, w której mieściła się siedziba Deutsche Mittelstandskasse, przekazałem Urzędowi Wojewódzkiemu kilkanaście tysięcy akt spółki wraz ze szczegółowymi sprawozdaniami. Nie wiem, czy choć część tych akt, a zwłaszcza sprawozdania ocalały. Nie byłem bowiem w stanie dokonać koniecznych poszukiwań archiwalnych.

Przekazana Skarbowi Państwa kamienica uległa całkowitemu zniszczeniu w czasie walk o Poznań w lutym 1945 r.

Rozwikłanie z korzyścią dla państwa zagmatwanej sprawy Deutsche Mittelstandskasse uważam za jeden z sukcesów życiowych. Sprawa ta była sprawdzianem moich uzdolnień prawno-ekonomicznych i okazją do zdobycia cennych doświadczeń.

Nieruchomość położona przy ul. Młyńskiej 11a, zajmowana obecnie przez Prokuraturę dla Dzielnicy Stare Miasto, była w okresie międzywojennym siedzibą Konsystorza Kościoła ewangelicko-unijnego.

Ponieważ, jak wynikało z ksiąg wieczystych, jako właściciel tej nieruchomości figurował w dniu 11 listopada 1918 r. fiskus pruski, przeto z mocy ustawy z 14 lipca 1920 r., podobnie jak w przypadku tzw. osad anulacyjnych, własność tej nieruchomości przeszła *ex lege* na skarb państwa polskiego.

Na tej podstawie i na zlecenie Urzędu Wojewódzkiego Prokuratoria Generalna wytoczyła Konsystorzowi proces eksmisyjny. Ciągnął się on całe lata, odraczany stale na żądanie Urzędu Wojewódzkiego ze względów politycznych.

Byłem referentem tej sprawy. W związku z nią zainteresowałem się bliżej rolą, zasięgiem oddziaływania, organizacją oraz statusem prawnym Kościoła ewangelicko-unijnego. Zacząłem więc na własną rękę zbierać potrzebne mi materiały i dokumenty. Na ich podstawie uzyskałem – jak mi się wydawało – pełne rozeznanie przedmiotu moich dociekań.

Kościół ewangelicko-unijny powstał pod naciskiem króla pruskiego z połączenia wyznawców luteranizmu i kalwinizmu w pierwszej połowie XIX w. Był on więc niejako pruskim kościołem państwowym, hierarchicznie zorganizowanym, którego zwierzchnikiem był król. Organizację tego Kościoła określała specjalna ustawa. Parafie ewangelicko-unijne pokrywały cały obszar państwa pruskiego, a więc również ziemie polskie, znajdujące się pod zaborem pruskim.

Kościół ewangelicko-unijny utrzymywał swoją organizację na tych ziemiach również po oddzieleniu ich od państwa pruskiego. Ponieważ wyznawcami tego Kościoła byli wyłącznie Niemcy, przeto stanowił on w okresie międzywojennym jeden z najistotniejszych czynników oddziaływania na mniejszość niemiecką zamieszkałą na terenie ówczesnych województw zachodnich. Oddziaływanie to było jak najbardziej antypolskie.

Nie mogło być inaczej, skoro państwo nasze nie umiało w ciągu całego dwudziestolecia zabezpieczyć sobie jakiegokolwiek wpływu i nadzoru nad działalnością tego Kościoła. Podczas gdy stosunek państwa do Kościoła katolickiego regulowany był w tym czasie postanowieniami konkordatu z 1925 r., stosunek do Kościoła prawosławnego, ewangelicko-augsburskiego, ewangelicko-reformowanego i innych regulowały ustawy państwowe, to żadne tego rodzaju uregulowanie nie miało miejsca w odniesieniu do Kościoła ewangelicko-unijnego. Był on tym samym niezależnym od władz państwowych. Co więcej! W dalszym ciągu był on podporządkowany swej centrali w Berlinie. Stanowiska w tym Kościele obsadzane były przez duchownych kształconych w Niemczech. Znakomita większość pastorów pełniących swe funkcje w Polsce nie miała w ogóle obywatelstwa polskiego. Obejmowali oni stanowiska w parafiach, czy w Konsystorzach bez jakiegokolwiek uzgodnienia z władzami polskimi. Te zaś w obawie przed komplikacjami politycznymi, ten nienormalny stan rzeczy milcząco tolerowały.

Wydawało mi się więc celowym wyciągnięcie całokształtu tych spraw na forum publiczne.

Opublikowany przeze mnie cykl artykułów na temat Kościoła ewangelicko-unijnego w Polsce w „Dzienniku Poznańskim”, redagowanym przez Józefa Winiewicza wywołał wrzawę w szowinistycznych kołach niemieckich. Dowodziły tego zjadliwe artykuły, jakie pojawiły się w bydgoskiej „Deutsche Rundschau”, „Posener Tageblatt” oraz w dziennikach berlińskich. Niezadowolone też były polskie organy administracyjne odpowiedzialne za politykę wyznaniową.

Artykuły moje przyjęte zostały przez społeczeństwo z dużym zainteresowaniem. Pamiętam, że kiedy pewnego razu pokazałem się w kawiarni A. Fangrata<sup>h)</sup>, przebywający tam wizytatorowie Kuratorium Szkolnego, dr Karol Opuszyński, ksiądz Binek oraz nieznany mi dotąd ksiądz pastor Manitius (reprezentant polskiego Kościoła ewangelicko-augsburskiego), urządzili mi wielką owację. Liberał dr Opuszyński, katolik ksiądz Binek i polski protestant ksiądz pastor Manitius reprezentowali ten sam, co i ja pogląd i ten sam interes państwowy.

Spośród tysięcy innych, szczególnie utrwaliły mi się w pamięci dwie sprawy z omawianego okresu. Jedną z nich dotyczyła tzw. Księżstwa Krotoszyńskiego, czyli kompleksu majątków o ogólnym obszarze z górą 11 tysięcy hektarów, należących do rodziny książąt Thurn und Taxis, mających swą główną rezydencję w Ratyzbonie (Bawaria). Majątki te – dawne polskie królewszczyzny – Thurn-Taxisowie otrzymali z początkiem XIX w. od rządu pruskiego tytułem odszkodowania za zrzeczenie się posiadanej od czasów średniowiecznych monopolu pocztowego.

Książęta Thurn und Taxisowie nie należeli do kategorii rodzin panujących. Ich majątki nie przypadły więc *ex lege* Skarbowi Państwa. Podlegały one likwidacji w trybie ustawy z 15 lipca 1920 r. na tej podstawie, że Thurn-Taxisowie – rezydujący stale w Ratyzbonie – nie posiadali na odzyskanych ziemiach polskich miejsca zamieszkania przed 1908 r. Sporadyczne ich przebywanie w Krotoszynie nie posiadało charakteru rzeczywistego zamieszkania i nie uprawniało ich ani do nabycia obywatelstwa polskiego, ani do zachowania dóbr. Dobra te zostały przejęte przez państwo i w przeważnej części rozparcelowane, a obszary leśne przekazane do administracji Dyrekcji Lasów Państwowych.

---

<sup>h)</sup> Przy ul. Ratajezaka.

Spór więc w zasadzie ograniczał się do ustalenia wartości odszkodowawczej. Sprawa ta, z uwagi na wielkość dóbr i trudności ustalenia odpowiedniego miernika, ciągnęła się całymi latami i do 1939 r. nie została ostatecznie przez Komisariat do Spraw Likwidacji Niemieckiej doprowadzona do końca.

W charakterze rzeczoznawcy występował w niej znany ekonomista prof. dr Wiktor Schramm z Wydziału Rolniczo-Leśnego, a w charakterze opiniodawcy prawnego prof. dr Józef Sułkowski z Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego.

Druga sprawa dotyczyła dóbr grodziskich (4 600 ha), stanowiących własność rodziny von Zimmermannów. I w tym wypadku podstawą likwidacji tych dóbr było stwierdzenie, że właściciel ich nie miał na terenie odzyskanych przez Polskę ziem stałego miejsca zamieszkania przed 1908 r. Zgodnie z przepisami ustawy z 15 lipca 1920 r. na odpowiednie wezwanie Komisariatu do Spraw Likwidacji Niemieckiej dobra grodziskie zostały w 1924 r. sprzedane Piotrowi Skórzewskiemu. Własność dóbr miała być na niego przelana z chwilą zapłaty całej umówionej ceny kupna. Ponieważ nabywca nie wywiązał się z tego warunku, Zimmermannowie odstąpili od umowy i zażądali zwrotu objętych już w 1924 r. przez Skórzewskiego w posiadanie dóbr.

W tym stanie rzeczy uznano, że Zimmermannowie nie zbyli swych posiadłości Polakowi zgodnie z decyzją Komisariatu do Spraw Likwidacji Niemieckiej. Zostały one w drodze administracyjnej odebrane Skórzewskiemu i przejęte – w 1926 czy 1927 r. – pod przymusowy zarząd państwowy. W ten sposób sprawa zupełnie się skomplikowała i stała się przedmiotem interwencji dyplomatycznych. W ich wyniku znalazła ona zaskakujący epilog. Rząd polski zgodził się przyznać Zimmermannom obywatelstwo polskie i zrezygnować z likwidacji ich dóbr, a w zamian za to państwo niemieckie zrezygnowało z podjętych – nie wiem na jakiej podstawie – kroków wymierzonych przeciwko właścicielowi dóbr Waplewo, położonych w powiecie sztumskim, hrabiemu Sierakowskiemu, ofiarnemu przywódcy ludności polskiej na terenie Prus Wschodnich i całej Rzeszy.

Wobec tego zachodziła konieczność zniesienia przymusowego zarządu dóbr grodziskich i ich zwrotu osobom uprawnionym. Zwrotu domagali się z jednej strony Zimmermannowie, jako jej właściciele, z drugiej zaś Piotr Skórzewski, którego posiadanie zostało przez państwo naruszone. Zimmermannowie wystąpili w 1928 r. z pozwem przeciwko Skarbowi Państwa o wydanie im majątków. W charakterze interwenienta ubocznego po stronie Skarbu Państwa przystąpił do sporu Skórzewski.

Byłem referentem tej sprawy i reprezentowałem pogląd, aprobowany przez kierownika Wydziału i prezesa, że powinniśmy przywrócić odebrane posiadanie Piotrowi Skórzewskiemu. Nie jest bowiem rzeczą Ministerstwa Rolnictwa – rozumowaliśmy – rozstrzyganie sporu między Skórzewskim, jako nabywcą dóbr, a Zimmermannami. W tym sensie została też zredagowana odpowiedź na pozew.

Inne stanowisko reprezentowały Ministerstwo Rolnictwa, Urząd Wojewódzki w Poznaniu i Urząd Główny Prokuraturii Generalnej. Prezes Kierski otrzymał w tej sprawie ostro sformułowane pismo podpisane przez samego prezesa Bukowieckiego. Zawezwał mnie bezzwłocznie do siebie i zdenerwowany podał mi to pismo ze słowami: „Niech Pan czyta. Prezes Bukowiecki jest pamiętliwy. Pańska kariera w Prokuraturii Generalnej jest skończona”. Odpowiedziałem na to spokojnie: „Panie Prezesie, pismo skierowane jest pod adresem Prezesa Kierskiego, a nie pod adresem aplikanta Górskiego. O karierę w Prokuraturii Generalnej nie mam obawy tym bardziej, że nie zamierzam jej tu

robić. Swoje stanowisko w sprawie uważam za słuszne i nie widzę powodu do jego zmiany”. Prezes uspokoił się wówczas i wyraził zgodę, aby na wyznaczonej przez Sąd Okręgowy rozprawie trzymać się konsekwentnie dotychczasowej linii obrony. Tak też postąpiliśmy. Rozprawa trwała kilkanaście godzin – od godz. 11 do 4 rano następnego dnia – z małymi przerwami na posiłki. W jej wyniku zapadł wyrok oddalający powództwo Zimmermannów, przysądżający – poza kosztami sądowymi – Prokuratorii Generalnej około 80 000 zł kosztów adwokackich (obiekt około 18 milionów złotych). Dopiero w tym stadium sprawy uznaliśmy za stosowne zawarcie ugody na następujących warunkach: 1) powodowie wycofują wniesione przeciwko Skarbowi Państwa powództwo, ponosząc narosłe dotąd i przysądzone koszty sądowe i należne Prokuratorii Generalnej koszty adwokackie; 2) Skarb Państwa przekazuje majątek do ich rąk za równoczesnym zrzeczeniem się z ich strony jakichkolwiek roszczeń z tytułu podjętych kroków likwidacyjnych oraz z tytułu objęcia dóbr w przymusowy zarząd; 3) zobowiązują się oni dokończyć we własnym zakresie rozliczeń ze Skórzewskim oraz zwolnić Skarb Państwa od jakichkolwiek roszczeń z jego strony.

Ten sposób załatwienia sprawy zyskał uznanie prezesa Bukowieckiego. Przyznał mi z tego tytułu specjalną nagrodę w wysokości 250 złotych!!!

W tysiącach wypadków likwidacji mienia niemieckiego zainteresowani nie przyjmowali zaofiarowanego im odszkodowania ustalanego w dewaluujących się z dnia na dzień markach Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej, a nawet w złotych. Po opuszczeniu granic Polski zgłaszali swe roszczenia w odpowiednich instytucjach niemieckich. Instytucje te rejestrowały równocześnie roszczenia niemieckich organizacji państwowych w stosunku do Skarbu Państwa za przejęte mienie państw niemieckich i mienie członków rodzin panujących. Postanowienia traktatu wersalskiego przewidywały bowiem, że państwo polskie nabywa to mienie odpłatnie, jakkolwiek obowiązkiem odpłatności z tego tytułu nie obciążano Francji ani Belgii w związku z przekazanymi im terytoriami. Bezpłatnie przyspaść Polsce miały jedynie dobra stanowiące w chwili rozbiorów tzw. królewszczyzny. Polska ze swej strony zestawiała pretensje wzajemne z tytułu szkód spowodowanych państwu, instytucjom publicznym i prywatnym oraz poszczególnym obywatelom polskim w okresie wojny przez niemieckie władze cywilne i wojskowe.

Uzgodnienie wzajemnych rozliczeń nie było łatwe. Znalazły one swe rozwiązanie dopiero w 1929 r. w tzw. Planie Younga załatwiającym w sposób generalny wszelkie roszczenia państw koalicji wobec Rzeszy Niemieckiej. Plan Younga w sprawach polsko-niemieckich stwierdzał, że Polska i Niemcy rezygnują wzajemnie imieniem własnym i swych obywateli z wszelkich roszczeń do strony przeciwnej. Roszczenia instytucji i osób prywatnych miało załatwić każde państwo we własnym zakresie.

Polska ustawa ratyfikująca Plan Younga przewidywała, że sprawę ureguluje osobna ustawa. Nie została ona w ogóle wydana, choć wiadomym było, że strona niemiecka wywiązała się bezzwłocznie ze swego obowiązku w stosunku do własnych obywateli. Nie jest to, niestety, jedyny wypadek nie wywiązywania się u nas przez państwo ze swych ustawowych obietnic.

W parę miesięcy po ratyfikacji Planu Younga zgłosił się do mnie, skierowany do Prokuratorii Generalnej, rolnik spod Zbąszynia nazwiskiem Steinmetz. W okresie powstania wielkopolskiego została mu spalona przez niemiecki *Grenzschutz* stodoła. Swoją szkodę z tego tytułu zgłosił on do Związku Obrony Kresów Zachodnich, który reje-



stował wówczas wszystkie roszczenia prywatne w stosunku do Niemiec. Wyjaśniłem mu, że na skutek porozumienia Polski z Niemcami nie otrzyma on odszkodowania od strony niemieckiej, lecz że szkoda zostanie mu wyrównana przez rząd polski. Dodałem, że niezadługo należy się spodziewać ukazania się odpowiedniej ustawy. Na zapytanie, kiedy będzie się mógł dowiedzieć o sposobie uregulowania tych spraw, odpowiedziałem, że być może za 6–9 miesięcy.

Z własnej inicjatywy przygotowałem projekt pisma, przesłanego przez nasz Oddział drogą służbową do Ministerstwa Skarbu, ze wskazaniem na potrzebę przygotowania zapowiedzianej ustawy. Steinmetz aż do połowy 1938 r. odwiedzał mnie nadaremnie przynajmniej raz do roku.

Jakież było moje zdziwienie, gdy w jesieni 1945 r. zjawił się u mnie – już w Akademii Handlowej – z zapytaniem, czy może rząd ludowy załatwi wreszcie jego należność. Byłem wzruszony takim zaufaniem obywatela do władzy państwowej! Ucałowałem go serdecznie i wyjaśniłem, że rząd ludowy ma obecnie inne, pilniejsze kłopoty na głowie... O tej sprawie opowiedziałem gronu ówczesnych ministrów spotkanemu w Sejmie, zaznaczając jak wielkie polityczne znaczenie ma każda lojalnie zrealizowana obietnica państwowa.

Poważną grupę stanowiły sprawy związane z nieruchomościami rolnymi, znajdującymi się w gestii Urzędu Osadniczego, następnie Okręgowego Urzędu Ziemskiego, a wreszcie Wydziału Rolnictwa i Reform Rolnych. Praca tych urzędów – łącznie z Ministerstwem Reform Rolnych, a później Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych – odznaczała się wyjątkową nieudolnością w rozwiązywaniu najprostszych zagadnień. Przez niemal 20 lat „młóciły one słomę” nie doprowadzając do końca tysięcy dawno dojrzałych spraw.

W latach 1920–1921 Urząd Osadniczy sprzedał na częściowy kredyt chłopom polskim tysiące „osad anulacyjnych”, które opuścić musieli osadnicy niemieccy. Cena kupna ustalona była w ówczesnych markach polskich. W tej samej walucie ustalano resztę ceny kupna, którą nabywcy obowiązani byli zapłacić w terminach późniejszych. Przeniesienie własności sprzedanych osad miało nastąpić po spłacie reszty ceny kupna.

Otóż mimo wydania już w 1924 r. przepisów waloryzacyjnych (tzw. *lex Zoll*) Urząd Ziemski nie był zdolny załatwić przeliczenia swych należności na złote polskie z uwagi na wyraźne zarządzenie Ministerstwa, które zapowiadało wydanie w tej sprawie osobnej instrukcji. Na instrukcję tę czekano kilkanaście lat. A tymczasem chłopcy wykazywali coraz większe zaniepokojenie i rozgoryczenie, nachodząc Okręgowy Urząd Ziemski i zasypując go licznymi pismami, które skrupulatnie wszywano do akt bez udzielania odpowiedzi.

Do moich rąk dostały się akta pewnej osady położonej w powiecie kępińskim, oddalonej o 200 km od Poznania. Z akt wynikało, że zainteresowany rolnik interweniował w sprawie tej osady pisemnie i osobiście – zawsze bezskutecznie – sto kilkadziesiąt razy!

Wreszcie całe grupy zainteresowanych zwróciły się do znanego adwokata dr. Władysława Borszewskiego, b. prezesa Okręgowego Urzędu Ziemskiego, z żądaniem wytoczenia pozwów sadowych o przewłaszczenie. Pozwów takich wytoczył adwokat Borszewski kilka. Chodziło mu o uzyskanie prejurykatów<sup>1)</sup>. Prokuratoria Generalna – ulegając naciskom Ministerstwa – broniła się bez przekonania zarzutem niedopuszczalności

<sup>1)</sup> Prejurykat – *prawn.* wyrok sądowy w konkretnej sprawie, stanowiący wytyczną dla wyrokowania w podobnych przypadkach w przyszłości; precedens.

drogi sądowej z uwagi na aktualne przepisy ustawy z 1924 r. o reformie rolnej, przewidujące przenoszenie własności nieruchomości państwowych nie w drodze cywilnoprawnego aktu pozwania (*Auflassung*), lecz w drodze aktu administracyjnego. Sądy – łącznie z Sądem Najwyższym – przesądziły sprawę na korzyść nabywców osadników. Dopiero na skutek tych prejudykalnych wyroków sądowych Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych poleciło w latach trzydziestych przewłaszczać nabywcom wszystkie tego typu umownie nabyte osady.

W analogicznej sprawie zjawił się pewnego dnia u mnie w Prokuraturii Generalnej – było to chyba wiosną 1937 r. – adwokat dr Borszewski w towarzystwie swego klienta, b. premiera i ministra spraw wojskowych, generała Władysława Sikorskiego. Chodziło o to, że generał nabywszy od b. Urzędu Osadniczego w 1921 czy 1922 r. na tych samych warunkach jak inni osadnicy (umowa) 50-hektarowy ośrodek Parchanie w powiecie inowrocławskim, nie mógł również doczekać się uregulowania tytułu własności.

Zadzwoiłem do Wydziału Rolnictwa i Reform Rolnych i poprosiłem właściwego referenta, aby bezzwłocznie przybył z aktami do mnie, co też się stało. Wówczas wzięwszy pióro do ręki zaznaczyłem w aktach Wydziału Rolnictwa i Reform Rolnych, w jaki sposób ma być przeliczona reszta ceny kupna, którą należy zabezpieczyć hipotecznie i zobowiązałem referenta do załatwienia sprawy w ciągu 14 dni.

Generał uśmiechnął się z niedowierzaniem. Zbyt dużo miał w tym względzie doświadczeń. Po 3–4 tygodniach zjawił się u mnie ponownie – bez adwokata. „Czy sprawa dotąd nie załatwiona?” – zapytałem. – „Wprost przeciwnie” – odpowiedział. Przybył jedynie po to, aby mi podziękować za pomoc i wyrazić podziw dla mojego sposobu urzędowania. Następnie w swobodnej pogawędce, zaspokajając moją ciekawość, opowiedział mi jak rozstał się z wojskiem, jak spędzał czas we Francji, jakie opublikował w tym czasie prace itp.

W czasie przewrotu majowego w 1926 r. był – jak wiadomo – komendantem Okręgu Wojskowego we Lwowie. Za swój obowiązek uważał nie branie udziału w rozgrywce o władzę, lecz stanie na straży bezpieczeństwa w powierzonym mu okręgu. Mimo to bezpośrednio po przewrocie został wezwany do raportu przez Marszałka Piłsudskiego, nie mającego do niego osobistej sympatii. Według słów generała, Marszałek miał oświadczyć: „Panie Generale, znane są Panu dzielące nas różnice. W tych warunkach nie może Pan sprawować żadnych stanowisk w wojsku. Pozostanie Pan jednak w służbie czynnej i przysługiwać Panu będzie dotychczasowe uposażenie. Co zamierza Pan robić?” Generał Sikorski miał oświadczyć, że jest zaskoczony decyzją Marszałka. Zapytał, czy będzie mógł wolny czas poświęcić na wyjazd do Francji, gdzie pragnie oddać się studiom wojskowym. Marszałek wyraził na to zgodę z tym, że generał po każdorazowym powrocie do kraju będzie meldował się u niego i składał mu sprawozdanie z wyników studiów.

Tak się też stało. W czasie pobytu we Francji generał Sikorski utrzymywał kontakty z najwyższymi sferami wojskowymi. Napisał też szereg książek z dziedziny wojskowości. Książki te zostały uznane w kraju za podręczniki w Akademii Sztabu Generalnego. Był też kilkakrotnie z raportami w Belwederze.

Wszystko zmieniło się po śmierci Marszałka. Nowe władze wojskowe odmawiały mu przez dwa lata paszportu i w różnoraki sposób szykanowały. Ostatnio – jak mówił – szykany te częściowo ustały. Wystawiono mu na nowo paszport i umożliwiono dalsze

kontakty z Francją.

To przypadkowe spotkanie i rozmowy z generałem Sikorskim wywarły na mnie głębokie wrażenie. Była to naprawdę nieprzeciętna osobistość: wybitny wojskowy i mąż stanu, człowiek wysokiej kultury osobistej. Nie przeczuwałem nawet wówczas, jak ważną – w niedalekiej już przyszłości – miał odegrać rolę w najtragiczniejszych chwilach naszego narodu.

Zakałą nie tylko społeczeństwa wielkopolskiego, ale również wyrodkiem w obrębie swej własnej kasty i rodziny, był w okresie międzywojennym Michał Radziwiłł „Rudobrody”, ordynat na Przygodzicach i Antoninie pod Ostrowem Wlkp. Ordynacja ta obejmowała łącznie 4 875 ha ziemi ornej, 1 840 ha łąk i wielkich stawów rybnych oraz 7 612 ha lasów.

Wnuk namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Antoniego Radziwiłła, syn Ferdynanda, prezesa Koła Polskiego w Berlinie i rodzony brat Janusza Radziwiłła z Nieborowa, wzorowego obywatela i wybitnego polityka, posła i senatora Rzeczypospolitej Polskiej – był Michał „Rudobrody” przedmiotem powszechnej pogardy i potępienia.

Wiedziano o nim, że był z wykształcenia doktorem praw, a za czasów zaborczych oficerem pułku gwardii cesarskiej w Berlinie.

W czasie debaty parlamentarnej nad projektem ustawy z 1908 r., mającej umożliwić wywłaszczenie polskiej własności rolnej, ojciec jego Ferdynand Radziwiłł wygłosił w pruskiej Izbie Panów przemówienie, w którym w imieniu Koła Polskiego zaprotestował przeciwko temu projektowi. Przemówienie Radziwiłła wywołało oburzenie dworu i rządu pruskiego, a prasa berlińska skomentowała je jako niebywałe, zważywszy na pozycję oponenta, spokrewnionego z Hohenzollernami.

Jeden z dzienników berlińskich, chcąc stępić wrażenie wywołane wystąpieniem księcia Ferdynanda, przeprowadził wywiad na temat tego wystąpienia – z synem jego Michałem. Jakież było zdziwienie starego ordynata, kiedy przy rannej kawie przeczytał w gazecie ostre w formie i treści potępienie swego stanowiska przez własnego syna.

Bezwzględnie udał się do pułku gwardii, w którym służył Michał i tam w obecności dowódcy pułku – bez słowa – wymierzył synowi policzek. Przepraszając dowódcę – odjechał.

Spoliczkowany oficer nie mógł pozostać w wojsku, chyba że wyzwiał na pojedynek sprawcę obrazy. To zaś było niemożliwe z uwagi na to, że sprawcą tym był własny ojciec. Toteż Michał bezwzględnie poprosił o dymisję, spakował kufry i udał się do Petersburga zaofiarować swe usługi carowi Mikołajowi II. Został życzliwie przyjęty i mianowany radcą ambasady carskiej w Madrycie. Tam ożenił się z Hiszpanką, z którą doczekał się jedynej córki, późniejszej ordynatowej na Czerniejewie i Lubostroni – Skórzewskiej.

Po zakończeniu I wojny światowej i śmierci ojca, Michał odziedziczył ordynację i osiadł w Antoninie, gdzie pod opieką stale zmienianych i przepędzanych angielskich „pielęgniarek”, prowadził dziwaczny i aspołeczny tryb życia.

W latach trzydziestych „Ilustrowany Kurier Codzienny” i inne gazety pełne były sensacyjnych relacji o Michale „Rudobrodym” i napotkanej przezeń w Truskawcu piękności żydowskiej Żanecie Suchestow. Mężowi jej podobno wytłumaczono, że wielki to dla niego zaszczyt, że jego żona przypadła do gustu księciu Radziwiłłowi, który nie tylko zamieszkał z nią w Truskawcu, ale pojechał z nią do Francji na Lazurówce

Wybrzeże. Tam po kilku tygodniach bezceremonialnie ją porzucił i udał się do Anglii. W Londynie poznał wdowę po bardzo bogatym jubilerze. Ponieważ stale potrzebował gotówki, zaproponował jej małżeństwo. Miraż mitry księżęcej i szansa znalezienia się jako księżna Radziwiłłowa w towarzystwie mającym dostęp do dworu królewskiego spowodowały, że wdowa potraktowała oświadczenia „Rudobrodego” poważnie. Jako praktyczna Angielka, chciała jednak upewnić się o rzeczywistej sytuacji majątkowej kandydata. W tym celu wysłała do Polski swego syna, majora armii angielskiej. Przeprowadzony na miejscu przez majora wywiad przekreślił zamiary matrymonialne matki i do małżeństwa nie doszło. Tymczasem długi ordynata niepokojąco rosły...

W roku 1938 same należności Skarbu Państwa z tytułu zaległych podatków wynosiły ponad 1700 tysięcy złotych. Michał „Rudobrody” nie miał zwyczaju dobrowolnego płacenia podatków i innych opłat publicznych. Trzeba je było ściągać w drodze egzekucji. To zaś napotykało na różne przeszkody. Nie kwapili się do spełniania czynności egzekucyjnych komornicy, gdyż księżę przepędzał ich całą sforą psów. Ponadto stosowaniu normalnych kroków egzekucyjnych stały na przeszkodzie utrzymywane w mocy przez cały okres dwudziestolecia dawne przepisy odnoszące się do ordynacji rodowych. W myśl tych przepisów większe sumy można było wyegzekwować jedynie w drodze przymusowego zarządu nad ordynacją.

W latach przedwojennych wydano jednak nowe przepisy umożliwiające zaspokajanie należności publiczno-prawnych w drodze przejęcia przez państwo odpowiednich części majątku dłużnika *in natura*.

Tak też postąpiono w stosunku do Radziwiłła. Postanowiono przejąć za należności skarbowe kilka tysięcy hektarów lasów. Został w tym celu sporządzony odpowiedni operat<sup>1)</sup> szacunkowy i geodezyjny. Komisyjny akt przejścia miał nastąpić na wiosnę 1938 r. Data przejścia została dokładnie ustalona. Tymczasem na kilka dni przed tą datą zjawił się u mnie w Prokuraturii Generalnej z dobrze wypchaną teką przymusowy zarządca ordynacji inżynier-rolnik Kołtunowicz i oświadczył, że chce spłacić całą należność Skarbu Państwa i prosił o uchylenie wyznaczonego terminu przejścia lasów.

Zaprosiłem telefonicznie do Prokuraturii Generalnej miarodajnych urzędników Izby Skarbowej, Urzędu Wojewódzkiego i Dyrekcji Lasów Państwowych. Kiedy ich poinformowałem, że inżynier Kołtunowicz chce uregulować zadłużenie Radziwiłła w pełnej wysokości, wobec czego prowadzone w trybie egzekucyjnym przejście lasów staje się nieaktualne, byli tym mocno zaskoczeni. Musiałem ich dopiero przekonać, że w postępowaniu egzekucyjnym dłużnik aż do momentu „przybicia” może swój dług spłacić i przeszkodzić w dojściu do skutku licytacyjnej sprzedaży. Podobna sytuacja zaistniała w niniejszym przypadku. Należy więc ustalić dokładnie sumę należności, przyjąć zaofiarowaną należność gotówkową i umorzyć postępowanie.

Na moje pytanie, skąd ordynat uzyskał tak wielką kwotę, inżynier Kołtunowicz odpowiedział: „Od Żydów kaliskich na poczet zakupionych przez nich przyszłych paroletnich wyrębów leśnych oraz paroletnich połowów karpi”.

Tym razem rachuby kaliskich kupców zawiodły. Pieniądzy swych nigdy nie odzyskali. Realizacji zawartych kontraktów stanęły na przeszkodzie wypadki wojenne.

Z chwilą wybuchu wojny Michał „Rudobrody” okazał się zdrajcą narodu polskiego. Wkraczających okupantów powitał telegramem gratulacyjnym, skierowanym do Hitlera. Jemu też zaofiarował całą ordynację, zastrzegając dla siebie jedynie dożywocie. Hitler

<sup>1)</sup> Operat – opis stanu zagospodarowania lasu oraz przewidywanych czynności gospodarczych.

darowiznę przyjął i przekazał dobra ordynacji niemieckiemu Uniwersytetowi w Poznaniu. Radziwiłła, który – pozostając w Antoninie – wtrącał się do spraw administracji, potraktowano w sposób odpowiadający panującemu w Niemczech reżimowi. Został on przymusowo wywieziony do Berlina i osadzony w zakładzie ufundowanym przez jednego z jego przodków dla podupadłej szlachty. Zmarł po wojnie w Niemczech Zachodnich.

Inną grupą spraw, z którymi wypadło mi się blisko zetknąć w czasie mej pracy w Prokuratorii Generalnej, były sprawy związane z gospodarką morską.

Właściwość terytorialna naszego Oddziału obejmowała – jak już poprzednio zaznaczyłem – obszar województwa poznańskiego i pomorskiego (ze stolicą w Toruniu). Obejmowała więc tym samym wszystkie państwowe jednostki organizacyjne czynne na ówczesnym wybrzeżu morskim.

Nasza gospodarka morska była w pierwszych latach po odzyskaniu dostępu do morza dopiero w zaczątkach. Z każdym jednak rokiem zaczęła się ona coraz piękniej rozwijać we wszystkich kierunkach. Widowym znakiem tego była budowa i wyposażenie nowego portu w Gdyni, stopniowy wzrost tonażu pływającego oraz rozwój żeglugi handlowej i rybackiej, rozwój usług portowych, zorganizowanie szkolnictwa morskiego. Wzrastając z tym mnożyła się ilość zagadnień prawnych, z którymi dzielna, ale mało jeszcze doświadczona administracja morska nie umiała się uporać. Toteż z roku na rok rosła ilość spraw napływających do naszego Oddziału. Wszystkie one skupione były w moim referacie. Zmusiło mnie to do dokładnego zapoznania się z różnego rodzaju polniemieckimi przepisami morskimi, z którymi w czasie studiów w ogóle się nie zetknąłem. Nie powiem, żeby mi to łatwo przychodziło. Sens przepisów morskich zacząłem rozumieć dopiero w zetknięciu się z realiami, głównie z praktyką Urzędu Morskiego w Gdyni, w którego rękę skupiała się wówczas niemal całość gospodarki morskiej. Radcą prawnym Urzędu Morskiego był wtedy doskonały prawnik, adwokat Reclaw. On to zwykle przyjeżdżał do mnie z Gdyni, choć wielokrotnie osobiście udawałem się na narady do Urzędu Morskiego celem znalezienia rozwiązania trudniejszych zagadnień. W ten sposób z biegiem lat sprawy morskie i instytucje prawa morskiego stawały mi się coraz bliższe. Przyczyniły się do tego w wysokim stopniu odbywane na polskich statkach handlowych podróże morskie oraz zapoznanie się na miejscu z funkcjonowaniem szeregu portów zagranicznych (francuskich, belgijskich i niemieckich). Toteż do wybuchu wojny w 1939 r. mogłem uchodzić za jednego ze znawców prawa morskiego.

Ta okoliczność sprawiła, że minister sprawiedliwości Henryk Świątkowski powierzył mi w 1945 r. opracowanie projektu handlowego prawa morskiego, stanowiącego punkt wyjścia dla przygotowywanego ostatecznie tekstu obowiązującego obecnie kodeksu morskiego z 1 grudnia 1961 r.

Trzy zespoły spraw morskich, opiniowanych przeze mnie w okresie pracy w Prokuratorii Generalnej, zachowały się w mej pamięci.

Pierwszy z nich łączył się z nabyciem przez Polskę od duńskiej Spółki Akcyjnej „East Asiatic Company” trzech starych statków pasażerskich, którym nadano nazwy: „Polonia”, „Kościuszko” i „Pułaski”. Były to wówczas średniej wielkości transportowce, przeznaczone do przewozu polskich emigrantów do Północnej i Południowej Ameryki. Nie mieliśmy wtedy na eksport towarów, eksportowaliśmy więc ludzi! Ta sytuacja utrzymywała się i w latach następnych, czego wyrazem był fakt, że nabyliśmy cztery

dalsze transatlantyki pasażerskie: „Batory”, „Piłsudski”, „Sobieski” i „Chrobry”, co stwarzało dziwną dysproporcję między ilością posiadanego wówczas tonażu towarowego i pasażerskiego.

Druga grupa spraw morskich pozostawała w związku z decyzją budowy wielkiego portu handlowego w Gdyni (1925 r.). Powstała wówczas konieczność zabezpieczenia na ten cel kilkuset hektarów terenów nadmorskich, stanowiących własność około 100 rodzin kaszubskich. Właściciele tych małowartościowych gruntów byli przekonani, że uzyskają za nie wysokie ceny, zbliżone do cen, jakie uzyskiwali w tym czasie właściciele parcel budowlanych przy ul. Świętojańskiej czy 6 Lutego. Były to ceny spekulacyjne, dochodzące wyjątkowo w latach 1927–1929 do 100 dolarów za 1 m<sup>2</sup>. Urząd Morski był zdania, że nie może płacić za tereny przeznaczone na potrzeby portu więcej, niż wynosiła przeciętna cena za parcele nadmorskie stanowiące w ostatnich latach przedmiot obrotu między ludnością miejscową. Była to cena kilkanaście, czy nawet kilkadziesiąt razy niższa niż ta, jaką by chcieli uzyskać właściciele gruntów przewidzianych na cele portowe.

W tym stanie rzeczy jedynym sposobem nabycia własności terenów było wywłaszczenie. Podstawę prawną stanowiła tu pruska ustawa z 1874 r.

Ponieważ wywłaszczeni nie byli zadowoleni z ustalonej w aktach wywłaszczeniowych kwoty odszkodowań, wytoczyli (w liczbie około 80 osób) przeciwko Skarbowi Państwa pozwy z wnioskiem o przysądzenie im wynagrodzenia wielokrotnie wyższego. Sprawy podlegały w pierwszej instancji kompetencji Sądu Okręgowego w Poznaniu, tj. w siedzibie Oddziału Prokuraturii Generalnej. Znalazły się one w moim referacie. Uzgodniliśmy z adwokatem powodów, że z uwagi na to, że wszystkie sprawy oparte są na tej samej podstawie faktycznej i prawnej, prowadzić będziemy przez trzy instancje tylko jedną z nich. Reszta miała spoczywać.

Postępowaniem objęto sprawę przywódcy Kaszubów gdyńskich Abrahama, zasłużonego działacza, który w czasie konferencji pokojowej w Paryżu pojechał tam, aby domagać się przyłączenia ziem nadmorskich do Polski. Jego to imię nosi do dziś jedna z ulic Gdyni.

Zainteresowani argumentowali, że ofiarowana im cena jest wyraźnie krzywdząca. „Nie po to głosowaliśmy za Polską, aby doznawać obecnie krzywd”.

Sprawa z punktu widzenia formalno-prawnego była dość jasna. Ustawa z 1874 r. przewidywała wprawdzie pełne odszkodowanie, jednak kazała je obliczać według przeciętnie w okresie wywłaszczania płaconych cen za podobne grunty w czasie, kiedy nie było jeszcze mowy o planowanej inwestycji publicznej. Toteż wynik sprawy Abraham c/a Skarb Państwa był dla powodów niekorzystny. Sąd Najwyższy w oparciu o rozstrzygnięcia sądów niemieckich, wydanych na podstawie ustawy z 1874 r., oddalił roszczenie powoda o zmianę ceny ustalonej w postępowaniu wywłaszczeniowym.

Byłem na rozprawie w Sądzie Najwyższym. Uzyskany dla Skarbu Państwa wyrok bynajmniej mnie nie ucieszył. Zdawałem sobie sprawę z tego, jakie wywoła on rozgoryczenie wśród całej patriotycznie nastawionej ludności kaszubskiej. Nazajutrz po powrocie do Poznania i po uzgodnieniu z moimi przełożonymi poprosiłem o przyjazd radcy Reclawa. Zakomunikowałem mu treść wyroku, zwracając uwagę na szkodliwe skutki jego bezwzględного wykorzystania. Radziłem, aby Urząd Morski posłużył się wyrokiem w sprawie Abraham c/a Skarb Państwa jako argumentem, że nadmiernie wygórowane roszczenia powodów nie znajdują uznania sądów. Równocześnie radziłem, aby wszystkim zainteresowanym zaofiarować odpowiednio zwiększone wynagrodzenie, by

nie mówiono w Gdyni, że budujemy port na krzywdzie ludności kaszubskiej. W tym też sensie skierowaliśmy odpowiednie pismo do Urzędu Morskiego, który zastosował się do naszej rady. Wszystkie spoczywające sprawy zostały przez powodów wycofane.

Z chwilą zakończenia budowy basenów portowych, aktualną stała się sprawa zabudowy nabrzeży i terenów portowych. Chodziło o budowę magazynów i różnych zakładów przemysłowych na terenie portu. O ile sam port i jego bezpośrednie urządzenia oraz tereny portowe stanowiły własność Skarbu Państwa, o tyle budową magazynów i innych przedsiębiorstw interesowały się również przedsiębiorstwa prywatne. Państwo nie było temu przeciwnie. Chodziło jedynie o formę prawną i warunki, na jakich wzniesione być miały tego rodzaju obiekty, jak: elewatory, chłodnie, dojrzewalnie owoców południowych, „Pantarei”, „Cukroport” itp.

We współpracy z Oddziałem Prokuraturii Generalnej znalezione zostały odpowiednie rozwiązania w formie tzw. wieczystego prawa zabudowy<sup>k)</sup>, pozwalające na szybkie zagospodarowanie portu.

Nie wymieniam tu szczegółowo różnych spraw związanych ze zderzeniami statków, utknięciem statków obcych na ławicach piasku znajdujących się w niedostatecznie jeszcze pogłębionych basenach portowych itp., które mnożyły się w miarę jak port w Gdyni osiągał rangę największego portu w basenie Morza Bałtyckiego.

W latach 1929–1933 przeżywaliśmy wraz z innymi krajami głęboki kryzys gospodarczy. Ogłaszały upadłości liczne przedsiębiorstwa prywatne, spadała produkcja przemysłowa i rolna, rosły rzesze bezrobotnych, malały dochody państwowe i komunalne, a rosły wydatki na różnego rodzaju świadczenia społeczne i gospodarcze.

W tej sytuacji rząd podejmował różnorakie kroki interwencyjne, mające na celu opamiętanie kryzysu i ożywienie życia gospodarczego. Jedne z tych kroków dotyczyły rolnictwa. Chodziło tu z jednej strony o moratorium dla zobowiązań rolniczych, z drugiej zaś o oddłużenie rolnictwa, czyli zredukowanie zobowiązań i rozłożenie ich płatności na dłuższe okresy.

Drugie posunięcia zmierzały do zmniejszenia bezrobocia przez uruchomienie nieczynnych zakładów przemysłowych. Następowало to albo przez przejmowanie przez państwo najpoważniejszych upadłych przedsiębiorstw prywatnych, względnie przez przejmowanie części lub całości udziałów i akcji w tych przedsiębiorstwach za zaległe należności podatkowe, składki z tytułu ubezpieczeń społecznych, kredytów banków państwowych itp., albo też przez udzielanie nowych kredytów na podejmowanie produkcji przez przedsiębiorstwa mniejsze.

W tym celu zniesiony został istniejący dotąd Fundusz Bezrobocia, a w jego miejsce powołany został Fundusz Pracy. Zamiast wypłacać zasiłki z tytułu bezrobocia, postanowiono stworzyć bezrobotnym możliwości zatrudnienia.

Okres kryzysu stwarzał dla Prokuraturii Generalnej nowy zakres zadań. Chodziło o możliwie najlepsze zabezpieczenie wiarytelności państwowych w licznych wypadkach upadłości i tzw. postępowaniach układowych oraz o opracowanie warunków i form zabezpieczenia prawnego nowych środków finansowych angażowanych przez państwo i banki państwowe. Spośród wielu innych, pragnę wspomnieć jedynie o dwóch tego rodzaju sprawach, z którymi miałem osobiście do czynienia.

---

<sup>k)</sup> Wg kodeksu cywilnego z 1964 r. instytucja taka nazywa się obecnie „użytkowanie wieczyste”.

Jedną ze spraw dotyczyła pomocy finansowej państwa dla umożliwienia podjęcia produkcji przez unieruchomioną Fabrykę Fajansów Stanisława Mańczaka w Chodzieży. Od uruchomienia jej zależały losy połowy mieszkańców tego miasta. Druga sprawa odnosiła się do największych w Polsce Zakładów Ceramicznych Krotoszyn i Przysieka Sp. Akc. Nie ze swej winy Zakłady te zgłosiły wniosek o otwarciu upadłości i zaprzestały produkcji. Wskutek tego setki rodzin pozostały bez pracy i bez środków do życia. Postanowiono uchylić upadłość Spółki Akcyjnej i Zakłady uruchomić. Potrzebne były w tym celu wielomilionowe kredyty, których udzielić miał Bank Gospodarstwa Krajowego. Ponieważ rzeczowe zabezpieczenie tych kredytów było wobec poprzedniego zadłużenia mało realne, Bank zamierzał ustanowić w przedsiębiorstwie swego komisarza. Uzgodnione wreszcie zostało, że rolę komisarza pełnić będzie prezes Rady Nadzorczej, którego kandydaturę Bank Gospodarstwa Krajowego uzgodni ze Spółką. Wybór Banku padł na moją osobę w tym przekonaniu, że jako pracownik Prokuratury Generalnej daję gwarancję, iż będę należycie strzegł interesów Banku i interesu publicznego w ogólności.

Byłem tą propozycją zaskoczony a jednocześnie zaniepokojony. Zdawałem sobie sprawę z trudności, na jakie będę narażony przy pełnieniu pod formą przewodzenia Radzie Nadzorczej funkcji komisarza Banku.

Jasne też było, że podjęcie się tej nowej funkcji – przy moich zajęciach w Prokuraturze Generalnej, w Uniwersytecie i przy likwidacji Deutsche Mittelstandskasse – odbije się na mojej pracy naukowej i tempie przygotowania pracy habilitacyjnej. Potraktowałem jednak sprawę jako nową, interesującą przygodę i jako sposobność sprawdzenia swej zdolności do kierowania sprawami gospodarczymi. Wyraziłem zgodę na wybranie mnie prezesem Rady Nadzorczej Spółki Akcyjnej Krotoszyn-Przysieka, będącej holdingiem, a jednocześnie prezesem dwóch spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, w formie których zorganizowane były Zakłady w Krotoszynie i Przysiece Starej w powiecie kościańskim. Udziały w nich należały w całości do Spółki Akcyjnej.

Był rok 1933. Liczyłem wówczas 29 lat. Każdy z członków Zarządu i Rad Nadzorczych tych spółek był ode mnie przeważnie dwukrotnie starszy. Każdy z nich reprezentował nie tylko umiejętności fachowe, ale i znacznie większe niż ja doświadczenie życiowe. A mimo to umiałem zdobyć sobie wśród nich nie tylko należyty autorytet i posłuch, ale i pełne zaufanie. Funkcje swe sprawowałem do wybuchu wojny.

Członkami Rad Nadzorczych byli właściciele akcji. Myśleli oni, że uruchomienie fabryki i im znacznie przynosić dochody. Ja tymczasem reprezentowałem pogląd, że pierwszą sprawą jest danie zatrudnienia załodze, a następnie wywiązywanie się z zobowiązań wobec Banku Gospodarstwa Krajowego oraz – choć częściowa – spłata poprzednich długów. Dlatego też nie dopuściłem do pobierania przez akcjonariuszów jakichkolwiek dywidend. Sam świeciłem przykładem – nie pobierając gotówką należnego mi wynagrodzenia, które było jedynie ewidencjonowane księgowo w formie narastającej wierzytelności.

Tego rodzaju surowa dyscyplina finansowa umożliwiła przewyciężenie trudności związanych z utrzymaniem w ruchu obu zakładów i rozwojem – mimo ostrej konkurencji – coraz bardziej wartościowej produkcji (klinkiery budowlane i drogowe, cegły kanalizacyjne i tzw. licówki).

Współpraca z Bankiem układała się doskonale. W zaufaniu do mnie Bank finansował coroczną produkcję pożyczkami w granicach od 3 do 5 milionów złotych. Odbywało się to zgodnie z moją propozycją w ten sposób, że Bank pokrywał nasze bieżące wy-



datki produkcyjne, natomiast otrzymywał wpływy wprost od naszych odbiorców na zasadzie winkulowanych<sup>1)</sup> na rzecz Banku faktur. Podobnie prostą metodę stosowały banki w bezpośrednim okresie powojennym w stosunku do przedsiębiorstw uspołecz-nionych.

Gdy z końcem pierwszego roku gospodarczego wpływy uzyskane za towar pokryły kwotę udzielonego kredytu, nie mieliśmy już żadnych trudności z otrzymaniem stale rosnących środków finansowych na lata następne.

Ze spłatą starych długów szło znacznie trudniej. Z pełną sanacją finansową Spółki można się było liczyć dopiero po upływie 10–12 lat. Tymczasem pracę naszą przerwała wojna. Po jej zakończeniu obydwie fabryki zostały znacjonalizowane i znalazły się w znacznie łatwiejszych warunkach.

Okres pracy w Prokuraturii Generalnej był dla mnie niezwykle owocnym. Zapozna-łem się w tym czasie wszechstronnie z praktyką adwokacką, sądową i gospodarczą. Miałem też wyjątkową sposobność bezpośredniego zetknięcia się ze sprawami, które pozwoliły mi nawiązać szerokie kontakty z najwyższymi organami i centralnymi insty-tucjami państwowymi i wniknąć w mechanizm ówczesnych stosunków administracyj-nych, gospodarczych i prawnych. Wyniesiony z tego okresu kapitał doświadczenia – procentuje do dziś.

Praca w Prokuraturii Generalnej, nastawiona na ochronę prawną interesów gospo-darczych państwa, była dla mnie dobrym pomostem dla zrozumienia i akceptowania zasad gospodarki uspołecznionej w Polsce Ludowej. Strona prawna tej gospodarki stała się też w okresie powojennym głównym przedmiotem moich zainteresowań naukowych.

---

<sup>1)</sup> Winkulacja – zabezpieczenie należności banku na towarze lub pieniądzu będącym w drodze.

## ROZDZIAŁ IX

## WYJAZDY NAUKOWE DO FRANCJI I NIEMIEC

W lecie 1928 r., bez jakichkolwiek starań z mojej strony, dowiedziałem się, że otrzymałem z Funduszu Kultury Narodowej przy Radzie Ministrów 10-miesięczne stypendium naukowe na wyjazd do Francji celem wykończenia pracy doktorskiej.

Jak się domyślałem, inicjatorem wniosku uchwalonego przez Radę Wydziału był prof. Alfred Ohanowicz. Takie samo stypendium otrzymał równocześnie doktorant prof. Józefa Bossowskiego i mój kolega, Tadeusz Kuczma.

Perspektywa wyjazdu do Paryża była niezwykle pociągająca. Miałem po raz pierwszy znaleźć się poza granicami Polski i radzić sobie z posiadaną znajomością języków obcych. Byłem pewny, że zdołam na miejscu nawiązać konieczne kontakty naukowe oraz zdobyć potrzebne mi materiały. Wysokość stypendium była zupełnie wystarczająca. Wynosiło ono 500 zł, to jest około 100 dolarów miesięcznie. W sprawie tego stypendium zgłosiłem się do znanego z życzliwości dyrektora Funduszu Kultury Narodowej p. Stanisława Michalskiego, urzędującego w bocznym skrzydle Pałacu Rady Ministrów. Przy tej okazji oświadczyłem, że jako niedoświadczony młodzieniec będę w Paryżu niewątpliwie narażony na nieprzewidziane wpadunki i wydatki, na które nie znajdę w przyznanym mi stypendium dostatecznego pokrycia. Uwaga ta tak ubawiła zanego dyrektora, że z miejsca podwyższył mi przewidzianą poprzednio sumę 5000 zł o dalsze 500 zł. Tę ostatnią kwotę razem z zaliczką na koszty przejazdu otrzymałem od razu do ręki, resztę zaś zleciłem przekazać na moje konto w Crédit Lyonnais. Tak się też stało. Po przybyciu do Paryża zgłosiłem się do centrali tego banku celem załatwienia formalności związanych z otwarciem konta czekowego i otrzymaniem książeczki czekowej.

W Poznaniu otrzymałem bez jakichkolwiek dalszych formalności, na podstawie przedłożonego zaświadczenia o przyznaniu mi stypendium, bezpłatny paszport zagraniczny. Paszporty takie wystawiały wówczas starostwa powiatowe, a w Poznaniu Starostwo Grodzkie.

W związku z wyjazdem otrzymałem bezpłatny urlop w Prokuraturii Generalnej oraz zrezygnowałem ze stanowiska asystenta przy Seminarium Cywilistycznym. Rozstać się też musiałem z zajmowanym od niedawna ładnym pokojem przy ul. Różanej oraz z różnymi zajęciami dochodowymi. Zdawałem sobie sprawę, że po powrocie do kraju zdany będę przez dłuższy czas na cienką pensję aplikanta (210 zł miesięcznie) oraz na poszukiwanie nowego pokoju, o który bynajmniej nie było łatwo. Jednak, jak zawsze, pełen optymizmu wierzyłem, że po powrocie do Poznania znowu wszystko ułoży się pomyślnie.

Pociąg pośpieszny kursujący na trasie Niegorełoję – Warszawa – Paryż odjeżdżał z Poznania około godz. 4 rano. Przybywał do Paryża następnego dnia około godz. 8. Podróż trwała więc 28 godzin. Koszt przejazdu klasą III wynosił 132 zł. Wszystkie te

szczególony utkwily mi dobrze w pamieci. Pamietam tez, ze podroz odbywalem pozna jesienia. Bylo ciemno, chlodno, deszczowo. Nie odczuwalem tego, obserwujac przez caly dzien tereny niemieckie, nawiazujac rozmowy ze zmieniajacymi sie wspolpasazerami. Byli uprzejmi, chetnie udzielali mi roznych wyjasnień. Kiedy pociąg zatrzymal sie poznym wieczorem w Kolonii – zostalem w przedziale sam. Wtedy zjawila sie grupa marynarzy niemieckich z Bremy udajaca sie do St. Nazaire po odbior budowanego tam dla armatora niemieckiego statku handlowego. Okazali sie milymi towarzyszami podrozy az do samego Paryza. Musialem uczestniczyc w urzadzonej przez nich kolacji i wychylic kilka kieliszkow. Przysluchiwalem sie z najwyzszym zaciekawieniem ich opowieściom o przygodach morskich. Początkowo niewiele z tego rozumialem, gdyz poslugiwali sie dialektem *plattdeutsch*<sup>a)</sup>. Potem dopiero starali sie mowic bardziej dla mnie zrozumialym czystym jezykiem niemieckim.

Widzac, ze jestem zmeczony calodzienna podroza, zrobili mi ze swoich kocow polsanie, na ktorym zaraz po ulozeniu sie zasnałem.

Po pewnym czasie zostalem obudzony. Pociąg stal na jakiejś stacji. W wagonie, czy tez w calym pociągu zgaslo swiatlo, a pasazerowie wzród glosnych nawolywan musieli opuszczac wagony i ustawiac sie na peronie. Bylem oszolomiony przerwanym snem i halasem. Zrozumialem jednak, ze znajdujemy sie na granicznej stacji niemiecko-belgijskiej i ze z powodu braku swiatla w wagonach kontrola paszportowa odbywa sie na oswietlonym peronie. Opuścilem wiec wagon w wielkim pośpiechu w niezasznurowanych bucikach i bez krawatu. Chodzilo mi o to, abym przed odjazdem pociągu zdołal wykupic tranzytowa wizę belgijska, ktorej nie posiadalem i ktora – jak mi mowiono – otrzymuje sie na granicy belgijskiej w pociągu przy okazji kontroli paszportowej. Mimo wielkiego zamieszania i zdenerwowania wywołanego m.in. panujacym na peronie przejmujacym zimnem – wszystkie formalności udalo mi sie zalatwic i wrócic do cieplego wagonu. Odprawa paszportowa i celna na granicy belgijsko-francuskiej odbyła sie juz mimo braku swiatla w wagonie i nie spowodowała zadnego zamieszania.

O przewidzianej rozkladem jazdy porze pociąg zatrzymal sie na Gare du Nord. Paryz przywital mnie nieprzyjemnym, mrocznym i dzdzystym porankiem. Na peronach zgiełkliwy ruch. Zmeczony podroza i niewyspany poczułem sie zagubiony w tym ruchu. Poprosilem wiec bagazowego o zabranie moich dwóch dość ciężkich walizek i doprowadzenie mnie do postoju taksowek. Okazalo sie, ze bylo to calkiem blisko. Zapytalem bagazowego, ile mu jestem winien. – „Piec frankow”. Poniewaz najmniejsza jednostka pieniezna, jaka rozporzadzalem byl banknot 10-frankowy, wręcylem go bagazowemu proszac o zwrot 5 frankow. Oswiadczył, ze nie ma drobnych. To samo oswiadczylo zgodnie kilkunastu stojacych przed dworcem taksowkarzy. Pożegnalem sie wiec z moimi pięcioma frankami. Zapamietalem jednak otrzymana nauczke i nie tylko przez caly czas pobytu we Francji, ale rowniez i w kraju pilnie uvažalem na to, aby nie znalezc sie w podobnej sytuacji i nie byc nabranym. Wiadomo bowiem, ze podobnych typow nigdzie nie brak.

Taksowkarz zawiozl mnie do jakiegoś malego, dosyc obskurnego, ale niedrogiogo hoteliku w Quartier Latin<sup>b)</sup>. Stanowil on dla mnie tymczasowy punkt oparcia, ulatwiajacy mi zorientowanie sie w sytuacji. Wkrótce urzadzilem sie w wygodnym i dobrze ogrzanym pensjonacie w poblizu Uniwersytetu, gdzie przebylem najciezszy okres mro-

a) Plattdeutsch – dolnoniemiecki.

b) Dzielnicy Łacińskiej.

zów, jakie w pierwszych miesiącach 1929 r. szalały w całej Europie, a szczególnie przykro dawały się odczuć we Francji i innych krajach nie przywykłych do tak niskich temperatur. Gazety paryskie codziennie przynosiły wiadomości o zamrażnięciach pewnej liczby osób na ulicach miasta.

Pensjonat był dla mnie *à la longue* za drogi. Toteż skoro tylko opróżnił się pokój w polskim ośrodku dla stypendystów przy ul. Lamandé, bezzwłocznie się tam ulokowałem aż do końca mojego pobytu w Paryżu.

Wyjazd do Francji jak najbardziej odpowiadał moim ówczesnym marzeniom i zainteresowaniom. Wyniesiona ze szkoły średniej i lektury dość dobra znajomość języka francuskiego, literatury i historii czyniła mi ten kraj bliskim. Miałem przeświadczenie, że będę się tam czuł dobrze i że ze swego pobytu będę mógł odnieść wielostronne korzyści.

Francja to uroczo położony w Europie kraj wielkich historycznych tradycji, kraj rzetelnej pracy, nagromadzonego bogactwa i wyrafinowanej kultury, kraj wolności i postępu. Przez wieki francuski styl życia państwowego, dworskiego i prywatnego był naśladowany w wielu krajach. W wieku XVIII i XIX język francuski znajdował powszechne zastosowanie w codziennym życiu wyższych sfer we wszystkich krajach europejskich. Posługiwano się nim w równym stopniu na dworach w Warszawie, Petersburgu, Berlinie, czy Wiedniu.

Stał się też uniwersalnym językiem dyplomatycznym. Literatura francuska docierała do wszystkich krańców świata. Dziesiątki tysięcy Francuzów i Francuzek znajdowało zajęcia jako nauczyciele języka, guwernantki do dzieci, damy do towarzystwa itp.

Paryż stawał się z biegiem czasu centrum politycznym i intelektualnym świata, stolicą teatru i mody. Atmosfera szerokiej wolności politycznej i intelektualnej sprawiała, że mogły się tu rodzić i intensywnie rozwijać nowe idee i prądy w dziedzinie nauki, literatury, sztuki oraz polityki.

Zwycięstwo nad Niemcami osiągnięte w 1918 r. głównie dzięki bohaterstwu i największej ofiarności narodu francuskiego, podniosło wysoko polityczny prestiż Francji. Stała się ona naturalną orędowniczką i protektorką nowych państw europejskich, powstałych lub odrodzonych w wyniku rozpadnięcia się monarchii austro-węgierskiej, klęski Niemiec i upadku caratu (Polska, Jugosławia, Czechosłowacja oraz Rumunia). System sojuszków z tymi państwami umacniał pozycję polityczną i militarną Francji na wypadek konfliktu z pokonanymi, lecz nadal niebezpiecznymi Niemcami.

Pierwsza wojna światowa wykazała jednak w całej jaskrawości, że w skali światowej coraz silniej ugruntowuje się przewaga krajów anglosaskich, zwłaszcza USA, w dziedzinie gospodarczej i finansowej, militarnej, a więc i politycznej. Zaczęły one przeciwdziałać umacnianiu się francuskiej hegemonii politycznej w Europie, co wyrażało się w różnorodnych pociągnięciach na terenie Ligi Narodów, wywieraniu nacisku w kierunku rezygnacji przez Francję z reparacji szkód wojennych, do których zobowiązane były Niemcy itp. Chodziło o pozbawienie Francji owoców zwycięstwa i utrzymanie w powojennej Europie takiego układu sił, w którym mało przychylnym Francji krajom anglosaskim przypadłaby rola arbitrów.

W czasie mego pobytu w Paryżu mogłem obserwować nacisk państw anglosaskich na Francję w związku z przeforsowywaniem tzw. Planu Younga. Pertraktacje w tej sprawie odbywały się właśnie w Paryżu, a prasa codzienna relacjonowała dość dokładnie o ich dramatycznym przebiegu.

Niezależnie od takich czy innych tarć oraz sprzeczności interesów między państwami byłej koalicji, Francja lat dwudziestych przeżywała swój wielki okres prosperity w sensie politycznym, gospodarczym i kulturalnym. Napływały do niej miliony ludzi z całego świata. Jedni przybywali w celach handlowych, inni dla odbycia studiów, doskonalenia wiedzy zawodowej oraz w celach zarobkowych. Przeżywała też Francja nie notowany w tym zakresie w innych krajach napływ turystów, głównie z krajów anglosaskich. Obliczano, że w samym Paryżu codziennie przebywało ponad milion cudzoziemców.

Związki Polski z Francją miały i mają specjalny charakter. Oba kraje łączyły od wieków stosunki polityczne, kulturalne i osobiste. Idee głoszone nad Sekwaną w dobie oświecenia i hasła realizowane w czasie Rewolucji znajdowały szerokie echa nad Wisłą. Wzięliśmy czynny udział w epopei napoleońskiej, wiążąc z nią losy narodu i państwa. Do Francji kierowały się w okresie zaborów i znajdowały tu schronienie liczne rzesze polskich uchodźców politycznych – od upadku powstania listopadowego aż po I wojnę światową.

W okresie zaborów idea odbudowy państwa polskiego znajdowała we Francji największy oddźwięk. Mogli się tu spotykać przywódcy polskich tajnych organizacji niepodległościowych. Mógł też w ostatnich latach I wojny światowej rozwinąć tu żywą działalność oficjalnie uznany Polski Komitet Narodowy.

Francja stała się, obok USA, największym rzecznikiem interesów polskich podczas konferencji pokojowej i w latach następnych. W 1919 r. zawarty został między Polską a Francją sojusz polityczny i wojskowy. Do Francji skierowała się w okresie bezpośrednio powojennym liczna emigracja zarobkowa. W czasie mego pobytu w Paryżu w roku 1928/29 liczyła ona około jednego miliona osób, osiadłych głównie w okręgu górniczym na północy Francji.

Jeżeli do tego uwzględnimy okoliczność, że w dużej części naszego kraju – w b. Królestwie Kongresowym – obowiązywały nadal wprowadzone tu w 1808 r. francuskie kodeksy cywilny i handlowy, że nasza Konstytucja z 17 marca 1921 r. oparta była na wzorze francuskim, staje się rzeczą jasną, że w latach dwudziestych Francja uważana była za najlepszego naszego sojusznika i przyjaciela, i cieszyła się w Polsce dużą popularnością.

W programach szkół średnich język francuski wyparł niemal zupełnie naukę języka niemieckiego. Tym samym związano naszą inteligencję z myślą, literaturą i kulturą francuską. Do Francji też kierowano wówczas na dalsze studia znakomitą większość młodych naukowców.

Opiekunem przybywających do Francji polskich stypendystów naukowych i artystycznych, jako specjalny delegat Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, był chyba przez cały okres międzywojenny stale osiadły w Paryżu profesor Zygmunt Zaleski, polonista, wykładowca literatury polskiej na Uniwersytecie Paryskim, brat czynnego wówczas na naszym Wydziale profesora ekonomii politycznej, Stefana Zaleskiego.

Stosownie do otrzymanej instrukcji, zgłosiłem się do prof. Zaleskiego w jego mieszkaniu prywatnym celem zarejestrowania mojego przybycia do Paryża. Poinformowałem go o własnym planie naukowym, prosząc o potrzebne mi informacje i pomoc w nawiązaniu stosunków z Wydziałem Prawa, biblioteką tego Wydziału oraz z Bibliothéque

Nationale. Uczynił wszystko z największą uprzejmością i życzliwością. Zarejestrował moją kandydaturę na pokój w Ośrodku Polskim przy ul. Lamandé, który to pokój rzeczywiście po dwóch miesiącach otrzymałem. Ułatwił mi nawiązanie stosunków z Ambasadą, z Institut International de Coopération Intellectuelle oraz z szeregiem interesujących osób ze świata naukowego i artystycznego.

Państwo Zalescy urządzali co drugą niedzielę skromne herbatki, na których pojawiali się – poza Polakami – również Francuzi. Herbatki te dawały sposobność wymiany informacji i poglądów w miłej atmosferze, stwarzanej zarówno przez pana, jak i panią domu – z zawodu lekarkę. Korzystając ze stałego zaproszenia, brałem w tych spotkaniach i dyskusjach często udział.

Miejscem spotkań na szeroką skalę była Ambasada Polska, mająca wówczas swą siedzibę w pięknym pałacyku przy rue de Tokyo. Jak wiadomo, pierwszym ambasadorem Polski w Paryżu był przez szereg lat Maurycy Zamoyski. Po nim tę najważniejszą z punktu widzenia interesów polskich placówkę dyplomatyczną powierzono dr. Alfredowi Chłapowskiemu, wybitnemu przedstawicielowi ziemiaństwa wielkopolskiego, byłemu ministrowi rolnictwa. Podobnie jak i jego poprzednik, również Alfred Chłapowski starał się nadać naszej Ambasadzie najwyższą rangę. Niewątpliwie też Ambasada ta cieszyła się w tym czasie chyba największą popularnością wśród wszystkich innych placówek dyplomatycznych.

Poza przyjęciami oficjalnymi, w Ambasadzie odbywały się regularnie przyjęcia (*jeux fixes*), na których spotkać było można setki osób ze sfer politycznych, dyplomatycznych, wojskowych, gospodarczych, naukowych, artystycznych, dziennikarskich i tzw. towarzyskich – po prostu *tout Paris*. Miałem stałe zaproszenie na te regularne przyjęcia i wielokrotnie z nich korzystałem. Pomijając znakomitą kuchnię i dobre wina, interesowały mnie przede wszystkim spotykane tam znakomitości: urzędujący ministrowie, senatorowie, deputowani, generałowie, redaktorzy, których nie miałem sposobności nigdzie indziej z bliska oglądać, względnie z nimi się zetknąć.

Czy taka wystawna forma reprezentacji była wskazana i konieczna? Trudno na to jednoznacznie odpowiedzieć. Wydaje mi się, że Polska ówczesna – jako państwo nowo odbudowane – musiała dopiero w pewnym stopniu wprowadzać się w społeczność międzynarodową, musiała afirmować swą obecność, informować stale zagranicę o swej przeszłości i teraźniejszości, o swym dorobku w dziedzinie nauki, kultury, swych możliwościach gospodarczych i swej roli w powojennej Europie.

Rolą ówczesnej dyplomacji była walka z wrogą propagandą tych państw i organizacji, którym odbudowa państwa polskiego była solą w oku. Dyplomacja polska starała się więc zyskiwać przyjaciół, zabiegać o poparcie osób mniej lub więcej miarodajnych, a poprzez prasę urabiać opinię publiczną w sensie dla nas korzystnym. Wiadomo, że na świecie, a zwłaszcza w Paryżu, niczego nie osiąga się za darmo. Najmniejsza wzmianka w gazetach o naszym kraju musiała wówczas być słono opłacana. Toteż urządzone przez Ambasadę częste przyjęcia dla licznie zapraszanych gości stanowiły chyba nie najkosztowniejszą, a niejednokrotnie bardzo skuteczną formę propagandy, formę zdobywania sympatii dla naszego kraju.

We Francji dobra kuchnia jest w wysokiej cenie i wiele nią można osiągnąć!

Koszty reprezentacji utrzymywanej na poziomie zainaugurowanym przez Maurycego Zamoyskiego i kontynuowanym przez Alfreda Chłapowskiego przekraczały znacznie środki budżetowe. Podobnie jak wielu ambasadatorów obcych, również i nasi pierwsi ambasadrowie w Paryżu zmuszeni byli do swych stanowisk grubo dopłacać. Toteż

kiedy Zamoyski opuszczał Ambasadę był tak zadłużony, że ogromna, ale fatalnie pod jego wieloletnią nieobecność administrowana ordynacja, stanęła w obliczu katastrofy. O ile było mi wiadomym, zadłużenie ordynata osiągnęło kolosalną kwotę 110 milionów złotych. Na mocy specjalnej ustawy wszystkie zobowiązania pieniężne Zamoyskiego skupił Państwowy Bank Rolny, przejmując w zamian na cele parcelacji lwią część majątków rolnych ordynacji.

Aż do 1929 r. dochody Alfreda Chłapowskiego, czerpane z doskonale prowadzonych majątków rolnych prawdopodobnie wystarczały na reprezentację w Paryżu. Załamanie się finansowe nastąpiło dopiero po 1929 r., a więc po moim powrocie do kraju, w okresie znanego światowego kryzysu gospodarczego i gwałtownego spadku cen na produkty rolne. Nie uratowała sytuacji sprzedaż dwóch majątków rodowych w powiecie średzkim (Chłapowo i Giecz). Zadłużenie Chłapowskiego przerastało wartość rozległych dóbr bonikowskich (pow. Kościan). Od licytacyjnej ich sprzedaży ochroniły Chłapowskiego ówczesne przepisy oddłużeniowe.

Ostatni raz widziałem go w 1938 r. w Poznaniu. Był już emerytowanym ambasadorem. Emerytura stanowiła, praktycznie biorąc, jedyne źródło jego ówczesnych dochodów.

Z wdzięcznością wspominam życzliwość i ciepłe przyjęcie, jakiego doznałem ze strony ambasadora Chłapowskiego i jego uroczej małżonki. Ambasador interesował się osobiście losami polskich naukowców i stypendystów. Stwarzał im serdeczną atmosferę na terenie Ambasady i ułatwiał nawiązywanie stosunków z różnymi instytucjami. Użytkowałem od niego osobisty list do dyrektora Bibliothèque Nationale o wydanie mi karty wstępu i umożliwienie korzystania z księgozbioru.

Na terenie Ambasady odbywały się zebrania naukowo-dyskusyjne, którym przewodniczył albo sam ambasador, albo w jego zastępstwie radca Ambasady Arciszewski. Na jednym z takich zebrań wygłosiłem referat o plagiacie literackim. Temat łączył się z ówczesnymi moimi zainteresowaniami prawem autorskim.

Po załatwieniu formalności w Dziekanacie Wydziału Prawa otrzymałem odpowiednie zaświadczenie upoważniające mnie do przebywania na terenie Wydziału, uczestniczenia w wykładach i seminariach oraz korzystania z biblioteki i czytelnicy wydziałowej. W pierwszym okresie chodziłem na rozmaite wykłady, aby poznać sposób ich prowadzenia przez różnych profesorów, obserwować frekwencję i zachowanie się słuchaczy oraz obsłuchać się językowo. Oczywiście wrażenia były niejednolite. Niektórzy profesorowie prowadzili wykłady w sposób górnolotny i patetyczny. Jeden z nich – historyk prawa francuskiego – starał się nie tylko umocnić u słuchaczy poczucie dumy z osiągnięć geniuszu francuskiego (*gesta Dei per Francos!*<sup>c)</sup>), ale i podsycać w nich naturalną skłonność do megalomanii narodowej. Toteż co chwila sala przyjmowała oklaskami kwieciste sformułowania, choć tylko niewielu notowało samą ich treść.

Na jednym z wykładów ze zgrozą zauważyłem, że słuchacze dla zabawy zaczęli obrzucać się na sali wykładowej skórkami pomarańczowymi. Wykładowca udawał, że tego nie zauważył. Kiedy jednak skórki zaczęły padać na katedrę, a nawet na niego samego – oburzony przerwał wykład i opuścił salę. Wtedy kilku ze słuchaczy pobiegło za nim i z wielkim szacunkiem wprowadziło go na katedrę. Przywitano go gorącymi oklaskami, lecz po chwili bombardowanie skórkami rozpoczęło się na nowo. Profesor ponownie

<sup>c)</sup> *Gesta Dei per Francos* – *lac.* Dzieła Boga przez Franków (dokonane).

opuścił salę i ponownie na nią powrócił. Pomyślałem sobie wtedy, że studenci polscy, mimo stałych narzekań na nich, są – w porównaniu ze swymi zbytnio rozbrykanymi kolegami z Zachodu – nie tylko potulnymi barankami, ale i wzorami dobrego wychowania.

Najwybitniejszym ówczesnym cywilistą francuskim był profesor Henri Capitant. Dzieła jego (*Wstęp do nauki prawa cywilnego* i *De la cause des obligations*) były dobrze znane cywilistom polskim. Na Wydziale był on jednak nieuchwytny. Nie przypominam sobie, czy w 1928/29 r. prowadził w ogóle jakieś zajęcia. Nigdy też nie miałem okazji spotkania go.

W Poznaniu byłem na wykładzie drugiego znanego cywilisty paryskiego – niezwykle wytwornego Juliot de la Morandière. Ale i do niego nie udało mi się w Paryżu dotrzeć. Za to uczestniczyłem w kilkunastu wykładach i ćwiczeniach prowadzonych przez profesora Josepha Hémarda. Był to typowy egzegeta. Zajęcia swe prowadził w sposób nieciekawy, a nawet wprost nudny. Toteż prowadzonego przez niego kursowego wykładu z prawa cywilnego słuchała tylko garstka studentów. Mimo imponującej erudycji prof. Hémarda, wykład jego przeładowany był szczegółami i nie dawał ogólniejszego spojrzenia na sens społeczno-gospodarczy omawianych przepisów kodeksu cywilnego.

Ponieważ moim głównym celem pobytu w Paryżu było zebranie materiałów do pracy doktorskiej o umowie wydawniczej, przeto po ogólnym zapoznaniu się z działalnością Wydziału Prawa postanowiłem cały swój wysiłek skoncentrować na pracy w bibliotekach.

W bibliotece Wydziału Prawa, a następnie w Bibliotece Narodowej znalazłem potrzebny mi materiał ustawodawczy i całość literatury oraz orzecznictwa odnoszących się do ochrony twórczości intelektualnej w ogólności, a prawa autorskiego i umowy wydawniczej w szczególności. Istotne dla mnie znaczenie miały, niedostępne w kraju, materiały historyczne, obrazujące warunki i proces kształtowania się we Francji w ciągu XVIII w. – a zwłaszcza w okresie Rewolucji – zasad i norm prawnych, na jakich opiera się dziś cały światowy system ochrony twórczości intelektualnej. Do sprawy tej tak się zapaliłem, że wszcząłem poszukiwania u nadsekwańskich bukinistów niespotykanych już w księgarniach dawnych zbiorów przepisów i opracowań z końca XVIII i początku XIX w. Udało mi się zgromadzić i skompletować około 30 tomów tych niezwykle interesujących materiałów. Kiedy po powrocie do kraju posłałem ich wykaz profesorowi Zollowi, ten pogratulował mi tego jedyne w Polsce zbioru. Niestety przepadł on razem z całą moją prywatną biblioteką w czasie wojny 1939–1945 r.

Poza materiałem prawnym starałem się zebrać jak najwięcej informacji dotyczących praktyki zawierania i wykonywania umów wydawniczych. Próby uzyskania takich informacji w znanych francuskich firmach wydawniczych nie dały pożądaných rezultatów. Zbyto mnie ogólnikami, zasłaniając się tajemnicą handlową. Przeprowadzone rozmowy potwierdziły jedynie fakty skądinąd znane mi na podstawie informacji uzyskanych w Polsce. Dużo materiału informacyjnego znalazłem też w pracy angielskiego wydawcy Unwina, odsłaniającej kulisy działalności przedsiębiorstw wydawniczych. Pracę Unwina w tłumaczeniu niemieckim sprowadziłem już poprzednio do biblioteki Seminarium Cywilistycznego.

Śledząc historyczny rozwój ochrony prawnej twórczości intelektualnej, zainteresowałem się dyskutowanym w owym czasie problemem zabezpieczenia ochrony prawnej odkryciom naukowym. Dla zbadania tego problemu i przedstawienia odpowiednich



propozycji Liga Narodów powołała specjalny Międzynarodowy Komitet pod przewodnictwem Marii Curie-Skłodowskiej. Komitet opracował ankietę skierowaną do czołowych naukowców różnych krajów – głównie przedstawicieli nauk matematyczno-przyrodniczych, technicznych i medycznych. Podstawowe pytanie ankiety dotyczyło stanowiska adresata co do celowości i potrzeby zabezpieczenia uczonym – odkrywcom nowych prawd naukowych – monopolu w zakresie wykorzystywania ich odkryć w praktyce gospodarczej.

Cały zebrany materiał ankietowy znajdował się w Institut International de la Coopération Intellectuelle. Zdaje mi się, że na terenie Ambasady poznałem polskiego pracownika naukowego tego Instytutu, dr. Mirosława Gąsiorowskiego. Korzystając z jego życzliwości i pomocy uzyskałem wstęp do Instytutu, gdzie w ciągu szeregu dni przestudiowałem nie tylko wspomniany materiał ankietowy, ale zapoznałem się też z szeregiem nieznanymi mi opracowań naukowych na te tematy.

Miałem zamiar zagadnieniu ochrony odkryć naukowych po przyjeździe do Polski poświęcić specjalną pracę. Uzyskałem z Instytutu komplet materiałów. Było tego kilka skrzyń. Wysłałem je do Poznania. Jednakże do czasu wybuchu wojny nie miałem czasu na wykorzystanie tych materiałów. W czasie wojny podzieliły one – wraz z moimi notatkami – los całej mojej biblioteki. Mam nadzieję, że zbiory Instytutu Kooperacji Intelktualnej (nie wiem, czy istnieje on nadal) gdzieś się w Paryżu zachowały i są dla zainteresowanych naukowców dostępne. Osobiście mogę jedynie stwierdzić, że ankieta dała o tyle interesujące wyniki, że zobrazowała odmienną sytuację uczonych w krajach o wysoko rozwiniętej gospodarce, od sytuacji uczonych w krajach mało uprzemysłowionych. Zainteresowanie ewentualną ochroną odkryć wykazali jedynie uczeni z krajów biednych i gospodarczo zacofanych, podczas gdy ich koledzy z krajów wysoko rozwiniętych z reguły oświadczyli, że nie są w ogóle zainteresowani ewentualnymi dochodami z racji dokonanych odkryć naukowych. Wypowiadali się oni zdecydowanie przeciwko idei ewentualnego monopolizowania odkryć naukowych, stanowiących – ich zdaniem – dobro publiczne całej ludzkości. Stwierdzili, że w ich krajach wybitni specjaliści mają stworzone przez wielki przemysł takie laboratoria i warunki pracy naukowej oraz tak wielkie możliwości zarobkowe, że perspektywa dodatkowych dochodów z racji wykorzystania w pracy ich nie podlegających opatentowaniu odkryć naukowych – zupełnie ich nie interesuje. Warto zauważyć, że do dziś w żadnym kraju odkrycia naukowe, jeżeli nie mają równocześnie cech wynalazków, nie podlegają opatentowaniu i monopolizacji. Chronione jest jedynie jako dobro osobiste – autorstwo tych odkryć. Odkrycia naukowe są tytułem do zasłużonej chwały. Stanowią one podstawę do odznaczeń oraz nagród państwowych i międzynarodowych. Pomnażają one dostępny bez ograniczenia skarbiec wiedzy ludzkiej.

Polacy, z którymi spotykałem się w Paryżu, byli to przeważnie przedstawiciele inteligencji przebywający tu stale lub przejściowo w charakterze urzędowym lub prywatnie. Jeżeli nawet poszczególne rodziny należące do tej grupy były tu osiadłe na stałe i związane z wykonywanym zawodem, trudno było je zaliczyć do emigracji zarobkowej. Rzeczywistą emigrację zarobkową stanowiła niemal milionowa rzesza robotników, zatrudnionych głównie w okręgach górniczych i gospodarstwach rolnych. Tysiące z nich znalazło pracę również w samym Paryżu. Ta masa wychodźstwa stanowiła problem zarówno dla Francji, jak i dla Polski.

Dla wykrwawionej Francji robotnicy polscy – to niezbędna siła robocza. Wnieśli oni w powojenną odbudowę i rozwój gospodarki francuskiej olbrzymi wkład. Przeniesieni na obcy grunt, bez znajomości języka francuskiego, a najczęściej bez jakiegokolwiek przygotowania zawodowego, z trudnością przystosowywali się do nowych warunków pracy i egzystencji. Władze francuskie i poszczególni pracodawcy mieli z nimi w pierwszym okresie niemało kłopotów. Pracowici, gospodarni i zasobni Francuzi, obserwując napływających masowo biednych, nieporadnych, ale za to niesfornych i mało zdyscyplinowanych Polaków, odnosili się do nich podejrzliwie i niechętnie.

Niechęć tę potęgowały obserwowane niejednokrotnie przez gospodarzy pijackie awantury w winiarniach i miejscach publicznych. Zdarzały się niekiedy bójki z Francuzami, kradzieże, a nawet sporadyczne napady rabunkowe. Francuskie władze lokalne i policyjne miały więc w pierwszych latach niemało kłopotów z zakłócającymi spokój i bezpieczeństwo publiczne awanturniczymi i przestępczymi jednostkami. Po odcierpieniu wymierzonej kary, były one przymusowo repatriowane. Karygodne wybryki nielicznych stosunkowo jednostek były złośliwie rozdmuchiwane przez prasę lokalną i centralną, opisującą z niezwykłą lubością wyczyny „polskich bandytów”. Termin *bandit polonais* pojawiał się na łamach prasy również w czasie mego pobytu w Paryżu. Termin ten używany był świadomie w sensie obelżywym dla całej Polonii francuskiej, która w swej masie uczciwą pracę w najtrudniejszych działach gospodarki francuskiej zarabiała na chleb powszedni, pomnażając bogactwo goszczącego ją kraju.

Niesumiennym i przekupnym pismakom i ich zleceniodawcom zależało na tym, aby w społeczeństwie francuskim utrwaliło się przekonanie, że naród polski to naród bandytów, podobnie jak już poprzednio przyjęła się tam opinia, że Polacy to naród pijaków (*ivre comme un Polonais*). Tego rodzaju urabianie szkodliwej opinii wydać miało swe owoce. W latach kryzysu wydano bezceremonialnie z Francji więcej niż połowę sprowadzonych tam robotników polskich – łącznie z rodzinami około pół miliona osób. Krok ten był jedną z przyczyn oziębienia się politycznych stosunków polsko-francuskich, jakie nastąpiło w latach trzydziestych.

Przebywający we Francji polscy robotnicy zachowali przez długie lata obywatelstwo polskie. Toteż nasze władze przez Ambasadę i konsulaty starały się roztoczyć nad nimi konieczną opiekę. Polegała ona przede wszystkim na dopilnowaniu, aby robotnikom tym zapewnione były przez pracodawców odpowiednie warunki pracy i płacy oraz ubezpieczenia społeczne. Opieką objęto powstające spontanicznie we wszystkich większych skupiskach polskich organizacje kulturalne (biblioteki, kółka teatralne, śpiewacze) i sportowe. Dla zapewnienia dzieciom polskim w wieku szkolnym nauki języka polskiego i historii polskiej – poza nauką pobieraną przez nie w szkołach francuskich – pracowała we Francji liczna grupa nauczycieli polskich.

Dla zapewnienia opieki religijnej nad milionową rzeszą Polonii francuskiej, w swej znakomitej większości katolicką, ówczesny prymas Polski ks. kardynał August Hlond, powołał rodzaj specjalnej diecezji polskiej. Funkcję zarządcy tej diecezji sprawował w czasie mego pobytu we Francji bardzo sympatyczny ksiądz prałat Łagoda z Gniezna. Podlegało mu przysyłanych z Polski kilkudziesięciu księży. Spełniali oni, w moim przekonaniu, pożyteczną rolę. Jako element inteligentny, utrzymujący najbliższą, codzienną łączność z emigracją, mieli na nią korzystny wpływ nie tylko z punktu widzenia religijnego, ale również narodowego i społeczno-kulturalnego.

Z księdzem Łagodą zapoznałem się na terenie Ambasady. Od niego dowiedziałem się najwięcej szczegółów o życiu Polonii francuskiej i o problemach z nią związanych.

Gościłem go raz przy ul. Lamandé. Przybył do mnie specjalnie, aby poradzić się w sprawach natury prawnej. O ile pamiętam, popadł on w zatargi z drukarniami, w których ukazywały się polskie czasopisma i druki kościelne. Chodziło o znalezienie odpowiedniego wyjścia z tych zatargów. Opracowaliśmy wówczas projekt polubownego załatwienia sporu, który przedstawiony stronie przeciwnej, został przez nią zaakceptowany.

Przygotowując pracę doktorską oraz wykonując inne zlecenia naukowe, starałem się równocześnie w czasie swego pobytu we Francji jak najwięcej zobaczyć i poznać. Zwiedziłem więc w Paryżu wszystko godne widzenia, a szczególnie Luwr i inne muzea. Byłem w Fontainebleau i Wersalu. Poświęcałem na te cele niedzielne przedpołudnia, kiedy wstęp do muzeów był bezpłatny.

Na Wielkanoc 1929 r. wybraliśmy się z Tadeuszem Kuczma na dalszą wyprawę. Przez Orlean i Tours dotarliśmy do La Rochelle, a stamtąd statkiem morskim na wyspę Oléron, kolebkę współczesnego prawa morskiego (*Rôles d'Oléron*). Wyprawa ta obfitowała w wiele przygód. W Orleanie, w tamtejszej pięknej katedrze gotyckiej spoczywała zwłoka Joanny d'Arc. Z tej racji katedra ta odgrywa rolę narodowego sanktuarium. Późnym popołudniem zachciało nam się wejścia na wieżę katedry, aby stamtąd mieć piękny widok na miasto i panoramę Loary. Po wydeptanych kamiennych schodkach wewnętrznych oraz po łuku zewnętrznym dotarliśmy na najwyższą dostępną kondygnację wieży. Ani się spostrzeżliśmy jak zaczęło się ściemniać. Bardzo ostrożnie zeszliliśmy zewnętrznymi łukami do znajdujących się w murze ciemnych, kręconych schodków prowadzących aż do podziemi katedry. Nie mieliśmy ze sobą ani zapalek, ani elektrycznej latarki. Przez długi czas nie mogliśmy natrafić na wyjście parterowe. Wybawił nas z tej opresji dopiero kościelny, który widząc, że nie wychodzimy przed zamknięciem katedry zaczął nas poszukiwać, a potem nawoływać. Mogliśmy się więc przekonać, jak niebezpiecznym jest zabłąkać się w starych gotyckich katedrach.

Tegoż wieczora udaliśmy się w dalszą drogę do Tours, gdzie spędziliśmy noc. Naza jutrz, w samą Wielkanoc od rana obejrzelśmy powierzchownie miasto, z którego nazwą kojarzy mi się stale zapamiętana z historii bitwa pod Tours i Poitiers, w której Karol Młot pobił w 732 r. na głowę armię mauretańską (arabską), zmuszając ją do wycofania się za Pireneje.

Następnie około godz. 10 poszliśmy zwiedzić oryginalną katedrę arcybiskupią. Piękny ołtarz zbudowany tu jest w samym środku głównej nawy. Otacza go obszerna kolistą balustrada ze znajdującymi się wewnątrz kilku rzędami ław. Mimo tak uroczystego święta – katedra była pusta. Usiedliśmy więc wygodnie w środku prezbiterium, przyglądając się wystrojowi katedry. Tymczasem od strony zakrystii ukazała się mała procesja duchowieństwa z arcybiskupem na czele, kierująca się w stronę ołtarza dla odprawienia uroczystej mszy. Zajmując miejsca przeznaczone dla kleru, byliśmy tak zaskoczeni, że nie staraliśmy się nawet opuścić prezbiterium. Nikt nas stamtąd nie wyprosił. Siedzieliśmy więc w ciągu całej ceremonii wśród obserwujących nas kanoników, którzy niewątpliwie zdawali sobie sprawę z tego, że jesteśmy cudzoziemcami.

Tegoż dnia dotarliśmy późną nocą do La Rochelle. Ulice miasteczka, dość lichy oświetlone, były zupełnie puste. Z uwagi na dzień świąteczny i późną porę żadna restauracja nie była już czynna. Z trudem odszukaliśmy jakiś hotelik, w którym z wielką podejrzliwością ulokowano nas w wyjątkowo obskurnym pokoiku. Nie zważając na nic, głodni i zmęczeni rzuciliśmy się na łóżka i pograżyli w głębokim śnie.

Dopiero nazajutrz mogliśmy, po zaspokojeniu głodu, dokładniej przyjrzeć się miastu i portowi. Ta znana z historii cytadela hugenocka w okresie prześladowań religijnych za ostatnich Walezjuszów, której rolę tak obrazowo przedstawił Henryk Mann w swej powieści pt. *Młodość króla Henryka IV*, okazała się uroczym miasteczkiem o zachowanej z dawnych czasów architekturze, z pięknymi podcieniami i kolumnami wokół rynku. Zachowany w swej dawnej postaci port odgrywający kiedyś większą rolę, pełnił wówczas funkcje portu rybackiego. Rybołówstwo morskie też, jak się wydaje, stanowiło podstawowy zawód mieszkańców La Rochelle. Właściwy port handlowy – La Palisse – zbudowany został kilka kilometrów na północ, już poza obrębem miasta.

Z uwagi na to, że w zakresie moich obowiązków w Prokuraturii Generalnej wchodziły sprawy morskie, dlatego też szczególnie intensywnie przeżywałem pierwsze zetknięcie się z Atlantykiem. Wrażenie było niezapomniane.

Kiedy z Tadeuszem Kuczma wydostaliśmy się z miasta, przed nami otwarły się bezkresne przestrzenie wzburzonego oceanu. Był drugi dzień świąt wielkanocnych. Od zachodu, czyli od strony oceanu, wiał silny, chłodny wicher. Silnie sfalowane wały wód z wielkim hukiem uderzały i rozбивały się o doskonale zabezpieczony na przestrzeni wielu kilometrów od La Rochelle do La Palisse brzeg. Postanowiliśmy – na wzór dożów weneckich – dokonać ceremonii zaślubin z oceanem. Z wiadomych względów nie rozporządzaliśmy złotymi pierścieniami. Poprzestać musieliśmy na wrzuceniu do wody biletów wizytowych. Kilkakrotnie powtarzane próby nie dawały rezultatu. Wicher unosił bilety, nie pozwalając na ich zanurzenie się w wodzie.

Zirytowany Tadzio, korzystając z cofnięcia się fali, zbiegł szybko po kamiennych schodkach i zanurzył do wody zabrane wizytówki. Zanim jednak zdołał wbiec z powrotem, został przez nadpływającą falę dokładnie zmoczony. Ostudziło to znacznie jego zapał do spraw morskich.

Mimo tej przygody, postanowiliśmy kontynuować naszą przechadzkę nad brzegiem oceanu w kierunku La Palisse. Z zainteresowaniem obserwowaliśmy, jak pod wpływem falowania wód widoczne na horyzoncie statki to giną z oczu, to pojawiają się ponownie na powierzchni.

Kiedy byliśmy oddaleni o 2–3 kilometry od La Palisse, usłyszeliśmy nagle rozdzierające sygnały syren okrętowych. Bardzo szybko zorientowaliśmy się o co chodzi. Oto jeden z przepływających w kierunku zachodnim statków w przypuszczalnej odległości 10–12 kilometrów od brzegu z niewiadomych nam przyczyn zaczął tonąć w ten sposób, że pochylił się ku przodowi i powoli zanurzał się dziobem w wodzie. W tym czasie cały kadłub przybierał kierunek prostopadły, rufą do góry. W porcie rozpoczął się wielki ruch. Na pomoc tonącemu statkowi wyruszyło kilka jednostek pływających, a cały personel został postawiony w stan pogotowia.

Szybko znaleźliśmy się w porcie, dokąd po jakimś czasie zaczęły napływać łodzie ratunkowe wypełnione pasażerami tonącego statku.

Okazało się, że był to stary francuski statek pasażerski wiozący z Hawru do Brazylii setki emigrantów z krajów Europy środkowej. Całe rodziny Słowaków, Węgrów, Ukraińców, Polaków, Żydów i innych. Widok ich był żałosny. Zaskoczeni katastrofą, załadowani w pośpiechu do łodzi ratunkowych, pozostawili na statku cały swój dobytek, a najczęściej i dokumenty. Zatroskani o los pozostałych członków rodziny, znajdowali się w rozpaczliwej sytuacji. Urzędnicy portu starali się wprowadzić wśród nich jakiś porządek. W tym celu postanowiono ustalić tożsamość ocalonych, dokonać spisów według narodowości itp. Nie była to sprawa łatwa. Emigranci nie znali języka francuskiego, a

pracownicy portu języków emigrantów. W tej sytuacji zaofiarowaliśmy się jako tłumacze, pozostając na miejscu aż do końca akcji. Wydaje mi się, że spełniliśmy dobrze swą rolę.

Tymczasem władze portowe, przy współudziale ocalonych oficerów statku, starały się nawiązać kontakt z armatorem, aby porozumieć się z nim w sprawie zapewnienia wyżywienia i noclegów dla emigrantów oraz zabezpieczenia ich dalszego przewozu. Jakie ostatecznie podjęto kroki – nie wiedzieliśmy. Nie pamiętam też, ile ofiar w ludziach spowodowała katastrofa. Cieszyło nas, że rodziny polskie odnalazły się w komplecie.

Po dokonaniu rejestracji wszystkich osób uratowanych z tonącego statku, udaliśmy się do La Rochelle, skąd następnego ranka małym stateczkiem popłynęliśmy na wyspę Oléron. W przeciwieństwie do małej i skalistej wyspy Ré (Ile de Ré), położonej w pobliżu La Rochelle i znanej z tego, że znajduje się na niej więzienie dla najcięższych przestępców, oddalona o kilkadziesiąt kilometrów od brzegu urocza wyspa Oléron o powierzchni 175 km<sup>2</sup> ma charakter nizinny. Urodzajna ziemia i sprzyjający klimat pozwalają mieszkańcom wyspy (obliczano ich wówczas na ponad 10 000 osób) na uprawę pszenicy, wczesnych warzyw oraz winorośli. Po raz pierwszy w życiu ujrzałem niekończące się połacie ziemi zajętej pod winnice. Szereg znajdujących się na wyspie małych uroczych miejscowości – ni to wsi, ni to miasteczek – nastawionych jest na przyjmowanie napływających tu w ciągu lata jednodniowych wycieczek oraz na zapewnienie gościny zatrzymującym się tu na dłużej czasowiczom. Romantyczne nazwy hotelików, gospód, pensjonatów wskazują na to, że szczególnie dobrze mają się tam czuć młode zakochane pary.

W dniu naszego pobytu, poza stałymi mieszkańcami, nie było tu prawie nikogo. Dopiero za dwa miesiące miały się na wyspie zazielenić i rozkwitnąć pola, ogrody, winnice, a cała wyspa ukazać się w pełnej krasie. My mogliśmy się jedynie raczyć tutejszym winem, obiecując sobie, że przy innej okazji skorzystamy z zaproszenia na dłuższy pobyt naszego gościnnego oberżysty.

Biedny Tadeusz, zamordowany w początku wojny przez hitlerowców, okazji takiej został pozbawiony. Ja zaś, zavalony stale sprawami własnymi i cudzymi, nie bardzo już mogę liczyć na powtórny okazję odwiedzenia tej sympatycznej wyspy winiarzy, oberżystów i historycznych wydarzeń. Niemalą przeszkodę stanowią też istniejące ograniczenia dewizowe.

Jak już wspomniałem, przez większą część mojego pobytu w Paryżu, mieszkałem w Ośrodku Polskim przy rue Lamandé. Ośrodek składał się z zespołu stylowych budynków otaczających podwórze oddzielone od ulicy żelazną bramą. Po 1831 r. mieściła się tu szkoła polska dla dzieci ówczesnych uchodźców politycznych. Z czasem cała posesja zmieniła swoje przeznaczenie. Po I wojnie światowej przejęły ją władze polskie. Po dokonaniu remontów i adaptacji przeznaczona została na miejsce pobytu i pracy twórczej kierowanych do Paryża stypendystów naukowych i artystycznych. Znajdowało tu pomieszczenie w jednoosobowych wygodnych i tanich pokojach około 30 osób. Należałem do tych, którym udało się tu dostać.

Kierownikiem Ośrodka był inż. architekt Kiejstut Jurgielewicz. Wraz ze swą żoną Ireną, artystką rzeźbiarką, zajmowali na miejscu malutkie, gustownie urządzone mieszkanie, w którym od czasu do czasu organizowali towarzyskie herbatki. Wiadomo mi, że

rozporządzali bardzo ograniczonymi środkami finansowymi. Starania p. Jurgielewicza o znalezienie jakiegoś odpowiedniego zajęcia w jego zawodzie nie dawały pożądanego wyniku. Chwytał się więc dorywczych zarobków i na nich głównie opierał swój budżet domowy.

Z zamieszkałymi w Ośrodku stypendystami utrzymywałem tylko ograniczone kontakty. Każdy z nich miał inne zainteresowania, inny styl życia i inny stosunek do obowiązującego na terenie Ośrodka porządku. Mnie ten porządek w pełni odpowiadał. Byli jednak tacy, którzy w różny sposób go naruszali. Stałe były kłopoty powodowane bezzmyslnym zapychaniem muszli ustępowych, zalewaniem podłóg, pozostawianiem nie wyłączonych maszynek elektrycznych itp. Nie mówię już o hałaśliwych pijatykach i innych formach naruszania ustalonych warunków przebywania w Ośrodku.

Kultura życia i współżycia niektórych przedstawicieli naszej młodej inteligencji budzić musiała smutne refleksje. I dzisiaj, jak wiadomo, nie jest pod tym względem najlepiej. Wystarczy przekonać się o tym przeprowadzając inspekcję ubikacji w budynkach uniwersyteckich lub w domach studenckich. Są one stale demolowane, zapychane, zaśmiecanie. Objawy te świadczą, że wielu studentów wstępujących na uczelnie wykazuje w zakresie dobrego wychowania i umiejętności kulturalnego zachowania się podstawowe braki. Widocznie nie spełnia pod tym względem swych obowiązków wielu rodziców, ani też szkoły podstawowe i średnie. Toteż nic dziwnego, że wielu jeszcze nieokrzeszańców opuszcza z dyplomami mury akademickie.

Na terenie Ośrodka byłem najbardziej żyty ze Stanisławem Kolbuszewskim, polonistą, późniejszym profesorem historii literatury polskiej w Rydze, a w okresie powojennym we Wrocławiu. Był on, mimo swych różnych dziwacznych urojeń i śmiesznych słabostek, człowiekiem kulturalnym i dobrym kompanem. Miałem z nim z tego powodu wiele uciechy i płałem mu różne niewinne figle.

Bardzo sympatycznym mieszkańcem Ośrodka był młody malarz nazwiskiem Sadowski. Odznaczał się miłą powierzchownością, miał uduchowioną twarz i duże, niebieskie oczy. Kiedy przechodził ulicą, wszystkie dziewczęta oglądały się za nim. Niestety, nie znał prawie zupełnie ani francuskiego, ani innego obcego języka. Kiedyś poznał w muzeum czy kawiarni pewną piękną Dunkę i jej 18-letnią córkę. Chłopak stracił głowę. Nie umiał bowiem nawiązać rozmowy, a tymczasem chciał umówić się na nowe spotkanie. Ze swymi kłopotami zwrócił się do mnie. Napisałem mu piękny list, w którym zaprosił obie panie do odwiedzenia jego „pracowni”. Przyszły, a ja musiałem wystąpić znowu w charakterze tłumacza. Panie mówiły słabo po francusku. Rozmowa toczyła się więc głównie po niemiecku. Obie strony były zadowolone. Odwiedziny skończyły się skromną pożegnalną kolacją. Dunki powracały do domu. Nadesłały stamtąd do mego przyjaciela w miłym tonie utrzymany list.

Sadowski rozporządzał tak skromnymi środkami pieniężnymi, że niemal głodował. Zapraszałem go od czasu do czasu na przygotowywane w moim pokoju kolacje. Na Zielone Świątki zaprosiłem go do wspólnego zwiedzenia Fontainebleau, którym byliśmy obydwa oczarowani. Wywdzięczając się za okazywaną mu przyjaźń, namalował mój portret, który przywiozłem do Poznania. Nie wywołał on zachwyty mych najbliższych. Przedstawiał mnie w czerwonej wełnianej bonżurce z czarnym, aksamitnym kołnierzem. Twarz ujęta w zielonkawo-popielatym tonie przedstawiała raczej nałogowego narkomana, aniżeli zdrowego, choć zapracowanego młodego człowieka. Mimo niechęci mej żony, portret ten aż do wybuchu wojny wisiał w moim gabinecie. Przypominał mi miły i bogaty w wrażenia okres paryski.

Pobyt we Francji był dla mnie ze wszech miar korzystny. Kiedy z końcem czerwca 1929 r. powracałem do kraju, miałem w swym bagażu gotowy rękopis pracy pt. *Umowa wydawnicza*, na podstawie której w następnym roku uzyskałem stopień doktora praw oraz medal uniwersytecki, jak również artykuł *Pojęcie prawa autorskiego w rozwoju historycznym*<sup>d)</sup>.

Po powrocie podjąłem przerwana aplikację w Prokuraturii Generalnej, zakończoną na początku 1932 r. egzaminem referendarskim z wynikiem bardzo dobrym.

Praca w Prokuraturii Generalnej – w charakterze referendarza, a od 1935 r. i radcy – stała się do 1938 r. moim podstawowym zajęciem. Nie spowodowała ona bynajmniej zerwania kontaktu z nauką. Wiosną 1932 r. otrzymałem z Funduszu Kultury Narodowej przy Radzie Ministrów wiadomość, że przyznane mi zostało roczne stypendium na wyjazd do Niemiec dla przygotowania pracy habilitacyjnej. Wiadomość ta spadła na mnie nieoczekiwanie. Nie podejmowałem bowiem w tej sprawie jakichkolwiek starań.

Perspektywa wyjazdu do Niemiec, umożliwiającego mi przyspieszenie procesu habilitacyjnego była mi niewątpliwie bardzo na rękę. Z drugiej jednak strony całoroczny wyjazd połączony był wówczas dla mnie z całym szeregiem trudności. W pierwszym rzędzie musiałbym w tym celu uzyskać urlop (naturalnie bezpłatny) w Prokuraturii Generalnej, gdzie przy skromnej liczbie etatów byliśmy wszyscy mocno obciążeni. Moja całoroczna nieobecność łączyłaby się z przerzuceniem prowadzonych przeze mnie spraw na kolegów. Następnie wyjazd do Berlina postawiłby mnie w trudnej sytuacji finansowej. Byłem już w tym czasie od dwóch lat żonaty. Żona pracowała zarobkowo, lecz jej uposażenie wystarczało najwyżej na opłacenie bardzo wówczas wysokiego czynszu (400 zł miesięcznie) za czteropokojowe mieszkanie (nowe budownictwo), z czego połowę pokrywał współlokator, kolega z Prokuraturii Generalnej. Ponadto trzeba było brać pod uwagę koszty związane z utrzymaniem żony, gospośi oraz inne koszty związane z prowadzeniem gospodarstwa domowego. Będąc dopiero „na dorobku” nie rozporządzaliśmy żadnymi oszczędnościami. Budżet domowy pokrywały nasze wspólne dochody. Składały się na nie nie tylko pensje mojej żony i moje, ale również wynagrodzenia, jakie otrzymywałem za różne prace wykonywane poza Prokuratorią Generalną (wykłady zlecone, opinie prawne, opracowywanie spraw w kancelarii adwokackiej itp.). W tym celu udało mi się uzyskać zgodę Funduszu Kultury Narodowej oraz władz Prokuraturii Generalnej na wyjazd do Berlina jedynie na okres trzymiesięczny (maj, czerwiec i lipiec 1932 r.).

Rzecz jasna, że tak krótki pobyt nie pozwolił mi nawiązać kontaktów osobistych z ówczesnymi cywilistami niemieckimi, tym bardziej, że pobyt mój w Berlinie przypadał na końcowe miesiące roku akademickiego, a więc na okres częściowo wakacyjny. Ponadto, ówczesna atmosfera polityczna w Niemczech nie sprzyjała nawiązywaniu kontaktów osobistych z naukowcami niemieckimi. Niemcy znajdowały się w okresie ostrej walki Hitlera o władzę. Przeniósł on cały swój sztab z Monachium do Berlina, wynajmując w tym celu cały wielki hotel „Kaiserhof”, położony w pobliżu Kancelarii Rzeszy. Bojówki hitlerowskie zalewały ulice Berlina. Prasa hitlerowska – „Völkischer Beobachter” i redagowany przez Göbbelsa „Angriff” – znajdowała coraz szerszy krąg odbiorców.

<sup>d)</sup> Praca doktorska ukazała się nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w 1932 r., artykuł zaś opublikowany został w „Ruchu Prawniczym, Ekonomicznym i Socjologicznym” 1931, zesz. 1.

Tego naporu nie umiał powstrzymać ówczesny rząd Rzeszy, składający się głównie z reprezentantów katolickiego Centrum pod przewodnictwem kanclerza Brüninga. Zdobył się on jedynie na wydanie zakazu publicznego noszenia mundurów przez oddziały SA (*Schutzabteilungen*), o czym dowiedziałem się z gazet, kiedy znajdowałem się już w drodze do Berlina.

Zupełnie nieudolnym okazał się również ówczesny socjalistyczny rząd pruski. Właśnie w czasie mego pobytu w Berlinie odbyło się dramatyczne usuwanie premiera Bauera i członków jego gabinetu przez hitlerowców, którzy odniósłszy zwycięstwo w wyborach do sejmiku pruskiego – choć nie zdobyli bezwzględnej większości – w drodze przemocy opanowali władzę w Prusach, a tym samym ujęli w swe ręce podstawowy instrument władzy, jakim była policja pruska.

Jednocześnie nasilać się poczęły prowokacyjne wystąpienia prasy, wmawiającej swym czytelnikom, że lada chwila grozi Niemcom agresja ze strony Polski! Na półkach księgarskich i w kioskach można było oglądać książki omawiające zagadnienie „płonących granic” (*brennende Grenzen*). Echa tych wystąpień dochodziły do Poznania. Przyjaciele poznańscy zaniepokojeni tego rodzaju atmosferą, radzili mi rychły powrót.

Nie uległem jednak żadnej panice, choć rozgrywające się wypadki obserwowałem z niepokojem. Widziałem w nich groźną dla Polski zapowiedź. W tym też sensie po powrocie do Poznania podzieliłem się swymi wrażeniami w kręgu przyjaciół i znajomych.

W Berlinie zamieszkałem w dobrym pensjonacie przy Lutherstr. 31 prowadzonym przez p. Bernhardt, córkę pastora z Rygi. W pensjonacie tym zatrzymywali się zwykle członkowie delegacji polskich, prowadzących z Niemcami różne rokowania rozliczeniowe. Należał do nich również prof. Józef Sułkowski. Tam też poznałem mieszkających stale w Berlinie obywateli polskich narodowości żydowskiej, dr. Józefa Frejlicha oraz jego żonę. Żona, magister praw, była pracownikiem Ambasady Polskiej. Czym się zajmował dr Frejlich, historyk z wykształcenia – tego nie udało mi się dociec. Pracował całymi dniami u siebie lub w bibliotekach. Na spacer wychodził z żoną zwykle wieczorem. Wtedy też wysyłał do Polski grube koperty z raportami. Oboje byli ludźmi miłymi i uczynnymi. Poinformowali mnie dokładnie o sytuacji politycznej. Dr Frejlich ułatwił mi uzyskanie kart wstępu do Biblioteki Państwowej (Staats-Bibliothek) oraz do biblioteki Reichstagu. Poszedł ze mną na procesję Bożego Ciała przy Kościele św. Jadwigi, aby pokazać mi kanclerza Brüninga, jak prowadził pod rękę celebrującego biskupa. Często też szliśmy wieczorem razem do „Romanisches Café”, miejsca spotkań wszystkich korespondentów zagranicznych, gdzie można było przeczytać prasę z całego świata.

Po złożeniu wizyty dziekanowi Wydziału Prawa, którym był wówczas wybitny cywilista prof. Martin Wolff, współautor znanego mi podręcznika<sup>e)</sup>, postanowiłem skoncentrować się na pracy w Staats-Bibliothek, gdzie udało mi się zapoznać z całym dorobkiem cywilistyki niemieckiej. Ku swojemu zdziwieniu mogłem stwierdzić, jak na ogół niski poziom przedstawiały dysertacje doktorskie, dorównujące zaledwie poziomowi naszych prac magisterskich. Co więcej, bardzo duży procent tych prac – to zwykle plagiaty. Widocznie wielu promotorów niemieckich nie zadawało sobie trudu zapoznania się z przedkładanymi im pracami. Interesowały ich raczej dość wysokie honoraria za dokonywane promocje.

<sup>e)</sup> L. Enneccerus, Th. Kipp, M. Wolff: *Lehrbuch des Bürgerlichen Rechts*. Marburg 1929.



Rzecz jasna, wśród prac doktorskich były również opracowania wybitne. Na nich to żerowali w przeważnej mierze inni doktoranci. Należyty poziom naukowy reprezentowały dopiero prace habilitacyjne i dzieła pisane przez dojrzałych naukowców.

Wynik moich berlińskich poszukiwań nie był w pełni zadowalający. Dla interesującego mnie zagadnienia: charakteru prawnego stosunków łączących strony w okresie prowadzenia rokowań o zawarcie umowy oraz zagadnień odpowiedzialności za *culpa in contrahendo*<sup>f)</sup> – nie znalazłem ani w literaturze, ani w orzecznictwie niemieckim należytego rozwiązania. Dałem temu wyraz w mej pracy habilitacyjnej pt. *Przygotowanie umowy w świetle kodeksu zobowiązań*<sup>g)</sup>, w której przedstawiłem wątpliwy w tym zakresie dorobek cywilistyki niemieckiej, przeciwstawiając go dorobkowi cywilistyki francuskiej.

Mimo wszystko pobyt w Berlinie okazał się dla mnie owocny. Pozwalał on na zorientowanie się w ówczesnych stosunkach niemieckich, a poza tym otworzył mi sposobność wielokrotnego przyjeżdżania do Niemiec w latach 1932–1938. Stało się to w związku ze sprawą Deutsche Mittelstandskasse. Właśnie w Berlinie wpadłem na pomysł korzystnego dla Polski rozwiązania kłopotliwej sprawy.

---

<sup>f)</sup> *Culpa in contrahendo* – *lac.* wina przy zawieraniu umowy.

<sup>g)</sup> Poznań 1938.

## ROZDZIAŁ X

## MAŁŻEŃSTWO

Poważnym wydarzeniem w moim życiu prywatnym było zawarcie w dniu 24 kwietnia 1930 r. związku małżeńskiego. Przyszłą moją żonę, Celinę z Zarembów, poznałem w czerwcu 1926 r. w czasie składania przez nią ostatniego egzaminu na kierunku ekonomiczno-politycznym naszego Wydziału. Znajomy pp. Zarembów, a mój kolega ze studiów, rotmistrz 7 pułku strzelców konnych, Adam Jordan Stojowski, chciał się dowiedzieć, jak składa egzamin panna Celina. Poszliśmy razem do Zakładu Nauk Ekonomicznych, mieszczącego się w dawnej masztalarni przy ul. Fredry, gdzie dziś mają swą siedzibę organizacje studenckie. Tam zostałem przedstawiony pani Zarembinie oraz pannie Celinie. Była podniecona, lecz bardzo zadowolona, gdyż egzaminy wypadły pomyślnie. Kończyła studia, uzyskując dyplom magistra nauk ekonomiczno-politycznych. Ja natomiast, mimo że byłem już młodszym asystentem, miałem za sobą dopiero trzy lata studiów.

Korzystając z zaproszenia, złożyłem w jakiś czas potem wizytę w domu pp. Zarembów, a kiedy się okazało, że nieźle gram w brydża, stałem się ich częstym gościem.

W międzyczasie p. Celina uzyskała stanowisko w Polskim Konsulacie Generalnym w Kolonii i opuściła Poznań. Zobaczyłem ją ponownie dopiero po dwóch latach, kiedy przyjechała do rodziców na urlop wielkanocny (1928 r.). Pod wrażeniem, jakie na mnie wywarła, wymogłem na niej, aby już nie wracała do Kolonii. Po namyśle poprosiła telegraficznie Konsulat o zwolnienie.

Przyjęła nadarzającą się korzystną pracę w ówczesnym Starostwie Krajowym, związaną z przygotowaniem materiałów dla organizowanej wówczas Powszechnej Wystawy Krajowej (PWK). Państwo Zarembowie byli z takiego obrotu sprawy zadowoleni. Cieszyli się, że mają córkę przy sobie. Nie domyślali się istotnej przyczyny rezygnacji z pracy w Konsulacie.

Jakkolwiek byłem już po studiach i miałem za sobą rok pracy w Prokuraturii Generalnej, to jednak zdawałem sobie sprawę z tego, że moja ówczesna sytuacja zarobkowa była jeszcze zbyt skromna, abym mógł myśleć o założeniu rodziny. Toteż przebywając często w domu pp. Zarembów uważany byłem za pożądanego partnera brydżowego. Z Celiną uzgodniliśmy, że o zamiarze zawarcia małżeństwa powiadomimy jej rodziców dopiero we właściwym czasie.

Tymczasem ukazały się w druku moje pierwsze prace, nastąpił wyjazd do Francji, ukończona została praca doktorska. Uważałem więc, że przyszłość stoi przede mną. Uznaliśmy z Celiną, że właściwy czas nadszedł dla powiadomienia rodziców Celiny i moich o naszym zamiarze.

Ślub nasz odbył się skromnie i na wesoło, najpierw w Urzędzie Stanu Cywilnego i zaraz potem w kościele. W ceremoniach i formalnościach ślubnych uczestniczyli jako świadkowie moi przyjaciele Kazimierz Bieniewski, aplikant Prokuraturii Generalnej

oraz adwokat dr Henryk Bogdański (w Urzędzie Stanu Cywilnego), a przy ślubie kościelnym ponadto rodzice i brat oraz kuzynowie żony: Maria Polańska oraz Paweł i Andrzej Dąbrowscy, z mojej zaś strony dwaj bracia Jan i Michał. Ponadto byli obecni zaprzyjaźnieni z rodziną Zarembów państwo Wanda i Karol Opuszyńscy.

W tym samym składzie odbyło się przyjęcie „weselne” w mieszkaniu teściów przy ul. Grottgera 3, a wieczorem udaliśmy się do mego mieszkania przy ul. Orzeszkowej 4. Taka była nasz „podróż poślubna”. Na drugi dzień poszliśmy do pracy.

Tego rodzaju skromny ślub odpowiadał zarówno życzeniom mojej żony, jak i moim własnym zapatrywaniom. Byliśmy młodymi ludźmi „na dorobku”. Rozporządzaliśmy skromnymi funduszami. Wystawność ślubu i wesela mogłaby się odbyć tylko na koszt rodziców, a tego nie chcieliśmy. Krewnych, przyjaciół i znajomych zawiadomiliśmy o ślubie dopiero po fakcie. Wspominam o tym dlatego, że wielokrotnie byłem świadkiem uroczystości weselnych połączonych z wielkimi kosztami, nie odpowiadającymi sytuacji finansowej ani samych młodych małżonków, ani też ich rodzin.

Wydaje mi się, że czas zawarcia małżeństwa był przez nas wybrany prawidłowo. Odpowiadał on też przyjętym wówczas poglądom. Oboje mieliśmy odbyte studia i stanowiska zawodowe. Mój przewód doktorski znajdował się w końcowym stadium. Miałem też skromnie urządzone dwupokojowe mieszkanie.

Nie mogę pojąć bezmyślności i braku odpowiedzialności u współczesnej młodzieży, która zbyt często zawiera małżeństwo przed ukończeniem szkół i zdobyciem zawodu oraz przed zapewnieniem sobie mieszkania i własnych środków utrzymania. Małżeństwa studenckie nie znajdują w moich oczach uznania. Świadczą one o niedojrzałości życiowej młodych ludzi. Sprawiają wiele kłopotów im samym, rodzinom i uczelni. Niedojrzali małżonkowie uważają, że koszt ich nierozważnych decyzji ponosić powinni ich rodzice lub społeczeństwo. Tego rodzaju lekkomyślna i aspołeczna postawa nie powinna być akceptowana. W żadnym razie nie można jej aprobować w tej grupie społecznej, która ma aspiracje, aby być zaliczaną do inteligencji.

Jako posag wniosła mi żona młodość, zdrowie, urodę, radość życia, wykształcenie, znajomość języków obcych, wysokie poczucie obowiązku w pracy zawodowej, życzliwość. Posag ten okazał się w praktyce życia najcenniejszym. Nie zniszczył go ani upływ czasu, ani przejścia wojenne, ani zmiany systemu społeczno-ekonomicznego. Potrafiła stworzyć właściwą atmosferę w domu, służyć mi radą i pomocą w związku z moją pracą naukową i licznymi funkcjami zawodowymi oraz szerokim kręgiem stosunków towarzyskich krajowych i zagranicznych. Jest osobą cenioną i powszechnie lubianą. Cieszy się szczególną sympatią moich doktorantów i habilitantów, których losy naukowe i osobiste szczególnie ją interesują.

Od czasu ukończenia studiów w 1926 r. przez cały okres wojny i w pierwszych latach powojennych pracowała zawodowo. Później łączenie obowiązków pani domu i mojej osobistej sekretarki (oraz kierowcy) z pracą zawodową stało się zbyt trudne. Zrezygnowała więc z żalem z pracy zawodowej. Pracowała społecznie w Komitecie Blokowym, Komitecie Rodzicielskim, a w latach 1961–1972 pełniła funkcję opiekuna społecznego uzyskując wdzięczność podopiecznych oraz uznanie i odznaczenia ze strony władz miejskich oraz ministra zdrowia i opieki społecznej.

Przez swe małżeństwo z Celiną spowinowałem się z ostatnimi przedstawicielami historycznego i swego czasu możnego rodu, którego początki sięgają epoki pierwszych Piastów. Zarembowie z Kalinowy dzierżyli w dawnej Rzeczypospolitej na przestrzeni

wieków 36 stanowisk senatorskich (biskupów poznańskich i wrocławskich, wojewodów kaliskich i sieradzkich, kasztelanów), nie szczędzili ani mienia, ani krwi w obronie kraju i wolności. Mój teść, dr Gustaw Zaremba, chirurg i emerytowany pułkownik, b. legionista, urodzony w 1870 r. w majątku Pierzchno pod Środą, ukończył gimnazjum oo. Jezuitów w Chyrowie (pod Samborem), a studia medyczne we Wrocławiu i Grazu (Austria). Uzupełnił je praktyką w toku pełnienia funkcji asystenta na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz na Uniwersytecie w Pradze.

Przyjąwszy obywatelstwo austriackie, ożenił się z Lucyną Jastrzębską pochodzącą ze znanej rodziny osiadłej w powiecie tarnowskim. Przed wybuchem I wojny światowej i wstąpieniem do I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego, był dyrektorem szpitali powiatowych w Husiatynie nad Zbruczem i w Wadowicach. W 1919 r. przeniósł się do Poznania, gdzie do czasu przejścia na emeryturę był zastępcą Szefa Sanitarnego Poznańskiego Okręgu Wojskowego nr 7. Będąc na emeryturze, przez szereg sezonów letnich prowadził praktykę lekarską w Krynicy, gdzie przez ponad dwa lata był dyrektorem wielkiego sanatorium „Lwigród”, należącego do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych we Lwowie.

Razem ze swą małżonką tworzyli niezwykle sympatyczną parę. Ich dom słynął z gościnności. Spotkać tam można było interesujących ludzi ze sfer profesorskich, lekarskich, wojskowych i sędziowskich. Poza córką Celiną (moją żoną) teściowie mieli jeszcze syna Janusza, późniejszego asesora sądowego w Kaliszu.

W posiadaniu naszym znajduje się pełna waliza dokumentów odnoszących się do rodziny Zarembów. Z dokumentów tych wynika, że ojciec teścia, a dziadek mojej żony, dr med. Wacław Zaremba, jako uczeń gimnazjum w Trzemesznie, wraz ze swymi kolegami wziął udział w powstaniu styczniowym (1863 r.). Obszerną relację z tego udziału opublikował on w „Dzienniku Poznańskim” w 1883 r. Przedruk jej znaleźć można w „Dzienniku Poznańskim” z 1929 r.

Pozbawiony przez władze pruskie za udział w powstaniu prawa odbywania nauki gimnazjalnej w Wielkim Księstwie Poznańskim, przeniósł się do Głogowa, gdzie uzyskał maturę. Studia lekarskie odbył w Würzburgu. Praktyki lekarskiej nigdy nie prowadził. Napisał szereg rozpraw z dziedziny medycyny, z których duże uznanie zyskała praca o metodach leczenia sławnego lekarza starożytnej Grecji, Hipokratesa.

Po sprzedaży – z powodu postępującej choroby oczu – majątku Pierzchno pod Środą, przeniósł się do Wrocławia, gdzie synowie jego Gustaw i Stefan odbywali studia. Córka Maria ukończyła średnią szkołę ogrodniczą. Wacław Zaremba brał czynny udział we wrocławskich stowarzyszeniach polskich. Pod koniec życia osiadł u swego syna Gustawa w Krakowie, gdzie też w 1903 r. zakończył życie.

Dziadek mego teścia, Juliusz Zaremba, jako pułkownik wojsk włoskich, był szefem sztabu u Garibaldiego. Powrócił przez Francję i Niemcy do Poznańskiego. Tu ożenił się z Florentyną Bnińską i osiadł w majątku Sady pod Poznaniem, należącym wówczas do spokrewnionej z Zarembami rodziny Kąsinowskich.

W bibliotece teścia znajdowały się przywiezione z Włoch przez Juliusza Zarembę dwie szafy arcydzieł literatury włoskiej w oryginalnych, miniaturowych wydaniach. Aby zbiór ten ocalić od grabieży, przewieźliśmy w październiku 1939 r. dwie szafy biblioteczne z mieszkania nieobecnych w Poznaniu teściów do nas. Niestety po wojnie odzyskałem z tego zbioru zaledwie trzy tomiki: *Delle Speranze d'Italia*, Capolago 1844 (dzieło zbiorowe); *Aminta Favola Boschereccia di Torquato Tasso*, Bergamo 1821; *Le Istorie Fiorentine di Niccolò Machiavelli*, Parigi 1825. Tomiki te, noszące pieczętkę

---

zarówno Juliusza Zaremby jak i teścia, zostały mi wręczone przez Bibliotekę Uniwersytecką w kwietniu 1945 r. Biblioteka Uniwersytecka przejęła bowiem księgozbiory pochodzące zarówno z różnych bibliotek klasztornych, bibliotek naukowych oraz z bibliotek prywatnych osób wysiedlonych do Generalnego Gubernatorstwa, względnie aresztowanych przez gestapo itp., pochodzące z terenu całego Warthegau<sup>a)</sup>. Władze niemieckie przewiozły i ulokowały te księgozbiory w dwukondygnacyjnym kościele św. Michała przy ul. Stolarskiej. Górny kościół został zburzony w związku z jednym z nielicznych nalotów angielskich na Poznań. Natomiast kościół dolny pozostał nienaruszony. Złożone w nim książki ocalały.

---

<sup>a)</sup> Pełna nazwa okręgu Kraju Warty: Reichsgau Wartheland.

## ROZDZIAŁ XI

**PRACA W WYŻSZEJ SZKOLE HANDLOWEJ  
– AKADEMII HANDLOWEJ (1934–1939)**

Jak już wspomniałem, organizatorzy Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego jako pierwsi w kraju opracowali i zrealizowali koncepcję uniwersyteckich studiów ekonomicznych. Odegrały one wysoce pozytywną rolę. Sekcja Ekonomiczna stała się poważną kuźnią myślenia ekonomicznego, wychowującą kadry młodych naukowców oraz rzeszę absolwentów przygotowanych do zajmowania stanowisk wymagających znajomości zagadnień ekonomicznych.

Profil kształcenia był tak ustawiony, że absolwenci Sekcji byli przygotowani do obejmowania stanowisk w administracji państwowej: ministerstwach, urzędach wojewódzkich, izbach skarbowych, bankach państwowych, a także w średnim szkolnictwie ekonomicznym, samorządzie gospodarczym.

Tymczasem krajowi potrzeba było również coraz większej liczby wysoko kwalifikowanych ekonomistów, zdolnych do zajmowania stanowisk w przedsiębiorstwach państwowych, spółdzielczych i prywatnych. Dla tych celów uniwersyteckie studia ekonomiczne nie dawały właściwego przygotowania. Toteż wzorem krajów zachodnich poczęły w Polsce powstawać odrębne uczelnie ekonomiczne w formie niepaństwowych wyższych szkół handlowych, o bardziej praktycznym profilu kształcenia. Najstarszą z nich była Szkoła Główna Handlowa w Warszawie, wywodząca swój rodowód z kursów handlowych zorganizowanych w 1912 r.

W 1924 r. powstała Wyższa Szkoła Handlowa we Lwowie, w 1925 r. w Krakowie, a w 1926 r. w Poznaniu. Uczelnie te dopiero stopniowo uzyskiwały charakter szkół akademickich. Charakter ten uzyskała Wyższa Szkoła Handlowa w Poznaniu dopiero w 1938 r. z równoczesną zmianą nazwy na Akademię Handlową.

Wyższa Szkoła Handlowa w Poznaniu powstała z inicjatywy kół gospodarczych skupionych w Izbie Przemysłowo-Handlowej. Głównym promotorem powołania tej uczelni był ówczesny syndyk (dyrektor) Izby, dr Stanisław Waschko. Jego to zabiegom zawdzięczać należy uzyskanie poparcia władz miejskich i wojewódzkich, Ministerstwa Przemysłu i Handlu oraz zgody Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

W październiku 1926 r. odbyła się w Auli Uniwersytetu Poznańskiego uroczysta inauguracja pierwszego roku akademickiego Wyższej Szkoły Handlowej. Było to dla Poznania poważne wydarzenie. Powstała druga po Uniwersytecie wyższa uczelnia. Jako ówczesny student IV roku prawa zdawałem sobie z tego dobrze sprawę. Toteż byłem obecny na tej inauguracji. Pamiętam, że w charakterze przedstawiciela rządu uczestniczył w niej i przemawiał minister przemysłu i handlu, Eugeniusz Kwiatkowski. Nie przewidywałem wówczas tego, że losy zwiążą mnie w 1934 r. ściślej z nową uczelnią na okres 28 lat, ani tego, że w 20 lat później (w 1946 r.) sam będę organizował podobną

uczelnię w Szczecinie, a minister E. Kwiatkowski, jako ówczesny delegat rządu do spraw Wybrzeża, przyjdzie mi z wydatną pomocą finansową umożliwiającą odbudowę i adaptację potrzebnych gmachów.

Wyższa Szkoła Handlowa była w latach 1926–1938 wyższą szkołą zawodową o trzyletnim programie nauczania. Jej absolwenci uzyskiwali zwykle dyplomy ukończenia studiów.

Mimo że była to szkoła niepaństwowa i nie mająca praw akademickich, zdobyła sobie już od samego początku duży autorytet zarówno u młodzieży studiującej, jak i w społeczeństwie. Głównym tego źródłem był wysoki poziom nauczania i wymagań egzaminacyjnych. Trzon grona nauczającego stanowili wówczas wybitni profesorowie Wydziału Prawno-Ekonomicznego oraz Przyrodniczo-Matematycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Ta naukowa „zależność” WSH – zwłaszcza od Wydziału Prawno-Ekonomicznego UP – powiększyła się jeszcze bardziej z chwilą ustąpienia pierwszego dyrektora dr. Leonarda Głabisza i powierzenia tego stanowiska (w 1930 r.) doskonałemu organizatorowi profesorowi Antoniemu Peretiatkowiczowi.

Wydaje się, że w okresie kształtowania się form organizacyjnych Szkoły, toku i programu studiów, planów nauczania i zakresu wymagań, opieka Uniwersytetu była jak najbardziej pożądana, a nawet konieczna. Doświadczenia, tradycje i rygory uniwersyteckie były w tym wielce pomocne. Uchroniły one Szkołę od zejścia na łatwiznę i utratę poziomu szkoły wyższej. Należy przy tym wspomnieć, że jednym z argumentów, którymi operowali jej organizatorzy, była możliwość zapewnienia jej kwalifikowanej kadry nauczającej w osobach profesorów uniwersyteckich. Pod takim też warunkiem udzieliło ówczesne Ministerstwo WRiOP zgody na utworzenie Szkoły.

Takich jak Wyższa Szkoła Handlowa, a później Akademia Handlowa, wyższych uczelni niepaństwowych było w okresie międzywojennym kilka. Poza wspomnianymi czterema uczelniami handlowymi zaliczały się do nich: Katolicki Uniwersytet Lubelski oraz Wolna Wszechnica Polska w Łodzi.

Wszystkie one pozostawały wprawdzie pod ogólnym nadzorem Ministerstwa WRiOP, korzystały jednak z daleko idącej samodzielności w zakresie kształtowania własnego programu nauczania, doboru kadr naukowych oraz w zakresie spraw finansowych. Różna też była sytuacja prawna i majątkowa oraz organizacja wewnętrzna tych uczelni.

Wyższa Szkoła Handlowa w Poznaniu miała swoje oparcie prawne i majątkowe w Izbie Przemysłowo-Handlowej. Izba, dysponując funduszami pochodzącymi ze specjalnych dopłat podatkowych, płaconych przez ówczesne prywatne przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe i rzemieślnicze, finansowała w znacznym stopniu potrzeby Szkoły. Staraniem Izby, na podstawie kredytu udzielonego przez Bank Gospodarstwa Krajowego, wzniesiony został okazały gmach przy ul. Marchlewskiego 146/150<sup>a)</sup>, ukończony w 1932 r. i zaspokajający ówczesne potrzeby Szkoły. Tym samym stworzona została podstawowa baza materialna Wyższej Szkoły Handlowej umożliwiająca jej normalne funkcjonowanie i dalszy rozwój.

Okres sprawowania kierownictwa przez prof. A. Peretiatkowicza (1930–1939) był dla Szkoły wyjątkowo pomyślny. W okresie tym zdołano rozwiązać podstawowe dla

---

<sup>a)</sup> Obecnie al. Niepodległości.

Szkoły problemy. W pierwszym rządzie poddano głębokiej reformie program nauczania. Dostosowano go do potrzeb życia gospodarczego i do wymagań szkoły wyższej. Utrzymywany częściowo w pierwszych latach system szolarstwa – zastąpiono systemem studiów. Utrzymano wprawdzie ich trzyletni tok, ale wprowadzono już dobrowolny czwarty rok – „pracy badawczej”.

Stanowiło to wstęp do podjęcia już w 1933 r. starań o nadanie Szkole praw akademickich i nazwy Akademii Handlowej. Ponowiono je w 1936 r. Chodziło o wprowadzenie do obowiązującej wówczas ustawy z dnia 15 marca 1933 r. o szkołach akademickich zmian idących w tym kierunku, aby wśród „prywatnych szkół akademickich” wymieniona została w ustawie „Akademia Handlowa w Poznaniu”. Tym razem natrafiono w Ministerstwie WRiOP na przychylny klimat. Naturalnie, pozytywne załatwienie wniosku uzależnione zostało od spełnienia szeregu warunków. Podstawowe znaczenie miało posiadanie własnego gmachu, dobrze zorganizowanej biblioteki oraz własnej, niezależnej od Uniwersytetu kadry naukowej. Gdy warunki te zostały spełnione, znowelizowana w 1937 r. ustawa z 15 marca 1933 r. o szkołach akademickich zmieniła dotychczasową nazwę Szkoły na Akademię Handlową i zaliczyła ją do „prywatnych” szkół akademickich.

Na mocy rozporządzenia ministra WRiOP z 23 października 1938 r. termin zastosowania znowelizowanej ustawy z 15 marca 1933 r. do Wyższej Szkoły Handlowej w Poznaniu ustalony został na dzień 10 listopada 1938 r. W tym dniu Wyższa Szkoła Handlowa w Poznaniu przyjęła nazwę „Akademia Handlowa w Poznaniu”. Dopiero na podstawie rozporządzenia ministra oświaty z dnia 3 września 1945 r. uzyskała ona „prawo nadawania stopnia magistra nauk ekonomiczno-handlowych jako niższego stopnia naukowego”.

Prawo nadawania stopnia doktora nauk ekonomicznych oraz prawo habilitowania przyznane zostało Uczelni dopiero po jej upaństwowieniu w 1950 r.

Będąc od 1934 r. związany ze Szkołą, miałem sposobność współdziałania przy kształtowaniu jej zrębów prawnego-organizacyjnych.

I tak, w roku akademickim 1935/36 byłem czynny przy opracowywaniu statutu Fundacji Wyższej Szkoły Handlowej. Fundacja ta została powołana do życia przez Izbę Przemysłowo-Handlową w Poznaniu w 1926 r. i zatwierdzona przez Ministerstwo WRiOP. Jako odrębna osoba prawna stała się ona właścicielką Szkoły. Na jej też imię została przepisana własność gmachu przy ul. Marchlewskiego oraz nabytego później domu mieszkalnego przy ul. Głogowskiej 105. Tym samym nastąpiło prawne uniezależnienie się Szkoły od Izby Przemysłowo-Handlowej, zwłaszcza, że obowiązek spłat długoterminowego kredytu Banku Gospodarstwa Krajowego przejęło na siebie Ministerstwo.

W 1938 r. na zlecenie Rady Profesorów opracowałem statut Akademii Handlowej. Organizacja jej dostosowana została do organizacji państwowych szkół akademickich. Statut został zatwierdzony przez Ministerstwo i nabrał mocy prawnej na wiosnę 1939 r.

Przygotowałem również projekt umów o pracę, jakie Akademia Handlowa zawierała z profesorami stałymi w okresie przedwojennym i powojennym, aż do czasu jej upaństwowienia w 1950 r. i przekształcenia w Wyższą Szkołę Ekonomiczną.

Przygotowane przeze mnie projekty statutów Fundacji Akademii Handlowej były w swej ostatecznej formie wynikiem wielokrotnych narad i uzgodnień z Ministerstwem



i organami Izby Przemysłowo-Handlowej<sup>b)</sup>.

Łącznie z cytowaną już ustawą o szkołach akademickich oraz rozporządzeniami wykonawczymi, statuty Fundacji Akademii Handlowej określiły w sposób ostateczny rangę Uczelni i jej sytuację prawną.

Najważniejszą częścią każdej wyższej uczelni jest należycie kwalifikowana własna kadra naukowa. Jedynie przejściowo można opierać pracę dydaktyczną uczelni na profesorach dochodzących czy dojeżdżających.

Tak było w pierwszych latach Wyższej Szkoły Handlowej, kiedy to (poza dyrektorem Szkoły dr. Leonardem Glabiszem) cały zespół wykładowców stanowili profesoria Uniwersytetu i inne osoby zajmujące stanowiska w szkolnictwie średnim, w wymiarze sprawiedliwości, administracji lub gospodarce.

Zawierano z nimi corocznie umowy-zlecenia, w których wynagrodzenie ustalane było według ilości godzin prowadzonych zajęć. Dopiero prof. Antoni Peretiatkowicz objąwszy w 1930 r. kierownictwo Szkoły począł czynić starania o pozyskanie własnych etatowych pracowników naukowych. Nie było to sprawą łatwą. Osoby mające kwalifikacje profesorów akademickich nie kwapiły się z obejmowaniem stanowisk w szkole pozbawionej własnych lokali, nie mającej wyjaśnionego statusu prawnego, o nieprzejrzystej sytuacji finansowej. Praktycznie można było liczyć jedynie na kandydatów nie zajmujących jeszcze stanowisk profesorskich w państwowych szkołach akademickich, a więc przede wszystkim na osoby zdobywające dopiero pełne kwalifikacje naukowe. A osób takich, posiadających kwalifikacje odpowiadające profilowi Szkoły brakowało wówczas nie tylko w Poznaniu, ale w całym kraju.

Toteż wielkim sukcesem było pozyskanie przez prof. Peretiatkowicza pierwszego etatowego profesora w osobie Witolda Skalskiego, znakomitego specjalisty w zakresie rachunkowości. Od 1927 r. dojeżdżał on na prowadzone z tego przedmiotu zajęcia dydaktyczne z Bydgoszczy, gdzie pełnił funkcję dyrektora pierwszego państwowego technikum ekonomicznego. Stworzona dla prof. Skalskiego Katedra Rachunkowości i Analizy Bilansów była więc pierwszą katedrą w Szkole. Wysokie zalety umysłu i charakteru prof. Skalskiego, wysoki poziom prowadzonych przez niego zajęć i wymagań oraz poważny dorobek naukowy sprawiły, że Katedra Rachunkowości i Analizy Bilansów przez długie lata była w Szkole katedrą wiodącą. Miała też największą ilość dyplomantów zdobywających doskonale przygotowanie zawodowe. Znajdowali oni najłatwiej pracę w życiu gospodarczym i średnim szkolnictwie zawodowym.

W miarę ugruntowywania się pozycji Szkoły, czego widowym symbolem było pozyskanie w 1932 r. nowego gmachu, oraz w miarę zarysowującej się perspektywy uzyskania przez Szkołę charakteru akademickiego, stały etat w niej stawał się coraz bardziej atrakcyjny.

W 1934 r. prof. A. Peretiatkowicz zaproponował mi prowadzenie wykładów z prawa cywilnego, a nieco później również z prawa handlowego i wekslowego z perspektywą objęcia kierownictwa wspólnej Katedry Prawa Cywilnego i Handlowego. Propozycję tę przyjąłem z tym, że na stały etat w Szkole przejdę dopiero po przeprowadzeniu habilitacji i powołaniu mnie na profesora nadzwyczajnego. Warunek ten został spełniony w roku akademickim 1937/38. Z dniem 1 września 1938 r. przeszedłem na etat w Akademii Handlowej, rezygnując równocześnie z pracy w Prokuratorii General-

<sup>b)</sup> Obydwa statuty są opublikowane w „Roczniku Akademii Handlowej w Poznaniu” za rok 1945 i 1945/46, Poznań 1946, s. 70–92.

nej.

Z dniem 1 lipca 1935 r. powołany został na profesora nadzwyczajnego Wyższej Szkoły Handlowej i kierownika Katedry Ekonomii Politycznej docent Uniwersytetu Poznańskiego dr Stefan Rosiński.

W dniu 1 września 1936 r. objął kierownictwo Katedry Technologii i Towaroznawstwa profesor nadzwyczajny dr Jan Wiertelak.

Z dniem 1 lipca 1937 r. na kierownika Katedry Geografii Gospodarczej powołany został zastępca profesora dr Florian Barciński, a z dniem 1 września 1938 r. na kierownika Katedry Skarbowości i Polityki Gospodarczej – profesor nadzwyczajny ksiądz dr Antoni Roszkowski.

W ten sposób i w związku z przekształceniem Wyższej Szkoły Handlowej w Akademię Handlową uformowana została podstawowa własna kadra profesorska. W jej to rękach spoczęły dalsze losy Uczelni. Zgodnie z postanowieniem Statutów Akademii Handlowej i Fundacji w czerwcu 1938 r. dokonano wyboru przez Radę Profesorów i powołania przez Kuratorium Fundacji: rektora w osobie profesora Witolda Skalskiego i prorektora w osobie doktora Jana Wiertelaka. Jednocześnie powierzono mi zastępstwo rektora i prorektora na wypadek ich równoczesnej nieobecności. To ostatnie postanowienie nabrało swej aktualności w 1945 r., kiedy okazało się, że prorektor Wiertelak poległ w czasie wojny jako oficer rezerwy, a rektor profesor Skalski znajduje się w obozie koncentracyjnym Buchenwald, skąd powrócił dopiero z końcem lipca 1945 r.

Mnie więc przepadł wówczas obowiązek uruchomienia i odbudowy Uczelni.

Stali pracownicy naukowcy Akademii Handlowej, a w szczególności profesorowie zwyczajni i nadzwyczajni, powoływani byli – na podstawie uchwały Rady Profesorów – przez Kuratorium Fundacji i zatwierdzani przez ministra. Ponieważ Akademia Handlowa nie była szkołą państwową, stosunek pracy profesorów nie był normowany przepisami prawa administracyjnego, lecz przepisami kodeksu zobowiązań normującymi umowę o pracę. Przepisy te nie zapewniały stałości pracy i nieusuwalności, z jakiej korzystali wówczas profesorowie państwowych szkół akademickich. Nie miały też do nich, ani ich rodzin, zastosowania przepisy emerytalne odnoszące się do pracowników państwowych, lecz znacznie mniej korzystne przepisy dotyczące ubezpieczeń społecznych pracowników umysłowych.

Jako prawnik zdawałem sobie sprawę z tego, że rezygnując ze stanowiska radcy Prokuratury Generalnej mój status pracowniczy w Akademii Handlowej uległby pogorszeniu. Aby zabezpieczyć się przed taką ewentualnością zażądałem podpisania ze mną i z innymi profesorami specjalnej umowy o pracę. Władze Szkoły i Fundacji wyraziły na to zgodę. Istotne postanowienia tej umowy przewidywały, że:

- §1. P. Górski obejmie z dniem 1 września 1938 r. stanowisko profesora nadzwyczajnego prawa cywilnego, handlowego i procesowego w Wyższej Szkole Handlowej w Poznaniu. (...)
- §3. P. Górski będzie otrzymywał pobory miesięczne z góry w tej samej wysokości netto co profesorowie nadzwyczajni państwowych szkół akademickich. (...) Wyższa Szkoła Handlowa zgłosi p. Górskiego do ubezpieczenia społecznego z dniem wystąpienia p. Górskiego z Prokuratury Generalnej. Wszelkie opłaty z tytułu ubezpieczeń społecznych ponosi Wyższa Szkoła Handlowa. (...)
- §5. Umowa niniejsza wiąże strony przez cały okres życia p. Górskiego. O ile by p. Górski nie uzyskał zgody (...) na prawo wykładania po dniu 1 lipca 1969 r., tj. po osiągnięciu przez p.

Górskiego 65-go roku życia, p. Górski otrzymywać będzie od Wyższej Szkoły Handlowej, począwszy od dnia 1 lipca 1969 r. do końca życia różnicę pomiędzy świadczeniami ZUS a uposażeniem emerytalnym przysługującym profesorom państwowych szkół akademickich.

- §6. Na wypadek śmierci p. Górskiego, zupełnej i niewątpliwej niezdolności do pracy w Wyższej Szkole Handlowej, względnie zwinienia WSH w Poznaniu przed dniem 1 lipca 1969 r., p. Górski wzgl. jego żona i ewentualne dzieci otrzymywać będą od WSH różnicę pomiędzy świadczeniami ZUS a uposażeniem emerytalnym wzgl. rentą wdowią i sierocą według zasad przewidzianych w przepisach emerytalnych odnoszących się do państwowych szkół akademickich z tym, że czas wysługi emerytalnej p. Górskiego liczyć się będzie od 20 lipca 1927 r., tj. od dnia objęcia przez p. Górskiego stanowiska aplikanta w Prokuraturii Generalnej.

Osiągnięcie stanowiska profesorskiego było spełnieniem moich ówczesnych aspiracji życiowych. Zrealizowane zostały warunki umożliwiające mi oddanie się w pełni pracy naukowej i dydaktycznej w Wyższej Szkole Handlowej i Uniwersytecie Poznańskim w oparciu o doświadczenie nabyte w ciągu z górą jedenastoletniej pracy w Prokuraturii Generalnej oraz w toku pełnienia różnych funkcji w życiu gospodarczym.

Ten stan zadowolenia i snucie dalszych projektów życiowych nie trwało długo. Rozgrywające się na przestrzeni roku akademickiego 1938/39 wypadki polityczne rzuciły swój złowrogi cień na życie zawodowe i prywatne każdego Polaka.

Coraz więcej znaków na niebie i ziemi zapowiadało nadchodzącą burzę. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że miążdzący walec hitleryzmu po aneksji Austrii, Czechosłowacji, Kłajpedy nie zatrzyma się u granic Polski, jeżeli nie napotka skutecznej tamy w formie silnego i zdecydowanego bloku antyhitlerowskiego.

Większość społeczeństwa ludziła się nadzieją, że nasz sojusz obronny z Francją i Wielką Brytanią będzie stanowił skuteczny środek odstraszący napastnika i że tym samym groźba wojny zostanie zażegnana. Wiemy, że interwencje naszych zachodnich sojuszników zostały przez Hitlera zlekceważone. Zawarty w Moskwie w dniu 23 sierpnia 1939 r. układ Mołotow-Ribbentrop usuwał ostatni hamulec na drodze postanowionej agresji.

## ROZDZIAŁ XII

## PRZED WYBUCEM II WOJNY ŚWIATOWEJ

Z osobistego punktu widzenia mógłbym zaliczyć rok akademicki 1938/39 do najpomyślniejszych w całym okresie dwudziestolecia międzywojennego. Osiągnąłem wówczas cel życiowy – tytuł i stanowisko profesora nadzwyczajnego oraz wysoką pozycję i zaufanie w środowisku prawniczym. Najlepszym tego dowodem było powierzenie mi funkcji arbitra i superarbitra w poważnych sporach majątkowych. W jednym tylko roku 1938/39 uczestniczyłem w ośmiu sądach polubownych.

Również i pozostali członkowie mojej rodziny osiągnęli stabilizację życiową. Brat Jan zakończył właśnie organizację swego gospodarstwa rolnego, uzyskując coraz lepsze wyniki. Brat Michał uzyskał stopień podporucznika w pułku kawalerii w Grudziądzu. Brat Władysław ukończył chlubnie studia prawnicze, mając zamiar – po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej – skorzystać z zaofiarowanego mu stypendium naukowego na wyjazd zagraniczny. Rodzice i siostry – Irena i Hanka – przenieśli się do Międzychodu, gdzie w oparciu o otrzymane od syna Jana dożywocie i drobną pomoc z mej strony, starali się zorganizować sobie samodzielną egzystencję.

W kraju, mimo napięć politycznych pomiędzy obozem rządzącym a usuniętą od wpływów opozycją, widoczne było wyraźne ożywienie w życiu gospodarczym. Po wieloletnim okresie kryzysu i zastoju nastąpił okres pomyślnej koniunktury, wyrażający się w podniesieniu produkcji rolnej i przemysłowej, we wzroście inwestycji przemysłowych i budownictwa mieszkaniowego, a co za tym idzie również we wzroście zatrudnienia i otwierania się pomyślnych widoków dla młodzieży zdobywającej określone kwalifikacje zawodowe. Mogłem to obserwować nie tylko na terenie miasta i województwa poznańskiego, ale przede wszystkim na polskim wybrzeżu morskim, w stolicy oraz w tzw. Centralnym Okręgu Przemysłowym (COP), który mieliśmy wraz z żoną sposobność zwiedzać w ramach kilkusetosobowej organizowanej w czerwcu 1939 r. wycieczki. Wydawało się, że głównie na skutek inicjatyw podejmowanych przez rząd i samorządy kraj zdoła wkroczyć na drogę prawidłowego rozwoju i zacznie odrabiać wiekowe zacofanie.

Tymczasem te optymistyczne horoskopy zaćmiewać zaczęły coraz bardziej niepokojące zjawiska polityczne. W Hiszpanii siły faszystowskie zdławiły – po trzyletniej walce – ustrój republikański. Większość społeczeństwa polskiego nie zdawała sobie sprawy z istoty rozgrywającej się tam tragedii. Prasa – z nielicznymi wyjątkami („Robotnik”, „Wiadomości Literackie”) – karmiła czytelników opisami rzekomych okrucieństw popełnianych przez siły wierne rządowi republikańskiemu oraz wspierające je międzynarodowe oddziały ochotnicze. Starano się urobić opinię społeczną w sensie przychylnym dla generała Franco. Przymykano oczy na rolę, jaką w odnoszonych przez niego „sukcesach” odgrywały regularne oddziały wojsk włoskich, a zwłaszcza niemieckich. Właści-

wa ocena rozgrywających się na Półwyspie Pirenejskim wypadków znalazła swój wyraz w rewelacyjnych reportażach Ksawerego Pruszyńskiego, publikowanych w „Wiadomościach Literackich”. Pruszyński udał się do Hiszpanii z ramienia i na koszt konserwatywnego dziennika „Czas”. Skierował się jednak na tereny zajmowane przez władze republikańskie i reportaże swe zamiast do „Czasu” kierował do „Wiadomości Literackich”. Było na ten temat sporo huk, ale okoliczności tej zawdzięczaliśmy autentyczną relację o tym, co się naprawdę w Hiszpanii dzieje i jakie mogą stąd wynikać skutki dla naszego kraju.

Skutki te w sposób jeszcze bardziej realny zreferował nam wczesną wiosną 1939 r. przybyły do Poznania korespondent „Dziennika Poznańskiego” w Paryżu, Kazimierz Kukucz. Jego zdaniem wojna domowa w Hiszpanii była dla Niemców i Włochów wspólnym poligonem doświadczalnym i stanowiła prolog do poważniejszych wydarzeń. Była po prostu wstępem do nowej wojny światowej, w której ważyć się będą przede wszystkim losy Polski. Nazwał też ślepotą polityczną wyrażane w Polsce przez przeważającą część prasy zadowolenie z wyników toczony w Hiszpanii walki.

My w Poznaniu – bez względu na przekonania polityczne – byliśmy zawsze szczególnie wyczuleni na sprawy niemieckie i pilnie obserwowaliśmy wszystko, co się dzieje za naszą granicą zachodnią. Wiedzieliśmy dobrze, że niepodległe państwo polskie już od samego początku było solą w oku polityków i militarystów niemieckich. Przeciwno naszemu krajowi kierowana była też szeroka i oszczercza propaganda. Raz nazywano nas *Räuberstaat*, jako że rzekomo nasz byt państwowy oparty był na „rabunku” ziem stanowiących składowe części Prus, Rosji i Austrii. Drugi raz urabiano o nas opinię jako o „państwie sezonowym” – *Saisonstaat*, nie mającym ani racji, ani podstaw trwałej egzystencji. Gospodarkę polską określano w znaczeniu ujemnym jako „*polnische Wirtschaft*”. Głoszono powszechnie, że Polacy to naród ciemny, bez własnej kultury, bez uzdolnień państwowo-twórczych. Cokolwiek w przeszłości naszej było pozytywnego – zawdzięczamy to wyłącznie twórczemu wkładowi elementu niemieckiego.

Z tego rodzaju urabianiem postawy społeczeństwa niemieckiego spotykaliśmy się zarówno w okresie zaborów, jak i w okresie międzywojennym. W wystąpieniach polityków wszelkiej maści, w prasie, literaturze, w wojsku i w szkole, w kościele i kole rodzinnym szerzono pogardę dla wszystkiego co polskie. Zniszczenie państwa polskiego było jednym z głównych celów polityki republiki weimarskiej, nastawionej na odzyskanie strat terytorialnych – przynajmniej na Wschodzie – poniesionych w wyniku I wojny światowej.

W traktacie z Rapallo z 1925 r.<sup>a)</sup> mocarstwa zachodnie, w zamian za dodatkowe uznanie przez Niemcy nienaruszalności granic zachodnich ustalonych w traktacie wersalskim, pominęły milczeniem sprawę trwałości niemieckich granic wschodnich, co w praktyce równało się pozostawieniu Niemcom wolnej ręki w ich zapędach rewizjonistycznych w stosunku do Polski. Stanowisko to oznaczało wyraźną porażkę dyplomacji polskiej, porażkę, którą koła rządowe starały się dyskretnie przemilczeć. Opozycja nadała jednak tej sprawie należyty rozgłos.

Jako student byłem na wiecu w sali kina „Apollo”, na którym sprawa Rapallo była szeroko przedstawiona przez znakomych polityków opozycji – Stanisława Strońskiego i Jerzego Zdziechowskiego. Byłem pod głębokim wrażeniem ich wywodów. Uświad-

<sup>a)</sup> Autor ma tutaj na myśli układ z Locarno. W Rapallo natomiast zostało zawarte w 1922 r. porozumienie niemiecko-radzieckie.

miłem sobie grożące Polsce niebezpieczeństwo wskutek politycznego osamotnienia w jakim się wówczas znaleźliśmy.

Rzecz jasna, że istotny sens traktatu z Rapallo rozumieli dobrze wszyscy, którzy interesowali się sprawami publicznymi. Traktat ten zachwiał w wysokim stopniu zaufanie do naszego sprzymierzeńca – Francji. W zamian za zawodne, jak się później okazało, gwarancje własnych granic, gotowa ona była poświęcić wówczas żywotne interesy polskie. Miało to swoje polityczne reperkusje w formie ochłodzenia stosunków polsko-francuskich, wroście antypolskiej propagandy, zahamowaniu dobrowolnego odpływu z Polski ludności niemieckiej, której organizacje i działalność gospodarcza subwencjonowane były z zewnątrz. W szczególny sposób dało się to zauważyć w latach kryzysu, kiedy to zarówno niemieccy właściciele ziemscy, jak i chłopci uzyskiwali wysokie kredyty „holenderskie”, zabezpieczone hipotecznie. Chodziło o umacnianie żywiołu niemieckiego w Polsce i utrzymywanie go w nadziei na ponowne przyłączenie naszych ziem do Rzeszy.

Z chwilą objęcia władzy przez Hitlera w 1933 r. zagrożenie niemieckie dla Europy, a szczególnie dla Polski, narastać zaczęło w sposób błyskawiczny. Zawarty w 1934 r. pakt o nieagresji z Polską stanowił jedynie zamaskowanie istotnych celów. Z niepokojem dowiadaliśmy się o uruchomieniu przez Rzeszę – wbrew postanowieniom traktatu wersalskiego – przemysłu zbrojeniowego na gigantyczną skalę, o wprowadzeniu obowiązkowej służby wojskowej, o obsadzeniu siłami zbrojnymi zdemilitaryzowanej strefy nadreńskiej – bez żadnej reakcji ze strony Francji i Anglii. Jeszcze większy niepokój wywołała wiadomość o zagarnięciu w marcu 1938 r. Austrii, a w jesieni tego roku – za zgodą Anglii, Francji i Włoch – obszaru czeskich Sudetów. Bez wystrzału zawładnięto na wiosnę 1939 r. należącym do Litwy obszarem Kłajpedy oraz podporządkowano sobie całą Czechosłowację.

Od otoczonej przez siły niemieckie od północy, zachodu i południa Polski żądał Hitler w formie ultimatum zgody na przyłączenie do Rzeszy obszaru Wolnego Miasta Gdańska, eksterytorialnego pasa łączącego Prusy Wschodnie z resztą Rzeszy oraz specjalnych przywilejów dla zamieszkałej w granicach Polski mniejszości niemieckiej.

Przedtem jeszcze wywierano na Polskę nacisk, aby przyłączyła się do planowanej przez Hitlera napaści na Związek Radziecki. Rząd Polski odrzucił oba te żądania w głośnym przemówieniu sejmowym ministra spraw zagranicznych Józefa Becka z 5 kwietnia 1939 r.<sup>b)</sup> Cały naród – bez różnicy poglądów politycznych – zaaprobował to stanowisko. Rozwścieczony napotkanym po raz pierwszy oporem, wypowiedział Hitler traktat o nieagresji z 1934 r.

Stanęliśmy bezpośrednio w obliczu grożącej nam wojny.

Większość społeczeństwa nie zdawała sobie sprawy, z jak silnym przeciwnikiem przyjdzie nam się zmierzyć, mimo że Niemcy bynajmniej nie taili stanu swego potencjału wojennego.

Pamiętam, że znany korespondent „Gazety Polskiej” w Berlinie, Kazimierz Smogorzewski, w szeregu udokumentowanych artykułów przedstawił organizację niemieckich sił zbrojnych, ich wyposażenie oraz rozmieszczenie. Oczywiście cały materiał czerpał

---

<sup>b)</sup> Wspomniane przemówienie sejmowe Józef Beck wygłosił 7 maja 1939 r. Natomiast 6 kwietnia, podczas wizyty Becka w Londynie podpisano dwustronny polsko-brytyjski układ gwarancyjny. Zawarcie tego układu Hitler uważał za zerwanie przez Polskę polsko-niemieckiego paktu o nieagresji ze stycznia 1934 r.

z oficjalnych źródeł niemieckich. Był to materiał prawdziwy.

Redaktor Smogorzewski bawił z żoną przejazdem w Poznaniu w czerwcu 1939 r. Wracał na posterunek berliński po przewiezieniu do Warszawy swego prywatnego archiwum. Razem z Józefem Winiewiczem spotkaliśmy się z nim na kolacji w „Bazarze”. Wypowiadał się bardzo pesymistycznie co do szansy uniknięcia wojny.

W tymże miesiącu bawił w Poznaniu przewodniczący Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, książę Janusz Radziwiłł. W gronie zaproszonych na spotkanie z nim 12 do 14 osób, do których i ja należałem, przedstawił w pesymistycznych barwach sytuację polityczną Polski. Za kilka dni przybył do mnie mój znajomy Jerzy Gertych, sędzia do spraw szczególnej wagi z Gdyni i wypytywał mnie o przebieg zebrania i osoby w nim uczestniczące. Okazało się, że jeden z uczestników spotkania, który dostał się na nie nieopatrznie wprowadzony przez jednego z zaproszonych, pułkownik w stanie spoczynku Wolbeck, przejęty z dawnej armii austriackiej, był szpiegiem niemieckim. Został on zatrzymany na stacji kolejowej w Tczewie i poddany rewizji. Znalaziono przy nim dokładne sprawozdanie ze wspomnianego spotkania. Sprawozdanie to zamierzał przekazać wywiadowi niemieckiemu w Gdańsku.

Dochodziły do nas wiadomości o codziennych szykanach i prowokacjach, jakich dopuszczały się w stosunku do urzędników i obywateli polskich w Gdańsku hitlerowskie władze tego miasta oraz bojówki. W coraz to nowych miejscowościach wykrywano tajne składy broni i amunicji gromadzone przez organizacje hitlerowskie w Polsce. Donoszono zewsząd o dezercji młodych Niemców i ich ucieczkach za granicę. Dochodziły również wiadomości o terrorze stosowanym wobec Polaków i organizacji polskich na terenie Rzeszy. Wiele z tych zdarzeń prasa polska pomijała milczeniem, nie chcąc – zgodnie z zaleceniami władz – stwarzać po stronie polskiej dalszych zadrażnień w tak napiętej sytuacji.

Spółeczeństwo Poznania, oburzone wysuwanymi przez rząd niemiecki roszczeniami i prześladowaniami ludności polskiej w Rzeszy oraz prowokacjami władz i bojówek hitlerowskich w Gdańsku, z własnej inicjatywy organizowało wiece protestacyjne i usiłowało manifestować przed niemieckim Konsulatem Generalnym, mającym swą siedzibę przy ul. Zwierzynieckiej. Celem zapobieżenia nieodpowiedzialnym incydentom, policja polska nie dopuszczała wielotysięcznych rzesz manifestantów, zagrządzając kordonem dojsię do gmachu konsulatu.

Wnikliwi obserwatorzy zdawali sobie sprawę z tego, że same manifestacje nie przyczynią się do wyjaśnienia napiętej sytuacji. Zastanawialiśmy się w gronie kolegów i przyjaciół, ku czemu zmierzają hitlerowcy. Coraz bardziej stawało się jasne, że podobnie jak w przypadku Czechosłowacji nie zadowolą się oni ani Gdańskiem, ani eksterytorialnym korytarzem przez Pomorze, ale zażądają ponownego przyłączenia do Rzeszy co najmniej Górnego Śląska, Wielkopolski i Pomorza, a może nawet dążyć będą – w myśl starych założeń – do całkowitego rozbioru państwa polskiego, aby uzyskać przez to dogodną odskocznnię do zapowiadanego przez Hitlera rozprawienia się z rosyjskim komunizmem.

Mimo tak poważnego zagrożenia zarówno sfery rządowe, jak i większość społeczeństwa ludziła się jeszcze w miesiącu maju, czerwcu, a nawet lipcu nadzieją, że Hitler, któremu udawało się dotąd osiągać wszystkie sukcesy w drodze bluffu i szantażu, nie podejmie ryzyka wojny i będzie czekał na lepszą okazję do przeprowadzenia swych planów.

W tym kierunku wypowiadała się część prasy. Ja również byłem w tym czasie podobnego mniemania, czemu dałem wyraz w kilku artykułach zamieszczonych w „Dzienniku Poznańskim”. Podstawę dla tego rodzaju stanowiska stwarzał przede wszystkim brak dostatecznych informacji co do stosunku siły militarnej własnej i przyszłego agresora. Znając zdecydowaną postawę całego społeczeństwa i wysokie morale naszej armii, przecenialiśmy niepomernie naszą siłę oporu, nie doceniając należycie wielokrotnej przewagi technicznej przeciwnika.

Zbytnią wiarę pokładaliśmy w odstraszejacą siłę naszych sojuszków z Francją i Wielką Brytanią, w ich szczercą chęć i faktyczną możność natychmiastowego przyjscia nam z pomocą w wypadku nie sprowokowanej przez nas napaści hitlerowskiej.

Liczyliśmy dalej, w oparciu o pakt nieagresji, na neutralność Związku Radzieckiego, bynajmniej nie zainteresowanego hitlerowską ekspansją w Europie. Polska – jak wiadomo – nie uległa wywieranemu przez Niemcy i Włochy naciskowi i odrzuciła stanowczo proponowany jej na początku 1939 r. sojusz antyradziecki. Mogła więc oczekiwać podobnej postawy ze strony rządu radzieckiego. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że w międzyczasie przygotowywany był projekt tajnego paktu Ribbentrop–Mołotow, podpisanego na Kremlu 23 sierpnia 1939 r., a przekreślającego wszystkie nasze rachuby w tym względzie.

W tych nabrzmiałych groźbą hitlerowskiej napaści miesiącach społeczeństwo polskie zachowało podziwu godny spokój i zdyscyplinowanie. Życie codzienne biegło normalną koleją.

Wspomniałem o zorganizowanej w Poznaniu w czerwcu 1939 r. wielkiej wycieczce krajoznawczej do Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP), w czasie której zwiedziliśmy pracującą pełną parą zakłady przemysłowe w Skarżysku-Kamiennej, Stalowej Woli, Rzeszowie, Dębicy i Mościcach. Wielu z uczestników wycieczki zbierało informacje co do możliwości przeniesienia do tych pełnych rozmachu stron własnych placówek rzemieślniczych, drobnych zakładów przemysłowych i handlowych, która to idea była mocno popierana przez poznańskie koła rzemieślnicze i przemysłowo-handlowe.

Szkoły wyższe, średnie i podstawowe kończyły spokojnie rok szkolny i czyniły przygotowania do rozpoczęcia w jesieni nowego roku szkolnego. W czerwcu 1939 r. uczestniczyłem razem z profesorem Witoldem Skalskim w dwóch konferencjach w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Jedna z nich poświęcona była zatwierdzeniu statutu Akademii Handlowej i utrzymującej ją Fundacji oraz przyznaniu tej Uczelni prawa nadawania stopni magisterskich. Sprawa została załatwiona pozytywnie.

Druga konferencja, w której uczestniczyli przedstawiciele izb przemysłowo-handlowych oraz wszystkich wyższych uczelni handlowych w Polsce, poświęcona była zapewnieniu studentom tych uczelni praktyk w przedsiębiorstwach handlowych i przemysłowych. Konferencji przewodniczył ówczesny minister, prof. Wojciech Świętosławski. Chodziło o sprawę niezwykle żywotną dla naszej młodzieży. Jak wiadomo, przeważająca część większych prywatnych zakładów przemysłowych i handlowych w kraju znajdowała się wówczas w rękach niepolskich. Właściciele tych przedsiębiorstw – z wiadomych względów – odmawiali przyjmowania na praktykę i do pracy studentów i absolwentów polskich uczelni ekonomiczno-handlowych – Polaków. Toteż przeważająca ich część, jeżeli nie znalazła zatrudnienia w przedsiębiorstwach



państwowych i spółdzielczości, szukała pracy w urzędach skarbowych, szkolnictwie i innych instytucjach pozagospodarczych. W tej sytuacji utrudnione było przygotowanie kadry polskich ekonomistów do zajmowania kierowniczych stanowisk w różnego rodzaju przedsiębiorstwach, a nie – jak było dotąd – spychanie ich do roli urzędników administracyjnych.

Trzeba z goryczą powiedzieć, że ówczesni przedstawiciele większości izb przemysłowo-handlowych, kierując się wskazówkami określonych grup, sprzecznymi z interesem ogólnonarodowym, zdecydowanie sprzeciwiali się idei nałożenia na istniejące w Polsce przedsiębiorstwa obowiązku zapewnienia studentom odpowiednich praktyk wakacyjnych czy dyplomowych.

Przytaczam ten szczegół dlatego, aby zrozumieć, jak trudno było przed wojną we własnym państwie zapewnić polskiej młodzieży praktyczne przygotowanie do pełnienia funkcji rzeczywistych menedżerów życia gospodarczego.

Z nastaniem wakacji wiele osób, jak zwykle, udało się na wypoczynek w góry i nad morze. Lato tego roku było wyjątkowo piękne.

Ja miałem zaplanowany wyjazd statkiem morskim do Belgii. Chodziło mi o bliższe zapoznanie się z funkcjonowaniem tamtejszych portów i żeglugi oraz o nawiązanie kontaktów ze znanym w Polsce Institut Supérieur de Commerce w Antwerpii. Wyjazd zorganizował mi pracownik Żeglugi Polskiej, absolwent Akademii Handlowej, mgr Józef Mertka. Otrzymałem od niego wiadomość, że statek „Poznań” odjedzie do Gandawy w czwartek dnia 6 lipca wieczorem. Tymczasem w niedzielę 2 lipca rano, kiedy jeszcze byłem w łóżku, zgłosili się do mnie przedstawiciele Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu z prośbą o podjęcie się funkcji superarbitra w sporze z dzierżawcą dwóch majątków państwowych położonych w powiecie strzelińskim, kapitanem rezerwy Wata-Skrzydlewskim.

W związku z zakończeniem w dniu 30 czerwca 1939 r. 18-letniej dzierżawy (1921–1939) Dyrekcja przejmowała majątki, które miały być przeznaczone na parcelację. Powstał między stronami spór, w jakim stanie zasiewów, zapasów i inwentarza żywego i martwego oraz za jakim wynagrodzeniem dzierżawca obowiązany był majątki przekazać, a dyrekcja odebrać. Spór, którego wartość wynosiła kilkaset tysięcy złotych, musiał być rozstrzygnięty bezzwłocznie z uwagi na nadchodzące żniwa. Nie można było czekać ze sprawą do czasu mego powrotu z Belgii, a z planowanego rejsu nie chciałem rezygnować. Znalazłem się więc w kłopotliwej sytuacji. Po krótkiej chwili wahania zgodziłem się na podjęcie powierzonego mi zadania. Miałem dużo doświadczenia w sprawach polubownych. Toteż bezzwłocznie podyktowałem żonie konieczne zarządzenia. Termin rozprawy wyznaczyłem na środę 5 lipca, godz. 9 rano w dzierżawionym majątku. O terminie powiadomiłem pisemnie i telegraficznie strony, ich pełnomocników oraz wyznaczonych arbitrów. Jednocześnie wyznaczyłem dwóch rzeczoznawców rolnych, którzy mieli udać się na miejsce i w ciągu 3 i 4 lipca dokonać oceny spornego inwentarza żywego i martwego oraz przygotować odpowiedni materiał na dzień rozprawy. Dzierżawca został powiadomiony, że ja i inne osoby mające uczestniczyć w rozprawie, a zamieszkałe w Poznaniu, przyjedziemy pociągiem rannym do stacji Mogilno. Miały na nas oczekiwać pojazdy. Wszystkie zarządzenia zostały dokładnie wykonane.

Pan Watta-Skrzydlewski, kiedy mnie ujrzał, był mocno zdziwiony – jeżeli wręcz nie przerażony. Był przekonany, że mający pełnić funkcję superarbitra profesor będzie człowiekiem starszym i poważnym, a tymczasem zjawił się młody człowiek w jasnym ubraniu, który miał decydować w sposób ostateczny o jego sytuacji majątkowej.

Napięcie pękło, kiedy oświadczyłem, że jestem głodny i przed przystąpieniem do sprawy wszystkim uczestnikom należy się uczciwe śniadanie. Dopiero kiedy to życzenie zostało w wyborny sposób spełnione, sąd polubowny wraz ze stronami i ich przedstawicielami dokonał dokładnych oględzin majątku. Mogliśmy podziwiać wspaniałą urodzaj na polach – zresztą w owym roku powszechny w całym kraju, wspaniałą stan inwentarza żywego i martwego, wzorowy ład na podwórzach i w budynkach.

Mając przygotowane przez rzeczoznawców zestawienia i wyceny, sąd polubowny mógł stosunkowo łatwo wydać orzeczenie zgodne z postanowieniami kontraktu i ogólnymi warunkami dzierżawy oraz z zasadami racjonalnej gospodarki. Nie budził zastrzeżeń stan budynków, zasiewów ani zapasów paszowych, które przypadały Dyrekcji Lasów bezpłatnie. Natomiast dzierżawca uprawniony był do otrzymania wynagrodzenia za pozostawiony inwentarz, o ile stanowił on przynależność majątku. Inwentarza tego było w nadmiarze. Ustaliliśmy więc, że Dyrekcja nie jest obowiązana przejąć zbędnych maszyn i innych urządzeń oraz przeznaczonych na sprzedaż sztuk bydła, świń i koni. Przedmioty te pozostawiono do dyspozycji dzierżawcy. Pozostałą część inwentarza zobowiązaną została przejąć Dyrekcja Lasów Państwowych za zapłatą ustalonej w orzeczeniu kwoty.

Treść orzeczenia opracował sąd polubowny na posiedzeniu zamkniętym, wysłuchując jedynie zdania rzeczoznawców. Czynności te zajęły nam cały dzień. Dopiero wieczorem zaproponowaliśmy zawarcie odpowiedniej ugody. Ponieważ przedstawiciel Prokuratury Generalnej nie czuł się upoważniony do zawarcia bezwarunkowej ugody, przeprowadzona została formalna rozprawa, po której sąd polubowny ogłosił wyrok wraz z uzasadnieniem o godz. 2 w nocy. Obydwie strony były z rozstrzygnięcia zadowolone i przystąpiły bezzwłocznie do jego wykonania.

Po ogłoszeniu wyroku odjechałem do Poznania, skąd najbliższym pociągiem pojechałem do Gdyni, aby zdążyć na statek odchodzący do Belgii.

Już po moim wyjeździe do Belgii strony wpłaciły na moje konto ustalone w wyroku honorarium dla członków sądu polubownego w kwocie 7000 złotych.

Statek „Poznań” pod dowództwem kapitana Deyczakowskiego (który poniósł śmierć w czasie wojny pod Narwikiem) odpłynął z ładunkiem węgla dopiero we wczesnych godzinach rannych w piątek 7 lipca 1939 r. Zgodnie z otrzymaną instrukcją zaokrętowałem się już poprzedniego dnia wieczorem. Zgłaszając się na statek, nie miałem żadnego dokumentu upoważniającego mnie do odbycia podróży. W biurze Żeglugi Polskiej powiedziano mi, że należność za przejazd obliczona zostanie po powrocie z Belgii. Kapitanowi zaś miałem jedynie oświadczyć, że mam przejazd uzgodniony z armatorem. Uwierzył mi. Nikomu przed wojną nie przyszłoby na myśl podejrzewać profesora wyższej uczelni o nierzetelność w życiu potocznym i nieuczciwość w zakresie wywiązywania się z zobowiązań finansowych.

Ponieważ statek nie był przystosowany do przewożenia pasażerów, otrzymałem do dyspozycji jedną z wolnych kabin marynarskich.

Dopiero znalazłszy się na morzu zrozumiałem w pełni grożące niebezpieczeństwo wojny. Po drodze spotykaliśmy co chwila na Bałtyku statki niemieckie płynące na wschód, niewątpliwie z ładunkiem materiałów wojennych przewożonych do baz w ówczesnych Prusach Wschodnich. W miarę zbliżania się do Kilonii dochodziły nas echa ćwiczeń przeprowadzanych przez Kriegsmarine i Luftwaffe.

Na statku stałym tematem dyskusji były sprawy grożącej nam wojny. Kapitan Deyczakowski pokazał mi w zaufaniu zapieczętowaną kopertę, w której zawarte były instrukcje dla kierownictwa statku na wypadek wybuchu wojny w czasie odbywania podróży. Treść instrukcji nie była mu znana. Rozważaliśmy więc teoretycznie, do czego kapitan może być zobowiązany, aby statek i ładunek ochronić przed zagarnięciem go przez nieprzyjaciela. Na statku panował stan pogotowia. Aparat radiowy czynny był bez przerwy przez całą dobę.

Szczęśliwie miniliśmy bez przeszkód Kanał Kiloński i dotarliśmy do celu podróży, czyli do Gandawy.

Zajęty zwiedzaniem tego miasta i jego zabytków nie miałem ani czasu, ani sposobności obserwowania jakiegoś niepokoju w związku z grożącą wojną. Dopiero gdy się znalazłem w Ostendzie, gdzie spędziłem około 10 dni, byłem zaskoczony zastaną tam sytuacją. Mimo pełnego sezonu kąpielowego (a wówczas tamtejsze wody morskie były jeszcze stosunkowo czyste) ogromna ilość tamtejszych wspaniałych hoteli świeciła pustkami. Z obawy przed wybuchem wojny zawiedli zagraniczni goście. Przedsiębiorcy i zwykli mieszkańcy miasta byli tym żywo zaniepokojeni. Mieszkając w tanim pensjonacie mogłem uczestniczyć w prowadzonych na temat wojny dyskusjach. Mówiło się o wycofywaniu wkładów bankowych, o zaopatrywaniu się w złoto, o przypuszczalnym kierunku dalszej ekspansji hitlerowskiej. Z pewną ulgą mówiło się o tym, że tym razem wojna niewątpliwie rozgrywać się będzie na Wschodzie i Belgii nie grozi powtórzenie się sytuacji z 1914 r.

Goście angielscy pojawiali się w Ostendzie tylko w ramach weekendów. Przypadkowo na werandzie kawiarni przysiadło się do mnie dwóch Anglików, którzy właśnie przyjechali na sobotnio-niedzielny wypoczynek. Byli to panowie w wieku około 50 lat, kombatanci z I wojny światowej. Zapytałem ich, jak zapatrują się ludzie w Anglii na ewentualność nowej wojny i czy w wypadku napaści Niemiec na Polskę Anglia przyjdzie nam z pomocą. Oświadczyli, że w Anglii bierze się pod uwagę możliwość wojny, choć przeważa opinia, że uda się jej zapobiec. O przyjsciu z pomocą Polsce zadecyduje Rząd Jego Królewskiej Mości. Obywatele – choć bez entuzjazmu – wypełnią rozkazy rządu. Moi rozmówcy wyraźnie oświadczyli, że osobiście mają dosyć pierwszej wojny.

W czasie mego pobytu w Belgii odbywała się w Liège wielka międzynarodowa Wystawa Wodna (L'Exposition de l'Eau). Pojechałem na nią. Przejazd pociągiem pośpiesznym z Ostendy do Liège, czyli z jednego krańca kraju do drugiego, trwał dwie godziny! Z położonej w centrum kraju Brukseli odległość do każdego zakątka Belgii wynosi przeciętnie jedną godzinę jazdy koleją!

Również i w Liège tchnęło wojną. We wspaniale zorganizowanej ekspozycji międzynarodowej brały udział jedynie Belgia, Francja i Niemcy. Wszystkie inne potęgi morskie wycofały się – z uwagi na międzynarodową sytuację – z udziału w tej imprezie. Właśnie w dniu mego pobytu w Liège zwiedzał wystawę ówczesny prezydent Francji

Lebrun<sup>c)</sup> w towarzystwie króla belgijskiego Leopolda III<sup>d)</sup>. Przez przypadek znalazłem się w bezpośrednim sąsiedztwie ich orszaku i mogłem dość dokładnie słyszeć udzielane im wyjaśnienia. Prezydent Lebrun był z wykształcenia inżynierem i zadawał informatorom szczegółowe pytania natury technicznej.

Po zwiedzeniu Brukseli i Brugii, najwięcej czasu poświęciłem zwiedzaniu miasta i portu w Antwerpii. Zebrałem sporo interesującego mnie materiału marynistycznego. Zapoznałem się też z funkcjonującym tam Institut Supérieur de Commerce. Stwierdzić wówczas mogłem postępujący upadek tej dobrej i praktycznie prowadzonej uczelni ekonomiczno-handlowej typu nieakademickiego, w której uzyskało dyplomy wielu Polaków.

Kiedy około połowy sierpnia zbliżał się czas powrotu do Polski, udałem się do agenta Żegluga Polskiej w Antwerpii – firmy Kennedy-Hunter – aby poinformować się o pobycie polskiego statku w porcie. Okazało się, że właśnie ładuje drobnicę statek „Cieszyn” w basenie 136. Udałem się tam nazajutrz rano.

Przyjął mnie dość opryskliwie kapitan Szworc, który goląc się nie obejrzał się nawet, gdy wszedłem do jego kajuty. „Panie Kapitanie – powiedziałem – pragnę powrócić Pańskim statkiem do Gdyni”. „To niech Pan wykupi bilet pasażerski w firmie Kennedy-Hunter”. – „Ale ja mam zapłacić za przejazd dopiero po powrocie” – odpowiedziałem. „Jak się Pan dostał do Belgii?” – „Przyjechałem przed miesiącem na statku „Poznań” z kapitanem Deyczakowskim”. – „Gdzie ma Pan dowód?” – „Nie mam żadnego, gdyż kapitan Deyczakowski oświadczył, że gdy się do Pana zwrócę osobiście, będę mógł korzystać z powrotnego przejazdu”. – „Kim Pan jest?” Wyjaśniłem. Przyjrzał mi się bystro i oświadczył: „Odjeżdżamy o czternastej. Należy przybyć na statek już przed dwunastą”.

Zastosowałem się do tego i odplynęliśmy punktualnie z uwagi na zależność przepustowości śluz od przyływu i odpływu morza. Dopiero w czasie rejsu poznałem, jakim interesującym człowiekiem jest nasz kapitan. W przeciwieństwie do młodego i wysoce inteligentnego kapitana Deyczakowskiego, absolwenta polskiej Szkoły Morskiej, kapitan Szworc był starym doświadczonego praktykiem, pełniącym funkcje podoficerskie w dawnej niemieckiej marynarce wojennej. Mimo swej zewnętrznej szorstkości i rubaszości, był lubianym przez marynarzy przełożonym i sympatycznym kompanem przy stole. Łatwo więc nawiązaliśmy w ciągu podróży przyjazne stosunki.

Poza mną wracało do Polski pięć czy sześć studentek i studentów narodowości żydowskiej. Nie przeczuwali losu, jaki mieli im w najbliższej przyszłości zgotować hitlerowscy najeźdźcy.

Gdy znaleźliśmy się w rejonie Kanału Kilońskiego, przejazdowi naszemu towarzyszyły już różnego rodzaju wrogie okrzyki, wygrażanie pięściami, a w rejonie Zatoki Kilońskiej wzmożone manewry morskie i powietrzne.

Toteż z uczuciem ulgi przybiliśmy do Gdyni w piękny, słoneczny dzień sierpniowy, tuż przed zachodem słońca. Umówiłem się z kapitanem Szworcem, że spotkamy się razem z naszymi żonami o godz. 22 na kolacji w znanej przedwojennej restauracji przy ul. Świętojańskiej.

Przedtem żona zaprowadziła mnie na koncert Jana Kiepury. Koncert ten odbył

<sup>c)</sup> Albért Lebrun, 1871–1950. W l. 1918–1919 minister różnych resortów; 1932–1940 prezydent III Republiki.

<sup>d)</sup> Leopold III, 1901–1983. Król Belgów 1934–1951; abdykował na rzecz syna Baudouina I.

się na wolnym powietrzu na placu przed Nabrzeżem Kościuszkowskim w fantastycznej, naturalnej scenerii. Wygwieżdzone sierpniowe niebo, nieprzebrane tłumy publiczności, a w muszli koncertowej oświetlonej reflektorami ukazał się Jan Kiepura ubrany w biały frak. Gdy umilkły powitalne oklaski, Jan Kiepura – jak to było w jego zwyczaju – wygłosił przemówienie, tym razem nawiązujące do groźnej sytuacji, w jakiej znalazła się Polska zagrożona wojną z Niemcami. W przemówieniu tym m.in. wyraził się, że Göring i Goebbels mienia się być jego przyjaciółmi, lecz gdyby Niemcy miały zaatakować Polskę, to „pluje na ich przyjaciół”. Przemówienie to było przyjmowane entuzjastycznymi oklaskami. Następnie rozpoczął się wspaniały koncert.

Było to w drugiej dekadzie sierpnia 1939 r. Szczęśliwie udało się Kiepurze wyjechać z Polski jeszcze przed wybuchem wojny. W przeciwnym bowiem razie – w związku z jego przemówieniem – jako jeden z pierwszych byłby zaaresztowany przez gestapo i spotkałby go los Kusocińskiego i innych.

Korzystając ze wspaniałej pogody spędziliśmy z żoną kilka dni na Wybrzeżu. W tym czasie zrobiliśmy statkiem wycieczkowym krótki wypad do Gdańska. Oczy wszystkich pasażerów zwrócone były z zadumą na dwa obiekty: na Westerplatte, gdzie pełniła straż nieliczna polska załoga i na zacumowany naprzeciwko niemiecki pancernik Schleswig-Holstein. Nikt z nas nie miał wątpliwości co do tego, jaki cel miał jego przedłużający się postój w porcie gdańskim.

Tymczasem wśród wczasowiczów dał się zauważyć wyraźny niepokój. Dużo zamieszania spowodowało zniknięcie z obiegu drobnej monety – bilonu i srebrnych dwu-, pięcio- i dziesięciozłotówek. Za papierowe banknoty nie można było nabyć drobnych przedmiotów, zapłacić rachunku w kawiarni czy restauracji, a nawet zakupić biletów kolejowych, gdyż sprzedający nie byli w stanie wydać reszty. W tym stanie rzeczy, nie czekając końca urlopów, pakowano się pośpiesznie i wyjeżdżano do miejsc zamieszkania.

Powróciliśmy i my. Pojechałem bezzwłocznie do rodziców i rodzeństwa w Międzychodzie, aby poinformować ich o sytuacji. Doradzałem, żeby w razie wybuchu wojny pozostali na miejscu. Wychodziłem z założenia, że obszar nadgraniczny nie będzie terenem walk, tym bardziej, że w okolicy Międzychodu nie było żadnego zgrupowania polskich oddziałów wojskowych.

W Poznaniu z dnia na dzień umacniało się w opinii mieszkańców przekonanie, że wojna jest nieunikniona. Wskazywały na to zarządzenia dotyczące zaciemniania miasta, przygotowania do obrony przeciwlotniczej, wykańczanie wcześniej już rozpoczętych schronów, zalecenia dla ludności, aby robiła co najmniej dwutygodniowe zapasy żywnościowe (zaopatrywanie sklepów było tak dobrze zorganizowane, że każdy mógł zakupić dowolną ilość podstawowych artykułów spożywczych). Ponadto wydane zostały zarządzenia dotyczące ewakuacji szpitali wojskowych i rodzin wojskowych. Wreszcie w ostatnich dniach sierpnia ukazały się ogłoszenia dotyczące mobilizacji. Wszyscy żyli w napięciu, nasłuchując komunikatów radiowych i informując się wzajemnie o wydarzeniach.

Przezorniejsi podejmowali depozyty bankowe, zakopywali względnie zamuroywali cenniejsze przedmioty. W zasadzie nikt nie opuszczał swego miejsca zamieszkania. Funkcjonowały urzędy, banki, fabryki, przedsiębiorstwa handlowe, rzemieślnicze. Rolnicy kończyli zbiór zbóż.

Dla kół uniwersyteckich dużym zaskoczeniem była wiadomość, że dotychczasowy

rektor prof. Antoni Peretiatkowicz, którego kadencja upływała 31 sierpnia 1939 r., zrzekł się stanowiska profesorskiego, przyjął nominację na sędziego Najwyższego Trybunału Administracyjnego, zlikwidował mieszkanie w Poznaniu i przeniósł się z rodziną do Warszawy. Może uważał Warszawę za bezpieczniejszą od Poznania.

W dniu 25 sierpnia 1939 r. w godzinach popołudniowych wpadł do nas brat żony – Janusz Zaremba. Jak już wspominałem przedtem, był on asesorem Sądu Powiatowego w Kaliszu. Miał już na sobie mundur podporucznika 7 dak (dywizjon artylerii konnej). Spieszył się bardzo i nie można było dłużej porozmawiać, nie był również w stanie powiedzieć, kiedy znów się pokaże. Był to koniec miesiąca i z pensji asesorskiej mało już mu pozostało. W pułku na razie również nie było wypłat. Zaopatrzyliśmy go więc trochę w gotówkę. Pożegnaliśmy się normalnie słowami „do widzenia, a pokaż się niedługo”. Ciągle jeszcze żyło się podświadomie nadzieją, że do wojny nie dojdzie. Ani przez myśl nie przeszło nam wówczas, że widzimy się po raz ostatni w życiu.

Dopiero z nadzwyczaj interesującej książki *Wspomnienia z wrześniowych dni*<sup>e)</sup>, a w szczególności ze wspomnień prof. Zygmunta Konrada Nowakowskiego, również oficera rezerwy 7 dak, dowiedzieliśmy się, że dywizjon opuścił Poznań tego samego dnia o godzinie osiemnastej.

W dniu 1 września nie słuchaliśmy rannego komunikatu radiowego. O agresji niemieckiej dowiedziałem się dopiero w godzinach przedpołudniowych w Akademii Handlowej, gdzie – podobnie jak w innych instytucjach – wypłacano wszystkim pracownikom trzymiesięczne pobory.

Żona dowiedziała się o wybuchu wojny z ulicznego głośnika radiowego około godziny 10 na osiedlu Warszawskim. Transmitowane było przemówienie prezydenta Mościckiego rozpoczynające się od słów: „Dziś o godzinie 4 rano odwieczny wróg naruszył granice Polski...”<sup>f)</sup> W godzinach przedpołudniowych Poznań przeżył pierwszy nalot. Zbombardowane zostało lotnisko wojskowe na Ławicy, dalej szereg budynków na Jeźycach, Łazarzu i Chwaliszewie. W najbliższym sąsiedztwie naszego domu uszkodzony został przez bombę budynek szkoły gospodarczej. Z dachu naszego domu wojskowy posterunek przeciwlotniczy ostrzeliwał z karabinu maszynowego nadlatujące bombowce. Nie odnosiło to jednak żadnego skutku, gdyż samoloty leciały na znacznej wysokości. Ironią losu było, że odłamkiem bomby raniony został jeden z żołnierzy obsługi, który był obywatelem polskim narodowości niemieckiej.

W ten sposób wkroczyliśmy w niemal sześćioletni okres II wojny światowej.

<sup>e)</sup> Wyd.: Poznań 1975.

<sup>f)</sup> Według: I. Mościcki, *Autobiografia* / wstęp, przypisy oraz wybór wywiadów i deklaracji publicznych Marian Marek Drozdowski. Warszawa, Wydaw. Bellona 1993, przemówienie to zaczynało się od słów: „Obywatele, tej nocy nasz odwieczny wróg napadł na Państwo Polskie bez wypowiedzenia wojny. Stwierdzam to wobec Boga i Historii. [...]”.

## ROZDZIAŁ XIII

## CZASY WOJENNE (1939–1945)

Niemcy uderzyli na Polskę całą swą potęgą. Ich samoloty i czołgi już od pierwszego dnia sparaliżowały życie gospodarcze i społeczne w dużej części kraju.

Nie podjęły w dniu 1 września swej działalności szkoły. Stała poważna część zakładów przemysłowych. Wstrzymali prace polowe rolnicy. W wyniku bombardowań zamarł transport kolejowy, a w Poznaniu również ruch tramwajowy. Ustały dostawy środków żywnościowych. Pracowały tu jedynie wodociągi, elektrownia, gazownia i szpitale, a częściowo również piekarnie i sklepy spożywcze. We wszystkich województwach zachodnich przeprowadzano ewakuację urzędów i rodzin wojskowych. Do miejsca przeznaczenia dotarły tylko te pociągi, które wyjechały przed wybuchem wojny. Pociągi formowane w dniu 1 września 1939 r. były na trasie bombardowane lub nie mogły kontynuować podróży, natrafiając na drodze na poniszczone bombami tory. Ewakuacji podlegał też inwentarz żywy, zwłaszcza z większych majątków. Stada bydła pędzono w kierunku wschodnim.

W związku z radiowym wezwaniem władz, ogłoszonym po dniu 1 września, kierowali się na wschód pojedynczo i grupowo, piechotą i na rowerach, mężczyźni młodzi i w sile wieku, którzy nie zostali objęci ogłoszoną na kilka dni przed wybuchem wojny mobilizacją. Chcieli zgłosić się ochotniczo do wojska, aby walczyć z najeźdźcą.

Wraz z nimi uchodziły często całe rodziny, posługując się wszelkimi środkami transportu drogowego – począwszy od wozów, powozów, bryczek, samochodów, a na wózkach dziecięcych kończąc. Duża część uchodźców szła piechotą z plecakami, workami itp. Całe te masy ludzkie kierowały się nadzieją, że gdzieś w Polsce centralnej nastąpi zatrzymanie naporu armii hitlerowskiej i zorganizuje się regularny front walki. Łudzono się, że po wypowiedzeniu w dniu 3 września 1939 r. wojny przez Anglię i Francję faktycznie nastąpi ze strony tych państw akcja militarna, która zmusi agresora do rozdzielenia swych sił na dwa fronty.

Fala uchodźców z zachodnich powiatów województwa poznańskiego dotarła do Poznania w dniach 2 i 3 września. Wycofywanie się oddziałów wojskowych i wiadomość, że w nocy z 4 na 5 września mają być wysadzone mosty na Warcie, sprawiły, że do fali uchodźców dołączyła się poważna część mieszkańców Poznania. Przyczyniło się to walenie do przeciążenia szosy warszawskiej i do wybuchu dalszej paniki wśród ludności tych miast i osiedli, przez które fala ta się przelewała.

Ani ja, ani żona nie zamierzaliśmy opuszczać Poznania. Już w miesiącach wiosennych żona, podobnie jak wielu mieszkańców Poznania, przeszła przeszkolenie LOPP (Liga Obrony Powietrznej Państwa) i została ustanowiona „komendantem” dużego, obliczonego na 400 osób schronu przeciwlotniczego, mieszczącego się pod obecnym kinem „Bałtyk” i w przyległej części piwnic, które w tym celu zostały opróżnione i pozbawione drewnianych przegród. Schron ten był w pełni wykorzystany zaraz w pierwszym dniu wojny, tj. 1 września, kiedy to w godzinach przedpołudniowych

nastąpił pierwszy nalot połączony z bombardowaniem. W godzinach popołudniowych nastąpił drugi nalot. Również w dniu 2 września był Poznań bombardowany. Funkcję komendanta schronu pełniła żona aż do 4 września. Udzielaliśmy pomocy i noclegów uchodźcom z prowincji, m.in. ewakuowanej z pobliskiej miejscowości żonie kolejarza, która zaraz pierwszego dnia wojny wraz z dwoma małymi dziećmi na rękach oraz dwoma już samodzielnie chodzącymi szukała w czasie nalotu schronienia w naszym schronie. Zabraliśmy całą rodzinę do naszego mieszkania. W dniu 2 września przyproceedziła żona dwóch spotkanych na ulicy więźniów wypuszczonych z Wronek w drewniakach i ubiorze więziennym. Dotarli oni pieszo do Poznania w stanie dużego wyczerpania. W więzieniu odwykli od pokonywania pieszo tak dalekiej przestrzeni. Dowiedzieliśmy się od nich, że jeden z nich odsiadywał karę za zabójstwo teścia, a drugi za napad rabunkowy. Odpoczywali u nas ponad dobę, zachowując się wzorowo. Daliśmy im używane ubrania cywilne i obuwie, aby mogli zrzucić odzież więzienną. Ponieważ władze polskie zarządziły z chwilą wybuchu wojny wypuszczenie na wolność wszystkich więźniów – szły ich szosami całe gromady, co mogliśmy obserwować w następnych dniach. To już nie byli przestępcy, ale zatroskani obywatele, gotowi każdej chwili wstąpić w szeregi wojskowe i walczyć z najeźdźcą, co też wielu z nich zdołało uczynić.

W niedzielę 3 września „nasi” przestępcy odprowadzili na pociąg ewakuacyjny PKP przebywającą u nas wraz z dziećmi żonę kolejarza. Po odjeździe pociągu przyszli się pożegnać i udali się w dalszą drogę.

Tegoż dnia wieczorem odwołany został stacjonujący w naszym mieszkaniu wojskowy posterunek przeciwlotniczy. Jego dowódca, kapitan Frankowski, żegnając się z nami prosił o zaopiekowanie się jego żoną, która – chcąc być razem z mężem – sprowadziła się do nas. Zostało ustalone, że w wypadku gdyby zaszła konieczność opuszczenia Poznania, p. Frankowska pójdzie razem z nami. Kapitan poinformował nas przy tym poufnie, że reszta oddziałów wojskowych i jednostki administracji państwowej mają opuścić Poznań następnego dnia.

W dniu 4 września w południe otrzymałem z Województwa zalecenie opuszczenia Poznania. Skłoniło nas to do zmiany naszego postanowienia nie opuszczania Poznania. Spakowaliśmy co się dało do plecaków i razem z panią Frankowską, adwokatem Alfredem Samolińskim, jego żoną i jednym z naszych lokatorów, wyruszyliśmy późnym popołudniem piechotą w stronę Swarzędza. Sklepy były jeszcze pootwierane. W mieście panował spokój. Było nam wstyd, że wychodzimy. Jakkolwiek nie byliśmy zbyt obciążeni bagażem, to jednak każdy kilometr powodował wzrastające zmęczenie. Jeszcze przed dojściem do Swarzędza postanowiliśmy na drugi dzień powrócić do Poznania.

Noc spędziliśmy w Swarzędzu w mieszkaniu krewnych pani Frankowskiej. Było już jasno, kiedy obudził nas ogromny hałas: dzwonienie, trąbienie, krzyki. Zobaczyliśmy przez okno potok różnorodnych pojazdów: śmieciarki, wozy straży pożarnej, ciężarówki, wozy konne, samochody – wszystko to „oblepione” ludźmi oraz nieprzebrane pieszce tłumy zdyszanych i zmęczonych kobiet, mężczyzn, młodzieży, dzieci. Okazało się, że było to gromadne wyjście z Poznania w związku z wysadzeniem mostów na Warcie.

Fakt wysadzenia tych mostów przekreślał nasz zamiar powrotu do domu. Pożegnaliśmy gościnnych gospodarzy i ruszyliśmy dalej w kierunku Wrześni piechotą. Na szosie Poznań–Warszawa panował niesamowity tłok. Tuż za Kostrzyniem zauważyliśmy przejeżdżające obok nas załadowane wozy, zaprzężone we wspaniałe konie. Na jeden z tych wozów wdrapaliśmy się i w ten sposób zakończyła się męcząca piesza wędrówka. Dowiedzieliśmy się, że wozy te pochodziły z ewakuującego się majątku z powiatu



obornickiego, będącego własnością znanego mi ekonomisty dr. Borowskiego, powojennego profesora Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie.

Gdy mijaliśmy Wrześnię, była ona bezpośrednio po nalocie. Uszkodzone były tory kolejowe, płonąła cukrownia, na ulicy leżały obok wozów zabite konie. Początkowo jechaliśmy w dzień, w nocy zaś konie i ludzie wypoczywali, śpiąc na skoszonych już polach, mając nad sobą zasiane gwiazdami niebo. Gdy jednak naloty zaczęły się nasilać i widzieliśmy na każdym kroku ich tragiczne skutki (Luftwaffe atakowała w tym czasie tylko za dnia), dr Borowski postanowił w dzień odpoczywać pod osłoną lasów, a jechać nocami. Wrzesień wojenny był upalny, pogoda bez jednej chmurki na niebie. Podróżowanie nocą było bezpieczniejsze i mniej męczące zarówno dla ludzi, jak i dla koni. W ten sposób po kilku dniach dotarliśmy do Kutna, gdzie nastąpiło pożegnanie. Stamtąd boczną drogą szliśmy w kierunku Żychlina. Pod wieczór zatrzymaliśmy się w „kolonii” Oporówko, gdzie udzielił nam gościny nadzwyczaj sympatyczny gospodarz, p. Markiewicz. Przebywaliśmy tam około tygodnia, gdyż nie widzieliśmy celu dalszej wędrówki. Towarzyszący nam dotąd pp. Samolińscy poszli dalej z zamiarem dotarcia do Warszawy.

W Oporówku dochodził nas coraz silniejszy huk strzałów armatnich, a po zapadnięciu zmroku mogliśmy obserwować błyski różnokolorowej świetlnej amunicji. Były to odgłosy i oznaki toczącej się nad Bzurą w dniach od 9 do 12 września wielkiej i zażartej bitwy. Na drugi czy na trzeci dzień po tej bitwie pojawiły się w Oporówku oddziały wojska niemieckiego.

Z okrucichów wiadomości podawanych przez radio wiedzieliśmy o bohaterskiej obronie Westerplatte, Warszawy i Helu. W tej sytuacji zdaliśmy sobie sprawę z generalnej klęski. Postanowiliśmy więc wracać do Poznania. Do powrotu do miejsc zamieszkania dopomagały również niemieckie władze wojskowe, dostarczając na poszczególnych odcinkach środki transportowe, przeważnie furmanki konne.

Rozpoczął się więc powrót tych samych, lecz mocno przeredzonych mas ludzkich. Sporo uchodźców straciło życie na skutek bombardowań. Wielu ludziom udało się dotrzeć do Warszawy i wziąć udział w jej obronie. Inni poszli dalej na wschód lub na południe i nie zamierzali już się cofać.

Wracaliśmy smutni i przygnębieni.

Czy cała ta „wędrówka” miała jakiś sens? Na pewno – nie! Spowodowały ją nieodpowiedzialne apele odgórne oraz zachowanie się władz lokalnych. Przecież nie wszystkie z nich miały potrzebę opuszczania powierzonych ich opiece terenów. Powinny były pozostać na miejscu organy samorządu terenowego, wiejskie, gminne i miejskie, organy porządkowe, straż ogniowa, obsługa urządzeń komunalnych itp.

Zdawał sobie z tego sprawę i dokładnie rozumiał to były długoletni prezydent m. Poznania Cyryl Ratajski. Po opuszczeniu Poznania z chwilą wybuchu wojny przez ówczesnego prezydenta miasta<sup>a)</sup> i inne władze miejskie, Cyryl Ratajski na prośbę radnych miejskich podjął się pełnienia funkcji prezydenta miasta, a to celem zapewnienia utrzymania porządku i ładu. Poznań został zajęty przez wojska niemieckie dopiero w

<sup>a)</sup> Tadeusz Ruge – komisaryczny prezydent m. Poznania, został wezwany do Warszawy. Po przekazaniu urzędu swemu zastępcy, Zygmunтови Zaleskiemu względnie radcy Tomaszowi Nowickiemu, w nocy z 2 na 3 września opuścił Poznań. Przed południem 3 września prezes Klubu Radnych Narodowej Demokracji, Stanisław Celichowski, powiadomił o przejściu władzy administracyjnej w Poznaniu oraz komendy nad Strażą Obywatelską.

dniu 10 września 1939 r. On też prowadził pertraktacje co do przejęcia agend Zarządu Miasta. Dopiero wówczas wyjechał do Warszawy. Pełnił on tam aż do śmierci<sup>b)</sup> z ramienia rządu w Londynie funkcję delegata na Kraj.

Ewakuacji – w związku z wycofywaniem się organów wojskowych – powinny być podlegać tylko określone urzędy i instytucje, osoby mogące być narażone na prześladowania ze strony najeźdźcy, określone roczniki poborowych i rezerwistów oraz – w miarę możliwości – tabor kolejowy i samochodowy. Co do reszty, zarządzenia ogólnie powinny być nakazać pozostanie na miejscu zamieszkania, aby nie utrudniać ruchów wojsk i jego zaopatrzenia. Tego rodzaju ogólnie, drogą radiową nadawane wskazówki byłyby tym bardziej konieczne, że – jak się okazało – nigdzie w kraju nie udało się zorganizować skutecznego oporu i powstrzymać nieprzyjaciela na jakiejś określonej linii frontu. Przecież zanim masy uchodźców dotarły do Wrześni, Niemcy nacierając od strony Śląska znajdowali się już pod Warszawą.

Gromady ludzkie odbywały w większości marsz donikąd, narażone na coraz silniejsze naloty, przed którymi mogły się chronić tylko ucieczką i rozproszeniem po polach. Ulotki „Dowódcy Armii”, które dotarły do naszych rąk około 15 września, były co najmniej o 10 dni spóźnione.

Mimo wszystko odbycie wspólnej wędrówki z setkami tysięcy rodaków było dla mnie wysoce pouczające. Bez względu na stan i zajmowaną dotąd pozycję życiową, wszyscy znaleźliśmy się w położeniu bezdomnych tułaczy. Wszyscy byliśmy zdani na to minimum pomocy i gościnności, jakie okazać nam mogli mieszkańcy mijanych wsi i miasteczek, którzy niejednokrotnie sami przyłączali się do grup uchodźczych.

Był to początek integracji narodowej, która – jak wiemy – poczynić miała w przyszłości tak wielkie postępy. W tych trudnych warunkach, w jakich odbywała się ewakuacja, na uwagę zasługiwała wzajemna życzliwość uczestników, a nawet ich duża dyscyplina, wyrażająca się choćby w dawaniu pierwszeństwa oddziałom i taborom wojskowym, karetkom sanitarnym, matkom z dziećmi itp.

Zarówno w czasie wędrówki, jak i na terenach pozbawionych jakiegokolwiek opieki administracyjnej czy organów bezpieczeństwa panował porządek i nie słyszano się nie tylko o jakichkolwiek napadach rabunkowych, ale nawet o zwykłych kradzieżach. Daje to świadectwo wysokiego poziomu dyscypliny społecznej narodu.

Owoce, środki żywności, napoje – o ile można było je dostać – nabywało się po normalnych cenach. W tym pierwszym okresie nie myślano jeszcze o paskarstwie, a ponadto pieniądź polski nie stracił jeszcze na wartości.

Postawa wędrujących nacechowana była wysokim patriotyzmem. Wierzano, że łącznie z sojusznikami pokonamy napastnika. Z ust do ust podawano sobie w dobrej wierze wiadomości o rzekomym uderzeniu wojsk angielskich i francuskich na Niemcy, o przeprowadzanych nalotach itp. Rzeczywistość była, niestety, inna. Wojska niemieckie szły niepowstrzymanie naprzód, bombardując uprzednio poszczególne miejscowości, węzłowe dworce kolejowe, kolumny wojskowe oraz masy uchodźców. Mogliśmy na własne oczy oglądać płonąca cukrownię we Wrześni położoną tuż przy dworcu, ślady bombardowań i trupy żołnierzy polskich w Słupcy i Golinie, pościgi samolotów niemieckich za cofającymi się bocznymi drogami oddziałami kawalerii w pobliżu Konina, zbombardowany dworzec kolejowy w Kutnie, ostrzeliwanie z samolotów rolników pracujących na polach, stracone samoloty polskie. Bezpiecznie można się było poruszać

<sup>b)</sup> W rzeczywistości Cyryl Rąjski pełnił funkcję delegata rządu RP na Kraj do sierpnia 1942 r., kiedy to został odwołany przez gen. W. Sikorskiego. Zmarł 19 października 1942 r.

nocą. Działania militarne ułatwiała Niemcom wspaniała, słoneczna pogoda. Z drugiej strony była ona błogosławieństwem dla tłumów uchodźców, nie mających cieplejszej odzieży i zmuszonych odpoczywać i spędzać nocę w dużej części pod gołym niebem.

Wkraczaliśmy w tragiczny okres okupacji. Już powrotna droga dała nam przedsmak tego, co się będzie dziać w przyszłości. Stałe kontrole, ogłoszenia o wprowadzeniu godziny policyjnej, zmienione nazwy miejscowości, a w miarę zbliżania się do Poznania coraz więcej obwieszczeń o dokonanych rozstrzelaniach Polaków.

W czasie postoju w Kole w miejscowej restauracji hotelowej zetknęliśmy się z pierwszym przedstawicielem cywilnej władzy okupacyjnej – Kreislandwirtem. Zapoznał nas z programem przejmowania pod państwowy zarząd niemiecki większych majątków rolnych i oddania w ręce kolonistów niemieckich własności chłopskiej. Na zwróconą mu uwagę, że władza okupacyjna nie może zmieniać obowiązujących przepisów ani stosunków własnościowych, spokojnie wyjaśnił, że przecież państwo polskie przestało istnieć, a dotychczasowe przepisy utraciły automatycznie moc prawną. Ziemie zajęte przez Niemców stały się tym samym częścią składową Rzeszy i wprowadzany tu będzie porządek niemiecki. Na dowód tego, że sprawa polska została definitywnie załatwiona, powołał się na znany nam już numer „Posener Tageblatt”, z którego po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o opuszczeniu kraju przez Prezydenta Rzeczypospolitej, Rząd i Naczelnego Wodza oraz o wkroczeniu w dniu 17 września wojsk radzieckich na wschodnie tereny Rzeczypospolitej. W tej samej gazecie mogliśmy przeczytać treść przemówienia Mołotowa. Miał on oświadczyć, że państwo polskie, ów „bękart traktatu wersalskiego” zakończyło definitywnie swój żywot.

Wiadomości te podziały na nas jak uderzenie młota. Dalszych szczegółów dowiedzieliśmy się od mieszkańców Wrześni. Toteż przybywając do Poznania 21 czy 22 września, byliśmy w pełni świadomi grozy sytuacji.

Mieszkanie zastaliśmy w pełnym porządku. Po pewnym czasie dokwaterowano nam trzech sublokatorów niemieckich.

Dopóki nie wyszło zarządzenie o obowiązku oddawania aparatów radiowych, mieliśmy z BBC wiadomości o ukonstytuowaniu się pod przewodnictwem gen. Władysława Sikorskiego rządu emigracyjnego we Francji oraz o organizowaniu się armii polskiej. Były to, z punktu widzenia politycznego i moralnego, doniosłe wiadomości. Cały naród rozumiał, że wprawdzie kampania wrześniowa zakończyła się tragiczną klęską, to jednak wojna trwa nadal i dopiero jej wynik będzie miał decydujące znaczenie dla losów narodu, państwa oraz indywidualnych losów każdego Polaka. Po chwilowym załamaniu, w umysłach polskich krzepnąć zaczęła na nowo wiara w ostateczne zwycięstwo, a w związku z nią wola walki i przetrwania ogarniająca stopniowo całe społeczeństwo.

W Poznaniu pozostaliśmy do 8 grudnia 1939 r., to jest do chwili przymusowego wysiedlenia do Konięcypola. W tym czasie zorientowałem się w sytuacji członków najbliższej rodziny, których losy potoczyć się miały nieprzewidywaną przez nikogo koleją.

Jak wspominałem wcześniej, teściowie już w maju wyjechali na pobyt letni i rekonwalescencję po chorobie teścia do województwa krakowskiego (majątek Dębno między Brzeskiem a Tarnowem), skąd w czasie kampanii wrześniowej przenieśli się do majątku Złota Pinczowska, należący do pani Wesołowskiej, b. pacjentki teścia. Pracował on tam aż do swej śmierci w 1942 r. jako lekarz.

Jedyny brat żony, Janusz Zaremba, asesor sądowy, podporucznik rezerwy 7 dak brał

udział w bitwie nad Bzurą i w obronie Warszawy, zdobywając Krzyż Virtuti Militari. Osadzony w obozie jenieckim w Woldenbergu (Dobiegniew) na skutek ciężkiej choroby serca (zapalenie wsierdza) przewieziony do szpitala wojskowego w Stargardzie Szczecińskim, zmarł w dniu 4 sierpnia 1940 r. Grób jego został po wojnie odszukany, a zwłoki przewiezione w 1945 r. do grobu rodzinnego Zarembów w Krakowie.

Moi rodzice wraz z siostrami pozostali w Międzychodzie. Najmłodsza siostra Anna zmarła na wiosnę 1940 r., a matka w dniu 22 listopada 1944 r. Ojciec podejmował się różnych zajęć zarobkowych (stróż nocny, pracownik na cmentarzu itp.). Siostra Irena zarabiała krawiectwem. Brat Jan utrzymywał się na gospodarstwie w Kamionnie do wiosny 1940 r., zaopatrując rodziców w Międzychodzie oraz nas w Poznaniu w środki żywnościowe.

Brat Michał, podporucznik kawalerii, po zakończeniu kampanii wrześniowej i ucieczce z transportu jenieckiego, zamieszkał pod obcym nazwiskiem w Lublinie, gdzie pracował w tamtejszym elewatorze zbożowym. Jednocześnie brał udział w walce podziemnej w ramach Armii Krajowej.

Drugi brat, Władysław, świeżo „upieczony” prawnik, obecny profesor Politechniki Szczecińskiej, znajdował się w chwili wybuchu wojny w Iwoniczu u swego przyjaciela Mirosława Filipowicza (obecnego wiceprezesa Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu). W kilka miesięcy po wkroczeniu wojsk niemieckich do Polski przedostał się razem z nim na Węgry, a stamtąd – po wielokrotnych próbach – do Jugosławii, aby następnie przez Turcję i Palestynę znaleźć się w armii polskiej w Egipcie. Walczył w Tobruku i pod Monte Cassino. Powrócił do Polski z końcem 1946 r.

Od samego początku okupacji rozpoczął się okres terroru. Okupant nie liczył się nie tylko z przepisami zawartymi w konwencjach międzynarodowych, normującymi postępowanie władz okupacyjnych w kraju okupowanym, ale również z ogólnie przyjętymi w cywilizowanym świecie zasadami. Stanowisko swe uzasadniał rzekomymi prześladowaniami stosowanymi przez władze polskie w stosunku do mniejszości niemieckiej. W prasie, a głównie w „Posener Tageblatt” stale powoływano się na „krwawą niedzielę” w Bydgoszczy oraz na inne rzekome prześladowania.

Szczególną nienawiścią do polskości odznaczały się artykuły wychodzące spod pióra dr. Kurta Lückę, awansowanego na przywódcę ideologicznego Niemców poznańskich. Miałem sposobność poznania go osobiście w 1933 r. w czasie wakacji spędzanych w Bąblinie n/Wartą, pod Obornikami. Starszy ode mnie, o kłocowatej budowie ciała, „kwadratowej” głowie, krótko ostrzyżonych włosach, w okularach o wypukłych szklach. Był postacią niewątpliwie interesującą. Wybitnie zdolny i pracowity, opanował doskonale języki słowiańskie (polski, rosyjski, serbsko-chorwacki, czeski). Z wykształcenia historyk, po odbyciu studiów i doktoryzowaniu się w Niemczech osiadł w Poznaniu, gdzie był duszą niemieckiego Towarzystwa Historycznego. Nie wiem, czy posiadał obywatelstwo polskie. Zajmowały go losy osadnictwa niemieckiego na ziemiach słowiańskich. Na ten temat napisał szereg obszernych prac, których ogłoszenie drukiem w Niemczech nie sprawiało żadnych trudności. Jak sam mi to oświadczył, korzystał z różnych subwencji i stypendiów. W pracach swych starał się wykazać rolę Niemców jako „Kulturträger’ów” na ziemiach polskich. Świadczą już o tym same tytuły jego książek: *Deutsche Aufbaukräfte in der Entwicklung Polens*, czy *Deutsche Gestalter und Ordner im Osten*.

Mam dotąd w swej bibliotece pracę dr. Lückę *Der Mythos vom Deutschen in der*

*polnischen Volksüberlieferung und Literatur*, której drugie wydanie ukazało się drukiem w 1943 r. w Lipsku już po śmierci autora. Poległ w 1942 r. na froncie wschodnim.

Jak przedwojenne książki Lücka stanowiły intelektualne rozpoznanie terenu i historyczno-polityczne przygotowanie hitlerowskiej ekspansji, tak jego artykuły zamieszczone w pierwszym okresie wojny miały na celu moralne uzasadnienie bezprawia popełnianego przez okupanta w stosunku do ludności polskiej. Były apoteozą polityki eksterminacyjnej na zagarniętych ziemiach.

W Poznaniu i na prowincji okupanci przystąpili bezzwłocznie do zacierania wszelkich śladów polskości. Usunięto polskie godła państwowe, niszczone pomniki znajdujące się na placach i w parkach miejskich. Zamknięto szkoły polskie. Wszystkim miejscowościom nadano urzędowo nazwy niemieckie. Na miejsce zlikwidowanych urzędów i instytucji polskich wprowadzono urzędy niemieckie. Zarządzono powszechną rejestrację ludności, która miała na celu ujawnienie osób uznanych za niepożądane i zbędne z punktu widzenia interesów okupanta. Na tej podstawie ustalano listy kandydatów do więzień, obozów koncentracyjnych, listy zakładników oraz listy osób i rodzin przeznaczonych do wysiedlenia.

W pierwszym rządzie ostrze prześladowań skierowane było przeciwko inteligencji polskiej i uczestnikom powstania wielkopolskiego z 1918 r. Spośród moich znajomych już w pierwszym dniach okupacji zostali aresztowani przez gestapo: prof. Romuald Paczkowski, cywilista, długoletni przewodniczący Rady Miejskiej; mój przyjaciel i towarzysz z pobytu we Francji, wybitny młody naukowiec-kryminolog dr Tadeusz Kuczma, wiceprokurator Sądu Okręgowego; Witold Noskowski, redaktor działu kulturalnego „Kurierza Poznańskiego” i inni. Profesorowie Alfred Ohanowicz i Bohdan Winiarski zatrzymani zostali w więzieniu przy ul. Młyńskiej jako zakładnicy.

W listopadzie 1939 r. na prośbę naszej sąsiadki, znakomitej aktorki p. Nuny Młodziejowskiej-Szczurkiewiczowej, zaprzyjaźnionej z rodziną Noskowskich, żona moja obeszła różne władze niemieckie (Prezydium Policji, Prokuraturę), chcąc się dowiedzieć, gdzie został osadzony redaktor Witold Noskowski. Zarówno w Wydziale Śledczym Policji, jak również w Prokuraturze stwierdzono, że żadna z tych władz nie przeprowadziła aresztowania i nie może też udzielić informacji, gdzie zatrzymany się znajduje. Prokurator poradził żonie udanie się w tej sprawie do gestapo, mieszczącego się w Domu Żołnierza przy ul. Ratajczaka. Żona otrzymała tam informację, że aresztowania dokonało faktycznie gestapo, jednakże udzielający te wyjaśnienia oficer odmówił podania miejsca, gdzie znajduje się aresztowany. Na uwagę żony, że jak to jest możliwe, aby w XX wieku aresztowany człowiek mógł przepaść jak kamień w wodzie, oficer ten rozłożył ręce i wyjaśnił, że nie on wydawał tego rodzaju zarządzenia. Żona nie pamięta już, kto ze znajomych poradził jej, aby w tej sprawie spróbowała jeszcze zasięgnąć informacji w Forcie VII. Była to najokrutniejsza w tym czasie katownia w Poznaniu. Mieściła się w niedużej odległości w bok od obecnej alei Polskiej. Żona poszła tam i wreszcie w komendanturze tego więzienia dowiedziała się, że redaktor Noskowski tam właśnie się znajduje. Na zapytanie, czy rodzina może mu dostarczyć bieliznę, ciepłą odzież i coś z żywności, dyżurujący tam dwaj oficerowie gestapo dali pozytywną odpowiedź. Rodzina Witolda Noskowskiego została o tym powiadomiona.

W Forcie VII był również więziony prof. Romuald Paczkowski i – jak się później dowiedzieliśmy – Tadeusz Kuczma. Wszyscy trzej zostali tam zamordowani jeszcze w 1939 r.

W sprawie zwolnienia wziętych jako zakładników profesorów Ohanowicza i Winiar-

skiego rozmawiałem z dobrze mi znanym adwokatem Janem Grzegorzewskim, Niemcem, wychowankiem naszego Uniwersytetu. Odgrywał on wówczas czołową rolę w organizującej się niemieckiej adwokaturze. Obiecał interweniować w sprawie zwolnienia prof. Ohanowicza. Nie jest wykluczone, że m.in. dzięki jego interwencji prof. Ohanowicz został po pewnym czasie zwolniony. Zwolnienie prof. Winiarskiego nastąpiło prawdopodobnie z uwagi na jego międzynarodowe stosunki.

Ponieważ, zgodnie z oświadczeniem Gauleitera Greisera, Polacy mogli spełniać jedynie rolę „służących i parobków” („*Die Polen können nur unsere Diener und Knechte sein*”), szanse utrzymania się w Poznaniu mieli w zasadzie tylko pracownicy fizyczni. Niemal wszystkie inne grupy ludności polskiej uznano tym samym za zbędne. Toteż setki tysięcy Polaków przeznaczono na wysiedlenie.

Aby zapewnić mieszkania, stanowiska, placówki handlowe i przemysłowe, większe i mniejsze posiadłości rolne dla Niemców przesiedlanych z krajów bałtyckich (tzw. *Baltendeutsche*) oraz dla napływających z Rzeszy wszelkiego rodzaju funkcjonariuszy i amatorów obławienia się w okupowanym kraju, przystąpiono od listopada 1939 r. do masowego wysiedlania z Poznańskiego, nazwanego przez Niemców Krajem Warty (*Wartheland*), ludności polskiej do województw centralnych, administrowanych oddzielnie początkowo pod nazwą *General gouvernement für die besetzten polnischen Gebiete*, a później po prostu *Generalgouvernement* (czyli Generalne Gubernatorstwo).

Wysiedlenia odbywały się wieczorem lub nocą po godzinie policyjnej. Ukazywały się wówczas na mieście autobusy z policjantami. Zatrzymywały się one pod wymienionymi w spisach imiennych adresami. Nikt nie wiedział, kiedy na niego przyjdzie kolej. Toteż wszyscy mieli już naprzód spakowane najpotrzebniejsze rzeczy z garderoby, które chcieli ze sobą zabrać.

My również mieliśmy takie rzeczy spakowane. Przedmioty cenne, które absolutnie nie mogłyby być przy wysiedlaniu wzięte, ulokowaliśmy w lombardzie miejskim oraz w sejfie niemieckiego Bank für Handel und Gewerbe (za życzliwą radą jednego ze studentów, Niemca). Inne rzeczy, jak obrazy, porcelanę, zgodziły się przyjąć osoby, które przypuszczalnie nie miały być wysiedlone.

Jako jedni z pierwszych zostali wysiedleni już w początku listopada 1939 r. nasi przyjaciele: sędzia Zygmunt Opuszyński z żoną i małym synkiem. Otrzymaliśmy od nich „gryps”, w którym prosili o dostarczenie koniecznych dla dziecka przedmiotów. W miarę możliwości skompletowaliśmy co się dało. Żonie udało się dotrzeć do komendanta obozu przejściowego, mieszczącego się na Głównej w budynkach jednej z dawnych fabryk. Otrzymała zgodę na wejście na teren obozu. Niestety na obszernym terenie i wśród wielkiej liczby wysiedleńców nie udało jej się odszukać Opuszyńskich. Pakunek wręczyła więc napotkanym wspólnym znajomym, którzy obiecali doreczyć go adresatom.

W związku z godziną policyjną wieczory spędzaliśmy w domu słuchając radia, czytając, grając w brydża z sąsiadami. Dni płynęły bez zajęcia, poświęcone informowaniu się o losach i nowych adresach przyjaciół i znajomych.

Budynki Uniwersytetu i Akademii Handlowej objęły władze hitlerowskie. Nikt z nas nie miał do nich dostępu. Zamknięty był też dostęp do bibliotek. Od naszych portierów mieszkających w gmachu Akademii dowiedziałem się, że osadzeni tam hitlerowcy demontują bibliotekę, urządzenia laboratorium towaroznawczego oraz usuwają dokumenty mające znaczenie dla naszych studentów i absolwentów. Udałem się wówczas do urzędującego w Rektoracie Uniwersytetu pełnomocnika władz niemieckich, tzw. kuratora,

aby zwrócić mu uwagę na szkody, jakie powoduje to dla Uczelni i dla zainteresowanych osób. Przyjął mnie wyniośle umundurowany osobnik, pytając kim jestem. „Profesorem Akademii Handlowej” – odpowiedziałem. „Był Pan nim” – zauważył z ironią. – „Co się dzieje w Akademii Handlowej nic Pana nie obchodzi”.

Na szczęście istotne dokumenty zostały jednak przeniesione do Uniwersytetu i w jego gmachu ocalały.

Nie mając żadnego zajęcia, wysłuchiwałem wiadomości radiowych i wykorzystywałem czas na lekturę. M.in. po raz pierwszy miałem wówczas sposobność przeczytania w całości pięknie wydanej *Biblii* w przekładzie księdza Jakuba Wujka, pochodzącej z biblioteki teścia.

Mało się przejmowałem tym, że w związku z oczekiwanym wysiedleniem utracę mienie. Żał mi jedynie było poważnej i starannie skompletowanej biblioteki. Do zabrania ze sobą przygotowałem tylko dwie książki: *Mały atlas* Romera oraz *Mały rocznik statystyczny za 1939 r.* Obie te książeczki towarzyszyły mi i służyły przez cały okres okupacji i powróciły ze mną do Poznania w marcu 1945 r.

W dniu 8 grudnia 1939 r. – jak zwykle – graliśmy wieczorem w brydża z panią Nuną Młodziejowską-Szczurkiewiczową oraz z jej przyjaciółką. Usłyszeliśmy dzwonek. Żona poszła otworzyć drzwi. Stał w nich policjant (*Ordnungspolizei*) a poza nim czterech czy pięciu *Selbstschutzów* (*volksdeutsche*). Zasalutował i zapytał: „Wohnt hier Herr Józef Górski?” Odpowiedź: „Jawohl”. – „Sie werden ausgesiedelt”.

Żona powiedziała mu na to, że zapewne zachodzi tu jakaś pomyłka (*Versehen*), ponieważ mieszkanie to nie podlega zajęciu. Zaprowadziła go do drzwi pokoju jednego z naszych niemieckich sublokatorów. Na drzwiach tych znajdowało się urzędowe zaświadczenie tej treści, że mieszkanie nie podlega zajęciu. Zaświadczenie zaopatrzone było w pieczęć *Luftgaukommando* (Komendantura Lotnictwa). Żandarm przeczytał zaświadczenie i oświadczył, że nie jest tu kompetentny i że rozstrzygnąć sprawę może tylko *Sturmbannführer*. Wysłał też po niego jednego z „*Selbstschutzów*”, a pozostałym kazał czekać na schodach. Zaprosiliśmy żandarma do pokoju. Nasze miłe sąsiadki szybko się pożegnały i poszły do swego, sąsiadującego z nami, mieszkania.

Żona postawiła butelkę z wódką i zakąskę. Rozmawiając o różnych sprawach czekaaliśmy na *Sturmbannführera*. Naturalnie ani przez chwilę nie łudziliśmy się, że zaniechają wysiedlenia i pozostawią nas w mieszkaniu. Robiliśmy to wszystko przez ciekawość. Trwało co najmniej godzinę zanim znów usłyszeliśmy dzwonek. Żona poszła otworzyć. W drzwiach stał wysoki, młody oficer gestapo. Żona zaprowadziła go do drzwi pokoju, na których przybite było zaświadczenie. Przeczytał je, podarł i wszedł do pokoju zajmowanego przez niemieckiego lokatora, pracownika cywilnego *Luftgaukommando*. Powiedział mu kilka „twardych” słów, które tamtego wyraźnie przeraziły. Następnie zwrócił się do nas ze słowami: „Nun aber schnell, wir haben schon zu lange gewartet” – i wyszedł.

Wtedy dopiero zaczęliśmy się przygotowywać do opuszczenia mieszkania. Nasz żandarm poradził nam, abyśmy brali ze sobą jak najwięcej, gdyż wszystko nam się przyda – również biżuterię, pomimo że w obozie przeprowadzane są rewizje, ale może nam się udać. Wobec tego załadowaliśmy do worków jeszcze pościel i inne rzeczy. Na siebie nałożyliśmy po dwa płaszcze. Naszą gosposię, starszą już osobę, chcieli pierwotnie również zabrać, ale ostatecznie zgodzili się na jej pozostanie z uwagi na to, że przyda się pozostającym w mieszkaniu sublokatorom niemieckim. Gdyśmy byli już gotowi,

pożegnaliśmy się serdecznie z gosposią i opuściliśmy mieszkanie. Nasze bagaże żandarm kazał nieść „Selbstschutzom”. Przed domem czekał autobus, w którym siedziało szereg nieznanym nam osób, również przeznaczonych do wysiedlenia.

Około godziny 23 zajechaliśmy do obozu przejściowego na Główniej. Wśród zwiezionych tam mieszkańców Poznania byli przedstawiciele najróżniejszych zawodów: tramwajarze, robotnicy, rzemieślnicy, kupcy, przedstawiciele inteligencji, a również Cyganie. Dużo było osób w starszym wieku. Spotkaliśmy tam wielu znajomych.

Niektórych wysiedleńców przywożono w nocnej bieliźnie, bez żadnych najkonieczniejszych przedmiotów osobistego użytku. Zaopiekował się nimi utworzony przez Polaków Komitet Pomocy.

O trybie życia w obozie na Główniej trudno mi coś więcej powiedzieć, gdyż przebywaliśmy w nim tylko 24 godziny. Kiedy bowiem następnej nocy ogłoszono odjazd transportu do GG – zaraz się do niego zgłosiliśmy. Trafiliśmy przypadkowo doskonale, gdyż podstawiony pociąg składał się z ogrzewanych wagonów osobowych. Był to szczęśliwy wyjątek. Wysiedleńców bowiem wywożono z reguły wagonami towarowymi.

Jechaliśmy przez Wrześnię, gdzie do około 500 wysiedleńców z Główniej doładowano dalszych 500 osób, przeważnie rolników i rzemieślników pochodzących z powiatu wrzesińskiego. Droga prowadziła przez Kutno, Łódź, Częstochowę. Stacją docelową było małe miasteczko Koniecpol w powiecie włoszczowskim. Na kilku stacjach, przez które pociąg przejeżdżał, miejscowa ludność częstowała nas ciepłym posiłkiem wystawianym w kotłach na perony, co przy ponad dwie doby trwającej podróży było nadzwyczaj potrzebne.

W Koniecpolu przed stacją kolejową oczekiwało kilka furmanek. Mogły na nie być złożone nasze bagaże, a również mogły na nie wsiąść osoby chore i słabe.

Koniecpol, położony nad Pilicą w powiecie włoszczowskim, przy linii kolejowej Częstochowa–Kielce, był w owym czasie biednym miasteczkiem liczącym około 1500 mieszkańców, z czego chyba więcej niż połowę stanowiła ludność żydowska. O ile pamiętam, jedynym większym zakładem pracy była tam – nieczynna w tym czasie – walcownia miedzi. Właściciele jej, Żydzi, chcąc ukryć przed Niemcami zapasy miedzi, zatopili je w stawie. Na podwórzu fabrycznym znajdowały się duże zapasy drewna opałowego, które stać się miały podstawowym źródłem zaopatrzenia w opał wysiedlonych rodzin.

Rzecz jasna, że dla około tysiąca osób liczącej grupy wysiedleńców Koniecpol nie mógł stanowić miejsca egzystencji. Był tymczasową przystanią. Polokowano nas po mieszkaniach prywatnych i w szkole w samym miasteczku oraz w zabudowaniach folwarcznych znajdującego się opodal wielkiego majątku Chrzastowo, stanowiącego własność rodziny Potockich.

Jakkolwiek dla ludności Koniecpola stanowiliśmy uciążliwych i mało pożądanym gości, przyjęto nas serdecznie. Poszczególni mieszkańcy, nawet staruszkowie przychodzili i przynosili w torebkach kaszę, mąkę itp. Było to naprawdę wzruszające. Liczono jednak na to, że pobyt tak wielkiej liczby wysiedleńców w Koniecpolu nie potrwa długo.

Zawiązaliśmy Komitet Wysiedleńców, który starał się o zdobycie w okolicznych wsiach i dworach pewnych zapasów żywności potrzebnej dla przetrzymania najbliższych tygodni. W towarzystwie pana Franciszka Grabskiego, byłego pracownika Wielkopolskiej Izby Rolniczej, objechaliśmy kilka dworów, uzyskując całe worki kaszy, mąki, słoniny. Zorganizowano też wieczerzę wigilijną z tradycyjnym karpem i opłat-



kiem. Niemal cała ludność polska Konięcpola oraz wysiedleńcy poszli o północy na pasterkę do zabytkowego kościoła.

Zabezpieczono również pomoc lekarską. M.in. skierowaliśmy do szpitala w Częstochowie jednego z wysiedlonych z Wrześni z prośbą o przeprowadzenie operacji wyrostka robaczkowego. Pismo skierowane do szpitala podpisałem imieniem Komitetu, zamieszczając przysługujący mi tytuł naukowy (prof. dr). Lekarze szpitala w Częstochowie byli przekonani, że podpisujący jest profesorem poznańskiego Wydziału Lekarskiego. Toteż bez przeprowadzania dalszych badań dokonali operacji. Na szczęście wszystko przebiegło pomyślnie.

Już od pierwszych dni większość wysiedlonych zaczęła rozglądać się za możliwościami zarobkowymi. Wobec ogólnego zastoju, jaki w pierwszych miesiącach wojny panował w całej tzw. Generalnej Guberni (GG), szybkie uzyskanie pracy nie było rzeczą łatwą. W Komitecie Wysiedleńców rozważano możliwość zabezpieczenia pracy dla znajdujących się wśród nas rzemieślników: krawców, szewców, piekarzy, rzeźników itp. przez przejście – w drodze dobrowolnego porozumienia – połowy odpowiednich zakładów rzemieślniczych znajdujących się w rękach żydowskich z tym, że Żydzi mieliby się ścięścić w drugiej połowie posiadanych lokali. Prowadzone w tej sprawie rozmowy z gminą żydowską nie dały rezultatu z winy małej grupy wysiedleńców, których nieodpowiedzialne zachowanie się zaniepokoiło ludność żydowską. Komitet zmuszony był potępić tego rodzaju wybryki i przeprosić formalnie przedstawicieli społeczności żydowskiej. Trzeba bowiem zaznaczyć, że Żydzi konięcpolscy odnieśli się w pierwszym okresie ze współczuciem do wysiedleńców i wpłacali przez swych przedstawicieli pewne kwoty pieniężne na ręce Komitetu.

Z czasem działalność Komitetu ustała, a poszczególne rodziny na własną rękę starały się zdobywać środki egzystencji poza terenem Konięcpola. Tylko najbardziej niezaradni z opuszczonymi rękami czekali na miejscu na zmianę losu, licząc zniszczenia się przepowiadanych cudów. Należał do nich m.in. znajomy sędzia Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, p. Mozołowski, będący ojcem wielodzietnej rodziny.

Przy wysiedlaniu z Poznania pp. Mozołowscy nie zabrali ze sobą prawie żadnych niezbędnych rzeczy – ciepłej odzieży ani bielizny. Sędzia Mozołowski spędzał całe godziny na modlitwie i leżeniu krzyżem w kościele. Na skutek zaziębienia zmarł na zapalenie płuc. Starsze jego dzieci, podobnie jak i inni pozostający w Konięcpolu bezczynnie wysiedleńcy, zostały wywiezione na roboty do Niemiec.

Już w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia żona moja wyjechała do Poznania, aby zabrać i przewieźć do Warszawy przedmioty oddane w początku wojny do lombardu (ubrania itp.) oraz inne przedmioty złożone w sejfie w niemieckim Bank für Handel und Gewerbe (maszyna do pisania, srebrny sztuciec obiadowy).

W pierwszym okresie okupacji konieczne były na przejazd koleją przepustki. O taką przepustkę dla żony zwróciłem się do Magistratu w Konięcpolu. Polscy pracownicy poinformowali mnie, że wysiedlonym nie wolno wydawać przepustek na przejazd do miejscowości położonych na terenie *Warthegau*. Wobec tego poprosiłem o wystawienie dla żony przepustki na przejazd nie do Poznania, lecz do Kalisza. Niemiecki burmistrz nie wiedział, że Kalisz należy również do *Warthegau* i podpisał przepustkę. Ponieważ trasa do Kalisza prowadziła przez Poznań, żona wysiadła w Poznaniu. Przebywała tam do Sylwestra. W czasie kilkudniowego pobytu w Poznaniu zamieszkała u naszych przyjaciół, pp. Podlaszewskich przy ul. Kwiatowej. W tym czasie odebrała z lombardu i z

sejfu w Bank für Handel und Gewerbe złożone tam przedmioty i przewiozła je do Warszawy. Ponadto przewoziła sporą ilość ciepłej odzieży, którą dostarczyły różne osoby z Poznania z prośbą o doręczenie ich przebywającym na terenie GG krewnym.

Na dworcu kolejowym w Kutnie znajdował się punkt graniczny między Reichem a GG. Tam też przeprowadzana była ścisła rewizja przewożonego bagażu, rewizja walutowa i kontrola dokumentów. Chcąc możliwie uniknąć przede wszystkim rewizji bagażu, żona wsiadła do przedziału, w którym jechali żołnierze niemieccy. Gdy pociąg zbliżał się do Kutna zaproponowała im, aby w Kutnie, gdy przyjdą rewidenci, powiedzieli, że ten bagaż należy do nich. Zrobili to z pełną gotowością. W taki sposób bagaż ten nie był w ogóle kontrolowany.

W czasie kilkudniowego pobytu w Warszawie załatwiła sobie pracę, począwszy od 15 stycznia 1940 r., w dawniejszych Państwowych Zakładach Przemysłowo-Zbożowych przemianowanych na Staatliche Getreide- und Industrie Werke.

Po jej powrocie do Koniecpoła znów zwróciłem się do Magistratu o wydanie nowej przepustki na przejazd do Kalisza. Polscy pracownicy Magistratu przepustkę taką wystawili i zaopatrzyli w urzędową pieczętkę. Z powodu nieobecności burmistrza w biurze, miałem pójść po podpis do jego mieszkania. Nie fatygowałem go jednak taką błahostką i mając wypełniony i zaopatrzony w pieczętkę z hitlerowską „wroną” formularz przepustki – sam go podpisałem.

Jako prawnik zdawałem sobie doskonale sprawę z tego czynu i ewentualnych konsekwencji. Podobnie jednak, jak wszyscy Polacy, uważałem wydawane przez okupanta przepisy za bezprawne i nie czułem się nimi związany. Stosowałem się do nich tylko o tyle, o ile było to konieczne dla bezpieczeństwa własnego i osób, za które ponosiłem odpowiedzialność.

Omijanie i łamanie przepisów okupacyjnych było stałą, codzienną praktyką wszystkich Polaków, praktyką, dzięki której mogli zabezpieczyć sobie egzystencję i utrzymywać niezbędne i niewidoczne dla wroga kontakty kulturalne, gospodarcze i polityczne. Na tej przecież zasadzie opierało się tajne nauczanie, nielegalne zaopatrywanie Warszawy i innych miast w żywność i odzież, zakładów wytwórczych w surowce, a także prasa podziemna, nasłuch radiowy, nie mówiąc już o działalności organizacji politycznych i militarnych.

W każdym razie na tę „lewą” przepustkę jechało się żonie bardzo dobrze i znów przywiozła z Poznania dalsze rzeczy. Ponadto podjęła w Banku Miasta Poznania z książeczki oszczędnościowej i przewiozła ponad 2000 RM oraz kilka tysięcy złotych (złote polskie zostały już w październiku w *Warthegau* wycofane i wymienione na marki niemieckie po kursie 1 RM = 2 zł). Natomiast w GG złote polskie były jeszcze w tym czasie w obiegu. Chodziło więc o wręczenie odpowiednich sum złotych polskich wskazanym przez wpłacających osobom, wysiedlonym do GG. Przemyt walutowy przeprowadzała żona przy pomocy nadającej się do tego szczotki do włosów. Podróż odbywała również w przedziale zajmowanym przez żołnierzy niemieckich.

Przy okazji starań o doraźną pomoc dla wysiedlonych, miałem okazję poznania pewnej liczby okolicznych właścicieli większych lub mniejszych majątków ziemskich.

Tuż pod Koniecpołem znajdował się duży majątek Chrzastów z przyległościami, należący do rodziny Potockich. Sędziwy właściciel majątku, Henryk Potocki, zapisał się

niechlubnie w dziejach tego rodu. Za czasów zaborczych – jako agnat<sup>c)</sup> książąt Sułkowskich z Rydzyny, po śmierci ostatniego ordynata (1909 r.) dopomógł za odpowiednią zapłatą do zagarnięcia przez rząd pruski dóbr rydzyńskich uznając, że prawa zastrzeżone w statucie ordynacji dla Komisji Edukacji Narodowej przeszły na zaborcę. Sprawa ta była przed I wojną światową bardzo głośna we wszystkich trzech zaborach.

W okresie międzywojennym tenże Henryk Potocki, pełniąc z ramienia kapitalisty francuskiego Boussac'a funkcje prezesa rady nadzorczej Zakładów Żyrardowskich, nie tylko zgodził się na całkowite wstrzymanie produkcji Zakładów i skazanie w okresie kryzysu gospodarczego (1929–1932) tysiocy pracowników na całkowite bezrobocie, ale ponadto firmował swoim nazwiskiem oszukańcze manipulacje podatkowe Boussac'a na szkodę Skarbu Państwa. Zmusiło to rząd polski do przejęcia Zakładów Żyrardowskich pod zarząd państwowy oraz do aresztowania Potockiego.

W czasie mego pobytu w Koniecpolu zarząd dóbr chrząstowskich sprawował syn Henryka, Paweł Potocki. W jego majątku znalazło dach nad głową i środki utrzymania kilkadziesiąt rodzin z naszego transportu. Z tego tytułu, jako członek Komitetu Wyszędzonych, miałem sposobność odbycia z Pawłem Potockim dwóch rozmów. Odniosłem wrażenie, że pojmuję on inaczej, aniżeli jego ojciec, obowiązki Polaka i obywatela. O ile mi wiadomo, w późniejszych latach okupacji majątek Chrząstów został przejęty pod zarząd niemiecki, a Paweł Potocki aresztowany i stracony<sup>d)</sup>.

Odwiedzając Koniecpol i Chrząstów w 1972 r. stwierdziłem z zadowoleniem, że piękny zabytkowy pałac chrząstowski, wzniesiony jeszcze przez Stanisława Koniecpolskiego, hetmana wielkiego koronnego, a zniszczony w czasie wojny, został pięknie odbudowany i zamieniony – łącznie z parkiem i pływalnią – na Ośrodek Kultury dla pracowników wielkiej fabryki płyt pilśniowych znajdującej się na terenie Chrząstowa. Fabryka stanowi dziś poważny ośrodek pracy i podstawowy czynnik rozwoju Koniecpola i okolicy.

W okolicy Koniecpola znajdowało się wiele majątków ziemskich, które przyszły nam z pierwszą pomocą. Należały one do spolszczonych od dawna rodzin Geyerów i Lohmannów. Kiedy odwiedziłem ich w związku z organizowaniem pomocy, spotkałem się z wielką powściągliwością, z jaką omawiało się w ich domach zarządzenia władz okupacyjnych. Było to zrozumiałe z dwóch powodów.

Przede wszystkim ziemianie obawiali się przejęcia ich majątków pod zarząd niemiecki. Po wtóre – władze okupacyjne ze szczególną zawziętością prześladowały osoby noszące nazwiska niemieckie i należące do wyznania ewangelickiego, jeżeli odmawiały zadeklarowania się jako *volksdeutsche*. Wiadomo było już wówczas, jaki los spotkał takich patriotów polskich jak biskup Bursche z Warszawy, pastor Wende z Kalisza, pastor z Radomia (którego nazwiska już nie pamiętam), prezes Izby Przemysłowo-Handlowej w Łodzi dr Gustaw Geyer i inni. Toteż nie można się dziwić, że brat dr. Gustawa Geyera, czy rodzina Lohmannów drżeli nie tylko o los swych majątków, ale również o swój los osobisty. Znakomita większość osób, należących do tej kategorii, tę ciężką próbę chwalebnie wytrzymała. Odstępstwa ich od polskości były stosunkowo nieliczne.

<sup>c)</sup> Agnat – *lac.* agnatus - w starożytnym Rzymie członek rodziny pozostający pod władzą ojca rodziny; tu – krewny w linii męskiej.

<sup>d)</sup> Informacja mylna. Paweł Potocki zmarł 8 czerwca 1945 r. w Krakowie.

W połowie stycznia 1940 r., w kilka dni po wyjeździe żony do Warszawy, powiatowe władze okupacyjne zwołały do Włoszczowy zjazd właścicieli ziemskich z całego powiatu. Jeden z Lohmannów zabrał mnie ze sobą na ten zjazd. Odbył się on w sali b. starostwa. Kreislandwirt i inni Niemcy okazywali w swoich wystąpieniach wielką uprzejmość. Wskazywali na potrzebę intensyfikacji gospodarki rolnej, przyrzekali pomoc agrotechniczną, zwracali uwagę na konieczność skrupulatnego wywiązywania się z nałożonych kontyngentów i zapewniali, że władze nie zamierzają przejmować pod swój zarząd dobrze prowadzonych majątków itp. Wiadomo, że wszystko to miało na celu uspokojenie większych właścicieli ziemskich i zachęcenie ich do wysiłku. Z czasem większość majątków, niezależnie od tego, czy były prowadzone niedbale czy też należycie, odebrano właścicielom.

Przy okazji pobytu we Włoszczowie spotkałem przypadkowo znajomą studentkę Akademii Handlowej w Poznaniu, Marię Ziemską. Jak się okazało, ojciec jej, Jan Ziemiński, był znanym i cenionym we Włoszczowie i okolicy felczerem. Tam przy ul. Kilińskiego 7 rodzina Ziemińskich mieszkała we własnym, starym, lecz obszernym domu.

Państwo Ziemińscy, dowiedziawszy się o warunkach, w jakich żyję w Koniecpolu, zaoferowali mi natychmiast pokój z utrzymaniem u siebie – „aż do końca wojny”, która w ich mniemaniu powinna zakończyć się za parę miesięcy...

Zaproszenie przyjąłem w przekonaniu, że nie będę gościny zbyt nadużywał. Przebywałem tu jednak aż cztery miesiące, przerabiając z dwiema młodszymi córkami materiał początkowych klas gimnazjalnych oraz starając się być pomocnym w różnych innych sprawach.

Po wojnie miałem sposobność odwzajemnienia się w pewnym stopniu pp. Ziemińskim za ich serdeczną gościnność. Najstarszej córce Marii ułatwiłem ukończenie studiów ekonomicznych, dwom młodszym zaś dopomogłem do przyjęcia na studia lekarskie w Poznaniu i wynalezienia korzystnej prywatnej kwatery. Jedna z nich jest dziś lekarzem stomatologiem, druga zaś lekarzem internistą.

W 1972 r. odwiedziłem wraz z żoną pp. Ziemińskich, zastając ich jeszcze przy dobrym zdrowiu. Miło wspominaliśmy nawiązaną w ciężkich warunkach wojennych znajomość.

W czasie silnych mrozów, jakie panowały w styczniu i lutym 1940 r., nigdzie się nie ruszałem. Dopiero z początkiem marca, nie mając od żony wiadomości o możliwości uzyskania w Warszawie jakiegos zajęcia, pojechałem do Radomia, aby zorientować się w sytuacji na szerszym rynku pracy. Jak wiadomo, Radom stał się stolicą jednego z czterech dystryktów, na które okupant podzielił obszar Generalnego Gubernatorstwa. Tam też skupiona była całość urzędów i instytucji o zasięgu „dystrykcyjnym”.

W pierwszym rządzie odwiedziłem Związek Spółdzielni Rolniczo-Handlowych. Rządzili tu głównie wysiedleni z Poznańskiego i Pomorza fachowcy z tamtejszych „Rolników”. Jako współpracowników dobierali przede wszystkim znanych sobie fachowców z „branży”. Nie widzieli możliwości spożytkowania gdziekolwiek moich usług. Takie potraktowanie zniechęciło mnie do szukania pracy w drugim poważnym Związku Spółdzielni Spożyców „Społem”.

W tym stanie rzeczy postanowiłem starać się o wpis na listę adwokatów, aby przez to uzyskać jakiś określony status zawodowy. Prezesem Sądu Okręgowego na dystrykt radomski – merytorycznie, choć nie formalnie kompetentnym do załatwiania spraw adwokackich – był znany mi dobrze z Poznania dr Witold Prądyński. Powierzenie mu tego stanowiska zawdzięczał nawiązanej w okresie przedwojennym znajomości z dr.

Hansem Frankiem, w tym czasie Generalnym Gubernatorem Okupowanych Ziem Polskich. Dr Prądzyński przyjął mnie życzliwie i moją sprawę załatwił pozytywnie, niemal od ręki wyjednując mi nominację na adwokata z siedzibą w Końskich.

Z dokumentem nominacyjnym w rękę udałem się do tego nieznanego mi miasta, aby przedstawić się w sądzie i prokuraturze powiatowej oraz złożyć wizyty osiadłym tam adwokatom.

Szczęśliwym trafem spotkałem w Końskich znajomego sędziego Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, Piotra Ławacza, rodem z Końskich. Osiedlił się on przed kilku miesiącami jako adwokat w swym rodzinnym mieście. Doznałem z jego strony życzliwego przyjęcia i serdecznej gościny. Obiecał pomóc mi w znalezieniu odpowiedniego lokalu oraz w urządzeniu kancelarii.

Tak się złożyło, że była to moja jedyna wizyta w Końskich. Ostatecznie bowiem nie zdecydowałem się na osiedlenie w tym mieście. Miałem w rękę nominację, którą mogłem – w razie potrzeby – legitymować się wobec władz okupacyjnych.

Co więcej! Jako długoletni pracownik Prokuratury Generalnej, już z chwilą wpisu na listę adwokacką miałem prawo przyjmowania i kształcenia aplikantów adwokackich. Z tego mojego uprawnienia skorzystało dwóch znajomych prawników. Po wyzwoleniu, na podstawie wystawionych im przeze mnie zaświadczeń, zostali oni dopuszczeni w Poznaniu do egzaminu adwokackiego i wpisani następnie na listę adwokacką. O tyle więc moja adwokatura w Końskich okazała się pożyteczną.

Adwokata Ławacza spotkałem po wojnie w Poznaniu, gdzie do czasu powołania go na sędziego Sądu Najwyższego, pełnił funkcję sekretarza i radcy prawnego Uniwersytetu.

Wracając z Końskich do Włoszczowy, spotkałem w Radomiu studenta Akademii Handlowej, p. Jakubowskiego. Przedstawił mnie swej sympatycznej rodzinie. Jakubowscy byli właścicielami garbarni i ludźmi w owym czasie szczególnie dobrze sytuowanymi. Od ojca poczynając, cała rodzina pracowała fizycznie metodą tradycyjną w tej niełatwej branży. Korzystano tylko w znikomej części z pracowników najemnych. Dzięki temu możliwe było zachowanie tajemnicy produkcyjnej i handlowej. Skóry wszelkiego rodzaju były artykułem ściśle reglamentowanym. Garbarnie musiały wyliczać się z przydzielanych im surowców i dostarczać do dyspozycji władz cały produkt finalny. Był on jedynie w minimalnym stopniu przeznaczony na zaspokojenie potrzeb ludności polskiej. Dlatego skóry wszelakiego rodzaju stały się artykułem bardzo poszukiwanym. Na wolnym rynku płacono za nie wysokie ceny.

Jakubowscy, podobnie jak i inni garbarze, umieli wygospodarować pewne nadwyżki, które sprzedawali klientom polskim po cenie wolnorynkowej. Stanowiło to podstawę ich poważnych dochodów.

Ku mojemu zdziwieniu zaofiarowali mi dwie pełne walizki kruponów, czyli skór podeszwowych (około 40 kg), po cenie urzędowej, abym mógł przybywszy do Włoszczowy cały towar sprzedać po cenie wolnorynkowej i w ten sposób zdobyć poważniejszą gotówkę. Wzbraniałem się przed tą transakcją raz dlatego, że stanowiła ona formę ukrytej darowizny, po drugie, że na zapłatę ceny kruponów nie miałem pieniędzy, a wreszcie po trzecie, że w czasie przewożenia „trefnego” towaru mogłem być narażony co najmniej na jego konfiskatę. Bałem się zaciągnąć tak ryzykowne zobowiązanie. Państwo Jakubowscy powiedzieli mi jednak, że towar mogą mi zakredytować, a sprawę bezpiecznego przewozu i uniknięcia konfiskaty pozostawiają mojej roztropności i szczęśliwym okolicznościom.

Walizki z kuponami zostały mi podwiezione do dworca kolejowego, gdzie oddałem je do przechowalni bagażu. Chciałem je odebrać dopiero na 2–3 minuty przed odejściem pociągu w stronę Kielc. Ku memu przerażeniu jedna z walizek nagle otworzyła się... Przyjmujący do przechowania walizki pracownik kolejowy zapytał: „Skąd Pan zdobył takie piękne kuponiki?” Naturalnie, jako Polak nie zdradziłem. Obydwie walizki odebrałem w planowanym czasie i udałem się z nimi ku wejściu na peron, położony znacznie wyżej niż przechowalnia bagażu. Tam sprawdzano bilety kolejowe. Obok stał niemiecki policjant z psem. Zadaniem policjanta była kontrola bagażu podróżnych. Oddając bilet do kontroli, zwróciłem się po niemiecku do policjanta z zapytaniem, który to pociąg odchodzi do Kielc. Zagadnięty wskazał mi odruchowo stojący opodal pociąg zaznaczając, że odjeżdża on za dwie minuty. Spokojnie, unosząc lekko obie ciężkie walizki wsiałem do najbliższego wagonu tuż przed ruszeniem pociągu. Odetchnąłem głęboko... Pierwsza przeszkoda pokonana. Ale liczyć się musiałem jeszcze z rewizjami na stacjach w Kielcach i innych oraz z niezwykle złośliwą kontrolą w samej Włoszczowie.

I tym razem dopisało mi szczęście. Na którejś ze stacji wsiałem do przedziału jakiś młody *Hilfspolizist*. W rozmowie z nim dowiedziałem się, że pochodzi on z okolicy Radomia, że mówi lepiej po polsku niż po niemiecku – słowem jeden z miejscowych volksdeutschów.

Chętnie dopomógł mi przenieść mój bagaż na stacji Kielce do pociągu odjeżdżającego do Włoszczowy. Okazało się, że i on jedzie do tego miasta, gdyż tam jest jego miejsce pracy. Umówiłem się z nim wówczas, że we Włoszczowie ja wysiądę pierwszy zabierając jego lekką walizkę i postaram się zabezpieczyć dla nas obu dorożkę konną. On tymczasem przeniesie mój bagaż. Naturalnie nikt go nie rewidował. Moje walizki umieściliśmy „na sztorc” na koźle obok dorożkarza, sami zaś zajęliśmy obok siebie miejsce na tylnym siedzeniu. Odległość z dworca do miasta wynosi we Włoszczowie około 2 km. Zażywaliśmy więc zadowoleni paradnej jazdy. Kiedy zbliżaliśmy się do domu pp. Ziemińskich, ktoś z daleka ujrzał nas i zawołał: „Jezus Maria! Gestapo wiezie profesora!”

Jakież było zdziwienie, gdy przed domem dorożka zatrzymała się, a policjant niemiecki zdjął z koźła moje walizki, grzecznie się ze mną pożegnał i pojechał dalej opłaconą z góry przeze mnie dorożką!

Krupony naturalnie szybko „upłyniłem”, przekazałem państwu Jakubowskiemu umówioną cenę, a sam uzyskaną ze sprzedaży nadwyżką zasililem swój, bardzo już skąpy zapas gotówki. Wystarczyła mi ona na wydatki połączone z późniejszymi wyjazdami do Kielc, Warszawy i Kraśnika – aż do czasu otrzymania pierwszego wynagrodzenia za pracę.

Państwo Ziemińscy przyjaźnili się z rodziną Piotra Michałowskiego z Kielc. Był to znakomity, znany w całej Kielecczyźnie mistrz rzeźnicki posiadający piękny warsztat i sklep przy ul. Sienkiewicza. Odgrywał dużą rolę w kołach rzemieślniczych. Kandydował kiedyś na senatora. Syn jego ukończył tuż przed wojną studia medyczne w Poznaniu. Z początkiem wojny razem ze swą siostrą poszli z falą uchodźców na wschód. Wszelki słuch o nich zaginął. Państwo Michałowscy pozostali sami, robiąc sobie wzajemnie wyrzuty, że z własnej winy prawdopodobnie utracili dzieci w zawierusze wojennej.

Ktoś z rodziny Ziemińskich, a potem i ja, odwiedzaliśmy ich, staraliśmy się ich pogo-

dzie i pocieszyć. Pewnego dnia telegraficznie prosili mnie o bezzwłoczne przybycie. Naturalnie zaraz pojechałem. Okazało się, że dawny uczeń Michałowskiego zadeklarował się jako volksdeutsch i uzyskał od władz okupacyjnych decyzję, mocą której Michałowscy obowiązani byli przekazać mu swój dom, mieszkanie, warsztat i sklep rzeźnicki. Był jednak na tyle przyzwoity, że zabezpieczył im inne ładne mieszkanie przy tej samej ulicy w pobliżu dworca kolejowego.

Moim zadaniem było dopilnowanie, aby pp. Michałowscy mogli ze sobą zabrać wszystko, co nie było objęte decyzją władzy. A było tego mienia sporo w postaci wszelakiego rodzaju zapasów, materiałów ubraniowych, skór, butów i innych wartości, które stanowić miały w okresie wojny jedyną podstawę egzystencji dla dwojga ludzi w podeszłym już wieku. Trwająca kilka dni przeprowadzka odbyła się pomyślnie. W tym czasie spędzałem z nimi całe dni. Wieczorem rozpoczynały się codzienne rozmowy o dzieciach. Kończyły się one wielkim zdenerwowaniem i płaczem. W nocy przychodzili kolejno do mego pokoju, wylewając swoje żale. Kiedyś p. Michałowski obrzucił swą żonę najgorszą obelgą: „Panie Profesorze, czego można od niej oczekiwać! Toć to przecież bratanica Macocha!” (Macocho, jak wiadomo, był paulinem z klasztoru na Jasnej Górze w Częstochowie, oskarżonym przed I wojną światową o to, że sprowadzał sobie potajemnie kobiety do klasztoru. Trupa jednej z nich odnaleziono w jego celi pod podłogą.). Naturalnie pani Michałowska doznała spazmów i obaj z jej mężem musieliśmy ją ratować.

Na szczęście rozpacz rodziców z powodu utraty dzieci była pozbawiona podstaw. Okazało się bowiem, że zarówno syn, jak i córka zdolali dotrzeć jeszcze w jesieni 1939 r. do Francji i tam przeżyli wojnę.

Włoszczowa była w tym czasie małym, biednym miasteczkiem powiatowym, zamieszkałym w połowie przez wylęknioną ludność żydowską, dla administracji której Niemcy powołali do życia Judenrat.

Poza pięknym, zabytkowym kościołem, istniały tam tylko dwa porządne budynki publiczne: starostwo i szkoła podstawowa. Oprócz warsztatów rzemieślniczych i małego tartaku nie było na miejscu większego zakładu pracy. Wojna podcięła podstawy egzystencji wielu rodzinom. Toteż całe miasto prowadziło w tych ciężkich, zimowych miesiącach przyciszony i mizerny żywot.

Utrzymywano między sobą tylko ograniczone kontakty osobiste. Państwa Ziemskich odwiedzało w tym czasie zaledwie kilka zaprzyjaźnionych osób: dwaj lekarze – jeden Polak a drugi Żyd, beczynny geodeta, beczynny komornik sądowy. Stale jednak miał p. Ziemski wielu pacjentów – głównie dzieci. Skąpe też były wiadomości z zewnątrz. Dyskusje toczyły się wokół spraw wojny. Wszyscy obiecywali sobie na wiosnę wielką ofensywę francusko-angielską. Poruszenie wywołała wiadomość o walkach polskich oddziałów wojskowych w lasach kieleckich. Brak było na ten temat jakichś konkretnych danych. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że chodziło o grupę majora Hubala.

Dyskutowaliśmy też na temat przyczyn klęski wrześniowej, na temat panujących w Polsce niesprawiedliwych stosunków społeczno-gospodarczych i politycznych. Na ogół dyskutanci byli zgodni co do tego, że po szczęśliwie zakończonej wojnie i odbudowaniu państwowości polskiej – nie może być mowy o powrocie do stanu przedwrześniowego, a odbudowane państwo polskie oparte być musi na nowych podstawach ustrojowych.

Już wówczas wprowadzono obowiązek noszenia przez ludność żydowską na przed-

ramieniu żółtych opasek z pięcioramienną<sup>e)</sup> gwiazdą. Żydzi nie zdawali sobie jednak jeszcze sprawy z czekającego ich losu. Byli oni wprawdzie przygotowani na stopniowe pozbawianie ich materialnych podstaw egzystencji poprzez nakładanie na nich kontrybucji pieniężnych, przejmowanie przez władze hitlerowskie przedsiębiorstw, odcinanie od źródeł zaopatrzenia w surowce i artykuły konieczne dla działalności rzemieślników i kupców. Nie liczyli się jednak z tym, że czeka ich ze strony Niemców kompletna eksterminacja. Jeszcze przed zorganizowaniem gett, policyjne władze hitlerowskie zaczęły stosować wobec Żydów coraz bardziej wyrafinowane metody.

Miejscowi Żydzi opowiadali mi o tym, że zawezwano do gestapo Żyda rymarza i zamówiono u niego dostarczenie 200 harapów<sup>f)</sup> zakończonych ołowianymi kulkami. Kiedy w umówionym terminie rzemieślnik ten zgłosił się w gestapo z wykonanymi harapami i rachunkiem, harapy uznano za dobre, a rachunek polecono przedstawić do uregulowania Judenratowi! Gorzka ironia tkwiła w tym, że harapy wykonane przez żydowskiego rzemieślnika, zapłacone przez Judenrat, przeznaczone były na Żydów!

Nieco później ogłoszono w Radomiu, że Żydzi, którzy chcieliby wyjechać do Palestyny, będą po uiszczeniu wysokiej opłaty w złocie i walutach obcych przewiezieni samolotami do Turcji. Zgłosiło się na wyjazd kilkudziesięciu najzamożniejszych kandydatów. W oznaczonym dniu załadowano ich wraz z wypełnionymi walizkami na samochody i odjechano w kierunku Kielc. Po drodze, zagarnąwszy łup, wszystkich wykończono...

Nadzieje wiązane przez nas z nadchodzącą wiosną doznały zupełnego załamania. Zamiast ofensywy francusko-angielskiej nastąpiła (9 kwietnia 1940 r.) okupacja Danii i Norwegii przez Niemców!

Oceniałem wydarzenie to jako zapowiedź długotrwałej wojny. Uznawano to za pesymizm, a nawet za defetyzm! Ludzie stale oczekiwali cudów, nie chcąc liczyć się z realnymi faktami. Wierzący w „cudy” doznali niebawem nowego szoku, kiedy Niemcy, łamiąc opór Holandii, Belgii, forsując Linie Maginota, zajęli Paryż i zmusili Francję do upokarzającej kapitulacji...

Z końcem kwietnia 1940 r. otrzymałem od żony wiadomość, że zarysowuje się możliwość otrzymania przeze mnie pracy w Staatliche Getreide- und Industrie Werke (dawne Państwowe Zakłady Przemysłowo-Zbożowe). Wybrałem się więc w początku maja do Warszawy, aby sprawę tę na miejscu omówić. Razem ze mną pojechała córka pp. Ziemińskich, aby w Warszawie poczynić zakupy ubraniowe. Żona była moim przyjazdem zaskoczona. W międzyczasie bowiem napisała do mnie list, w którym przestrzegała mnie przed przyjazdem do Warszawy z uwagi na przeprowadzane łapanki uliczne. Listu tego jednak przed wyjazdem nie otrzymałem i nie byłem zorientowany w istniejącej w Warszawie sytuacji. Żona opisała mi przebieg łapanek i przestrzegała, abym uważał, co dzieje się na ulicach i abym chował się w jakiegokolwiek bramie, gdybym zauważył coś podejrzanego.

Następnego dnia spotkałem się z p. Ziemińską i pojechaliśmy tramwajem Alejami Jeruzolimskimi w kierunku Mostu Poniatońskiego. Niespodziewanie znaleźliśmy się w pułapce. Tramwaj został zatrzymany, otoczony przez esesmanów i wszyscy znajdujący się w nim mężczyźni zostali zapędzeni do oczekujących w pobliżu ciężarówek pokry-

<sup>e)</sup> Zapewne pomyłka autora, chodzi bowiem o sześcioramienną tzw. gwiazdę Dawida.

<sup>f)</sup> Harap lub harapnik – bicz z krótką rączką i długim splecionym rzemieniem, zakończony tzw. trzaskawką z włosia.



tych plandekami. Zawieziono nas na Pawiak. Znaleźliśmy się tam w grupie kilkuset osób najróżniejszych zawodów, schwytanych na dworcu kolejowym, na ulicach itp. Wielu z nich miało przy sobie duże ilości produktów żywnościowych, przywiezionych z prowincji (chleb, surowe mięso, wędliny, słoninę, masło i inne) na potrzeby własne lub na handel. W więzieniu zostaliśmy wszyscy zarejestrowani. Odebrano nam „do depozytu więziennego” zegarki, obrączki i inne kosztowności. Nie interesowano się natomiast posiadaniem przez wielu złapanych bagażem.

Zostałem ulokowany w sali, w której znajdowało się około setki „zatrzymanych”. Przydzielono nam zaledwie około 25 zużytych sienników z resztkami słomy. W sali było niezwykle duszno. Ponieważ nie znaliśmy się wzajemnie, zachowywaliśmy się powściągliwie, nie wdając się na razie w szersze rozmowy. Większość była przekonana, że nazajutrz będziemy przesłuchiwani, a gdy okaże się brak podstaw do aresztowania – kolejno zwalniani. Na podstawie opowiadań żony o łapance sprzed tygodnia wiedziałem, że było to rozumowanie naiwne, ale dające iskierkę nadziei. Zdawałem sobie sprawę, że przeprowadzane łapanki nie mają bynajmniej na celu wykrycia przestępców. Ich celem było stwarzanie atmosfery terroru, mającej zapobiegać wszelkim akcjom antyniemieckim, a ponadto stopniowa eksterminacja narodu polskiego.

Byłem przekonany, że z Pawiaka nie wyjdę już na wolność. Z reguły bowiem droga stąd prowadziła albo bezpośrednio pod ścianę straceń, albo do jednego z obozów koncentracyjnych, co nie dawało nadziei przeżycia.

Toteż przygotowany byłem na śmierć. Postawiłem krzyżyk nad osobistym życiem. Żał mi było jedynie umierać w czasie, kiedy nadzieja na zrzucenie hitlerowskiego jarzma, tkwiąca w duszy każdego Polaka, wydawała się tak bardzo mglista i daleka. Wierzyłem jednak, że żadna polska ofiara nie pójdzie na marne, że hitlerowskie hordy zostaną złamane, że kraj nasz odzyska wolność i niepodległość, a jego obywatele będą mogli żyć w warunkach bezpieczeństwa i pokoju.

Przewidując rychły koniec, postanowiłem do ostatniej chwili zachowywać się spokojnie i nie załamać się nawet wobec skierowanych na mnie luf karabinowych.

Nie wiedziałem, że w tym czasie żona podjęła energiczne starania o moje zwolnienie. Już w dniu mego aresztowania (6 maja 1940 r.) była zaniepokojona tym, że przed godziną policyjną (9 wieczór) nie powróciłem do jej mieszkania. Wyszedłszy bowiem z pracy widziała, że znów w całym mieście odbywa się łapanka. Zaniepokojenie to wzrosło, gdy nie powróciłem również nazajutrz rano. Dopiero od przybyłej p. Ziemskiej dowiedziała się o okolicznościach mego aresztowania. Natychmiast poszła do p. Willy'ego Bleya, treuhändera jej zakładu pracy, a równocześnie dyrektora firmy spedycyjnej Schenker & Co i Hartwiga, z prośbą o interwencję. Ten bez wahania podyktował jej pismo do gestapo żądające natychmiastowego zwolnienia Józefa Górskiego jako – rzekomego – niezbędnego pracownika Staatsgetreide. Ponadto zatelefonował do gestapo, aby p. Celinę Górską dopuszczono do kompetentnego pracownika. Miał on wpływowych znajomych w gestapo, której siedziba znajdowała się – jak wiadomo – przy al. Szucha, dzisiejszej alei I Armii Wojska Polskiego<sup>8)</sup>.

Dzięki jego interwencji żona bez jakichkolwiek trudności została z wartowni doprowadzona do decydującego w tych sprawach funkcjonariusza gestapo, który po stwierdzeniu w kartotece, że zostałem osadzony na Pawiaku, odręcznie wypisał na piśmie dyr. Bleya decyzję: *Entlassen* (zwolniony). Na drugi dzień byłem już na wolności.

---

<sup>8)</sup> Ponownie al. Szucha.

Był to wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności, prawdziwy cud. Życzliwe ustosunkowanie się i natychmiastowe zareagowanie p. Bleya, jego znajomość z wysokimi funkcjonariuszami gestapo oraz właściwe kroki podjęte przez żonę uratowały mi życie. W tym czasie przebywała na Pawiaku duża grupa aresztowanych z b. marszałkiem Sejmu Maciejem Ratajkiem na czele, którą za kilka dni zlikwidowano w Palmirach. Niewątpliwie i ja znalazłbym się w tej grupie.

Toteż, kiedy w naszej sali więziennej zjawił się niemiecki dozorca i wywołał moje nazwisko, nie wiedziałem o co chodzi. Sądziłem, że jestem wezwany na przesłuchanie. Dopiero gdy mi oświadczył, że mam opuścić więzienie, zadrzałem z radości. Wszyscy współaresztowani byli faktem mego zwolnienia również poruszeni. Od wielu osób zamieszkałych w Warszawie otrzymałem kartki z adresami i prośbą o odwiedzenie ich rodzin celem poinformowania, gdzie i w jakiej sytuacji się znajdują. Spełnienie tych prośb zajęło mi przeszło tydzień czasu.

Mój pobyt na Pawiaku trwał na szczęście wszystkiego trzy czy cztery dni. Przy opuszczaniu więzienia ze zdenerwowania zapomniałem zgłosić się do depozytu więziennego po odbiór zatrzymanego przy przyjmowaniu mnie zegarka ręcznego. Po zegarek ten zgłosiłem się – ku zdziwieniu dozorców więziennych – nazajutrz. Zegarek – ku memu z kolei zdziwieniu – został mi zwrócony! W moich ówczesnych warunkach nie było mnie stać na kupno nowego.

Z więzienia wyszedłem w pognicionym ubraniu, brudny i nieogolony. Zaszedłem więc w pierwszym rzędzie do fryzjera, gdzie doprowadziłem się do ludzkiego wyglądu.

Jakaż była ogólna radość, gdy pojawiłem się w biurze mieszczącym się w wieżowcu „Prudential” przy ówczesnym placu Napoleona, gdzie pracowała żona. Najbardziej ubawiła wszystkich przyniesiona z Pawiaka słonina.

Na drugi dzień udaliśmy się razem z żoną do dyrektora Bleya, aby podziękować mu za tak skuteczną interwencję. Był szczerze uradowany. Nie znałem go przedtem, ani on mnie. Odnosił się do nas niezwykle serdecznie, przyjął nas kawą i z zaciekawieniem słuchał moich relacji.

Po pewnej chwili zapytał, czy wiemy już o tym, że armia niemiecka wkroczyła tego dnia (10 maja 1940 r.<sup>h)</sup>) do Francji. Wiedzieliśmy już o tym. Powiedział dalej, że jego pobyt w Warszawie dobiega niebawem końca. Otrzymał bowiem już z Berlina telegraficzną nominację na dyrektora oddziału firmy Schenker & Co w Paryżu. Powiedziałem na to, że przecież Paryż nie jest jeszcze zdobyty, a Francja to nie słaba militarnie Polska. Ma ona znakomicie uzbrojoną armię i Linię Maginota. Na to odpowiedział z pełnym spokojem: „Za dwa tygodnie wojska niemieckie będą w Paryżu”. Miał lepsze rozeznanie ode mnie. Jego przewidywania sprawdziły się niemal dosłownie.

Od dyrektora Bleya powróciliśmy z żoną do Staatsgetreide. Wówczas polscy kierownicy: dyrektor Stefan Kisielewski i kierownik działu Jan Nowicki zapytali mnie, czy nie podjąłbym się, po pewnym przygotowaniu praktycznym, objęcia kierownictwa przygotowywanego obecnie magazynu zbożowego w Kraśniku. Propozycja ta zainteresowała mnie. Sprawa mego zaangażowania z dniem 1 czerwca 1940 r. została na ich wniosek pozytywnie załatwiona przez p. Bleya jako „treuhändera”.

Celem zapoznania się z zakresem mej przyszłej działalności w charakterze zarządzającego magazynem zbożowym, pracowałem w jednym z magazynów warszawskich przy

<sup>h)</sup> 10 maja 1940 r. ruszyła niemiecka ofensywa na Zachodzie. Uderzenie niemieckie skierowane było w pierwszej kolejności na Belgię i Luksemburg. 13 maja, po obejściu Linii Maginota, wojska niemieckie wkroczyły do Francji.

ul. Bema. Kierował tym magazynem przedwojenny senator gdański p. Budzyński, ukrywający się pod nazwiskiem Rabski. Funkcję zarządzającego magazynem (*Lagerverwalter*) objąłem w Kraśniku z dniem 1 sierpnia 1940 r.

Nie miałem po wojnie nigdy sposobności zetknięcia się z dyr. Bleyem, ale zachowałem go we wdzięcznej pamięci.

W wiele lat po wojnie opowiadałem o p. Bleyu zaprzyjaźnionemu z nami profesorowi Gerhardowi Reintanzowi z Halle. „Ciekaw jestem – powiedziałem – czy Bley przeżył wojnę i gdzie obecnie przebywa?”. Na to nasz gość oświadczył, że łatwo będzie się o tym dowiedzieć za pośrednictwem jego krewnego, pracownika Firmy Schenker & Co w Hamburgu. I rzeczywiście – po kilku tygodniach prof. Reintanz powiadomił mnie, że Bley mieszka w Paryżu i prowadzi tam własne przedsiębiorstwo. Równocześnie podał jego adres.

Napisaliśmy wraz z żoną do niego list następującej treści (w tłumaczeniu polskim):

„Wielce Szanowny Panie Bley!

Dzięki uprzejmemu pośrednictwu naszego przyjaciela, profesora dr. Gerharda Reintanza z Uniwersytetu w Halle/Saale, otrzymaliśmy wiadomość o Pana obecnym adresie.

Może przypomina Pan sobie ten dzień w maju 1940 r., kiedy to wraz z żoną przyszedliśmy do Pana do Firmy Schenker & Hartwig, aby Panu podziękować za tak skuteczną interwencję w warszawskim gestapo. Dzięki tej interwencji zostałem zwolniony z więzienia. Był to dzień wkroczenia Niemców do Francji.

Zarówno ja, jak i żona odczuwamy wewnętrzną potrzebę, aby Panu jeszcze dzisiaj jak najserdeczniej podziękować za wyświadczoną nam w tym ciężkim okresie pomoc, która wówczas uratowała mi życie. Pozostali aresztowani w tej łapance ulicznej w liczbie ponad 7 tysięcy Polacy – poza małymi wyjątkami – stracili życie. Zostali oni bowiem albo „zlikwidowani” w lesie „Palmiry” pod Warszawą, albo też wywiezieni do różnych obozów koncentracyjnych.

Umiemy ocenić Pańską ówczesną postawę i gotowość niesienia pomocy, czemu dajemy wyraz również w imieniu kilku polskich pracowników Schenkera & Spółki oraz Państwowych Zakładów Przemysłowo-Zbożowych, których Pan w czasie pełnienia funkcji w Warszawie wyrwał z rąk gestapo.

Cieszymy się bardzo, że się Panu dobrze powodzi i że mieszka Pan w ukochanym przez Pana Paryżu.

Po wojnie powróciliśmy do Poznania, gdzie objąłem z powrotem moje dawne stanowisko profesora Uniwersytetu i Wyższej Szkoły Ekonomicznej.

Życzymy Panu wszystkiego najlepszego i przesyłamy serdeczne pozdrowienia

(–) Celina Górski

(–) Józef Górski”

Na list ten otrzymaliśmy następującą odpowiedź:

„Wielce Szanowny Panie Profesorze,  
Wielce Szanowna Łaskawa Pani!

Spieszę, aby potwierdzić odbiór Państwa przyjaznego listu z 15 września 1959. Najserdeczniej dziękuję za Państwa szczerość. Wasze wypowiedzi przyjąłem z głębokim wewnętrznym zadowoleniem.

W okresie mej krótkiej działalności w Warszawie w ramach moich możliwości wstawiałem się za wielu nieszczęśliwymi i w szeregu przypadków uzyskałem pomyślne wyniki. Chodziło tu zawsze o osoby mi bliskie lub też znajomych albo ich krewnych.

Po moim powrocie do Paryża w lipcu 1940 r., gdzie z okresu przedwojennego miałem

znacznie szerszy krąg przyjaciół i znajomych, pomagałem tak często jak tylko mogłem, w znacznie większej ilości przypadków, dopóki wreszcie ja sam nie zostałem aresztowany przez gestapo w dniu 10 lipca 1944. Powodem tego było moje poręczenie za jednego z moich francuskich kierowników działu, który miał być rozstrzelany.

Jestem wdzięczny losowi i cieszę się z Państwem, żeśmy te ciężkie czasy szczęśliwie przetrwali.

Odwzajemniając Państwa życzenia pozdrawiam Was serdecznie

Wasz (–) Willy Bley”

Tak się składało, że nie miałem okazji wyjazdu po wojnie do Paryża. Gdybym się tam znalazł, chętnie bym go odwiedził, aby jeszcze raz podziękować mu za okazaną pomoc.

Tymczasem z ogromną troską śledziliśmy przebieg ofensywy niemieckiej we Francji, Belgii, Holandii i katastrofalny odwrót naszych sprzymierzeńców zachodnich. Z jednej strony nieoczekiwana klęska Francji była świadectwem, że kampania wrześniowa nie była taką kompromitacją militarną, za jaką sami ją uważaliśmy, z drugiej zaś strony załamanie się Francji odczuliśmy jako własną klęskę. Rozwiały się nasze nadzieje na łatwe zwycięstwo nad Niemcami i na rychłe i pomyślne zakończenie wojny.

Uzyskawszy kontrolę nad potencjałem gospodarczym Polski, Czechosłowacji, Węgier, Danii, Norwegii, Belgii, Holandii i Francji, niezależnie od własnego potężnego arsenału wojennego, Niemcy w sprzymierzeniu z Włochami wydawały się nie do pokonania przez dotychczasowych przeciwników.

Wiadomość o wzięciu Paryża, a potem o podpisaniu rozejmu z Francją odczuła cała Warszawa jako ciężki cios. Wielu ludzi załamywało się psychicznie. Prezes Prokuraturii Generalnej Bukowiecki na wiadomość o klęsce francuskiej odebrał sobie życie. Wszyscy myśleliśmy z troską o czekającej nas przyszłości. Zdawaliśmy sobie sprawę z ceny, jaką przyjdzie nam płacić w ciągu zapowiadającej się na długie lata okupacji.

Wiedzieliśmy jednak, że wojna trwa nadal, że Anglia się nie załamała, że wokół niej organizują się siły gotowe walczyć aż do zwycięstwa. Toteż społeczeństwo polskie nie kapitulowało.

Na terenie GG – poza ludnością tu osiadłą – znalazło się około miliona osób wysiedlonych z Pomorza, Poznańskiego, z Górnego Śląska i zbiegłych z innych części Polski. Wymogi życia zmuszały ich – bezdomnych, wyzutych z najkonieczniejszych środków do życia – do zorganizowania sobie warunków jakiejś egzystencji. Po klęsce francuskiej nikt nie liczył już na cuda i na rychły powrót do odebranych siedzib i stanowisk. Należało zabrać się do jakiegokolwiek pracy. Wiele osób zajęło się pokątnym handlem, począwszy od artykułów żywnościowych a skończywszy na złocie i brylantach.

Z początkiem września 1940 r. centrala Staatsgetreide przeniesiona została z Warszawy do Krakowa jako stolicy Generalnego Gubernatorstwa. Tam też przeniosła się wraz z innymi polskimi i niemieckimi pracownikami żona.

Ja wyjechałem już 31 lipca 1940 r. do Kraśnika celem objęcia funkcji kierownika organizowanych tam magazynów zbożowych, mających pomieścić około 12 tys. ton. Położone one były w pobliżu stacji kolejowej.

Należy zaznaczyć, że przed wojną sieć większych magazynów zbożowych była w Polsce bardzo uboga. Chłopi przechowywali niemłócone zboże w stodołach i stogach, narażając się często na szkody powodowane przez pożary i myszy. Omłócone zboże sprzedawali kupcom zbożowym lub w mniejszych ilościach przechowywali w workach

bądź luzem w stodołach, na poddaszach, a nawet w pomieszczeniach mieszkalnych. Majątki ziemskie dysponowały zazwyczaj własnymi spichrzami. Kupcy zbożowi posiadali też ograniczone możliwości magazynowe, podobnie jak mniejsze młyny przemysłowe. Trochę lepiej sprawy te przedstawiały się w województwach zachodnich.

Dopiero w ostatnich latach przed wojną wzniesiony został przez Państwowe Zakłady Przemysłowo-Zbożowe wielki młyn przemysłowy w Lublinie, przy którym zbudowano zmechanizowane silosy zdolne jednorazowo pomieścić 26 tys. ton zboża. Znacznie mniejszy magazyn na 10 tys. ton, mający raczej charakter przeładunkowy, wzniesiony został w porcie gdyńskim. Zwiedziłem go tuż przed wojną.

Toteż okupanci, zainteresowani objęciem gospodarką wojenną możliwie całej produkcji zbożowej, sprawie budowy magazynów zbożowych poświęcili od początku dużą uwagę. Chodziło o możliwość zabezpieczenia pomieszczeń i konserwacji dla wielkiej ilości zboża pochodzącego z obowiązkowych dostaw (kontyngentów), realizowanych bezpośrednio po żniwach.

W całym więc GG przystąpiono do organizowania dużej ilości magazynów, adaptując do tego celu również wielkie, nieczynne hale fabryczne i inne pomieszczenia. Tak postąpiono np. w Budzynie pod Kraśnikiem, gdzie zdemontowano całą świeżo przed wojną uruchomioną fabrykę zbrojeniową, a ogromne hale przeznaczono na wielki magazyn zbożowy z własną kilkukilometrową boczną koleją, mogący pomieścić około 50 tys. ton.

Podobny, choć czterokrotnie mniejszy magazyn zorganizowany został przy stacji kolejowej w Kraśniku. Był tam wzniesiony zespół trójkondygnacyjnych budynków, przeznaczonych na magazyny wojskowych środków farmaceutycznych i opatrunkowych, mających stanowić centralne zaplecze zaopatrzeniowe w czasie pokoju i na wypadek wojny.

Budynki nie były jeszcze wykończone, lecz mogły być łatwo przystosowane do potrzeb magazynowania zboża. Wielką dogodność stanowiła bliskość dworca kolejowego i rozbudowany system własnych bocznic.

Kiedy przybyłem 31 lipca 1940 r. na miejsce, cały teren przyszłych magazynów znajdował się jeszcze w stanie wielkiego nieporządku. Jeden budynek zajmowała grupa żołnierzy niemieckich strzegąca tam jakichś urządzeń. W innych budynkach pracowały ekipy warszawskie z przedsiębiorstwa budowlanego „TRawers”. Prace wykonywane przez tę firmę polegały na wstawieniu drzwi i okien oraz na wykonaniu gładkich, cementowych podłóg na wszystkich kondygnacjach.

Moje zadanie polegało początkowo na pełnieniu nadzoru inwestorskiego z ramienia Staatsgetreide i na przygotowywaniu się do przyjmowania zboża z bezpośrednich dostaw chłopskich oraz przesyłek wagonowych.

Warunki pracy były prymitywne. Mieszkałem w baraku, gdzie mieściło się również organizowane przeze mnie biuro.

Wobec braku urządzeń mechanicznych wszystkie prace związane z przyjmowaniem, rozmieszczaniem na poszczególnych kondygnacjach, zabiegami konserwacyjnymi oraz (w późniejszych miesiącach) załadowywaniem i wysyłką zboża do młynów, musiały być wykonywane siłą ludzką. Wymagało to zaangażowania dużej liczby (około 200) pracowników. Chętnych do pracy było w oddalonym o 4 km mieście Kraśniku wielu. Nie miałem więc pod tym względem trudności. Chyba więcej niż połowę zaangażowanych stanowili robotnicy i robotnice, rekrutujący się ze znajdującej się w ciężkich warunkach ludności żydowskiej. Byli to w lwiej części pracownicy dniówkowi. Obowiązujące

normy wynagrodzenia gotówkowego były – w stosunku do rosnących kosztów utrzymania – bardzo mizerne. W GG obowiązywał już wtedy 10-godzinny dzień pracy. Ludzie, zwłaszcza Żydzi – byli niedożywieni, zmęczeni, ich wydajność w pracy nie mogła być wysoka. Toteż moje starania szły w kierunku zorganizowania stołówki oraz uzyskiwania dla członków załogi przydziałów żywnościowych i odzieżowych, a także wódki, traktowanej przez większość jako artykuł wymienny. Starania moje zostały uwieńczone powodzeniem.

Pracownicy żydowscy otrzymywali w myśl obowiązujących zarządzeń nieco niższe od Polaków wynagrodzenie gotówkowe. Poza tym jednak korzystali na równi z Polakami z przydziałów i ubezpieczeń społecznych.

Zastępcą moim był fachowiec zbożowy, p. Barciszewski, przedwojenny właściciel młyna w Miłowodach pod Obornikami. Jego zadaniem było nadzorowanie wagi i stanu zawilgocenia przyjmowanego zboża oraz dbałość o jego konserwację (osuszanie za pomocą szufłowania, przewietrzania, układania w odpowiednie pryzmy).

Centrala krakowska zaopatrywała magazyny w coraz to nowe urządzenia i instrumenty, jak: wywrotki do wyładowywania i załadowywania zboża, zwykłe wagi decymalne, szufle, wielkie termometry magazynowe, tzw. wagi holenderskie dla ustalania stopnia zawilgocenia zboża, urządzenia dla ustalania stopnia zanieczyszczenia zboża itp., jak również instrukcje pouczające jak postępować ze składowanym zbożem.

Muszę powiedzieć, że Niemcy upowszechniali w ten sposób na terenie Polski doświadczenia i sposoby stosowane w Rzeszy. Miało to niewątpliwie znaczenie dla zapoznania się tysięcy osób z nowoczesnymi sposobami magazynowania zboża. Doświadczenia nabyte w okresie okupacji przydały się z chwilą, gdy w okresie powojennym przystąpiliśmy do budowy w całym kraju dużej liczby już zmechanizowanych, wielkich elewatorów i magazynów zbożowych, zapewniających najbardziej racjonalny sposób ochrony uzyskiwanych plonów.

W Kraśniku pozostawałem tylko przez cztery miesiące. W tym czasie mogłem nawiązać osobisty kontakt z moim bratem Michałem, przebywającym w Lublinie. Jako podporucznik pułku kawalerii w Grudziądzu brał on czynny udział w kampanii wrześniowej. W okolicach Bugu-Narwi dostał się do niewoli niemieckiej. Zbiegł z transportu jenieckiego i zgłosił się do oddziałów wojskowych na Lubelszczyźnie, które jeszcze stawały opór. Po wkroczeniu na ziemię lubelską armii radzieckiej, został ujęty i skierowany na wschód. I tym razem udało mu się zbiec. Zamieszkał w Lublinie, gdzie pod przybranym nazwiskiem włączył się do akcji podziemnej w ramach AK. Początkowo pracował jako sprzedawca w sklepie komisowym, a następnie został przyjęty do pracy w Elewatorze Zbożowym w Lublinie. Dyrektor Elewatora, p. Chmielnik, był wtajemniczony w podziemną działalność Michała i udzielał mu w ciągu niemal czterech lat różnych ułatwień (urlopów, delegacji służbowych).

Z czasem, jednym z głównych partyzanckich obowiązków Michała było przygotowywanie ładowań i zrzutów, dokonywanych na terenie Lubelszczyzny przez samoloty polskie walczące w ramach RAF (*Royal Air Force*), a startujące z lotnisk włoskich. Niezwykle odważny, spokojny i opanowany, potrafił przez całe lata uniknąć aresztowania.

W dniu 17 października 1967 r. odwiedził nas w Poznaniu pan Wiktor Knapp, b. rotmistrz i bezpośredni zwierzchnik śp. Michała w okresie walki podziemnej w czasie okupacji hitlerowskiej w Polsce. Wręczył mi przywiezione z Londynu zaświadczenia

dotyczące odznaczeń Michała, przyznanych mu przez b. Naczelne Dowództwo AK. Ponadto zapoznał nas z okolicznościami, w jakich nastąpiło aresztowanie i osadzenie w obozie koncentracyjnym w Gross-Rosen.

Michał Górski, Wiktor Knapp oraz jeden major, wychodzący w Warszawie z domu, w którym odbyła się odprawa w Komendzie AK, dostali się w ręce gestapo po ostrzeleniu ich na ulicy w dniu 19 lipca 1944 r. Zostali oni osadzeni w siedzibie gestapo przy al. Szucha (obecny gmach Ministerstwa Oświaty i Wychowania), skąd przewieziono ich w bardzo ciężkich warunkach do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, a stamtąd do filii tego obozu w Brzegu (*Arbeitskommando Brieg*). Byli tam używani do różnych prac, na które dowożono ich samochodami ciężarowymi.

W początkach stycznia 1945 r. panowało w obozie przekonanie, że w związku z przewidywaną ofensywą radziecką wszyscy więźniowie zostaną „wykończeni”. Toteż w grupie, do której należeli p. Knapp i Michał, powstał plan ucieczki. Plan ten postanowiono zrealizować w dniu 5 stycznia 1945 r. Po obezwładnieniu eskorty esesmańskiej i odebraniu broni, zawładnięto samochodem ciężarowym i przedsięwzięto próbę ucieczki. Przejechano trasę Brzeg – Opole, kierując się w stronę Częstochowy. Nie zauważono, że w czasie obezwładniania esesmanów wymknął się, również wtajemniczony w plan ucieczki, kapo grupy, niejaki Henryk Zawierucha z Zagłębia, pospolity przestępca kryminalny. Na skutek jego meldunku zorganizowany został pościg przeważających sił, które zmusiły grupę uciekinierów liczącą 30 osób do opuszczenia samochodu i rozproszenia się w lasach przy równoczesnym kierowaniu się poszczególnych mniejszych grupek w kierunku wschodnim. W czasie trwającego od 5 do 9 stycznia wymykania się przed pościgiem cała grupa była tak wyczerpana, że udało ją się esesmanom otoczyć i zmusić do poddania się w dniu 9 stycznia 1945 r. Spośród 30 osób dwie zostały zastrzelone, dwóm udało się ujść, a 26 osób zostało w okolicy Raciborza doprowadzonych do jakiegoś majątku ziemskiego, którego właściciel zajął się nimi dostarczając pożywienia itp. Nazajutrz przewieziono ich do Brzegu, gdzie odczytano im wyroki śmierci przez powieszenie. Stąd przewieziono ich do Gross-Rosen i 13 stycznia 1945 r. umieszczono w bloku 19 kompanii karnej, w bunkrze. Komendantem kompanii karnej był zbrodniarz Karl Vogel.

W dniu 7 lutego 1945 r. kazano im kopać dwa doły. W jednym z nich zasypane zostały kości i popioły z krematorium, w drugim mieli być pogrzebani oni sami. Tymczasem w nocy słychać było huk dział artyleryjskich, a rano przeleciały nad obozem samoloty radzieckie, niszcząc pomieszczenia hitlerowców. Zarządzono alarm i postanowiono ewakuować więźniów. Pędzono ich do oddalonego o 5 km dworca kolejowego. W dniu 8 lutego zostali załadowani do otwartych węglarek. Przejazd trwał od 8 do 13 lutego 1945 r., czyli pięć dni i pięć nocy. Z 63 więźniów z tego wagonu dojechało do Nordhausen żywych tylko trzynastu. W tym Wiktor Knapp i Michał, który z mrozu i głodu (od 8 do 13 lutego nie dawano im pożywienia), był tak wycieńczony, że zmarł w dniu 14 lutego 1945 r. w Nordhausen (Turyngia).

Wspominałem o grupie żołnierzy niemieckich stacjonujących w moim sąsiedztwie w Kraśniku. Odwiedzali mnie często i obserwowali pilnie moje poczynania. Z czasem nabrali do mnie zaufania. Zaprosili mnie pewnego wieczoru do siebie na małe przyjęcie. Okazało się, że są to rezerwiści, weterani I wojny światowej. Pochodzili z Zagłębia Ruhry. Wszyscy, jak mi szczerze powiedzieli, byli komunistami nastawionymi wrogo do systemu hitlerowskiego. Opowiadali mi szczegółowo o bezprawiach i prześladowaniach,

jakich dopuszczali się hitlerowcy w stosunku do swych niemieckich przeciwników. Z obrzydzeniem mówili o wymordowaniu kilkunastu tysięcy „mieszkańców”, tj. dzieci nieślubnych pozostałych w Nadrenii po stacjonujących tam po I wojnie światowej francuskich oddziałach wojsk kolonialnych.

Aby sprawić mi przyjemność nastawili aparat radiowy na Londyn, skąd mogłem wysłuchać informacji nadawanych w języku polskim. Wyrażali też przypuszczenie, że niewątpliwie Hitler przygotowuje się do wojny ze Związkiem Radzieckim i że tym razem czeka go klęska militarna oraz upadek całego stworzonego przez niego systemu. Z klęską tą i upadkiem wiązali oni swe własne nadzieje oraz nadzieje na pomyślną zmianę losu ujarzmionych przez hitlerowców narodów.

Byłem zaskoczony tym, co usłyszałem. Ani na chwilę nie wątpiłem, że słowa moich rozmówców były prawdziwe i szczerze. Były one dowodem zaufania do mnie osobiście, ale zarazem i chęci zaznaczenia wobec Polaka, że nie wszystkich Niemców obarczać można odpowiedzialnością za hitlerowskie bezprawia popełniane w Polsce. Chcieli mi pokazać, że istniały w Niemczech ukryte grupy społeczne, rekrutujące się głównie ze sfer robotniczych, wierzące w ostateczny upadek zwycięskiego na razie hitleryzmu.

Po raz pierwszy w życiu zetknąłem się osobiście z komunistami, ludźmi spokojnymi, dojrzałymi politycznie i niewątpliwie dobrymi patriotami niemieckimi. Wywarło to na mnie niezwykle dodatnie wrażenie.

Obserwowane przeze mnie dwukrotnie przed wojną w Warszawie 1-majowe pochody komunistyczne – w warunkach przebywania w więzieniach wielu polskich głównych przywódców komunistycznych – nie wyglądały jeszcze imponująco. Ustępowały znacznie masowym pochodom socjalistycznym (PPS). Wydawało mi się również, że Komunistyczna Partia Polski (KPP) daleka jest od tego, aby mogła być uważana za masową i polską partię robotniczą. Całą czołówkę pochodu stanowili Żydzi.

Tymczasem moi rozmówcy niemieccy reprezentowali autentyczną niemiecką klasę robotniczą. Prowadzone z nimi dyskusje przekonały mnie, że komunizm i patriotyzm nie są pojęciami przeciwstawnymi, że dobry komunista może być równocześnie dobrym patriotą, oraz że u komunisty troska o dobro własnego narodu może iść w parze z życzliwością i przyjaźnią dla innych narodów.

Prawda ta znalazła w tym czasie – o czym dowiedziałem się dopiero później – swoje pełne potwierdzenie w zachowaniu się polskich komunistów. Najlepszym przykładem była postawa tych, którzy przez całe lata przebywali w więzieniach sanacyjnych. Wypuszczeni wraz z innymi z więzień z chwilą wybuchu wojny w dniu 1 września 1939 r. wzięli natychmiast wraz z całym narodem czynny udział w walce z najeżdżcą w obronie zagrożonej Ojczyzny.

Potwierdzenie przypuszczeń żołnierzy niemieckich o przygotowywanej ofensywie na Związek Radziecki miałem uzyskać niebawem z dość nieoczekiwanego a miarodajnego źródła. W październiku 1940 r. przyjechał samochodem wytworny kapitan Luftwaffe. Prosił o pokazanie mu całych terenów magazynowych. Na moje pytanie, z jakiego tytułu on, oficer lotnictwa, interesuje się składowaniem zboża, odpowiedział: „Magazyny zbożowe nic mnie nie obchodzą. Przyjechałem tu, aby stwierdzić, jaką ilość bocznic kolejowych będzie można tu zdemontować i szyny zabrać do Mielca dla uzbrojenia terenu tamtejszej fabryki samolotów.”

Przy kieliszku, na który go zaprosiłem, poinformował mnie, że przystępuje się do szybkiej rozbudowy fabryk samolotów. „W jakim celu – zapytałem – przecież na Za-



chodzie macie kampanię zakończoną, a ze Związkiem Radzieckim łączy Was traktat o nieagresji. Zresztą w tych dniach przebywał z wizytą w Berlinie Mołotow, serdecznie podejmowany i z wielkimi honorami żegnany.”

Na to rozmówca mój oświadczył: „Dowództwo nasze otrzymało ostatnio telegraficzną wiadomość, że rozmowy z Mołotowem nie dały pożądanego wyniku i zakończyły się fiaskiem. W tych warunkach wojna ze Związkiem Radzieckim jest nieunikniona.”

Tego rodzaju wiadomość była dla mnie osobiście wybitnie pocieszająca. Jak można się było przekonać z wielu przeprowadzanych w następnych miesiącach rozmów, całe społeczeństwo polskie uważało, że uwikłanie się Niemiec hitlerowskich w wojnę ze Związkiem Radzieckim stanowi jedyną szansę doczekania się ich militarnej klęski. Przypominam sobie, że już w Warszawie odwiedzał codziennie biura Staatsgetreide pracujący w firmie Schenker inteligentny Żyd, dr Selters, zwany żartobliwie przez kolegów żony „Sodawasser”. Stawał on przed wiszącą na ścianie dużą mapą Europy i Azji i wskazując na obszary Związku Radzieckiego powtarzał: „Ta zielona potęga, ta potęga – kiedy ona ruszy, rozstrzygnie o losach wojny.”

Począwszy od jesieni 1940 r. aż do późnej wiosny 1941 r. byliśmy świadkami stałego przesuwania się na wschód wszystkimi szlakami potężnych armii hitlerowskich. Coraz bardziej stawało się widoczne, że armie te nie przygotowują się do uroczystej defilady.

W czasie mego pobytu w Kraśniku polskie podziemne organizacje wojskowe nie dawały jeszcze w Lubelskiem znaku życia. Panował tu na razie pozorny spokój. Również akcja antypolska, ani antyżydowska nie przybrały jeszcze ani w części takich rozmiarów, jakich tereny te były świadkiem w późniejszych latach. Tego rodzaju sytuacja sprawiała, że do pracy w magazynach zbożowych zaczęli zgłaszać się kandydaci z odleglejszych okolic. Między innymi zgłosiło się pięciu silnych pracowników z okolic Miechowa. Grupa ta podjęła się prac przeładunkowych (opróżniania wagonów i wnoszenia worków ze zbożem na I, II i III piętro) za uzgodnionym wynagrodzeniem akordowym.

Okazało się już w pierwszych dniach, że zarabiali oni 3–4 razy więcej niż robotnicy dniówkowi. Ale też wykonywana przez nich praca równała się pracy około 20 robotników dniówkowych.

Zachęceni przykładem miechowian robotnicy z Kraśnika utworzyli również dwie czy trzy podobne grupy. Uzyskiwali też znacznie lepsze zarobki, choć nie takie jak miechowianie.

Między innymi uformowała się też pod kierownictwem zawodowego tragarza grupa żydowska. Obiecałem im taką samą stawkę, jaką płaciłem Polakom. Już jednak po pierwszym dniu pracy akordowej kierownik grupy oświadczył, że jego towarzysze czuli zamiast nóg tylko własne spodnie. Zrezygnowali więc z próby pracy akordowej i pozostali przy systemie dniówkowym.

Kiedy praca magazynów była już w pełnym toku i pozwalała na przyjmowanie lub wysyłkę 30 do 40 wagonów dziennie, a zboże było zakonserwowane w taki sposób, że mogło bez potrzeby dalszych manipulacji przeleżeć do lata, przybył w pierwszych dniach grudnia 1940 r. w charakterze kontrolera urzędnik z centrali, reichsdeutsch Schulte. Szczególnie zaopiekował się nim mój zastępca, Barciszewski. W kilka dni po wyjeździe kontrolera zostałem zawiadomiony przez centralę, że jestem zawieszony w czynnościach z powodu wadliwych dyspozycji odnoszących się do wietrzenia magazy-

nów, a mogących spowodować zawilgocenie zboża. Byłem tym zaskoczony. Okazało się, że tego rodzaju sprawozdanie z przeprowadzonej kontroli złożył Schulte z namowy Barciszewskiego, który – okazując mi pozorną przyjaźń – chciał zająć moje stanowisko. Przypuszczając, że Schulte będzie mógł spowodować odebranie mi kierownictwa, z góry ofiarował mi piękny kilim. Tymczasem kierownictwo centrali otrzymawszy sprawozdanie pokontrolne Schultego wydelegowało do Kraśnika komisję złożoną z dwóch fachowców zbożowych Polaków i jednego reichsdeutscha. Stwierdzili oni prawidłowość moich zarządzeń i bezpodstawność raportu Schultego. Sprawa skończyła się w ten sposób, że po otrzymaniu pełnego należnego mi wynagrodzenia i pochlebnego świadectwa za obopólnym porozumieniem zaprzestałem dalszej pracy w Staatsgetreide.

Przeniosłem się do Krakowa, gdzie mieszkała i pracowała w centrali tego przedsiębiorstwa żona.

Z dniem 1 stycznia 1941 r. podjąłem pracę w hurtowni artykułów chemicznych i technicznych „Techebu”, mającej swe biura przy ul. Floriańskiej 7. W firmie tej pracowałem przez z górą cztery lata, aż do czasu oswobodzenia Krakowa przez armię marszałka Koniewa.

„Techebu” była przedsiębiorstwem żydowskim. Jej właściciel Stefan Ginzig, uchodząc przed inwazją hitlerowską znalazł się we Lwowie, a więc poza ówczesnymi granicami GG. Przedsiębiorstwo prowadzili w jego imieniu pozostali w Krakowie pracownicy: brat Dawid Ginzig, Izaak Ires oraz korespondentka p. Fela, której nazwiska już nie pamiętam. Obawiając się objęcia przedsiębiorstwa przez władze niemieckie i ustanowienia treuhändera Niemca – żydowscy pracownicy „Techebu” z własnej inicjatywy stawili do właściwego urzędu niemieckiego wniosek o ustanowienie nad przedsiębiorstwem zarządu powierniczego oraz powołanie jako powiernika (treuhändera) znanego im z przedwojennych stosunków handlowych Stanisława Krzysztoporskiego, b. dyrektora huty ołowiu na Śląsku. Wniosek ten został pozytywnie załatwiony.

Należy zauważyć, że w pierwszym okresie okupacji dość często powierzano stanowiska treuhänderów Polakom, głównie przesiedlonym z terenów włączonych do Reichu i znającym język niemiecki. Dopiero z czasem na treuhänderów powoływano wyłącznie Niemców napływających coraz liczniej do GG.

Instytucja powiernictwa miała na celu poddanie pod przymusowy zarząd prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych, handlowych i usługowych, jak również majątków ziemskich i zapewnienie władzom okupacyjnym skuteczniejszej kontroli nad ich działalnością. Była to instytucja tymczasowa. Mienie poddane zarządowi powierniczemu – głównie mienie żydowskie, a częściowo i polskie – miało być po zakończeniu wojny nadawane zwycięskim żołnierzom frontowym. W międzyczasie zapewniało ono korzystne stanowiska dla tysięcy Niemców.

Objęcie przez Stanisława Krzysztoporskiego zarządu powierniczego nad „Techebu” było korzystne przede wszystkim dla dotychczasowych żydowskich pracowników przedsiębiorstwa. Krzysztoporski zapewnił im wszystkim dalszą pracę i wszelką możliwą opiekę.

Ponieważ przedsiębiorstwo dawało poważne zyski, których nie zamierzano odprowadzać do kas okupacyjnych, Krzysztoporski zaangażował cały szereg dalszych pracowników Polaków, głównie spośród pozbawionych pracy i środków utrzymania inteligentów. I tak na początku 1941 r. pracowali tu – poza wspomnianymi pracownikami żydowskimi – p. Agnieszka Dobrowolska, żona znanego historyka sztuki profesora

Tadeusza Dobrowolskiego, p. Bossowska, wdowa po zmarłym na skutek okrucieństw stosowanych w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen-Oranienburg profesorze Franciszku Bossowskim, pani Manowarda, wdowa po pułkowniku WP, mój młodszy kolega z Pleszewa mgr Roman Rekowski, dr Mirosław Lipski, adwokat z Sosnowca, zwolniony na skutek choroby z obozu koncentracyjnego w Mauthausen, 16-letnia córka znajdującego się w niewoli majora WP oraz magazynier Wincenty Zieliński, zwany przez nas „Wicusiem”. Od 1 stycznia 1941 r. grono to powiększyłem ja, a w następnym roku mgr Roman Wysocki, handlowiec ze Śląska.

Przyjęcie mnie do pracy w „Techebu” nastąpiło w ciągu kwadransa, kiedy okazało się w toku rozmowy, że w czasie mego pobytu w Paryżu w 1929 r. poznałem brata Stanisława Krzysztoporskiego, Zygmunta, polskiego przedstawiciela w Komisji Odszkodowań, a w ostatnim roku przed wojną – dyrektora Izby Skarbowej we Lwowie.

W tym składzie tworzyliśmy zwarty zespół mający do siebie pełne zaufanie, ale – w pierwszym okresie – niewystarczające kwalifikacje branżowe. My, Polacy, zdobywaliśmy je dopiero w toku samej pracy.

Dużymi zdolnościami organizacyjnymi i pomysłowością odznaczał się sam Stanisław Krzysztoporski. Jego humor i życzliwość zapewniały dobrą atmosferę współpracy.

Specjalistą od artykułów technicznych był Izaak Ires, człowiek inteligentny, b. student medycyny. Jego żona, lekarz-psychiatra, wyjechała przed wojną na Wystawę Światową do Nowego Jorku. Znalazła się na szczęście dla siebie poza zasięgiem hitlerizmu. Od czasu do czasu przychodziły od niej krótkie wiadomości, z których wynikało, że w USA nie uzyskała ona przez długi czas prawa do wykonywania zawodu lekarza. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalu.

Dawid Ginzig razem z panią Manowardą prowadzili księgowość, a p. Fela i p. Dobrowolska korespondencję. Mgr Rekowski i dr Lipski sprawowali nadzór nad magazynami, p. Bossowska prowadziła kartotekę materiałową.

Mnie przypadły w udziale sprawy „zagraniczne” – kontakty z władzami decydującymi o przydziałach i zezwoleniach na import interesujących nas artykułów sprowadzanych z Niemiec i innych krajów znajdujących się pod okupacją niemiecką.

Bardzo szybko zorientowałem się, że nie mówiąc już o artykułach budowlanych, które stały się zupełnie nieaktualne, obrót artykułami technicznymi staje się coraz słabszy. Toteż zwróciłem uwagę na konieczność rozbudowy działu artykułów chemicznych. Myśl ta okazała się słuszna. Bardzo szybko artykuły chemiczne dawały około 95% obrotów, co wszystkim pracownikom „Techebu” zapewniało znośne możliwości zarobkowe.

Niestety, nasza zgrana grupa nie przetrwała w pełnym składzie do końca okupacji. Pierwszy bolesny wyłom nastąpił na wiosnę 1941 r., kiedy to aresztowano, wywieziono do Oświęcimia i rychło wykończono naszego uroczego kolegę Romana Rekowskiego. Jego brat Felicjan, zamieszkały w Warszawie, zginął w czasie powstania.

Następnym ciosem było odwołanie z funkcji treuhändera „Techebu” dyrektora Krzysztoporskiego. Objął on inne stanowisko. Dla „Techebu” wyznaczono treuhändera Niemca.

Wreszcie na przełomie 1942/43 roku nasi koledzy Żydzi znaleźli się w getcie. Przez okres około jednego roku dojeżdżali jeszcze z getta do pracy, aż w końcu nasz osobisty kontakt z nimi całkowicie ustał. Przez cały jednak czas, aż do powstania warszawskiego w 1944 r., przekazywaliśmy im do getta takie samo wynagrodzenie (łącznie z dodatka-

mi), jakie pobierali oni w czasie swej pracy w firmie.

W przedsiębiorstwie pozostała w niezmiennym składzie grupa polska oraz treuhänder Niemiec, p. Reins.

Zaraz na wstępie przekonałem p. Reinsa, że nie będzie on miał potrzeby bezpośredniego zajmowania się sprawami bieżącymi w przedsiębiorstwie. O sprawach ważniejszych będziemy go informowali. Nawet w stosunkach z władzami damy sobie radę. Faktycznie kierownictwo przedsiębiorstwa przeszło w moje ręce. Na mnie też spoczywała troska o losy całej załogi. Zdaje mi się, że z obowiązku tego wywiązałem się nieźle. Potrafiłem zawsze zapewnić z „drugiej kasy” wynagrodzenie kilkakrotnie wyższe, niż to wykazywały listy płac. Również i treuhänder otrzymywał wynagrodzenie dodatkowe. Mieliśmy więc zabezpieczone z jego strony lojalne wykonywanie zawartego porozumienia.

Troska o dobro załogi niejednokrotnie stawiała mnie w trudnej sytuacji. Ze strony „Bewirtschaftungsstelle für Chemische Erzeugnisse” (Urząd gospodarki artykułami chemicznymi<sup>1)</sup>) robiono mi często wyrzuty, że jeszcze zatrudniamy personel żydowski, że w naszym biurze gromadzą się, jak w swoim gnieździe, w dużej ilości klienci i znajomi Żydzi.

W 1944 r. wszystkie zakłady pracy otrzymały zarządzenie, aby dostarczyły do Urzędu Pracy 10% swych pracowników celem wysłania na roboty do Rzeszy. „Techebu” miało dostarczyć jednego pracownika. Strach padł na cały zespół. Na kogo padnie wybór? Myślałem o tym daremnie przez kilka dni i nocy, a termin wykonania zarządzenia gwałtownie się zbliżał. Nie mogłem przecież poświęcić nikogo. Zdecydowany byłem raczej sam zgłosić się na ten wyjazd, aniżeli ponosić moralną odpowiedzialność za wysłanie kogokolwiek z moich współpracowników.

Na szczęście, w ostatniej niemal chwili, zgłosił chęć wyjazdu „zastępczego” jeden z odwiedzających nasze biuro pośredników. W zamian za sumę odpowiadającą rocznemu wynagrodzeniu za pracę (ale nie według taryfy Arbeitsamtu), mającą być wypłaconą do rąk jego żony, wyraził zgodę na zgłoszenie się do Urzędu Pracy i wyjazd do Niemiec. W ustalonym terminie przyszedł wraz z żoną do naszego biura, skąd w towarzystwie dr. Lipskiego udali się w trójkę na wyznaczone miejsce zgłoszeń. Tam po załatwieniu formalności i otrzymaniu pokwitowania z wykonania nałożonego na „Techebu” obowiązku, dr Lipski wręczył żonie „ochotnika” umówioną kwotę. Rozjaśniły się oblicza moich współpracowników. Nikt nie zastanawiał się nad tym, że przy załatwianiu całej sprawy zastosowaliśmy klasyczny handel człowiekiem!

Jakież było nasze zdumienie, gdy „nabyty” przez nas „niewolnik” zjawił się za dwa dni w naszym biurze z zapytaniem, czy nie zachodzi potrzeba wysłania go jeszcze raz do Niemiec. Wyjaśnił nam przy tym, że korzystając ze zwolnienia biegu pociągu w pobliżu granicy z Reichem (Trzebinia) wyskoczył z pociągu i powrócił do Krakowa. Podobno z polskimi kolejarzami istniało stałe porozumienie co do zwalniania w określonym miejscu biegu pociągów, co umożliwiała – zwłaszcza w nocy – ucieczki osób wywożonych przymusowo do Rzeszy. Co więcej, w tym okresie powstał w Krakowie „nowy zawód” zastępców na wysyłkę do Niemiec, naturalnie za odpowiednią opłatą!

Rozwój działu chemicznego w „Techebu” zmuszał mnie z jednej strony do bliższego zapoznania się z technologią chemiczną, z drugiej zaś do utrzymywania stałych kontak-

<sup>1)</sup> W tekście autor używa różnych nazw tej instytucji. Pozostawiono je bez zmian.

tów z Urzędem do Spraw Chemii (Bewirtschaftungsstelle für Chemische Erzeugnisse), mieszczącym się przy ul. Lenartowicza 13.

Jak już to wyżej zaznaczyłem, wiedzy z zakresu chemii wyniosłem z czasów gimnazjalnych bardzo niewiele. Toteż zmuszony byłem szybko ją uzupełnić, przynajmniej w zakresie niezbędnym do prowadzenia handlu hurtowego artykułami chemicznymi. Najwięcej wskazówek praktycznych uzyskałem od naszych odbiorców – przeważnie Żydów, detalistów, którzy zamawiając u nas poszczególne chemikalia jednocześnie objaśniali mnie co do ich różnych odmian i gatunków, właściwości i przeznaczenia. Było to konieczne dla prawidłowego formułowania zamówień u wytwórców.

Te praktyczne wskazówki uzupełniałem lekturą sprowadzanych specjalnie książek niemieckich dotyczących technologii chemicznej. Jedną z takich pożytecznych mi wówczas książek mam do dziś w swej bibliotece.

W krótkim czasie zdobyłem taką orientację, że w Urzędzie do Spraw Chemii istniało przekonanie, że jestem przedwojennym profesorem chemii. Nie prostowałem tego mniemania. Podnosiło ono mój prestiż i ułatwiało pomyślne załatwianie moich wniosków o przydziały. Bo cóż w oczach okupanta, a w dodatku w tej branży – mógł znać tytuł profesora prawa?

Do „Chemii” chodziłem raz w tygodniu z pełną teczką wniosków o przydziały. Z reguły załatwiano mi je pomyślnie. Nasi klienci wiedzieli o tym. Toteż zjawiali się u mnie w „Techebu” z różnymi wnioskami z odległych stron GG, a zwłaszcza z Warszawy. Tam skupiała się bowiem przeważająca część „podziemnej” wytwórczości. Dlatego też zapotrzebowanie na różnego rodzaju surowce chemiczne było tam największe.

W „Techebu” dbaliśmy o to, aby tak manipulować przydzielonymi artykułami, by jak największa ich ilość szła na zaspokojenie potrzeb ludności. Odbywało się to z reguły przez łamanie przepisów o gospodarce wojennej. Zdawałem sobie dobrze sprawę z popełnianych codziennie „zbrodni” i mogących wynikać stąd konsekwencji. Szczęśliwie mieliśmy do czynienia z urzędem, który nie był w stanie skontrolować dokładnie, czy przydzielonym nam towarem zadysponowaliśmy zgodnie z wystawionymi asygnatami.

Kierownikiem Urzędu do Spraw Artykułów Chemicznych był dr Schüle, w ostatnich miesiącach okupacji aresztowany za branie łapówek. Znałem go jedynie z nazwiska, gdyż wszystkie sprawy załatwiałem z jego zastępcą inżynierem Friede. Był to stosunkowo młody człowiek, pochodzący z Czeskich Sudetów, bardzo dla mnie życzliwy i uprzejmy. Tak samo dobrze wspominam pozostałych urzędników, z którymi się stykałem.

Jednego dnia w 1944 r. zastałem w pokoju tylko jednego z nich, wysokiego młodego człowieka w wieku 20–22 lat, zawsze ubranego w eleganckie „oficerki” (buty z cholewami), którego uważałem za członka hitlerowskiej organizacji młodzieżowej *Hitlerjugend*. Ku memu zaskoczeniu zapytał mnie po polsku, czy znam książkę Wańkowicza *Na tropach Smętka* oraz książkę Kisielewskiego *Ziemia gromadzi prochy*. Jak mi oświadczył, książki te zrobiły na nim wstrząsające wrażenie. Teraz, widząc odwrót armii niemieckich pytał, czy ma pozostać w Polsce, czy też wyjechać w razie ewakuacji do Niemiec. Był jednym z lekkomyślnych volksdeutschów, którzy zawiedli się w swych rachubach na zwycięstwo Niemiec.

Charakterystycznym był też drugi przypadek. W 1943 r. otrzymuję telefon z „Chemii” od jednego znanego mi urzędnika, inżyniera chemika. Chciał się ze mną spotkać.

Myślałem, że idzie o sprawy urzędowe i zapytałem, kiedy mam się do niego zgłosić. Odpowiedział, że chciałby mnie odwiedzić w naszym biurze. Czyżby kontrola? Podałem mu godziny naszego urzędowania. Wtedy usłyszałem, że chodzi mu o rozmowę ze mną po godzinach urzędowych, kiedy w biurze nie będzie nikogo. Ustaliliśmy termin. Poprosiłem, aby przed umówioną godziną wszyscy współpracownicy opuścili biuro. Oczekiwałem na jego przybycie. Stał się punktualnie, otworzył drzwi, rozejrzał się i mówi: „Dzień dobry, Panie Profesorze.” – „Skąd Pan zna język polski?” – zapytałem. I tu nastąpiło nieoczekiwane wyjaśnienie.

Miał nazwisko i imię niemieckie, był ewangelikiem. Pochodził z rodziny, która – wraz z innymi – osiadła w powiecie gostyńskim i od dwóch co najmniej pokoleń uległa spolszczeniu. Studia odbył w Politechnice Warszawskiej. Jako podporucznik rezerwy brał udział w kampanii wrześniowej. Po jej zakończeniu zdjął mundur i udał się do swej rodziny. Tu dowiedział się, że jego rodzice, potraktowani jako podejrzani Niemcy, ponieśli śmierć, rzekomo z rąk wycofujących się oddziałów polskich.

Ta wiadomość załamała go. Pod jej wrażeniem zadeklarował się jako volksdeutsch. Czekał na koniec wojny. Tymczasem po klęsce stalingradzkiej volksdeutsche powołani zostali do służby wojskowej. Takie powołanie dostał i on. Był przekonany, że wysłany na front wschodni już z niego nie powróci. Rozpacz ogarniała go na myśl, że ma zginąć za obcą mu sprawę, gdyż w duszy czuł się nie Niemcem, lecz Polakiem. Odczuwał moralną potrzebę zwierzenia się ze swych przykrych rozmyślań osobie zaufanej. Na powiernika swych smutnych zwierzeń nie mógł wybrać żadnego kolegi ze swego zakładu pracy. Wydawało mu się, że jedynym znanym w Krakowie człowiekiem, zasługującym na jego zaufanie jestem ja i dlatego w ostatnim dniu przed odjazdem na front chciał spotkać się ze mną.

Wyraziłem mu szczerze moje współczucie. Rozumiałem go jako człowieka, którego nieszczęśliwy zbieg okoliczności popchnął do fałszywego kroku. Zaprosiłem go do polskiej restauracji na kolację, gdyż widziałem, jak bardzo potrzebował przyjaznego gestu...

Po upływie 6–7 miesięcy, przyszedłszy do „Chemii”, zauważyłem przy biurku odwróconego do mnie tyłem urzędnika w mundurze. Dopiero po pewnej chwili zorientowałem się, że to mój znajomy. Był na froncie, stracił lewą rękę, długo przebywał w szpitalu, skąd mocno wymizerowany powrócił na swe dawne stanowisko.

Do głównych artykułów prowadzonych przez „Techebu” należały: minia i glejta ołowiana (około 2 wagonów miesięcznie) przeznaczona rzekomo dla wielkich zakładów przemysłowych na konserwację maszyn i urządzeń, a w rzeczywistości sprzedawana przez nas na potrzeby produkcyjne garnarzy i kaflarzy. Byliśmy monopolistycznym rozdziałcą tego artykułu na całe GG. Dalej: soda kaustyczna (4–6 wagonów miesięcznie) – stanowiąca podstawowy produkt dla prywatnej fabrykacji mydła; karbid (6–10 wagonów miesięcznie) – głównie dla celów oświetleniowych; farby ścienne i anilinowe, w tym ultramaryna; tlenki metali (tzw. fryty) dla kaflarzy; kwasy (solny, siarczany i azotowy) w partiach wagonowych; azbest i wszelakiego rodzaju uszczelki i wiele innych.

Udało nam się kiedyś sprowadzić większą partię jedwabnej gazy młyńskiej ze Szwajcarii. Okazało się, że ilość ta mogła pokryć zapotrzebowanie całego GG na kilka lat. Brak doświadczenia!

Przy rozszerzaniu asortymentu artykułów chemicznych zwróciłem m.in. uwagę na suche farby. Otóż o ile niezwykle korzystnym artykułem okazała się poszukiwana przez ludność ultramaryna, o tyle niewypałem groziły farby ścienne. Na podstawie nadesłanych mi próbek zamówiłem około 15 wagonów tych farb w różnych kolorach. Jak mi się wydawało – powinny się one były podobać klientom. Błąd mój, wynikający z niedoświadczenia, polegał na tym, że zamówiłem mniej więcej jednakową ilość z każdego koloru. Bardzo szybko przekonałem się, że podstawowym artykułem są farby koloru białego – od zwykłej kredy poczynając, a na bieli cynkowej i barytowej kończąc. Wszystkie inne kolory to wyłącznie dodatki, które należy zamawiać w ilości 1–2% w stosunku do farb koloru białego.

Tymczasem sprowadzone przeze mnie farby zajęły magazyny potrzebne na inne cele – i to na okres nie dający się przewidzieć. Przemysliwałem więc, jak się tych farb pozbyć. Ponieważ były one artykułem stosunkowo tanim, myślałem nawet o ich wywiezieniu na jakieś podmiejskie wysypisko.

Z kłopotu wybawiła mnie dopiero ofensywa niemiecka na Związek Radziecki. W jesieni 1941 r. przyszedł do mnie do biura mój przyjaciel Tadeusz Kassern i oświadczył, że gotów jest zakupić cały posiadany przez „Techebu” zapas farb – bez względu na ich kolor – dla niemieckiej *Organisaton Todt*<sup>1)</sup>. Po zdobyciu dużych terenów radzieckich Niemcy poszukiwali dużych ilości farb, potrzebnych im do przeprowadzania remontów budynków w zajętych miejscowościach.

Transakcja doszła do skutku na bazie „loco stacja załadowania” (drewniane beczki, w których mieściły się farby, były tak zeschnięte, że trudno było przewidzieć, w jakim stanie towar dojdzie do stacji przeznaczenia). Cena fakturowana pokryła wszystkie koszty zakupu, składowania i przewozu dla Kasserna w wysokości całego wagonu farb!

Kiedyś zgłosił się do mnie p. Stanisław Tochowicz, gospodarz z Michałowic, pow. miechowski. Chciał, abyśmy postarali się dla niego i sąsiadów o saletrę nawozową.

Jak mi było wiadomo z posiadanych książek chemicznych, istnieją dwa rodzaje saletry: sodowa i potasowa. Na cele nawozowe używana jest tylko saletra sodowa. Tego artykułu nigdy dotąd nie sprowadzaliśmy. Produkowana przez Mościce saletra sodowa rozprowadzana była jedynie w skąpych ilościach przez organizacje związane z rolnictwem – spółdzielnie rolniczo-handlowe. Nie mogło więc być mowy o tym, aby „Techebu” otrzymało przydział na tę saletrę. Ewentualnie wchodzić by mogła w grę, stosowana dla różnych celów przemysłowych, saletra potasowa. Zrodziło się u mnie pytanie: czy saletra ta może być użyta na cele nawozowe?

Przewertowałem na ten temat szereg książek. W jednej z nich znalazłem odpowiedź pozytywną. Sprowadziłem więc dwa wagony saletry potasowej z Rzeszy. Była nieco droższa od sodowej, ale nie odgrywało to żadnej roli. Moi odbiorcy zastosowali ją, uzyskując rewelacyjne podniesienie się plonów. Naturalnie chcieli nabyć dalsze ilości tego „nawozu”. I rzeczywiście, udało mi się uzyskać przydział i sprowadzić jeszcze jeden wagon. Towar nadszedł do Krakowa tuż przed wkroczeniem wojsk radzieckich. Nie zdążyliśmy go już przywieźć do magazynu. „Zdematerializował” się na dworcu towarowym. Ze Stanisławem Tochowiczem utrzymujemy po dziś dzień przyjacielskie stosunki.

---

<sup>1)</sup> *Organisaton Todt* – hitlerowska organizacja budowlana, założona w 1938 r. przez inż. F. Todta. Działała w III Rzeszy i krajach okupowanych; tworzyła własne obozy pracy i wykorzystywała pracę więźniów także z innych obozów hitlerowskich.

Po przeniesieniu się z Kraśnika do Krakowa wynająłem pokój przy ul. Bernardyńskiej 7, w mieszkaniu pań Szyszko-Bohusz, siostr słynnego architekta i kierownika odbudowy Wawelu. Mimo że żona wprowadziła się w międzyczasie na prośbę rodziny do dwupokojowego, w pełni umeblowanego mieszkania (po zamęczonym w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen pułkowniku Włodzimierzu Ponińskim), położonego przy ul. Wenecja 7, pokój swój nadal zatrzymałem.

Postąpiłem słusznie. Kiedy w 1943 r. ulica Wenecja włączona została do „niemieckiej dzielnicy mieszkaniowej”, mogłem żonie i teściowej zabezpieczyć u pań Szyszko-Bohusz pokój zwolniony uprzednio przez drugiego współlokatora. Tam też mieszkaliśmy aż do czasu powrotu w kwietniu 1945 r. do Poznania. Było to pod samym Wawelem, w najbliższym sąsiedztwie Generalnego Gubernatora Hansa Franka. Przy naszej ulicy, obok kościoła oo. Bernardynów, w gmachu Śląskiego Seminarium Duchownego mieściły się koszary wojsk SS (*Waffen SS*). Słowem, dobre towarzystwo.

W czasie niemal pięcioletniego mieszkania w Krakowie żona jadła obiady w stołówkach swych zakładów pracy – najpierw Staatsgetreide, a następnie znanej fabryki pasty do obuwia „Chemimetal-Erdal”. Ja z panią Dobrowolską i Romanem Wysockim korzystaliśmy z obiadów przygotowywanych na wspólny rachunek w mieszkaniu Stanisława Krzysztoporskiego – aż do stycznia 1945 r. Tam też w czasie przerwy obiadowej (od 13 do 15) zażywaliśmy małego odpoczynku, jeżeli nie dyskutowaliśmy na temat bieżących wydarzeń.

Bo przecież nie sprawy handlowe, ale sprawy publiczne pochłaniały całą naszą uwagę.

Od odwiedzających nas niemal z obszaru całego GG klientów mieliśmy codziennie świeże informacje o prześladowaniach niemieckich, aresztowaniach, rozstrzelaniach, organizowaniu gett żydowskich, akcjach partyzanckich i obozach koncentracyjnych. Nasi krakowscy znajomi informowali nas o wiadomościach radiowych BBC oraz podawanych przez prasę podziemną, jak również zdarzeniach lokalnych.

O próbnej rakiecie V1, wystrzelonej przez Niemców w okolicy Mielca, wiedzieliśmy już na drugi dzień od niemal naocznego świadka. Informacje takie nasilały się zwłaszcza w ostatnich latach wojny. W „Techebu” zjawiać się zaczęli coraz dziwniejsi interesanci. Pewnego dnia zgłosiło się do mnie trzech przedstawicieli Rady Głównej Opiekuńczej z Warszawy. Chodziło im o uzyskanie w Centrali Rolniczej (Landwirtschaftliche Zentralstelle) dodatkowych przydziałów, idących w dziesiątki wagonów ziemniaków, mąki, grochu, tłuszczu – na akcję dożywiania setek tysięcy bezradnych, zwłaszcza starych i chorych mieszkańców Warszawy. Któryś z naszych klientów powiedział im, że ja będę mógł ułatwić im skontaktowanie się z dyrekcją wspomnianej Centrali. Przywieźli ze sobą pięć cennych futer, przeznaczonych na obdarowanie miarodajnych osób.

Nie miałem żadnych kontaktów z Landwirtschaftliche Zentralstelle. Przypomniałem sobie jednak, że pracuje tam mój znajomy z Poznania, dawny dyrektor młyna „Hermanka”, p. Grandkowski. Udałem się do niego z prośbą o podjęcie się pośrednictwa, które było tym konieczniejsze, że żaden z przedstawicieli RGO nie znał języka niemieckiego. Uzyskane przez nich rezultaty były zaskakująco pomyślne. Jednak przed otrzymaniem odpowiednich dokumentów przydziałowych jeden z delegatów udał się pośpiesznie do Warszawy po dwa dodatkowe futra damskie. Okazuje się, że futra – zwłaszcza damskie – stanowiły już wtedy poważny argument.



Przy okazji delegacji warszawscy opowiedzieli mi o swej wizycie z okazji Świąt Bożego Narodzenia w 1941 r. w jednym z obozów radzieckich jeńców wojennych. Przedstawicielom RGO niemieckie władze wojskowe pozwoliły na dostarczenie darów świątecznych jedynie dla jeńców radzieckich narodowości polskiej trzymanyh w osobnych pomieszczeniach i traktowanych lepiej, niż jeńcy innych narodowości ZSSR.

Kierownictwo obozu bynajmniej nie ukrywało, że – poza Polakami – wszyscy pozostali jeńcy wojenni ZSSR przeznaczeni są na wykończenie głodem... Wiadomo było już wówczas, że ten barbarzyński plan był konsekwentnie w wielu obozach w stosunku do tych jeńców realizowany.

Pewnego dnia dyrektor Krzysztoporski przedstawił mi pana, którego nazwiska już nie pamiętam. Chodziło o to, że pan ten starał się o uzyskanie kenkarty (karta rozpoznawcza). Potrzebny mu był świadek, który by w policji poświadczył jego tożsamość i stwierdził, że nie jest Żydem. Bez entuzjazmu – z uwagi na rekomendację Krzysztoporskiego – zgodziłem się na wyświadczenie tej przysługi obcemu mi człowiekowi, zdając sobie sprawę z wagi posiadania dokumentów osobistych w warunkach okupacyjnych. Poszedłem z nim na policję i złożyłem odpowiednie oświadczenie. Na tej podstawie zainteresowany otrzymał kenkartę.

Z przerażeniem dowiedziałem się w jakiś czas potem, że został on aresztowany i osadzony w więzieniu na Monteluppich. Liczyłem się z tym, że dochodzenia mogą objąć i mnie. Nie miałem bowiem pewności, że dane zawarte w kenkarcie (nazwisko, imię, rok i miejsce urodzenia) zgodne są z prawdą. Na szczęście nie spotkały mnie z tego tytułu żadne przykrości.

Po kilku miesiącach „aresztant”, wymizerowany i przygasły, przybył do naszego biura. Chciał rozmówić się ze mną w cztery oczy. Na moje pytanie, na jakiej podstawie uzyskał zwolnienie z więzienia – odpowiedział wprost: „Za cenę wydostania się na wolność przyrzekłem służyć Niemcom – jako szpicel! Nie mam jednak zamiaru tego robić i przychodzę do Pana z prośbą o poradę, co mam czynić – wyjechać pod zmienionym nazwiskiem do innego dystryktu, czy też zgłosić się do partyzantki?”

„Czy mam być pierwszą ofiarą Pańskiego donosu? – zapytałem. – Niech Pan nie żąda ode mnie rad w sprawach, o których rozstrzygnąć może tylko Pan sam, kierując się własnym rozumem i sumieniem”. Zgodził się z takim stanowiskiem i rozstaliśmy się przyjaźnie. Wszelki słuch o nim zaginął. Niewątpliwie danego Niemcom przyrzeczenia nie spełnił.

W połowie 1944 r. niektórzy Polacy z lękiem obserwowali posuwanie się ofensywy radzieckiej. Toteż korzystali oni chętnie – podobnie jak wielu Ukraińców – z udogodnień stwarzanych przez władze niemieckie dla tych, którzy zamierzali ewakuować się na tereny Rzeszy.

Znam osobiście trzy takie wypadki. Do Austrii wyjechał wówczas nasz przedwojenny znajomy, inżynier-leśnik Tadeusz Paciorkowski. Jako dawny „białogwardzista” z okresu rewolucji bolszewickiej obawiał się represji ze strony władz radzieckich. W 1946 r. powrócił jednak do Polski i objął stanowisko nadleśniczego w województwie olsztyńskim.

Z dwoma innymi wypadkami zetknąłem się na terenie „Techebu”. Któregoś dnia pojawił się w naszym biurze wielki businessman warszawski, Wojciechowski. Dorobił się on w czasie wojny sporego majątku prowadząc fabrykę marmolady. Za posiadaną gotówkę nabył poważne ilości złota, kosztowności, futer itp. Z tym wszystkim wybierał się do Wiednia. Do dziś pamiętam nadmierną otyłość jego samego, jego żony i dwóch kil-

kunastoletnich synów, których oczy były ledwie widoczne z wypasionych policzków. Nie wątpię, że niełatwo byłoby im pogodzić się z nowym strojem w Polsce.

Wreszcie interesujące było dla mnie spotkanie z trzecim opuszczającym Polskę, głośnym publicystą Władysławem Studnickim. Nazwisko jego było mi od dawna znane. Niewątpliwie dobry Polak, zdolny publicysta, był on maniakalnym wprost propagatorem sojuszu polsko-niemieckiego. Dawał on liczne dowody tej orientacji politycznej już w czasie I wojny światowej. Propagował ją z dużą odwagą osobistą i pełnym przekonaniem w okresie międzywojennym. Usiłował ją również głosić w warunkach II wojny światowej, kierując do Hitlera liczne memoriały, w których kreślił plany porozumienia polsko-niemieckiego. Nie zrażał się ani własnym aresztowaniem przez gestapo, ani postępowaniem Niemców wobec wszystkiego co polskie. Nie mógł zrozumieć podstawowej prawdy, że hitleryzm nie uznawał Polski ani Polaków za kontrahenta czy partnera. Przecież zgodnie z wypowiedzią Gauleitera Greisera w „Posener Tageblatt” w 1939 r.: „Die Polen können nur unsere Diener und Knechte sein”.

Toteż kiedy wraz ze swą żoną odwiedził nasze biuro – nie pamiętam nawet w związku z czym – z prawdziwym współczuciem spoglądałem na mizerną, drobną postać tego sędziwego pana, który z drobną kwotą obcej waluty i pewną ilością biżuterii przygotowywał się do opuszczenia kraju.

Wiosną 1941 r. byliśmy świadkami przemarszu milionowych armii niemieckich, kierujących się na Wschód. Duża ich część przejeżdżała przez Kraków i Tarnów w okolice Przemyśla. Z zazdrością obserwowaliśmy wspaniale uzbrojone i wyposażone oddziały różnych rodzajów broni. Przeważały wojska zmotoryzowane, piechota przewożona była samochodami. Nie brakło również artylerii konnej, ani konnych taborów. Wojsko dobrze umundurowane i odżywione pełne było nadziei łatwego zwycięstwa i rychłego powrotu do domu.

Byliśmy jednak nieco zdziwieni, gdy w czasie przemarszu pojawił się w naszym biurze żołnierz oferujący nam na sprzedaż kilka beczulek przewożonego koniaku francuskiego. Czyżby w tej buńczucznie wyglądającej armii tkwiły już zaczątki rozkładu?

Jak już poprzednio zaznaczyłem, wojna ze Związkiem Radzieckim była postanowiona. Jej początek opóźniły o dwa miesiące wydarzenia jugosłowiańskie. Cała ludność polska w GG oczekiwała zapowiadającej się wojny. Łączyła z nią szerokie nadzieje. Tylko bowiem uwikłanie się Niemiec hitlerowskich w wojnę ze Związkiem Radzieckim mogło doprowadzić je do klęski, do upadku marzeń o tysiącletniej Rzeszy i do odbudowy państwa polskiego.

Toteż rankiem w dniu 22 czerwca 1941 r. przyjęliśmy z radością wiadomość o rozpoczęciu działań wojennych. Była słoneczna niedziela. Razem z żoną i znajomymi wyruszyliśmy na dalszą przechadzkę do Swoszowic. Przechodząc obok sąsiadujących z naszym domem koszar SS – przez szeroko otwarte okna słychać było komunikat wojenny o rozpoczęciu działań przeciwko ZSSR. Była to końcowa część komunikatu. Przystanęliśmy i przysłuchiwaliśmy się. Na zapytanie żony, czy rzeczywiście nastąpił wybuch wojny, stojący na warcie esesman potwierdził, że wojska niemieckie przekroczyły w nocy ówczesną granicę z ZSSR, prowadzącą przez podzielone ziemie polskie. W czasie całodziennej wycieczki wsłuchiwalismy się w dochodzące z Sanu wyraźne odgłosy strzałów armatnich i wybuchów bomb.

Po powrocie do Krakowa mogliśmy oglądać rozlepione już na słupach odezwy zredagowane w języku polskim „Do Obywateli Generalnej Guberni”. Grupy czytających

przyjmowały je z ironicznym uśmiechem. Sympatia społeczeństwa polskiego przechyliła się w tym dniu na stronę Związku Radzieckiego. Później ze ściśniętym sercem śledzili Polacy walki i ponoszone przez wojska radzieckie klęski. Postępy ofensywy niemieckiej oznaczały, że zmagania wojenne nie będą łatwe i przeciągną się na lata. A dla Polaków nie tylko każdy rok, ale każdy miesiąc, a nawet każdy dzień miał swoje znaczenie.

Aż do czerwca 1941 r. drugim – poza mną – sublokatorom pań Szyszko-Bohusz był Ukrainiec, inżynier rolnictwa, współpracownik Komitetu Ukraińskiego w Krakowie. Jako oficer rezerwy, brał udział w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli, z której – z uwagi na swą narodowość – został zwolniony.

Prowadziliśmy ze sobą wieczorami żywe dyskusje.

Komitet Ukraiński, kierowany przez b. docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego Kubiłowicza, był organizacją skrajnie nacjonalistyczną, nastawioną na ścisłą współpracę z Niemcami, od których otrzymywał wielkie fundusze. Na wydawanych przez siebie mapach Komitet Ukraiński wykazywał, że ziemie ukraińskie sięgają aż po sam Kraków.

Na moje pytanie, jak Komitet widzi swoją rolę na wypadek zdobycia przez Niemców Kijowa i ziem radzieckiej Ukrainy – czy zamierza wówczas ukonstytuować się jako Rząd Ukraiński – mój rozmówca nie umiał dać odpowiedzi. Im bardziej zbliżała się chwila wojny i ofensywy niemieckiej przeciwko ZSSR, tym wizja przyszłości wydawała mu się coraz bardziej mglista. Widocznie Niemcy odmawiali Komitetowi Ukraińskiemu jakichkolwiek konkretnych przyrzeczeń. Pewnego dnia mój sąsiad oświadczył wprost, że nie jest pewne, czy członkowie Komitetu będą w ogóle wpuszczeni do Kijowa. Złe przecucie nie myliło go. Pierwszą niespodzianką dla Ukraińców było przyłączenie przez Niemców b. województw: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego pod nazwą „Distrikt Galizien” do Generalnej Guberni.

W dystrykcie tym – po przejściowym faworyzowaniu Ukraińców – Niemcy zrazili się do nich i do stylu ich pracy. Poczęli też proponować obejmowanie kierownictwa placówek gospodarczych Polakom i angażować ich.

Drugim wstrząsem było uznanie okupowanych ziem Ukrainy radzieckiej za prowincję niemiecką – Reichskommissariat Ukraine.

Uprawiane więc już w okresie międzywojennym kochliczki ukraińsko-niemieckie nie przyniosły działaczom ukraińskim spodziewanych korzyści. Jedynym ich wyrazem było utworzenie na terenie „Distrikt Galizien” zbrodniczej ukraińskiej formacji wojskowej „Division SS-Galizien”, która dała się krwawo we znaki ludności polskiej na tym obszarze.

Toteż z chwilą przechylenia się szali wojny na korzyść Związku Radzieckiego członkowie Komitetu Ukraińskiego dość wcześnie zaczęli związać manatki i przenosić się do Austrii i Niemiec.

Nie wszyscy Ukraińcy poszli na lep propagandy swego Komitetu. Znałem kilku z nich, którzy przez cały okres wojny ściśle współpracowali z Polakami, dzielili ich troski i niedolę. Do takich wyjątków należał m.in. lubiany przez nas Daniel Ilnicki, obecny docent Politechniki Krakowskiej.

Miliony zamordowanych w więzieniach, obozach koncentracyjnych, gettach, stale urządzanych obławach i łapankach, systematyczne niszczenie dóbr kulturalnych, zagarnięcie przez okupanta i przeznaczanie dla ludności niemieckiej teatrów, kin, muzeów, stadionów i hal sportowych, odebranie aparatów radiowych, wstrzymanie polskiej działalności wydawniczej, zamknięcie szkół stopnia ponadpodstawowego oraz stałe ogra-

bianie ludności z jej mienia poprzez konfiskaty, przesiedlenia, usuwanie z mieszkań, przejmowanie przedsiębiorstw i majątków rolnych pod przymusowy zarząd – stwarzały dla ludności polskiej (a w jeszcze wyższym stopniu dla ludności żydowskiej) atmosferę grozy, lęku i niepewności jutra.

Wszystkie te zbrodnicze formy bezprawia i barbarzyństwa hitlerowskiego nie zdołały jednak złamać ani ducha oporu, ani woli przetrwania społeczeństwa polskiego, ani wiary w ostateczną klęskę Niemiec hitlerowskich i odzyskanie wolności.

Od pierwszego do ostatniego dnia okupacji wszystkie klasy i warstwy narodu polskiego były w jednakowym stopniu nastawione antyhitlerowsko i życzyły okupantowi rychłej i całkowitej klęski.

Do wyjątków należeli zdrajcy, którzy – będąc Polakami – z własnej woli deklarowali chęć zaliczenia ich do kategorii volksdeutsche. Niektórzy z nich, widząc zbliżającą się klęskę Trzeciej Rzeszy, mocno żalowali swego lekkomyślnego kroku. Wspomniałem już wyżej o dwóch pracownikach Urzędu do Spraw Artykułów Chemicznych. Ponadto znany jest mi przypadek, kiedy to kierownik jednego z magazynów zbożowych, nazwiskiem Krusenstern, Polak, potomek szlacheckiej rodziny inflanckiej, w początkowych latach wojny zgłosił się na listę volksdeutsche. Nie uczyniły tego ani jego żona, ani też dzieci. Ceniony jako znakomity fachowiec zbożowy, lecz – podobnie jak wszyscy volksdeutsche – pogardzany przez reichsdeutsche – w 1945 r. w czasie błyskawicznych postępów ofensywy radzieckiej popełnił samobójstwo.

Nie dały efektów próby skaptowania sobie przez okupanta ludności góralskiej, którą chciano oderwać od polskości nadając jej nazwę i status „Goralenfolku”.

W Urzędzie Ziemi spotkałem kiedyś młodego niemieckiego antropologa, który na zaproszenie władz okupacyjnych spędził kilka tygodni w Zakopanem, gdzie robił pomiary czaszek, zdjęcia fotograficzne górali itp. Z pełną hitlerowską wiarą tłumaczył mi, że wszystko wskazuje na to, że górale to odrębna narodowość o cechach zbliżonych do rasy nordycko-germańskiej. Ku zdumieniu mego rozmówcy wyśmiałem tego rodzaju banialuki. Powołałem się m.in. na fakt, że szerzonym przez władze hitlerowskie bałamutnym tezom uległa, skuszona określonego rodzaju korzyściami materialnymi, tylko nieliczna grupa górali z jakimś Krzeptowskim, tzw. królem góralskim na czele, podczas gdy 99% ludności góralskiej myśli i czuje oraz postępuje tak samo jak reszta Polaków.

Krzeptowski – jak wiadomo – został w końcowej fazie okupacji powieszony przez miejscową organizację wojskową.

Nie dały też wyniku próby skaptowania dla niemczyzny ludności osiadłej w okolicach Nowego Sącza i Tarnowa. Władze hitlerowskie chciały nadać tej ludności status tzw. Deutschstämmige, czyli osób pochodzenia niemieckiego. Asumpt do tego dała okoliczność, że w tych stronach w czasach średniowiecznych osiedliła się poważniejsza liczba osadników niemieckich. Zgłoszenie się na listę uprzywilejowanych Deutschstämmige miała być wstępem do rozczłonkowania społeczności polskiej.

Pewnego dnia przyszedł do „Techebu” urzędnik Fabryki Nawozów Azotowych w Mościcach, p. Rokita. Poinformował nas o organizowaniu przez Niemców masowej i publicznej uroczystości wpisu na listę Deutschstämmige pracowników Fabryki. Wszyscy, a zwłaszcza pracownicy umysłowi, byli tym przerażeni, zdając sobie sprawę z konsekwencji odmowy tak „honorowej” propozycji. Po kilku dniach mieliśmy dalszą relację. Niemcy, sądząc, że najłatwiej będzie przekonać o korzyściach wynikających ze statusu Deutschstämmige nieświadomych – w ich mniemaniu – robotników, zorga-

nizowali najpierw ogólne zebranie pracowników fizycznych, a dopiero za tydzień odbyć się miało podobne zebranie pracowników umysłowych.

Na pierwszym zebraniu liczni przedstawiciele władz hitlerowskich poinformowali uczestników o wynikach przeprowadzonych badań naukowych, z których miało wynikać, że cała ludność Nowosądecczyzny i okręgu tarnowskiego to potomkowie osadników niemieckich. W żyłach tej ludności płynie czysta krew niemiecka. Słusznym więc jest, aby korzystała ona z przywilejów przewidzianych przez Wielką Rzeszę dla wszystkich osób pochodzenia niemieckiego. Poinformowano też zebranych o korzyściach, jakie przysługiwać będą tym, którzy znajdą się na liście.

Sala w milczeniu wysłuchiwała tych wywodów. W dyskusji nikt nie zabrał głosu. Wobec tego wezwano zebranych, aby zgłaszali się do wpisu na listę Deutschstämmige. Nikt nie zareagował. Wreszcie powstał jeden z robotników i uprzejmie zapytał, czy wpis na omawianą listę ma być dobrowolny, czy przymusowy. Odpowiedziano, że dobrowolny. Na to zgromadzeni robotnicy powstałi z miejsc i opuścili salę obrad.

Postawa robotników z Mościc uratowała sytuację. Mające się odbyć zebranie pracowników umysłowych zostało odwołane. Cała akcja spaliła na panewce!

Jak wiadomo, znany kat Lubelszczyzny, Globocnik, chciał przekształcić Zamojszczyznę w rejon czysto niemiecki. Miasto Zamość przechrzczono na Himmlerstadt. Ruggować począł dziesiątki tysięcy ludności polskiej, a tysiące zabranych gwałtem dzieci wywozić w głąb Niemiec celem ich germanizacji. Tych barbarzyńskich wyczynów nie śledziłem bezpośrednio. Wiedzieliśmy o nich z opowiadań naszych klientów. Zetknąłem się natomiast osobiście z kradzieżą dzieci pochodzących z okolic Tarnowa.

Było to w 1943 r. Wybrałem się nocnym pociągiem z Krakowa do Radomia, aby odwiedzić mego przyjaciela Eugeniusza Juszcza, obecnego adwokata w Poznaniu. Kierował on tam zorganizowanym przy mojej pomocy przedsiębiorstwem handlu detalicznego pod firmą „Farbochemia”. Kiedy wsiadłem w Krakowie do nieoświetlonego pociągu, nadszedł policjant niemiecki, który wprowadził do wagonu 10 czy 12 chłopców w wieku 7–11 lat. Dowiedziawszy się, że jadę do Radomia – prosił o opiekę nad chłopcami i dopilnowanie, aby i oni wysiedli w Radomiu. Miano tam na nich oczekiwać i dostarczyć do szkoły.

Gdy pociąg ruszył zapytałem mych młodych współpasażerów, po co jadą do Radomia. Na to jeden z nich wyjaśnił: „W naszych papierach stało, że my są Niemcy. Jędziemy do niemieckiej szkoły, gdzie nam będzie bardzo dobrze”. Zapytałem, skąd pochodzą. Wymieniono mi nazwy kilku wsi spod Tarnowa. „Jak się nazywają?” – Same nazwiska polskie. „Co robią ich rodzice?” Okazało się, że były to sieroty lub półsieroty. Jeden z chłopców powiedział, że ojciec poległ na wojnie (we wrześniu 1939 r.), a matka wywieziona została na roboty do Niemiec. Mieszkał u ciotki. Wydaje się, że zostali oni wszyscy, jako pozbawieni opieki rodzicielskiej, dostarczeni władzom niemieckim – jak kontyngent – przez sołtysów... Po otrzymaniu dobrego pożywienia i obietnicy dobrej opieki, te biedne dzieci zostały – jak się okazuje – rychło przekonane o tym, że lepiej jest być Niemcem.

Jak już poprzednio zaznaczyłem, przesiedleńcy z województw zachodnich zostali serdecznie przyjęci przez stałych mieszkańców GG. Po pierwszych trudnych miesiącach zimowych 1939/40 r. przybysze w swej większości poczęli się jakoś urządzać mieszkaniowo i podejmować pracę zarobkową.

Trzeba bowiem zaznaczyć, że z uwagi na potrzeby wojenne władze okupacyjne nie

tylko nie dewastowały gospodarki, ale starały się o jej utrzymanie na możliwie dobrym poziomie. Na przełomie 1942/43 r. zamarło jedynie budownictwo mieszkaniowe, które i tak było skromne. W tym czasie wydany został zakaz budowania (*Bauverbot*).

Jeżeli się zważy, że setki tysięcy osób zostało wywiezionych na roboty przymusowe do Rzeszy, a ludność żydowska zamknięta w gettach i „likwidowana” – to pozostała część wysiedlonych, zdolnych do pracy mogła stosunkowo łatwo znaleźć pracę w rolnictwie, przemyśle, handlu i usługach, nie mówiąc już o takich zakładach pracy jak koleje, poczta, urzędy i uruchamiane szkolnictwo powszechne, działające na podstawie ograniczonych planów nauczania – bez nauki historii i geografii.

Nie mieli trudności z pracą lekarze i rzemieślnicy. Znalazła też zatrudnienie i możliwości zarobkowe pewna liczba sędziów, prokuratorów i adwokatów.

W najtrudniejszej sytuacji znalazła się początkowo poważna część pozbawionej pracy inteligencji: nauczyciele szkół średnich, pracownicy naukowcy wszystkich stopni, aktorzy, muzycy, śpiewacy, malarze, rzeźbiarze, a w szczególności literaci.

Z czasem i te grupy poczęły sobie w różny sposób radzić. Z profesorów Wydziału Prawno-Ekonomicznego zamieszkali w Warszawie: Alfred Ochanowicz jako radca prawny Warszawskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Antoni Peretiatkowicz jako pracownik Zarządu Nieruchomości Miejskich, Jan Rutkowski jako współwłaściciel wytwórni farmaceutycznej „Motor”, Witold Skalski jako księgowy. W Krakowie zamieszkali: Zygmunt Lisowski jako pracownik Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), Józef Jan Bossowski jako pracownik Zarządu Miejskiego, Stefan Rosiński jako pracownik okupacyjnego „Banku Emisyjnego w Polsce”, kierowanego pod nadzorem niemieckim przez prof. Feliksa Młynarskiego i Witolda Trąpczyńskiego, Józef Górski – czyli ja – jako pracownik hurtowni artykułów chemicznych. W rodzinnym Skarżysku-Kamiennej przebywał Florian Barciński, a w jakimś dworze w województwie lubelskim – Czesław Znamierowski.

Z chwilą rozwinięcia się we wszystkich większych ośrodkach GG różnych form tajnego nauczania (prywatne korepetycje, komplety), poważna część pedagogów szkolnictwa średniego czynna była w tej akcji, zdobywając tą drogą skromne środki utrzymania. To samo dotyczy tajnego nauczania akademickiego w Warszawie (a po powstaniu w Kielcach i Częstochowie) oraz w Krakowie.

Aktorzy pracowali m.in. jako kelnerzy. Sławna była w Warszawie przy Al. Ujazdowskich kierowana przez Mieczysławę Ćwiklińską kawiarnia „U aktorek”, w której pracowało kilkanaście gwiazd naszych scen. Muzycy i śpiewacy grali i śpiewali w kawiarniach i restauracjach. Ponadto utworzyły się, zwłaszcza w Warszawie, liczne zespoły uliczne, których członkowie akompaniowali na różnych instrumentach śpiewakom, a ich piosenki miały bardzo często satyryczny wydźwięk polityczny. Gromadząca się wokół nich licznie publiczność nie szczędziła datków pieniężnych.

Wielu z aktorów „przekwalifikowało” się i pracowało w innych zawodach. Znany doskonały artysta dramatyczny i długoletni dyrektor Teatru Polskiego w Poznaniu, Władysław Stomma, pracował w Krakowie w przedsiębiorstwie handlowym. Spotykałem się z nim często, m.in. w Urzędzie do Spraw Chemii.

Mecenasami artystów malarzy i rzeźbiarzy były w pewnym zakresie kościoły i klasztory, zamawiające u nich różne prace artystyczne. Uczestniczyłem kiedyś w przyjęciu wydanym na cześć znakomitych malarzy krakowskich przez przeora klasztoru oo. Karmelitów. Poznałem przy tej sposobności profesora Fryderyka Pautscha i innych.

W dalszych latach wojny obrazy i rzeźby znanych artystów cieszyły się wielkim po-

pytem. Wielu dobrze zarabiających ludzi lokowało gotówkę w dziełach sztuki. Korzyścili na tym twórcy.

Dziennikarze, nie chcący pracować w wydawanych przez okupanta gadzinówkach, jak „Nowy Kurier Warszawski” lub „Goniec Krakowski” (zwany „Podogońcem Krakowskim”), czynni byli w prasie podziemnej, względnie pracowali w innych zawodach.

Znani literaci otrzymywali od firm wydawniczych zamówienia i zaliczki na książki mające ukazać się po wojnie. Firmy te doczekały się niespodziewanie dobrej koniunktury. Powstało niespotykane na taką skalę w okresie przedwojennym zapotrzebowanie na książkę polską. Całe przedwojenne zapasy dzieł naukowych, literackich, technicznych znajdowały nabywców.

Dobre interesy robiły antykwariaty. Wydawcy osiągnęli więc wpływy pieniężne, które – wobec stale postępującej inflacji ówczesnego złotego (tzw. młynarek) – lokowali w sposób najrozsądniejszy w formie zaliczkowania przyszłych utworów.

Rzecz jasna, że poza ludźmi mającymi stałe, choć w większości bardzo skromne zarobki, uzupełniane w niektórych przedsiębiorstwach dopłatami z „drugiej kasy”, jak to miało miejsce również w „Techebu” – na terenie GG znajdowały się setki tysięcy osób pozbawionych zdolności do pracy, osób pobierających głodowe renty i emerytury, wdów obarczonych dziećmi po żołnierzach, którzy stracili życie w kampanii wrześniowej, w więzieniach, obozach koncentracyjnych, rodzin jeńców wojennych. Zdani oni byli na różnorodną pomoc pochodzącą ze środków społecznych i indywidualnych. Trzeba stwierdzić, że wszyscy sobie wzajemnie pomagali.

Ze środków „Techebu” (z „drugiej kasy”) wpłacałem co miesiąc odpowiednie kwoty na rzecz Rady Głównej Opiekuńczej. Znacznej liczbie osób – Polakom i Żydom – umożliwiałem nielegalne nabywanie artykułów reglamentowanych, aby mogli spieniężyć ten towar na „wolnym rynku” z odpowiednim zyskiem.

Subwencjonowałem regularnie brata Michała. Za pośrednictwem zaprzyjaźnionych osób, zamieszkałych na terenach wcielonych do Reichu, rodzice moi i siostra otrzymywali przekazy pieniężne. Wysyłaliśmy paczki żywnościowe dla kilku znajomych przebywających w obozach jenieckich, obozach pracy i obozach koncentracyjnych. W ramach Polskiego Czerwonego Krzyża działała Sekcja Opieki nad Więźniami. Środki finansowe czerpała ona między innymi ze składek pieniężnych i darów w naturze pochodzących od społeczeństwa.

Po powstaniu warszawskim – w drodze ogłoszeń w gazetach – dowiedziałem się o losach i adresach ocalałych znajomych i przyjaciół. Razem z żoną mogliśmy dopomóc finansowo, względnie odzieżowo około dziesięciu osobom. Dostarczone im środki finansowe pozwoliły na przetrwanie do czasu wyzwolenia przez armię radziecką.

Atmosfera panująca w Krakowie, mieście zamienionym na stolicę GG, naszpikowanym z tego tytułu licznymi niemieckimi urzędami, instytucjami, formacjami policji i wojska, nie sprzyjała nawiązywaniu ani utrzymywaniu szerszych stosunków towarzyskich, ani kontaktów politycznych lub naukowych.

Wskazaniem było – w miarę możliwości – unikać dostępnych dla Polaków lokali publicznych, zwłaszcza kawiarni, aby nie natknąć się na obławę. W pierwszych miesiącach 1941 r. zachodziłem od czasu do czasu do kawiarni plastyków przy ul. Krowoderskiej, gdzie gromadziła się licznie młoda inteligencja. Spotykałem tam dość dużo znajomych. Pewnego wiosennego popołudnia – na szczęście nie poszedłem tam tego dnia – policja hitlerowska otoczyła ten lokal i dokonała aresztowania kilkuset mężczyzn. Większość z

nich zginęła w obozach koncentracyjnych. Wśród nich znalazł się mój poznański przyjaciel, znakomity polonista i eseista dr Konstanty Troczyński, zamęczony w Oświęcimiu.

To samo powtórzyło się w jakiś czas potem w małej kawiarence „U Kropaczkowej” przy ul. Karmelickiej, do której również niejednokrotnie zachodziłem.

Toteż na „małą czarną” wstępowałem ze znajomymi jedynie w godzinach południowych do niedużej kawiarni położonej przy narożniku ul. Floriańskiej i Rynku, albo też do kawiarenki prowadzonej przez pewnego volksdeutscha ze Lwowa, mieszczącej się na odcinku między kościołem Mariackim a ul. Sienną. Spotkała mnie tam kiedyś dość dziwna przygoda. Usiadłem przy małym stoliku i poprosiłem – jak zwykle – o prawdziwą małą kawę. Po chwili podszedł do mnie właściciel lokalu i szeptem powiedział, że nie może mi podać prawdziwej kawy z uwagi na obecność w kawiarni kilku umundurowanych Niemców, siedzących przy stoliku pod oknem. Odmówił im poprzednio podania prawdziwej kawy, gdyż nie mógłby – jak mówił – liczyć im ceny, jaką pobierał od Polaków. Zrozumiałem go i zadowolilem się kawą zbożową.

Po chwili jeden z tych umundurowanych podszedł do mnie. Stojąc na baczność, zapytał mnie po polsku: „Czy to Pan Profesor Górski?” – „We własnej osobie” – odpowiedziałem. Cała publiczność z zaciekawieniem obserwowała tę scenę. „Jestem Pańskim studentem z Akademii Handlowej w Poznaniu, czy nie mógłbym Panu czymś służyć?” Poprosiłem go, aby usiadł. Wyjaśnił mi następnie, że jako Niemiec, obywatel polski, przez dwa lata studiował w Poznaniu. Po wybuchu wojny ukończył studia w Akademii Handlu Światowego w Wiedniu. Obecnie pracuje w Urzędzie Nadzoru Cen przy Generalnym Gubernatorze. Gdy powiedziałem mu, że kieruję hurtownią chemiczną, dał mi swój bilet wizytowy dodając, że gdybym miał jakieś trudności w związku z pobieranymi cenami, mogę zwrócić się do niego. Pięknie podziękowałem, lecz z propozycji tej nie miałem ani potrzeby, ani zamiaru korzystać.

Nie nawiązywałem też w czasie wojny specjalnych kontaktów z krakowskim środowiskiem naukowym. W „Techebu” poznałem jednak kilku profesorów, a w pierwszym rzędzie męża naszej współpracownicy, historyka sztuki prof. Tadeusza Dobrowolskiego, przedwojennego dyrektora Muzeum Śląskiego w Katowicach. Dzięki pracy i zarobkom żony mógł on spokojnie prowadzić swą pracę naukową. Tam też poznałem jego kuzyna, prof. Kazimierza Dobrowolskiego, znanego socjologa. Był on spośród odwiedzających nas osób najlepiej zorientowanym w sprawach konkurujących ze sobą podziemnych organizacji politycznych, treści tajnych gazetek i informacji uzyskiwanych poprzez nasłuch radiowych stacji zagranicznych.

Od niego mieliśmy informacje o działającym w Moskwie Związku Patriotów Polskich oraz o działającej na terenie Polski PPR, zwalczanej przez ugrupowania o kierunku prołondyńskim. Tą drogą też informowani byliśmy o powołaniu do życia Krajowej Rady Narodowej. Od Kazimierza Dobrowolskiego wiedziałem również o prowadzonym w Krakowie dobrze zakonspirowanym tajnym nauczaniu akademickim.

Kiedyś odwiedził nas profesor Szafer, o którym wiedziałem, że był rektorem tajnego Uniwersytetu.

Na herbatce u pani Bossowskiej poznałem znanego ekonomistę profesora Feliksa Młynarskiego, prezesa „Banku Emisyjnego w Polsce”, oraz Franciszka Potockiego, przedwojennego dyrektora departamentu w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.



Nikt mi pracy w tajnym nauczaniu nie zaproponował, ani też sam o to nie zabiegałem, wiedząc, że jestem w Krakowie osobą nieznaną, nie posiadającą ponadto odpowiednich warunków mieszkaniowych. A przecież tajne nauczanie odbywało się w mieszkaniach prywatnych.

Natomiast zaproponowano mi udział w nauczaniu jawnym. W 1941/42 r. szkolne władze okupacyjne zezwoliły na zorganizowanie na terenie GG kilku prywatnych szkół zawodowych. Na mocy takiego zezwolenia poczęły w Warszawie funkcjonować kursy handlowe prof. Edwarda Lipińskiego (będące w rzeczywistości wyższą szkołą ekonomiczną). W Krakowie zezwolenie na otwarcie zawodowej dwuletniej szkoły handlowej uzyskał p. Liberda, absolwent Akademii Handlowej w Poznaniu. Szkoła zyskała od razu wielkie powodzenie z uwagi na dobrą obsadę nauczycielską i wysoki poziom nauczania (poziom technikum). Zgłosiła się też poważna liczba zdolnej młodzieży męskiej, która tą drogą zaspokajała nie tylko wewnętrzną potrzebę zdobywania wiedzy, ale uzyskiwała ponadto zwolnienie z zaciągu na przymusowe roboty w Niemczech.

W szkole Liberdy prowadziłem przez dwa lata zajęcia z organizacji przedsiębiorstw w ilości dwóch godzin tygodniowo. Przedmioty prawnicze wykładał tam Bogusław Leśniadorski.

To zetknięcie się z młodzieżą i dydaktyką dawało mi dużo przyjemności i działało ożywczo na uspięne w okresie okupacji zainteresowania naukowe.

Kilku absolwentów szkoły Liberdy odbyło bezpośrednio po wojnie studia w Akademii Handlowej w Poznaniu. Zachowali mnie widać w dobrej pamięci.

W tym samym czasie, na prośbę polskiego Inspektora Szkolnego w Krakowie, miałem kilkanaście godzin wykładów na kursach organizowanych dla księgowych pracujących w majątkach ziemskich. Przy tej okazji spotkałem się tam z kilkoma znajomymi z Poznania.

Wszystkie te zajęcia dydaktyczne traktowałem nie jako formę zarobkowania, lecz jako zaprawę przed zadaniami, jakie czekały mnie po wojnie. W miarę zbliżania się klęski Niemiec miałem je stale na myśli.

W początku lipca 1944 r. chciałem spędzić kilka dni w Garbatce koło Radomia. Była to położona wśród lasów skromna miejscowość letniskowa, z której przed wojną korzystała w głównej mierze ludność żydowska.

Przybyłem w nieszczęśliwym momencie. Już od pierwszej chwili letnisko wydało mi się jak gdyby wymarłe. Nieliczne grupy letników i wylękniona ludność miejscowa stwarzały dziwną atmosferę. Okazało się, że w Garbatce i okolicy przeprowadzili Niemcy na kilka dni przedtem wielką obławę, aresztując setki mężczyzn posądzonych o przynależność do AK, lub udzielanie pomocy tej organizacji. Akcją tą dotknięta była niemal każda rodzina. Stąd powszechne przynębienie.

Tymczasem na froncie wschodnim rozpoczęła się wielka ofensywa radziecka. O jej zasięgu i przebiegu można było orientować się z grubsza ze skąpych informacji „Nowego Kuriera Warszawskiego” dochodzącego tu z opóźnieniem. Bardziej aktualne wiadomości podawało radio niemieckie przez głośnik znajdujący się na terenie fabryki kalafonii. W pobliżu tego głośnika ustawiałem się regularnie o określonym czasie przy płocie, aby śledzić przebieg odwrotu wojsk niemieckich. Front zbliżał się w szybkim tempie. Świadczyły o tym przejeżdżające przez Garbatkę od strony Dębłina w kierunku Radomia pociągi ewakuacyjne. Niemcy starali się wywieźć z opuszczanych terenów zdemonstrowane tam różnego rodzaju maszyny, urządzenia fabryczne, inwentarz żywy, zboże i

cukier ładowany wprost na platformy. Świadczyły o tym również pociągi sanitarne z rannymi.

Z czasem coraz wyraźniej dochodziły echa zbliżającego się frontu. Słychać było głucho wybuchy bomb zrzuconych przez niemieckie samoloty, startujące całymi zespołami z lotniska pod Radomiem. Ponadto coraz wyraźniej słychać było odgłosy strzałów artyleryjskich.

Wzrastało podniecenie. Letnicy pakowali się i wyjeżdżali do miejsc zamieszkania. Wyjechałem i ja.

W drodze do Krakowa mogłem obserwować coraz większe ilości pociągów ewakuacyjnych i związane z tym opóźnienia. W dzień po moim powrocie wstrzymano czasowo na trasie Warszawa–Kraków przewóz podróżnych.

W Krakowie wszystkie urzędy i instytucje niemieckie postawione zostały w stan gotowia. W ostatnich dniach lipca zarządzono ewakuację z GG rodzin pracowników niemieckich. Z kobiet niemieckich mogły pozostać na miejscu jedynie te, które pracowały tu zawodowo. Niektórzy z Niemców, posiadający większe zasoby gotówkowe, starali się nabyć dolary amerykańskie względnie przedmioty ze złota.

W społeczeństwie polskim wzrastało podniecenie i oczekiwanie rychłego przesunięcia się frontu. Z niemieckich komunikatów wiedzieliśmy, że armia radziecka przekroczyła już Bug, oswobodziła Chełm i Lublin, i posuwa się w stronę Wisły.

Z tajnych nasłuchów dowiedzieliśmy się o powołaniu do życia Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego oraz o manifeście lipcowym proklamującym podstawowe zasady przyszłego ustroju odrodzonego państwa polskiego – jako państwa socjalistycznego.

Było oczywiste, że chwila wyzwolenia jest już bliska i że wyzwolenie to przynosi nam armia radziecka. Rozumiano dobrze, że okoliczność ta będzie miała decydujące znaczenie dla ukształtowania przyszłego ustroju naszego państwa, a tym samym dla warunków życiowych całego społeczeństwa. Coraz jaśniejszym stawało się, że decydujący wpływ na losy kraju zdobędą podziemne siły polityczne, skupione wokół PPR i Krajowej Rady Narodowej oraz PKWN.

Nie wszyscy z jednakowym uczuciem oczekiwali nadchodzących wydarzeń. Organizacje współpracujące dotąd z rządem londyńskim uświadomiły sobie, że ich koncepcje polityczne doznają załamania. W gruzy zaczęły się też sypać marzenia o obejmowaniu w przyszłości stanowisk, jeżeli już nie w rządzie, to przynajmniej w szeroko pojętej administracji państwowej. A jak bardzo poważnie marzenia te były traktowane, o tym miałem sposobność osobiście się przekonać.

W końcu 1943 r., przy okazji wyjazdu w sprawach rodzinnych do Warszawy, odwiedziłem jednego z klientów „Techebu”. Było to w niedzielę w godzinach przedpołudniowych. W mieszkaniu, poza gospodarzem, zebranych było czterech czy pięciu poważnych panów. Zostałem im przedstawiony, ale widziałem, że zarówno gospodarz, jak i jego goście nie byli moją wizytą zachwyceni. Domyśliłem się, że odbywali jakąś poufną naradę typu niehandlowego. Chciałem się wycofać. Wówczas gospodarz, który znał mnie dobrze, oświadczył, że chyba może liczyć na moją pełną dyskrecję i poinformował mnie, że zebrani występujący pod przybranymi nazwiskami stanowią grupę rozpatrującą kandydatury na stanowiska przyszłych wojewodów, starostów itp. Obecni między sobą tytułowali się już „panie wojewodo, panie starosto”. Myśląc, że jestem zainteresowany rozdzielanymi przez nich stanowiskami, zaproponowali mi nieobsadzone dotąd stanowisko starosty... w Kłajpedzie! Miasto to – według ich przewidywań – łącznie z Prusami

Wschodnimi miało przypaść w udziale Polsce. Ta propozycja niezwykle mnie ubawiła, ale nie dałem tego poznać po sobie i podziękowałem za nią w sposób poważny, oświadczając, że ja o żadne stanowisko w administracji ubiegać się nie zamierzam, gdyż będąc profesorem chciałbym po doczekaniu się wyzwolenia powrócić do moich przedwojennych funkcji...

Zapowiadało się więc już wówczas, że kształtowanie się nowego porządku w wyzwolonej Polsce nie będzie przebiegało bezkonfliktowo. Podstawowe bowiem klasy społeczne – robotnicy i chłopci – niewątpliwie opowiedzą się za programem PKWN.

Sprawy te stały się przedmiotem gorących dyskusji, podobnie jak kwestia przyszłych granic na wschodzie i na zachodzie, sprawa przesiedlenia ludności niemieckiej, stosunek państwa do Kościoła itp.

Tymczasem – wbrew powszechnym oczekiwaniom – ofensywa radziecka zatrzymała się i front ustabilizował się na okres kilku miesięcy na linii środkowej Wisły, a na południowym odcinku – na wschód od Tarnowa. Niemcy dość szybko opanowali zamieszanie i z całą energią przygotowywali się do obrony tej linii. Zaczęła się akcja zakładania pól minowych, kopania okopów, budowy bunkrów i innych gniazd oporu. Do prac tych zapędzono setki tysięcy ludności polskiej.

Z niepokojem obserwowaliśmy w Krakowie budowę licznych bunkrów (niemal na każdym narożniku), zakładanie przewodów elektrycznych umożliwiających w danym razie wysadzenie w powietrze mostów i takich obiektów jak gazownia, elektrownia, wodociągi. Widać było wyraźnie, że Niemcy zamierzają uczynić z Krakowa fortecę, a w razie konieczności zamienić miasto w kupę gruzów.

W trakcie tych pełnych napięcia dni, jak grom z jasnego nieba spadła na nas wiadomość o wybuchu w dniu 1 sierpnia 1944 r. powstania warszawskiego. Wiadomością tą byliśmy przerażeni, uważając w istniejącej sytuacji powstanie za krok samobójczy.

Niemcy przez kilka dni faktu tego nie podawali do wiadomości publicznej, obawiając się rozszerzenia podobnej akcji na cały kraj.

Aby zabezpieczyć się przed tego rodzaju niespodzianką w Krakowie, urządzili w niedzielę 6 sierpnia 1944 r. w godzinach przedwieczornych wielką obławę, aresztując w całym mieście na ulicach, Plantach, w parkach oraz w mieszkaniach około 10 tysięcy mężczyzn. Przewożono ich do obozu koncentracyjnego w Płaszowie pod Krakowem. Wśród aresztowanych znalazłem się i ja. Zabrano mnie z mieszkania przy ul. Bernardyńskiej 9, dokąd wracając z wycieczki, ostrzeżeni przez przechodniów, udaliśmy się szybko razem z naszymi przyjaciółmi Edwardem i Krystyną Lachowiczami.

Byliśmy w trakcie kolacji, kiedy usłyszeliśmy dobijanie się kolbą do drzwi wejściowych. Żona otworzyła drzwi, przed którymi stało dwóch esesmanów. Zapytali, czy są tu mężczyźni. Żona odpowiedziała twierdząco. Weszli do mieszkania i najpierw przeszukali jeszcze szafy, a następnie kazali mnie i Lachowiczowi wychodzić. Żona zatrzymała ich i skończyła wkładanie do teczek przyborów do golenia, mydła, ręcznika oraz bochenka chleba. Poza tą teczką miałem przy sobie pewną ilość pieniędzy. Wszystko to okazało się pożyteczne. Zostaliśmy załadowani na ciężarówkę, na której znajdowali się już inni aresztowani, i przewiezieni do obozu w Płaszowie.

Każdego z przywiezionych witano uderzeniem w twarz lub kopnięciem w brzuch, zabierając przy tym „do depozytu” zegarki, pieniądze, kosztowności. Szczęśliwym trafem grupa, do której należeliśmy wraz z Lachowiczem, uniknęła tych „powitalnych ceremonii”. Nie zostaliśmy ani pobici, ani ograbieni.

Obóz w Płaszowie zajmował wielki teren, podzielony drutem kolczastym na wielki plac apelowy oraz na mniejsze kwatery, na których stały drewniane baraki.

W obozie przebywała w tym czasie liczna grupa Żydów polskich, głównie krakowskich oraz kilkusetosobowa grupa Polaków spoza Krakowa, a wśród nich kilkadziesiąt kobiet wiejskich. Pochodziły one przeważnie z okolic Rzeszowa. Przywieziono je do Płaszowa w drodze represji za to, że nie wskazały miejsca pobytu córek i synów, którzy – nie posłuchawszy zarządzenia okupanta – nie zgłosili się na roboty przymusowe w Rzeszy.

Wszystkich objętych niedzielną łapanką umieszczono w barakach opróżnionych przez przewożonych do Oświęcimia Żydów węgierskich. W barakach znajdowała się jedynie brudna i zmiętoszona słoma, a w niej miliony dokuczliwych pcheł. Już w ciągu pierwszej doby byłem przez nie pokłuty raz przy razie na całym ciele. Po kilku dniach po nakłuciach tych pozostały tysiące czarnych punkcików. Czułem się jak gdyby zimunizowany<sup>k)</sup> i niewrażliwy na dalsze ugryzienia.

Obok baraków znajdowały się sterty brudnych, obtłuczonych naczyń i łyżek, które miały nam służyć do posiłków. Na szczęście w obozie były osobne ustępy oraz krany z bieżącą wodą. O ręcznikach czy mydle nie było mowy. Dobrze, że mogłem wziąć przy aresztowaniu własne przybory toaletowe. Używałem ich początkowo innym współtowarzyszom, aż pewnego dnia straciłem aparat do golenia i musiałem korzystać z płatnych usług golarzy, których kilku znalazło się wśród aresztowanych.

W ciągu pierwszych dwóch dni nie otrzymaliśmy żadnego pożywienia. Przydał mi się zabrany z domu bochenek chleba. Dzieliłem się nim nie tylko z Edwardem Lachowiczem i innymi znajomymi, ale również z najbliższymi sąsiadami z baraku, krojąc cieniutkie kromki. Trzeciego dnia byłem zaskoczony, gdy strażnik pilnujący naszego sektora wywołał moje nazwisko i podał mi miskę zupy z makaronem i kawałkiem mięsa, pochodzącej z kuchni „kapowskiej”. Zupę tę „zorganizowali” dla mnie, przebywający tu od dawna znajomi Żydzi, gdy dowiedzieli się, że znajduję się w Płaszowie. Był to piękny gest z ich strony, rodzaj rewanżu za mój przyjazny stosunek do nich. Takich dodatkowych posiłków otrzymałem kilka.

W Płaszowie pozostawałem przez z górą pięć tygodni. Pogoda była ciepła i słoneczna. Nie poddawano nas torturom. Otrzymywaliśmy małe racje żywnościowe. Wewnątrz własnego rejonu mogliśmy się swobodnie poruszać i porozumiewać się ze sobą.

A jednak panowała w obozie napięta atmosfera. Były ku temu różne przyczyny. Przede wszystkim nikt z nas nie wiedział, jak gestapo z nami postąpi w warunkach, kiedy front wschodni oddalony był od Krakowa zaledwie o 100 km, a alianci zachodni – o czym wiedzieliśmy z rozmieszczonych na terenie obozu głośników radiowych (w języku niemieckim) – wyzwolali stopniowo Francję. Byliśmy przygotowani na wywózkę do innych obozów koncentracyjnych położonych w głębi Rzeszy.

Nie nastrajały nas też optymistycznie zdarzenia obserwowane w obozie. Wstrząsające wrażenie zrobił na nas widok grupy Żydów, prowadzonych pod silnym konwojem w kierunku znajdujących się na terenie obozu dołów wapiennych. Po pewnym czasie usłyszeliśmy salwę karabinową – dowód przeprowadzonej egzekucji.

Z bezsilnym oburzeniem obserwowaliśmy w następnych dniach z daleka znęcanie się nad bezbronnymi kobietami polskimi z Rzeszowskiego. Umundurowana esesmanka z wyrazem sadyzmu biła po głowie pejczem oniemiałe ze strachu więźniarki. Szczuła na

---

<sup>k)</sup> Immunizacja – sztuczne uodpornienie organizmu przeciwko chorobom zakaźnym.

nie specjalnie wytresowanego psa-wilka. Ten z wściekłością rzucał się z kłami na nieszczęśliwe ofiary. Podobnego hitlerowskiego diabła w spódnicy i podobnej sceny nie zapomni się nigdy...

Codziennie przyjeżdżali do obozu przedstawiciele komendy gestapo i zabierali ze sobą – według już uprzednio przygotowanej listy – niektórych z naszych kolegów celem, jak mówiono, osadzenia ich w więzieniu na Monteluppich. Nikt z nas nie wiedział, kiedy przyjdzie kolej na każdego z nas.

Pewnego dnia byliśmy świadkami wstępnego przesłuchania jednego z naszej grupy przez gestapowca, władającego świetnie językiem polskim. – „Jak się Pan nazywa?” Zapytany podał nazwisko pod jakim przebywał w obozie. Na to przesłuchujący go gestapowiec: „Ale ja pytam Pana o prawdziwe nazwisko”. Te same pytania i odpowiedzi powtarzały się chyba z dziesięć razy. Aresztowany nie wytrzymał w końcu nerwowo. Ujawnił swe prawdziwe nazwisko. „No widzi Pan – tak należało odpowiedzieć od razu. Pojedzie Pan ze mną!”

Już po kilku dniach na rannych apelach niektórzy aresztowani, nie panując nad sobą, nie pomni na konsekwencje, poczeli głośno wołać: „Po co nas tu wszystkich męczycie? Zatrzymajcie samych członków AK, których jest tu pełno, a nas zwolnijcie lub zabierzcie do kopania okopów!”

Byli tacy, którzy z rozpaczy rzucał się na naładowane elektrycznością druty kolczaste, doznając okropnych pokaleczeń i porażań. Zabierano ich do szpitala. Jeden z aresztowanych, rozbiwszy szybę, poderżnął sobie nią gardło. Nie wiem, czy go uratowano.

Spokój zachowywali robotnicy i przedstawiciele inteligencji. Uspokajaliśmy naszych kolegów, starając się zarazić ich swym optymizmem. „Już niedługo – mówiliśmy – katastrofa hitlerowców jest nieunikniona. I my jakoś ocalejemy”.

Większość rozumiała to. Jednak jeden z tych, którzy słuchali moich perswazji i opowiadanych dla rozrywki dykteryjek, przyszedł kiedyś w nocy i obudziwszy mnie, wyjawiał zamiar popełnienia samobójstwa. „Tej męczarni nerwowo nie wytrzymam!” „Jakiej męczarni? – zapytałem. – Przecież na razie nic się nam najgorszego nie dzieje”. Powiedziałem mu, że o męczarniach można by mówić, gdyby zaczęto nas katować, głodzić, wieszać czy rozstrzeliwać. Odszedł, ale następnego dnia podszedł do mnie i zapytał, czy to prawda, że będziemy wieszani lub też rozstrzeliwani. Widząc, że mam do czynienia z człowiekiem opętanym manią prześladowczą, zapytałem: „A jak Pan myśli?” – „Chyba, że będą nas rozstrzeliwać.” – „Myślę to samo” – odpowiedziałem. „Tak właśnie postąpiono z tą grupą Żydów, którą oglądaliśmy.” Po jakimś czasie znów mnie zaczepił. Inni powiedzieli mu, że mają nas wieszać. „Mogą i wieszać – odpowiedziałem – to także krótko trwa.” Wieczorem znowu przyszedł do mnie z oświadczeniem, że jednak postanowił odebrać sobie życie. „W jaki sposób?” – zapytałem. „Rzucę się na druty.” – „Nie radzę – powiedziałem. – Widział Pan przecież, że próby takiego samobójstwa nie udawały się, a kandydaci zostali kalekami na całe życie. Czy chce Pan być porażony prądem i pokaleczony? Niech Pan jeszcze sobie całą sprawę przemyśli, a gdyby Pan doszedł do przekonania, że samobójstwo jest konieczne, proszę przyjść do mnie. Pouchę Pana wtedy, jak trzeba to zrobić.” Przyszedł nad ranem. Kazałem mu zdjąć buty, a sam poszedłem po wodę. Wyjaśniłem mu, że wobec suchości terenu próby rzucania się na druty w butach nie dawały dobrego rezultatu. Nie było bowiem należytego przewodnictwa prądu. – „Toteż, aby jego działanie było skuteczne, poleję najpierw ziemię wiadrem wody, a następnie ustawi się Pan na tym miejscu boso i chwyci się rękami za druty. Powinno poskutkować. Proszę zostawić buty i pójść ze mną.”

Biedny kandydat na samobójcę spojrzął na mnie podejrzliwie i odszedł bez słowa. Nigdy już więcej mnie nie prześladował. Zastosowany przeze mnie chwyt psychologiczny osiągnął swój cel. Wyleczył nieszczęśliwca z manii samobójczej.

Kiedy zostałem zwolniony z obozu zauważyłem, że i on jest wolny. Szedł ulicą Grodzką w moim kierunku. Spostrzegłszy mnie, starał się przejść na drugą stronę. Zatrzymałem go. „Niech się Pan nie wstydzi – powiedziałem – różni ludzie mają niekiedy chwile słabości. Najważniejsze jest to, że udało się Panu słabość opanować. Powodzenia!”

W czasie przebywania w obozie byliśmy również świadkami niektórych zdarzeń przyjemnych, humorystycznych, a nawet wyraźnie krzepiących.

Otóż pewnego dnia nasi nadzorcy wpadli na pomysł zorganizowania dla „pensjonariuszy” w godzinach przedwieczornych dwóch koncertów. Żydzi mieli dać koncert dla Polaków, a następnie Polacy dla Żydów. Zarówno przebywający w obozie Żydzi, jak i Polacy mieli ze sobą różne instrumenty oraz utalentowanych wykonawców. Obydwa koncerty wypadły wspaniale. W całym obozie słuchano ich z prawdziwym wzruszeniem.

Mniej więcej po dwóch tygodniach początkowe napięcie zaczęło ustępować. Zapewne na skutek ustabilizowania się frontu wschodniego, jak i opanowania sytuacji w powstańczej Warszawie, poszczególne zakłady pracy uzyskiwały już od pewnego czasu zwolnienia swych pracowników. Odczuwało się, że gestapo nie bardzo wie, co robić z zatrzymanymi w dniu 6 sierpnia tysiącami mężczyzn.

Pewnej nocy kazano nam wszystkim ustawić się na oświetlonym placu apelowym, a następnie uformować się w koło opasujące cały plac. W środku placu rozsiadł się na krzesła jakiś gestapowiec. Nakazał nam pojedynczo biec w jego kierunku i z odległości 10 metrów wywoływać głośno w języku niemieckim wykonywany zawód. Zależnie od otrzymanej odpowiedzi, ruchem szpicruty nakazywał ustawienie się na prawo lub na lewo od siebie. Jedni mieli być zwolnieni z obozu, drudzy pozostać. Sytuacja wydawała się groteskowa. Tysiące mężczyzn, w tym wielu starszych, na rozkaz hitlerowskiego bałwana musiało biec truchcikiem i zależnie od jego skinienia uzyskiwało zwolnienie lub też pozostawało nadal w obozie.

Jakiś mężczyzna biegnący przede mną podając swój zawód wykrzyknął: „*Zauber-künstler*” (czarnoksiężnik). Całe tysiące obecnych, łącznie z dyrygującymi nami gestapowcami, zanosły się od śmiechu. „*Zauber-künstler* – powiedział kierujący segregacją gestapowiec – bardzo pięknie, możesz pozostać w obozie i pokazywać nam swoje sztuczki”.

Kiedy przyszła kolej na mnie, zawołałem „*Kaufmann*” (kupiec) – i też zostałem w obozie.

Do grupy przeznaczony na zwolnienie prowadzący segregację skierował pytanie, czy ktoś ma może jakieś życzenie. Wielu z nich prosiło o zwrot zatrzymanych „w depozycie” zegarków, pieniędzy, wiecznych piór i innych cenniejszych przedmiotów. W odpowiedzi na to cała grupa poddana została parogodzinnym karnym ćwiczeniom. Po ich zakończeniu – nikt nie prosił o zwrot zagrabionych mu przedmiotów.

Było to chyba w drugiej połowie sierpnia – w samo południe. Posłyszeliśmy nagle głuchy, potężny odgłos ciężkich maszyn. Pod nami zaczęła drzeć ziemia. Wybiegliśmy wszyscy z baraków, aby zorientować się, co się dzieje. Zauważyliśmy wielkie przerażenie wśród gestapowców, którzy uciekali w kierunku schronów. Odezwały się syreny

obozowe.

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że zbliża się jakiś wielki nalot lotniczy. Nikt z Polaków nie szukał jakiegokolwiek schronienia. Mimo bezchmurnego nieba, nie było widać ani jednego samolotu. Jedynie od czasu do czasu można było na wielkiej wysokości zauważyć jakiś mały odblask. Duży zespół samolotów bombowych przelatywał na wysokości około 10 tys. metrów nad nami, kierując się z południowego wschodu na południowy zachód. Znajdujący się wśród nas fachowcy od razu ocenili, że celem amerykańskiego nalotu (Amerykanie bombardowali tylko za dnia) musi być jakiś ważny obiekt na Górnym Śląsku. I rzeczywiście. Za parę minut można było słyszeć detonacje spadających bomb. Zniszczono wówczas wielką fabrykę benzyny syntetycznej w Kędzierzynie. Jasnym było, że fakt nalotu był oznaką bezsilności niemieckiej Luftwaffe, która nie była już w stanie przeciwstawić się powietrznym rajdom aliantów.

Nalot, choć obserwowany niejako z boku, walnie przyczynił się do polepszenia humorów wśród przetrzymywanych w Płaszowie. Łączyło się to z faktem, że wielu z nas zdołało już nawiązać kontakt z rodzinami poprzez opuszczających obóz. Coraz większa liczba zatrzymanych była zwalniana. Na ogół więc nie obawialiśmy się już osadzenia nas w więzieniu na Monteluppich, ani też przewiezienia do innych obozów koncentracyjnych.

Sprawa mego zwolnienia przeciągała się – częściowo jednak z mojej winy. W kilka dni po osadzeniu nas w obozie, usłyszałem wywoływane nazwiska znajomych pracowników firmy „Chemimetal”, w której pracowała moja żona. Pobiegłem więc natychmiast do ich baraku z tą ważną wiadomością. Dlatego też nie słyszałem wywołania również mojego nazwiska. Nie liczyłem się bowiem zupełnie z tym, że na liście „Chemimetalu” może się znaleźć moje nazwisko. Nie zgłoszenie się w wyznaczonym miejscu spowodowało przedłużenie się mego przebywania w Płaszowie o kilka tygodni. Przyczyniło też żonie nowych zmartwień, niepokojów, starań i kosztów.

Żona natychmiast po moim aresztowaniu zawiadomiła o tym, co zaszło, swego szefa p. Schlössera, dyrektora firmy „Chemimetal-Erdal”, prawdziwego przyjaciela i opiekuna Polaków. Okazało się, że łapanka objęła ponad 20 pracowników tego przedsiębiorstwa. W piśmie żądającym ich zwolnienia dyr. Schlösser zamieścił również nazwisko moje i nazwisko E. Lachowicza, jakkolwiek żaden z nas nie był pracownikiem „Chemimetalu”. Kiedy, z niezrozumiałych powodów, nie zostałem zwolniony łącznie z innymi wymienionymi we wniosku pracownikami, a nowe starania nie dawały na razie rezultatu, żona zaczęła szukać nowych dróg. Między innymi – za czyjąś radą – udała się nawet do konfidenta gestapo, Żyda. Nie dało to również żadnego wyniku.

Ostatecznie dzięki staraniom żony i pomocy p. Schlössera (na zespół pracowników „Techebu” nie można było w ogóle liczyć) zostałem zwolniony z obozu w połowie września. Powróciłem do domu w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej, wzbogacony o przeżyte doświadczenia.

Następnego dnia, w niedzielę, poszliśmy wraz z żoną do prywatnego mieszkania p. Schlössera, aby podziękować mu za okazaną pomoc. Był chory i leżał w łóżku. Po pewnym czasie przybyła wezwana do niego lekarka niemiecka. Obecność Polaków w mieszkaniu Niemca zaskoczyła ją. Była ona, jak nam po jej wyjściu wyjaśnił p. Schlösser, aktywną działaczką NSDAP, głoszącą i wyznającą zasadę podziału narodowego. Niemka, która chyba rzadko miała sposobność towarzyskiego rozmawiania z Polakami, była zaciekawiona, co Polacy sądzą o sytuacji politycznej i wojskowej. Odpowiedziałem, że wyostałem się dopiero poprzedniego dnia z obozu i nie jestem w

pełni zorientowany w tym, co się w międzyczasie zdarzyło w kraju, ale – według mnie – Niemcy stoją w obliczu totalnej klęski militarnej i politycznej. Na to lekarka: „Nie można dopuścić do zwycięstwa komunizmu. Nasza walka leży w interesie wszystkich narodów Europy – również i Polaków”. Odpowiedziałem: „Po doświadczeniach okupacyjnych trudno oczekiwać od Polaków, aby w obecnej sytuacji stanęli po stronie Niemiec.”

Dyskusja prowadzona była bardzo otwarcie. Obawiałem się nawet, czy lekarka nie zrobi z niej „partyjnego użytku”. Nie zrobiła.

Przeżywalimy ostatnie miesiące okupacji hitlerowskiej. Uwaga całego kraju skupiona była na tragedii powstania warszawskiego. Po jego upadku byliśmy zajęci organizowaniem pomocy dla ocalałych i ewakuowanych mieszkańców stolicy, którą Niemcy zaczęli systematycznie ograbiać, wypalać i wysadzać w powietrze.

Linia frontu odcięła nas od wieści o bracie Michale, który – jak się później okazało – już na parę dni przed powstaniem został w Warszawie aresztowany, osadzony na Pawiaku, a stamtąd przewieziony do Gross-Rosen. Nie mieliśmy również żadnych wiadomości o rodzinie brata Jana, zamieszkałej po wysiedleniu z Poznańskiego w okolicach Warszawy (w pobliżu Bródna). Dopiero w marcu 1945 r. przy okazji pierwszego wyjazdu do Warszawy dowiedziałem się, że cała rodzina, usunięta przez wojska radzieckie z przebiegającej tam linii frontu, ocalała. Następnie, w ślad za posuwającą się na zachód armią radziecką, na wozie zaprzężonym w jednego konia dojechała szczęśliwie do swego gospodarstwa w Kamionnie pod Międzychodem.

W końcu września lub na początku października 1944 r. władze okupacyjne wydały zarządzenie dotyczące „przemieszczenia” (*Verlagerung*) maszyn i wszelkich urządzeń fabrycznych zakładów przemysłowych, posiadanych surowców i wyrobów gotowych z terenu GG do Rzeszy. W wykonaniu tych zarządzeń zostały zdemontowane, a w razie potrzeby pocięte i załadowane na wagony urządzenia Fabryki Nawozów Azotowych w Mościcach, Fabryki Celulozy i Wiskozy w Niedomicach i wielu innych fabryk, i wywiezione do Rzeszy.

Mniejsze przedsiębiorstwa przemysłowe oraz handlu hurtowego musiały ustalić plany wywozu posiadanych zapasów.

Rzecz jasna, że nikt z Polaków nie miał ochoty zarządzeniom tym się podporządkować. Dla „Techebu” wykupiłem nawet szereg cennych artykułów z Mościc, zapelniając nimi wszystkie magazyny i podwórze. Skierowałem natomiast – zgodnie z zarządzeniem – zajmujące mi miejsce w magazynach: wagon kredy mielonej i wagon gipsu technicznego pod adresem pewnej firmy w Bielsku-Białej. Zrobiono mi z tego tytułu poważne wymówki w Urzędzie do Spraw Chemii. Po pierwsze dlatego, że wyekspediowałem towary o najmniejszej wartości, a po wtóre – że nie do Reichu. Odpowiedziałem na to, że przecież Bielsko zostało również włączone do Reichu...

Na tym sprawa zakończyła się. Wartościowe artykuły przetrwały w magazynach do dnia wyzwolenia Krakowa.

W połowie listopada 1944 r. żona wyjeżdżała z dyrektorem „Chemimetalu” na Dolny Śląsk celem zorientowania się w możliwościach znalezienia pomieszczenia dla, mających być wywiezionymi do Rzeszy, urządzeń i towarów tego przedsiębiorstwa. Władze wielu miejscowości dolnośląskich odmówiły jednak przyjęcia tych rzeczy z powodu braku odpowiednich pomieszczeń, wystawiając równocześnie na żądanie dyrektora stwierdzające tę okoliczność pisemne oświadczenia. W ten sposób sprawa wywiezienia do Rzeszy urządzeń i zapasów „Chemimetalu” upadła. Przedsiębiorstwo zostało przejęte



przez władze polskie w nienaruszonym stanie.

Wyjazd ten wykorzystała żona do odwiedzenia moich rodziców w Międzychodzie oraz znajomych i przyjaciół w Poznaniu. Poinformowała też rodziców o osadzeniu brata Michała w obozie koncentracyjnym w Gross-Rosen, o braku wiadomości od brata Jana, o tym, że brat Władysław walczył na froncie afrykańskim. Matka była mocno przybita tymi wiadomościami. Zmarła w tydzień po odwiedzinach żony.

W związku ze stłumieniem powstania warszawskiego i przymusową ewakuacją całej pozostałej przy życiu ludności Warszawy, zaczęły do Krakowa napływać coraz większe grupy wysiedlonych szukających dachu nad głową, możliwości przetrwania ostatnich miesięcy wojny i uniknięcia wywiezienia do Niemiec. Mieszkańcy Krakowa w miarę możliwości służyli pomocą, przyjmując warszawiaków do swych mieszkań, zaopatrując ich w odzież itp.

W tym okresie otrzymaliśmy list od profesora Ohanowicza (październik 1944 r.). Donosił on, że już od sierpnia przebywają wraz z żoną w Podkowie Leśnej po wydostaniu się z obozu w Pruszkowie<sup>1)</sup>. Zdawali sobie sprawę z tego, że pp. Ohanowiczowie znaleźli się w trudnej sytuacji. Żona postanowiła do nich pojechać. Zaopatrzyła się przed wyjazdem w odpowiednie zaświadczenia władz, z których wynikało, że jest służbowo delegowana do Warszawy. Chciała bowiem na własne oczy zobaczyć to bohaterkie miasto w ówczesnym stanie.

Zarówno Profesora jak i jego małżonkę zastała żona w dobrym zdrowiu. Dowiedziawszy się, że planuje ona dostanie się do Warszawy, pp. Ohanowiczowie wręczyli jej klucze od swego mieszkania prosząc o przywiezienie spakowanych walizek z odzieżą, których nie byli w stanie zabrać przy wyrzucaniu ich z mieszkania. Przy pomocy właściciela fabryki pasty do obuwia „Dobrolin”, pana Paala, udało się żonie dostać do bezludnej już Warszawy, która z sterczącymi ruinami, poprzewracanymi wozami tramwajowymi, barykadami, robiła niesamowite wrażenie. Spod gruzów brygady robotników, przywożonych codziennie z Pruszkowa, wydobywały pod kierunkiem nadzorców niemieckich różne towary i inne dobra, które miały być przewiezione do Rzeszy. Z niewypalonych domów wynoszono meble itp.

Niestety, pp. Ohanowiczów spotkał zawód. Po walizkach, pozostawionych przez nich w mieszkaniu, nie było naturalnie ani śladu. Żona przywiozła tylko dużą figurkę św. Antoniego, którą znalazła w pokoiku ich gosposi, czym sprawiła jej wielką radość.

W Krakowie wszyscy oczekiwali rychłej ofensywy radzieckiej i liczyli się z zacieklą obroną tego miasta. Obawiano się ponadto przymusowej ewakuacji.

Normalna praca zamierała. Ludzie interesowali się tym, jak przeżyć przejście frontu. Robiono zapasy żywności. Zdawano sobie sprawę z tego, że zbliżające się Święta Bożego Narodzenia będą ostatnimi świętami okupacyjnymi. Nie mogły to jednak być święta radosne. Nie wiadomo było, na jakie niebezpieczeństwa możemy być narażeni sami, nasze rodziny, znajomi, przyjaciele oraz poważna część naszego narodu. Przede wszystkim myśleliśmy o tych, którzy byli trzymani w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Im, w obliczu klęski Trzeciej Rzeszy, mógł przypaść najtragiczniejszy los. Obawy te okazały się, niestety, w pełni uzasadnione. Ostatnie miesiące wojny – od stycznia do maja 1945 r. – przyniosły jeszcze setki tysięcy ofiar polskich.

W tym okresie nasłuchiwaaliśmy pilnie wiadomości radiowych o odradzaniu się życia

---

<sup>1)</sup> Wyszędzana z Warszawy ludność cywilna osadzana była w obozie przejściowym w Pruszkowie.

na terenach polskich uwolnionych spod okupacji hitlerowskiej, podległych Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że przeprowadzane tam reformy obejmą wkrótce cały wyzwolony kraj. Z pełnym przekonaniem aprobowałem te reformy i dawałem temu wyraz w prowadzonych dyskusjach. Rzecz jasna, że miałem gorących oponentów. Jedni, godząc się na zapowiadaną nacjonalizację podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, które i tak w lwiej części nie należały do Polaków, nie zgadzali się ze zbyt radykalną – ich zdaniem – reformą rolną, nie przewidującą pozostawienia byłym właścicielom choćby małych ośrodków. Powoływano się na przykład reformy rolnej przeprowadzonej zaraz po I wojnie światowej w krajach bałtyckich.

Najwięcej wątpliwości budziły sprawy ułożenia przyszłych stosunków Polski ze Związkiem Radzieckim. Czy i w jakim zakresie ZSSR uszanuje naszą suwerenność państwową?

A wreszcie sprawa granic. Z komunikatów radia lubelskiego wynikało, że do Związku Radzieckiego mają zostać wcielone województwa wschodnie Polski aż do linii Bugu. Co się ma stać z milionami zamieszkałych tam Polaków i znajdującymi się na tych terenach skarbami kultury narodowej? Z komunikatów radiowych nie wynikały żadne wskazówki, jak wyglądać ma nasza granica zachodnia.

Co do jednego wszyscy byli zgodni, że ludność niemiecka zamieszkująca na terenach, które przypaść mają Polsce, musi opuścić te ziemie.

Podobne myśli nękały całe polskie społeczeństwo. Przestaliśmy dyskutować o sprawach dnia wczorajszego i zajmować się wyłącznie troskami związanymi z codziennymi warunkami okupacyjnymi. Każda rodzina polska poczęła coraz konkretniej zastanawiać się nad najbliższą przyszłością i rolą, jaka przypadnie każdemu z nas – jeżeli przeżyjemy – w Odrodzonej Polsce.

O ofensywie znad Wisły (12 stycznia 1945 r.) dowiedzieliśmy się dość wcześnie. Wydawało nam się jednak, że nie posuwa się ona dostatecznie szybko – przypuszczalnie z uwagi na przygotowane przez Niemców linie obronne, zasieki, pola minowe.

Tymczasem już 17 stycznia 1945 r. w godzinach przedpołudniowych usłyszeliśmy pierwsze strzały armatnie. Nad Krakowem przeleciały pierwsze samoloty radzieckie. Od strony Słomnik powróciły przestraszone gromady ludzi, zapędzanych mimo panujących mrozów do kopania rowów obronnych i przeciwczołgowych. Dosięgły ich już pierwsze strzały radzieckie.

Przy odgłosie huku armat udaliśmy się, jak zwykle, na obiad do Stanisława Krzysztoporskiego. Poza gospodarzem obecni byli pp. Dobrowolscy i ja. Nie było tym razem Romana Wysockiego. W czasie obiadu zaskoczył nas nalot. Padło kilka bomb. Po obiedzie rozeszliśmy się w kierunku naszych mieszkań. Ponieważ nalot trwał nadal – na ulicach było pusto. Ludzie poschodzili do piwnic i schronów. Ukryłem się w sieni jakiegoś domu przy ul. Sebastiana. Gdy się uspokoiło, poszedłem dalej na ul. Bernardyńską 9. Byłem zaniepokojony nieobecnością żony. Tymczasem zaczął zapadać zimowy zmrok. Wyszedłem na ulicę, kierując się w stronę Głównego Rynku i ulicy Floriańskiej. Na Rynku, wśród zgromadzonych tam Niemców, panowała panika. Krzykiem i groźbą użycia rewolwerów walczyli o dostanie się na gotowe do odjazdu ciężarówki.

Aż do godzin południowych dnia 17 stycznia obowiązywał surowy zakaz opuszczania Krakowa przez mężczyzn-Niemców, pracujących na różnych stanowiskach cywilnych. Kilka miesięcy wcześniej zostali oni zaciągnięci do Volkssturmu, organizacji

paramilitarnej, która miała wziąć udział w obronie Krakowa, zamienianego systematycznie na *Festung Krakau* (twierdzę Kraków) przez budowanie niemal na każdym skrzyżowaniu ulic betonowych bunkrów obronnych, zakładanie min itp.

W dniu 17 stycznia 1945 r. Generalny Gubernator otrzymał wiadomość, że żadne większe zgrupowanie wojskowe nie będzie bronić Krakowa. Na godziny południowe zwołał więc specjalną odprawę na Zamku (Wawelu) i poinformował o zaistniałej sytuacji. Równocześnie wydał rozkaz natychmiastowego opuszczania Krakowa przez wszystkich Niemców cywilnych i kierowania się na zachód szosą prowadzącą w kierunku Zakopanego. Innej drogi nie było, ponieważ już w nocy Kraków został odcięty od Katowic przez armię radziecką.

Widząc co się dzieje na Rynku, stało się dla mnie oczywistym, że Kraków nie będzie broniony, ludność nie będzie ewakuowana, a miasto uniknie losu Warszawy! A wszystko to zawdzięczamy taktyce wojennej zastosowanej przez marszałka Koniewa, dzięki której udało mu się opanować przede wszystkim Górny Śląsk i zagrozić odcięciem wycofującym się spod Tarnowa armiom niemieckim. Armie te, chcąc uniknąć okrążenia, zmuszone były ominąć Kraków i wycofywać się trasą Tarnów – Bochnia – Myślenice.

Będąc na Rynku zająłem do biur „Techebu”. Zastałem tam Romana Wysockiego z jakąś panią. Oboje zakurzeni i zabrudzeni. Podczas południowego nalotu jedli obiad w pokoju Romana, w kamienicy należącej do pp. Dobrowolskich. W ten właśnie dom uderzyła bomba, niszcząc go poważnie. Kilka osób poniosło śmierć lub zostało rannych. Zginęła wówczas m.in. lekarka, dr Rakowska z Poznania, żona mego dobrego znajomego.

Roman wraz z goszczącą u niego panią opadli razem z podłogą w dół, przysypani gruzem, potłuczeni, lecz żywi i cali. Ulokowali się tymczasowo w biurze „Techebu”. Państwo Dobrowolscy tylko dzięki temu, że byli na obiedzie u Stanisława Krzysztoporskiego, uniknęli nieszczęścia. Stracili jednak dom oraz pięknie urządzone mieszkanie.

Czekała nas jednak jeszcze groźna noc. Obserwowaliśmy z naszych okien pociski artyleryjskie kierowane na Kopiec Kościuszki, a następnie w kierunku Wawelu. Na szczęście pociski te „przenosiły”.

Wszyscy mieszkańcy kamienicy siedzieli w schronie. Kiedy obstrzał ustał, poszliśmy wraz z żoną do mieszkania i położyliśmy się spać. Teściowa pozostała w schronie. Po godzinie, czy dwóch zbudził nas potężny huk, dom jakby się zakołysał, a równocześnie całe okno z ramami, wyrwane siłą podmuchu, zważyło się na moje łóżko. Wyszliśmy szczęśliwie bez szwanku, lecz z ostrożności powróciliśmy do schronu. Okazało się, że wypadanie okien spowodowane zostało siłą wybuchu związanego z wysadzeniem przez wojsko niemieckie dwóch mostów na Wiśle.

Nazajutrz nie wychodziliśmy na ulicę, gdyż w gmachu Seminarium Śląskiego (przemienionego na koszary) pozostał jeszcze oddział SS, który przy pomocy salw karabinowych trzymał w szachu całą ulicę Bernardyńską. W nocy oddział ten opuścił koszary, pozostawiając martwego kolegę, który pełniąc przed gmachem wartę zginął trafiony odłamkiem pocisku. Kilka takich odłamków oraz jeden niewypał znaleźliśmy w mieszkaniu po wyjściu ze schronu.

Wczesnym rankiem 19 stycznia 1945 r. zobaczyliśmy pierwszych żołnierzy radzieckich!

Przez cały pierwszy kwartał 1945 r. panowały dotkliwe mrozy. Nawet w ocalałym od zniszczeń Krakowie sprawiały one dużo kłopotów. W pierwszym rzędzie ludzie

zajęci byli wprawianiem powybijanych szyb, zabezpieczaniem opału i żywności. Jeszcze w czasie obstrzału wielu ludzi dostawało się do ponemieckich sklepów żywnościowych, składów materiałów tekstylnych, koszar i gmachów urzędowych, i zabierało potrzebne im przedmioty. Obserwowałem, jak z płonącej fabryki Monopolu Tytoniowego wynoszono całe tony tytoniu, uformowanego w kostki o wadze 50 kg. Była to cenna „waluta” wymienna. Z sąsiadującego z nami gmachu zajmowanego przez jednostkę SS przy ul. Bernardyńskiej wynoszono różnego rodzaju zapasy żywności, meble, dywany itp.

Duże zainteresowanie budziła ta część zamku wawelskiego, w której rezydował, mieszkał i urzędował Generalny Gubernator Hans Frank. W pomieszczeniach tych spodziewano się znaleźć wielką ilość cennej zdobyczy. Jako pierwsi ruszyli na tę wyprawę najbliżsi sąsiedzi, tj. mieszkający przy ul. Bernardyńskiej. Szli na wprost przez zaśniewane zbocze do drogi prowadzącej do bramy południowej, a stamtąd na podwórzec wawelski, gdzie znajdowało się wejście do pomieszczeń mieszkalnych i biur. Ilość idących na tę wyprawę stale się zwiększała. Wielu z nich szło z przewieszonymi przez ramię pustymi workami. Powracali stamtąd wynosząc radioaparaty, skrzynie z winem, koniakami i różne inne przedmioty.

Przypomniała mi się wtedy piosenka „Na Wawel, na Wawel, Krakowiaczku żwawy...”

Żona nie może mi darować do dzisiaj, że przeszkodziłem jej wówczas we wzięciu udziału w tym wspólnym „zwiedzaniu”, które umożliwiłoby jej zobaczenie jeszcze „na ciepło” jak wyglądała siedziba naszego „sąsiada z naprzeciwnika”.

Jeden z lokatorów naszej kamienicy, który widocznie słyszał moją „rozmowę” z żoną, wracając z wyprawy ze skrzynką zawierającą 25 butelek dobrego koniaku francuskiego, widząc nas stojących w bramie i tylko gapiących się, podszedł do nas i patrząc na mnie z politowaniem wręczył mi jedną butelkę koniaku ze słowami: „To dla Pana, proszę przyjąć i spróbować, co pijał Frank!” Przyjąłem. Koniak rzeczywiście był dobry.

Trzeba tu powiedzieć, że terenem „poszukiwań zdobyczy” na wzgórzu wawelskim była tylko siedziba Generalnego Gubernatora. Kiedy bowiem przez nieświadomość ludzie chcieli się dostać do części reprezentacyjnej i muzealnej Zamku, zagroził im drogę ksiądz i wyjaśnił, że ta część, jako skarb ogólnonarodowy, jest nietykalna. Ludzie natychmiast posłuchali i odeszli. Świadczy to bardzo chwalebnie o wyrobieniu kulturalnym i społecznym przeciętnych mieszkańców Krakowa.

Przeważna część robotników i pracowników umysłowych zajętych prywatnymi kłopotami, a w szczególności zdobywaniem mieszkań opuszczonych przez Niemców, nie zgłaszała się do swych zakładów pracy przez kilka pierwszych dni.

Przybycie do Krakowa delegatów rządu ludowego, w osobach ministra oświaty dr. Stanisława Skrzyszewskiego i ministra pracy i opieki społecznej dr. Bolesława Drobnera, dało silny impuls w kierunku odbudowy wszystkich dziedzin życia społecznego Krakowa i województwa krakowskiego.

Na wielkim wiecu, odbytym przy cokole zburzonego przez hitlerowców pomnika Grunwaldzkiego, społeczeństwo Krakowa poinformowane zostało o podstawowych założeniach programowych rządu. Zwrócona została uwaga na to, że wojna trwa nadal, że jej zwycięskie zakończenie wymaga również wzmoczonego wysiłku całego narodu.

Skierowany został apel o przejmowanie przez rady robotnicze i uruchamianie zakładów przemysłowych i usługowych, o podjęcie pracy przez organy państwowe, o uruchamianie szkolnictwa wszystkich szczebli.

Na murach pojawiły się odezwy: „Chłopcy Krakowiacy! Do fabryk, do pracy!”

Przybywające z Lublina ekipy specjalne organizowały poszczególne dziedziny administracji i gospodarki, i formowały zespoły dla organizowania administracji polskiej na ziemiach, które przyspać miały Polsce na Zachodzie.

W miarę uwalniania reszty ziem polskich spod okupacji hitlerowskiej cała ludność polska z zapałem realizowała hasło rządu ludowego: „Niech każdy wraca na zajmowany przed wojną posterunek.” Toteż w ślad za postępującą naprzód armią radziecką rozpoczęła się żywiołowy powrót na oswobodzone tereny. Wracano do swych siedzib i warsztatów pracy wszelkimi możliwymi środkami lokomocji, nie zważając na ciężką zimę i napotykaną zniszczenia. Przybywali też pełnomocnicy rządu, aby organizować nowy ład, nową władzę i tworzyć warunki bezpieczeństwa konieczne dla odbudowy na nowych zasadach całego życia społecznego.

Hasło powrotu do Poznania podjęli też żywo znajdujący się w Krakowie pracownicy nauki Uniwersytetu Poznańskiego i Akademii Handlowej. W dniu 27 stycznia 1945 r. powołali oni do życia Tymczasową Komisję Administracyjną obu wspomnianych uczelni pod przewodnictwem prof. Jerzego Suszki, dziekana Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego.

W dniu 5 lutego 1945 r. Komisja w swym pełnym składzie przyjęta została przez przebywającego w Krakowie ministra oświaty i wręczyła mu następujący memoriał:

„Tymczasowa Komisja Administracyjna  
Uniwersytetu Poznańskiego i Akademii Handlowej w Poznaniu  
w Bibliotece Jagiellońskiej

Do  
Pana Ministra Oświaty  
w miejscu

Mamy zaszczyt zakomunikować Panu Ministrowi, że w dniu 27 stycznia br. obecni w Krakowie i okolicy profesorowie i pracownicy Uniwersytetu Poznańskiego i Akademii Handlowej w Poznaniu, zebrałi się w Bibliotece Jagiellońskiej i powołali do życia Tymczasową Komisję Administracyjną U.P. i A.H. złożoną z podpisanych niżej członków.

Wobec braku na miejscu rektorów i Senatów obu Uczelni, Komisja otrzymała polecenie nawiązania kontaktu z Panem Ministrem i innymi czynnikami rządowymi, a to celem zabezpieczenia mienia i zbiorów obu Uczelni oraz tymczasowego zabezpieczenia losu naszych pracowników naukowych.

Ponieważ kwestia uposażenia została w międzyczasie przez Pana Ministra w sposób ogólny prowizorycznie uregulowana, podpisana Komisja uważa, iż obecnie najaktualniejszą staje się sprawa wyznaczenia i wysłania do Poznania bezpośrednio po uwolnieniu tego miasta spod okupacji niemieckiej Delegacji, która by imieniem U.P. i A.H. objęła w posiadanie i zabezpieczyła gmachy, zakłady i zbiory obu Uczelni, jako też zbiory Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Biblioteki Uniwersyteckiej i Biblioteki Raczyńskich.

W związku z tym podpisana Tymczasowa Komisja ma zaszczyt prosić Pana Ministra o upoważnienie do wyznaczenia mającej być wysłanej delegacji i zaopatrzenia jej w odpowiednie dokumenty, środki lokomocji i fundusze oraz pomieszczenie na miejscu.

Przy tej sposobności podpisana Komisja pozwala sobie poinformować Pana Ministra, iż profesorowie i pracownicy U.P. dysponują funduszem zapomogowym i funduszami tajnych kursów z okresu okupacji i prosi Pana Ministra o poparcie starań u władz skarbowych w sprawie wymiany tych funduszy, przeznaczonych na zapomogi dla studentów i profesorów, na nową walutę obie-

gowa.

/-/ J. Suszko, Przewodniczący  
przew.

Dziekan Wydz. Mat.-Przyr.  
wilnego

Prof. zwyczaj. chemii organ.

/-/ A. Ohanowicz, wice-

prof. zwyczaj. prawa cy-

/-/ J. Witkowski, Sekretarz /-/ T. Vetulani, wice-sekr.  
prof. zwyczaj. astronomii prof. nadzw. hodowli zwierząt

/-/ W. Kapuściński /-/ W. Klinger  
prof. zwyczaj. okulistyki prof. zwyczaj. fil. klasycznej

/-/ A. Birkenmajer  
Dyrektor Biblioteki U.P.

Przedstawiciele Akademii Handlowej

/-/ St. Rosiński /-/ J. Górski  
prof. nadzw. ekon. społ. prof. nadzw. prawa cywilnego  
i handlowego”

Minister zaaprobował nasze wnioski. Z ich realizacją należało jednak czekać aż do chwili oswobodzenia Poznania. Wtedy dopiero miała tam być skierowana nieliczna ekipa dla przejęcia agend i mienia obu uczelni oraz dla przygotowania powrotu wszystkich pozostałych pracowników naukowych.

Tymczasowo zostaliśmy wpisani na listę płac Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na równi z pracownikami tego Uniwersytetu uzyskiwaliśmy również specjalne przydziały żywnościowe, m.in. po 10 puszek mięsnych z zapasów poniemieckich. Była to poważna pomoc w czasie, kiedy w Krakowie było z żywnością bardzo krucho.

Wspominam przy tej sposobności o wzruszającym gościu rolnika z Michałowic p. Stanisława Tochowicza, któremu swego czasu dostarczyłem saletrę potasową. Sądząc, że wraz z rodziną znajduję się w trudnej sytuacji żywnościowej, zaraz po wyzwoleniu przyszedł piechotą do Krakowa (około 20 km) z dużym bochenkiem wiejskiego chleba, masłem i słoniną. Takich objawów życzliwości nie zapomina się. Toteż przez cały okres powojenny utrzymujemy z p. Tochowiczem przyjacielskie stosunki, odwiedzając się nawzajem i wymieniając korespondencję.

Z dużym rozgorzyczeniem ludności spotkały się zarządzenia finansowe rządu, w myśl których złote okupacyjne tzw. Banku Emisyjnego w Polsce utraciły charakter środka płatniczego. Konta bankowe opiewające na złote okupacyjne zostały zamrożone. Wymianie na nowe złote Narodowego Banku Polskiego podlegały tylko kwoty do 500 zł na jedną osobę. Nadwyżki posiadanej przez ludność gotówki straciły wszelką wartość.

Rozgorzyczenie było tym większe, że utrzymywały się pogłoski, że na terenach położonych na wschód od Wisły dokonano wymiany na znacznie korzystniejszych warunkach oraz że przy wymianie uprzywilejowane były niektóre kategorie osób.

Trudno mi orzec, ile w tych pogłoskach było prawdy, dość że wszyscy znaleźliśmy się w pewnej chwili – praktycznie biorąc – bez środków pieniężnych.

Prośba, zawarta w przedłożonym ministrowi Skrzyszewskiemu memoriale Komisji o korzystniejszą wymianę kilkudziesięciu tysięcy złotych wspólnego funduszu, nie została

uwzględniona. Toteż jedynie płacone nam przez Kwesturę Uniwersytetu Jagiellońskiego wynagrodzenia ratowały sytuację.

Na podstawie wniosku Tymczasowej Komisji Administracyjnej 15 lutego 1945 r. minister oświaty upoważnił pięć osób do wyjazdu do Poznania „celem przejęcia i zabezpieczenia mienia Uniwersytetu Poznańskiego i Akademii Handlowej”.

Byli to profesorowie: Jerzy Suszko, Witold Kapuściński, Józef Witkowski i Aleksander Birkenmajer – dla Uniwersytetu Poznańskiego i Józef Górski dla Akademii Handlowej. Wszyscy otrzymaliśmy odpowiednie pisma legitymujące, sporządzone w języku polskim i rosyjskim, oraz (z kredytów Ministerstwa Opieki Społecznej) po 2000 zł za liczki na koszty.

Zachował się w moich aktach odpis pisma Urzędu Wojewódzkiego Krakowskiego do Ministerstwa Oświaty z 23 lutego 1945 r. dotyczący tej sprawy:

„Urząd Wojewódzki komunikuje, że w dniu 22.II.1945 wypłacił z kredytów Ministerstwa Opieki Społecznej kwotę 10.000 zł profesorom:

- a) prof. Górskiemu Józefowi
- b) „ Kapuścińskiemu Witoldowi
- c) „ Suszko Jerzemu
- d) „ Birkenmajerowi Aleksandrowi
- e) „ Witkowskiemu Józefowi

po dwa tysiące złotych tytułem jednorazowych zapomóg zwrotnych na pokrycie kosztów podróży do Poznania.

Wymienieni profesorowie udają się do Poznania celem przejęcia i zabezpieczenia mienia Uniwersytetu Poznańskiego i Akademii Handlowej.

Z uwagi na brak kredytu na opiekę społeczną i na to, że kwota 10.000 zł została wypłacona z kredytu mającego wyraźne brzmienie „na cele opieki społecznej” – Urząd Wojewódzki prosi o zwrot pożyczonej kwoty.

za Wojewodę:  
Naczelnik Wydziału  
/–/ T. Leszczyński”

Z pisma tego wynika, że w owym pierwszym okresie urzędy umiały ze sobą współpracować i w razie potrzeby służyć sobie nawet pomocą finansową.

Nie pamiętam już dlaczego, ale spośród pięciu wymienionych profesorów wyjechało nas do Poznania w umówionym czasie tylko dwóch: prof. J. Suszko i ja. Podróż mieliśmy fatalną przez Strzemieszyce, Ząbkowice, Częstochowę, Koluszki, Łódź, Ostrów Wlkp. Jechaliśmy bez biletów, gdyż tych jeszcze przez długi czas nie sprzedawano. Korzystaliśmy z wagonów osobowych i towarowych. Na różnych stacjach musieliśmy opuszczać pociąg i czekać godzinami na sposobność dostania się do innego pociągu. Nie sami, gdyż na pociągi czekały wszędzie setki, a nawet tysiące osób. Pierwszeństwo – i to słusznie – zabezpieczano kolejarzom. Oczekującym na stacjach dokuczał mróz. Poczekalnie bez szyb i nie opalone. Bufety nieczynne. Większość oczekujących stała pod gołym niebem, z zimna i bezsenności ledwie trzymając się na nogach. Najgorzej było w Koluszkach, gdzie przez całą noc przy trzaskającym mrozie czekaliśmy na okazję dostania się do Łodzi. Tylko cudem udało nam się już w biegu dostać do podstawionego rano pociągu.

Wyruszając z Krakowa byłem przygotowany na najgorsze. Miałem ciepłe ubranie i

obuwie, wystarczające zapasy żywności oraz... dwie półlitrowki „Czystej”. Uratowały one prof. Suszkę i mnie od przeziębienia. Pierwszą gorącą zupą, rozdawaną za darmo, mogliśmy się posilić dopiero na stacji Ostrów Wlkp. w dniu 4 marca, w nocy.

Podróż trwała trzy i pół doby. Do Poznania dotarliśmy 5 marca 1945 r. w godzinach popołudniowych.

Po pięciu i pół latach nieobecności ze łzami w oczach oglądałem swoje drogie, tak ciężko przez działania wojenne dotknięte miasto...

Z chwilą powrotu do Poznania rozpoczął się dla mnie nowy, najpiękniejszy i najowocniejszy etap życia.



## ROZDZIAŁ XIV

## W POLSCE LUDOWEJ

Kto dziś ogląda Poznań, ten z trudnością może sobie wyobrazić, w jakim stanie miasto to znajdowało się w chwili ustania walk o Cytadelę, tj. w dniu 23 lutego 1945 r.

Przybywszy do Poznania w dziesięć dni po tej dacie, byłem wstrząśnięty wielkością zniszczeń i ilością ruin.

Wysadzone były wszystkie mosty na Warcie – z wyjątkiem kolejowego w Starołęce. Zniszczony był most na Kaponierze, a połączenie zachodnich dzielnic ze śródmieściem utrzymywane było przez Most Dworcowy. Nieczynne były gazownia, elektrownia i tramwaje. Tylko część miasta otrzymywała światło elektryczne z uruchomionej elektrowni Zakładów Cegielskiego. Wypalone było niemal w całości śródmieście, część ulicy Głogowskiej, a zrujnowane w poważnym stopniu również inne dzielnice.

Nie był czynny ani jeden sklep, ani jeden zakład gastronomiczny. Posiadane przez ludność, która przetrwała w Poznaniu okres okupacji, skromne zapasy żywnościowe, były na wyczerpaniu. Dowozowi z prowincji stał na przeszkodzie kompletny brak środków transportowych.

Trwała wojna. Obowiązywała godzina policyjna i zaciemnienie. Przeżyliśmy jeszcze w pierwszych dniach marca dwa lub trzy nocne naloty niemieckie. W mieście znajdowała się duża ilość wojsk radzieckich. Sprawy porządku i bezpieczeństwa spoczywały w zasadzie w ręku komendanta wojennego. Radzieckie władze wojskowe sprawowały również nadzór nad kolejami oraz urządzeniami telekomunikacyjnymi. W tym okresie służyć one musiały przede wszystkim potrzebom wojennym.

Ulice, pełne jeszcze gruzów, przemierzały piechotą wielkie masy ludzkie. Masy te z każdym dniem rosły, gdyż do Poznania powracały rzesze wysiedlonych do Generalnej Guberni. Pierwszą ich troską było znalezienie dachu nad głową. Ze sprawą tą już od początku nie było łatwo. Mieszkania, opuszczone przez osiadłą tu w czasie wojny ludność niemiecką, zajmować zaczęli nie tylko pozostali w Poznaniu ich przedwojenni właściciele, ale również liczne rodziny, które wskutek zniszczeń spowodowanych walkami o Poznań straciły dach nad głową. Toteż powracający wysiedleńcy bardzo często zastawali swoje przedwojenne, ocalałe mieszkania, już zajęte przez nowych lokatorów. To samo dotyczyło prywatnych willi i domów jednorodzinnych.

Na tym tle powstawały od samego początku liczne konflikty. Bardzo szybko zdano sobie sprawę, że ilość ocalałych zasobów mieszkaniowych nie wystarczy dla wszystkich. Miejski Wydział Kwaterunkowy zmuszony był ująć sprawę w swe ręce. Koniecznością stało się wprowadzenie publicznej gospodarki mieszkaniowej, polegającej na przydziale mieszkań, ograniczaniu powierzchni mieszkalnej, wykwaterowywaniu i dokwaterowywaniu. Sprawy mieszkaniowe stały się na długie lata jedną z podstawowych trosk Zarządu Miejskiego. Jak wiemy, zagadnienie to nie zostało dotąd rozwiązane.

Wspominam o tym, gdyż w pierwszym okresie musiałem i ja tymi sprawami się zaj-

mować z uwagi na konieczność należytego ulokowania pracowników Akademii Handlowej.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dom przy ul. Marszałka Focha 4, obecnie Roosevelta 22, w którym znajdowało się nasze mieszkanie przedwojenne, ocalał. Samo mieszkanie zostało zaraz w pierwszych dniach po upadku Cytadeli dokładnie wyszabrowane i zdewastowane. Dzięki tej okoliczności nie znalazło żadnego amatora. Mogłem je więc bez większych kłopotów odzyskać i zabezpieczyć. Nie nadawało się ono jednak w tym stanie do natychmiastowego zamieszkania. Remont przeciągnął się aż do jesieni 1945 r.

Tymczasowo objąłem niezajęte jeszcze i niezdewastowane mieszkanie w domu Akademii Handlowej przy ul. Głogowskiej 105. Mieszkanie to przekazałem następnie prof. Florianowi Barcińskiemu. W tymże domu zamieszkał jeszcze przed moim przyjazdem prof. Antoni Peretiatkowicz oraz nie związany z Akademią prof. Stefan Różycki z Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu. Mniej więcej po roku mogłem tam jeszcze jedno mieszkanie przydzielić prof. Józefowi Rzósce.

Dopiero po zabezpieczeniu sobie w ciągu pierwszych dwóch dni mieszkania przy ul. Głogowskiej 105 zająłem się sprawami uczelnianymi. Podobnie jak ja, czynili wszyscy. Po zabezpieczeniu sobie dachu nad głową poznaniacy przystępowali spontanicznie, bez oglądania się na zarządzenia władz, do remontu uszkodzonych mieszkań i domów jednorodzinnych, uruchamiania warsztatów rzemieślniczych, lokali handlowych i gastronomicznych oraz małych zakładów przemysłowych. Większymi zajęły się Komitety Robotnicze.

W dniu powrotu do Poznania zastałem już na miejscu funkcjonujące pierwsze organy państwowe. Jeszcze w czasie walk o Cytadelę rozpoczęły działalność Urząd Wojewódzki i Urząd Miejski. Siedzibą Urzędu Wojewódzkiego był początkowo gmach przedwojennego Gimnazjum im. Adama Mickiewicza przy ul. Głogowskiej, a siedzibą Zarządu Miejskiego budynek przy ul. Matejki, narożnik placu Wyspiańskiego.

Pierwszym wojewodą i komisarzem Rządu był działacz ludowy z Łowickiego Michał Gwiazdowicz, a jego zastępcą znany mi z okresu przedwojennego działacz Młodzieży Demokratycznej, dr Feliks Widy-Wirski. Po paru miesiącach zastąpił on Michała Gwiazdowicza.

Prezydentem miasta był wówczas inż. Henryk Maciejewski, członek Polskiej Partii Robotniczej, a wiceprezydentami: mgr Kazimierz Nadobnik (z ramienia Stronnictwa Ludowego) oraz inż. Jan Cieśliński (z ramienia Stronnictwa Demokratycznego).

Organizowały się i rozwijały działalność komitety: PPR z Janem Izydorczykiem jako I Sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego, a także Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Demokratycznego oraz Stronnictwa Ludowego.

Z wszystkimi tymi organami politycznymi i administracyjnymi udało mi się rychło nawiązać pozytywne stosunki. Ułatwiły one w wysokim stopniu wykonanie zadań, jakie przypadły mi w udziale w pierwszym okresie kierowania sprawami Akademii Handlowej.

Bezpośrednio po przybyciu do Poznania udaliśmy się z dziekanem Suszką do Ośrodka Organizacyjnego Uniwersytetu. Mieścił się on przy ul. Słowackiego 20, w dawnym Domu Studentek. Tam też znajdowała się tymczasowa skromna stołówka, będąca początkowo jedynym miejscem, gdzie mogliśmy się bezpłatnie pożywić.

W ośrodku tym stwierdziliśmy, że tymczasową organizacją Uniwersytetu kierował

przybyły z Lublina prof. Stefan Różycki przy energicznej pomocy mgr. Gibasiewicza, pełniącego funkcję dyrektora administracyjnego.

Z Wydziału Prawno-Ekonomicznego spotkaliśmy tu przybyłych już przed nami z Krakowa adiunktów Janusza Deresiewicza i Zdzisława Kaczmarczyka, a ponadto sekretarki Wydziału panie Eleonorę Szembelównę i Lucynę Ryxównę. Zespół ten pod kierownictwem przybyłego kilka dni później prof. Stanisława Kasznicy podejmował pierwsze kroki organizacyjne związane z uruchomieniem Wydziału po powrocie do Poznania pozostałych przy życiu profesorów.

Wszystkie podejmowane w tym zakresie czynności, mające na uwadze dobro Uniwersytetu, miały z natury rzeczy charakter tymczasowy i wymagały późniejszego zalegalizowania ze strony właściwych organów Uniwersytetu.

Jakie to miały być organy?

Sprawę tę dziekan Suszko i ja wyjaśniliśmy w sposób jednoznaczny w tym sensie, że zgodnie z otrzymaną instrukcją i stosownie do trybu zastosowanego w uczelniach krakowskich, uruchomienie uczelni poznańskich nastąpić miało w nawiązaniu do stanu prawnego i organizacyjnego istniejącego w dniu 1 września 1939 r. Każdy pracownik nauki obejmować miał swe funkcje w ramach właściwej katedry i zakładu, wybrani zaś przed wojną dziekani i rektorzy – kierownictwo wydziałów i uczelni. To samo dotyczyło stanowisk administracyjnych. Metoda ta pozwalała Ministerstwu przekazać całą troskę i inicjatywę o reaktywowanie pracy na uczelniach w ręce rad wydziałowych i senatów, których poszczególni członkowie posiadali długoletnie doświadczenie i dokładną znajomość zagadnień naukowych i organizacyjnych. Ministerstwo, będące dopiero w stadium organizacyjnym, wychodziło ze słusznego założenia, że najpierw należy odbudować i uruchomić szkolnictwo wyższe w ramach prawnych wykształconych w okresie kapitalizmu, a dopiero później pomyśleć o jego rozbudowie i dostosowaniu go do potrzeb nowego ustroju.

Powierzenie kierownictwa wyższych uczelni w ręce wybranych przed wojną organów gwarantowało najszybsze tempo odbudowy dotychczasowego szkolnictwa wyższego. Kolektywy uczelniane z całym oddaniem poparły wysiłek rektorów i dziekanów, zmierzający do zabezpieczenia bazy materialnej uczelni i poszczególnych zakładów, do należytego podjęcia pracy dydaktycznej i naukowej.

Oparcie się na stanie prawnym i organizacyjnym z 1939 r. oznaczało tymczasowe wykorzystanie obowiązujących wówczas na poszczególnych wydziałach planów nauczania i pozostawienie każdemu profesorowi swobody co do treści i metody prowadzenia wykładów, ćwiczeń praktycznych i seminariów. Pozostawiono na razie bez zmiany przedwojenne zasady przyjmowania kandydatów na studia wyższe, warunki uzyskiwania stopni i tytułów naukowych, zasady tworzenia katedr i ich obsadzania. Utrzymany też został podział szkół wyższych na szkoły państwowe i niepaństwowe.

Z naszych wyjaśnień wynikało wyraźnie, że za rektora Uniwersytetu należy uważać nieobecnego na razie w Poznaniu prof. Stefana Dąbrowskiego z Wydziału Lekarskiego, za prorektora zaś prof. Stefana Błachowskiego, znanego psychologa. Obaj bowiem byli wybrani na te stanowiska przed wrześniem 1939 r.

Wyjaśnienia nasze zostały przyjęte ze zrozumieniem. Jedyne prof. Różycki wyraził wątpliwość, czy na czele Uniwersytetu może pozostać w nowych warunkach prof. Dąbrowski, znany przedwojenny działacz endecki oraz wieloletni poseł na Sejm.

Nasze argumenty, oparte na przyjętej przez Ministerstwo generalnej zasadzie rozpoczynania pracy szkół wyższych w dotychczasowych ramach prawno-organizacyjnych,

przekonały go jednak. Powiedzieliśmy sobie, że konieczne zmiany przeprowadzi się we właściwym czasie. W ten sposób ustalono, że do czasu powrotu do Poznania rektora lub prorektora, funkcje ich pełnić będzie dziekan Suszko, jako jedyny obecny na miejscu członek Senatu Akademickiego. Jemu też podporządkowała się cała administracja Uniwersytetu.

Ponieważ moim zadaniem było zajęcie się sprawami Akademii Handlowej, przeto bezzwłocznie po przyjeździe nawiązałem kontakt ze znajdującymi się na miejscu przedwojennymi pracownikami administracyjnymi tej Uczelni. Z uwagi na wielkie uszkodzenia, jakich doznał w związku z działaniami wojennymi gmach Akademii, zorganizowali oni tymczasowe biuro w budynku Izby Przemysłowo-Handlowej przy ul. Mickiewicza 31, w którym obecnie mieści się Zespół Opieki Zdrowotnej Poznań-Jeżyce.

W biurze tym zastałem: kwestora Akademii p. Wandę Sobieszczyk, pracownice Sekretariatu pp. Teresę Kubiakową, Halinę Siuchnińską i Izabelę Sobieszczyk, intendentów Władysława Zielińskiego i Franciszka Lewandowskiego, woźnych Józefa Granata, Leona Rumińskiego i Ludwika Karolczaka, sprzątaczkę i szatniarkę.

Poza mną nie było na razie w Poznaniu żadnego pracownika naukowego Akademii. Wielu z nich nie miało już nigdy powrócić... W pierwszych dniach września zginął od bomby nieprzyjacielskiej ks. dr Antoni Roszkowski, profesor nadzwyczajny ekonomii politycznej. Bez wieści zginął powołany do wojska w charakterze oficera rezerwy dr Jan Wiertelak, profesor nadzwyczajny towaroznawstwa i prorektor Uczelni. W obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie znajdował się rektor Akademii Witold Skalski, profesor zwyczajny rachunkowości. Zginął bez wieści jego asystent, Marcin Ratowski.

W obozach koncentracyjnych i więzieniach zamęczeni zostali długoletni wykładowcy: profesor Uniwersytetu Poznańskiego dr Romuald Paczkowski, prokurator Sądu Apelacyjnego dr Franciszek Konieczny, naczelnik wydziału Dyrekcji Kolei Państwowych Adam Łukaszewicz, lektor języka angielskiego dr Zygfryd Arendt i inni.

Zaginęli też bez wieści przewodniczący Kuratorium Fundacji Akademii Handlowej, dr Włodzimierz Seydlitz oraz członek tegoż Kuratorium, wiceprezydent miasta Zygmunt Zaleski.

W tym stanie rzeczy, zgodnie z uchwałą Rady Profesorów z czerwca 1939 r., powziętej na podstawie §18 pkt 4 Statutu Akademii Handlowej, a wyznaczającej mnie zastępcą rektora i prorektora na wypadek ich równoczesnej nieobecności, kierownictwo Uczelni znalazło się formalnie w moich rękach. Ten stan rzeczy potwierdziło Kuratorium AH, które w składzie: wiceprezes Stefan Kałamajski, dr Stanisław Waschko, Stanisław Maciejewski i Stanisław Szulc, na posiedzeniu w dniu 7 marca 1945 r. powołało mnie na prorektora Akademii Handlowej, powierzając mi równocześnie kierownictwo Uczelni do czasu powrotu rektora Skalskiego. Zaakceptowało ono również moje wnioski odnoszące się do spraw organizacyjnych i finansowych.

Wysiłki moje i pracowników administracyjnych skierowane były w pierwszym rzędzie na uporządkowanie własnymi siłami niezniszczonej części gmachu, przekazaniu organom bezpieczeństwa wielkiej ilości broni palnej, amunicji i „pięści pancernych”<sup>a)</sup>, znajdujących się w podziemiach i na parterze, oraz na zabezpieczeniu budynku przed plądrowaniem.

<sup>a)</sup> „Pięści pancerne” – (*niem.* Panzerfaust) pancernownica bezodrzutowa do strzelania pociskami raketowymi.

W tym celu zamieszkali w gmachu: intendent F. Lewandowski i portierzy J. Granat i L. Karolczak. Wkrótce też przeniesiono tu administrację Szkoły.

Dzięki moim zabiegom, Zarząd m. Poznania w osobach prezydenta inż. Feliksa Maciejewskiego i wiceprezydenta inż. Jana Cieślińskiego oraz naczelnika Ignacego Kaczmarka podjął się w połowie marca 1945 r. przeprowadzenia na własny koszt zabezpieczenia gmachu przez założenie prowizorycznego dachu i oszklenie parteru, pierwszego i drugiego piętra oraz naprawę zniszczonych urządzeń centralnego ogrzewania. Do prac tych przystąpiono niezwłocznie, a w ciągu lata 1945 r. doprowadzono je do końca. Pełną obudowę gmachu pozostawiono na lata późniejsze.

Tymczasem kompletowano ukryte i ocalałe akta dotyczące spraw samej Szkoły oraz akta odnoszące się do przedwojennych studentów i absolwentów, których duża część ocalała w podziemiach Uniwersytetu. Poszukiwano też rozproszonego przez hitlerowców księgozbioru, a także urządzeń sal wykładowych oraz biur.

Bardzo szybko zgłaszać się zaczęła młodzież zainteresowana zapisami na pierwszy rok i wyższe lata studiów. Wpisy rozpoczęto już w pierwszych dniach marca.

Zagadnieniem palącym było zdobycie środków pieniężnych na uruchomienie Uczelni. Na dalszą metę środki te zapewnić miały wpływy z opłat studenckich. Doraźnie konieczna była subwencja rządowa. W tym celu, po uruchomieniu biura i zabezpieczeniu ocalałego mienia Akademii Handlowej, udałem się 21 marca 1945 r. do Warszawy, gdzie nawiązałem pierwsze kontakty z Ministerstwem Oświaty i złożyłem sprawozdanie z sytuacji Uczelni. Dzięki życzliwemu ustosunkowaniu się wiceministra Bronisława Biedowicza, dyrektora Departamentu Szkół Wyższych prof. dr. Stanisława Arnolda oraz wicedyrektora tegoż departamentu dr. Jerzego Marowskiego, Szkoła otrzymała doraźną subwencję gotówkową w wysokości 25 000 zł oraz przyrzeczenie stałej subwencji, jak również pomocy materialnej dla młodzieży. Stanowisko Ministerstwa rozwiązało doraźne trudności finansowe i przyspieszyło przyjazd do Poznania pracowników nauki.

Podróż do Warszawy odbyłem w towarzystwie inż. Piotra Zaremby, późniejszego pierwszego prezydenta m. Szczecina, a następnie profesora Politechniki Szczecińskiej. Obaj wchodziliśmy w skład powołanego do życia Komitetu, mającego na celu podjęcie starań o powołanie w Poznaniu Politechniki. Komitet powierzył nam zadanie wstępnego omówienia tej sprawy w Ministerstwie Oświaty. Sprawę tę udało nam się wówczas pomyślnie załatwić. Świadczy o tym treść sporządzonego na miejscu w Warszawie w dniu 23 marca 1945 r. protokołu:

„Protokół  
z odbytej Konferencji w Ministerstwie Oświaty

W dniu dzisiejszym p. prorektor prof. Górski i niżej podpisany złożyliśmy wizytę p. Wiceministrowi Oświaty Br. Biedowiczowi, wręczyliśmy mu protokół i wniosek z dnia 19.3.45 r. i uzyskali następujące oświadczenie: Zasadniczo jest możliwa realizacja Politechniki w Poznaniu, ale jedynie w czwartej kolejności, a mianowicie po Warszawie, okręgu południowym i Gdańsku. Wiceminister, znając osobiście Poznań, zdaje sobie sprawę, że miasto zdolne jest do pomieszczenia Politechniki nawet w obecnych warunkach.

Co do szczegółowego omówienia ewentualnego przyspieszenia realizacji studium Politechnicznego w Poznaniu usłyszeliśmy z ust Dyrektora Departamentu Szkół Wyższych Ministerstwa Oświaty p. dr. Marowskiego następujące życzenia Ministerstwa.

Do czasu, w którym Ministerstwo uzna za potrzebne stworzenie czwartej Politechniki z siedzibą w Poznaniu, winien Poznań sam zorganizować „Wyższą Szkołę Techniczną” o charakterze

szkoły akademickiej, która by przyjmowała jedynie słuchaczy z maturą. Kurs takiej szkoły powinien wynosić 5 semestrów, z tym że pierwszeństwo przy przyjmowaniu będą mieli maturzyści liceów technicznych. „Wyższa Szkoła Techniczna” w Poznaniu istniałaby niezależnie od istniejących już liceów mechanicznych, drogowych itd. Jako ważną zasadę postawiło Ministerstwo to, że o ile którykolwiek z profesorów tej szkoły uzyska na jednej z Politechnik odpowiednią habilitację (*venia legendi*<sup>b)</sup>), wówczas pod względem tytułu i uposażenia stać będzie na równi z profesorami szkół akademickich. W ten sposób utoruje się drogę do późniejszego uznania Szkoły jako Politechniki. „Wyższa Szkoła Techniczna” dzielić się może na wydziały mechaniczne i elektrotechniczne, oraz wydziały budownictwa lądowo-wodnego, architektury, miernictwa i ew. melioracji. Dyplomowanym absolwentom tej szkoły mógłby przysługiwać tytuł, którego brzmienie ustaliby się dodatkowo.

W trakcie dyskusji wysuwano obok istniejącego już tytułu technologa ew. inne tytuły, jak np. budowniczy a ze strony Ministerstwa nawet ew. inny tytuł inżyniera wzgl. architekta zawodowego, w odróżnieniu od dyplomowanego.

Istniejąca już: Wyższa Szkoła Budowy Maszyn i Elektrotechniczna stałaby się częścią Uczelni, postawionej już od razu na istotnie wyższym poziomie.

Ministerstwo życzy sobie uzyskać projekt statutu i obsady tej szkoły możliwie w krótkim czasie, tak aby ew. otwarcie jej nastąpić mogło już we wrześniu br. i prosi komitet organizacyjny o przygotowanie tej akcji.

Jedynym motywem, który sprawia, że Ministerstwo nie może na razie udzielić swej zgody na utworzenie Politechniki w Poznaniu jest brak dostatecznej ilości kwalifikowanych profesorów, przez co poziom nowej Politechniki mógłby nie stać od razu na wysokim poziomie. Propozycja Ministerstwa zdąży do zaspokojenia już teraz potrzeb praktycznych otwierających drogę do późniejszego przekształcenia uczelni na szkołę o prawach akademickich.

Warszawa 23.3.45 r.

Podpisani:

Prorektor prof. Górski  
Inż. Zaremba”

Zgodnie z decyzjami Ministerstwa powołana została już w 1945 r. Szkoła Inżynierska, która w 1955 r. przekształcona została w Politechnikę Poznańską.

Z okazji 30-lecia tej Uczelni odbyła się w dniu 14 kwietnia 1975 r. miła uroczystość, w czasie której pozostający przy życiu członkowie Komitetu z 1945 r.: prof. dr Stanisław Waschko, prof. dr Piotr Zaremba oraz ja otrzymaliśmy pamiątkowe medale i dyplomy.

Podróż do Warszawy najeżona była wielu trudnościami. Linia kolejowa przez Wrześnię – Konin – Kutno, przestawiona na szerokie tory, służyła celom wojskowym. Z reguły nie była ona dostępna dla osób cywilnych. Pozostawała do dyspozycji jedynie trasa przez Środę – Ostrów – Kalisz – Łódź. Lecz i na tej trasie o jakimś regularnym rozkładzie jazdy nie było mowy. Nie działały jeszcze kasy biletowe i przejazdy odbywały się bezpłatnie. Pociągi były naturalnie nieogrzewane, najczęściej pozbawione szyb i oświetlenia. Odchodziły o nieustalonych z góry godzinach i zatrzymywały się po drodze na niedający się przewidzieć przeciąg czasu. Trzeba się było zaopatrzyć wówczas w specjalnie ciepłą odzież i zapas żywności.

Z najwyższym uznaniem należy odnieść się do ówczesnych kolejarzy. Przez szereg tygodni nie otrzymywali oni jeszcze wynagrodzenia pieniężnego. Wyruszając w drogę, nigdy nie wiedzieli kiedy powrócą. Prymitywne stołówki działały tylko na niektórych stacjach węzłowych. W chłodzie i głodzie spełniali kolejarze swą ciężką i jakże odpo-

<sup>b)</sup> *Venia legendi* – *lac.* prawo wykładania na wyższych uczelniach, przyznawane na podstawie habilitacji.

wiedzialną pracę. Często zdani oni byli na pożywienie, którym dzielili się z nimi podróżni.

Do Warszawy jechaliśmy chyba całe dwie doby. Przed Ostrowem byliśmy atakowani przez samolot niemiecki. Na szczęście bomby spadły za nami. Za Kaliszem, w okolicy Błaszek, musieliśmy kilka godzin czekać na naprawę zniszczonych przez bomby szyn.

Mimo że była to ostatnia dekada marca, widać było jeszcze na polach zasy śniegu. Pełno go było w samej Warszawie.

Pociąg nasz zatrzymał się gdzieś w okolicy Dworca Zachodniego. Stamtąd należało maszerować piechotą wiele kilometrów wymarłymi ulicami, aby przez most pontonowy dotrzeć na Pragę, gdzie koncentrowało się całe życie i gdzie w gmachu Dyrekcji Kolei miały swą siedzibę wszystkie ówczesne władze centralne.

Wielki hol zastawiony był całkowicie skrzyniami, których strzegły dwa oddziały wojskowe – polski i radziecki. Jak mogliśmy się zorientować, skrzynie zawierały drukowane w Moskwie banknoty złotowe Narodowego Banku Polskiego.

Ministerstwo Oświaty zajmowało zaledwie kilka nieopalaných pokoi. Urzędujący w nich wysocy dygnitarze siedzieli w płaszczach. W tych prymitywnych warunkach trudno było o zorganizowanie normalnego aparatu administracyjnego. Za to zadziwiająca była wówczas łatwość dotarcia do osób miarodajnych i uzyskiwania od nich jasnych i trafnych decyzji.

Do interesantów, których napływać zaczęła coraz większa liczba, odnoszono się z zaufaniem. Umożliwiała to uniknięcie zbędnych formalności. Nikt np. nie domagał się ode mnie okazania się jakimś dokumentem, choć widziano mnie wówczas w Ministerstwie po raz pierwszy. Nawet asygnatę pieniężną otrzymałem od ręki za zwykłym pokwitowaniem.

Z Warszawy nie powróciłem do Poznania, lecz pojechałem do Krakowa celem zorganizowania grupowego powrotu przebywających tam naukowców i ich rodzin.

Spełnienie tego zadania połączone było z wielkimi wysiłkami. Do Krakowa przybyłem po trzech dniach – kompletnie wyczerpany. Zorganizowanie wyjazdu wymagało pokonania wielu trudności. Najpierw należało uzasadnić potrzebę wyjazdu, następnie sporządzić listę wyjeżdżających ze szczegółowymi danymi osobistymi. Lista musiała być zaakceptowana przez Oddział Polskiego Związku Zachodniego, a następnie trzeba było uzyskać zgodę Wydziału Społeczno-Politycznego Krakowskiego Urzędu Wojewódzkiego. Na liście musiało być wyraźnie zaznaczone moje nazwisko, jako odpowiedzialnego kierownika grupy. Dopiero wówczas można było podjąć starania w Dyrekcji Kolei o przydzielenie na określony dzień krytego wagonu towarowego, do którego powracający mogli zabrać ze sobą posiadane w Krakowie mienie. Rzecz zrozumiała, że wszystko to nie przebiegało łatwo i wymagało kilkakrotnego odkładania terminu wyjazdu oraz wielu interwencji.

Kiedy wreszcie cała grupa znalazła się na dworcu towarowym i umieściła w podstawionym wagonie, nie wiadomo było, kiedy będziemy mogli ruszyć z miejsca.

I tę przeszkodę udało mi się pokonać stosowanym wówczas powszechnie argumentem. Wagon został przyczepiony do jakiegoś urzędowego pociągu osobowego.

Nie pamiętam już, jak długo jechaliśmy siedząc i śpiąc na zabranych ze sobą walizkach, workach i piernatach. Przyjechaliśmy wszyscy szczęśliwie. Złe wrażenie zrobiła tylko pewna pani, żona profesora Uniwersytetu Poznańskiego, która podniosła w pewnej

chwili alarm, że ukradziono jej torebkę damską z zawartością. Wszyscy byli oburzeni podobnym posądzeniem. Przy wyładunku torebka odnalazła się między jej bagażem. Zainteresowana pani nie zdobyła się jednak na słowo przeproszenia!

Pracownicy Akademii, którzy przybyli po mnie na dworzec z ręcznym wózkiem, pomogli żonie i mnie przewieźć bagaż na ul. Głogowską 105, gdzie przejściowo zamieszkaliśmy.

W Krakowie pozostała na razie teściowa. Zajęta była w tym czasie dopilnowywaniem remontu grobowca rodzinnego Zarembów. Przyjechała do Poznania dopiero na wiosnę 1946 r. po złożeniu w tym grobowcu zwłok ekshumowanego w Stargardzie Szczecińskim syna Janusza. Zamieszkała z nami w odremontowanym już mieszkaniu przy ul. Roosevelta, gdzie – zachowując do śmierci pełną jasność umysłu – w dniu 28 lutego 1952 r. zakończyła życie. Pochowana została w Krakowie.

Zapał młodzieży, pozbawionej możliwości studiów w okresie okupacji, był tak wielki, że zajęcia dydaktyczne – prowadzone w zasadzie według dotychczasowych programów – rozpoczęliśmy w Akademii Handlowej już w dniu 16 kwietnia 1945 r.

Następnego dnia odbyło się pierwsze formalne posiedzenie Rady Profesorów, na którym zapadło postanowienie, że rozpoczęty rok akademicki 1944/45 trwać będzie wyjątkowo, z dwutygodniową jedynie przerwą, przez całe lato – do 30 września 1945 r.

Zapisało się wówczas na I rok 494, na II – 101 i na III – 118 słuchaczy. Stosunkowo niewysoką liczbę pierwszych zapisów, zwłaszcza na wyższe lata studiów, przypisać należało tej okoliczności, że wojna nie była jeszcze zakończona i duża część młodzieży męskiej znajdowała się pod bronią, że fala migracyjna była w pełnym toku oraz że warunki bytowe całej ludności, a więc i młodzieży, dalekie były jeszcze od stabilizacji.

Wielki napływ kandydatów rozpoczął się dopiero w roku akademickim 1945/46 i w latach następnych. Młodzież bardzo szybko zorientowała się, że w nowych warunkach społeczno-gospodarczych studia ekonomiczne nabierają szczególnego znaczenia i gwarantować będą absolwentom nieporównanie większe szanse życiowe, aniżeli w warunkach gospodarki kapitalistycznej.

Akademia Handlowa była, jak to już wielokrotnie zaznaczałem, aż do czasu przekształcenia jej z dniem 1 września 1950 r. w Wyższą Szkołę Ekonomiczną (dziś Akademię Ekonomiczną), niepaństwową szkołą akademicką. Jej byt oparty był w lwiej części na dochodach pochodzących z opłat studenckich. Subwencje Ministerstwa miały w tym czasie raczej symboliczny charakter.

Czesne nie było wysokie. Mimo to pewna ilość kandydatów nie była w możności go pokrywać. Aby umożliwić im studia, przewidywaliśmy w planach finansowych, że czwarta część studentów będzie mogła korzystać z odroczenia opłat do upływu pięciu lat od ukończenia studiów.

Wprowadziłem zasadę, że student starający się o odroczenie czesnego obowiązany był do złożenia w Sekretariacie jedynie krótkiego podania. Zabroniłem przedkładania jakichkolwiek zaświadczeń urzędowych o stanie majątkowym itp. Wystarczało mi oświadczenie samego studenta, że nie posiada on środków na opłatę czesnego. Ten dowód zaufania okazanego młodzieży został przez nią należycie oceniony. Nigdy ilość podań nie wyczerpywała przewidzianego limitu zwolnień. Nikomu też nie byłem zmuszony załatwiać odmownie złożonego podania. Co więcej! Zdarzały się wypadki spontanicznego wycofywania podań, gdy sytuacja finansowa studenta uległa poprawie.

Cóż to była za wspianiała młodzież tych pierwszych powojennych roczników!



Wyrosła w ciężkich warunkach okupacyjnych, dojrzała umysłowo i życiowo, zdyscyplinowana, samodzielna, z zapałem oddająca się nauce i życiu organizacyjnemu na terenie Szkoły, mimo że duży jej procent łączyć musiał naukę z pracą zarobkową.

Sami studenci potrafili bardzo szybko powołać do życia „Bratnią Pomoc”, zorganizować świetnie funkcjonującą stołówkę oraz przejąć w swe ręce rozdział pomocy żywnościowej i odzieżowej, pochodzącej z darów UNRRA<sup>c)</sup>. Zorganizowane Koło Naukowe własnym staraniem uruchomiło powielarnię, dzięki której było ono w możności dostarczać studentom w formie skryptów potrzebny materiał dydaktyczny. Młodzież ochoczo pomagała nie tylko przy porządkowaniu i odbudowie budynku Szkoły oraz w odgruzowywaniu miasta, ale ponadto wzięła udział w akcji żniwnej na Pomorzu Zachodnim.

Toteż współpraca między studentami a zespołem profesorskim była wtedy wzorowa – można powiedzieć prawdziwie koleżeńska. Na taką młodzież można było liczyć we wszystkich okolicznościach. Dowodzi tego następujące zdarzenie.

W czerwcu 1945 r. spotkałem się przy jakiejś okazji w Warszawie z wiceministrem aprowizacji. Ten zwrócił się do mnie z prośbą o oddanie mu do dyspozycji około 30 studentów, którzy mogliby objąć bezzwłocznie stanowiska kierowników powiatowych Wydziałów Apropowizacji na ówczesnych Ziemiach Odzyskanych. Sprawy aprowizacji były wówczas niezwykle ważne, ale dające niejednokrotnie sposobność do nadużyć. Wielu z dotychczasowych kierowników nie wytrzymało próby zwykłej uczciwości. Tych nieuczciwych należało zastąpić ludźmi godnymi zaufania. Za takich słusznie uważano wtedy w Warszawie ludzi wychowanych w zdrowej atmosferze Poznania.

Uważałem sprawę tę za ważną i pilną. Na specjalnie zorganizowanym zebraniu zwróciłem się do studentów II i III roku z apelem o przyjsie Ministerstwu z doraźną pomocą na przeciąg kilku miesięcy. Obiecałem, że kandydatom udzielię wszelkich ułatwień formalnych, aby pracując poza Poznaniem mogli równocześnie studiować, składać egzaminy i nie tracić roku. Na mój apel zgłosiło się 35 chętnych. Ministerstwo przysłało po nich samochód ciężarowy. Na drugi dzień po przyjeździe zaczęto ich po kolei poddawać szczegółowym przesłuchaniom, prowadzonym przez dwie urzędniczki Wydziału Kadr, Żydówki. Studenci odmówili odpowiedzi na zadawane im pytania – nie mające nic wspólnego z pracą, którą mieli wykonywać. Oświadczyli oni, że przybyli do Warszawy z polecenia swego rektora nie dla odbycia „spowiedzi”, lecz celem podjęcia się określonych obowiązków. Tymczasem chce się ich traktować nie jako świadomych i gotowych do spełnienia trudnych zadań obywateli, lecz jako podejrzanych przestępców. W tych warunkach wycofują swą gotowość przyjsia Ministerstwu z pomocą i proszą o odwiezienie ich z powrotem do Poznania.

Tego rodzaju stanowcza i pełna godności postawa odniosła natychmiastowy skutek. Przesłuchań zaniechano, studentów przeproszono i już na drugi dzień zaopatrzone ich w odpowiednie dokumenty i skierowano do powiatów. Nie zawiedli oni wówczas, podobnie jak nie zawiedli w swym późniejszym życiu zawodowym i społecznym. Absolwenci pierwszych powojennych roczników zajmują dziś w kraju wiele – nieraz czołowych – stanowisk w gospodarce, administracji państwowej, organizacjach politycznych i społecznych. Przynoszą chlubę swej Uczelni.

---

<sup>c)</sup> UNRRA – Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy (1943–1947).

Pełnienie przeze mnie od marca 1945 r. obowiązków rektora Akademii Handlowej przybrało wkrótce cechy stałości, albowiem prof. Skalski, po powrocie w lipcu 1945 r. z obozu w Buchenwaldzie, zrezygnował ze swej funkcji.

Uchwałą Rady Profesorów z dnia 5 września 1945 r., zatwierdzoną przez Prezydenta Krajowej Rady Narodowej, powołany zostałem na rektora, a prof. Stefan Rosiński na prorektora Uczelni. W wyniku następnych wyborów w 1946 i 1947 r. mandat mój został przedłużony do 9 grudnia 1948 r.

Pierwszy okres mego rektoratu trwał więc cztery lata. Drugi obejmował lata 1956–1959. Przez następne trzy lata (1959–1962) pełniłem funkcję prorektora.

O ile w pierwszym okresie przypadło mi zadanie powojennej odbudowy Uczelni i zabezpieczenie jej przyszłego rozwoju, o tyle w latach 1956–1959 zmuszony byłem, zgodnie z atmosferą popaździernikową, naprawić „błędy i wypaczenia” tzw. okresu minionego i wywalczyć dla Akademii Handlowej na nowo należyty status organizacyjny i naukowy.

Funkcje rektora i prorektora, pełnione ogółem przez dziesięć lat, oparte były na zaufaniu kolegów. Byłem rektorem z wyboru, a nie z nominacji. Ta okoliczność miała dla mnie szczególne znaczenie moralne. Zobowiązywała mnie ona do poświęcenia maksimum wysiłków dla dobra Uczelni, dla ugruntowania jej rangi naukowej, zabezpieczenia jej podstaw materialnych. Bez zbytej skromności mogę stwierdzić, że pokładanego we mnie zaufania nie zawiodłem. Ślady moich poczynań znajdują swe udokumentowanie w „Roczniku Akademii Handlowej w Poznaniu” za lata 1945–1948 oraz w „Roczniku Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Poznaniu” za lata 1956–1959, gdzie zawarte są również moje sprawozdania rektorskie składane corocznie z okazji inauguracji poszczególnych lat akademickich.

O pierwszych powojennych latach wspominam też w artykule *Akademia Handlowa w latach 1945–1950*, zamieszczonym w jubileuszowej *Księdze pamiątkowej WSE w Poznaniu. XXX lat Uczelni*<sup>d)</sup>.

Że rezultaty mej działalności, jako rektora, były oceniane pozytywnie również przez Ministerstwo, tego najlepszym dowodem jest przyznanie mi wysokich odznaczeń państwowych: w 1946 r. – Krzyża Oficerskiego, a w 1959 r. – Krzyża Komandorskiego „Polonia Restituta”.

Okres rektorstwa nie był usłany samymi różami. Podejmowane przeze mnie decyzje nie zawsze były w smak wszystkim kolegom. Niektórzy z nich nie byli np. zachwyceni moimi krokami, zmierzającymi do nadania Akademii Handlowej pełnego charakteru szkoły akademickiej. Nie mając pełnych kwalifikacji nauczycieli akademickich i nie zamierzając ich podnosić, woleli oni utrzymania Uczelni na poziomie półakademickim. Uważali, że taki poziom bardziej zabezpiecza ich interesy osobiste.

Przeważnie jednak wysiłki moje były wspierane przez większość profesorów i innych pracowników naukowych. Ułatwiało mi to pełnienie moich obowiązków. Gdy zachodziła potrzeba, przychodziły mi z pomocą terenowe władze polityczne i administracyjne.

Dobrze też układała się na ogół moja współpraca z Ministerstwem. Cieszyłem się zaufaniem kolejnych ministrów: Stanisława Skrzyszewskiego, Czesława Wycecha, Adama Rapackiego, Stefana Żółkiewskiego, Henryka Golańskiego.

Najlepsze stosunki łączyły mnie zawsze z młodzieżą akademicką. Całą duszą byłem

<sup>d)</sup> Wyd.: Poznań 1956.

jej oddany, a ona odwdzięczała mi się serdecznym przywiązaniem.

Wiadomo, że w pierwszych latach powojennych przeważająca część młodzieży odnosiła się z rezerwą, a nawet niechętnie do nowego porządku. Dawała temu wyraz przy różnych okazjach. Toteż sprawie właściwego przedstawienia dokonywanych w Polsce przeobrażeń poświęcałem niejednokrotnie część swych godzin wykładowych. Moje wyjaśnienia – jak mi się zdaje – dawały lepsze rezultaty, aniżeli sloganowe przemówienia propagandowe.

Jeszcze dziś, kiedy spotykam się ze swymi ówczesnymi słuchaczami, wspominają z wdzięcznością moje ówczesne rady, pouczenia i wskazówki. Okazały się one pożytecznymi w ich późniejszym życiu i pracy.

Moje obowiązki organizacyjne nie ograniczały się do samej Akademii Handlowej w Poznaniu.

Z inspiracji władz szczecińskich zorganizowałem w tym mieście, w jesieni 1946 r., w porozumieniu i za zgodą Ministerstwa, filię Akademii Handlowej w Poznaniu. Była to pierwsza uczelnia akademicka w dziejach Szczecina. Z wielką pomocą przyszły mi wówczas: wojewoda szczeciński Leonard Borkowicz, pierwszy prezydent m. Szczecina Piotr Zaremba oraz ówczesny Pełnomocnik Rządu do Spraw Wybrzeża minister Eugeniusz Kwiatkowski, który przydzielił środki finansowe na gruntowny remont gmachu przy ul. Mickiewicza 66. Został on przeprowadzony sprawnie przez Szczecińską Dyрекcję Odbudowy.

Historię powołania filii w Szczecinie przedstawiłem w przemówieniu wygłoszonym na uroczystości inauguracyjnej w dniu 21 listopada 1946 r.<sup>e)</sup>, a dalszy jej rozwój ilustruje moje sprawozdanie w czasie uroczystej inauguracji drugiego roku akademickiego w dniu 25 października 1947 r.<sup>f)</sup> Obszerniejsze dane na ten temat zawiera praca Piotra Zaremby *Szczecin – miasto wyższych uczelni*<sup>g)</sup>.

W jesieni 1948 r. filia uzyskała samodzielność, a następnie (w 1950 r.) została przekształcona w państwową Wyższą Szkołę Ekonomiczną. Obecnie egzystuje w formie Wydziału Inżynierjno-Ekonomicznego Transportu Politechniki Szczecińskiej<sup>h)</sup>.

W latach 1946/47 brałem jako członek Sekcji Ekonomiczno-Handlowej czynny udział w pracach Rady Szkół Wyższych przy Prezesie Rady Ministrów, powołanej na podstawie ustawy z 23 września 1946 r.

Projekt powołania do życia nadzwyczajnej Rady Szkół Wyższych nie był konsultowany z ówczesnym ministrem oświaty Czesławem Wycechem. Fakt ten wywołał zaniepokojenie w środowiskach naukowych. Na zaproszenie rektora Uniwersytetu Warszawskiego, Stefana Pieńkowskiego, odbyła się w Warszawie specjalna narada rektorów państwowych i niepaństwowych szkół akademickich. Przedmiotem narady było uzgodnienie stanowiska środowisk naukowych wobec spodziewanych zmian w dotychczasowych przepisach odnoszących się do szkół wyższych.

Należy stwierdzić, że żywione obawy okazały się nieuzasadnione. Rada Szkół Wyższych, składająca się z siedmiu członków pod przewodnictwem posła Włodzimierza Sokorskiego, przy współudziale około 150 profesorów pracujących w ramach różnych sekcji, pełniła swe funkcje do końca 1947 r. Rezultatem jej intensywnej działalności

<sup>e)</sup> „Rocznik Akademii Handlowej w Poznaniu” za rok 1946/47, s. 21–27.

<sup>f)</sup> „Rocznik Akademii Handlowej w Poznaniu” za rok 1947/48, s. 26–37.

<sup>g)</sup> Warszawa, Państwowe Wydaw. Naukowe 1954, s. 7–17 oraz 51–65.

<sup>h)</sup> Obecnie dwa wydziały ekonomiczne w ramach Uniwersytetu Szczecińskiego.

było przede wszystkim przygotowanie nowych zasad ustrojowych szkolnictwa wyższego, które znalazły swój wyraz w dekreście z 28 października 1947 r. o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego.

Dekret ten, mimo że miał na celu dostosowanie ustroju szkolnictwa wyższego do nowych warunków, w swej pierwotnej formie nie naruszał podstawowych zasad, na jakich oparta była dotąd praca szkolnictwa wyższego, ani też podstawowych uprawnień uczelni. Dekret wprowadzał jednak szereg istotnych innowacji w zakresie kierowania szkolnictwem wyższym i poszczególnymi uczelniami: nominacje rektorów i prorektorów, zatwierdzanie wyboru dziekanów i prodziekanów, zasadę jednoosobowego kierownictwa uczelni przez rektora, a wydziału przez dziekana, przy równoczesnym ograniczeniu kompetencji senatów i rad wydziałowych, ustanowienie instytucji dyrektorów administracyjnych oraz powołanie przy ministrze oświaty specjalnego organu – Rady Głównej o szerokich kompetencjach.

Dekret z 28 października 1947 r. nowelizowany był w następnych latach wielokrotnie w sensie niekorzystnym dla prawidłowego rozwoju nauki. W okresie popaździernikowym zastąpiony został ustawą z 5 listopada 1956 r. Poszczególne komisje Rady Szkół Wyższych opracowały poza tym cały szereg zasad i postulatów dotyczących różnych typów szkół wyższych. Wiele z tych uchwał doczekało się w późniejszym okresie urzeczywistnienia. Dotyczy to przede wszystkim upaństwowienia w 1950 r. szkół ekonomiczno-handlowych.

Na mój wniosek Sekcja Ekonomiczno-Handlowa powzięła w dniu 18 listopada 1947 r. następującą uchwałę: „Z uwagi na znaczny rozwój dyscyplin handlowych, ich dużą rolę w dzisiejszym życiu gospodarczym oraz potrzebę przygotowania kadr naukowych w tej dziedzinie Sekcja Ekonomiczno-Handlowa Rady Szkół Wyższych wypowiada się za przyznaniem Akademii Handlowej w Poznaniu prawa nadawania stopnia doktora nauk handlowych”. Uchwała ta zrealizowana została dopiero po upaństwowieniu Akademii Handlowej na mocy uchwały Rady Ministrów z 2 lipca 1955 r.

Tymczasem nasi absolwenci mogli ubiegać się jedynie o stopień magistra nauk ekonomiczno-handlowych. Uprawnienia do nadawania tego stopnia – w oparciu o wznowione wnioski przedwojenne – zostało przyznane Akademii Handlowej rozporządzeniem ministra oświaty z 3 września 1945 r.

Do funkcji organizacyjnych w ramach całego szkolnictwa ekonomicznego zaliczam również pełnienie – na podstawie wyboru – zaszczytnej, ale i absorbującej funkcji członka Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego przez przeciąg dwóch kadencji (1956–1962). W tym charakterze też należałem do ścisłego grona przygotowującego nowe zasady, na których oparta została wówczas sieć i organizacja całego szkolnictwa wyższego. Zasady te znalazły swój wyraz w ustawie z dnia 5 listopada 1958 r. o szkolnictwie wyższym.

Ustawa ta obowiązuje formalnie po dziś dzień. Jednakże późniejsze nowele w wysokim stopniu wypaczyły jej pierwotną treść.

Normalne funkcjonowanie każdej wyższej uczelni uzależnione jest od odpowiednich pomieszczeń, wyposażenia technicznego oraz biblioteki. Po zniszczeniach wojennych sprawom tym należało poświęcić natychmiast dużo uwagi.

Pracę w Akademii Handlowej podjęliśmy w czasie, kiedy gmach Uczelni pozbawiony był dachu i najwyższego piętra, a sale na parterze, pierwszym i drugim piętrze w dużej części miały rozbite szyby.

Zanim prace remontowe zostały zakończone, przeżyliśmy niejedną emocję. W czasie pierwszej inauguracji, w dniu 2 czerwca 1945 r., miała miejsce gwałtowna ulewa. Przez sufit auli w wielu miejscach zaczęły wlewać się strumienie wody. Pełne skutki ulewy ujawniły się dopiero nazajutrz w godzinach popołudniowych. Pod naciskiem wielu ton wody zarwała się część sufitu. Na posadzkę zwałił się kilkusetkilogramowy mosiężny kandelabr! Na szczęście w auli nikt się wtedy nie znajdował. Strach pomyśleć, jakie mogłyby być skutki tego wydarzenia, gdyby nastąpiło ono w czasie uroczystości inauguracyjnej!

Kiedy indziej znów – już po założeniu dachu – założono prowizoryczne rynny. Przez niedbalstwo wykonawców nie skierowano ich na zewnątrz, lecz do środka budynku! Po całonocnym ulewnym deszczu spływająca z dachu woda zalała cały gmach! Byłem wtedy tak oburzony, że omal nie obiliem parasolem winnych pracowników budowlanych.

Z czasem wszystkie te trudności udało się przezwyciężyć. Główny gmach został w następnych latach w pełni odbudowany. Nie zapewniał on jednak dostatecznych pomieszczeń dla rozbudowujących się zakładów naukowych. Myślałem o konieczności budowy nowego budynku. W tym celu nabyłem przylegający plac po wypalanej kamienicy przy ul. Składowej. Kontrakt kupna podpisany został w dniu 9 grudnia 1948 r., tj. w dniu składania przeze mnie funkcji rektorskich. Po upaństwowieniu Uczelni na placu tym wzniesione zostało nowe skrzydło, którego budowę rozpoczęto za rektoratu prof. Seweryna Kruszczyńskiego, a zakończono w czasie ponownego sprawowania przeze mnie tej funkcji. Znalazły w nim pomieszczenie Biblioteka oraz różne zakłady naukowe.

W ostatnich latach Akademia Ekonomiczna zyskała dodatkowe pomieszczenia w sąsiednim gmachu b. Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego (narożnik ul. Marchlewskiego i Czerwonej Armii<sup>1)</sup>) oraz w budynku zajmowanym przed wojną przez Kuratorium Okręgu Szkolnego, a po wojnie przez Wydział Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego (narożnik ul. Składowej i Towarowej).

Obecnie projektuje się budowę dalszych gmachów.

W latach 1950–1956 studenci Akademii uzyskali dwa nowe domy akademickie na Winogradach, co w poważnym stopniu rozwiązało trudności mieszkaniowe młodzieży pochodzącej spoza Poznania.

Podstawowy zakład naukowy Uczelni – Biblioteka, będąc od początku przedmiotem mojej szczególnej troski, została odbudowana, wzorowo zorganizowana i znakomicie wzbogacona dzięki niezwykłemu wkładowi energii, umiejętności i zabiegom mgr Hanny Maciejewskiej, sprawującej przez cały okres powojenny funkcję dyrektora. Jej to wysiłkom zawdzięczać należy, że Biblioteka Akademii Ekonomicznej należy od wielu lat do najlepiej funkcjonujących bibliotek naukowych środowiska poznańskiego.

W odbudowie zdemolowanych przez hitlerowców zakładów chemii i towaroznawstwa dopomogły nam liczne firmy krajowe, do których zwróciłem się z odpowiednią prośbą. Samą organizacją i rozbudową tych zakładów i doprowadzeniem ich do obecnego stanu zajęli się – przy moim pełnym poparciu – sami pracownicy naukowcy, a zwłaszcza Rufina Ludwiczak, Franciszek Szelaż, Maciej Wiewiórowski, Aleksander Lempka, Andrzej Au, Jerzy Krause i Marian Kasperek.

W porównaniu do stanu obecnego, wyposażenie Uczelni w konieczne urządzenia było w pierwszym okresie powojennym bardzo skromne. Pozwalało ono już jednak na

---

<sup>1)</sup> Obecnie al. Niepodległości i ul. Św. Marcin.

prowadzenie zajęć dydaktycznych i prac naukowych. Dopiero w następnym okresie uzyskała Szkoła kosztowne urządzenia komputerowe oraz kompletne wyposażenie ułatwiające nauczanie języków obcych.

Niewątpliwie lokale, biblioteki, wyposażenie techniczne oraz konieczne fundusze stanowią nieodzowną materialną podstawę każdej wyższej uczelni. Jednakże o jej funkcjonowaniu i randze decydują ludzie: właściwie dobrany personel administracyjny, a przede wszystkim grono wysoko kwalifikowanych pracowników naukowych. W pierwszym okresie powojennym zespół pracowników administracyjnych Akademii Handlowej był nieliczny, ale za to wyjątkowo oddany Szkole, wpracowany, sprawny, niezawodny.

Dopiero w późniejszych latach we wszystkich szkołach wyższych (a w Akademii od chwili jej upaństwowienia) administracja doznała tak wielkiej rozbudowy, że niekiedy rodziła się wątpliwość, czy Uczelnia nie przekształciła się w zwyczajny urząd lub przedsiębiorstwo. Niektórym dyrektorom administracyjnym zaczęło się nawet wydawać, że to oni są kierownikami Uczelni i że ich władzy, podobnie jak w urzędach i przedsiębiorstwach państwowych, podporządkowani są wszyscy pracownicy szkoły wyższej – aż do rektora włącznie!

W pewnym okresie – podobnie jak we wszystkich innych zakładach pracy – wyrosła rola tzw. kadrowców. Mając w swej wyłącznej pieczy akta personalne wszystkich pracowników, odnosili się oni w stosunku do nich wyniośle i z wielkim dystansem, udając wtajemniczonych i wyposażonych w specjalne uprawnienia.

Równoległe z rozbudowaną ponad miarę administracją, wytworzona została w szkołach atmosfera wzajemnej podejrzliwości. Śmieszne rozmiary i formy przybrała słuszną zasadą konieczności zachowania tajemnicy służbowej i państwowej. Tajemnicę tę gwarantować miały przyklejane i odklejane codziennie pasemka papieru na wszystkich drzwiach, szufladach itp.!

Wszystkich tych „zjawisk” nie było do końca 1948 r., tj. do końca mego pierwszego okresu rektorskiego.

Kiedy w 1956 r. objąłem ponownie funkcję rektora, zapowiedziałem z miejsca, że cała administracja – łącznie z dyrektorem administracyjnym – powołana jest jedynie do spełniania w Szkole ważnej i pozytywnej roli usługowej, zabezpieczającej działalność podstawową. Podporządkowana jest ona w pełni rektorowi. Tej zasady ściśle przestrzegałem, choć, rzecz jasna, odnosiłem się z zaufaniem i szacunkiem zarówno do pracy dyrektora administracyjnego, jak i podporządkowanego mu bezpośrednio personelu. Na tej zasadzie oparta współpraca układała się pozytywnie i bezkolizyjnie.

Kierownicze Działu Kadr, która wbrew utartej poprzednio opinii okazała się osobą sympatyczną, inteligentną i życzliwą dla pracowników, zapowiedziałem, że politykę kadrową prowadzić będę sam. Jej zadaniem natomiast jest utrzymywanie w porządku akt personalnych i przedstawianie mi wniosków odnoszących się do awansów, nagród, przyjęć i zwolnień pracowników administracyjnych i służby pomocniczej.

Świetnie zrozumiała moje stanowisko i wywiązywała się doskonale ze swych zadań.

Likwidując w okresie popaździernikowym wiele „błędów i wypaczeń okresu minionego”, władze centralne zlikwidowały też papierkowe zabezpieczenie „tajemnicy”. Wydane zostało również zarządzenie zezwalające każdemu zainteresowanemu na wgląd w jego akta personalne i na usunięcie z nich różnych donosów i tajnych opinii. Nie skorzystałem co do siebie z tego dobrodziejstwa. Nie interesowały mnie ani donosy, ani

opinie z „okresu minionego”, kiedy nie byłem rektorem. Uważałem, że kompromitowały one nie mnie, ale donosicieli i „opiniodawców”. Oni też sami – a znam ich nazwiska – postarali się o usunięcie z moich akt śladów swej „działalności”, przez co bardzo zubożyli mój życiorys!

Rewolucyjne zmiany w systemie społeczno-gospodarczym przyniosły ze sobą daleko sięgające zmiany nie tylko w strukturze i kompetencjach centralnych i terenowych organów władzy i administracji państwowej, ale również w obsadzie personalnej kierowniczych stanowisk w urzędach i instytucjach państwowych. Stanowiska te – rzecz jasna – powierzano osobom dającym gwarancję wierności i dążenia do wprowadzenia w życie nowego, sprawiedliwego modelu demokracji ludowej.

W odróżnieniu od metod zastosowanych w ZSSR po rewolucji październikowej, rewolucja polska – wprowadzając w pierwszym okresie zmiany jedynie w podstawowych przepisach ustrojowych – utrzymała w mocy w zasadzie cały system prawny obowiązujący w dniu 1 września 1939 r.

Zachowane więc zostały przepisy prawa administracyjnego, cywilnego, karnego, przepisy wiążących Polskę konwencji międzynarodowych itp. Na podstawie przepisów przedwojennych, dopiero stopniowo zmienianych i uzupełnianych, mogły rozpocząć swą działalność centralne i terenowe organy administracji państwowej, organy wymiaru sprawiedliwości, szkolnictwo wszystkich stopni, przedsiębiorstwa państwowe i pozostające pod zarządem państwowym itp.

Pozwoliło to na szybką odbudowę państwowych i społecznych jednostek organizacyjnych oraz zabezpieczyło ład i bezpieczeństwo prawne obywateli.

Istniejący w Polsce międzywojennej i utrzymany w mocy system prawny mógł być rozciągnięty na odzyskane Ziemie Zachodnie, co w istotny sposób przyczyniło się do szybkiej integracji tych ziem.

Utrzymanie ciągłości systemu prawnego miało też znaczenie międzynarodowe. Dzięki niemu Polska Ludowa nie pojawiała się na arenie międzynarodowej jako nowy, nieznany dotąd podmiot, ale jako nowa forma i treść tego samego państwa, które pierwsze stawiało zbrojny opór hitlerowskiemu najeźdźcy i które na wszystkich frontach walczyło przez cały okres wojny o swoją wolność i niezależność.

A ciągłość dziejowa to wielki atut w stosunkach międzynarodowych. Dzięki niej Polska Ludowa mogła zająć w życiu międzynarodowym te pozycje, które wynikały z zawartych konwencji i porozumień międzynarodowych, odzyskać mienie znajdujące się za granicą (skarby wawelskie, złoto przedwojennego Banku Polskiego, przedwojenne depozyty, ocalałe okręty wojenne i statki morskie itp.).

Rzecz jasna, że łączyły się z tym obowiązki. M.in. Polska Ludowa bez zastrzeżeń uznała zobowiązania finansowe zaciągnięte wobec zagranicy przez rządy okresu międzywojennego oraz przez rząd londyński. Przeprowadzone na tej podstawie rozliczenia okazały się dla kraju korzystne. Wzbudziły one zaufanie kontrahentów zagranicznych.

Zasada ciągłości prawnej legła też u podstaw rychłej odbudowy i rozbudowy szkolnictwa wyższego.

Stosownie do wspomnianej już decyzji Ministerstwa Oświaty, wszyscy pozostali przy życiu przedwojenni profesorowie oraz inni pracownicy naukowcy i administracyjni szkół wyższych mogli w nich zająć ponownie swe stanowiska. Tak też się stało. Władza ludowa odniosła się z najwyższym zaufaniem do środowisk akademickich, mając na-

dzieję, że znajdzie w nich zrozumienie i poparcie dla przeprowadzanych reform. Nie robiono więc w pierwszym okresie żadnych ankietyzacji dotyczących pochodzenia społecznego, przedwojennej i wojennej przynależności politycznej i innych spełnianych funkcji w kraju czy za granicą. Uważano, że straty, jakie poniosła nauka polska w okresie wojny i okupacji były tak wielkie, że nie wolno rezygnować z żadnego zgłaszającego się do pracy naukowca, chyba że w okresie wojny dopuścił się zdrady interesów narodowych. Takich zaś było niewielu.

W środowisku poznańskim znany mi jest tylko jeden wypadek – przedwojennego, cenionego muzykologa prof. Lucjana Kamińskiego. Był on żonaty z Niemką, znaną przed wojną śpiewaczką Lindą Kamińską. W czasie okupacji oboje zadeklarowali się jako *volksdeutsche*. Żonie nie można było robić z tego powodu zarzutu – była przecież Niemką. Natomiast mąż zdradził narodowość polską. W pierwszych dniach marca 1945 r. widziałem go w stołówce uniwersyteckiej ustawiającego się w kolejce. Grupa pracowników zauważywszy go zażądała stanowczo, aby opuścił lokal, gdyż wykluczył się sam ze społeczności akademickiej. Katedry naturalnie nie odzyskał. Podobno uzyskał posadę organisty przy jednym z kościołów na Górnym Śląsku.

Zaufanie okazane profesorom i innym przedwojennym pracownikom naukowym okazało się krokiem słusznym. Nie zawiedli oni tego zaufania, wykonując rzetelnie obowiązki dydaktyczne i naukowe w warunkach Polski Ludowej. Znakomita ich większość odniosła się z aprobatą do zasad wyrażonych w manifestie lipcowym oraz do przeprowadzonych na jego podstawie reform społeczno-gospodarczych, jakkolwiek nie zawsze podobały im się metody postępowania nowych władz.

Również w przypadkach powoływania nowych pracowników naukowych i ich awansów zwracano uwagę – zgodnie z obowiązującymi przepisami – jedynie na ogólną ocenę moralną oraz na kwalifikacje naukowe kandydata. Oceny dokonywały rady wydziałowe, a w Akademii Handlowej – Rada Profesorów.

Zatwierdzanie wniosków uczelnianych przez organy państwowe nie napotykało na trudności. Na przestrzeni lat 1945–1947 nie jest mi znany ani jeden wypadek zakwestionowania uzasadnionego wniosku personalnego jakiegokolwiek uczelni.

Dopiero ustawa z 28 października 1947 r. stworzyła dodatkowe sito w formie opinii Rady Głównej przy Ministrze Oświaty. Od tego też czasu w stosunku do kandydatów na stanowiska naukowe zaczęto stosować kryteria polityczne.

Liberalny pod względem formalnym, lecz rygorystyczny pod względem merytorycznym system stosowany w pierwszym okresie nie był chyba złym, skoro popełnione przy jego stosowaniu pomyłki nie przekraczały nikłego ułamka procentu. Pozwalał on również naszej Uczelni na racjonalne uzupełnianie kwalifikowanych kadr naukowych w początkowym okresie niemal wyłącznie spośród przedwojennych wychowanków Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego, posiadających co najmniej stopień doktora.

Główną troską była sprawa pozyskiwania i wychowywania młodej kadry spośród absolwentów Akademii. Wiązały się z tym ściśle moje starania o nadanie Uczelni najpierw prawa magistrowania i doktoryzowania, aby następnie uzyskać również prawo habilitowania. Plon tych zabiegów okazał się obfity. Spośród wybitnych wychowanków Akademii Handlowej, którzy uzyskali stopnie magisterskie w pierwszych latach powojennych, wyrosło z czasem poważne grono około 40 profesorów i docentów. Przeważna ich część kieruje do dziś losami Akademii Ekonomicznej, reszta zaś zasila kadrę naukową innych uczelni.



Już od pierwszych dni powojennych uświadamialiśmy sobie, że niezależnie od swego składu osobowego i struktury prawno-organizacyjnej, wszystkie szkoły wyższe w swej działalności dydaktycznej, naukowej i wychowawczej kierować się winny interesami i potrzebami Polski Ludowej. Wiedzieliśmy bowiem, że wychowankowie nasi będą pracować w nowych warunkach i że do tej pracy powinni być odpowiednio przygotowani.

Same jednak dobre chęci nie wystarczały. Tymczasem, poza nielicznymi wyjątkami, ogół profesorów nie zdawał sobie w pełni sprawy ani z podstaw ideologicznych nowego ustroju, ani z zasad jego funkcjonowania, ani z metod jego rozwoju.

Wszyscy więc poddani zostaliśmy ogólnie zorganizowanemu i w różnych formach prowadzonemu przeszkoleniu polityczno-ideologicznemu. Specjalna uwaga zwrócona została na nauki społeczne, a wśród nich na nauki prawne i ekonomiczne. One bowiem mają decydujący wpływ na kształtowanie postaw politycznych całego społeczeństwa.

Niezależnie od naszych zainteresowań naukowych – starano się nam przyswoić również radzieckie osiągnięcia w zakresie nauk przyrodniczych, zwłaszcza biologicznych (Lepieszyńska, Miczurin, Łysenko) oraz technicznych (nóż Kolesowa). Referowali nam te zagadnienia luminarze polskiej nauki, m.in. członkowie Akademii Nauk: Włodzimierz Michajłow i Kazimierz Petruszewicz. Pamiętam takie spotkanie z nimi w klubie Związku Nauczycielstwa Polskiego przy Placu Wolności 5. W dobrej wierze referowali teorię Lepieszyńskiej i Łysenki na podstawie chyba tego, czego dowiedzieli się z gazet, bo na weryfikację słuszności tych zaskakujących teorii nie mieli ani czasu, ani środków i sposobności.

Jako niefachowiec przysłuchiwałem się ze zrozumiałym sceptycyzmem ich wywodom. Nagle zabrał głos prof. Tadeusz Kurkiewicz, znany histolog. Ku zdumieniu obecnych oświadczył, że długo zastanawiał się nad słusznością teorii Olgi Lepieszyńskiej opartej rzekomo na przeprowadzanych wieloletnich doświadczeniach, że istnieje możliwość przedłużania w nieskończoność okresu życia człowieka. Jednak – po rzekomo przeprowadzonych własnych badaniach – doszedł do wniosku, że Lepieszyńska ma pełną rację. Było oczywiste, że prof. Kurkiewicz żadnych badań nie przeprowadzał, a za teorią Lepieszyńskiej opowiedział się „w ciemno” ze względów czysto oportunistycznych. Taka postawa była wówczas mile widziana. Zebranie opuściłem ubawiony, a jednocześnie zmartwiony.

Teoria Lepieszyńskiej (stworzona *ad usum Stalini*<sup>1)</sup>), jak i teorie Łysenki okazały się zwykłymi bluffami naukowymi, groźącymi (jak w wypadku Łysenki) nieobliczalnymi konsekwencjami dla radzieckiej gospodarki rolnej. Po śmierci Stalina zostały one podane druzgocącej krytyce ze strony znakomych biologów radzieckich, których w okresie stalinowskim nie dopuszczano do głosu.

Rzeczowy charakter miały kursy i dyskusje ideologiczne i metodologiczne, prowadzone w grupach branżowych. Okazały się one wysoce pożyteczne w naszej późniejszej działalności dydaktycznej, naukowej i wychowawczej. Razem z innymi profesorami z Wydziału Prawno-Ekonomicznego uczestniczyłem w kursie polityczno-ideologicznym zorganizowanym dla pracowników wymiaru sprawiedliwości. Wykłady prowadził inteligentnie na podstawie otrzymanych materiałów adwokat dr Julian Hubert. Na kursie tym zapoznaliśmy się z podstawowymi zasadami filozofii marksistowskiej, marksowską

---

<sup>1)</sup> Ad usum Stalini – *lac.* do użytku Stalina.

teorią rozwoju społecznego, pojęciem materializmu dialektycznego i historycznego, klasowym charakterem państwa i prawa, pojęciem bazy i nadbudowy, teorią walki klasowej, zadaniami i funkcjami państwa kapitalistycznego i socjalistycznego itp.

Podobne przeszkolenie przechodzili ekonomiści. W zorganizowanych dla nich kursach uczestniczyli profesorowie radzieccy. Referowali oni zasady socjalistycznej ekonomii politycznej oraz zasady planowania gospodarczego. Wykłady ich odzwierciedlały ówczesny poziom radzieckiej teorii ekonomii politycznej socjalizmu. Poziom ten nie wzbudzał uznania naszych słuchaczy. W wywodach gości za dużo było gładkich sloganów i ogólników, za mało teoretycznej precyzji. Jak słusznie zauważano, wykłady ekonomii politycznej socjalizmu niczym nie różniły się od socjalistycznej teorii państwa i prawa, ani od zasad marksizmu-leninizmu.

Dopiero prace Oskara Lange wydane po 1956 r. stworzyły w tym względzie przełom, dając naukowe podstawy socjalistycznej ekonomii politycznej.

Zanim to jednak nastąpiło, pojawiła się w Warszawie grupa dyletantów, która, uzyskawszy w uproszczonym trybie tytuły profesorskie, stworzyła dla siebie monopol wiedzy z zakresu ekonomii politycznej w ogóle, a z zakresu ekonomii politycznej socjalizmu w szczególności. Grupa ta spowodowała usunięcie z katedr z dniem 1 września 1949 r. najwybitniejszych ekonomistów, zasłużonych wychowawców całej plejady do dziś czynnych profesorów, a mianowicie Edwarda Taylora z Poznania i Adama Krzyżanowskiego z Krakowa, a ponadto profesora Waława Fabierkiewicza z Łodzi. Przyznane im emerytury wynosiły 440 zł miesięcznie! Po 50% podwyżce osiągnęły one kwotę 660 zł!

Wymienieni profesorowie zostali reaktywowani po październiku 1956 r., a przeniesieni w stan spoczynku dopiero w 1960 r.

Aby uchronić od podobnego losu naszych ekonomistów Zbigniewa Zakrzewskiego i Józefa Rzóske, spowodowałem ich przesunięcie do katedr mniej eksponowanych. Zbigniew Zakrzewski zajął się wówczas ekonomiką handlu wewnętrznego, w której to dziedzinie stał się z czasem przodującym w kraju specjalistą. Józef Rzóska z katedry organizacji i techniki przedsiębiorstw przeszedł na kierownictwo katedry ubezpieczeń.

Grupie dyletantów udało się na wiele lat zatamować rozwój naukowy młodych teoretyków ekonomii politycznej. Zakazano bowiem pisania prac magisterskich i doktorskich z tego zakresu. Do dziś nie udało się jeszcze nadrobić spowodowanej wówczas straty.

Na fali dyletantyzmu w zakresie ekonomii politycznej pojawiać się zaczęli kandydaci na wykładowców tego przedmiotu. Miałem sporo takich kandydatów w Szczecinie i Poznaniu. Wspomnę tylko o jednym z nich.

Na wiosnę 1948 r. zgłosił się do mnie znany mi już poprzednio dr Michał Szałagan, członek Wojewódzkiej Rady Narodowej, spełniający z ramienia Komitetu Wojewódzkiego PPR funkcje komisarza do spraw nacjonalizacji przemysłu, dyrektora różnych przedsiębiorstw, komisarza wyborczego na województwo poznańskie w 1947 r. itp. Miałem podstawy do podejrzenia, że jest to pełen tupetu hochsztapler. Przypuszczenia moje potwierdziła kiedyś w moim mieszkaniu posłanka na Sejm, p. Zofia Izydorczyk, żona pierwszego sekretarza PPR w Poznaniu. Wyraziła się ona dosłownie: „W tym człowieku nie ma niczego prawdziwego: ani doktor, ani Michał, ani Szałagan”. Występował on prawdopodobnie na podstawie przejętych po kimś innym dokumentów.

W rozmowie ze mną w Akademii Handlowej wyraził chęć objęcia wykładów z ekonomii politycznej w ujęciu marksistowskim. Widząc, że inaczej nie pozbędę się natręta, udałem zadowolenie z jego propozycji. Wyraziłem zgodę na wygłoszenie przez niego –

tytułem próby – pięciu wykładów, ale dopiero w następnym roku akademickim. Zaprowadziłem go do kwestora, p. Wandy Sobieszczyk i oświadczyłem: „Pan dr Szałagan zgodził się wygłosić w przyszłym roku pięć godzin wykładów. Proszę o wypłacenie mu z góry należności w takiej a takiej wysokości”. Gotówkę podjął – do wykładów nigdy nie doszło.

Nazajutrz spotkał mnie jeden z członków KW i zapytał, czy to prawda, że dr Szałagan ma zająć w Akademii stanowisko profesora, gdyż tak wszędzie głosi. Celem uspokojenia mego rozmówcy zaprzeczyłem temu stanowczo i poinformowałem o treści rozmowy z Szałaganem.

„Sukces” odniesiony na Akademii zachęcił Szałagana do zgłoszenia wniosku o powierzenie mu wykładów z ekonomii politycznej na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. Brałem udział w posiedzeniu Rady Wydziałowej, na którym sprawę referował prof. Edward Taylor. Jego zdaniem, wniosek należy potraktować pozytywnie, aby dać kandydatowi sposobność skompromitowania się. Tak też postąpiono.

Treść dyskusji przeprowadzonej na Radzie Wydziałowej doszła do wiadomości KW, gdzie zaczęto pilniej obserwować zachowanie się Szałagana. Sposobność kompromitacji nadarzyła się nadszpodziewanie szybko. Na posiedzeniu Oddziału Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, odbytym w sali ówczesnej Izby Przemysłowo-Handlowej, Szałagan wystąpił z referatem, w którym zaprezentował „własne oryginalne tezy” dotyczące zasad finansowania gospodarki społecznej. Zebrani spokojnie wysłuchali referatu, a po jego zakończeniu wybuchnęli głośnym śmiechem. Referat był zwykłym plagiatem, dosłownym powtórzeniem cudzego artykułu, który świeżo ukazał się w „Finansach” i był już znany dużej części zebranych.

Ten przewidywany przez prof. Taylora wpadunek zakończył „karierę naukową” Szałagana. Po zbadaniu przez KW jego „działalności” na innych polach, pozbawiony został wszystkich stanowisk, legitymacji partyjnej i zmuszony do opuszczenia środowiska poznańskiego.

W podobny sposób skompromitowali się i musieli opuścić Poznań kandydaci, pochodzący z innych środowisk, a narzuceni Szkole przez Ministerstwo.

Kolektyw naukowy żadnej wyższej uczelni nie może być zlepkiem przypadkowych i odgórnie przydzielonych osób. Najzdrowszą i wypróbowaną od wieków metodę stanowi naturalny dobór w formie wolnej lub nawet kontrolowanej kooptacji – głównie spośród własnych wychowanków.

Począwszy od wiosny 1949 r., w miarę upolityczniania młodszych pracowników naukowych i organizacji młodzieżowych, narastać zaczęły w szkolnictwie wyższym tendencje do przeprowadzania czystek. W tym celu organizowano zebrania pracowników naukowych i studentów poświęcone krytyce i samokrytyce określonych pracowników naukowych. Ich celem nie była, jak by się mogło zdawać, poprawa stylu pracy uczelni, lecz wykazanie, że nowego pokolenia młodzieży ludowej nie można powierzać profesorom wychowanym w dawnych tradycjach. Lansowano oficjalnie dziecinną tezę, że w przeciągu dwóch do trzech lat będzie można przygotować nową, ludową kadre profesorską, która zastąpi kadre przedwojenną. Dziecinność tej tezy wyrażała się w tym, że – jak uczy doświadczenie – naukowiec nie tworzy się drogą nominacji. Przygotowanie zaś docenta i profesora jest sprawą dłuższego okresu.

U mnie – w sprzyjających warunkach – okres ten wynosił 15 lat (od rozpoczęcia stu-

diów do nominacji profesorskiej!). Szkodliwość tezy o możliwości przygotowania nowej kadry profesorskiej w krótkim okresie czasu polegała na chęci lekkomyślnego pozabawienia kraju ogromnego kapitału wiedzy i doświadczenia oraz opanowanych metod naukowych, jakim dysponowała stara kadra profesorska.

Na szczęście dla nauki polskiej i samej młodzieży te bezsensowne zamiary zostały zrealizowane tylko w niewielkim zakresie. Ofiarą ich padły, niestety, jednostki wybitne.

Jak już wspomniałem uprzednio, przejęcie obowiązków przez wybranego przed wojną rektora Uniwersytetu Poznańskiego prof. Stefana Dąbrowskiego budziło od początku zastrzeżenia niektórych kół uniwersyteckich.

Prof. Dąbrowski był przed wojną aktywnym działaczem endeckim. Przez kilka kadencji sprawował mandat poselski. Przez jakiś czas – zaraz po I wojnie światowej – pełnił nawet funkcję wiceministra spraw zagranicznych. Przy tym wszystkim był wybitnym profesorem Wydziału Lekarskiego, wieloletnim dziekanem tego Wydziału, wychowawcą szeregu młodych naukowców. Cieszył się on wielkim autorytetem wśród młodzieży oraz w społeczeństwie. Odznaczał się wysoką kulturą osobistą, wielką życzliwością i skromnością. Był nieprzeciętną osobowością.

Po objęciu swych obowiązków wielokrotnie kontaktował się ze mną. Wiem więc z jaką powagą traktował swą funkcję i jak bardzo pragnął oddać resztę swych sił – a był już człowiekiem starszym – w służbie Uniwersytetu i kraju. Na pewno nie był on bojownikiem nowego ustroju, ale rozumiał doniosłość dokonywanych przemian i widział konieczność bezwzględnego podporządkowania się nowym władzom i nowemu porządkowi prawnemu. Przystąpił więc z całą lojalnością do pełnienia swych obowiązków.

Tymczasem z różnych stron organizowano na niego niewybredną w formie i treści nagonkę. Jej celem było pozabawienie go stanowiska rektorskiego.

I tak – z inspiracji docenta Bolesława Kuryłowicza z Wydziału Rolniczo-Leśnego – zaatakował go na plenum Krajowej Rady Narodowej poseł Jan Janasek, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PPS w Poznaniu, której członkiem był Kuryłowicz. Oskarżenie oparte było na tym, że rektor Dąbrowski odmówił rzekomo przyjęcia zgłaszającego się do niego doc. Kuryłowicza z uzasadnieniem, że nie będzie tolerował na Uniwersytecie „czerwonej zarazy”. W liście do prezydenta Bieruta rektor Dąbrowski kategorycznie temu zaprzeczył. Nie przeszkodziło to inspiratorom nagonki postawić sprawy tej w pierwszych miesiącach 1946 r. na porządku dziennym Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Otrzymywałem w tym czasie stałe zaproszenia na posiedzenia tej Rady i uczestniczyłem w jej obradach. Ponieważ rektor Dąbrowski zaproszeń takich nie otrzymywał, poinformowałem go o przygotowywanej przeciwko niemu akcji, zachęcając go, aby dla wyjaśnienia sprawy zjawił się osobiście na sali obrad. Tak się też stało. Obecność rektora Dąbrowskiego na sali wywołała konsternację wśród organizatorów nagonki. Po przemówieniu oskarżycielskim, ogłoszonym przez wspomnianego już poprzednio radnego dr. Michała Szałagana – rektor Dąbrowski poprosił o głos.

Zapytał, czy na sali znajduje się docent Kuryłowicz. Kiedy ten powstał, padło pytanie: „Czy kiedykolwiek Pan się do mnie zwracał? Widzę Pana po raz pierwszy! Nigdy żadnemu pracownikowi naukowemu nie odmówiłem przyjęcia. Gdyby Pan zamierzał ze mną rozmawiać, byłby Pan równie życzliwie potraktowany. Nie mam zwyczaju używać obraźliwych słów, zwłaszcza w stosunku do osób, których uprzednio nie widziałem na oczy. Jako doświadczony parlamentarzysta, radzę dr. Szałaganowi, aby przed wnoszeniem oskarżeń i interpelacji zapoznał się uprzednio dokładnie ze stanem faktycznym”.

Doc. Kuryłowicz, zdenerwowany ujawnieniem kłamstwa, na którym oparto oskarżenie, zaczął wywodzić, że znane są powszechnie już z okresu przedwojennego poglądy rektora Dąbrowskiego i jego niechęć do osób o poglądach lewicowych. Z góry też można było przewidzieć, jak byłby potraktowany, gdyby spotkanie doszło do skutku. Dlatego też – jego zdaniem – słuszną jest rzeczą, aby postawa rektora Dąbrowskiego została przez Wojewódzką Radę Narodową potępiona.

Na temat tego wniosku rozwinęła się szeroka dyskusja. Widać było, że znakomita większość Rady, przekonana rzeczowym wyjaśnieniem rektora Dąbrowskiego, nie była skłonna głosować za wnioskiem potępiającym. Dyskusję odroczonego na godziny popołudniowe. W międzyczasie odbyły się posiedzenia Klubów Radnych. Pod naciskiem dyscypliny klubowej osiągnięto taki rezultat, że wniosek o potępienie rektora Dąbrowskiego uchwalony został niewielką większością głosów. W następnych dniach sprawę rektora Dąbrowskiego przeniesiono na teren załóg niektórych zakładów przemysłowych. Uzyskiwano „w ciemno” uchwały potępiające... Dziwiłem się, gdy mi relacjonowano, że w akcję tę dał się wpłatać ówczesny wojewoda poznański, dawny student atakowanego profesora.

W jakiś czas potem odwiedziła Uniwersytet grupa dziennikarzy francuskich. Na skierowane do niego zapytanie, czy w Polsce istnieje cenzura prasy, rektor Dąbrowski odpowiedział: „Tak, istnieje”. Zrobiono mu z tego nowy zarzut, że bez upoważnienia udziela „wywiadów” obcym dziennikarzom. Celem wyjaśnienia tej sprawy zainteresowany zwrócił się do ówczesnego premiera, Edwarda Osóbki-Morawskiego. Jak mi potem opowiadał, zapytał premiera, czy na skierowane pytanie dotyczące sprawy powszechnie znanej, mógł wobec obcych korespondentów odpowiedzieć: „Nie wiem” albo „W Polsce nie ma cenzury”? Czy licowałoby to z autorytetem, jakim cieszyć się powinien rektor?

Wszystko to na nic się nie zdało. Rada Ministrów zobowiązała ówczesnego ministra oświaty, Czesława Wycecha, do rychłego przygotowania raportu i wniosku w sprawie odwołania rektora Dąbrowskiego z zajmowanego stanowiska. Minister znalazł się w kłopotliwej sytuacji i jak mógł zwlekał z decyzją. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że oskarżenia nie posiadają żadnych podstaw. Wiązany był jednak uchwałami rządu.

Mając do mnie zaufanie, minister poprosił mnie o „dobre usługi” i wypracowanie takiego rozwiązania, które by zadawała i władze polityczne, i nie stanowiło uchybienia w stosunku do rektora Dąbrowskiego. Po kilku dniach zaproponowałem, aby w sprawie tej przybyli do Poznania wiceminister Władysław Bieńkowski i dyrektor departamentu prof. Stanisław Arnold. Panowie ci zaproponowałiby rektorowi wzięcie urlopu do końca roku akademickiego 1945/46 i przekazanie kierownictwa Uniwersytetu prorektorowi Stefanowi Błachowskiemu. Rektora Dąbrowskiego poinformowałem uprzednio o planowanym przyjeździe delegatów ministra i o przypuszczalnej propozycji z ich strony.

W czasie kolacji w moim mieszkaniu, w której obok obu panów z Warszawy wziął również udział wojewoda dr Widy-Wirski, ustalono, że spotkanie z rektorem odbędzie się nie na terenie Uniwersytetu, lecz w gabinecie wojewody. Tak się też stało. Dżentelmeński ton, w jakim został potraktowany, ujęły rektora. Oświadczył, że gdyby jego stanowisko stwarzało jakiejkolwiek trudności ministrowi, którego wysoko szanuje, gotów jest każdej chwili zrezygnować z godności rektora. Sprawa została więc załatwiona w sposób zaproponowany, ku zadowoleniu obu stron.

Docent, a od 1946 r. profesor nadzwyczajny, Bolesław Kuryłowicz, był niewątpliwie człowiekiem zdolnym, ale równocześnie jednostką skomplikowaną, pełną kompleksów, pragnącym w warunkach Polski Ludowej zrobić wielką karierę.

Urodzony w Petersburgu w 1891 r., tamże wychowany i wykształcony, związany był z Uniwersytetem Poznańskim od 1932 r. W 1926 r. uzyskał tu doktorat nauk rolnych.

Od pierwszych dni wyzwolenia Poznania głosił na wszystkie strony, że w okresie międzywojennym był, jako członek PPS, prześladowany, a m.in. pozbawiony możliwości habilitowania się. Winą za ten stan rzeczy obarczał przedwojennych profesorów Wydziału Rolniczo-Leśnego, a w szczególności prof. Bronisława Niklewskiego. Ta robiona wokół własnej osoby legenda „prześladowanego” nie miała wiele wspólnego z rzeczywistością. Jak bowiem wynika z zamieszczonego w *Kronice Uniwersytetu Poznańskiego za lata akademickie 1945–1955/55<sup>k)</sup>* własnego życiorysu, o jakimkolwiek prześladowaniu go w okresie międzywojennym nie mogło być mowy, skoro w tym okresie piastował pozauniwersyteckie stanowisko, bardziej intratne niż etat profesorski, a równocześnie kierował Zakładem Chemii Rolnej i prowadził wykłady zlecone na Wydziale Rolniczo-Leśnym i w Wyższej Szkole Ogrodniczej. Wśród tych stanowisk nie wspomniał w swym życiorysie o najważniejszym. Był on bowiem w tym czasie wyłącznym reprezentantem Zakładów Azotowych w Mościcach i Chorzowie na całe województwo poznańskie. Reprezentacja ta była prawdziwą synekurą, gdyż przynosiła mu bez większego wysiłku – jak sam mi opowiadał – ponad 5 tysięcy złotych miesięcznie. Stać go więc było na 10-pokojowe mieszkanie, służbę i samochód.

Otóż te rozliczne i dobrze płatne zajęcia, a nie jego – nie bardzo chyba wówczas eksponowana – przynależność do PPS stanowiły istotną przeszkodę, utrudniającą mu wykonanie i publikację pracy habilitacyjnej, jakiej wymagały obowiązujące przepisy.

O naukową karierę zatroszczył się na serio dopiero wtedy, gdy z chwilą wybuchu wojny urwały się na zawsze dotychczasowe pozauniwersyteckie źródła dochodów. Korzystając z koniunktury, starał się w nowych warunkach być głośnym i postępować z tupetem, aby tym sposobem zwrócić na swoją osobę uwagę decydujących czynników. Był zaś w swoich dążeniach bezwzględny i gotowy iść po trupach.

Nie znałem go jeszcze bliżej, gdy po utworzeniu filii Akademii Handlowej w Szczecinie zaproponowałem mu zorganizowanie tam Zakładu i prowadzenie wykładów z zakresu chemii i towaroznawstwa. Funkcje te objął i należycie się z nich wywiązywał.

Kiedy w 1946 r. zastanawiano się w Warszawie nad kandydatem na tworzone wówczas stanowisko Delegata Ministra Oświaty do spraw Młodzieży Szkół Wyższych – zaproponowałem w dobrej wierze jego kandydaturę. Została przyjęta. Funkcję Delegata pełnił do 1951 r. Nadużywał jej niejednokrotnie, wtrącając się do spraw nie mających nic wspólnego ze sprawami młodzieży. Lubił występować w charakterze „Delegata Ministra Oświaty” (bez dodatku „do spraw Młodzieży Szkół Wyższych”) i przypisywać sobie rolę namiestnika ministra, pragnącego wywierać wpływ na obsadę personalną itp., pilnując zwłaszcza interesów swej rodziny.

Odpierałem zdecydowanie tego rodzaju zakusy. Toteż w Ministerstwie pokazywano mi różne donosy na mój sposób kierowania Uczelnią, który on uważał za szkodliwy. Nie przejmowałem się tym, gdyż lepiej od niego wiedziałem, co jest dla Akademii Handlowej i młodzieży korzystne, a co szkodliwe.

Za jedno jestem mu szczerze wdzięczny. Dzięki jego intrygom Ministerstwo nie za-

---

<sup>k)</sup> Poznań 1958, s. 703.

twierdziło (w grudniu 1948 r.) mego wyboru na kolejną kadencję rektorską. Uzyskałem w ten sposób osiem lat pełnego oddechu, który mogłem wreszcie wykorzystać na własną pracę dydaktyczną i naukową.

Do kierowania Uczelnią powołany zostałem ponownie dopiero w 1956 r. Uważano wówczas powszechnie, że jestem jedynym profesorem, który będzie umiał naprawić „błędy i wypaczenia okresu minionego”.

I jeszcze jeden szczegół charakteryzujący postać „jugendführera”, jak go żartobliwie nazywano.

Wiosną 1948 r. jechaliśmy koleją na zajęcia do Szczecina: Bolesław Kuryłowicz, Zbigniew Zakrzewski i ja. Kuryłowicz opowiadał nam szczegółowo o tym, jak to władze radzieckie po wyzwoleniu Poznania czyniły poszukiwania za nim, jako kontrewolucjonistą. Przyczyną miało być to, że w czasie rewolucji październikowej, służąc jako oficer w gwardii przybocznej carowej, bronił Pałacu Zimowego...

Jakież było moje – i nie tylko moje – zdumienie, kiedy jesienią 1948 r., na parę tygodni przed zjednoczeniem się PPS z PPR, przeczytałem w prasie poznańskiej wywiad, w którym prof. Kuryłowicz przedstawił siebie jako jednego z tych, którzy brali udział w szturmie na Pałac Zimowy!

Coś tu wyszło na bakier z prawdą!

Zgodnie z postanowieniami ustawy z 28 października 1947 r. wchodziłem w skład trzyosobowej grupy mającej zgłosić trzy nazwiska, z których minister miał powołać rektora Uniwersytetu Poznańskiego. W skład grupy wchodził – poza mną – prof. Tadeusz Kurkiewicz i prof. Bolesław Kuryłowicz. Na odbytym w Warszawie posiedzeniu ustaliliśmy na mój wniosek zgodnie kandydatury: na pierwszym miejscu prof. Jana Rutkowskiego, na drugim prof. Kazimierza Ajdukiewicza. Spór wywołała dopiero osoba trzeciego kandydata. Chcieli nim zostać zarówno Kurkiewicz, jak i – za wszelką cenę – Kuryłowicz. Obaj przypuszczali, że z uwagi na ich zaangażowanie polityczne, kandydatura każdego z nich zostanie w pierwszym rzędzie wzięta pod uwagę. Ostatecznie prof. Kurkiewicz ustąpił (został niedługo potem rektorem wydzielonej z Uniwersytetu Akademii Medycznej). Utrzymała się więc na trzecim miejscu kandydatura Kuryłowicza. Jednakże został on w swych nadziejach przykro zawiedziony.

Prof. Rutkowski uprosił Ministerstwo, aby nie brano pod uwagę jego osoby. Mając do wyboru Ajdukiewicza i Kuryłowicza, Ministerstwo słusznie zdecydowało się na wysokiej klasy człowieka i uczonego jakim był prof. Ajdukiewicz. On też przez dwie kadencje rządził Uniwersytetem jako „Kazimierz Wspaniały”. Kuryłowicz mianowany został prorektorem. Już i to stanowisko wystarczało mu dla przeprowadzenia różnego rodzaju porachunków osobistych, rozgrywek personalnych na całym Uniwersytecie, a zwłaszcza na Wydziale Rolniczo-Leśnym.

Niewątpliwie z jego to inicjatywy odesłano w 1949 r. w drodze przymusowej na 440-złotową emeryturę cały szereg przedwojennych profesorów. Dopiero w okresie popaździernikowym mogli oni być reaktywowani.

Swoimi wyczynami Kuryłowicz zraził do siebie powoli wszystkich, z którymi miał do czynienia. Stał się na terenie Poznania *persona non grata* i zmuszony był opuścić tutejszy ośrodek naukowy. Wszyscy wówczas odetchnęli.

W pewną niedzielę na początku 1949 r., za rektoratu Floriana Barcińskiego i pod jego przewodnictwem, odbyło się w auli Akademii Handlowej wielkie zebranie pracowników naukowych i przedstawicieli studentów, poświęcone krytycznej ocenie metod

pracy dydaktycznej i naukowej niektórych profesorów-ekonomistów. Inicjatywa zebrania wyszła z zewnątrz. Poza Uczelnią wyznaczono również krytykowanych i krytykujących.

Byłem przez pierwsze godziny obecny na tym ponurym sabacie, w którym roli oskarżycieli podjęli się uczniowie, doktoryzowani przez krytykowanych promotorów. Po pierwszej przerwie opuściłem zebranie, zdruzgotany formą i treścią ataków, których celem miało być wykazanie konieczności pozbawienia krytykowanych ich stanowisk i przekazanie tych stanowisk krytykującym.

Było to widowisko wyjątkowo niemoralne, niegodne szkoły wyższej, wprost odrażające. Nie pozostało ono bez skutków. Z Uczelni odejść musieli profesorowie: Peretiatkiewicz, Kasznica, Nadobnik, Taylor, Rosiński, Zdzitowiecki, a – za niesławnych rządów nasłanego z Warszawy operetkowego rektora, dr. Fleszara – również Florian Barciński. Wszyscy wymienieni okazali się niedobrzy w Akademii Handlowej, ale całkowicie dobrzy na Uniwersytecie!

Dziwna logika i dziwna ocena wartości pracownika naukowego.

Przy tej okazji pragnę wskazać na metodę, jaką zastosowali na zebraniu ogólnokrajowym cywiliści. Celem zadośćuczynienia modnemu wówczas i odgórnie kierowanemu procesowi odcinania się od „kapitalistycznych” metod naukowych, wzięto na warsztat teoretyczne założenia metodologiczne znakomitych, już nie żyjących cywilistów krakowskich – Stanisława Wróblewskiego i Fryderyka Zolla! Zmarłym była tego rodzaju dyskusja obojętną, a żywym nie przyniosła szkody. Sprawę zaś odfajkowano...

Jak to już kilkakrotnie zaznaczałem, w latach 1945, 1946/47 każdy kandydat, mogący się wykazać określonymi dokumentami, miał wolny dostęp do studiów w wybranej przez siebie uczelni i na wybranym kierunku. Stan ten uległ radykalnej zmianie od roku akademickiego 1947/48 poczynając.

Na początku 1947 r., na specjalnie zwołanej do Warszawy konferencji rektorów, mieliśmy potępić wypowiedź, czy zachowanie się jakiegoś profesora, czy docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego (nie pamiętam już ani nazwiska, ani przyczyny potępienia). Potępiiliśmy...

Na tymże zebraniu wiceminister Eugenia Krassowska zapoznała nas z nowymi zasadami przyjmowania kandydatów na studia. Chodziło o limitowanie miejsc na poszczególnych kierunkach studiów oraz o pozbawienie prawa do odbywania studiów dzieci „klas uprzywilejowanych”, do których zaliczano nie tylko pozbawioną już własności warstwę ziemiańską i warstwę przemysłowców, ale również całą drobną „inicjatywę prywatną” (kupców, rzemieślników, zamożniejszą warstwę chłopską), lekarzy, adwokatów, przedwojennych oficerów, a w zasadzie niemal całą przedwojenną inteligencję.

Szkoły wyższe miały więc w przyszłości kształcić nową inteligencję ludową, wywodzącą się z zasady jedynie z klasy robotniczej i biedoty chłopskiej.

Tego rodzaju projekt stanowił dla nas wszystkich pełne zaskoczenie. Nie wyobrażaliśmy sobie bowiem możliwości i potrzeby wprowadzenia w Polsce kategorii obywateli pozbawionych podstawowych praw – na wzór radzieckich „liszeńców”<sup>1)</sup>. Toteż po referacie p. Krassowskiej zapanowało milczenie. Nikt nie zgłaszał się do głosu. Nareszcie – po dłuższej chwili – powstał siedzący przede mną ówczesny rektor Uniwersytetu Łódzkiego, prof. Tadeusz Kotarbiński. Oświadczył krótko: „Zreferowany nam przez panią

<sup>1)</sup> „Liszeńcy” – *tu*: ludzie pozbawieni praw.



Krassowską projekt, przewidujący pozbawienie prawa do nauki szerokich rzesz polskich dzieci, nie wydaje mi się zgodny z zasadami Państwa Ludowego. Od czasu mych studiów uniwersyteckich aż po ostatnie czasy uchodziłem i uchodzę za lewicowca. W moim środowisku lewicowców obowiązywała zawsze zasada: «Chcesz być lewym – bądź prawym». W tym, co Pani Minister nam tu dziś zreferowała widzę dużo lewego, ale ani odrobiny prawego”. Co powiedziawszy, usiadł.

Żaden z rektorów nie zabrał po nim głosu. Nikt nie opowiedział się za projektem Ministerstwa. Mimo to projekt został wprowadzony w życie.

Jego skutki odczuła m.in. moja rodzina. Moim bratankom, synom rolnika posiadającego 18-hektarowe gospodarstwo, robiono trudności przy przyjęciu na studia, a nawet do szkół średnich.

Byłem zmuszony w sprawach tych – wbrew moim zasadom – ostro interweniować na wysokim szczeblu... Dziś ci, mający być wówczas pozbawieni prawa do studiów moi bratankowie, są wysoko cenionymi fachowcami w swych dziedzinach, ludźmi, którym powierza się odpowiedzialne zadania w kraju i za granicą.

Wprowadzony system obowiązywał przez z górą dziewięć lat. Spowodował więcej szkód niż pożytku. Demoralizował on młodzież, rodziców, a niejednokrotnie i samych pracowników naukowych. Mnożyły się zaczęły „naciągane” zaświadczenia, rozwinęła się na wielką skalę protekcja, a nawet zwykłe przekupstwo.

Jak dalece system ten wpłynął ujemnie na samą młodzież, tego dowodem choćby taki przykład. Na studia w Akademii Handlowej przyjęty został kandydat, którego matka, wdowa, była pracownicą jakiegoś przedsiębiorstwa państwowego czy spółdzielczego. Po pewnym czasie zgłosili się do mnie przedstawiciele organizacji młodzieżowej i zażądali skreślenia z listy przyjęć tego kandydata. Wykryli bowiem, że jego ojcem jest przedwojenny oficer (porucznik). Zbadałem sprawę. Okazało się, że mieli rację, zapomnieli tylko dodać, że oficer ten oddał swe życie w obronie Ojczyzny we wrześniu 1939 r., kiedy syn jego miał zaledwie kilka lat. Mimo to byli zdania, że to nie jest okoliczność istotna. Naturalnie skreślenia nie zarządziłem.

Dopiero po reformach wprowadzonych w okresie popaździernikowym – te szkodliwe przepisy zostały uchylone. Zastąpiono je niewątpliwie racjonalniejszym systemem preferencji dla dzieci pochodzenia robotniczego i chłopskiego w postaci przyznania im – w wypadku pozytywnego złożenia egzaminu wstępnego – dodatkowych punktów z tytułu pochodzenia.

W międzyczasie stosunki ekonomiczno-społeczne doznały tak wielkich przeobrażeń, że i system punktowy budzi dziś coraz więcej zastrzeżeń<sup>m)</sup>.

Tak samo, w moim przekonaniu, nie da się na dalszą metę utrzymać systemu limitów. Jest on bez wątpienia zbędny na studiach zaocznych.

O ile idzie o studia stacjonarne w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych, to i tu możliwe jest zniesienie ograniczeń ilościowych.

W filii Akademii Handlowej w Szczecinie, kiedy na I rok zgłosiło się w 1946 r. około 1200 kandydatów, zorganizowałem dublowany system wykładów i ćwiczeń. Przed południem – dla niepracujących, po południu – dla pracujących.

Gdyby do studiów dopuszczano wszystkich zgłaszających się kandydatów, wtedy właściwego odsiewu dokonywać by można w formie rygorystycznych egzaminów na I roku studiów.

---

<sup>m)</sup> Został już zniesiony.

Równoległe z reglamentowaniem rekrutacji następowało wprowadzanie w życie centralnie opracowanych planów i programów nauczania. Było to naturalnie pożądane i pożyteczne, gdy chodziło o uwzględnienie w planach takich przedmiotów, jak: zasady marksizmu-leninizmu, ekonomia polityczna socjalizmu (na wszystkich kierunkach) oraz zasady planowania gospodarczego (w szkołach ekonomicznych). Muszę zaznaczyć, że już uprzednio – z własnej inicjatywy – przedmioty te objęliśmy planem nauczania w naszej Uczelni.

Ministerstwo nie poprzestało na tym, narzucając uczelniom szczegółowe programy nauczania na podstawie dogmatycznych schematów obowiązujących wówczas w szkolnictwie radzieckim. Wprowadzono kontrolę realizacji tych programów, kontrolę tematów i treści prac magisterskich, zakazano prowadzenia prac magisterskich z ekonomii politycznej (!)<sup>n)</sup>, odjęto prawo do kierowania takimi pracami niektórym profesorom. Na Wydziale Prawa Uniwersytetu Poznańskiego pozbawiony był przez pewien czas tego prawa... znakomity cywilista, prof. A. Ohanowicz.

Zakwestionowano mi kiedyś doskonale wykonaną pracę magisterską o układach zbiorowych w stosunkach pracy. Jakiś anonimowy, niedowarzony recenzent ministerialny uznał temat pracy za niezgodny z potrzebami nowego ustroju. Zareagowałem na to zdecydowanie na piśmie, wykazując głupotę recenzenta.

Wiele szkód narobiły wówczas dwie damy, które bez jakichkolwiek kompetencji rzeczowych szarogęsiły się w Ministerstwie jako kolejne naczelniczki Wydziału – p. Żurawicka i p. Sadowska. Ta druga we właściwym czasie przeniosła się do Izraela. Pierwsza – dotąd nie...

Z p. Żurawicką nie mogłem w końcu znaleźć wspólnego języka. Zwróciłem się wówczas do dyrektora Departamentu Włodzimierza Michajłowa z prośbą, aby zwolnił mnie z konieczności omawiania spraw Szkoły z tą panią. Powiedział: „To niedobrze, to niedobrze”. Widocznie sam się jej wówczas bał...

Od pierwszych dni września 1939 r. stało się dla mnie jasne, że przedwojenne programy polityczne działających w Polsce stronnictw i ugrupowań politycznych straciły wartość, że jedynym programem ogólnonarodowym w okresie wojny jest walka z hitlerowskim okupantem, że wokół tego programu konieczne jest podporządkowanie się dyrektywom rządu londyńskiego, jako jedyne go wówczas legalnego reprezentanta polskich interesów narodowych i państwowych na terenie międzynarodowym.

Oczywistym też było dla mnie, że odbudowane – po pokonaniu hitleryzmu – państwo polskie oprzeć się musi na innych zasadach, aniżeli Polska międzywojenna. Wymagać to będzie głębokich reform społecznych i politycznych. Jak dalece koła londyńskie będą skłonne reformy te wprowadzać – tego nie można było przewidzieć. Zakładano powszechnie, że zwycięstwo nad Niemcami hitlerowskimi będzie wyłącznie wynikiem naszego sojuszu z państwami zachodnimi. W tym wypadku ustrój odrodzonego państwa byłby niewątpliwie wzorowany nadal na burżuazyjnych demokracjach Zachodu. Należało się obawiać, że w tych warunkach konieczne reformy ustrojowe nie będą dość głębokie, a do władzy mogą powrócić ci sami panowie, których „talenty” mogliśmy obserwować przed wojną.

Dopiero uwikłanie się Niemiec w wojnę ze ZSSR stworzyło nową sytuację. Zwycięstwo nad hitleryzmem mogło być odtąd osiągnięte jedynie wspólnym wysiłkiem wielkiej

---

<sup>n)</sup> Z wyjątkiem Szkoły Głównej Planowania i Statystyki (dziś znów Szkoły Głównej Handlowej).

koalicji antyhitlerowskiej. Mocarstwem współdecydującym o losach Polski, a nawet decydującym o nich w sposób przemożny, stanie się Związek Radziecki. On też będzie miał istotny wpływ na ukształtowanie się naszych granic państwowych oraz naszego ustroju społeczno-politycznego.

Tak rysowała się nowa polska rzeczywistość. Czy się ona komuś podobała, czy nie – rzeczywistość ta nie mogła być pomijana w rozsądnych rachunkach politycznych.

Nad sprawą tą dyskutowałem wielokrotnie w gronie przyjaciół i znajomych w Krakowie i Warszawie. Przebieg działań wojennych na Wschodzie coraz bardziej utwierdzał mnie w mojej – i nie tylko mojej – ocenie sytuacji.

Coraz bardziej widocznym było, że ziemie polskie wyzwolone zostaną przez armię radziecką, że rację bytu może mieć w powojennej Polsce tylko orientacja skierowana na ścisły sojusz i współpracę ze Związkiem Radzieckim, że więc w tych warunkach oczekiwać należy oparcia naszego ustroju społecznego i państwowego na zasadach socjalistycznych, na przejęciu przez państwo majątków obszarniczych i nacjonalizacji podstawowych gałęzi gospodarki narodowej i oddaniu władzy w ręce organizacji politycznych, reprezentujących masy ludowe: robotników, chłopów i inteligencję pracującą.

Te teoretyczne przypuszczenia znalazły swój znakomity wyraz w manifestie lipcowym. Z jego treścią mogliśmy się zapoznać w Krakowie poprzez tajny nasłuch radiowy.

Nie miałem ani przez chwilę wątpliwości co do słuszności zawartego w manifestie programu. Treść manifestu i oparte na nim zasady demokracji ludowej stwarzały dla całego narodu najkorzystniejsze warunki dla pełnego rozwoju społecznego i indywidualnego.

Toteż od chwili mego powrotu do Poznania stanąłem zdecydowanie na gruncie nowej, aprobowanej przeze mnie rzeczywistości politycznej. Moja postawa była tak oczywista, że nikomu obserwującemu moją działalność nie przychodziło na myśl pytać mnie o przynależność partyjną.

Dopiero w 1947 r. zaczęto z różnych stron zachęcać mnie do „upartyjnienia się”. Zgłosiłem więc swe przystąpienie do PPS, w której kierownictwie znajdowali się wówczas znani mi przeważnie osobiście tacy ludzie, jak: Edward Osóbka-Morawski, Józef Cyrankiewicz, Adam Rapacki, Henryk Świątkowski, Konstanty Dąbrowski, Oskar Lange, Edward Lipiński i inni. Również na terenie poznańskim miałem właśnie w tej partii wielu znajomych.

Z chwilą zjednoczenia się PPS z PPR (w grudniu 1948 r.) stałem się członkiem PZPR, wywiązując się uprzednio w pełni z obowiązkowej poważnej składki na „Wspólny Dom”<sup>o)</sup>. Wydaje mi się, że swoim zachowaniem się nie przynosiłem partii wstydu. Przynależności swej nie traktowałem nigdy jako odskoczni dla zrobienia kariery politycznej, gdyż nie leżało to w moich planach życiowych. Nigdy też nie posłużyłem się legitymacją partyjną dla przysporzenia sobie lub innym jakichkolwiek korzyści.

Jako swój podstawowy obowiązek partyjny uważałem należyte wykonywanie moich obowiązków profesorskich. Mimo to narażony byłem ze strony niektórych prymitywnych jeszcze wówczas członków aparatu partyjnego na niejedną przykrość. Wstyd mi było nawet z kimkolwiek na ten temat mówić.

Wreszcie przygotowano na mnie generalny atak. Inicjatorem był niewątpliwie ówczesny sekretarz KW Jerzy Morawski (imię i nazwisko przybrane), a realizatorem sekretarz POP w WSE asystent Ryszard Królicki (również imię i nazwisko przybrane).

---

<sup>o)</sup> Chodzi o budynek Komitetu Centralnego PZPR.

Na posiedzeniu Egzekutywy wytoczono mi dwa zarzuty: 1) że w czasie wykładów zwalczam stosowane wówczas administracyjne metody tworzenia rolniczych spółdzielni produkcyjnych, 2) że – wbrew wypowiedzianym przez czynniki partyjne wątpliwościom – bronię zastępcę profesora dr. Antoniego Skowrońskiego, przedwojennego dyrektora Fabryki Wódek Hartwig & Kantorowicz sp. akc., a powojennego dyrektora naczelnego Zjednoczenia Przemysłu Spożywczego.

Egzekutywa postanowiła wystąpić na ogólnym zgromadzeniu członków partii z wnioskiem o skreślenie mnie z listy członków. Posiedzenie wyznaczono na dzień 3 marca 1951 r. w godzinach popołudniowych. Spośród około 80 członków POP przybyło na nie zaledwie 20 osób. Inni członkowie byli nieobecni, wiedząc o co chodzi.

Na oskarżenia odpowiedziałem, że istotnie uważam tworzenie rolniczych spółdzielni produkcyjnych w sposób przymusowy za zwykłe awanturnictwo, które może kraj dużo kosztować. Dla dobrowolnej kolektywizacji zaś brak jest jeszcze dostatecznego zainteresowania i warunków. Publiczną krytykę szkodliwych poczynań uważam za prawo i obowiązek każdego profesora. Za to mi płacą.

O ile idzie o dr. Skowrońskiego, to oświadczyłem, że znane mi jest jego doświadczenie i dorobek naukowy z zakresu organizacji przedsiębiorstw i produkcji, i dlatego uważam jego pozostanie za wysoce pożyteczne dla Szkoły i studentów.

Rozwinęła się dyskusja, w czasie której jedni popierali wniosek o skreślenie mnie z listy członków PZPR, inni natomiast bronili mego stanowiska. Z wdzięcznością wspominam szczególnie życzliwe dla mnie wystąpienie późniejszego profesora Józefa Boronia.

W głosowaniu jedenastu obecnych wypowiedziało się za wnioskiem o skreślenie, dziewięciu zaś przeciw. Nie kwestionowałem ważności uchwały, choćby z uwagi na brak przewidzianego *quorum*. Bez słowa opuściłem salę i przeszedłem do znajdującej się obok auli. Odbywało się tam liczne zebranie młodzieżowe. Studenci wiedzieli, co się święci, toteż kiedy mnie zobaczyli w swoim gronie – zgotowali mi długo trwającą owację. Od razu stało się widoczne, że aranżerowie mego wykluczenia z partii przegrali moralnie. Uchwała wykluczająca stała się wkrótce głośna w całym środowisku. Zyskała mi wiele sympatii – zarówno wśród bezpartyjnych, jak i partyjnych.

Po powrocie do domu skierowałem do sekretariatu POP następujące pismo: „Uchwałą Ogólnego Zebrania POP z dnia 3 marca 1951 r. wykluczony zostałem z partii za nieprzestrzeganie zasad walki klasowej. Przeciwno uchwale tej nie zamierzam wnosić odwołania. W związku z tym zwracam legitymację członkowską nr 1287059, wystawioną przez Komitet Miejski w Poznaniu w dniu 26 września 1949 r.”

Niektórzy z uczestników zebrania, głosujący za wydaleniem mnie z partii, skierowali do mnie pisma „usprawiedliwiające” swoje stanowisko. Moi sympatycy namawiali mnie, abym wniósł odwołanie. Odmówiłem.

Nie skorzystałem również z propozycji Sekretariatu KW z listopada 1956 r., abym kontynuował członkostwo (z zaliczeniem do stażu również okresu wydalenia). Grzecznie podziękowałem za dowód zaufania i prosiłem, aby partia uważała mnie za przyjaciela z zachowaniem mi statusu bezpartyjnego sympatyka.

Uszanowano moje racje. Stosunki moje z partią układały się i układają dotąd jak najlepiej.

W owym czasie (1951 r.), określanym później „okresem błędów i wypaczeń”, uchwała wykluczająca z partii mogła pociągnąć za sobą zwolnienie z zajmowanych stanowisk w Wyższej Szkole Ekonomicznej i na Uniwersytecie. Do tego też niewątpli-

wie zmierzali aranżerowie tej „imprezy”, pragnąc ukuć na tym własny kapitał polityczny – za okazaną czujność!

Wiadomo mi, że w tym celu udał się do Warszawy Królicki w towarzystwie innego pracownika naukowego, do dziś pracującego w Akademii Ekonomicznej. Spowodowali wezwanie mnie do Działu Kadr Ministerstwa. Pojechałem. Widocznie w Ministerstwie rozważono w międzyczasie sprawę na zimno, gdyż – kiedy zgłosiłem się do kierownika Działu Kadr – ten zapytał mnie tylko, jak czuję się w WSE po wykluczeniu mnie z partii. Odpowiedziałem, że tak samo dobrze jak poprzednio. No – to do widzenia!

Ani więc moja pozycja, ani mój prestiż nie zostały w niczym naruszone.

Satysfakcja moja była tym większa, że już za parę tygodni wszczęta została przeciwko funkcjonariuszom MO w Gryficach sprawa karna o łamanie praworządności przy okazji zakładania rolniczych spółdzielni produkcyjnych. A więc moja krytyka stosowanych metod okazała się w pełni słuszna. Praktyki podobne do gryfickich, stosowane były w całym kraju. „Pokazowym” postępowaniem karnym objęto jedynie najmniej winnych milicjantów gryfickich. Nie od nich przecież wyszła inicjatywa nacisku! Stosowali się oni jedynie do ogólnie otrzymanych wskazówek. Prawdziwi sprawcy umieli wówczas wyrażać swoją samokrytykę przez bicie się w cudzą pierś!

Podobnie było ze sprawą Antoniego Skowrońskiego. Wydalony z WSE w Poznaniu, uzyskał przy moim poparciu kierownictwo Katedry w Szczecinie. Wychował tam całe grono uczniów, opublikował szereg interesujących prac tłumaczonych w Moskwie na język rosyjski, zdobył szereg odznaczeń i nagród państwowych i terenowych, i ciesząc się wielkim uznaniem doczekał się zasłużonej emerytury. Kto tu miał lepsze rozeznanie wartości kandydata – ja czy moi antagoniści?

Jerzy Morawski, który po Październiku zdobył nieoczekiwanie stanowisko członka Biura Politycznego, a następnie pełnił funkcję ambasadora Polski w Londynie – zniknął ostatecznie z widowni politycznej! A Ryszard Królicki? Ten, zaangażowany do służby zagranicznej, przy najbliższej okazji „wybrał wolność”!

Cieszę się bardzo, że moi antagoniści z 3 marca 1951 r. zmienili zasadniczo swój stosunek do mnie. A faktem najbardziej znamionym jest to, że najostrzej atakujący mnie wówczas student Romuald Jezierski, obecny wiceminister oświaty, nakłonił mnie do spisania tych wspomnień i zabezpieczył mi ich publikację.

Jestem mu za to serdecznie wdzięczny.

Z uwagi na kierownicze funkcje pełnione przeze mnie w ciągu dziesięciu lat powojennych w Akademii Handlowej i w Wyższej Szkole Ekonomicznej, zająłem się w niniejszym rozdziale głównie problemami dotyczącymi tej Uczelni.

A przecież łączyły mnie w tym okresie również ścisłe nici współpracy z moim macierzystym Wydziałem Prawno-Ekonomicznym, przemianowanym następnie na Wydział Prawa, a ostatnio na Wydział Prawa i Administracji.

Z chwilą podjęcia w 1945 r. zajęć na tym Wydziale, w formie drugiego etatu, przejąłem kierownictwo Katedry Prawa Handlowego, przekształconej na Katedrę, a następnie na Zakład Prawa Gospodarczego.

Już z samego charakteru i zadań Akademii Handlowej oraz Wyższej Szkoły Ekonomicznej wynikało, że w jej ramach moja rola jako kierownika Katedry Prawa ograniczona była jedynie do zadań dydaktycznych i wychowawczych. Wykładałem tam encyklopedię prawa oraz szeroko pojęte „prawo cywilne”.

Z tego ostatniego przedmiotu, a zwłaszcza z zakresu organizacji i funkcjonowania

przedsiębiorstw uspołecznionych oraz umów gospodarczych, zawieranych między i przez jednostki gospodarki uspołecznionej, prowadziłem też bardzo licznie uczęszczane seminaria magisterskie.

Moje zadanie w ramach Wydziału Prawa Uniwersytetu Poznańskiego było znacznie donioślejsze. Oprócz prowadzenia wykładów, proseminariów i seminariów dyplomowych oraz magisterskich w zakresie dyscypliny określonej nazwą Katedry, do moich obowiązków należało rozwijanie własnej działalności naukowej oraz kierowanie pracami doktorskimi i habilitacyjnymi, czyli wychowywanie młodej kadry naukowej.

Ta praca odpowiadała mi najbardziej. Przedmiotem moich specjalnych zainteresowań naukowych w powojennym 30-leciu były – poza zagadnieniami prawnymi związanymi z organizacją i funkcjonowaniem gospodarki uspołecznionej, a więc prawem gospodarczym w szerokim znaczeniu – zagadnienia prawne gospodarki morskiej oraz prawna ochrona twórczości intelektualnej. Tych też zagadnień dotyczą moje własne opracowania, jak również opracowania moich magistrantów, doktorów i doktorów habilitowanych.

Za mój największy sukces życiowy uważam to, że w ramach mego seminarium wykonanych zostało dotąd około 1200 prac magisterskich, dwadzieścia kilka prac doktorskich oraz dziesięć prac habilitacyjnych.

Moi wychowankowie zajmują dziś – w charakterze profesorów zwyczajnych, nadzwyczajnych oraz docentów – stanowiska na różnych uczelniach i w innych instytucjach naukowych w kraju, a niektórzy z nich cieszą się zasłużonym uznaniem na terenie międzynarodowym.

Uważam więc, że udało mi się wypełnić w skromnym stopniu obowiązek ciężący na każdym profesorze.

Te wyniki, a nie funkcje sprawowane w AH (WSE), były decydujące dla mojej pozycji w cywilistyce polskiej. Stanowiły one również podstawę do nawiązania stosunków naukowych z zagranicą w formie wygłaszanych tam wykładów i czynnego udziału w konferencjach międzynarodowych oraz w formie publikacji w zagranicznych czasopiśmie naukowych.

Toteż skoro tylko moje funkcje profesorskie w WSE przejąć mogli moi uczniowie, prof. Jan Hołowiński i docent Wojciech Siuda, z dniem 31 sierpnia 1962 r. pożegnałem się, nie bez żalu – po 28 latach poświęconych jej sprawom – z tą Uczelnią, aby skoncentrować się wyłącznie na pracy na Wydziale Prawa.

Lata 1962–1974 przysporzyły mi najwięcej sukcesów i zadowolenia. Toteż dzięki życzliwości Kolegów i Uczniów mogłem w ramach Wydziału Prawa – po 48 latach współpracy – uczestniczyć w pogodnym nastroju w dniu 30 września 1974 r. w zorganizowanej na moją cześć uroczystości związanej z moim przejściem w stan spoczynku. Wielką radość sprawiła mi Księga Pamiątkowa – specjalny numer 3 za 1974 r. „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego”, wręczona mi przez mego drogiego Mistrza – nestora cywilistów polskich – Alfreda Ohanowicza.

W księdze tej trzydziestu autorów – moich uczniów i przyjaciół z całego kraju – zamieściło wartościowe artykuły. Ponadto zawiera ona mój krótki życiorys, wykaz moich prac naukowych oraz nazwiska promowanych i habilitowanych przeze mnie naukowców.